

**JACQUELYN MITCHARD**

# **Dwanaście podarunków**

Mitchard doskonale rozumie kobiece wątpliwości i zmagania z trudnościami każdego dnia.

„People”

Jedno jest pewne w miłości - zmieni twoje życie wtedy, gdy się tego najmniej spodziewasz.

True Dickinson jest atrakcyjną, zamożną wdową, matką dziesięcioletniego chłopca. W dniu czterdziestych trzecich urodzin uświadamia sobie, że jej młodość i uroda szybko przemijają, a miłość jakoś nie chce zapukać do drzwi. Wtedy właśnie poznaje młodszego o 10 lat Hanka - intrygującego właściciela restauracji, który mimo dzielącej ich różnicy wieku, widzi w True zmysłową i czarującą kobietę. Ich romantyczny ślub wróży wspaniałą przyszłość, jednak codzienne życie wystawi ich uczucie na ciężką próbę.

Powieść Jacquelyn Mitchard to urzekająca historia dwunastu miesięcy z życia kobiety, która poznaje nie tylko uroki, ale też niebezpieczeństwa i wątpliwości towarzyszące dojrzałej miłości.

Jacquelyn Mitchard jest cenioną przez krytyków „New York Timesa” autorką bestsellerów, które w Polsce ukazały się pod tytułami *Głębia oceanu*, *To co najważniejsze* i *Teoria - względności*. Wydała również zbiór felietonów, publikowanych na łamach „Milwaukee Journal-Sentinel”, oraz dwie książki dla dzieci.

Luty

## WALENTYNKI

Nie ma na świecie rozkoszniejszych łakoci od czekoladek w czerwonym satynowym puzderku (które może później posłużyć do przechowywania pierwszych mlecznych ząbkózu, gdy króliczek wyjmie je spod poduszki, a w zamian zostawi monetę). To podarek wyłącznie dla ciebie. Dzidziusia opatulimy w biało-czerwony pasiasty sweterek z kapturkiem, odpowiedni na tę porę roku, oboje też dostaniecie ciepłutkie walentynkowe skarpety w stosownym rozmiarze; dla chłopców ozdobione złotymi strzałami i złotym serduszkami, dla dziewczynek - serduszkami oraz różowymi i czerwonymi koralikami (nie oderwą ich nawet najbardziej ciekawskie paluszki). Czy z twojego życia zniknęła romantyczność, odkąd pojawił się... wiesz, kto? Przywróci ją chwila relaksu przy muzyce z tego kompaktu. Pamiętaj, że Bolero to tylko początek...

OS BO

Gdy masz za sobą trochę życia, to, co cię otacza, może się wydać równie ciasne jak stare spodnie, gdy przybierzesz na wadze. True Dickinson ma za sobą i jedno, i drugie, a w jej codzienność wkrada się szczypta tego samego żalu i tej samej goryczy, które odczuwa, gdy musi wciągnąć brzuch, by zapiąć guzik spodni.

Gdyby liczyć odległość w linii prostej, czyli tak, jak latają ptaki, True Dickinson mieszka zaledwie półtora kilometra od

zatoki Nantucket Sound. Ale ostatnio - stwierdza to z przykrością - nie potrafi już patrzeć na jej cynowe zimną fale z takim samym lękiem i zachwytem jak kiedyś, podobnie jak nie potrafi patrzeć na przyjaciół z wdzięcznością, na swoje sukcesy z dumą, a na własną małą rodzinę z niesłabnącym zadowoleniem. Nigdy przedtem, od czasu gdy przeniosła się z rodzinnego Amherst na półwysep Cape Cod - najpierw bywała tu podczas studenckich wakacji, potem, jako młoda mężatka, przyjechała z mężem, pilotem lokalnej linii lotniczej Cape Air - nie odczuwała tak niewytłumaczalnego niepokoju. Płocze, dziwne myśli o tym, żeby się stąd wynieść, mącą ład wypełnionych pracą dni - niczym pojedyncze pasma włosów, wymykające się czasem z grubego, francuskiego warkocza, który True plecie każdego ranka i tak nawykła do tej czynności, że bez trudu wykonałaby ją nawet po ciemku. „Ucieknę stąd”, łapie się na rozmawianiu z samą sobą, „porzucimy Cape Cod, wyjedziemy, ja i mój syn, tam, gdzie więcej przestrzeni i powietrza, gdzie więcej światła”.

Jej niezadowolenie nie wiąże się, naturalnie, z miejscem.

Dotyczy sytuacji, nie lokalizacji.

I tak jak ptaki nie latają wprost do celu - wszystkiego ciekawe, zbaczają z toru, by sprawdzić, co się świeci, co pachnie, więc dotarcie do miejsca przeznaczenia zabiera im jeszcze więcej czasu niż człowiekowi, który jedzie autem, podporządkowując się ograniczeniom prędkości - tak True nie czuje się osaczona przez ciasnotę życiowej przestrzeni, lecz przez rosnącą w jej wnętrzu pustkę. Czuje się samotna. Wątki jej życia nie splatają się w całość. Syn, którego przywykła postrzegać jak małego chłopca, skończy niebawem dziesięć lat - to „średni wiek” w okresie dzieciństwa. True nie może już uważać się za „młodą wdowę”. Matka jest coraz starsza, a wieloletni współpracownicy planują przeprowadzkę w poszukiwaniu nowych wyzwań.

True zaczyna myśleć o sobie jak o punkcie, od którego wszystko się oddala.

Ale czy rzeczywiście mogłaby opisać siebie w ten sposób? Chyba tylko w hipnozie.

True wie, że cierpi na sezonową depresję. To tylko pora roku. Luty jest nie mniej smutnym miesiącem w znanym kurorcie, gdzie każdy widok przypomina pejzaż malowany akwarelą, niż w jakimkolwiek innym miejscu - albo nawet smutniejszym. Zasłonięte żaluzjami witryny zamknięte do lata sklepy działają na przechodniów przygnębiająco - nawet na tubylców, którzy tyle krzyczą, że chcą mieć kościoły i ulice wyłącznie dla siebie. Mylny jest powszechnie przyjęty pogląd, że ludzie ze skłonnościami samobójczymi odbierają sobie życie w okresie Bożego Narodzenia. Prawda jest taka, że palce swędzą, by chwycić za kawałek mocnego sznura albo sięgnąć po środki nasenne właśnie w lutym, gdy święta nie spełniły oczekiwań, a nieuchronne odrodzenie życia już czai się za rogiem.

Luty jest dla True miesiącem szczególnie nieprzyjemnym. To miesiąc jej urodzin, w lutym zginął także przed laty jej mąż. Peter Lemieux, który zarabiał na chleb, pilotując ośmioosobową cesnę przy jakże często kapryśnej na tutejszym wybrzeżu pogodzie, zginął - o ironio! - potrącony przez samochód w tak mroźną noc, jak dzisiejsza. Pete zatrzymał się, by pomóc jakiejś kobiecie zreperować uszkodzoną chłodnicę. Zabiła go przejeżdżająca ciężarówka. Już od wielu lat True nie potrafi przywołać brzmienia jego głosu, nie wie też, czy obraz, który nosi w pamięci, to tylko powstająca w jej mózgu migawka ślubnego zdjęcia, wycieranego przez True z kurzu razem z lampą i pudełeczkiem kremu do rąk, czy też prawdziwe odzwierciedlenie jego wyglądu. Matka True, Kathleen, która także owdowiała młodo i także z powodu wypadku na drodze, kiwa ze zrozumieniem głową, gdy True nie chce oglądać tych kilku filmów wideo, nakręconych wspólnie z Pete'em, gdy ich syn Guy był małym dzieckiem. Kathleen co pewien czas proponuje, by obejrzały filmy razem, tak jakby z oglądania życia, którego już nie ma, dało się czerpać przyjemność niczym z oczyszczającej kąpieli. True wie, że nawet po ośmiu latach, które minęły, widok platynowych włosów

obciętych na jeża, kwadratowej, młodej twarzy oraz opalenizny porysowanej drobnymi zmarszczkami rozbije

spokój ducha, który udaje jej się zachowywać dzięki skrupulatnemu oddzielaniu „przedtem” od „potem”.

Ale jeszcze trudniejszy do zniesienia - True wyczuwa to intuicyjnie - byłby dla niej widok maleńkiego Guya, zapewne jedyne dziecko, jakie dane jej będzie mieć w życiu - radosnej, ufnej drobiny, z pełnymi i krągłymi jak połówki brzoskwini policzkami, wystającymi na boki poza linię skroni. True pamięta atlasowy dotyk jego skóry, a myśl, że prawdopodobnie przez resztę życia taki dotyk będzie mogła sobie jedynie przypominać, napawa ją goryczą.

Wie także, że choć wcale nie jest wesołą wdówką, nie jest też taka jak jej matka czy inne młode wdowy, z którymi przez pewien okres się stykała. Prześcigały się one w deklaracjach, czego by nie oddały - ilu palców u rąk i nóg, ilu kończyn, ilu miesięcy życia - za jedną godzinę spędzoną w mężowskich ramionach.

True dobrze wie, dlaczego tak jest, ale trzyma tę wiedzę schowaną głęboko, niema - jak ślubny welon ukryty w kufrze z cedrowego drewna.

Nikt poza nią nie zdawał sobie sprawy, jak trudny charakter miał Pete, jak ochoczo sprawował kontrolę i nad nią, i nad wszystkim innym w swoim uporządkowanym życiu, włącznie ze skrupulatnym wydzielaniem jej pieniędzy na lunch. Nikt nie zdawał sobie sprawy z jego skrajnego egocentryzmu, od którego odstąpił w przyływie tragicznej buńczuczności. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że z powodu jego pracy i służby w wojsku spędzali ze sobą jako małżeństwo niewiele czasu.

Większość ludzi uważała True Dickinson za kobietę pewną siebie i lubiącą ryzyko - za śmiałą pragmatyczkę z Nowej Anglii o smukłych nogach, długim kroku i głębokich szarych oczach, wdowę przyciętą na miarę bohaterek starych filmów z Margaret Sullavan\*. I to w gruncie rzeczy bardzo True odpowiadało.

\* Sullavan Margaret, właściwie Margaret Brooke (1911-1960), amerykańska aktorka filmowa. Studiowała taniec i sztukę dramatyczną. Debiutowała na scenie w 1928 w University Players wraz z H. Fondą i J. Stewartem. W 1931 zaczęła występować na Broadwayu, w 1933 w kinie).

Przez kilka lat po śmierci Pete'a napawało ją niestosowną bez mała dumą, że inni postrzegają ją jako kobietę o wielkiej odwadze i wielkim optymizmie, dzielnie kroczącą po ruchomym chodniku życia, jakby ten chodnik nie miał nagłych zwrotów i jakby nie można się było na nim poślizgnąć. Gdy założyła firmę, nosiła kostiumy z krótkimi spódnicami oraz

prowadziła pogadanki dla środowisk kobiecych w Nowej Anglii - i nie tylko - o ciężkiej pracy będącej błogosławionym lekarstwem na smutek oraz o swoim niezłomnym postanowieniu odrzucania pokusy zdawania się na przyjaciół czy litowania się nad własnym losem. Za artykułem przeczytanym w kolorowym magazynie powtarzała zasadę: „Gdy jest ci trudno, śmielej ryzykuj”. Firma, którą założyła, nie mając nic poza szczerą chęcią, doświadczeniem z poprzedniej pracy i biznesplanem napisanym na podstawie wiedzy z podręczników, które wieczorami studiowała w bibliotece, podczas gdy Guy bawił się u jej stóp samochodzikiem, była dla niej lekcją pogładową, praktycznym doświadczeniem w działaniu.

Ale jej heroiczna postawa, dzięki której potrafiła pocieszać innych nawet poprzez własną żalobę, zaczęła się w pewnym momencie niebezpiecznie chwiać.

True się zmienia. Nie chodzi o menopauzę, lecz o coś znacznie bardziej subtelnego. Ogarnia ją lęk, że staje się uciążliwie marudna. Ma nadzieję, że nikt inny tego nie zauważy. Szczerze mówiąc, ona sama dopiero niedawno to zauważyła. Gdyby ją spytano, powiedziałaaby z humorem przyjaciołom, rodzinie, że ma dość codziennej rutyny, że po dwudziestu latach sprzykrzyło jej się miejsce, gdzie - jak się wydaje - nie może odetchnąć pełną piersią. Mówiłaby o trudnych do zaakceptowania poglądach, którym hołduje się na Cape Cod, wskutek czego nie można nawet zainstalować dziecku trampoliny bez pisemnego podania o zgodę władz z obawy, że naruszy się szczątki pierwszych angielskich kolonistów albo, co bardziej prawdopodobne, zasłoni jakimś miliarderowi widok na zatokę. I chociaż nie te problemy najbardziej jej dokuczają, True zdaje sobie sprawę, że ani wychowanie, ani

przygotowanie do życia nie dało jej właściwego narzędzia, dzięki któremu potrafiłaby wyjść z psychicznego dołka.

Dziś True ma urodziny. Czterdzieste trzecie. Prowadzi swe niezawodne volvo powoli, bo takiej pogody - jak powiedziano w radiu - nie pamiętają na półwyspie nawet najstarsi rybacy. Jedzie na własne przyjęcie urodzinowe - już samo to sformułowanie wywołuje na jej twarzy grymas niezadowolenia - do nowej restauracji w odległym Truro. Obok niej siedzi Isabelle Merton, była niania do dziecka, obecnie asystentka w biurze, która nadal mieszka u True w zamian za pomoc przy opiece nad dzieckiem. Chociaż zwykle nie mogą się nagadać, teraz True odczuwa niewytłumaczalną potrzebę ciszy i samotności. Może zapaśnik albo inżynier budowlany nie zastanawiają się w dniu swoich urodzin nad sensem życia, nad czasem, który jeszcze im pozostał, ale wszyscy inni odczuwają taką potrzebę.

Jankeska grzeczność każe jednak prowadzić wesołą pogawędkę.

- Zgadnij, co Kathleen zrobiła dzisiaj wieczoru - mówi True do Isabelle. - Podeszła do mnie z tyłu, obciągnęła mi sweter na pupę i powiedziała: „Trzeba przyznać,

kochanie, że się rozrosłaś tu i ówdzie”. Miło z jej strony, prawda?

- Że też cię jeszcze dziwi cokolwiek, co robi twoja matka!

- Dziwi mnie. Nic na to nie poradzę. Gdybyś była po sześćdziesiątce, nadal by cię rajcowało, że jesteś chudsza od własnej córki?

- Wiesz, jak to jest. Nie kijem go, to matką - powiada Isabelle, wykonując szeroki gest dłonią z wymalowanymi na szafranowe paznokciami. - Ciesz się, że twoja matka dba o ciebie bardziej niż o swojego harleya.

True pragnie czasami, by jej matka była równie daleko - przynajmniej w sensie geograficznym - i była wobec niej równie obojętna jak wobec Isabelle jej mama - zapalona motocyklistka.

Kathleen nie tylko pracuje z True, ale mieszka w gościnnym domku na terenie posiadłości córki. Wpada do domu True, kiedy tylko ma ochotę. Żadna rozmowa telefoniczna nie ujdzie jej uwagi, żaden list, żadna wizytówka wetknięta w bukiet kwiatów nie umkną sokolemu wzrokowi Kathleen. True zastanawia się czasami, jak by to było, gdyby Kathleen nie uznała za logiczne przeprowadzić się na Cape Cod po śmierci Petera. Zastanawia się, czy nie byłoby dla niej lepiej, gdyby miała więcej prywatności - nawet gdyby zapłacić przyszło za to większą samotnością.

True stara się jednak pocieszyć Isabelle, zasmuconą płytkością korzeni, z których wyrasta, powiada więc:

- Chyba masz rację.

- Trzeba jej pewne rzeczy wybaczać - ciągnie Isabelle. - Gdy mama nas opuściła, babcia zawsze myła po raz drugi podłogę, którą ja już umyłam, płukała powtórnie każdy opłukany już przeze mnie talerz. To trwało dziesięć lat. Kathleen nie wtrąca się aż tak bardzo. W niektórych sprawach jest ci podporą, jeśli chodzi o Guya czy pracę...

- Wiem, wiem - wzdycha True.

Jadą wzdłuż pokrytych lodową rzeźbą bagien. W takim pejzażu komercja zdaje się nie mieć prawa bytu, a jednak niespodziewanie pojawia się napis JEDYNA. Parking zapchany samochodami. True zaczyna podejrzewać, że przyjaciele sprawili jej niespodziankę w postaci prawdziwego przyjęcia - przeciw czemu wielokrotnie i żywo protestowała, a czego w skrytości ducha pragnęła.

Zamarzający błyskawicznie wilgotny śnieg okala szronem włosy True i mający kształt dzwonu kapelusik Isabelle, gdy robią zaledwie parę kroków od samochodu do drzwi restauracji. Różowawa poświata okien sprawia, że wewnątrz wygląda, jakby stało w płomieniach.



Ledwie weszły do środka, True uświadamia sobie, że po raz kolejny w życiu nie doceniła znaczenia dzisiejszej daty. Na stołach płoną cieniutkie, czerwone walentynkowe świece. Dla par ten wieczór jest okazją do składania nowych przyrzeczeń albo odnowienia starych - pogoda nie ma znaczenia, póki jesteśmy razem. Dla wdów dzień św. Walentego pozbawiony jest jakiegokolwiek uroku, a dla wdowy, nazwanej przez matkę na jego cześć, jest wręcz irytujący. True potrzebowała paru dziesiątków lat, żeby pogodzić się ze swym imieniem, które, jak jej się kiedyś wydawało, robiło z niej doświadczoną przez los dziewczycę, skazaną na łaskę tajemniczego dalekiego kuzyna po śmierci rodziców misjonarzy. True oskarża o ten pomysł matkę, bo ojciec - w ocenie zaledwie ośmioletniej dziewczynki - sprawiał wrażenie człowieka niemającego żadnego wpływu ani na tę, ani na żadną inną z domowych spraw. Kathleen, która przez większość życia pracowała jako bibliotekarka w prywatnej szkole podstawowej, nie tylko miała tendencję do czerpania wzorców ze świata literatury, ale była też dumna, że jej dzieci łączy niezaprzeczalne pokrewieństwo ze stroniącą od ludzi Emily - pięknoscią z Amherst (Emily Dickinson (1830-1886), wybitna poetka urodzona i mieszkająca w Amherst). - dawno zmarłą kuzynką True. True nie używa swojego drugiego imienia - nazwiska rodowego matki - Harte (Słowo Harte wymawia się tak samo jak heart (serce). True Harte oznacza dosłownie „prawdziwe serce”),

bo takie zestawienie brzmiałoby jeszcze bardziej idiotycznie\*\*. Naturalnie, mogłoby być gorzej. Mogłaby mieć na przykład na drugie Love albo jak jedna ze szkolnych koleżanek Guya - Passionette.

True dostrzega „domniemanych winowajców” machających do niej od baru - jej najlepszych przyjaciół. Franny Van Nevel, współlokatorka z pokoju w studenckich czasach i wieloletnia przyjaciółka, która poznała swego męża, odwiedzając True na Cape Cod pewnego lata dawno temu; Rudy, asystent, którego True podkupiła przed siedmiu laty słynnej firmie zabawkarskiej, noszącej nazwę Bohaterki Elizabeth, nazywanej też „fabryką lalek”. Wszyscy inni goście siedzą parami, niektórzy ze splecionymi dłońmi na marmurowych blatach, nie bacząc na niebezpieczną bliskość płonących świec. True próbuje uśmiechnąć się triumfalnie do Franny i Rudy’ego, ale napięcie niespełnionej nadziei rozpierające jej piersi uchodzi w postaci słabego westchnienia. Trzeba jej wina i szalonej muzyki. Przystaje, by wrzucić parę monet do grającej szafy, wybiera trzy różne wersje Thunder Road.

Właśnie leci piosenka Tony’ego Bennetta, The Way You Look Tonight\*. True ma ochotę kopnąć szafę w neonowe usta.

Franny (zwróciła na siebie uwagę True na pierwszym roku w Amherst College także z tego powodu, że umyślnie wymawiała jej imię w bardzo romantyczny sposób, pasujący do

imienia smutnej dziewczynki z rodziny Glassów z książki J. D. Salinger), Rudy i Isabelle - wszyscy troje ściskają True. Rudy cmoka ją w oba policzki.

- Dawno cię nie widziałem, szefowo - mówi przyjaźnie.

Zaledwie przed dwunastu godzinami, w drodze na zajęcia jogi, Rudy wpadł do True, by przynieść jej obarzanek ze świeczką.

- Dużo szczęścia, kochana. Ale coś nie wyglądasz na szczęśliwą.

- Jestem szczęśliwa - mówi True. - Jestem... - Wskazuje dłonią dookoła. - Po prostu... Popatrzcie na nich wszystkich. Należą się wam słowa uznania, że zamiast świętować z waszymi ukochanymi, przyszliście tu z powodu mojego niezbyt ważnego...

- De nada (Tak jak dziś wyglądasz De nada (hiszp.) Nie ma sprawy) mówi Rudy. - Keith i tak musiał zostać w pracy. Planuje wystawny deser o północy.

Ukazując zęby w szerokim uśmiechu, z wdziękiem rozłożystego w ramionach atrakcyjnego ministranta (Franny często powtarza: „Jakie to szczęście, że Rudy nie jest homoseksualistą «w krótkich majteczkach», tylko raczej typem «człowieka z Północy»„), asystent True wyjaśnia, że trochę się spóźnił, bo musiał łapać swoje teriery „jack russells”, Nicka i Norę, które pogoniły parę świadków Jehowy.

- Mówiłem tej pani, która była zresztą bardzo miła, że psy są unitarianami. A ona, przysięgam na Boga, powiedziała nam: „Psy nie mają wyznania”. A potem ogarnęła spojrzeniem Keitha oraz mnie i stwierdziła: „Nie zaszkodzi wam rzucić okiem na te broszury. Jeszcze nie jest za późno”. True uśmiecha się, podpierając podbródek dłonią.

- Połowa kobiet w tym pomieszczeniu chciałaby, żeby nie było jeszcze za późno, Rudolfo.

Kobiety zwykle tęsknie wzdychają na widok Rudy'ego.

- Steve trzyma na później butelkę cristalu - wtrąca Franny - a ja dostałam przy śniadaniu od dzieci czekoladki.

- W takim razie - wzdycha True, a potem uśmiecha się szeroko - czuję się znacznie lepiej jako jedyna osoba w tym lokalu, która jest nie tylko samotna, ale i zbyt stara, by umrzeć młodo. A już myślałam, że będziecie mi sekundować w moim smutku.

- Nie pasuje do ciebie ta gadka, True. - Isabelle ostrzegawczo kiwa palcem. - Umówiliśmy się, że dziś nie rozmawiamy o wieku.

- Nie musisz rozmawiać o wieku przez następne dwadzieścia lat - oświadcza True. - Ale bądź rozsądna, Eso. W tym pomieszczeniu pachnie namiętnością. Z wyjątkiem państwa Altruzzo, którzy są małżeństwem chyba z siedemdziesiąt pięć lat, każdy jest tu młodszy i szczuplejszy ode mnie.

- I jestem pewna - powiada Isabelle - że wszyscy szepczą między sobą: czy to nie True Dickinson, ta, która samodzielnie rozkręciła taki kapitalny interes, której zdjęcie opublikowało „Fortune” w dziale Bierzcie z nich przykład, ta, która kupiła wspaniałą posiadłość niedaleko latarni morskiej, ta, która ma cudownego, zdolnego syna i twarz Catherine Deneuve, ta, która jest, niestety, o wiele grubsza i starsza, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

- Powiedz jej, Eso - wtrąca Rudy - że jeszcze trochę tej gadaniny i zacznę żałować, że sam wam czegoś nie ugotowałem.

Na chwilę zapada cisza i wszyscy wyobrażają sobie Rudy’ego w jego ogromnej kuchni: na urodzinową kolację miso z dodatkiem miso.

Esa odrzuca do tyłu masę rudych włosów.

- Ja w każdym razie będę ci sekundować w przygnębieniu - powiada. - Znowu jestem archeologiczną słomianą wdową.

- Nie jestem pewna, czy to właściwe sformułowanie. - True nie może powstrzymać śmiechu. - Czego oni was uczą na tym dziennikarstwie?

Adorator Esy jest profesorem w Lowell College - a nie, jak Esa pospiesznie wyjaśnia, jej osobistym nauczycielem - gdzie Isabelle od ośmiu lat usiłuje zdobyć dyplom. Odpowiedziała na ogłoszenie True, która szukała opiekunki do dziecka, drugiego dnia pierwszego semestru, po czym stała się dla True kimś więcej niż nianią jej synka. Profesor tak często wyjeżdża na wykopaliska, że gdyby nie mieszkała z True - Esa często to podkreśla - dawno już uległaby swym genetycznym predyspozycjom i stała się zdegenerowaną utracjuszką.

- Opowiem wam dowcip - próbuje z innej beczki Franny. Jej drobna twarz, obsypana piegami jak bita śmietana cynamonem, okolona czapką z czarnych loków, jest zwodniczo niewinna niczym twarz irlandzkich aniołów. - Co zrobić, żeby starsza pani powiedziała: „Ja pierdolę!”?

- Przeżyję i to - stwierdza Rudy. - Dawaj! Co zrobić, żeby starsza pani powiedziała: „Ja pierdolę!”?

- Chodzi o trzy starsze panie - wyjaśnia Esa. - W przeciwnym razie to nie będzie... no, wiecie, żart. Już go słyszałam, Franny, ale mów.

- Dobra, dobra. Jedna starsza pani, trzy starsze panie, bez znaczenia. My jesteśmy trzy starsze panie, z wyjątkiem ciebie, Eso - mówi Franny, pełna szacunku dla dwudziestu pięciu wiosen Isabelle.

- I mnie! - wykrzykuje Rudy, który ma trzydzieści trzy lata.

- Zgoda, nie jesteś stary, ale nie jesteś też panią - mówi Esa.

- W istocie - zgadza się Rudy.

- Teraz bądźcie cicho. - Franny, jako pracownica socjalna, jest przyzwyczajona do posłuchu. - Jak sprawić, żeby trzy starsze panie powiedziały: „Ja pierdołę!”?

Ja pierdołę, myśli True. Pierdołę, pierdołę... Mówię to codziennie, gdy tylko coś w biurze nie idzie tak, jak powinno. Ale kiedy ostatni raz to robiłam? Półtora roku temu? Półtora roku, czyli zanim zerwała z Evanem, podając za przyczynę otwartą niechęć Guya, chociaż prawdziwą przyczyną była neodparta pokusa zaśnięcia, gdy Evan czytał jej nordycki poemat epicki, nad którym pracował, jeśli oczywiście nie powtarzał w kółko tego samego o uzębieniu aktorów filmowych. Od czasu gdy True i Evan poznali się na przyjęciu z okazji ukończenia studiów medycznych wspólnego znajomego, poemat po dziewięciu latach pracy rozrósł się do trzystu stron.

- Czwarta musi krzyknąć: „Bingo!” - kończy triumfalnie Franny.

True parska śmiechem i myśli: Tylko patrzeć, jak będę jeździć na bingo do sali gimnastycznej przy kościele Saint Thomas More każdego piątkowego wieczoru, z wyjątkiem Wielkiego Postu, z mamą, panią Harkness i panią Coffin utyskującymi przez całą drogę na tych okropnych, bezczelnych kierowców spoza półwyspu prowadzących wystrzałowe sportowe samochody. Będę spędzała całe popołudnia na sprawdzaniu, czy pisaki mi nie zaschły, na liczeniu małych czerwonych krążków trzymanyh w sznurkowej torebce, żeby być pewną, że mi ich nie zabraknie w czasie gry. Dwa razy w tygodniu będę pracować jako wolontariuszka w przykościelnym sklepiku z używanymi rzeczami. Będę pisała listy do Guya, przypominając mu o praniu majtek i skarpetek w gorącej wodzie, bo gorąca woda dezynfekuje...

- Kupić butelkę wina? - pyta Rudy.

- Nie powinnam pić - mówi True. - To się od razu zamienia w cukier.

- Ja też nie mogę pić, bo prowadzę - oznajmia Esa.

- Ja mogę pić, bo Steve po mnie przyjedzie. Ale skoro nikt nie może pić, to po co, do diabła, jechaliśmy tu taki kawał drogi? - pyta ze złością Franny.

- Dobra - mówi True. - Wypiję kieliszek albo dwa. Powinnam przecież uczcić swoje... urodziny. Ale potem koniec z pić. Żadnych kir royale. Ważniejsza mi talia niż alkohol.

- Święta racja - szepcze Esa sotto voce. - Najmniejszy przybór na wadze jest przypisywany mnie i temu, że swoimi zdrożnymi skłonnościami wpędzam cię we wczesne stadium alkoholizmu...

- Nieprawda. Nie żłopię merlota, tylko kawę z mlekiem. A jak idę ulicą, mam

wrażenie, że mój tyłek ciągnie się za mną jak pies, którego wyprowadzam na spacer. Gdy skręcam za róg, muszę chwilę zaczekać, żeby mnie dogonił.

- Jesteś nieznośna - mówi Isabelle.

Ale rozumie, w czym rzecz. Obie przywykły do codziennego drinka z przekąską. Nawet gdy Isabelle miała zaledwie siedemnaście lat i daleko jej było do pełnoletności, każdy piętnastogodzinny dzień pracy w tamtej zwariowanej, wstępnej fazie rozwoju firmy kończyły przy szafce z alkoholami. Guy był wtedy małym brzdącem, a Isabelle jego teoretyczną opiekunką, choć miała też wiele innych obowiązków, dzięki czemu True mogła dać sobie ze wszystkim radę. Mały chłopiec szybko przywykł do tego obyczaju i gdy True wychodziła z biura, znajdującego się w dawnym domu w specjalnie przeznaczonych na ten cel komórcach, usłużnie otwierał kredens, wyjmował trzy kryształowe kieliszki i nalegał, by pozwolono mu wypić sok jabłkowy w jednym z nich. „O Boże”, powiedziała któregoś z tamtych wieczorów wykończona trudnym dniem Isabelle, stukając się kieliszkiem z Guyem: „Czyż nie jestem wzorową nianią?”

- Nie sądzę, by to pamiętał - zapewniła ją True. - Czy ty pamiętasz cokolwiek z czasów, gdy byłaś dwuletnim dzieckiem?

Guy, naturalnie, ma żywe wspomnienia z czasów wspólnych toastów.

Teraz Isabelle ogranicza swoje wysoki do wieczorów z przyjaciółmi ze studiów. Tańczy na pachnącej żywicą podłodze w rybackich barach, w Danny's Galley albo Stiff Bore. Otwarcie drzwi takich miejsc uwalnia odór dymu i seksualnej chuci tak silny, że może zwalić cię z nóg. True tam nie zachodzi. Od czasu gdy ukochany Isabelle wyjechał na pięć miesięcy do Chile - „Pięć miesięcy!” wołała z rozpaczą, jakby była skazana na celibat do końca życia - Isabelle jest mu „prawie całkiem, technicznie” wierna.

- To wcale nie jest łatwe - podkreśla wielokrotnie. - Jak się kogoś pragnie i jest się na tego kogoś wkurzonym, a dookoła pełno marynarzy ze zgrabnymi tyłkami, którzy ci mówią, że mogą nie wrócić z następnej podróży...

- Jezu - mówi Rudy - przecież nie płyną do Pearl Harbor.

- Ale tak im się zdaje - mówi Esa - jak są pijani.

True nie ma pojęcia, ile kosztuje rozmowa telefoniczna z Santiago, ale opłaty za telefon w firmie gwałtownie wzrosły, a po niektórych rozmowach zwykle radosna Isabelle robi się tak chmurna i nieprzystępna, że nawet Guy nie potrafi skupić na sobie jej uwagi.

- Ty przynajmniej miałaś już kiedyś normalne życie - powiedziała Esa do True przed paroma tygodniami. - Ja nigdy nie będę tak żyła. Powiedz mi, czy widziałaś na filmach Discovery, które oglądasz w telewizji, żeby archeologowie nosili dzieci w nosidełkach? Nie.

Bo oni nie mają dzieci. Nie bywają we własnych domach dostatecznie długo, żeby spłodzić dziecko... i dopiero potem wrócić do... cywilizacji... Inków na przykład. Naczynia nieżyjących od Bóg wie jak dawna ludzi są dla Douglasa bardziej interesujące niż którakolwiek z romantycznych kolacji przy świecach, które udało mi się przygotować. Myślisz, że on mnie naprawdę pragnie? Przez telefon potrafi mówić tylko o skorupach. I jeszcze się złości, jak nazywam te rzeczy skorupami.

Po jednej z takich długich transkontynentalnych rozmów Esa przyszedła do sypialni True, rzuciła się na łóżko i spytała:

- Czy masturbacja może spowodować uraz nadgarstka?

- Kup sobie Rabbit Pearl - poradziła jej True, przypominając sobie nazwę wibratora, o którym usłyszała kiedyś podczas jakiegoś służbowego spotkania. - Kobiety w Kalifornii wierzą w takie rzeczy.

True nigdy nie kupiłaby podobnego urządzenia dla siebie samej, chociaż podczas niejednej nocy pragnienie rozładowania napięcia seksualnego jest tak dokuczliwe jak ból gardła, którego doznaje, gdy płacze aż do zaśnięcia i gdy nawet Patsy Cline (Virginia Patterson Hensley (1932-1963), popularna piosenkarka amerykańska. Podobno już w wieku trzech lat z powodzeniem prezentowała swe talenty piosenkarskie sąsiadom) nie zdołałaby jej rozruszać. Isabelle natomiast zamówiła sobie Rabbit Pearl i teraz True nasłuchuje przez ścianę dzielącą ich sypialnie brzęczącego dźwięku, który informuje ją, że Esa zabawia się z nieobecny profesorem Douglasem.

To Isabelle zaproponowała grę w darta.

- Ja nie gram - broni się Franny. - Dart jest dla pijaków. Rzutki jednakże, w przeciwieństwie do tenisa czy trik-traka, to jedyna gra, w której True potrafi pokonać wysportowaną Franny.

- Postanowione. Gramy w darta - mówi głośno, zbyt głośno, True. - To moje urodziny i ja wybieram gry.

Przedtem jednak trójka przyjaciół wyciąga spod stołu prezent. True odwija go i patrzy oniemiała.

To lalka-True. Franny jest wprawdzie mistrzynią igły, a Rudy ma niesamowite pomysły, ale True nadal nie może pojąć, jak to im się udało. Lalka ma niebieskie dzinsy, bujne jasne włosy założone po jednej stronie za ucho, w jednej ręce trzyma maleńki rachunek na milion dolarów, a w drugiej koszyk z mikroskopijnymi misiami i butelkami dla niemowląt, które są zgrabnym nawiązaniem do firmy True. Lalka ma na sobie sportową bluzę z podobizną Guya wielkości pocztowego znaczka na plecach i wyhaftowanym napisem „Mama

Gee” - ukłon w stronę prawidłowej (i używanej tylko w domu) francuskiej wymowy imienia jej syna, co wzrusza True do łez. Rudy napisał na kartoniku: „Jesteś naszą Bohaterką”, i naszkicował złośliwą karykaturę ich dawnej szefowej: smukła i piękna kobieta, mająca ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i stosowną do wzrostu osobowość, wymachuje lalczynym kostiumem jak samuraj mieczem - wyśmienity i celny żart na poprzednią pracodawczynię.

- No nie... - zaczyna True, szczerze poruszona. - Jak wyście to...

- To nie my zrobiliśmy lalkę - mówi Rudy. - Elizabeth pozwoliła nam zabrać jeden z modeli. Maczała w tym palce, True, więc powinnaś napisać do niej miły liścik. Myślę, że te modele przestały być jej potrzebne. To pewnie miała być Chris Evert (ur. 1954, słynna tenisistka), ale Elizabeth zdała sobie wreszcie sprawę, że nikt poniżej trzydziestego piątego roku życia nie pamięta, kim była Chris Evert.

- A cała reszta? - True przygląda się lalce, podziwiając wszystkie szczegóły.

- Franny się tym zajęła - przyznaje Rudy z odcieniem smutku w głosie.

- Ty natomiast zajęłaś się wszystkim poza kostiumem - oświadcza wspaniałomyślnie Franny.

- A ja latałam i szukałam maleńkich misiów i tak dalej - dodaje Esa.

- Ale dlaczego nie... butelka perfum? - pyta True. Zapada cisza.

A więc zauważyli.

- Myśleliśmy, że trzeba ci przypomnieć, co robisz, czego dokonałaś, kim jesteś i że jesteś... że jesteś... Och, True... masz to na bileciku - mówi Franny.

Oczy True wilgotnieją.

- Tylko nie becz - protestuje Rudy, przypominając True, że jednak jest, prawdziwym czy nie, ale mężczyzną.

- I że jesteś dobrą matką - wtrąca Esa. - Niezależnie od tego, jak ciężko pracujesz, niezależnie od tego, jak bardzo Guy ma ci za złe każdą twoją randkę, jesteś najlepszą matką, jaką znam. - Isabelle wysuwa szczękę. - I dla niego, i... dla mnie.

- Jeśli nie chcecie, żebym się rozszlochała, przestańcie mówić takie rzeczy - poucza ich True.

True widzi, jak współczucie i przywiązanie pojawiają się na przemian w zielonych oczach Franny. Franny i jej mąż Steve, budowlaniec, mają dwie córki, Angelique i MacClaine, ale Franny wspomniała kiedyś mimochodem, że planują wskrobać trochę grosza i zaadoptować niemowlę - chłopczyka. Wszyscy wiedzą, jak bardzo True pragnie jeszcze jednego dziecka. Lalka przedstawia wszystkie wątki jej życia z wyjątkiem tego jednego brakującego. I wszyscy o tym wiedzą.

- Przeszliście samych siebie. Zatrzymam ją do końca życia.

- Dobra, dosyć tego roztkliwiania się. Chodźcie grać - mówi zdecydowanym głosem Rudy.

Biorą po trzy lotki za dolara i zostawiają po pięć dolarów depozytu w plastikowym kubku.

- Musimy dać True wygrać - narzeka Franny. - To jej urodziny.

- Grajcie tak, jakby od tego zależało wasze życie - mówi True. - Ja i tak wygram. Grajmy systemem „Cricket”. Celujemy w piętnastki i dwudziestki.

- Nie, grajmy w trzysta jeden. To łatwiejsze - mówi Rudy.

- Żeby grać w trzysta jeden, trzeba mieć kartkę papieru - stwierdza True. - Aby odejmować punkty. I nieskończoną liczbę strzałek, jeśli nie chcemy po nie ciągle biegać.

- Wcale nie - odpowiada Rudy. - Wystarczą trzy. Mogą to być ciągle te same trzy strzałki. Naprawdę, True, powinnaś częściej wychodzić z domu.

- Powiedz to moim wymagającym klientom i równie wymagającym dystrybutorom - marszczy się True.

- Po prostu rzućmy tymi przekłętymi lotkami trzy kolejki po razie i kto najwięcej razy wceluje w bull's eye, ten wygra - mówi Franny.

- I wtedy wreszcie coś zjemy? - pyta nerwowo Rudy. - Nie widać, żeby się poprawiało.

Wszyscy spoglądają przez różowawe szyby okien. Śnieg jak okiem sięgnąć. Zaspy przylegają do podwozi zaparkowanych samochodów.

- Może podają tu także śniadania - ciągnie Rudy,

- Jak skończymy - mówi True, rozgrzewając nadgarstek i wyciągając ramię do rzutu.

Ona i Rudy często grają w darta, celując do tarczy wiszącej w biurze w domu True. Sam środek tarczy - bull's eye - to Elizabeth Chilmark, ich dawna szefowa, a zamiast tradycyjnych pól na tarczy znajduje się dwanaście kolorowych fotografii „bohaterek” Elizabeth - Joanny d'Arc, Kleopatry, Clary Barton - pięknie ubranych lalek, na których Elizabeth - nie lubiąca dzieci, tak oschła i dziwaczna, że w przekonaniu True sama nigdy nie miała lalki - zbiła fortunę.

Franny rzuca jako pierwsza, trafia z łatwością, wykonuje entrechet pośrodku podłogi usianej łupinami orzeszków ziemnych i triumfalnie unosi pięść. Rudy i True stają do gry w drugiej kolejce, ich lotki dzieli odległość nie większa niż grubość igły, w samym środku bull's eye, żeby było uczciwie, muszą więc przystąpić do kolejnej, rozstrzygającej rundy.

- Teraz gram serio - ostrzega True.



Ale przedtem sunie tanecznym krokiem w stronę baru po następny kieliszek wina. Nie jest tak źle. Na urodzinowej skali ocen ten wieczór ma mocną siódmkę przy maksymalnej dziesiątce. Z dwóch najbardziej udanych urodzinowych wieczorów jednym był ten, gdy zobaczyła wyraźny zarys piąstki Guya pod napiętą jak na bębnie skórą swego brzemiennego brzucha, a drugim - gdy mama przyniosła do domu szczeniaka, na poły sznaucera, Fosy, który żył siedemnaście lat. Pić czy nie pić, zastanawia się True. Bierze poprawkę na fatalną pogodę. W odruchu radości kupuje butelkę merlota. Zerka na swe odbicie w podłużnym lustrze z półką. Widzi jasne włosy pofalowane od wilgoci śniegu i mleczną cerę szamerowaną różowym pasmem wzdłuż kości policzkowych - to zasługa ciepła i wina. Ponieważ lustro jest stare, a jego tafla nieprzejrzysta jak zmacona woda, usta True zdają się wygięte w ponętny łuk, pełne, żywe, gotowe do przyjęcia pocałunku. Na szczęście nadwaga i zgubny wpływ sił grawitacji nie dotknęły jeszcze na razie jej twarzy.

True odwraca się i odchodzi z odkorkowaną butelką, gdy słyszy męski głos, cichy, niewybijający się ponad szmer rozmów, lecz brzmiący jakby pod nim, przez swój niski ton i południowy akcent:

- ja z panią zagram.

Nie widzi osoby, która to powiedziała. Głos zdaje się dochodzić z tyłu, ale przy barze nie ma nikogo poza kilkoma mizdrzącymi się do siebie parami. True nie wie nawet, czy ten ktoś mówił do niej. Ale słyszy znowu:

- Ja z panią zagram.

Tam. Wciśnięty między bar i ścianę, w niewielkiej szczelinie, gdzie kelnerzy czekają niecierpliwie z tacami na zamówione drinki. Chociaż stoi prawie dwa metry dalej i mówi po cichu, True go słyszy.

- Słucham? - odpowiada i myśli: Nastąpiłam mu na nogę? Czy wie, kim jestem? Pijany? Nawet jeśli pijany, to całkiem ładnie pijany, niedbała leniwa sylwetka tak zrelaksowana, tak... tak otwarta, jakby jego pierś zapraszała jej głowę. Gęste czarne włosy, obcięte prawie przy skórze, rzeźbią kształtną czaszkę, oczy niebieskie jak hortensje w ogrodzie True, długie rzęsy mają kolor spalonej trawy.

- W darta - mówi. - Widziałem, że potrafi pani grać.

True rozgląda się za przyjaciółmi i spostrzega, że nie czekają na nią, tylko dobrali się do koszyka z chlebem przy stoliku.

Już dobrze, myśli True, przysiadając na wysokim barowym stołku, by opanować drżenie nóg. To żaden flirt. Przyjacielska propozycja. Ten facet ma... może dwadzieścia pięć lat. Może ona albo jej matka znają jego matkę.

- Jest pan... z Chatham? - pyta True.

- Nie - odpowiada.

- To skąd pana znam?

- Nie sędzę, byśmy się znali. Pomyślałem tylko, że może zechce pani porzucać. Nie wpuszczam tu nikogo, kto mógłby ze mną wygrać.

Stały bywalec, myśli True. Pewnie w dzień łowi mięczaki. Do tego są stworzone takie ramiona. Ramiona, na które nie ośmiela się patrzeć z obawy, że dostanie zeza. Parska śmiechem, zdając sobie sprawę, że przez minutę nie oddychała z wrażenia. Mężczyzna podaje jej trzy lotki.

- Na rachunek firmy. Znam właściciela... - Własne strzałki wyjmuję spod baru, z welwetowej saszetki z wyhaftowanymi gwiazdkami.

- To nie w porządku - mówi True. - Skoro ma pan własne lotki, musi pan być niezły.

Głos Sinafry płynący z grającej szafy słabnie, dochodzi jakby z oddali, rozmowy przycichają. Wydaje się, że coś się wydarzy, tak jak wtedy, gdy tłum tańczących rozstępuje się, by za powszechną zgodą dać miejsce parze, która solo wykona miłosny lub wojenny taniec.

- Nie będę się zbytnio przykładał - odpowiada.

- Jak gramy?

- Trzysta jeden, jeśli to pani odpowiada.

- Będzie potrzebny...

- Mam, co trzeba - pokazuje bloczek do zapisywania wyników.

Trzysta jeden to gra, w której każdy gracz zaczyna z taką właśnie liczbą punktów, o czym wie każdy, kogo kiedykolwiek znudziło siedzenie przy barze. W każdej kolejce ma trzy rzuty. Celuje się w koła dające największą liczbę punktów, zewnętrzne kliny, zewnętrzny pierścień, podwajający wartość punktów, i mały wewnętrzny pierścień, potrajający ich wartość. Pierścień pola centralnego na zewnątrz bull's eye daje dwadzieścia pięć punktów, a bull's eye, centrum tarczy, pięćdziesiąt punktów. Ryzyko rośnie, gdy dojdzie się do piętnastu, dziesięciu, dwóch punktów, bo uzyskanie większej ich liczby niż ta, która dzieli zawodnika od zera, kończy się furą.

W trzech pierwszych rzutach True trafia w zewnętrzny pierścień bull's eye, w pierścień potrójny i w pierścień wewnętrzny.

- Urodzinowe szczęście - mówi.

- Wszystkiego najlepszego - odpowiada mężczyzna uprzejmie. - Jakież okrągłe urodziny?

- Czterdzieste - mówi True. Przenika ją dreszcz, że tak szybko i łatwo skłamała.

- Hmm... Myślałem, że...

- Że co?

- Może i czterdzieste... - odpowiada.

Rzuca trzykrotnie w pola podwajające wartość punktów, a więc True zdecydowanie go wyprzedza w drodze do zera.

- Znowu ja? - pyta True, myśląc: skłamałam to skłamałam, i tak go więcej nie zobaczę. - Postaram się szybko skończyć. Moi przyjaciele są głodni...

- No to proszę - zachęca. - Nie chcemy tu głodnych ludzi. Zaczynają następną kolejkę. Ale ramiona True wydają się

równie ociężałe jak jej nogi. Pierwszym rzutem nie trafia nawet w tarczę - lotka spada na podłogę z cichym świstem. Skinieniem głowy mężczyzna pozwala jej powtórzyć rzut. Druga strzałka ląduje daleko poza zewnętrznym klinem. True zbiera się w sobie, przymierza się powoli, jak gracz uderzający golfową piłkę. Pierścień podwajający. I kolejny bull's eye. True wyciąga lotki, podsumowują punkty.

True nadal prowadzi. Podbiega do stolika po kieliszek, puszcza oko do Isabelle, która pokazuje jej wzniesiony do góry kciuk. Patrzy, jak młody mężczyzna wbija trzy proste. Schodzi do trzydziestu punktów. Do dziesięciu. Autentyczne pióra w jego robionych na zamówienie strzałkach drżą niczym pióropusze na hełmach dawnych wojowników. Zaraz ją ogra. True czuje się jak dziecko, które przed chwilą siedziało na kolanach świętego Mikołaja, a teraz przyłapano go za rogiem domu towarowego na paleniu papierosa.

- Dlaczego nie zrobił pan tego od razu - pyta True, urażona.

- Nie wywarłbym na pani aż takiego wrażenia.

- Świetnie. Teraz istotnie jestem pod wrażeniem. Dobranoc. Dzięki za grę.

- Nadal ma pani szansę...

- Nie zamierzam z niej skorzystać.

- Też coś. Widziałem przecież, jak pani gra. Widziałem ten błysk w oku. Śmiało.

True rzuca. Jej lotki fruną - nie potrafi znaleźć na to innego określenia. Zewnętrzne krawędzie. Dogania go, ma dziesięć punktów. Kolej na niego. Pierwsze dwa rzuty są mistrzowskie. Schodzi do dwóch punktów. Ostatni rzut - tak nieudany, że budzi w True podejrzenia. Nie wysilając się zbytnio, True celuje i trafia w dziesiątkę. Wygrała.

- Wygrała pani - mówi mężczyzna.

- Dał mi pan wygrać - odpowiada z wyrzutem True.

- Nie dałem.

- Dał pan.

- Przysięgam na grób mojej matki, że nie dałem.

- Założę się, że pańska matka jeszcze nie umarła - odparowuje True, myśląc, że to chwyt, by zrobić wrażenie na nowej znajomej.

- Istotnie. Żyje i dobrze się ma. Mieszka z tatą w Metairie, w Luizjanie, ale mogę przysiąc na jej... na jej kochaną głowę, że nie trafiłem ostatnią lotką, a pani wygrała uczciwie i po bożemu.

True wzdycha.

- Dobra, niech będzie. Ale musi pan wiedzieć, że wzrok mam jeszcze ciągle niezły.

- Co państwo zamówili? - podejmuje mężczyzna.

- Pijemy wino. Kupiliśmy butelkę...

- Nie, nie. Do jedzenia. Gorąco polecam etouffee z langusty. To nie banał. Według kreolskiego przepisu babci. Jednego z wielu.

- Kreolskiego czy cajun?

True nigdy nie słyszała, by ktoś używał słowa „banał” w odniesieniu do jedzenia.

- Wie pani, jaka jest różnica? - pyta zadowolony. - Większość ludzi uważa, że to jedno i to samo. Ale ja robię i tak, i tak. Moja babcia wychowała się na Haiti. Nieprawda. Była na Haiti jako dziecko. Przenieśli się tutaj, gdy miała dwanaście lat... ale nauczyła się od babci, a jej babcia od swojej babci...

- Jest pan... kucharzem?

- Jestem kucharzem.

- To dlaczego pan nie gotuje?

- Nie jestem tu jedynym kucharzem. I nie gotuję przez cały czas. Poza tym już późno. Prawie wszyscy wyszli. - Istotnie, wszystkie stoły, z wyjątkiem trzech, są puste, a czerwone świece dopalają się. - Ma pani urodziny dokładnie w dniu świętego Walentego? - Mężczyzna patrzy True prosto w oczy.

- Tak. To denerwujące. Ale chyba nie aż tak bardzo jak urodziny w Boże Narodzenie, zwłaszcza dla dzieci. Mój syn urodził się w dniu świętego Patryka.

- Monotematyczna rodzinka.

- Proszę? - pyta zaskoczona. - Ma pan na myśli święta?

- Nie. Świętych.

- Rzeczywiście. Skończy niedługo dziesięć lat.

- A więc zwlekała pani do trzydziestki.

Dziwna rozmowa. Mężczyźni zwykle nie pytają, ile miała lat, gdy zaszła w ciążę.

- Eee... No tak, trzydzieści. Chociaż pobraliśmy się... zaraz po studiach. Mój mąż... nie bywał zbyt często w domu. Nie mieliśmy pieniędzy. Czekaliśmy. Służył w wojsku, był instruktorem lotniczym w marynarce, potem dostał licencję pilota.

- Jest pilotem?

- Nie żyje. - Te słowa nigdy nie pozostają obojętne. Oczy młodego mężczyzny rozszerzają się i błyszczą nieudawanym współczuciem.

- Zginął w katastrofie lotniczej?

- Nie. Potracił go samochód.

- Ironia losu.

- Podobno.

- To musiało być trudne dla chłopca. Ma go pani jednego?

- Jednego.

- Ja się urodziłem w październiku - mówi młody mężczyzna, zbierając lotki i wycierając je dokładnie rękawem flanelowej koszuli. - Jestem Skorpionem. Moja babcia stawia tarota. Podobno zgodnie z moim urodzinowym tarotem będę wykonywał wiele zawodów.

Wystarczy gadania o pani, porozmawiajmy o mnie, True próbuje sobie wyobrazić tok jego myślenia.

- A mimo to wykonuje pan jeden zawód. Jest pan kucharzem.

- Kucharzem, cieślą, instruktorem wspinaczek wysokogórskich, rok studiowałem prawo. Na studiach specjalizowałem się w tańcu. I trochę tańczyłem dla pieniędzy... A pani czym się zajmuje?

- Prowadzę firmę wysyłkową - mówi True.

- Coś takiego jak Orvis? Zgłosiłem się kiedyś do nich na nauczyciela w ich szkółce wędkarskiej...

Specjalista od wszystkiego i pełnoetatowy bajerant, myśli True.

- Ale rezultat nie bardzo pana interesował, co? - pyta True i odwraca się, by odejść. - Nie, mój interes różni się od Orvisu tak bardzo, jak to tylko możliwe.

- Czyli jak?

- Sprzedajemy prezenty dla dzieci. Ale nie pojedyncze. To kompleksowa usługa. Dziecko dostaje prezent, rzecz wykonaną ręcznie, co miesiąc, przez cały pierwszy rok życia. A babcie czy ciocie cieszą się, że prezenty będą dostarczane regularnie i że zyskają w ten sposób jednocześnie wdzięczność obdarowanych.

- Tylko babcie?

- Nie. Bliscy przyjaciele, matki chrzestne. Siostry. Każdy, kto ma plastikowe pieniądze.

- Zamawiają przez Internet?

- Albo przez telefon, przez numer 800.

- Jak się nazywa pani firma?

- Dwanaście Podarunków.

- Ślicznie.

- Dziękuję.

- Pasuje. Dziecko też jest darem.

- Tak właśnie myśleliśmy. Wymyśliliśmy milion nazw, ale... zresztą nieważne.

- Ważne. - Uśmiecha się i podchodzi bliżej, nakłaniając ją, by powiedziała coś więcej.

- Myśleliśmy o Dziecięcym Interesie, ale to brzmiało jak pewna część ciała, albo o Co Miesiąc... - True czuje, jak jej twarz płonie rumieńcem -...ale moi przyjaciele powiedzieli, że to się kojarzy... no...

- Z miesięczką.

- Tak - mówi szybko True, myśląc w duchu, że to naprawdę najdziwniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek prowadziła z nieznanym. - Myśleliśmy też o Sezonowych Podarkach, co znowu przypominało nam wszystkim paczki z grapefruitami od Harry'ego i Davida. Byliśmy w prawdziwym kłopotcie.

True pamięta długie czerwcowe noce w ciasnym, nieklimatyzowanym domku, gdzie wówczas mieszkała, kilka miesięcy po tym, jak policjanci zapukali do jej drzwi i powiedzieli, co się stało, gdy Pete zatrzymał się na poboczu, wracając do domu po rejsowym locie.

- Ale potem chyba Rudy powiedział, że to po prostu podarunki. I od razu wiedzieliśmy, że o to chodzi. I to był strzał w dziesiątkę.

- Istotnie - mówi młody mężczyzna z niekłamany przejęciem. - Ale pani ma tylko jedno dziecko.

- Nie tak to sobie planowałam.

- Zamierzam mieć kiedyś dzieci. Uwielbiam dzieci.

- To trzeba się dobrze postarać z tym gotowaniem, tańcem i wspinaczką wysokogórską.

- Racja. Wyobrażam sobie, że trzeba się ustatkować i dorosnąć. To miejsce jest pierwszym krokiem do stabilizacji. Myślę, że w niektórych sprawach potrafię być bardzo wytrwały.

- Liczymy wobec tego na szybką kolację.

- Mais, tak. Z pewnością. Tom dołoży wszelkich starań. True dostrzega, że Franny na nią macha. Przyjaciele szepczą i chichoczą, myśląc, że True podrywa tego faceta.

- A więc czekamy.

- Miło jest wygrywać, prawda?

- Wygrywać?

- Wygrywać. W darta. W cokolwiek. Miło jest być tym, kto zdobywa się na odwagę, kto kopie piłkę najdalej, kto skacze przez najwyższą przeszkodę. Czuje się to całym ciałem. Aż po czubki palców u stóp. Tak jak odczuwa się... tak jak odczuwa się orgazm. Lubi to pani, prawda? Lubi pani wygrywać?

Tak, myśli True, lubię wygrywać. Gdy to myśli, młody mężczyzna wyciąga rękę, tę rękę, która będzie dotykać przygotowywanego dla niej jedzenia, i muska nią jej ramię. True wdycha głęboko powietrze. Jego zapach przypomina świeżo ścięte bożonarodzeniowe drzewko, tak jakby jego ubranie, nim przesiąkło dymem mesquite, pieprzem, potem i olejem do gotowania, zostało wyprane, rozwieszona na sznurze do bielizny, by wyschło na wietrze.

A potem gestem delikatnym, lekkim jak dotyk motyla, gestem, który - jest tego prawie pewna - tylko sobie wyobraziła, kładzie kciuk powyżej jej piersi, gestem nie obraźliwym, ale niezwykle intymnym, jakby chciał wyczuć bicie jej serca.

Śnieżna burza rozszalała się na dobre. True czuje, jak langusta, która rozpływała się w ustach, zalega jej w żołądku. Wiatr zerwał szal z jej szyi i True widzi, jak unosi się on niby serpentyna i opada na kępie chleba świętojańskiego po przeciwnej stronie drogi. True zawsze wybiega z domu nieodpowiednio ubrana - bez rękawiczek, a czasami nawet bez płaszcza - pogoda na półwyspie zwykle często się zmienia i przeważnie jest łaskawa. Tego wieczoru, żeby dobrze wyglądać, włożyła długi, gruby blezer z czarnej wełny. Teraz czuje, że każde oczko tkaniny jest jak otwarte okno dla kłującego, zimnego wiatru, wiejącego od Kanady, by przypomnieć ludziom o swojej sile.

Żegnali się pospiesznie, prawie w panice. True cieszy się, że nie jest pijana. Franny, mająca prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, może pić jak szewc. Rudy mógłby pójść do domu na piechotę, ale w śnieżnej zamieci widoczność nie przekracza półtora metra, zgubiłby więc drogę i umarł z zimna. Jego mały van jest załadowany po brzegi, ale jakoś da sobie radę. To True i Isabelle mają przed sobą daleką i krętą drogę: główną autostradą do szosy numer 28, zanim znajdą się bezpiecznie w wielkim białym domu, gdzie, True dobrze to wie - jej matka omal nie dostaje zawału serca. True ma nadzieję, że Guy szybko zasnął. Jak wszystkie pól sieroty jej syn ciągle się o coś martwi. O swoje wypracowania, o rzuty do kosza, o swój falset, o swoje krótkie nogi. Ale szczególnie martwi się o mamę.

Jadą powoli. Reflektory oświetlają zaledwie półtora metra drogi. True wyciąga rękę i wyłącza radio. Trudne warunki wymagają ciszy. Ludzie z Vermont czy Connecticut, a nawet z Bostonu nie mogą sobie wyobrazić podobnej pogody. Takie zamiecie nawiedzają jedynie Cape Cod, a gdy już nadejdą, smagają półwysep z największą furią, na jaką Matka Natura potrafi się zdobyć. True widzi kierunkowskaz do szosy numer 28.

A więc wszystko w porządku. Przy zwykłej prędkości dzieliłoby je od domu tylko piętnaście minut jazdy.

- Jest bardzo przystojny - mówi Isabelle.

- To facet z restauracji. Kucharz - odpowiada True.

- Uważam, że powinnaś się z nim umówić - ciągnie Isabelle.

- Jasne - przytakuje True w taki sam sposób, w jaki przytakuje Guyowi, gdy ją pyta, czy mogą kupić sobie samolot albo podwodny skuter do pływania z fajką.

- Naprawdę. Uważam, że powinnaś się z nim umówić.

- No wiesz, mogłabym go adoptować, Eso. Jest w twoim wieku.

- Na pewno starszy. Może nie w twoim wieku, ale na pewno starszy ode mnie.

- Wygląda zbyt atrakcyjnie. Na pewno pedał.

- Rudy powiedział, że nie. A jego umiejętność wyczuwania pedałów jest niezawodna.

- Dobra. Możemy wrócić do sprawy, jak szczęśliwie dojedziemy na miejsce? - pyta

True.

Nie zdążyła dokończyć zdania, gdy poczuła, że samochód jakby dostał skrzydeł; jego potężna masa zdaje się wzbijać w powietrze, ponad krepinę lodu na zakręcie. True nie traci głowy, delikatnie skręca kierownicę w kierunku, w którym ślizga się samochód, ale nic z tego. Auto stacza się przodem do rowu, słychać głuchy trzask, gdy niczym pług wrzyna się w gąszcz olch i wierzb. Zanurzają się w śnieg tak powoli, że poduszki powietrzne nie reagują, ale torsy gwałtownie przesuwiają się w przód, a potem w tył, szyje wyginają się boleśnie, niczym elastyczne ciała superherosów Gya.

Siedzą nieruchomo, patrząc przed siebie, jak lalki, oniemiałe impetem, z jakim tony bezwładnego metalu wbiły się w skorupę zmarzniętego śniegu. Drzewa, stare drzewa, a nie młode drzewka, połamały się jak zapalki.

- Nic ci nie jest? - pyta po długiej chwili Isabelle.

Nic... szczególnego. Uderzyła ustami o kierownicę i czuje smak krwi na puchnących wargach. Nie widzi żadnego domu ani nawet światła, ale ponieważ na Cape Cod nigdzie nie jest zbyt daleko, zapewne uda im się dojść do jakiegoś domostwa na piechotę. Pierwsza myśl - to opuścić szybę, ale okna tkwią w śnieżnej zaspie. Muszą znajdować się na skraju bagien.



True czuje ciarki na plecach. Jak daleko od skorupy trzęsawiska?

- Myślę, że powinnam otworzyć okno i odepchnąć śnieg, żebyśmy mogły się wydostać. Obawiam się jedynie, że śnieg wpadnie do środka i w samochodzie zrobi się zimno  
- mówi do Esy. - Ale nie martw się.

- Nie martwię się - odpowiada Esa. - Nie możemy zadzwonić po pomoc drogową?

- Za to cię uwielbiam - mówi True, wyciągając elegancką i naładowaną komórkę. Wybiera numer pomocy drogowej. Poza zasięgiem, informuje ponuro zielonkawy ekranik. True ponownie wybiera numer. Numer Rudy'ego. Na pewno jest już w domu. Poza zasięgiem. Esa wyciąga swoją komórkę. Wybiera 411.

- Jest! - True słyszy tylko to, co mówi Esa. - Z jakąkolwiek pomocą drogową... Rozumiem... Proszę mnie przełączyć... Myślałam, że wszyscy jesteście pod tym samym numerem... Rozumiem... Jesteśmy tu uwięzione... Czy może pani... Rozłączyła się!

Esa kuli się na siedzeniu i pokazuje skrzywioną, pełną smutku, dziecianną twarz.

- Wyłączyła się, jędza. Powiedziała, żeby dzwonić pod 911.

True czeka.

- Nie mogę się połączyć z 911 - mówi Esa.

Przez kilka następnych minut obie zapamiętałe próbują wybrać każdy numer, który przyjdzie im do głowy: domowy True, Holly, restauracji, Danny's Galley, Chocolate Swan, straży pożarnej w Chatham, Dennisa, Brewstera, kościoła unitariańskiego, kościoła Saint Thomas More, brata True, matki Isabelle, która mieszka w Kentucky, byłych chłopaków Isabelle, Karla i Manny'ego. Potem poddają się, myśląc, że może lepiej oszczędzać baterie. Telefon True jest aż ciepły.

- Pewnie śnieg blokuje sygnał. Śnieg, w którym się zakopałyśmy - stwierdza True.

We wnętrzu jest nadal ciepło, czuć cierpki, przyjemny zapach, przypominający True sobotnie letnie poranki, najwcześniejsze i bodaj jedyne wspomnienie o ojcu, o zwyczajowych wyprawach do stacji benzynowej w czasach, gdy nie było pasów bezpieczeństwa i tym podobnych rzeczy. True sadowiła się na kolanach ojca, drobne rączki obejmowały kierownicę wielkiego chevy.

- Powinnyśmy wyłączyć silnik - mówi do Isabelle. - Tak każą zrobić, jak się uwięźnie. A my jesteśmy... - True nie chce straszyć Esy -...trochę przyblokowane. Możemy się udusić.

- A jak nie będziemy mogły go potem uruchomić?

- To jest volvo.

- A jak nie będziemy mogły go uruchomić, chociaż to jest volvo? Znajdą nas tu na wiosnę.

- Śnieg nie utrzyma się tak długo. Stopnieje najdalej za parę dni.

- Za parę dni? Dni? Będziemy już martwe, True. Nie szukamy śmierci. Może ona nas uprzejmie szuka, ale nie my jej.

- Nie dramatyzuj, Eso. Na pewno zaraz ktoś będzie przejeżdżał.

Ale jakoś nic nie jedzie.

Rozsądni ludzie od dawna siedzą w domach. - Mama na pewno wkrótce zadzwoni na policję. Nigdy nie jestem poza domem o tak późnej porze.

Gdy to mówi, dostrzegają światła na drodze. Zaczynają krzyczeć i machać. True kładzie się na klaksonie, gdy samochód przebija się przez mokry śnieg obok nich, jakby zwalniał, ale jedzie dalej.

- Po co krzyczymy? - głośno zadaje sobie pytanie True. - I tak nas nie słyhać. Nawet nas nie widać. Jesteśmy parę metrów poniżej drogi.

Jak na komendę obie znowu sięgają po komórki. True nadal nie może się połączyć. Telefon Esy działa, ale zakłócenia nie pozwalają jej niczego usłyszeć. True włącza radio. Szumy i trzaski, i poważny głos - z pewnością nie dysk-dżokeja - mówiący o prędkości wiatru dochodzącej do stu kilometrów na godzinę w Nauset Light.

- Chyba musimy siłą otworzyć drzwi - mówi True. Samochód stoi przechylony. Po stronie kierowcy śnieg jest

plytszy, po stronie pasażera sięga dachu. True zbiera wszystkie siły i pcha drzwi. Ustępują, ale nie więcej niż na parę centymetrów.

Samochód drgnął i zapada się z wolna po stronie Isabelle.

- Przysuń się! - woła True. - Żebyśmy nie ugrzęzły na dobre.

Esa przywiera do niej w ułamku sekundy. Chwytają się za ręce. Miłość i troska o Esę wzbiera boleśnie w piersi True. Gdyby nie przyjechały tu obie, gdyby Esa była teraz w domu, bezpieczna, z Guyem. Znowu widać światła. Ta sama ciężarówka? Ktoś ich szuka. True naciska klakson, spod śniegu dobywa się dźwięk podobny do beku nowo narodzonego jagnięcia. Isabelle ponownie włącza radio. Słyhać Zombie i ich stary przebój She's Not There. Zaczynają śpiewać piskliwymi głosami, True śpiewa akompaniament.

- Chce mi się siku - mówi Isabelle.

- Siusiaj - odpowiada True. - W takich sytuacjach pije się potem własny mocz.

- Z tyłu jest butelka Diet Doctor Pepper.

- Pusta. Ciągle mówię Guyowi, żeby nie pił tych niskokalorycznych napojów, ale on myśli, że jest za gruby.

- Wcale nie jest za gruby, jest w sam raz. Nic złego mu się nie stanie, prawda? Jak nas

tu znajdą na wiosnę.

- To nie potrwa do wiosny. Znajdą nas najpewniej w... środę. Moja matka będzie żyła wiecznie. Jest też Dog. Mój brat weźmie go do swoich dziewczyn. Guy będzie zadowolony. Pewnie zostanie geniuszem. Wszyscy geniusze mieli trudne dzieciństwo.

True myśli o matce, rasowej jankesce, noszącej miękkie spodnie w gumce we wszystkich możliwych kolorach, zwinnej i prędkiej jak małpa, gdy wpełza między pudła w magazynie, by wyciągnąć te z samego tyłu.

- Skoro mamy umrzeć, to powinnam ci powiedzieć, że zamierzamy się pobrać - mówi Esa.

- Och, kochanie! - True przyciąga Esę do siebie tak delikatnie, jakby tuliła dziecko. - Wspaniale. Kiedy?

- Jak wróci. W kwietniu.

- A gdzie?

- Nie wiem.

- Kościół unitarian jest piękny, ale Saint Thomas More też nie brzydszy.

Lodowate podmuchy i odrobiny śniegu wnikają do środka przez szparę w drzwiach, które True uchyliła i których teraz nie może zamknąć. True myśli - jak ktoś niespełna rozumu, kto na łożu śmierci planuje hibernację, by zobaczyć własne praprawnuki - że forsycje będą w pełnym rozkwicie akurat na ślub Esy. Forsycje będą w pełnym rozkwicie, gdy Esa ją opuści, gdy zabierze swoją chińską podomkę, lustro obramowane muszelkami i plastikowymi perłami, które wspólnie na nim przyklejały, i odejdzie. Oczy True wypełniają się łzami. Ale przecież musi się teraz skupić. Czuje, jak marznie jej pupa. Myśli o ciepłe: ciepły prysznic, grube suche pończochy, gnieciony czosnek i szpinak, kawa mokka z dwiema porcjami alkoholu, kołdra.

- Jesteśmy ateistami - przypomina Esa.

- Nie szkodzi.

- Nie, on się na to nigdy nie zgodzi.

- A może u mamy w domu?

- Phi! - prycha Esa. - Moja mama i Harley Hob nie wyprawiliby mi wesela nawet w knajpie przy drodze.

Matkę Isabelle - Esa rzadko się z nią widuje - matka True nazwałaby „prostaczką”.

- To w moim domu!

- Świetnie! Ty mnie wydasz za mąż!

- Wcale nie chcę cię wydać.

Długą chwilę siedzą w boleśnie chłodnej ciszy. True jest bardzo senna. Myśli o wierszu napisanym przez jej krewniaczkę z Amherst: „Najpierw szok, potem odrętwienie, potem wszystko jedno...”\* Isabelle pochyla się ku niej i całuje ją delikatnie w same usta.

- Gdybym była lesbijką albo zdeklarowaną dziewicą, zostałabym i mieszkała z tobą zawsze. Kocham cię. Ale muszę mieć swoje życie...

- Nigdy bym cię nie prosiła...

- Wiem, ale aż nie mogę o tym myśleć, że cię opuszczę. Ciebie i Guya. Kto się będzie wami opiekował? Kto będzie wiedział, gdzie masz klucze, i kto ci powie, że masz złe nałożony róż i że wychodzisz z domu, wyglądając jak niemiecka turystka?

- Nie jesteś moją matką, Eso.

- Ale ty jesteś moją matką - mówi Esa.

Placzą. Isabelle wkłada głowę pod brodę True, tak jak to robi Guy, gdy wkrada się nocą do jej łóżka. Guy, myśli True, moja dziecinka, mój chłopczyk.

Pete odszedł. Pete był tak uroczym młodzieńcem, że True nie mogła go nie poślubić, gdy pewnego razu przyjechał do niej na przepustkę. Myślała, że może zginie w Zatoce Perskiej czy coś takiego. Byli małżeństwem przez dziesięć lat, podczas których Pete latał sześć dni w tygodniu i grał w trzech drużynach softballa.

Kim był Pete? Wszyscy jego krewni mieszkają w Montanie. Na każde Boże Narodzenie przysyłają Guyowi kowbojskie buty w coraz większym rozmiarze. Guy kiedyś ich odwiedził. Po powrocie opowiadał z entuzjazmem o wycieczkach

w góry i rybackich koszach pełnych pstrągów - królewskich ryb. Jest też Dog. Jej kochany brat, nazywany przez dzieciaki Augie Doggie. Dog ma dwie własne dziewczynki, które zajmują się wszystkim: od gimnastyki po matematykę nauczaną systemem japońskim kreującym geniuszy. Dog jest bardzo zajęty. I bardzo ekscentryczny. Nie byłby dobrym opiekunem dla Guya. Gdyby nie to kłopotliwe położenie, pobiegłaby do prawnika i przeniosła prawa do opieki nad Guyem z brata na Esę. Esę Guy zna najlepiej, a ona już dawno przestała być nastolatką z pomarańczowymi włosami. Niebawem wyjdzie za mąż. A raczej niebawem zamieni się w lodową bryłę. Ani True, ani Esa nie muszą mówić głośno, że ich sytuacja jest dramatyczna.

True nie czuje palców.

- Masz koc w bagażniku? - pyta Isabelle. - Mogłybyśmy odciągnąć tylne siedzenie...

- Nie mam - odpowiada True. - Mam kable do akumulatora. I fotele ogrodowe. Ale nie koce. Nigdy nie jestem dobrze przygotowana.

Nie odzywają się więcej. Najpierw zasypia Isabelle, potem True. Zegar na kościele

baptystów w Chatham ogłasza północ.

Jakaś gałąź, a może lina czy coś takiego, jakaś pętla... uderza o szybę.

- Bądź cicho - mamrocze True. - Daj spokój, Guy. Daj mamie spać.

- Łap! - woła głos dochodzący z wysoka. - Najpierw spróbuję otworzyć drzwi, żebyś mogła wyjść. Potem weźmiemy samochód na hol. Przywiąż linę do drzwi.

True wyciąga rękę i próbuje wepchnąć ramię w szczelinę uchylonych drzwi. Zamek rani ją głęboko. True widzi, jak kryształki krwi krzepną na obrzeżu rany. Palce ma sztywne, nieruchome, jak w rękawiczce z jednym palcem. Drugą ręką, niby narzędziem, zagina palce wokół liny. W świetle reflektorów dochodzącym z góry - śnieg nie pada już tak gęsto - widzi mężczyznę w żółtym sztormiaku narzuconym na kurtkę, spod czarnej czapki widać tylko szczękę.

- Dalej! - woła. - Nie mogę tam zejść, bo też się zapadnę.

- Dobra, dobra! - krzyczy True.

Mężczyzna pociąga liną, jakby chciał zwrócić na nią jej uwagę. Lina wysuwa się z palców True. True próbuje zsunąć się w dół, żeby po nią sięgnąć, ale nie może wcisnąć się między siedzenie i kierownicę. Usiłuje przekręcić kluczyk... samochód nie zapala.

- Eso - sapie - włącz silnik.

Bez odpowiedzi. Wreszcie sama przekręca kluczyk, wykrzywając nienaturalnie ramię. Ruch przywraca krążenie krwi i powoduje niewyobrażalny ból w palcach. Chwyta linę i wiąże niezgrabny węzeł na klamce - niezgrabny, ale mocny, żeglarski węzeł. Czy wytrzyma? Słychać warkot silnika i pisk kół na zaśnieżonej drodze. Gdy samochód ciągnie, drzwi otwierają się i True wpada głową do przodu w zaspę. Próbuje podnieść się w głębokim śniegu, mężczyzna ciągnie ją, ona prze do góry, najpierw na czworakach, potem na kolanach i wreszcie wstaje. Patrzy w jego twarz i widzi, że to on, kucharz, mężczyzna, który miał własne lotki, i wcale się nie dziwi. Z trudem łapie oddech.

- W samochodzie jest moja przyjaciółka.

Na jego znak True wskakuje do kabiny, naciska pedał gazu. Mężczyzna wraca na dół, owinięty w tali liną przywiązaną do zderzaka. Ciepło, błogosławione i zbawcze, bucha z nawiewarek. Nigdy nie czuła się bardziej bezbronna. Mężczyzna holuje Esę do góry - zginął gdzieś jeden z jej butów. Wpycha ją do kabiny samochodu.

- Eso! - woła True. - Już w porządku! Obudź się. - Usta Isabelle są ciemnofioletowe. - Eso! - krzyczy True.

- Przesuń się! - mówi mężczyzna. - Jedziemy do szpitala.

- Odpoczywa - mówi młoda lekarka o rudawych włosach. - Leży owinięta kocami,

pod kroplówką. Jest młoda i silna... nie sędzę, by wystąpiły jakieś długotrwałe skutki odmrożenia, choć będzie pewnie odczuwała zmiany pogody jak starsza pani. - Lekarka śmieje się, zwyczajnie się śmieje, bawiąc się słuchawkami. - Ohydna noc - mówi. Patrzy w czerń za szklanymi drzwiami.

- Odmrożenia? Czy rzeczywiście wszystko będzie dobrze? - pyta True. - Nie umrze?

- Nie. Ale obie miałyście dużo szczęścia - mówi lekarka poważnie.

Lekarze zawsze tak się zachowują, myśli True, jakby wszystko, co się człowiekowi przydarza, było wyłącznie jego winą. Są jak surowi rodzice. Jak jej matka.

- Dam pani kartkę z instrukcją, co zrobić ze szwami. Będzie pani musiała umówić się ze swoim lekarzem na ich zdjęcie... o, z tej części ramienia... za jakiś tydzień. To lewa ręka, więc... jeśli jest pani praworęczna... proszę ją oszczędzać. A teraz niech pani wraca do domu, zanim będziemy musieli podać pani kroplówkę...

- Nie. Zaczekam, aż Esa się obudzi - mówi True i zwracając się do swego wybawcy, dodaje: - Jedź już. Koniecznie. Przykro mi, że spędziłaś tu aż tyle czasu. Nie potrafię znaleźć słów, żeby podziękować...

- Musiałem chyba zostać, żeby się przekonać, czy z nią wszystko w porządku.

True przygląda się uważnie młodemu człowiekowi. Zasnęty brud i błoto na białych spodniach, rozdarty mankiet najwyraźniej całkiem nowej kurtki. Czy jest samarytaninem... czy po prostu dobrym człowiekiem? Czy miała ostatnio do czynienia z tak niewieloma - jej umysł odmawia posłuszeństwa przy tym staroświeckim określeniu - dżentelmenami, że aż musi powstrzymać pożałowania godną potrzebę nagrodzenia tego mężczyzny zapłatą?

- Nie musiałaś - odpowiada - ale ja też bym została na twoim miejscu, więc miło mi...

True myśli o ich obojgu, jak zataczając się, pokonywali uchylne drzwi izby przyjęć z Esą białą i nieruchomą niczym marmurowy anioł w ramionach Hanka (tak na imię ma nowy znajomy). A potem wózek, szok, że nie można towarzyszyć Esie, bo True, faktycznie, nie jest przecież jej krewną. Wydaje się, jakby to było wieki temu. A minęło zaledwie parę godzin. Na bladym niebie widać jasnożółte pasmo wschodzącego słońca.

- Jak dotrzesz do domu, jeśli sobie pójde? - pyta.

- Zaczekam do rana i zadzwonię po Rudy'ego.

- Nie opowiadaj głupstw - mówi Hank. - Mieszkam niedaleko stąd. W Chatham nigdzie nie jest dalej niż dziesięć minut samochodem. Mieszkasz w dużym białym domu niedaleko latarni. Wiem, gdzie mieszkasz. Podwiozę cię. - Oddała się i wraca z kilkoma małymi, miękkimi szpitalnymi kocami. - Owiń się najpierw tymi kocykami, a potem moim dużym kocem.

Gdy wsiadają do samochodu i ciepło ogarnia jej wilgotne, rwące palce u nóg, True zaczyna płakać i chlipie przez całą drogę. Czuje ból i wielką ulgę. Każdy mięsień jej nóg i torsu drży w innym, niesynchronizowanym rytmie, mimo że owinięta jest kocem Hanka, który gryzie i cuchnie psem, a pod wilgotnym wełnianym płaszczem ma szpitalne koce, by zimno nie docierało do skóry.

Do końca życia będzie pamiętała podługowatą smugę światła padającą spod drzwi na śnieg, gdy szli chwiejnie ścieżką przed jej domem. Była już czwarta rano, pierwsze mewy i czarne brzytwodzioby wzbijały się do lotu, a nad plażą niesły się ich krzyki - najpierw pojedyncze, potem po dwa na raz, po trzy, po cztery. Matka True, z wyrazem śmiertelnego niepokoju na twarzy, tej drogiej, a zarazem irytującej twarzy, wprowadziła ich oboje do środka. True dostrzegła pełne niezadowolenia spojrzenie rzucone na plamy topniejącego śniegu na lśniącej podłodze holu. Guy zbiegł po schodach w rozpiętych, przymalych bokserkach w tygrysie paski, ze śmiesznymi, przesadnie dużymi jądrami i chłopięcym członkiem wielkości oliwki na wierzchu, i rzucił się jej na szyję. Przyłgnęła do jego ciepłego ciała z westchnieniem jak przy modlitwie. Potem True zabrała Guya i poszła na górę. Przebrała się w wielką, starą podomkę Petera. Próżność nie korzy się nawet przed katastrofą, więc True zabawiła chwilę na górze, by owinąć włosy białym ręcznikiem - bo gdzieś kiedyś wyczytała, że kobiety pięknie wyglądają w turbanie z ręcznika na głowie - i zmyć makijaż z twarzy. Ale wszystkie wysiłki i tak poszły na marne, skoro wargi spuchły do wielkości obwarzanka, a szyja i policzki naznaczone były zaschłą krwią i pręgami zadrapań.

Gdy wrócili na dół - True w suchej podomce, Guy w przyzwoitych spodniach od piżamy - już go nie było.

Kiedy następnego ranka True zjawiła się w szpitalu, mężczyzna imieniem Hank, o dziwo, już tam był.

Wcześniej True zatelefonowała do Jedynej, by podziękować wybawcy. Dowiedziała się, że nazywa się Bannister i że jest nie tylko kucharzem, ale także właścicielem restauracji. Powiedziała jej o tym kobieta, która odebrała telefon. True wstydzi się, że myślała o nim z wyższością. Odczuwając zbyt silny ból, nie nałożyła nawet kremu na poodzieraną i spuchniętą twarz. Nie wchodzi więc do sali, widząc, że Esa śpi, a Hank siedzi na krześle i czyta stare jak świat „People”.

Dostrzega jednak True, nim zdążyła się wycofać.

- Ale numer - mówi. - To artykuł z czasów, gdy Tom i Nicole przysięgali na Biblię, że uprawiają ognisty seks dwa razy dziennie. Zawsze bardziej podobała mi się Nicole, a tobie? - Uśmiecha się. - O Boże, wyglądasz rzeczywiście okropnie. - Uśmiecha się w taki sposób, że

True musi przyjąć jego słowa jako stwierdzenie faktu, a nie jako obraźliwy docinek. Isabelle śpi. A skoro śpi, logika podpowiada, że Hank jest tutaj nie dla Isabelle, ale po to, by spotkać True.

- Można to i tak ująć - odpowiada True, myśląc o ślizgawicy i o szaleńczej jeździe w ciemnościach do szpitala w Hyannis, gdy woskowa twarz Esy kołysała się pomiędzy nimi w kabinie samochodu to w przód, to w tył.

- To ty... - szepcze nagle True, gdy okrucuch wspomnień minionej lodowatej nocy, jakiś obraz staje jej przed oczami. - To ty jechałeś tą ciężarówką, która nas mijala.

- Zamknąłem zaraz po tym, jak wyszliście - wyjaśnia Hank - a ponieważ jechałyście bardzo wolno, widziałem, jak was znosi. Musiałem poszukać miejsca, żeby zawrócić, co zajęło trochę czasu. Potem nie mogłem was znaleźć. Doszedłem do wniosku, że udało wam się wyjechać. Ruszyłem do domu. Ale miałem przeczucie. To pewnie moja kreolska krew. Maman, moja babcia, nazywa to „widzącą krwią”. Dojeżdżałem prawie do Chatham...

- Wydawało mi się, iż mówiłeś, że nie jesteś z Chatham - przerywa True, zażenowana, że ma na sobie starą bluzę z Harvardu i zbyt obcisłe wełniane legginsy.

- Nie jestem z Chatham - mówi powoli Hank. - Jestem z Metairie. Ale mieszkam w Chatham...

- Twoja restauracja jest w Truro.

- Nie mogłem sobie pozwolić na mieszkanie w Truro, zresztą tam jest zbyt nudno. Mieszkam przy Bobby Lane.

- To zaledwie sześć przecznic od nas - mówi True. - Doprawdy nie wiem, jak ci dziękować. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby ci się odwdzińczyć.

- Nie trzeba dziękować, łaskawa pani - mówi Hank. True krzywi się na ten wyraz szacunku. - Cieszę się. Czuję się jak specjalista od udzielania pierwszej pomocy.

Wkłada kurtkę z czarnej skóry, wskazuje dłonią zwolnione miejsce i spojrzawszy na Isabelle, wychodzi. True próbuje stłumić natrętną myśl, czy go jeszcze kiedyś zobaczy. Zerka na kartę choroby Isabelle, z której wynika, że tylko jeden palec może być trwale uszkodzony, pozbawiony czucia z powodu odmrożenia, chociaż temperatura jej ciała spadła poniżej 32°C. Nie może jednak się powstrzymać, by nie patrzeć na Hanka, na jego ciało kowboja, na półprzeźroczyste niebieskie oczy, którymi, jak dziecko, zdaje się nigdy nie mrugać.

Trzeciego dnia pobytu Isabelle w szpitalu znowu go tam spotyka.

- Miło, że przyszedłeś. Cieszę się, że mogę ci powiedzieć, jaki jesteś wspania... jak jesteśmy ci wdzięczne. Okazałeś się tak wspaniałym sąsiadem - mówi True i oboje uśmiechają się, stojąc przy łóżku Isabelle. Powiedziała największy komplement, na jaki może



zdobyć się mieszkaniec Nowej Anglii, ale zabrzmiał on zbyt „grzecznie” nawet w jej własnych uszach. - Powinniśmy coś dla ciebie zrobić. Odplacić ci się w jakiś sposób. Poza dozoną wdzięcznością naturalnie. I poza tym, że będziemy wszystkim polecać twoją restaurację.

- Nie trzeba.

Głosy budzą Isabelle, a True i Hank promieniają się uśmiechem jak młodzi rodzice.

- Mamy jakieś nowe dzidziusie? - pyta Esa. - True prowadzi najwspanialszy niemowlęcy interes na świecie.

- Właśnie słyszałem. Ale nie, na razie żadnych nowych dzidziusiów - mówi Hank. - Moja siostra dopiero spodziewa się dziecka. Trzeciego.

- Możesz liczyć na pełny zakres usług ze strony Dwunastu Podarunków - powiada True. - To i tak niewiele. Przecież uratowałeś nam życie.

- Co powiecie na piwo? - pyta Isabelle, siadając na łóżku.

- Teraz? - pyta Hank. - Pozwolą ci tu pić piwo?

- Może jednak powinnaś odpoczywać - przypomina True, myśląc, że to uspokoi Isabelle.

- Nie teraz! - mówi Isabelle. - Kiedyś tam.

- Nie piję - wyjaśnia Hank, rumieniąc się. - Jak się pije, mając restaurację, to niebawem ma się tylko bar, a potem jedynie pustą działkę.

- A kawę? - upiera się Isabelle.

- Nie piję kawy... tu, na północy. Tu nikt nawet nie słyszał o kawie z cykorią.

- To co wobec tego? - niecierpliwi się Isabelle. - Może jesz?

- Jem. Ale nie u siebie. Albo przynajmniej próbuję nie jeść u siebie. To nudne.

- Świetnie. Chcesz iść na kolację?

Hank spogląda na True. True wzrusza ramionami. Nie wie, co powiedzieć. Wydaje jej się, że Esa chyba majaczy, skoro zaprasza Hankę na randkę. Trzy telegramy od jej ukochanego, od narzeczonego, od Profesora przypięte są do korkowej tablicy wiszącej na ścianie, nad doniczką z hibiskusem, który przysłali Rudy i Franny. Telegramy noszące wyraźny

ślad inwencji językowej chilijskich telegrafistów: „Twoje zagrożenie jest dla mnie przygnębiające w najgorętszym stopniu” i „Kocham cię telegraficznie i głęboko całuję” - są przecież bardzo żarliwe. Profesor skróci podróż o dwa tygodnie, by przylecieć; to znaczy nie dosłownie przylecieć, ale wrócić szybciej do Isabelle. True otwiera usta ze zdziwienia, widząc, z jaką taneczną gracją Hank siada na tandetnym metalowym krześle, i myśli, że jeśli

Esa się w nim zakocha, to przynajmniej nie wyjedzie.

- Najbardziej lubię kręgle - mówi Hank. - W domu nieustannie graliśmy ze szwagrem w kręgle, a tu najwyraźniej nikt poniżej czterdziestu, pięćdziesięciu lat nie chce w to grać.

- Dobra. Niech będą kręgle - mówi wesoło Isabelle. - Potrafisz grać w kręgle, prawda, True? Możecie się wybrać do Kings&Queens w Dennis.

- Ja? - dziwi się True. - Mówisz o mnie?

- Ty i Hank. Możecie grać w kręgle. Żeby podtrzymać przyjaźń.

- O, Isabelle, zaśnij z powrotem, kochanie - mówi True pospiesznie. Czuje się speszona, tak samo jak wtedy, gdy Guy pyta ją publicznie, dlaczego sypia z żelową maseczką na twarzy.

Ale Hank spogląda na nią spod gąszczu popielatych rzęs. True dostrzega autentyczne onieśmienie, żadnego szczerzenia zębów jak u innych ludzi, którzy znajdują się w kłopotliwej sytuacji.

- Czy zechce pani zagrać ze mną w kręgle?

- Hmm... To znaczy... Może zaprosimy cię na kolację którejś niedzieli... Isabelle robi świetne risotto...

- Pracuję w niedziele.

- Wobec tego w poniedziałek.

- Szczerze przyznam, że wolę grać w kręgle niż jeść - mówi Hank.

True ma ochotę wyciągnąć nieszczęsną, chorą Isabelle z białej pościeli i zdzielić ją workiem od kroplówki.

- Jestem zajęta przez... najbliższe sześć tygodni - mówi True, myśląc: Będę jadła wyłącznie owoce. Owoce i tofu. Wszystko gotowane na parze, a nie smażone.

- Nie jesteś zajęta, True - wtrąca Isabelle. - Możecie umówić się na poniedziałek. Jutro stąd wychodzę.

- Mamusiu - mówi Guy w poniedziałkowy wieczór. - Chcesz posłuchać piosenki, którą śpiewa morderca przed zabiciem Aslana? Umiem ją już śpiewać z pamięci.

W sztuce Opowieści z Narnii: lew, czarownica i stara szafa, wystawianej przez Harwich Junior Theater, Guy gra złego karła - wielka rola dla tak małego chłopca.

- Chcę - mówi True. Siedzi na łóżku wśród mnóstwa par spodni: czerwonych, fioletowych, z pliskami, w gumce, dżinsowych, wełnianych, sztruksowych. Obok drzwi w firmowej torbie J. Karol są nowe spodnie, na sznureczek w pasie, w trzech kolorach. Esa zrobiła na jej prośbę szybkie zakupy. True mierzy spodnie od godziny, aż się spociła. - Muszę wreszcie odpocząć. Twój śpiew mi pomoże.

Guy wstaje, nabiera powietrza i zaczyna: „Duchy ciemności, gobliny, wampiry! Mordujcie dziś! Mordujcie dziś!” Ma ładny, mocny alt. True zastanawia się, czy nie załatwić mu lekcji śpiewu, bo występy zdają się sprawiać jej nieśmiałości do niedawna synowi prawdziwą przyjemność. Śpiewając, Guy zapomina o bożym świecie. Promienieje. True podnosi się z łóżka i całuje miękkie krągłe czoło syna. Guy od urodzenia ma nad skronią platynowe, jasne pasmo wielkości kciuka.

- Tak trzymaj, młody człowieku. Będę stała w kolejce, żeby zobaczyć twoje plakaty na Broadwayu.

- Co ty! - mówi Guy. - Trzeba mieć naprawdę dobry głos, grać na pianinie i w ogóle.

- Wszystko przed tobą. Ale trzeba też dużo pracować.

- Czy są szkoły, w których można się tego nauczyć?

- Mnóstwo.

- Tutaj?

- Tutaj nie. Gdzie indziej. W Kalifornii, jak sądzę, w Nowym Jorku...

- Musiałbym tam zostawać na noc?

- Jak będziesz duży. Jak będziesz miał osiemnaście lat.

- To nie chcę.

- Dlaczego?

- Chciałbym, ale bez nocowania.

- Będziesz myślał inaczej, jak...

- Nie. Nie zostawię cię. Nigdy stąd nie wyjadę. Przecież... mamy ten dom dopiero od dwóch lat...

True nagle i bez powodu zaczyna płakać. Przewraca się na plecy, bo już nałożyła na rzęsy pięć warstw tuszu, więc w ten sposób rozmaże się jedynie podkład.

- Mamusiu! - woła Guy. - Powiedziałem, że nie pojedę. Nie przejmuj się!

- Nie przejmuję się, Guy - wyjaśnia True. - Chcę, żebyś wyjechał. To znaczy, nie chcę, żebyś jechał, póki nie będziesz gotowy, ale później możesz pojechać, dokąd chcesz.

- Powiedziałem, że nie pojedę... Isabelle wpada bez pukania.

- Rudy mówi, żebyś się nie martwiła o kąpielówki dla chłopców. Już są w drodze.

W czerwcowych paczkach, które właśnie przygotowują, sześcio - i siedmiomiesięczni chłopcy dostaną majteczki kąpielowe w biało-czarne paski, na szelkach - przypominające strój, w jakim na dagerotypach z przełomu wieków pokazywani są zwykle atleci. Wszyscy w biurze zachwycili się tym pomysłem, bo o ile kostiumy dziewczęce zawsze dobrze się trzymają, o tyle kąpielówki dla chłopców albo łatwo spadają, albo chłopcy wyglądają w nich

jak karzełki. Ponieważ True współpracuje ze szwalniami, które tylko kroją i szyją wyroby, pracownicy jej firmy muszą sami zdobyć właściwy materiał i dostarczyć go krawcom z dużym wyprzedzeniem, by uporali się z zamówieniem na czas. Na szczęście model świetnie się udał, ma zgrabny, szeroki dół i wygodne zapięcie na zatrzaski w kroku, które nie psuje linii. Inne podarunki, które znajdują się w czerwcowej paczce, nie nastęrczają kłopotów: krem ochronny na słońce według receptury opracowanej przez naturopatę z New Hampshire, komplet lejków o różnych rozmiarach do zabawy w piasku, który był wielkim przebojem zeszłego lata, oraz czapka z guziczkiem i ze spływającym na kark kawałkiem materiału, by chronić przed słońcem delikatną skórę. True zerka na Guya, który nie przestaje śpiewać, choć wygląda na zagniewanego, i przypomina sobie, jak jej dwuletni syn nosił jasnoniebieską czapczkę w stylu Sherlocka Holmesa i ubranko kąpielowe z guzikami w kształcie rybek, w którym, jak mówił Peter, jego syn wyglądał jak mały pedał.

- Masz tylko dwie godziny do... - Isabelle pochyla się, bierze zamach i wprawia w ruch wymagowaną kulę. - To niewiele, True. Co tu się dzieje? Co ci jest, True?

- Płaczę, bo jej powiedziałem, że być może pojedę do szkoły muzycznej. - Guy przewraca oczyma. - A potem już nie słuchała, gdy powiedziałem, że nie pojedę.

- Na obóz czy coś takiego?

- Nie! - wrzeszczy Guy. - Śpiewałem tylko, a ona zaczęła płakać. Dlaczego nie zmierzysz jeszcze jakichś spodni, mamó? O co właściwie chodzi z tymi kręglami?

- Po prostu wychodzę ze znajomym. - True siada, macha rozpaczliwie do Esy, by podała jej chusteczkę, uciskając palcami gałki oczne. - No, już dobrze. Już dobrze.

- Jesteś pewna, że to znajomy? Tylko znajomy? To samo mówiłaś o Evanie. Może jednak flirtujesz z tym waszym wybawicielem?

- Obawiam się, że tak, Gee - mówi Isabelle, wymawiając imię chłopca z francuska, z twardym „G”, tak jak je wymawiają tylko w domu. Peter pochodził z rodziny francuskich Kanadyjczyków i uważał, że nadanie synowi imienia „Kwiatka”, Guya Lafleura, znakomitego hokeisty, legendarnej „dziesiątki”, uczyni z Guya w przyszłości najlepszego zawodnika ataku drużyny Boston Bruins. True jest wdzięczna Pete’owi, że nie upierał się przy pierwszym pomysle, przy imieniu Maurice, za Maurice’em Richardem. Gdyby tak się stało, po śmierci ojca zmieniłaby chłopcu imię na Dave, Don albo podobne, choć sama uważałaby, że to świętokradztwo. Od czasu gdy Guy zaczął chodzić do przedszkola po drugą klasę podstawówki, True dzielnie próbowała wyjaśniać nauczycielom, jak należy wymawiać imię jej syna. Ale znakomita ich większość potrafiła jedynie zdobyć się na jakieś „Jee”, co sprawiało, że dzieci wołały na niego „Dżin” albo, co gorsza, „Gigi”, aż wreszcie True dała za

wygraną i używała wymowy amerykańskiej, z czego dzieciaki z upodobaniem robiły użytek, wołając: „Cześć guy\*, Guy!”

- A byłoby źle, gdyby flirtowała? - podejmuje Isabelle wysokim głosem. - Czy nie byłoby świetnie, gdyby mama miała przyjaciela - właściciela restauracji? Tort kajmakowy za darmo?

- Nie flirtuję z tym facetem - mówi zdecydowanie True, siada na łóżku i nawet nie spogląda w stronę spodni, póki Guy jeszcze dwukrotnie nie przećwicz piosenki, podrygując tanecznie ku uciesze mamy i Esy. - On jest po prostu miłym facetem i lubi kręgle, prowadzi też własny interes, więc jest to coś w rodzaju służbowego spotkania.

- Ona nic tylko pracuje - narzeka Guy. - A powiedziała, że w poniedziałki będzie się umawiała ze mną. Godzina ze mną w każdy poniedziałek. Mieliśmy iść grać na automatach, zabrać ze sobą Bena i Jerry'ego...

- Ja was zabiorę - mówi Isabelle.

- Łaski bez. - Guy łapie nuty i ciężkim krokiem wychodzi z pokoju. - Beczysz z mojego powodu, a potem i tak idziesz do kręgielni.

- Gee, wiesz, że prawie nigdy nie wychodzę w poniedziałki. Poza tym zachowałeś się nieładnie wobec Esy! - woła True. Zostawia stare spodnie i rzuca się do torby J. Karol. - To dziesiątka, Eso. W dziesiątkę nie wsadzę nawet jednej nogi. Do czego doszło! Dziesiątka jest dla mnie za mała.

- Ale to spodnie firmy Glad Rags - mówi Isabelle. - Mają zawyżoną numerację. Dlatego wzięłam dziesiątkę.

- Przykro mi, Eso! - woła Guy, zbiegając po schodach. - Przykro mi, że mama nie poświęca mi dość uwagi. Jak będzie stara, oddam ją do domu starców. Babcia mówi, że mama zamierza zrobić coś takiego, jak tylko ona się zestarzeje.

- Może i mówi. Ale ty wiesz, że bym tego nie zrobiła. To też było niegrzeczne, Gee - łaje True syna. - Czuję, że znajdę się w domu starców jeszcze przed babcią.

- Przeprosiłem Esę - odpowiada Guy. - A ciebie nie zamierzam przeprosić. Jestem na ciebie zły.

- Daj spokój, Gee...

- Człowiek ma prawo do własnych odczuć. Nasza pani mówi, że trzeba mieć szacunek dla samego siebie.

- Zabiorę go i pojedziemy pograć na automatach - przyrzeka Isabelle.

- Dzisiaj jest nasz dzień - mówi True. - Złamałam przyrzeczenie, a to najgorsza rzecz, jakiej mogłam dopuścić się wobec dziecka, i to z powodu faceta, który jest dla mnie za młody

i pewnie chce jedynie poprosić mnie o pożyczkę albo o poradę w interesach. Czysty idiotyzm.

- Żaden idiotyzm - mówi Isabelle. - Gdybyś robiła wszystko, co chce Guy, zamiast tego, co rzeczywiście powinnaś robić, musiałabyś przez osiem godzin dziennie patrzeć, jak odbija piłkę tenisową albo krążek do hokeja o drzwi garażu. Myślisz, że jakby go któryś z kolegów zaprosił do siebie na nocleg, to też by tak narzekał?

- On nie robiłby innych planów - mówi True, choć to nieprawda, bo Guy z entuzjazmem przyjmuje każde zaproszenie. True jednak nie zamierza sobie łatwo wybaczyć. - Dotrzymałby słowa.

True przyrzeka sobie, że jak wróci, bez względu na porę, obudzi Guya i zrobią sobie po filiżance gorącej czekolady z tabliczki prawdziwego kakao, które Dog przywiózł z Indii Zachodnich. Guy uwielbia, gdy matka budzi go w środku nocy. Mówi, że czuje się wtedy jak w Wigilię Bożego Narodzenia albo jak wtedy, gdy zajęcia w szkole zostają odwołane z powodu wielkich opadów śniegu. Wynagrodzi to Guyowi w następny poniedziałek i we wszystkie kolejne poniedziałki.

Teraz jednak musi poświęcić całą uwagę swemu opłakanemu wyglądowi.

- Co przystojny, młodszy ode mnie facet miałby robić z takim ciałem? Wiesz, Eso, wpędziłaś mnie w maliny - narzeka True, patrząc w lustro, i jak zwykle modeluje w myślach swoją sylwetkę.

- Gdybym tak myślała, nie zrobiłabym tego.

- Wiem.

- Wielu mężczyzn lubi...

- Kobiety przy kości? To chciałaś powiedzieć?

- Nie. Starsze od siebie kobiety. W tym piśmie, które kupiłam przed paru tygodniami, w piśmie dla facetów, wymienili dwadzieścia rzeczy, które mężczyzna powinien zrobić przed śmiercią. Na pierwszym miejscu było napisane: „Zakochać się w starszej od siebie kobiecie”. Poza tym nie jest znowu tak wiele młodszy.

- Powiedziałam mu, że mam czterdzieści lat.

- I dobrze.

- Ale jak dojdzie co do czego, będę musiała się przyznać.

- Dlaczego?

- Bo nie można... nie można kłamać w sprawach wieku. Powiedzmy, że uda się ukryć rok, jak się jest czarodziejką i skutecznie ukrywa prawo jazdy. Ale trzy lata?

- Właśnie przed chwilą dzwonił. True czuje ucisk w żołądku.

- Dzwonił? I czego chciał?

- Gdzie się macie spotkać i o której...

- A naprawdę czego chciał?

- Chciał się dowiedzieć, czy nadal chcesz się z nim spotkać.

True przewraca się na plecy na łóżko i przyciska poduszkę do twarzy.

- Widzisz, Isabelle! Jemu wcale nie zależy! Chce tylko być uprzejmy. Pewnie ma dziewczynę wyglądającą jak młoda Audrey Hepburn. On pewnie ma z sześć dziewczyn.

- Przewidziałam to. Przewidziałam, że wymyślisz jakąś głupotę i nie pójdziesz. Dlatego sama zdecydowałam, że spotkasz się z nim w Kings&Queens o wpół do ósmej.

Jadąc samochodem, True wraca myślą do sprzeczki z synem. Cokolwiek zrobi i tak będzie źle. Gdy ostatnim razem Guy wysiadał z samochodu przed próbą w teatrze, spostrzegła, że chłopiec ma rozwiązany but. Zamiast jak zwykle się zdenerwować, próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz prosił ją, by mu zawiązała sznurowadła. Wiele lat temu. Pewnie nigdy więcej nie będzie proszona o wiązanie sznurowadeł, chyba że jej wiotka matka złamie sobie kość biodrową. Dzieciństwo Guya mija z zawrotną szybkością. Gdy chce go pocałować w szkole, Guy zaczyna zerkać wokół, by zobaczyć, czy inne dzieci tego nie widzą. A teraz poświęciła obiecany mu czas na jakieś głupoty - poświęciła go facetowi, któremu z najrozmaitszych powodów jest zapewne całkowicie obojętna.

A jednak musi też myśleć o sobie. Guy dorośnie. Wyjedzie do szkoły. Rudy przeniesie się w ciekawsze strony, a Esa już jest jedną nogą poza jej życiem. True czuje, że otwiera się w niej pusta przestrzeń, której nie wypełnią ani zawodowe, ani życiowe osiągnięcia. Zanim przed wyjściem się ubrała, za zamkniętymi na klucz drzwiami łazienki dokonała zwyczajowego przeglądu własnych usterek, których liczba rośnie w zastraszającym tempie. Przyjmując najbardziej akrobatyczne pozy, oglądała gęstniejącą bezlitośnie siateczkę fioletowych żyłek pod kolanem, uniosła bujne włosy, by oszacować bezmiar siwych pasm ukrytych w gęstwinie jasnego blondu, których przybywa z każdym dniem jak pokrzyw pod płotem.

Gdy budzi się rano, staje na wadze. Opiera się obiema rękami o parapet okna, a potem zdejmuje najpierw jedną, potem drugą rękę, nim ośmieli się otworzyć oczy. Pyta samą siebie o wiek, tak jak pytał ją o wiek barman w Danny's Galley, gdy miała niecałe dwadzieścia lat. Jest zdecydowana dowieść sobie - z perwersyjnych powodów - że na jej silnych dłoniach ze zwężającymi się tipsami na paznokciach pojawiły się zielonkawe naczynka, które jak nachalne robaki nie znikają, gdy trzyma ręce do góry, by krew spłynęła, i że te żyłki nie są wyłącznie świadectwem siły nabytej w czasach, gdy podnosiła ciężary.

Robiąc to, szuka jednocześnie wyjaśnienia, dlaczego wszystko to ma dla niej tak

wielkie znaczenie. Szuka lekarstwa. Szuka klucza do zamkniętego pudełka, którego zawartość sprawi, że fakty te nie będą tak ważne. Czy inne kobiety w jej wieku, kochane przez stałego partnera, oceniają się tak bezwzględnie? Na przykład Franny? Czy miłość byłaby takim kluczem?

Żywiółowa, młodzieńcza zmysłowość Isabelle, przypominająca rozchylający się pączek róży, ma zapewne swój udział w rozterkach True. Isabelle jest bardzo atrakcyjna, chociaż nosi ubrania w rozmiarze dwanaście. Pasuje jej i to, co odrzuca True, i to, co znajdzie w szmateksie. Zwiąże gęste, ciemne włosy chustką i wygląda jak Nefretete, naciągnie na czoło narciarską czapeczkę i wygląda jak Pipi Pończoszanka, zepnie pod szyją niebieską sukienkę od Forties broszką z kryształu górskiego i wygląda jak Kate Winslett. Nie musi podtrzymywać piersi stanikiem, gdy wkłada podkoszulek z napisem „Grateful Dead”, jej toczne łydki nie potrzebują pończoch obciskających. True kocha Isabelle jak młodszą siostrę, jak... córkę. Nie może sobie wyobrazić życia bez niej. Myśl, że Esa wkrótce będzie należeć do kogoś innego - bardziej niż należy do True - rani ją głęboko, dominuje nad radością, którą True powinna dzielić ze swą... pracownicą. Bo Isabelle jest jej pracownicą, choć uczyniła z niej członka rodziny. Zamyślona True przegapia wjazd na parking przed Kings&Queens i musi dojechać do wyjazdu, by zawrócić.

Stosunek True do kręgli graniczy z fobią. Kręgielnie przypominają jej miejsca postoju dla kierowców, gdzie wulgarne praktyki są nie tylko dozwolone, ale i reklamowane - na przykład automaty na ścianach, nawet w damskiej toalecie, oferujące różnokolorowe prezerwatywy o takich nazwach, jak „Czarny byk” albo „Kotki na wierzbie”. Śmieszne, ale gdy miała siedemnaście lat, wydawała się zbyt krucha, by udźwignąć czterokilową kulę. Podniecało ją, gdy Jonathan Martin stawiał nogę obok jej nogi i uczył ją podstaw rzutów. Do kręgielni przychodzą młode małżeństwa, gdy uda im się wyrwać z domu i spędzić wieczór bez swoich bezlitośnie wymagających dwuletnich pociech. Nastolatki szukają tu bezpiecznego miejsca na pierwszą randkę, tu chłopcy czują się mężczyznami, a dziewczyny mają zajęte ręce, więc nie poprawiają tak często włosów.

Nie jest to miejsce dla czterdziestotrzyletniej kobiety, chyba że czterdziestotrzyletnia kobieta przychodzi z kimś w podobnym wieku i w towarzystwie małych chłopców i dziewczynek. True już dwukrotnie urządziła w Kings&Queens przyjęcie urodzinowe dla Guya i siódemki jego przyjaciół. Zawsze jednak miała wrażenie, że tort i hot-dogi podawane niechętnie przez niezadowoloną cizję cuchnęły smarami i dymem papierosowym. True nie chce tu być. A jeśli rzeczywiście podoba się Hankowi? Czy będzie się głupio czuła, gdy się pocałują i zderzą zębami? A co będzie, jeśli Hank - to bardziej prawdopodobne - szuka tylko



kumpelki albo mentorki? Czy rozczarowanie sprawi, że będzie dla niego nieprzyjemna? True krzywi się. To już się zdarzało.

Hank się spóźnia. True czuje się z tego powodu jeszcze bardziej na widelcu, jeszcze bardziej idiotycznie. Ma na sobie spodnie z cienkiej wełny, z tasiemką w pasie, które nieźle na niej leżą, choć są parę centymetrów za długie - co skorygowała kowbojskimi butami na najwyższym obcasie, jakie znalazła w szafie. Na górę włożyła błyszczącą czerwoną tunikę kupioną przez Esę w przyszpitalnym sklepiku. Za radą Esy zostawiła włosy rozpuszczone, zamiast spleść je, jak zwykle, w gruby warkocz. Esa namówiła ją też na taki makijaż, że jej oczy wydają się wielkie i głęboko osadzone, przez co True świetnie pasowałaby do berlińskiego żeńskiego chóru z końca lat trzydziestych.

- Cześć! - mówi wesoło Hank, zachodząc ją od tyłu cicho jak kot. Aż podskoczyła ze strachu i przydepnęła sobie spodnie. Hank przyszedł naturalnie z własną kulą w torbie.

- Gdybyśmy się wybrali na nurkowanie, przyniósłbyś pewnie własną butlę z tlenem - mówi True.

- Oczywiście - odpowiada Hank, jakby nie rozumiejąc aluzji.

Stają w kolejce po buty. Te idiotyczne buty. W takich butach, w takich spodniach i z takimi oczami będzie wyglądała jak Charlie Chaplin. To jeden z największych zarzutów True wobec kręgli. Patrząc, jak osiłek za ladą skrupulatnie dezynfekuje buty sprayem, True zastanawia się nad ich prawdziwym zapachem. Dziesiątki stóp. Stopy rybaków i kierowców ciężarówek, stopy zgrzanych barmanek, niemyte stopy emerytów. Tysiące stóp zostawia w takich butach najrozmaitsze drobnoustroje.

- Rozmiar? - Hank spogląda w dół. - Szóstka?

- Ósemka - odpowiada z westchnieniem True.

- Te dziewczyny z Północy - uśmiecha się Hank.

- Co?

- Wielkie stopy.

- Służą nam do chodzenia. Nie możemy czekać, aż nasi chłopcy zechcą nas nosić, skarbie - mówi True.

Znajdują tor i wybierają kulę - turkusową w gwiazdki - dla True. Jedyne, co powinnam, myśli True, to udawać dobry humor i jakoś przez to przebrnąć, nie potykając się o własne spodnie, które zresztą prawdopodobnie trzeba będzie zwrócić do sklepu. Okazywać dobry humor, optymizm, dojrzałość, brać, co jest nam dane.

Jestem w dobrej formie, to gra, a nie zawody sportowe. Dzięki Bogu, że nie zaproponował racquetballa.

W pierwszym rzucie uzyskuje przyzwoity wynik. Siedem kręgli... W drugim, uświadomiwszy sobie, że siedzący za tablicą wyników Hank podziwia rozmiary jej pupy, puszcza kulę w przeciwnym kierunku i słyszy głuchy łomot, który oznacza zapewne, że złamała Hankowi goleń.

- O Boże! - woła.

- Dobra, dobra, w porządku - krzywi się Hank. - Jakby mnie koń kopnął.

- A więc byłeś także kowbojem?

- Nie. Nigdy w życiu nie jeździłaś na koniu?

Jeździła, naturalnie. Na zajęciach dodatkowych na studiach. Była nawet niezła.

- Przepraszam - mówi True. - Bywam przewrażliwiona, gdy czuję się winna.

- Nie ma sprawy - odpowiada Hank. - Myślę, że mogę wstać.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

Hank kuśtyka w stronę toru. Naturalnie. Wszystkie kręgle strącone.

- Miałem szczęście - mówi Hank.

Jej następna kula biegnie na wprost, jakby użyto sekstantu do wytyczenia jej biegu środkiem toru, dokładnie tak, jak uczył ją ojciec chrzestny Sonny, bostoński Włoch, znający jej ojca od dzieciństwa. Zanim z książeczą elegancją puszczał kulę, trzymał ją na poziomie oczu, jak katolicy księża kielich podczas podniesienia. Tak właśnie zrobiła teraz True i strąciwszy osiem kręgli, uśmiechnęła się szeroko.

Hank zapisuje wyniki pisakiem. Tymczasem True przygląda się członkom damsko-męskich zespołów na torze obok. Wszystkie pary około trzydziestki, wszystkie żony w koszulkach do gry w kręgle, wszyscy mężowie już odrobinę przejrzały. Widzi jednego, niewiarygodnie przystojnego faceta, który najwyraźniej poddał się terapii przeszczepienia włosów - ma na głowie nowiutką strzechę. Wyglądają na rozbawionych. True wyobraża sobie, jak po grze idą na pizzę i piwo z pianą... Gdy tak im się przygląda, napotyka wzrok jednej z kobiet. W jej spojrzeniu jest wszystko - najpierw patrzy na True, potem na Hanka, potem znowu na True, która wie, że kobieta zastanawia się, czy True jest z siostrzeńcem. Bo chyba nie myśli, że z synem.

W każdym razie kobieta wie, że coś tu nie gra...

- Posłuchaj - mówi błagalnie True do Hanka, który właśnie wrócił na miejsce - chcę ci coś powiedzieć. Wolałabym już raczej, żebyś nas zostawił tam przy drodze, wolałabym tam zamarznąć na śmierć niż robić to, co robisz.

- Myślałem, że lubisz wyzwania.

- Lubię. Niektóre. Ale nienawidzę kręgli.

- Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałaś?

- Myślałam, że niechęć do kręgli już mi przeszła. Ale najwyraźniej jeszcze nie. Powinnam pójść na jakiś kurs, gdzie najpierw dają ci potrzytać kulę, a potem przymierzyć buty. A później idzie się do kręgielni, ale tylko na pizzę.

- Lubisz chodzić na basen?

- Uwielbiam. Ale dzisiaj nie mogę znieść dymu papierosowego w tym barze.

Jadą oddzielnie do Comfort and Joy, gdzie True zamawia podwójną kawę, bo kofeina wcale nie wywołuje u niej bezsenności, a Hank wodę i jabłko.

- Powiedz mi, jak wpadłaś na pomysł założenia takiej firmy - zaczyna Hank, odgryzając wielki kawał jabłka.

- Byliśmy przekonani, że wszyscy są bardzo zajęci, ale każdy chce dać nowo narodzonemu dziecku coś wspaniałego. Babcie, na przykład, są w dzisiejszych czasach młode i pracują zawodowo, a siostry mieszkają kawał drogi jedna od drugiej. I że najliczniejsze pokolenie w dziejach naszego kraju powoli się starzeje. A więc jeśli ekonomicznie lecimy w dół, jedyne, za co ludzie będą skłonni płacić, to za rzeczy dla małych dzieci.

- Wspaniale. Czyli mogą kupić co miesiąc jakiś prezent.

- Nie, muszą kupić prezenty na cały rok. W tym rzecz. Dwanaście wspaniałych niespodzianek. Mamy w komputerach dane dotyczące wieku dzieci, dzięki czemu każdy prezent jest właściwej wielkości - ludzie zawiadamiają nas pocztą elektroniczną, jeśli wnuk jest, powiedzmy, wyjątkowo duży i musi mieć o trzy numery większe ubranka niż powinien. Dodajemy też niespodzianki dla mam, płytę albo kosmetyk...

- Wiesz - mówi Hank, gdy uwagę True odwraca Joy Hook, jej przyjaciel i właściciel lokalu, podglądający ich przez okienko kawiarnianej kuchni - masz piękne włosy. Są naturalne?

- W każdym razie nie peruka. Jeśli o to ci chodzi.

- Nie. Pytałem, czy to naturalny kolor.

True ma ochotę kopnąć go metalowym czubkiem kowbojskich butów.

- Tak, naturalny. Jasny blond, a z bliska w paru miejscach widać siwiznę.

- Wcale nie są siwe. Mówisz to, żeby ktoś inny nie powiedział tego pierwszy? Ile właściwie masz lat?

- Bo co? Sądzisz, że kłamałam, mówiąc, ile mam lat?

- Trochę - mówi Hank.

- A ty ile masz lat? - pyta True.

- Trzydzieści osiem. - Hank wzrusza ramionami. Mięśnie pod koszulką napinają się

jak mięśnie kota robiącego koci grzbiet.

- No, dobrze. Mam czterdzieści trzy lata.

- A ja trzydzieści trzy.

- Niech cię lichy - mówi True.

- Co? - Hank unosi dłonie, jakby się poddawał. - Kto zaczął zabawę z latami?

- Ty! - True wie, że w jej głosie już słychać zbliżający się wybuch złości. Czuje mrowienie wzdłuż linii włosów, które zwykle poprzedza tego rodzaju incydenty. Z ich powodu Esa nazywa ją Czerwoną Królową, bo kiedy zdarza się czasami błąd w dodawaniu albo awaria któregoś z komputerów, True unosi się tak bardzo, że aż sama jest przerażona. W minutę później wylewnie przeprosza. Raz dała Isabelle kwiaty, gdy ta uszkodziła drzwi starej toyoty której używają w firmie jako samochodu służbowego. True zrobiła jej wówczas kąśliwy wykład na temat sprzętu i odpowiedzialności za niego, który przyprawił Esę o łzy.

- Przepraszam, Hank. Przepraszam. Przykro mi, że się uniosłam. Ale czuję się jak idiotka, a gdy czuję się jak idiotka, wpadam w szal.

- Nie będę nic mówił.

- Żałuję, że nie potrafię powstrzymać się od mówienia. Żałują pewnie tego także wszyscy inni.

Nie pozostaje jej nic innego, tylko wstać i wyjść, narzuca żakiet na ramiona i kładzie dwadzieścia dolarów na stół.

- To więcej, niż trzeba - komentuje Hank, podnosząc się powoli.

- Zawsze zostawiam duże napiwki, jak jestem wściekła. -

True wybucha śmiechem. - Działa nie gorzej niż upomnienie mojego syna: „No, bądź miła”. Chodźmy.

Żeby dojść do drzwi, True musi zrobić trzy duże kroki. Modli się, by nie złamać po drodze obcasa albo nie zrobić czegoś, co by zepsuło ostentacyjne wyjście. Hank dogania ją, nim zdążyła zamknąć drzwiczki samochodu.

- Zaczekaj chwilę - mówi. - Nie tak miało być. Oboje to spartoliliśmy. Prawda? Ale nic nie szkodzi. Nieważne.

- Dla mnie ważne. Jak niby miało być? Tak się zawsze zachowujesz? Flirtujesz ze starszymi od siebie kobietami, które zachodzą do twojej restauracji? Namawiasz je, żeby zamawiały homary zamiast filetów z dorsza? Grasz z nimi w darta i dajesz im wygrać, żeby zostawiły u ciebie więcej pieniędzy? Pokazujesz się z kimś, kto ma jakiś wpływ na środowisko, którego częścią chcesz się stać? Stop. Tego też wcale nie miałam na myśli. Widzisz? Im dłużej tu stoisz, tym gorsze rzeczy wygaduję.

- Czy to rzeczywiście najgorsze rzeczy, jakie kiedykolwiek komukolwiek powiedziałeś?

True milknie, by się zastanowić.

- Chyba nie - przyznaje.

- O! - mówi z zachwytem Hank. - A ja myślałem, że to tylko chwilowe uniesienie.

Zawstydzona True pragnie przewinąć taśmę do tyłu i zapisać nową wersję tej rozmowy, w której ona i Hank gawędziliby przyjaźnie o restauracjach i ryzyku prowadzenia firmy wysyłkowej, o pomocy, na którą mogą wzajemnie liczyć, o interesach sezonowych. A potem rozstaliby się po delikatnym uścisku dłoni.

- W sprawie darta. Muszę ci się do czegoś przyznać. Jedna z moich lotek jest cięższa, co daje mi przewagę nad przeciwnikiem - mówi Hank. - Nie jestem aż taki dobry. Zmyśliłem to, co ci powiedziałem o szkole wędkarstwa. Chciałem dostać u nich pracę i sprzedawać ich towary przez telefon, żeby dostać zniżkę na ubrania.

- A więc to tak! Wszyscy mamy jakieś słabości. Ale po co naopowiadałeś mi te kłamstwa?

Hank wzrusza ramionami.

- Nie jesteś jedyną osobą na świecie, która czuje się niepewnie. Chciałem zrobić na tobie wielkie wrażenie. Jesteś atrakcyjną kobietą, która odnosi wielkie sukcesy. Nie chciałem, żebyś myślała, że jestem... głupim chłopcem o szerokich barach...

- A potem odegrałeś rolę pomocy drogowej, troskliwego dżentelmena z Południa, który pomaga ćwokowatym Jankesom z Północy, a gdy poszłam na górę, by się osuszyć, po prostu sobie poszedłeś...

- Znowu to samo. A już raz przepraszałeś. Przez kogo taka jesteś?

- Przez kogo?

True nigdy nie myślała w ten sposób. Z pewnością nie przez Petera. Miała gwałtowne usposobienie, które zawsze dawało o sobie znać, gdy czuła, że... Co? Ktoś ją wystawia do wiatru? Przez kogo taka jesteś? - interesujące pytanie.

- Posłuchaj, True. To nie w porządku. Myślisz, że kursuję po drogach, szukając ludzi, których można wydobyć z zasy? Czy ty nie postąpiłabyś tak samo na moim miejscu? Poszedłem sobie, bo twoja matka patrzyła na mnie, jakbym był Dusicielem z Bostonu albo kimś takim. Nie odezwała się do mnie ani słowem. Tam, skąd pochodzę, człowieka, który pomógł twojemu krewnemu i przychodzi w środku nocy do twojego domu, pyta się, czy chce szklanek wody albo ręcznik.

- Racja - mówi True, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. - Ale ona taka jest. Trafne

spozrzeżenie, jak starsza pani z Nowej Anglii traktuje obcego. - Pomijając fakt, myśli True, że Kathleen uważała milczenie za szczyt grzeczności. - Masz rację.

- Nie bierz wszystkiego do siebie. Ja też mam matkę. Moja matka zaczęłaby gotować dla wszystkich zupeł gumbo i puszczać płyty Reby, co byłoby równie złe.

- Nie, to nie byłoby złe. Jestem ci naprawdę taka wdzięczna. Nie powinnam była rozmawiać z tobą w ten sposób. Ale wiesz... Chyba z godzinę ubierałam się na dzisiejsze wyjście.

To moja wina. Oczekiwałam czegoś, czego nie powinnam była oczekiwać. Czuję się jak skończona kretynka. Myślałam... To znaczy nie powinnam była tak myśleć, ale traktowałam to spotkanie jak randkę, co rzecz jasna było absurdem...

- Posłuchaj, True. Wiedziałem, kim jesteś, gdy przyszedł do Jedynej. Wiedziałem nawet, że przyjdiesz. Z listy rezerwacji. I też przyszedłem, chociaż akurat miałem wolne. Przeglądałem magazyn „Fortune”, zobaczyłem cię i pomyślałem sobie: „kobieta z bigłem”. Pomyślałem, że chciałbym cię poznać. Masz swoją firmę, tak jak ja, choć ty, naturalnie, zaszłaś już o wiele dalej. Nie jestem jedynym właścicielem. Jest nas dwóch...

- A więc szukasz mentorki, tak?

- Nie. Szukam przyjaciółki. Chciałem rozmawiać o różnych pomysłach.

Przyjaciółki, myśli True, i znowu czuje, jak wszystko w niej wrze. Przyjaciółki? Po to zmierzyłam dwadzieścia par spodni?

- Przyjaciółki, której mógłbyś wsunąć rękę za dekolt?

Czy ja mam dobrze w głowie?, myśli True. Czy on ma dobrze w głowie? Czy złość się dlatego, że był zbyt śmiały, czy dlatego, że wcale nie zamierzał być zbyt śmiały?

- Nie wsuwam rąk za twój dekolt. Zastanawiałem się, czy tak sobie pomyślałaś. To był błąd. To miał być przyjacielski gest. Na Południu dotykamy się i nikt tego nie traktuje jak gwałtu.

- Nie mam pojęcia, dlaczego jestem taka rozzłoszczona. Nie wiem, skąd się to bierze - mówi True, prostuje się i patrzy Hankowi prosto w oczy. - Kłamię. Nawet cię nie zapytałam, jaki jest powód, dla którego chciałaś się ze mną dzisiaj spotkać. Ja miałam swoje powody.

Te, myśli True, które wypływają z samego dna nieustannie pałającego nadzieją serca nastolatki w ciele kobiety w średnim wieku, z uporczywego wspomnienia o kobiecie, na której widok jeszcze tak niedawno przerywano rozmowy.

- Myślałam, że ty... miałam nadzieję, że ci się podobam.

Że ci się podobam. Nie jak przyjaciółka, z którą można pogadać. A teraz, nawet jeśli mnie zapewnisz, że tak jest, i tak nigdy nie zrozumiesz, jak trudno było mi to powiedzieć.

- Wiesz - mówi Hank - kiedy widziałem, jak się gramolisz z zaspą, i powiedziałaś, że twoja przyjaciółka jest w niebezpieczeństwie, pomyślałem, że jesteś chyba najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. I nadal tak myślę. Chciałem cię wówczas pocałować. To nie było udawane.

True się zatacza. Opiera się o samochód. Hank podchodzi bliżej. Pachnie fiołkami i sosną. True unosi podbródek. Wie, że Joy i połowa personelu restauracji obserwują ich z nosami przyklejonymi do szyb. Niewiele ją to obchodzi. Niech patrzą. Niech widzą, że ten mężczyzna jej pragnie. Z radością odrobinę rozwiera wargi, mruga powiekami i zamyka oczy.

Hank uśmiecha się do niej i odgarnia pasmo włosów z jej czoła.

- No co? - mówi True. - Podobno miałeś ochotę mnie pocałować.

- Chcę cię pocałować. Chciałem i chcę. Ale potem zaczęłaś te... przestraszyłaś mnie jak diabli. To nie jest dobry moment.

- Niech cię licho - mówi True, wsiadając do samochodu. - Kto tu jest stuknięty? - pyta, zamykając szybę i ignorując pukanie Hanka, odjeżdża z parkingu.

W domu unosi nabite, bezwładne ciało śpiącego Guya i tuli jego górną część do siebie - tylko w ten sposób może go teraz „wziąć na kolana”. „Mam już prawie metr czterdzieści wzrostu”, słyszała kiedyś, jak mówi do przyjaciela, Ferma, łzy płyną z oczu True, jedna pada na oko Guya - jak kropla deszczu, która budzi opalających się na plaży. True nuci Scarlet Ribbons, piosenkę, którą mu śpiewała, gdy był niemowlęciem, i nadal śpiewa, gdy jest chory. Guy uśmiecha się przez sen.

- Idź spać, mamó - mówi, nie otwierając oczu.

Cały dom oddycha w tym samym rytmie, co śpiąca młoda istota; to czas, kiedy dom jest najbardziej domem. W apartamencie dla gości, sto pięćdziesiąt metrów od drzwi frontowych, True widzi matkę, która jeszcze czyta. Światło księżycy pobłyskuje na trzech zamkach, które Kathleen wprawiła w drzwi bajkowej chatki drobnej, uprzejmej czarownicy. Oto życie. True robi kółka na zaparowanej szybie podłużnego okna obok drzwi frontowych, ale żadne z nich nie zachowuje kształtu księżycy, wszystkie spływają łzami. Gdy dzwoni telefon, True podnosi słuchawkę i bez słowa odkłada ją z powrotem na widełki.

Marzec

## NADZIEJA TĘCZY

Marzec przybywa jak lew, a odchodzi jak baranek. Nasze pacynki w postaci tych dwóch zwierzątek to zarazem rękawice kąpielowe, które odegrają w waniencie przedstawienia nie mniej różnorodne niż marcowe zmiany pogody. Mydelka w kształcie czterolistnych koniczynek zapakowaliśmy w siatkowy woreczek o wszystkich barwach tęczy. Można w nim trzymać również zabawki do kąpeli - albo dziecinne skarpetki, żeby w praniu nie zgubiły swojej pary i nie uciekły w nieznane!

- Powiedział, że nie może tego zrobić, True - mówi Rudy, rzucając gniewnie słuchawkę.

- Dlaczego? Dlaczego? Powiedziałeś mi, że potrzebujemy tych kotów dopiero na czerwiec?

- Nie znajdzie na czas drewna czeremchy amerykańskiej.

- Niech użyje innego drewna. Niech weźmie dąb czerwony.

- Koty robi się tylko z czeremchy amerykańskiej.

- Na litość boską, Rudy, czy dzieciom robi jakąkolwiek różnicę, że zabawka na Halloween, którą wałą bezmyślnie o dywan, ma takie czy inne słoje?

- Mówi, że jak nie będą zrobione z czeremchy amerykańskiej, to się nie udadzą.

- Wobec tego niech zapomni o kaczkach na wiosnę - mówi True, gryząc koniuszek pióra.

- Na złość babci odmrozę sobie uszy - ostrzega ją Kathleen, choć True nigdy nie pojmuje sensu tego wyrażenia. - Jeśli mówimy o Larrym Sornbergerze, jego kaczka rodzina to prawdziwe dzieło sztuki.

- Taaak, uberkaczki - wzdycha Rudy.

- A trzy firmy zabawkarskie wycofały ze sprzedaży kacze rodziny z powodu niebezpiecznych dla dzieci małych elementów - ciągnie Kathleen.

- Wiem - mówi True, choć wcale o tym nie wiedziała.

- On jest artystą, True - gra na zwłokę Rudy. - Wiesz przecież, że oni wszyscy są stuknięci. A my wcale nie chcemy stracić jego kaczych rodzin.

- Można było tego wszystkiego uniknąć, gdybyśmy zrobili to, o czym od początku mówiłam... - podkreśla Kathleen.

- Czyli co? - pytają chórem Rudy i True.



- Podpisać z każdym kontrahentem umowę zawierającą warunki dotyczące terminu wykonania.

- Dobry pomysł - przyznaje Rudy.

- Rzeczywiście dobry, mamó. Masz rację. Powinniśmy to byli zrobić już dawno temu. Gdyby nie godziny stracone na sporach o nic, bylibyśmy znacznie dalej. To co, państwo Mądralińscy, jaką grzechotkę włożymy do paczki na Halloween? - pyta True.

- Keith ma przyjaciela, który produkuje różne rzeczy z tworzyw sztucznych - wyjaśnia Rudy. - Głównie uchwyty na kubki i sprzęt biurowy. Pomyślałem, że mógłby zrobić formę na kotki, niechby były czarne z pomarańczowymi cętkami. Trzeba by zapłacić za formę, ale to jednorazowy wydatek...

- Czy to nie wbrew naszym zasadom? Wszystkie wyroby mają być rękodziełem - zastanawia się Kathleen.

- Nie. Byłyby to oryginalne wyroby amerykańskie, tyle że nie drewniane - odpowiada Rudy.

Kathleen pociąga nosem i zwraca się do True:

- Plastik nie jest tym tworzywem, które aprobujemy.

- Ale to byłaby guma, mamó. Łopatek do piasku też nie robimy z drewna, ani CD, ani buteleczek na kosmetyki...

- Rób, jak uważasz - mówi Kathleen, podciągając flanelowe spodnie, których ma dziesiątki - czarne, białe, szare, brunatne, biało-szare, szaro-czarne.

True trzyma w ręku dziecięcy śpiworek w kształcie kolby kukurydzy na Halloween. Spogląda przez okno. Na Ridge-\\,ile Beach para ekscentryków w tweedowych ubraniach baraszkuje ze swoimi psami myśliwskimi. Zanim grzechotki i inne zabawki zostaną włożone do śpiworów albo w śpioszki w kolorze dyni dla starszych dzieci (potem mogą służyć jako ubranko do spania: „Nic się nie marnuje” - to święta zasada Dwunastu Podarunków), będzie już lato. True próbuje sobie przypomnieć ciepło piasku pod plecami na plaży Nauset, wszechogarniającą ciemność wypełnioną zapachem bzu i kaliny. Ale to przedwczesne marzenia jak na jeden z pierwszych dni marca w jednym z ostatnich tygodni, gdy Cape Cod tkwi jeszcze w nieruchomym pejzażu, w rzeźbionej ciszy, która wydaje się błogosławiona w grudniu, ale już zbyt ciężka w lutym.

Będzie unosiła się na wodzie na plecach. Jest zbyt zajęta, by płynąć. Albo utonąć.

Niech będą formy. Jeśli trzeba coś w tej sprawie ustalić, niech ustalenia zostaną podjęte jak najszybciej, póki Rudy jest na miejscu i może pośredniczyć w rozmowach z facetem od tworzyw sztucznych. Rudy i Keith poważnie planują przenosiny do San Diego.

Rudy ma kalendarz z fotografiami kalifornijskiego wybrzeża. Na jego biurku walają się listy od agentów pośredniczących w handlu ziemią.

Kalifornijskie marzenia Rudy'ego przypominają True, że ludzie, z którymi pracuje, są dla niej jak kamienie probiercze, ile ona nie jest tym samym dla nich. Zgromadziła ich wokół siebie, by stali się przyszywanymi wujkami i ciociami Guya, jego rodzeństwem i przyjaciółmi, by wypełnili pustkę powstałą po śmierci ojca, którego Guy ledwie znał. Ale cały ten klan żyje też własnym życiem, które się rozwija. Życiem wśród ludzi, poprawia samą siebie True. Życiem we dwoje.

Jej życie wypełnione jest ponad miarę i pracą zawodową, i rolą opiekunki dwóch pokoleń - Guya i Kathleen. Ma wrażenie, że jest jedynym i nie najgorszym - pociesza się - wypełnieniem tej kanapki, czymś w rodzaju pasty z tuńczyka. To wystarczy, by była zajęta - zajęta? Raczej wiecznie zaganiana.

W takim zestawie zajęć nie ma miejsca na zbijanie bąków.

O ile jej wiadomo, Hank telefonował dwukrotnie. Obejrzała, zmięła i wyrzuciła karteczki pełne dat, które matka zostawia przy telefonie True po odsłuchaniu wiadomości z automatycznej sekretarki. True powiedziała Kathleen, że nie musi się tym trudzić, ale matka i tak to robi. Przysłał też kartkę pocztową z obrazkiem przedstawiającym miseczkę czereśni. Kathleen położyła ją na stoliku nocnym True obrazkiem do dołu. Napisał: „Zdaje się, że dostałem kosza. Twój przyjaciel, Hank Bannister”. True nie była zdolna wyrzucić tej kartki, chociaż dwukrotnie podchodziła z nią do stojącego w jej pokoju wiklinowego pojemnika na śmieci.

Kathleen doznała pewnie dużej ulgi, myśli True. Przywołuje na pamięć obraz twarzy Hanka, twarzy leniwego kota, i zastanawia się, jak Kathleen mogłaby go nazwać: Hulaką? Bajerantem? Cwaniakiem?

Czy on rzeczywiście jest, myśli True, hulaką, bajerantem, cwaniakiem?

A gdyby True ulokowała w Hanku swoje uczucia, czy matka, która wierzy, że życie córki jest powtórzeniem jej życia, odczułaby jak policzek fakt znalezienia przez nią prawdziwej miłości?

- Rozumiem, kochanie - powiedziała kiedyś Kathleen, gdy zegar zaczął odmierzać sekundy do końca jednego z niewielu przelotnych romansów True - że żaden z nich nawet w połowie nie dorównuje mojemu Bertowi.

True pyta Rudy'ego:

- Jak możesz mnie opuścić? Jak możesz mnie zostawić samą z Kathleen? Kocham moją matkę, ale potrzebuję warstwy izolatora między nami.

- Kocham robić za warstwę izolatora w twoim życiu, True - mówi Rudy.

- To po pierwsze. A po drugie, kim cię zastąpię? W połowie tworzysz tę instytucję. A w całości jesteś odpowiedzialny za kreatywność. Chcesz podwyżkę? Chcesz samochód?

- Nie rób tego, Truy Fair - ostrzega Rudy, szukając numeru telefonu wytwórcy tworzyw sztucznych.

- Ale posłuchaj, tworzymy zespół, tak?

- Tak, ale Keith i ja też tworzymy zespół. Na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

- Nie zrobiłabym.

- Zrobiłabyś.

- Nie zrobiłabym.

- Gdyby cię ten facet od małży poprosił, żebyś za niego wyszła, leciałabyś na Południe, na nic się nie oglądając.

- Wcale nie! - wrzeszczy True.

- Myślisz, że nie będę za wami tęsknił?! - krzyczy Rudy. - Jestem prawie jak ojciec dla Guya.

- Esa wyjeżdża. Guy urośnie... - mówi błagalnie True drżącym głosem.

Rudy marszczy twarz.

- Moja matka potrafi to robić znacznie lepiej niż ty, kochana. W tym miejscu powinienem powiedzieć: zadbaj i ty o swoje życie...

- To jest moje życie.

- To jest praca, True. Życie to co innego.

- Ach, więc w tym rzecz. To zawsze mogę mieć! - mówi True i myśli: Czy rzeczywiście? - Ty zostawiasz robotę, gdy wracasz wieczorem do domu. Ja mam to na głowie dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu.

- Ty masz milion dolarów. Ja mam pensję...

- Żebym Bóg wie kogo najęła, nie będzie mnie znał. Kto będzie ze mną rozmawiał o Elizabeth? Kto będzie ze mną rozmawiał o Kleopatrze? I sprzedawanych oddzielnie żmijach?

- Rzeczywiście. Bawiliśmy się wybornie - przyznaje Rudy. - Nikt chyba tak dobrze nie bawił się w pracy jak my.

Ostatnim ich wspólnym projektem w „fabryce lalek” była Kristi Yamaguchi. True przypomina sobie dzień, gdy powiedziała przyjacielowi, że tak bardzo podobają się jej trykociki, błyszczące kostiumy i maleńkie buty z łyżwami, które nawet można sznurować, że zaczyna poważnie myśleć - było to jeszcze przed śmiercią Petera - o maleńkich, eleganckich rzeczach dla maleńkich, eleganckich żywych istotek, tak obezwładniająco pięknych

jasnowłosych istotek, jaką był wówczas Guy. Rudy uważał, że to świetny pomysł, zwłaszcza że najliczniejsze pokolenie w historii Ameryki będzie niebawem miało pierwsze wnuki.

- Elizabeth w samą porę załapała się na tę falę. Podobnie zresztą jak ty - mówi Rudy i z zadumą puka piórem w zęby.

- Nie bardzo wiedziałabym, jak to zrobić, gdyby nie ona - skromnie mówi True. - Ona wiedziała, że dziewczęta potrzebują wzorów do naśladowania. Znacznie wcześniej nim ruch kobiecy zrobił taką karierę. Miała obsesję na punkcie pracy, doglądała każdego szczegółu. Czy wiesz, że nigdy nie widziałam, żeby jadła?

- Byłaś jedyną osobą, z którą w ogóle cokolwiek robiła - mówi nagle Rudy. - Ja nigdy nawet nie widziałem, żeby szła do łazienki.

- Miała łazienkę w jednym ze swoich gabinetów. Uważała, że całe piętro nie musi być stawiane w stan pogotowia, ilekroć chce iść do toalety. Nigdy z nią nigdzie nie chodziłam. Na przykład na lunch. Chodziłyśmy tylko do Encore Encore.

- Do sklepu z używaną odzieżą?

- Nie wiesz, że bogaci kupują używane ciuchy? Chanela, Anny Sui. Za marne grosze. Ubrania są ekstra. Ci ludzie wkładają takie rzeczy tylko raz.

- Ale nie ty.

- Bo ja jestem nuworyszką. Kupuję nowe ubrania u Eileen Fisher, a za miesiąc widzę je na wyprzedaży i chcę się powiesić. Ciągłe myślę, że powinnam robić zakupy na wyprzedażach, które ludzie urządzają przed garażem w swoim ogródku. Poza tym nie jestem bogata, Rudy.

- Jesteś. Przynajmniej w mojej okolicy.

- I tak nikogo nie obchodzi bogata kobieta, nikogo z wyjątkiem... - mówi nagle True -...facetów, którzy epatują starsze panie pobrzękujące rubinami...

- Czyżbyśmy zmienili temat?

- Może.

- Rozumiem, że nie rozmawiamy o Elizabeth podrywającej Stefano z produkcji...

- Musisz przyznać, że jak facet wybiera sobie młodszą kobietę, każdy myśli, że jest artystą w łóżku, a jak jest odwrotnie, to każdy myśli, że facet jest ułomny.

- Keith jest młodszy ode mnie.

- Co z tego? Jakie to ma znaczenie?

- Dla hetero też nie powinno mieć znaczenia. Co z tego, że kobieta chce młodszego? Całe to damsko-męskie gówno jest jakies średniowieczne - mówi Rudy i niespodziewanie dodaje: - Zresztą ja i tak nigdy nie będę miał dziecka.

- Możesz mieć - stwierdza True. Sympatia dla Rudy'ego kruszy skorupę zainteresowania samą sobą. - Ty i Keith możecie adoptować dziecko.

- On nie chce.

- Może nie teraz. Jest bardzo młody. Faceci nie myślą o takich rzeczach tak wcześnie. Ale jeśli po pewnym czasie nadal nie będzie chciał, i tak nie powinieneś zrezygnować tylko dlatego, że druga osoba nie chce. To zbyt... To nie jest decyzja w rodzaju: toyota czy nissan.

- Wiem. Ale... jeśli będę musiał zrezygnować z niego? Wiesz... jak to jest... Co zrobiłem dla miłości... Więc nie rozmawiajmy więcej o dzieciach. Jezu, jestem zwariowany na punkcie dzieci. Chciałbym karmić piersią - mówi Rudy.

True spostrzega, że na leżącym przed nim notatniku Rudy zrobił ołówkiem delikatny szkic niemowlęcia i pudełka prezentów, z którego wysypują się gwiazdki i misiaczki, otoczonego pierścieniem loga Dwunastu Podarunków. True nie może sobie wyobrazić biura bez pełnego życia i humoru Rudy'ego. Jak znajdzie podobnego menedżera, kogoś tak twórczego, tak wyjątkowego, kogoś, kto dawałby jej nie tylko swoją pracę, ale i część swojego życia? Kto będzie żartował z nią na temat szalonych pomysłów na prezenty? Karmelowy Pudding, Pierwsze Niemowlęce Pesto, bluzy z kapturami z obrazkiem kolorowej mapy, na której zaznaczono siedem znakomitych uniwersytetów należących do Ivy League?

Kto będzie wymyślał prawdziwe perełki, które przynoszą True dodatkowe pieniądze, choćby takie, jak najnowsza oferta specjalna: nakrycia na łóżeczka, robione na specjalne zamówienie przez babcie w Kentucky z lat z pierwszych ubranek dziecka?

Kto jej zostanie?

Kathleen.

To będzie istne piekło, myśli True. I tak już niebezpiecznie działają sobie na nerwy. Jak to się dzieje, że jej młodszy brat używa określenia „mama i ty”, tak jakby True i Kathleen były małżeństwem. Kathleen czuła się naturalnie bardzo samotna - długo po śmierci męża i długo przed śmiercią zięcia. A Dog (jego imię brzmi Augustus, od miesiąca narodzin) zdobył sobie wśród studenckiej braci przydomek Augie Dog-gie, gdyż nie był skłonny przerwać weekendowego maratonu filmowego czy turnieju hokejowego, by pomóc matce uporać się z własną bezradnością wobec komputera w szkolnej bibliotece ani ze znakami stop na nowych osiedlach, które powstawały wokół jej starego domu. Mieszkająca w Amherst przez całe dorosłe życie Kathleen czuła i powiedziała o tym True, że otaczające ją miasto bardzo się zmienia. Brat True, mieszkający zaledwie osiem kilometrów od domu matki, współczuł jej, ale to True przypadło w udziale podjęcie działań, gdy Kathleen przyznała się, że pary z jej dawnego otoczenia, należące do klasy wytartych, ale nakrochmalonych białych kołnierzyków,

te same pary, które tańczyły z Katie i Bertem w Morse i jeździły z nimi na kempingi do Mono-moy, przeniosły się na bardziej zielone przedmieścia albo zamieszkały w małych domkach w innych częściach Cape Cod.

Kathleen została emerytowaną bibliotekarką w szkole podstawowej w Amherst, nie zrealizowawszy awansu do klasy średniej, co udało się jej przyjaciółom. True wymusiła na Dogu, by pomógł matce sprzedać niewielki georgiański dom z cegły, jedyny, w jakim kiedykolwiek mieszkała poza domem rodzinnym. Kathleen była synowi tak bardzo wdzięczna, że podarowała mu część zysku ze sprzedaży. True dostała od matki jedynie podziękowania i coniedzielne, trwające cały miesiąc zajęcia, polegające na objeżdżaniu okolicy z małym Guyem w samochodowym foteliku, dopóki Kathleen nie znalazła zadowalającego mieszkania w spółdzielczym bloku nieopodal szkoły.

Następne decyzje podejmowane były w zawierusze pierwszych dni wdowieństwa True, gdy brak obecności Petera, jeśli już nie jego osoby, stworzył w życiu True wyrwę, której sama nie potrafiła załatać. Firma stawiała pierwsze kroki. Guy potrzebował babcinej obecności jako pomostu do Esy, która niedawno pojawiła się w ich domu, gdy True całe dni spędzała ze słuchawką telefoniczną przy uchu. I wtedy jakimś cudem - True nadal nie jest całkowicie pewna, czy za jej zgodą - Kathleen osiadła na Przylądku na stałe. Mieszkanie w bloku zostało sprzedane. True kupiła nowy dom wraz z gościnnym domkiem w obrębie posesji. Kathleen dostała więc przytulne gniazdko.

True jest szczęśliwa, że jej matka, mimo swego wieku, żyje aktywnie i interesuje się wieloma sprawami, że nie ma w niej ani cienia użalania się nad sobą, że przestaje z gronem przyjaciół z Kościoła episkopalnego, Saint Thomas More, że uczestniczy w akcjach sprzedaży plaketek na rzecz utrzymania czystości na plażach, że pracuje, nadzorując pakowanie paczek w Dwunastu Podarunkach ze skrupulatnością prawdziwej bibliotekarki. W centrum miasteczka spotyka się ze wszystkimi, nie wyłączając gwiazd filmowych, i zna wszystkie plotki. Wskutek pewnych sztuczek w naliczaniu dniówki, których dokonuje True, Kathleen ma duże pobory, wyższe niż otrzymywałyby za tę pracę ktokolwiek inny. Żyje więc w warunkach, w jakich żyłaby, gdyby ojciec True doczekał emerytury.

True nie rozumie jednak, dlaczego Kathleen zdecydowała się traktować wdowieństwo jako sposób na życie, a nie jedynie pewien etap życia.

Jej podziw dla mężczyzn zdaje się przesadny. Każdą kartkę pocztową, którą przysyła Dog, traktuje jak drogocenny pergamin zdobiony ręcznie przez mnichów. W odczuciu Kathleen mężczyznom należy się uznanie za ich siłę, wiedzę, a także za wyczulony zmysł powonienia - podczas jednej z denerwujących rozmów za studenckich czasów radziła True,

by zawsze używała sprayu do higieny intymnej. „Mężczyzna - uroczyście oświadcza Kathleen za każdym razem, ilekroć Dog sprzeciwi się którejś z niewinnych propozycji swojej żony, na przykład takich, jak podjęcie przez nią pracy na niepełnym etacie - powinien być panem we własnym domu”.

Poza tym nieustannie flirtuje. Z listonoszem, facetem z firmy rozwożącej paczki, z rzemieślnikami. Flirtuje właściwie ze wszystkimi, z wyjątkiem mężczyzn, z którymi umawia się True. Jej uwagi dotyczące krótkiej kolejki zalotników są oszczędne, boleśnie szczere i chłodne. „Gorszy niż lepszy”, powiedziała Kathleen o pewnym architekcie krajobrazu, z którym True przez kilka miesięcy ochoczo swawoliła w jego letnim domku przy plaży. „Nie przewróci się nawet przy silnym wietrze”, skomentowała matka, patrząc, jak ortopeda (randka w ciemno dzięki Franny) człapie ścieżką do domu True. Jeśli chodzi o Evana, dentystę kosmetycznego, wszystko było nie tak. „Znać na nim ząb czasu”, powiedziała Kathleen, obrzucając spojrzeniem jego srebrną grzywkę, nieco wypukły brzuch i stosowne prezenty, które Evan przynosił Guyowi oraz jej - kolorową nitkę do zębów, gadającą sztuczną szczękę, która prosiła: „Wyszczotkuj mnie!”

Ale Evan zrobił True wspaniałą, supercienką porcelanową licówkę, która wybieliła siekacz sukcesywnie ciemniejący od czasu wypadku na łyżwach w dzieciństwie, i dawał jej długie, cudowne orgazmy - po wspólnej wyprawie na badanie krwi, odbytej na jego życzenie - choć sam szczytował rzadko. „Nie rób z tego konieczności”, ostrzegł ją kiedyś delikatnie. Wszystko w swoim czasie.

Evan dał True do zrozumienia, że mogliby we właściwym momencie się pobrać. Uważał, że ów właściwy moment nastąpi po... siedmiu albo ośmiu latach. Nie trzeba być matematykiem, by zrozumieć, że w planach Evana zawiązanie wspólnoty małżeńskiej miałoby się zbiec w czasie z wyjazdem Guya na studia. True nie rezygnowała, tłumacząc się przed samą sobą w następujący sposób: Evan jest dobrym człowiekiem, Evan jest miły, Evan może być jej ostatnią szansą. Utwierdzała się w przekonaniu, że randki w jej wieku i na jej etapie życia to nie kwestia poddawania się gorączce wielkiej namiętności, ale raczej wykluczania pewnych diagnoz. Oczekiwała więc na rozstrzygające symptomy. Czy będzie przeżuwał z otwartymi ustami? Czy będzie robił antysemickie uwagi albo błędy gramatyczne? Czy będzie mówił „cycki” przy jej synu? Czy przyzna się, że pociągają go zapasy w błocie?

Evan nie robił żadnej z tych rzeczy, niemniej Kathleen zachowywała wobec niego zdecydowany chłód. Był statecznym, zamożnym mężczyzną i można było przypuszczać, że należycie zaopiekuje się jej jedyną córką. Dlaczego więc kobieta tak szczęśliwa we własnym

związku małżeńskim była tak obojętna wobec faktu, że czas, w którym True ma szansę ponownie wyjść za mąż, nieubłaganie mija?

True skłonna była przypuszczać, że Kathleen pragnie mieć bratnią duszę w samotnym wdowieństwie.

Między Evanem i True nigdy nie układało się najlepiej. Guy pałał do Evana szczerą niechęcią, która nasilała się, by wreszcie zmienić miłego chłopca w nieznośnego bachora. To dało True do myślenia i było początkiem końca. Jak długo ma się, w gruncie rzeczy, onanizować z mężczyzną, którego w żadnym razie nie kocha, a nawet nie bardzo lubi?

Gdy Rudy wyszedł z biura, do uszu True dotarły dudniące dźwięki latynoskiego rapu, który Guy i jego koledzy zaczęli nagle przedkładać nad inne rodzaje muzyki. W kieszeni kurtki Guya True znalazła podpisaną fotografię dziewczynki z piątej klasy. Guy spytał ją, całkiem niewinnie, czy jego tegoroczne przyjęcie urodzinowe może trwać całą noc i czy ta dziewczynka także mogłaby przyjść. „Wszyscy będziemy w piżamach, mamó”, obiecał.

Tymczasem True przygotowuje dla Guya urodzinową niespodziankę, która, jak jej się wydaje, zrobi na nim piorunujące wrażenie. Postanowiła zdradzić mu tajemnicę w następnym poniedziałek podczas wspólnej wyprawy na pizzę. Urodziny Guya przypadają w pierwszy weekend po trzech dniach przedstawień, w których jej syn bierze udział. True rozmawiała już telefonicznie z przemiłym, śmiesznym i strasznie chudym mężczyzną, który jest jednym ze stałych członków zespołu teatralnego i przed dwoma laty grał kapitana Hooka w Piotrusiu Panie. Ellery zgodził się wystąpić w kostiumie kapitana Hooka w Skull and Bones, restauracji zbudowanej częściowo na starym szkunerze, i ucharakteryzować wszystkich przyjaciół Guya na piratów, a nawet nauczyć ich podstaw walki na miecze, takiej, jaką aktorzy toczą na scenie. Nieszkodliwej, ale widowiskowej - niczym taniec. Ciekawe, jakie będą komentarze na szkolnym boisku, myśli z dumą True.

Chociaż nie wszystko, co dotyczy jesiennych zakupów, zostało już załatwione, True postanawia wymknąć się z biura nieco wcześniej, pobiec na górę i zamiast czekać do poniedziałku, powiedzieć Guyowi o swoim pomysle już dziś.

Gdy to zrobiła, twarz syna stała się ponura jak wrześniowe niebo nad zatoką, gdy chmury prześcigają się w zasłanianiu słońca.

- Niezłe... - mówi mężnie Guy.

Ale True wie, że coś jest nie tak. Wie, że Guy zgodzi się na takie urodziny. Ale robi to tylko dla niej.

- Nie podoba ci się.

- Podoba! Świetny pomysł!



- Ale? Nie kłamiemy sobie, prawda? Jak można kłamać najlepszemu przyjacielowi?

- No... - Guy wygląda na zmartwionego - to dla maluchów.

- Dla maluchów? - dziwi się True. - Walka na miecze? Prawdziwi piraci?

- To tak jakby zaprosić clownów albo coś w tym rodzaju.

- Wcale nie!

- Tak! Tak jak zapraszałaś świętego Mikołaja, kiedy byłem mały... - Przecież ciągle jesteś mały, mówi sobie w duchu błagalnym szeptem True, jesteś ciągle mały. -...I udawałaś, że nie wiesz, że on przyjdzie. A ja wiedziałem, że przyjdzie. Przecież umiałem czytać, mammo. Miałem sześć lat! Widziałem, że masz zapisane w kalendarzu: „Szósta trzydzieści, S. M. tutaj”.

- Nie wiem... co powiedzieć, kochanie.

- I to nawet nie był prawdziwy święty Mikołaj! Jeśli już! O Boże, myśli True, niech mnie tylko nie zapyta... Guy był

zawsze trochę... gapowaty w tych sprawach. Może dlatego, że tak wiele stracił, z pewnymi oporami wychodził z okresu dzieciństwa, choć z taką samą determinacją jak jego przyjaciel, Ferm Bourse, pragnął stać się małym gangsterem. Mężnie próbował nie interesować się świętym Mikołajem, chociaż True podejrzewa, że wiele go to kosztowało.

Guy nie chciałby, żeby wyszło na jaw, iż do siódmego roku życia każdej nocy o trzeciej nad ranem, ukradkiem jak nocna. t raż, wślizgiwał się do jej łóżka. Znajdywała go w nogach łóżka w śpiworze, który podarowała mu Kathleen. Chociaż ogarniały ją obawy, czy nie podsyca niezdrowej seksualności albo niszczącego uzależnienia u pozbawionego ojca dziecka, po cichu uważała tę teorię za czystą bzdurę, także w przypadku rodzin, w których dzieci mają oboje rodziców.

Gdy Peter zgłosił kiedyś zastrzeżenie, że mały Guy sypia w ich łóżku, True sprzeciwiła mu się ten jeden jedyny raz, stwierdzając, że jej zdaniem każda noc pełna czułości, którą Guy dostanie jako dziecko, to jedna noc mniej z panienkami, gdy będzie miał szesnaście lat.

True przygląda się uważnie synowi, walczą w niej współczucie i wstyd. W końcu pyta:

- Masz mi za złe? Wizyty świętego Mikołaja? Czy ty nie robiłbyś tego dla swego dziecka?

- Robiłbym, mammo, ale nie o to chodzi - ciągnie Guy z nutą irytacji w głosie. - Chodzi o to, że ty nie chcesz, żebym wydorósł, chcesz, żebym stale był małym dzieckiem, takim jak w twoich katalogach...

- Ależ nie, Guy!

- Trochę tak!

- Zgoda, panie Clint Eastwood. To jakie ma być to przyjęcie?

- Wszystko sobie zaplanowałem. Chcę, żeby trwało całą noc, żeby każdy miał latarkę i żeby nikt nie spał, i żebyśmy wypożyczyli filmy, takie jak Okropna masakra piłą mechaniczną...

- Teksaska masakra piłą mechaniczną.

- i Krzyk 2.

- To są filmy wyłącznie dla dorosłych, Gee. Nie mogę się na to zgodzić. Mama Fenna bardzo by się gniewała.

- No dooobra. To chcemy o północy wyjść na dwór i bawić się w „Duchy na cmentarzu”.

True wyobraża sobie zaciekawioną twarz matki stojącej w oknie swego domku, gdy tuzin chłopaków, wrzeszcząc, biega między cedrami i klonami.

- Na to mogę się zgodzić.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- To nie będzie dla ciebie przykre? - pyta Guy.

Nie bardziej niż obdzieranie żywcem ze skóry, myśli True, i mówi:

- Nie! Zaoszczędzę na pirackim przedstawieniu Ellery’ego! Na latarkach i kiepskich horrorach! Zgoda, misiaczku.

- Tylko nie to.

- Co znowu?

- Żadnych misiaczków.

- Zgoda, mój niedźwiedziu grizzly.

- Mamo, żadnych niedźwiedzi, proszę. Powiedz to babci i Esie. Żadnych niedźwiedzi. Mam już dziesięć lat.

I żadnego całowania na do widzenia w samochodzie przed szkołą, myśli True. Żadnego czytania na głos przed snem.

- Możesz całować mnie, kiedy chcesz - stwierdza Guy, demonstrując nadprzyrodzoną zdolność odgadywania jej myśli. - Ale nie mów takich rzeczy, jak: „Zaproś Fenna, to się pobawicie”. Chłopcy w moim wieku już się nie bawią... To

znaczy bawią się, ale mówią, że spędzają ze sobą czas. I nie jesteśmy chłopcami, tylko facetami.

- Rozumiem - mówi True. - Kapuję.

Wróć, wróć, wróć, myśli True. Nawet Guy. Nie wszedł jeszcze na ganek, a już nacisnął klamkę.

Później True leży na łóżku z oczyma pełnymi łez. Znowu. W ostatnich tygodniach płacze częściej niż dawniej przez lata. Isabelle otwiera drzwi. Przysiada na łóżku.

- Biedactwo - mówi.

- Oplakuję... jak nie to, to tamto.

- Dzwonił Hank. Pytał, czy pójdziesz z nim na lunch. Hank.

Znowu Hank, choć udało jej się o nim nie myśleć.

Udało jej się wielkim wysiłkiem woli nie myśleć o Hanku prawie przez całą dobę. Nie myśli o Hanku, gdy jedzie okrężną drogą w odwiedzinach do nowego rzemieślnika, by przejechać obok jego restauracji i zobaczyć jego ciężarówkę z naklejką „Odrodzony poganin”, nie myśli o nim, gdy Franny pyta, czy posuwają się sprawy z kucharzem. Niemyślenie o Hanku przypłaca brakiem apetytu. Rano zjada obwarzanek, a zamiast kawy z mlekiem pije wodę. Na myśl o jedzeniu czuje ucisk w żołądku. Nie potrzebuje wagi, by stwierdzić, że chudnie. Kości wyraźnie wystają ponad wgłębienia w policzkach, dzinsy dopinają się bez trudu. True nigdy nie odczuwała tak dokuczliwego i beznadziejnego pożądania. Nie wie, czy dużo jest równie spragnionych kobiet pod zmiennym marcowym niebem w całej Ameryce, w całym wolnym świecie.

- Eso... - mówi True. - On... To, czego on chce... Oboje należymy do świata biznesu i on chce tylko... mnie przeprosić. Jezu, miły z niego facet. Wiesz... podobał mi się. Ale umarłabym ze wstydu, gdybym się z nim spotkała.

- To dlaczego dzwoni tyle razy? Zadaje sobie tyle trudu wyłącznie dla podtrzymania biznesowej znajomości? Z grzeczności? Czy wiesz, ile razy dzwonił?

- Nie wiem - przyznaje True. - A ty skąd wiesz?

- Sprawdzam, jaki numer telefonu odbił się na następnej kartce notesu, pod tą, którą ktoś wyrwał - powiada z szerokim uśmiechem córka sadownika.

- Nie mam sekretów. - True kładzie się na plecach na łóżku.

- Chcesz mieć sekrety przede mną?

- Tylko ten jeden. Ten jeden. Proszę cię, Eso. Daj temu spokój. Tak chcę.

- Nieprawda. Jak ja mówię „daj spokój”, to myślę coś wręcz przeciwnego.

- A ja myślę „daj spokój”. Jak najgrzeczniej.

- Nieprawda. Zachowujesz się jak... Kathleen.

- Wcale nie. Zachowuję się rozsądnie.

- I znowu powiedziałaś to tak jak twoja matka, tyle że z właściwym dla True zabarwieniem.

- Zabarwieniem? To jakieś słowo, którego nauczyłaś się na zajęciach z psychologii?

- O, właśnie. Dokładnie jak Kathleen. To było obrzydliwe. - Podbródek Esy zaczyna niebezpiecznie drżeć.

True jest zaskoczona.

- Rzeczywiście. Obrzydliwe. Bardzo przepraszam. Zawsze taka jestem?

- Nie zawsze, ale jak jesteś, to już na całego.

- Czyli jak?

- Zrób bliźniemu, co tobie niemiłe... oto i Kathleen.

- Psiakrew. Przepraszam. Nie chciałam... Odczuwam lęk, gdy ludzie za bardzo się o mnie troszczą.

- Ale Hank naprawdę dzwonił.

Czy naprawdę zamieniam się w moją matkę?, myśli True.,i Żeby się czymś zająć, dopada laptopa. Dostała e-maila, że zamówienie na Rabbit Pearl zostanie zrealizowane z opóźnieniem.

Rudy i Keith, Kathleen, True i Franny wsiadają do samochodu True, by pojechać na premierę przedstawienia Narnia. Przyjechali też Dog z żoną i dwiema bratanicami True, Merit i Alyssą. Spotykają się w foyer Teatru Rodzinnego zbudowanego za pieniądze anonimowego darczyńcy, aktora z Cape Cod - True podejrzewa, że chodzi o uroczą, pełną wdzięku [ulie Harris - i oglądają rozwieszony na ścianach fotografie. Na potrzeby roli z Guya zrobiono małą, przerażającą istotę z długą rudą brodą („Twarz mnie od niej boli, mamó”, powiedział), ubraną w bury z czubkami zawiniętymi w podwójną pętelkę.

Światła przygasają, True siedzi oniemiała. Jej chłopiec naprawdę ma talent. Pewny głos, zręczne i dyskretne gesty. Widownia wydaje właściwe okrzyki we właściwych momentach i milknie z przerażenia, gdy Guy wręcza Wiedźmie nóż, by zabiła szlachetnego Lwa.

True nie może się doczekać, gdy go przytuli. Dog przyniósł bukiet róż z czekolady. Czeka ją. Kurtyna trzykrotnie wędruje w górę, aż wreszcie Guy, jeszcze w kostiumie, wyłania się zza kulisy - aparaty i kamery gotowe do akcji. Rudy i Isabelle stoją z tyłu, gawędząc z jednym z przyjaciół Rudy’ego, miejscowym aktorem, który wygląda oszalamiająco ze wspaniałą, bujną grzywą Aslana i złotym makijażem na brązowej twarzy.

True dostrzega Hankę w momencie, gdy Dog chwyta siostrzeńca w ramiona, unosi go w górę i kołysząc nim, mówi:

- Dobra robota, chłopie!

Hank stoi oparty o jeden z filarów, najwyraźniej niepewny, czy ma do nich dołączyć. Pod rozpiętą krótką skórzaną kurtką widać miękkie, szary sweter. Ich spojrzenia się spotykają. Na skinienie True Hank podchodzi. True bierze głęboki oddech.

- To Hank Bannister - mówi do brata, który tymczasem postawił Guya na ziemi i może uściskać dłoń Hanka. - A to mój brat Dog. To znaczy Augustus. Dla nas Dog. - True spostrzega, że przy Dogu Hank wydaje się drobny i szczupły. Nie jest wyższy od True o więcej niż piętnaście centymetrów przy jej stu sześćdziesięciu dwóch centymetrach, które z chęcią by rozciągnęła. - Hank ma restaurację w Truro...

- Truro! Jest kompletnie wymarłe o tej porze roku! - wyskakuje Dog.

- Nie narzekamy - uśmiecha się Hank. - Widocznie ludzi pociągają wymarłe miejsca.

- Co to za akcent? - pyta Dog.

- Luizjana - mówi Hank. - Rozumiem, że nadal go słysząc, choć przyjechałem z Luizjany przez Kolorado, Florydę, Vegas, Nowy Jork...

- Obieżyświat - komentuje Dog tęsknym głosem. Linda, jego żona, szczypie go w ramię.

- Niespokojny duch.

- I tak trzymaj, póki jesteś singel - radzi Dog, tuląc Merit.

- Myślę, że tu będzie mój dom. - W spojrzeniu, które śle True, jest prośba i żal. - Opowiedziała ci siostra, jak byliśmy w kręgielni?

- Spotykacie się? - pyta Dog.

Do licha, myśli True, za dużo gada.

- Wypadek przy pracy. - True śmieje się życzliwie, a Hank zwraca się do Guya, przyjmującego gratulacje od publiczności.

- Jestem Hank - mówi, wyciągając rękę. Guy podaje mu lewą dłoń. Wyglądają, jakby trzymali się, by przejść razem przez jezdnię. - Całkiem zwariowane przedstawienie, Guy. Słowo daję. Sam też trochę występowałem...

- Jest pan aktorem? - pyta Guy z wielkim zainteresowaniem.

- Nie. Jestem kucharzem - mówi Hank. - Ale dawniej grałem parę razy.

- W filmie?

- Nie. Na scenie.

- Na Broadwayu?

- Niezupełnie. W teatrzyku studenckim. Właściwie tańczyłem. Byłem za głupi, żeby zajmować się przedmiotami ścisłymi, i za niski, żeby grać w kosza. Pomyślałem więc:

„Lubisz skakać. W czym może być dobry facet niezbyt bystry, który lubi skakać?” Raz tylko, latem, grałem za pieniądze - w przedstawieniu Oklahoma. W czymś takim musisz być bardziej skoczkiem niż tancerzem. I wiesz? To było tutaj. Byłem wtedy na Cape Cod pierwszy raz i słowo daję, od razu wiedziałem, że kiedyś tu wrócę.

Musi być pedałem, myśli True, albo przynajmniej biseksem. A ja się zastanawiam, czy zauważył, że zeszczuplałam. Że smarowałam się pojedyniającym kremem, który wygładza skórę na policzkach przynajmniej do chwili, gdy wychodzisz z, łazienki.

- Muszę się nauczyć tańczyć - mówi ponuro Guy. - Muszę brać lekcje tańca. Trzeba się nauczyć tańczyć, jak się chce być prawdziwym aktorem. Zupełnie nie mam wyczucia środka ciężkości własnego ciała. Tak mówi nasz choreograf. Mamo, czy mogę już zdjąć tę brodę? Wydaje mi się, jakbym miał wszy.

- Idź się przebrać. Nie. Zaczekaj. Zrobię ci zdjęcie. Nie ściągaj jej tak po prostu, Gee. Użyj rozpuszczalnika do kleju.

- Pomaga koszykówka - wtrąca Hank. Guy odwraca się.

- Gram w koszykówkę - mówi. - Na miejskim placu zabaw.

- Silne mięśnie ud bardzo pomagają w tańcu - mówi Hank. True czuje, jak coś ją ścisną w gardle. - Od razu sobie pomyślałem, że wyglądasz na faceta, który gra w kosza, więc mam coś dla ciebie.

Hank podaje chłopcu kawałek papieru wsunięty między dwie warstwy przezroczystego plastiku, w jakim zwykle trzyma się w portfelu fotografie.

Guy ogląda go z uwagą.

- Tu jest napisane... Scottie Pippen.

- Zgadza się.

- To jego prawdziwy autograf?

- Tak.

- Skąd pan to ma?

- Kumpel mi załatwił, gdy pracował przy ostatnich finałach. Michael jest dziennikarzem sportowym.

- To musi być warte kupę forsy. Chyba nie chce mi pan tego dać na zawsze. Jestem jeszcze... dzieckiem.

Wszyscy się śmieją.

- Właśnie. To w sam raz dla dziecka. Ale nie znałem właściwego dziecka. Wszystkie moje dzieci to dziewczynki, i dzieci mojej siostry. Jak na razie.

- Nie ma pan chłopca?

- Nie. Na razie.

Hank nie próbuje ukryć odważnego spojrzenia na True.

To, co Hank ofiarował jej synowi, to coś więcej niż kawałek papieru. To potwierdzenie, że jej syn, który ciągle ma małe krągłe ciało dziecka, jest w istocie facetem. True nie potrafi znaleźć słów, by mu powiedzieć, ile to dla niej znaczy i jak się martwi, widząc Guya, gdy przebiera nogami, by dotrzymać kroku Fennowi - bo Ferm ma już kształty nastolatka, którym niedługo będzie - starając się nadążyć za jego zwodami na korcie. I jak się boi, by Guy nie wyrósł na samotnego i pulchnego maminsynka. Guy zamierza odejść, więc True szepcze:

- Nie zapomniałeś o czymś? Guy patrzy zmieszany.

- Aaa, o podziękowaniach! Dziękuję, wujku Dog, za czekoladowe róże. I panu...

- Jestem Hank.

- Hank, naturalnie. To najfajniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek...

Guy spontanicznie rozwiera ramiona i obejmuje Hankę w pasie, przytulając policzek do skórzanej kurtki.

True dostrzega zaskoczenie Hanka, a potem widzi, jak mężczyzna się rozluźnia i powolnym ruchem kładzie ręce na ramionach Guya. Dog i Linda dostają nagle ataku kaszlu.

- Wiecie, skąd ten kaszel? - pyta Guy. - Przez te kostiumy. One śmierdzą! Nie można ich wyprać, boby się rozleciały. Takie są stare! Musieliśmy je psikać Febreze, środkiem przeciw brzydkim zapachom, bo byśmy umarli od tego smrodu. Facet, który grał tę rolę przede mną, był w ósmej klasie i wiecie, miał już hormony. Gdybyście powąchali ten płaszcz, gdy go pierwszy raz włożyłem...

- Nic więcej nie chcemy wiedzieć - mówi True.

- Człowiek się poci przy takiej pracy - mówi Hank.

- Mogę się już przebrać, mamó?

Gdy Guy biegnie do garderoby i ałtasowe spodnie karła zsuwają się nisko, odsłaniając przerwę między pośladkami, białymi połówkami, przypominającymi obrane, ugotowane na twardo jajka, wszyscy się uśmiechają i kręcą głowami. Rudy i Esa wkładają płaszcze i żegnają się.

- Bardzo, bardzo miło z twojej strony... - mówi True do Hanka, gdy stoją parę kroków od reszty. - Chciałam do ciebie zadzwonić i przeprosić cię za moje głupie, okropne zachowanie. Wiesz, kryzys wieku średniego.

- Chodźcie teraz całą rodziną do mojej restauracji - mówi pośpiesznie Hank. - Przygotuję wam kolację.

- Bardzo dziękuję, Hank, ale mamy rezerwację w Old Turtles. To ulubiony lokal Doga...

- To odwiedź mnie po kolacji.

- Rodzina będzie u mnie nocować... Co? Po co?

- Przyjdź do mnie, gdy wszyscy pójdą spać. Nieważne, która to będzie godzina.

Przyjdź, proszę. True, proszę, przyjdź do mnie.

- Posłuchaj, Hank. Jesteś miłym facetem. Nie miałam na myśli tego wszystkiego, co ci powiedziałam. Nie musisz już niczego... wyjaśniać. Dostałam kartkę. Jest słodka. I ty jesteś słodki.

- Nie po to chcę, żebyś przyszła. Tak, chcę z tobą porozmawiać, ale chcę też cię dotykać. Tylko o tym myślę. Przez cały czas.

Twarz może w takiej chwili wyglądać tylko w jeden sposób. Twarz czuje, jak się czerwieni, i że ogarniający ją płomień widoczny jest dla przechodniów idących za oknem, dla statków na morzu, a nawet dla kosmonautów beczynn timerem wyglądających przez luki stacji kosmicznej Mir.

Nie pójdzie do niego. Zobaczy, jak się będzie czuła po kolacji. Nie, zdecydowanie nie pójdzie.

Po drodze do restauracji słuchają ulubionej piosenki Guya w stylu doo-wop.

- Śpiewaj akompaniament, mamie - prosi Guy, ciągle podniecony przedstawieniem. - „Czemu bierzesz mnie pod włos, gdy wokoło kwitnie wrzos...”. Nie powtórzyłaś „pod włos”.

- Zastanawiam się, Guy.

- Czy ten autograf... - mówi Guy. - Czy to w porządku, żeby obcy człowiek dawał dziecku coś takiego?

- Nie musisz się go obawiać. Mama była przy tobie. I wujek. Hank jest... miłym facetem.

- I podoba ci się.

- Oczywiście, że nie.

- To dobrze, mamie. Bo, nie obrażając nikogo, nie jest dość stary na tatę.

- Też tak myślę, Guy.

- Całowałaś się z nim?

- Nie.

- A zamierzasz się z nim całować?

- Nie.

- Nie znoszę powtarzać tego jeszcze raz, ale to samo mówiłaś o Evanie Wstrętnym



(dziękuję, Eso, myśli True, bo to Esa wymyśliła tę ksywkę). Mówiła: „Jesteśmy tylko dorosłymi przyjaciółmi...” A potem zaczął ciągle przychodzić... i ty... i ty...

- Co ja?

- Nie chcę, żebyś się złościła, gdy to powiem.

- Nie będę się złościła.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Myślę, że z nim spałaś.

True ścisła mocniej obleczone skórą koło kierownicy.

- Dlaczego tak myślisz?

- Teraz to już na pewno się wściekniesz.

- Nie, Guy! Chyba że nadal będziesz się tak czaił!

- Bo miałaś jedną z tych rzeczy, która jest potrzebna, żeby ze sobą spać.

- Jakich rzeczy?

- Taki wielki gumowy napaśtek.

Guy mówi o diafragmie. Leży pod warstwą talku w czymś, co wygląda jak pudełko na pierścionek w szufladzie z pończochami.

- Guy! Dlaczego grzebiez w moich rzeczach? Ty nie lubisz, jak ja zaglądam...

- Szukałem pary białych skarpetek, mam! I tyle! Otworzyłem, bo nie wiedziałem, co to jest, i spytałem Brendana Fredericksona...

- Spytałeś Brendana?

Fredericksonowie są chrześcijanami przestrzegającymi zasad tak surowo, że nie mogli znaleźć dla siebie dość fundamentalistycznego kościoła po tej stronie Sagamore Bridge, musieli więc wynająć salę w Domu Weteranów Wojen Zagranicznych, by odprawiać w niej nabożeństwa.

- Brendan powiedział, że jego mama też ma coś takiego. [że to dobre dla mężatek.

- Jak ją kupiłam, też byłam mężatką.

- Żeby nie mieć więcej dzieci. Rozumiem, że chciałaś mieć tylko mnie. Skoro masz, co najlepsze, po co myśleć o reszcie.

- Też mi się tak wydawało - mówi sucho True.

- Ale miałabyś więcej dzieci, gdyby tata nie umarł?

- Tak sądzę.

- A jak znowu wyjdiesz za mąż?

- To co?

- Będziesz miała dzieci?
- Pewnie nie.
- Za stara jesteś, tak?
- Wcale nie, Gee. Nie jestem za stara. Mogłabym mieć dziecko. Chciałbyś, żebym miała dziecko? Chciałbyś mieć braciszka albo siostrzyczkę?
- Zależy.
- Od czego?
- Od dziecka.
- Zastanawiałam się, czy nie adoptować dziecka z Chin.
- Mówiłoby po chińsku?
- Raczej nie. Chyba że my byśmy mówili po chińsku. Dzieci mówią językiem rodziców. Ty mówisz po angielsku i francusku. Mówisz po francusku?
- Tak. Un, deux, trios...
- Dalej...
- Cuatro, cinco, sex...
- Jesteś też chyba Hiszpanem.
- Skoro nie będzie mówiło po chińsku, to dlaczego z Chin? Byłoby takim samym dzieckiem jak każde inne.
- W Chinach jest wiele dzieci, które nie mają rodziców.
- A gdzie są ich rodzice?
- Byli biedni albo chorzy i nie mogli ich wychowywać.
- A jak wyjdiesz za mąż, to będziesz z nim sypiać?
- Zdaje się, że mówiliśmy o adopcji.
- Jeśli ten facet, co ma restaurację, cię pocałuje i wyjdiesz za niego za mąż, nie będę mógł więcej przychodzić do twojego łóżka? Nawet jak będzie huragan? Albo jak będę wymiotował?
- Guy, Guy! Zastanów się lepiej, co chcesz zamówić na kolację - mówi True, targając sterczące, umalowane na czerwono na potrzeby przedstawienia włosy syna. - Zjesz małże czy tylko sałatkę Cezara? Jest już bardzo późno. Wiesz, jak byłeś mały, nazywałaś tę sałatkę sałatką cesarską. Pewnie dlatego, że ktoś ci powiedział, że tak właśnie cię urodziłam, przez cesarskie cięcie.
- Pizzę - mówi Guy, odczuwając taką samą ulgę jak True, że już nie mówią o seksie. - Pizza Margareta. Z dodatkową porcją sosu pomidorowego. I nie powtarzaj tych rzeczy, które mówiłem, jak byłem mały, poza domem, dobra? To mnie peszy.

- A ty mówisz o mnie takie rzeczy. Powiedziałeś kiedyś, że ważę więcej, niż mam napisane w prawie jazdy.

- Bo byłem na ciebie wściekły.

- Czyli wszystko jest w porządku, gdy ty jesteś wściekły, ale ja nie mogę być wściekła.

Guy wzdycha.

Wchodzą do restauracji i True spostrzega, że połowa rodzin małych aktorów wybrała to samo miejsce. Zsuwają więc stoły, dzieci siadają razem przy jednym z nich i zamawiają zielony, gazowany napój oraz pizzę. True siedzi z bratem i bratową Lindą, z Franny i jej córką Angelique, gdy tymczasem młodsza córka Franny, Clainey, która często występuje w teatralnym zespole i ma wielu przyjaciół wśród małych aktorów, podbiega, by uściskać Guya. Kathleen poczuła się zmęczona i Beatrice, dyrektorka teatru, obiecała podwieźć ją do domu.

Przy drugiej kolejce drinków True niespodziewanie pyta brata:

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego mama nie wyszła powtórnie za męża?

- Nie - odpowiada brat, sięgając po paluszki z mozzarelli. - Dosłownie lepi się do sędziego Hammersmitha i do roznosiciela paczek, i do urzędnika z sądu...

- Pewnie dlatego, że tak uwielbiała tatę.

- Może - przyznaje True.

Poza niedociągnięciami True jedynym tematem, na który Kathleen potrafi mówić bez zająknięcia i bez przygotowania, są zalety Roberta Dickinsona, ojca True, którego niewielki samochód wpadł w poślizg na śliskiej jezdni i wpadł do rowu, gdy True miała dziesięć, a Dog dwanaście lat.

W czasach gdy takie towary sprzedawali domokrażcy, Robert Dickinson handlował encyklopediami. Najwyraźniej odnosił duże sukcesy, jeśli sędzić po dyplomach, które Kathleen porozwieszała na ścianach swojego domku. W związku z częstymi wyjazdami i panującym zwykle w domu milczeniem Robert nie tylko sprzedawał, ale także czytał encyklopedie, włącznie z rocznikami, od deski do deski, a kiedyś powiedział nawet dzieciom, że nie może się doczekać chwili, gdy będą na tyle duże, by robić to samo i gdy on będzie mógł je przepytować podczas kolacji. Dog i True nie pamiętają ojca zbyt dobrze. Nie oplakują go. Wypadek nazywają „Chappaquiddick” (Nawiązanie do wypadku samochodowego, który miał w czerwcu 1969, nieopodal Chappaquiddick, Edward Kennedy), gdyż obie katastrofy wydarzyły się mniej więcej w tym samym czasie, a Kathleen nigdy nie opowiadała o szczegółach. Zawsze natomiast zastanawiali się, czy tamtej mrocznej wiosennej nocy ojciec wracał do domu z tawerny. Kathleen natychmiast wówczas podkreślała, że Bert

był człowiekiem, który potrafił wrócić do domu po dziesięciodniowej podróży, pójść do swojego sklepu, zbudować w ciągu jednego popołudnia ganek i nadal miał dość energii, by tej samej nocy tańczyć tango w Saint Dunstan's.

- Albo może nigdy nie znalazła faceta, który by tańczył tango - dodał Dog. - Pamiętasz, jak zawsze mówiła: „Nie należał do mężczyzn, którzy wyglądają jak baba, gdy tańczą”?

- Tak - mówi True, myśląc o ramionach Hanka i zastanawiając się, jak on tańczy. - Mówiła: „Umiał tak prowadzić, że czułam się lekka jak liść w jego ramionach”.

- Trudno mu dorównać - mówi Dog.

- Szkoda, że nie znałam waszego ojca - wtrąca Linda. Brat i siostra spoglądają na nią pustym spojrzeniem.

- Myślę, że znała go innym niż my. - Dog wzrusza ramionami. - Była nieznośna, gdy odszedł. „Zjadajcie wszystko, do ostatniej okruszynki. Płacę za każdy kęs”. Pamiętasz, jak się wstydziła, że musi pracować?

True pamięta. Pamięta też, że matka często im przypominała, gdy narzekali na swoje staromodne kraciaste spódnice i kamizelki, że zapewnia im lepsze wykształcenie, niż mogłoby to zrobić ich ojciec, gdyby żył. Dog powtarza to teraz, irytując swoje córki, które także chodzą do tej samej szkoły w Amherst i korzystają z ulgowego czesnego, ponieważ ich ojciec jest tam nauczycielem: „Czy wiecie, że dostajecie lepsze wykształcenie niż to, które byście dostawały, gdybym nie żył?”

- Ale skoro tak jej się podobało być mężatką... Podobno ludzie, którym odpowiada małżeństwo, od razu powtórnie wступują w związek małżeński, a ja ciągle słyszę jej słowa: „Nie byłam na żadnej randce, od czasu gdy Bert zmarł”.

- Wyobraź sobie mamę na randce.

- A co? Ty nie możesz sobie tego wyobrazić? Jakiś obiadek w ramach kościelnych spotkań? W sam raz.

- Dobra, dobra, siostrzyczko, ty też nie poleciałaś od razu przed ołtarz, no nie? A miałaś całkiem udane małżeństwo - replikuje Dog, zamawiając więcej smażonych ostryg.

Ponieważ True tyle razy przejeżdżała koło posesji Hanka i tyle razy sprawdzała adres w książce telefonicznej, doskonale wie, w którym domu on mieszka: jest to całkiem niekonwencjonalny budynek w kształcie litery A przy Bobby Lane. Rozpoznałaby go nawet wtedy, gdyby nie paliły się światła na ganku, przy dróżce i w salonie. Ale światła są włączone - w przeciwieństwie do najbliższego sąsiedztwa pogrążonego w zimowym śnie. Jest pierwsza w nocy. W domu True wszyscy już śpią.

Jest tak uprzejmy, tak wzruszająco uprzejmy, że gasi światło w salonie, ledwie True przekracza próg jego domu. Całuje go, zanim on zdoła wyciągnąć po nią ręce - studencki pocałunek z języczkiem. Jego usta są miękkie jak usta dziewczyny. Całują się znowu, tym razem obejmując się wzajemnie \v pasie. True zrzuca płaszcz z ramion. Czuje w ciemności, że Hank rozpina zatrzaski koszuli. Przez bluzkę sięga do czegoś, co wydaje mu się sprzączką stanika. Sięga z przodu, do zapięcia, na jakie zdecydowałyby się młoda dziewczyna

o biuście jak para radosnych szczeniaków. Gdy czuje, jak jego ciepłe ręce unoszą jej piersi, brak jej tchu.

- Delikatna... - mówi Hank. - Cudownie delikatna skóra. True słyszy, jak Hank rozpina zamek spodni, wie, że jedną

ręką manipuluje przy klamercie paska, sięga więc do guzika długiej spódnicy, oswabdza się z pończoch, wykopuje długie kowbojskie buty. Hank popycha biodrem drzwi, by się za mknęły.

- Jesteś taki chudy bez ubrania - mówi True - jak dziecko.

- Mówi się „smukły”, łaskawa pani. Nie mogę przytyć na tej kuchni. Jeśli chodzi o dziecko, to się zgadza - mówi. Kieruje rękę True na satynowe włosy swojego łona. Nie jest sztywny. - Daj mi jeszcze chwilę, najdroższa, najdroższa... - mówi. - Jestem zdenerwowany...

I wtedy zaczyna rosnać, rozkwitać; piękny, mocny korzeń, z lepką łzą na koniuszku.

Kłęczą, obejmują się... zobaczy, jaki mam brzuch, myśli True, jaki tyłek... kładą się.

- Chcesz, żebym włożył... - pyta Hank.

- Nie, a ty? - odpowiada, nie mogąc złapać tchu. - Nie chcę niczego.

- Cięża?

- Nie sądzę - stwierdza.

- Nie mam nic przeciwko temu. Jak się zdarzy, to w porządku - mówi do True. - A jeśli masz jakąś okropną egzotyczną chorobę i na nią umrzesz, to chcę się zarazić i umrzeć razem z tobą.

True czuje coś, czego nie czuła nigdy przedtem - może tylko w stosunku do Guya. Nieokielznane, wszechogarniające wzruszenie. Uwielbienie. Traci zmysły. Pozwala sobie nie myśleć. W tym momencie odczuje uniesienie. Jeśli tylko w tym.

- Ja też to czuję. Dokładnie tak samo - mówi Hank. True leży pod nim na dywanie, przy drzwiach.

- Od dywanu bolą kolana - mówi Hank. - Okropnie. I to ze dwa dni.

True czuje ukłucie w sercu. Uświadamia sobie, że były i inne odkrycia, równie pospieszne, niemogące czekać na komfort łóżka. Ale on mówi dalej:

- Jesteś taka wilgotna, taka wilgotna. Czuję twój zapach. Pachniesz wanilią. Jak ciastko.

- To dlatego, że... - zaczyna True.

- Dlatego, że mnie kochasz - kończy Hank. Kładzie palec na jej usta, wkłada palec do jej ust. - A ja jestem twój.

I True wie, że przepadła.

Pół godziny później siada, sięga po najbliższą rzecz - flanelową koszulę Hanka. Zastanawia się, w ilu miejscach na świecie dokładnie w tej chwili kobiety siadają i wiedzione uczuciem, w którym jest i skromność, i pragnienie, by wyglądać szczuplej, wkładają koszulę swojego mężczyzny?

- To było... przyjemne - mówi True.

- To dla mnie dowód, że możliwości są nieograniczone odpowiada Hank.

Zdaniem True ujął to dość dziwnie.

- Co masz na myśli?

- Możliwości seksualne.

- Wiem, że seksualne, ale o co chodzi?

- Że może nam być ze sobą przyjemnie, stale i wciąż. - Miałeś wątpliwości?

- Miałem wątpliwości, bo... nigdy nie byłem...

- Ze starszą kobietą.

- Nie - mówi Hank z dezaprobatą. Jego spojrzenie staje się chmurne, ale True czyta w jego umyślnie nieprzeniknionych oczach.

- Pewnie myślałeś, że mam na ramionach obwisłą skórę, która majta się w tę i nazad. - True wybucha śmiechem. Zawsze miała piękne ramiona i zawsze mogła nosić ubrania

bez rękawów, nie poruszając się przy tym jak pingwin. Hank uśmiecha się, ale milczy.

- Tak sobie myślałeś?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ale coś tam sobie myślałeś.

- Naturalnie. Zastanawiałem się... co będzie inaczej. Ale okazało się, że ogólny, sumaryczny efekt był... idealny.

- Ogólny, sumaryczny efekt.

- Kobieto, dlaczego czepiasz się słów? Zmieńmy temat.

- Przecież to ty używasz tych słów. Dobra, masz na myśli ogólny efekt, a konkretnie...

- True... - Hank przeciąga kciuk wzdłuż jej szyi ku mostkowi. - Jesteś piękna, cudowna, pociągająca i starsza ode mnie, ale niewiele.

- I myślałeś, że z tego powodu będzie inaczej. - True jest gotowa się rozplakać. - Myślałeś, że nie będę pociągająca.

- Wiedziałem, że będziesz pociągająca. Ale zastanawiałem się, co będzie inaczej.

- Więc co było inaczej?

- To tylko, że... W każdym razie kobieta, nawet jeśli nie jest za gruba, a ty nie jesteś... jak jest młodsza, jest bardziej... nie wiem... jest...

- No jaka?

- Jej ciało jest inne.

- Jędrne.

- Ty to powiedziałaś. Nie ja. I nawet nie to miałem na myśli. Nie umiem się wysłowić.

- Jędrne - mówi True, sięgając stopą po własne rozrzucone ubrania. - Tak. W tym rzecz. Dlaczego zawsze miałbyś być taki szczerzy? - True nie chce wstać i demonstrować jakiegokolwiek niedoskonałej, obwisłej części swego ciała.

- Nie odchodź i nie zabieraj zabawek - prosi Hank. - Czy każde nasze spotkanie musi kończyć się kłótnią?

- Nie - mówi True. - Ale nie chcę być partnerką z litości.

- Co ty wygadujesz, kobieto?

- Jeśli zrobiłeś to tylko dla mojej przyjemności...

- A co ja bym z tego miał? Zastanów się. Przychodzę na przedstawienie twojego dziecka, staram się być gentleman caller...

Dobry znak, myśli True. Daje mi do zrozumienia, że potrafi zacytować słowa ze znanej sztuki. Ale zaraz przypomina sobie Jersey, przyjaciółkę ze studiów, której chłopak napisał na karcie pocztowej słowa: „Do czego cię przyrównać? Do dnia w pełni lata?\"", a później Jersey dowiedziała się od czterech swoich koleżanek, że znał tylko ten jeden sonet.

True przypomina się też najmniej rozgarnięty z adoratorów Isabelle, który chcąc z nią zerwać, napisał dla niej i przesłał jej pocztą haiku.

- Przykro mi - przyznaje True. - Zacznijmy od początku. Zacznijmy rozmawiać o rzeczach, o których ludzie rozmawiają na randkach, jeśli wszystko odbywa się we właściwej kolejności. - True rumieni się. - To znaczy, o czym rozmawiają, zanim zaczną się ze sobą kochać. Tamtego spotkania, kręgielus interruptus, nie uważam za randkę.

- Zgoda. Gdzie chodziłaś do szkoły?

- W Amherst.

- Zdolna dziewczynka.

- Nie zdolna, tylko tam mieszkałam. Tam się wychowałam. Przeniosłam się tutaj po

wyjściu za mąż.

- Opowiedz mi o swoim mężu.

- Pochodził z Montany. Studiował w Embry-Riddle (Uczelnia aeronautyczna założona w Ohio (Cincinnati) przez T. Hig-bee Embry'ego i Johna Paula Riddle'a w 1926 roku. Jedną z najstarszych i najbardziej prestiżowych uczelni w USA, mająca swoje placówki także w Europie).

Zawsze chciał być pilotem. Mój brat też uczył się tam przez pewien czas, póki nie uświadomił sobie, że ataki astmy dopadające go za każdym razem, gdy wsiada do samolotu, były w rzeczywistości atakami strachu. Teraz jest nauczycielem literatury angielskiej. No i bądź tu mądry.

- Moja siostra chciała zostać lekarką, ale na widok zwłok zemdląła, upadła i omal nie doznała wstrząsu mózgu.

- Co teraz robi?

- Jest baletnicą. Szczęście, że ten upadek nie spowodował zaburzeń w koordynacji ruchów...

Dobra nowina, myśli True. Pochodzi z ambitnej rodziny, ze świata artystycznego.

- Właśnie!

- Ale nie opowiedziałas mi jeszcze ani połowy. Już się nastawiłem na resztę biografii, a ty zmieniasz kanał.

- Nie rozumiem, dlaczego chcesz się tego wszystkiego dowiedzieć. No, ale dobrze. Pete przyjeżdża} kilkakrotnie

z Dogiem do nas do domu. Jeździli razem na Cape Cod. Pete uwielbiał Cape. Ja znałam to miejsce bardzo dobrze, bo pracowałam tam jako opiekunka do dzieci podczas letnich wakacji...

True myśli o długich letnich dniach, gdy jej pracodawczyni traktowała ją, siedemnastoletnią dziewczynę, jak osobę dorosłą i częstowała wódką z tonikiem, tak samo jak swoje dorosłe przyjaciółki, inne matki plażujące w dyskretnych bikini, spędzające dni na opalaniu, gdy mężowie pracowali w Bostonie i zjeżdżali w piątkowe wieczory. Nikt wtedy nie myślał ani o raku skóry, ani o niestosowności częstowania alkoholem młodzieży. Wszystko było tak niewinne, choć... niezdrowe. Tamte czasy kojarzą się True z pełnym słońca błogostanem i wolnością. Z nocnymi przyjęciami na plaży. z bliźniakami, Paulie i Mikey, którzy jednakowo ją pociągali, z rozkosznymi nocami, podczas których w cieniu palonych na plaży ognisk pozwalała jednemu lub drugiemu zbliżyć się - tylko ręce - do sekretów ukrytych pod bluzeczką z gołymi plecami.



- Wiele dziewcząt zjeżdżało na Cape Cod w tym celu. To była wspaniała praca. Ja pracowałam w Harwichport, w małej miejscowości przypominającej Jersey Shore, gdzie malutkie domki o śmiesznych nazwach, na przykład „Wybryk O’Reillych”, stały ciasno jeden obok drugiego. Pracowałam dla małżeństwa, kuzynostwa Nickersonów.

- Których Nickersonów?

- Tych Nickersonów. Tych, do których należy prawie całe miasto. Targ rybny, biurowce. Popatrz na nazwiska na cmentarzu. Chatham to Nickersonowie.

- To znaczy...

- To znaczy, że dobrze mi płacili i zajmowałam się tylko dwoma małymi chłopcami, a mój brat mógł przyjeżdżać z kolegami i nocować w ich domu. Mama, Mary Ann, przygotowywała na śniadania gofry z borówkami. Myślę, że to właśnie w gofrach Mary Ann zakochał się Pete. Potem uczył się dalej, służąc w marines. W siłach powietrznych.

- To robi wrażenie.

- Och, Pete mógł robić wszystko. Mógł biegać przez cały dzień i nigdy nie był zmęczony. Mógł dźwignąć, co tylko chciał. Poligon musiał być dla niego jak przyjęcie na plaży.

Hank wierci się niespokojnie, przykrywa się rogiem narzuty. Jak ktoś taki może czuć się niepewny siebie?, myśli True. A jednak bawi ją, że ten facet wyobraża sobie jej męża jako greckiego dziesięcioboistę i traci rezon na myśl o porównaniach. Może pierwszy raz w życiu czuje, że inny mężczyzna jest od niego lepszy, rozważa True i uśmiecha się w duszy, mówiąc:

- To długa historia, ale ostatecznie Pete został pilotem w Cape Air.

- Z twojego powodu.

- I dlatego, że chciał latać małymi samolotami. Już wtedy postanowiłam, że chcę tu mieszkać, ale to się nie liczyło.

- Poszłabyś za nim wszędzie.

- Nie. Ale on nalegałby, żebym poszła tam, gdzie on chciał. To, co mówiłam, nie liczyło się. Miałam szczęście. Gdy tu przyjechałam, dostałam pracę nauczycielki, nie specjalnego. Ale Franny wyszła już za Steve’a, miałam też przyjaciółkę, Mary Ann, u której pracowałam i która po pewnym czasie przedstawiła mnie Elizabeth. Rzuciłam pracę nauczycielki i najęłam się u Elizabeth.

- Bardzo ci go brakuje.

- Pete’a? To już osiem lat. Tak, brakuje mi go, ale coraz mniej. Z powodu Guya - tak. Ale my...

- Co?

- My... Był dobrym mężem. Mógłby być dobrym mężem. Ale... nie zdążył. Nie dorósł.

- Ciągle tego słucham o sobie. - Hank wciąga dzinsy na gołą pupę, wzruszając ramionami w taki sposób, że serce True podskakuje jak szalone. - Ciągle słyszę, że ja tylko rosnę.

- Nie, Pete mnie kochał. Ale nadal był dzieckiem... I jeśli mam być szczerą, ja też byłam dzieckiem...

- W królestwie nad mórz pianą...\*

Kolejna aluzja literacka. True je gromadzi. Przesuwa pionek z pola „Hank Wszystkich Zawodów” na wyższą pozycję., już nie tylko z powodu jego twarzy, by nie wspomnieć o pupie. Samo to, iż dał Guyowi autograf, dowodzi, że nie jest hulaką, a nawet jeśli jest, to hulaką sentymentalnym.

- Jak się miało dwadzieścia trzy lata, zakładało się rodzinę. W moim pokoleniu.

- Jaki był twój główny przedmiot?

- Literatura angielska. Bardzo praktycznie. Ale wiesz, myślałam, że zawsze będę uczyć. Jak moja mama, a później

brat. Kierowanie innymi mamy we krwi.

- A twoja firma?

- Założyłam ją z pieniędzy za ubezpieczenie Pete’a. Niewiele mieliśmy, ale i niewiele potrzebowaliśmy. Wojsko dobrze opiekuje się wdowami i sierotami. Pokrywano nam niektóre wydatki. Wiesz, zasiłki dla weteranów.

- Na czym polega ten interes?

- Miałam trochę doświadczenia marketingowego z poprzedniej pracy. Najogólniej mówiąc, chodzi o paczki z prezentami, z których wszystkie robione są ręcznie, i...

- Wszystkie?

- Każdy prezent jest wykonany ręcznie. To jedna z naszych zasad. Wszystko jest... naturalne.

- Skąd je bierzesz?

- No wiesz, na całym Cape Cod i w ogóle w całej Nowej Anglii jest mnóstwo artystów. Wielu wykonuje duże dzieła, na przykład obrazy olejne czy meble. Ale z tego nie można żyć. Robią więc także drobiazgi codziennego użytku, które sprzedają na różnych wystawach. Powiedzmy, że robisz drewniane pudełeczka na zęby...

- Na zęby? Na sztuczne szczęki?

- Nie, głuptasie. - Oboje się śmieją. - Na pierwszy ząbek, który dziecko traci. - True uśmiecha się smutno, kiwając głową. - Wiem, wiem. Ale ludzie to robią. Więc powiedzmy, że

robisz takie drewniane rzeźbione i malowane pudełeczka na ząbki i latem sprzedajesz sto pudełeczek na miejscowym targu po dziesięć dolców za sztukę. Jeśli sprzedasz tysiąc sztuk po pięć dolarów i wiesz, że w następnym roku sprzedasz

o tysiąc więcej - to też ci się opłaca. Opłaca się i artystom,  
i nam.

- Jasne. To genialne.

- Dzięki - mówi True. - Jestem z tego bardzo dumna.

True przypomina sobie, jak matka z krzywą miną upominała ją, że pieniądze z ubezpieczenia powinny być zainwestowane nie w akcje, tylko w obligacje - na przyszłość dla Guya, że firma to gruszki na wierzbie. Choć Kathleen zmieniła później zdanie, nigdy nie powiedziała ani słowa przeprosin, że tak bardzo nie dowierzała w zdolności córki.

- Kim jest Elizabeth?

- Jest sławna. Nie tylko na Cape Cod. Wszędzie. Produkuje lalki. Odniosła zadziwiający sukces. Zaczęła produkować lalki wzorowane na prawdziwych, historycznych postaciach kobiet, potem zamawiała u pisarzy książki i sprzedawała je razem, lalki i książki - książki o losach prawdziwych postaci i podobizny tych postaci w kształcie lalek. Każda lalka kosztuje sto dolarów. Bez dodatków... To znaczy bez akcesoriów. Z książek Elizabeth korzystają nawet szkoły. Ciągłe otrzymywała propozycje, by sprzedać swoją firmę takim potentom jak na przykład Fisher-Price.

Ty też będziesz dostawała takie propozycje. O, nie. Ja nie osiągnęłam takiego poziomu. A nawet gdy bym go osiągnęła, nigdy nie sprzedałabym firmy. - Nie sprzedałabyś? Nie. Za żadną cenę, chyba że zamierzałabym przejść na

...emeryturę, kupić sobie willę w Irlandii i zafundować Guyowi naukę w domu zamiast w szkołach.

Nieźle brzmi...

I Hank cofa się o jedno pole do tyłu. Silne dążenie do celu to cecha, którą True w ludziach podziwia. Także u dzieci. Hank mówi:

Opowiedz mi o Elizabeth i jej laleczkach. Byłaś nauczycielką i poszłaś na rozmowę z Elizabeth...

True jest zdziwiona. Większość znanych jej mężczyzn dokonuje rozpaczliwego przeglądu danych i z wielkim wysiłkiem znajduje cokolwiek, o co można by zapytać kobietę. A on chce dat i szczegółów. Nigdy nie czuła się tak wypytywana, tak... godna zainteresowania. Czy to wszystko naprawdę szczerze go ciekawi? Czy on rzeczywiście odczuwa co - jak jej się zdaje - powiedział, zanim zaczęli pospiesznie ściągać z siebie

ubrania? Czy może jedynie wydobywa z niej informacje jak właściciel małej firmy od właścicielki

małej firmy? Może planuje sięgnięcie do jej portfela? Czyżby zamierzał poprosić ją, naturalnie po pewnym czasie, by zechciała zainwestować w jego drugą restaurację?

To nie były laleczki - mówi True, obdarzając go mimo wszystko kredytem zaufania, zadowolona, że może mówić o rzeczach, na których rzeczywiście się zna. - Nie słuchałeś uważnie. To były dorosłe lalki...

Przepraszam. Pochodzę z Południa. Tam wszystkie lalki nazywamy laleczkami.

Dobra. To były kobiety takie jak Kleopatra („zmije sprzedajemy osobno”, myśli ze smutkiem True), a książki nie

były jedynym dodatkiem. Jedna z najpopularniejszych postaci, Isak Dinesen...

- Ta, która pisała o Afryce! Jedno pole do przodu.

- Właśnie. Nie sądzę, by wiele dziewczynek miało pojęcie, kto napisał Pożegnanie z Afryką, ale do tej lalki mieliśmy największy pakiet akcesoriów.

- To znaczy? - pyta Hank. Odchyła się do tyłu i opiera głowę na rękach, jakby nie wiedział, jaki jest piękny, jak naturalna jest ta poza i że wygląda jak męski odpowiednik „dziewczyny z kalendarza”.

- Akcesoria były bardzo starannie dobierane i wytwarzane w taki sposób, żeby wyglądały na prawdziwe. Były wśród nich i damska strzelba, i maleńka małpiatka, której stopki wyginały się w taki sposób, że mogła trzymać się ramienia lalki, i „zestaw safari” z menażką, i namiot, który się rozkładał i kosztował prawie osiemdziesiąt dolarów. Były wśród nich najrozmaitsze ubrania, od spodni z długimi butami po fioletową długą suknię z paciorkami. Ta suknia była tak piękna, że sama ją sobie kupiłam.

- Czyli Barbie, ale politycznie...

-...poprawna. Właśnie tak - ciągnie True. - Na tym polega dowcip. Piękne stroje, ale mamusie nie mają poczucia winy. - True milknie. - Słuchaj, Hank! Ty wcale nie chcesz tego wszystkiego wiedzieć. Nie musisz być taki uprzejmy. I tak już przekroczyłeś normę „rozmów po stosunku”.

Hank jednak mówi dokładnie to, co powinien. Zawsze mówi dokładnie to, co powinien, albo dokładnie to, czego nie powinien, nigdy pośrodku. True zaczyna zdawać sobie sprawę, że to jego cecha charakterystyczna.

- Bardzo chcę wiedzieć - mówi. - Przypominam sobie nawet, jak pewnego wieczoru, gdy ty umierałaś z głodu, poczęstowałam cię całym swoim życiorysem i...

- I dobrze zrobiłaś!

- Która z lalek najlepiej się sprzedawała?

- Joanna. Z całą pewnością Joanna.

- Joanna?

- Joanna. Joanna d'Arc.

- Kolejna święta.

- Cóż. Każda dziewczynka pragnie się z nią utożsamić. uboga, piękna piętnastolatka prowadzi armię, jadąc na swoim wielkim białym rumaku.

- Nie wiem. Trzeba być chyba specyficznym gatunkiem dziewczynki.

- Joanna była prawdziwym przebojem - mówi True. - Za plecami Elizabeth wszyscy zachowywaliśmy się z tego powodu okropnie. Zwłaszcza Rudy - znasz Rudy'ego, jest teraz moim asystentem, ukradłam go Elizabeth - i Carter Berman. On był marketingowcem. Sugerowaliśmy różne rzeczy. A ona zawsze na nas krzyczała: „Akcesoria! Ludzie, myślcie o akcesoriach!” Tak jak w przypadku - tylko nikomu tego nie mów - lalki Sojourner Truth, która była naprawdę piękna, i mimo to Elizabeth okropnie się rozzłościła. „Dokąd my z czymś takim zajdziemy? Co będziemy sprzedawać? Turbany, ołówki, papier?”

Hank się śmieje. Nie jest to śmiech udawany. Nie wynika z grzeczności, Hank śmieje się całym sobą. Co chwila głośno parska.

- Przepraszam - mówi. - To rodzinne. Wszyscy tak parskami.

- W porządku. - True także się śmieje. - Powiedziała nam: „Potrzebujemy etniczności i zróżnicowania. Zróżnicowania oferty!” Więc Carter i Rudy napisali plan na Joannę, wychodząc daleko poza miecz i zbroję - to było kapitalne. Rudy powiedział: „Myślę o palu, oczywiście nie ostro zakończonym, i o stosie, o czymś prostym, dwie baterijki paluszki, ładne pulsujące światełko pod elegancko wymodelowanymi drewniankami...”

- Musiała się wściec! - Hank klaszcze w ręce.

- Nie powiedziała ani słowa! Ale widzieliśmy, jak to czytała. Tylko raz głośno zareagowała i dostaliśmy reprimendę, wtedy gdy ktoś zaproponował, żebyśmy sprzedawali... to było porażające... różowy kostium Jacqueline Onassis i, osobno, pojemniczki z krwią.

- To była też lalka Jackie Kennedy?

- W tym samym czasie co Joanna. Była i lalka Amelii Earhart. Nawet mój syn, Guy, ma Amelię Earhart. To były lalki z górnej półki.

- Czyli lalki dla dziewczynek, które zachowują się jak chłopcy. Albo przynajmniej dla dziewczynek z ambicjami. Dziewczynek, które nie marzą tylko o tym, żeby zostać mamami.

- Tak sędzę. - True rozumie, co Hank ma na myśli, ale zastanawia się, czy zwyczajna, mała dziewczynka może oprzeć się Jackie i tuzinowi ubranek z maleńkimi, błyszczącymi

naszyjnikami i okrągłymi kapelusikami albo jasnowłosej dzielnej Joannie, najpierw długowłosej, a później króciutko obciętej i odzianej w szkarłatną więzienną suknię. Na pewno nie oparłaby się im ta dziewczynka, której True nigdy nie będzie miała. - Cóż, nie wszystkie były udane. Na przykład Eleonor Roosevelt. W badaniach marketingowych bardzo się podobała, ale małe dziewczynki jakoś nie chciały mieć lalki przedstawiającej panią w średnim wieku w ortopedycznych bucikach i okularach.

- A ty co robiłaś?

- Gdy nie powiodło się z tą lalką? Elizabeth urządziła nam piekło i...

- Nie, czym się zajmowałaś?

- Nadzorowałam autorów, którzy pisali dla nas biografie.

- Dlaczego właśnie tym?

- Byłam nauczycielką angielskiego, jak powiedziałam... chyba powiedziałam. - True myśli o dwudziestoczerlatce z niefortunną trwałą na głowie, rezygnującej z rozkoszą z pracy nauczycielki po roku edukowania bogatych tłuściochów w szkole na Przylądku. - Zaczęłam od pisania katalogów. Potem awansowałam. Rudy mówił, że będę spadkobierczynią, że któregoś dnia przejmę firmę, bo Elizabeth nie ma własnych dzieci...

- To dlaczego odeszłaś?

- No cóż, Pete nie żył. Miałam trochę gotówki z ubezpieczenia. Zasiłki, jak mówiłam. Chciałam przygody. Zdobyłam doświadczenie u Elizabeth, tak mi się przynajmniej wydawało.

- Chciałaś jej pokazać, co potrafisz. - Hank patrzy bystro zwężonymi oczyma, True odczuwa coś w rodzaju strachu. Nie chce, żeby rozgryzł ją tak szybko. I to nietrafnie - ale czy rzeczywiście nietrafnie? Czy jest rada takim spostrzeżeniom, trafnym czy nie, jego próbom poznania jej życia. - Taka jesteś - mówi Hank zadowolony z siebie.

True protestuje.

- Skąd ty możesz wiedzieć, jaka jestem! Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. No, może troszeczkę. Ale tak naprawdę nie wiem. Dwanaście Podarunków nie należy do Elizabeth. A poza tym, i to jest ważniejsze, chciałam zapewnić sobie przyszłość. Płaciła nam nieźle, przynajmniej tym, którzy trochę u niej popracowali, ale to ona była królową pszczoł. Była... skąpa. Przed Bożym Narodzeniem mogliśmy jedynie kupić lalki po niższych cenach. Nigdy nie dostawaliśmy lalek za darmo, nawet dla naszych dzieci. Pamiętam te Boże Narodzenia. Wpadała - a miała prawie metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu - z wypisanym na kartce papieru nazwiskiem jakiejś znanej gwiazdy filmowej i mówiła: „Wyślij jej za darmo całą cholerną linię. Po dwie sztuki, bo ma bliźniaki. Chociaż jest dziesięć razy

bogatsza niż ja”. Wiedziała, że dzieci Cybill Shepherd pokazujące się z Joanną to najlepsza reklama pod słońcem. I pomyśl tylko, ja też czytam teraz „People”. Robię teraz to samo co ona. Dzieci Rosie O’Donnell dostają moje podarunki.

- I słusznie - powiada Hank.

- Jasne. Ona mówi o tym swoim pracownikom, oni mówią swoim przyjaciołom...

- Czy Elizabeth była zła, gdy odeszłaś?

- Trudno powiedzieć. Nigdy nas nie rozpieszczała. Ale myślę, że w pewnym sensie...

- Czuła do ciebie szacunek...

- Hmm... I wiesz, przyjmuję pracowników w taki sam sposób, w jaki ona przyjęła mnie. Kontaktuję się z ludźmi, dla których poprzednio pracowali, a nawet spotykam się z nimi. Nie pozwalam, żeby osobowość kandydatów wpływała na moje decyzje. A potem zadaję tylko jedno albo dwa pytania. Tak jak Elizabeth spytała mnie - nigdy tego nie zapomnę: „Potrafisz pisać poprawnie po angielsku?”

- A ty odpowiedziałaś, że tak.

- A ona powiedziała: „Możesz zacząć od poniedziałku?” Miałam więc pracę. Pete i ja bawiliśmy się w dom, i to było fajne. Piloci nigdy tak naprawdę nie dorodziejają. Są jak ujeżdżacze na rodeo albo kierowcy samochodów wyścigowych. Zawsze są chłopcami. To byłoby teraz świetne dla Gee...

- Dlaczego wymawiasz jego imię w taki sposób? Gee? Przez twarde G, z francuska?

- Tak lubię - mówi True zadowolona z pytania. - Ma imię po hokeiście... Nie wiem, chyba kanadyjskim, Guyu Lafleurze, zwanym Kwiatkiem. Pete lubił sport. Grał w taech drużynach softballa, no i latał. Kiedyś zliczyłam miesiące, które spędziliśmy razem podczas dziesięciu lat małżeństwa. Mniej niż połowa.

- Ale było pewnie wiele nocy, kiedy nie kładliście się spać, tylko gadaliście.

- Nie - odpowiada True szczerze. - Peter Lemieux wolał działać niż gadać.

- Mieliście jakieś swoje szyfry, ulubione powiedzonka? - dopytuje Hank.

- Nie. Ale Pete mówił na mnie Pączek. Bo podobno byłam niska i krągła. Chociaż wcale nie byłam. Jakoś... nam się układało. Nigdy nie walczyliśmy ze sobą, chyba że próbowałam zrobić coś na swój sposób, inaczej niż on chciał. Był bardzo uparty.

- Nie wyglądasz na osobę, która nie walczyłaby o swoje. True przypomina sobie zaciśnięte szczęki Pete’a, kiedy po

prostu wychodził z domu na całe godziny, a po powrocie milczał przez cały dzień, jeśli popełniła jakieś drobne wykroczenie, wybierając na przykład pokruszone muszle na alejkę przed ich małym domkiem, podczas gdy on życzył sobie kamieni, chociaż muszle

sprzedawano po okazyjnych cenach. Jak bardzo czuła się zastraszona tymi jego wyjściami.

- Nie chciałam się z nim sprzeczać. - True wzrusza ramionami. - Tak zostałam wychowana. Moja matka słuchała ojca, przynajmniej mówi, że tak robiła, chociaż nie bardzo pamiętam, żeby ojciec się do czegokolwiek wtrącał... Umarł, gdy byłam w wieku Guya...

- Ale kochałaś go?

- Tatę?

- Nie.

- Petera? Oczywiście - mówi True, ale potem przyznaje: - Nie. Ale nie czułam się też nieszczęśliwa. Widziałam wokół siebie ludzi naprawdę nieszczęśliwych. Pete ani nie pił, ani się nie włóczył. Nie bił mnie. Mieliliśmy dom. Potem mieliśmy Guya, a Peter był wspaniałym ojcem... Teraz jest mi dobrze samej. Tak jest lepiej.

Czy jest obłudna? Czy to umyślne kolorowanie przeszłości stało się nawykiem? Chyba nie. Zastanawiała się nad zaspokajaniem męskich potrzeb w kategorii straty czasu i doszła do wniosku, że teraz byłoby to niemożliwe wobec wymagań, jakie stawiają przed nią i praca, i syn. True nie może sobie nawet wyobrazić, by ktokolwiek poprosił ją o usunięcie brudu z kołnierzyka koszuli albo o podanie piwa, gdy jest zajęta. Całkowicie wystarcza jej piękna posiadłość na kosztownym Przylądku, którą kupiła po dziesięciu latach marzeń i z powodu której bratanice uważają ciocię mającą własną plażę za najfajniejszą dorosłą osobę na świecie. Od śmierci Petera nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie spędzić nocy w swoim łóżku. Nigdy nie pozwoliła, by namiętność wzięła w niej górę nad rozsądkiem. Nie chce robić z siebie osoby godnej pożałowania, jak jej przyjaciółka Ronnie. Ronnie sprowadza do domu podstarzałych windsurferów i świeżo upieczonych dyplomantów z zapierającą dech regularnością, przysięgając swojej córce, że każdy z tych przegranych facetów świetnie nadawali się też na dłuższy dystans.

Nawet Evan, choć nocował u niej rzadko, sypiał w pokoju gościnnym na parterze. Pani psycholog, do której True wybrała się z Guyem, utrzymywała, że reakcja syna nie ma związku z osobowością Evana (choć Guy co wieczór oświadczał gniewnie, że Evan jest „starym pierdołą, który przemawia do niego w fałszywy, przymilny sposób”), ale z budzącą się w Guyu obawą, że Evan może stać się stałym elementem domu, że syn będzie musiał dzielić się matką z inną osobą. True wyjaśnia to teraz Hankowi. Wydaje się jej ważne, by wiedział, że miała hulaszczę - w każdym razie dozwoloną od lat trzynastu - przeszłość.

- Utknął na fazie edypalnej - wyjaśniała pani psycholog. - Czy wie pani, co to znaczy? Edyp był królem...

- Rozumiem to pojęcie - powiedziała True. - Ale on ma dopiero osiem lat.



- To występuje zwykle w wieku pięciu lat. Guy jest troszkę opóźniony.

Nie wrócili do pani psycholog, a Evan nie wrócił do domu True.

True spogląda na zegarek. Jest druga nad ranem. Kathleen pewnie jeszcze nie śpi, tylko tkwi na straży. True wie, że kara i tak jej nie ominie.

Zadaje pytanie, którego nie można nie zadać.

- Gdzie byłeś, gdy zabito Kennedy'ego?

- Właśnie tu - mówi Hank. - Po raz pierwszy. Ta kobieta...

- Naturalnie. Tak zaczyna się każda historia. Nie tylko twoja. Każda. Ten facet. Ta dziewczyna.

- Wcale nie chodziło o dziewczynę. I to nie trwało długo. Przyjechałem z kumplami, Jake i Tomem, żeby obejrzyć miejsce, restaurację, którą ostatecznie - we trzech - kupiliśmy. Jake szybko odsprzedał swoją część. To było w dziewięćdziesiątym dziewiątym...

- Ale ja mówię o prawdziwym Kennedym, o prezydencie - wyjaśnia True.

- Wiesz, bebe - mówi Hank, z wyraźniejszym południowym akcentem - nie było mnie chyba jeszcze na świecie.

To jest to, co przyjaciele True nazywają „urokiem starości”. Żadne z nich nie wie, co powiedzieć. True decyduje się ostatecznie na okrzyk zdumienia i pyta Hanka o jego siostry - Win, Tannie i Reed.

- Tak naprawdę ich imiona brzmią: Mary Winston, Mary Tannifero, Mary Reed. Ja byłbym Mary Henry, gdyby mamie udało się to przeforsować - mówi Hank. - Tannie spodziewa się właśnie dziecka.

- Co twoim zdaniem jest najwspanialsze na świecie? - pyta True.

- Coś innego niż to, co oczywiste? - pyta Hank przewidująco.

- Coś innego - odpowiada True, przewracając oczami.

- Dobrze. Najlepszą rzeczą na świecie jest prażona kukurydza z trzema warstwami masła i drożdżami. Bezkonkurencyjne danie.

- Żartujesz?

- Nie. Bo co? - Hank pochyla się do przodu.

- Żartujesz. Jestem jedyną osobą, jaką znam, która uważa, że popcorn bez drożdży to niepotrzebne kalorie.

- Co ty! Wszyscy jedzą popcorn z drożdżami!

- Nikt, kogo znam, z wyjątkiem mnie - mówi True, spragniona usłyszeć więcej, więcej takich cudownych podobieństw.

- Jaka jest twoja ulubiona piosenka?

- Dawna czy nowa?

- Nowa.

- Ta, którą śpiewa Tom Petty i w której mówi, że „dzięki niej żyje tak, jak chce”.

- To moja piosenka!

- Domyślam się. Ja też tego chcę - mówi Hank.

- Czego chcesz? - pyta desperacko True. - Pożyczki? Zabawy? Jestem gotowa. Mów śmiało. Czego chcesz?

- Mogę ci powiedzieć - odpowiada powoli Hank. - Ale teraz mi nie uwierzysz.

- Spróbuj.

- Powiem ci tylko część. Wszystkie związki, jakie kiedykolwiek miałem z kobietami, chociaż były na swój sposób wspaniałe, kończyły się.

- No i?

- Nie lubię, jak coś się kończy - mówi Hank, patrząc na nią, a True widzi w jego oczach dwa idealne odbicia okropnie potarganej True. - Chcę... życia. Tutaj. Z kobietą.

- Z pewnością jakąś znajdziesz. - True się uśmiecha. On jest... poza wszystkim... zmysłowy i sprytny, ale nie fałszywy. Pragnie go aż do bólu.

- Nie okazuj mi lekceważenia - mówi nagle Hank, chwytając ją żarliwie za rękę. - Nie udawaj naiwnej. - Przesuwa palec wskazujący po wierzchu jej ręki, a potem odwraca ją i gładzi wnętrze dłoni.

- Ten lód jest bardzo cienki - mówi True.

- Boisz się?

- O, tak, nie brak mi przytomności umysłu.

- Mnie brak.

- To widać.

- Każdemu brak, kto jest zakochany.

- Jesteś zakochany? - pyta True. - Nie odpowiadaj. Nie mów mi.

- Dobrze, ale pozwól mi coś opowiedzieć - mówi Hank. Jego niebieskie oczy patrzą żywo. - Może to głupio zabrzmieć, ale daj mi dziewięćdziesiąt sekund.

- Daję ci dziewięćdziesiąt minut. Przeorałeś całe moje życie. Nie sądzę, by twoja opowieść miała brzmieć głupio.

- Posłuchaj. Mam przyjaciela, Perry'ego. To mój najlepszy przyjaciel od czasu, kiedy byliśmy mali, młodszy niż Guy. Jest wielki jak zamrażarka w Jedynej. Głowę ma jak bania. Moja siostra Win, kiedy była nastolatką, podciągała się na jego ramieniu jak na drążku. Perry i ja pojechaliliśmy kiedyś na Florydę podczas moich wiosennych wakacji... on... on nie

studiował. Pojechaliśmy więc i pewnego dnia postanowiliśmy - nigdy przedtem nie łowiliśmy ryb na Florydzie - postanowiliśmy złowić miecznika, a potem upiec go na ruszcie. Piekłaś kiedyś na ruszcie miecznika? - True potakuje głową. - Wyłynęliśmy więc z pewnym kapitalnym facetem, bardziej kumplem niż groźnym kapitanem łodzi, na wody Key West. W dzisiejszych czasach to rzadkość. Wtedy kosztowało fortunę. Ale obaj chcieliśmy to przeżyć. A kiedy przyszło co do czego, właściwie najchętniej byśmy tę rybę wypuścili.

- Rozumiem... - mówi True zbity z tropu.

- Muszę ci wyjaśnić wszystko po kolei. - Hank wykonuje uspokajające gesty ręką. - Przez te trzy godziny, póki słońce stało jeszcze nisko, nie złapaliśmy niczego z wyjątkiem paru małych rybek. Już mieliśmy wracać, gdy zobaczyliśmy, że ptaki zachowują się jakoś dziwnie. Kapitan podpłynął w ich stronę bardziej z ciekawości niż po co innego, ale rzuciliśmy przynętę i nagle! Linka poszła tak szybko, że aż strach. Perry i ja... zamienialiśmy się miejscami w fotelu, do którego człowiek może się przypiąć... bo chcieliśmy tego doświadczyć... True, to nam zabrało dwie i pół godziny i nawet Perry, który jest czarny jak używana patelnia, wyglądał na twarzy jak grzanka. Wieczorem miał tak spuchnięte wargi, iż myślałem, że będę go musiał zabrać do lekarza...

- No i... - ponagła True.

- No i przez dwie i pół godziny ta ryba... i ten ból w ramionach i plecach... patrzyliśmy, jak ona wyskakuje i nurkuje, jaka jest piękna... jak... Pegaz albo inne mityczne stworzenie, jak...

- Rozumiem.

- No właśnie. Czulem strach tej ryby i jej siłę, i nic, ale to nic nie mogłoby odwrócić od niej mojej uwagi. Tak jakbym jednocześnie był wewnątrz niej i na zewnątrz. Dawałem z siebie wszystko. Czulem, jak mi drżą mięśnie ramion, a przecież jestem silny. Już chciałem puścić, ale przecież nie mogłem puścić, nawet po to, żeby zetrzeć pot z oczu. Tak jakby cały wszechświat przestał istnieć. - Hank oddycha głęboko. - i w końcu się poddała. Wzięliśmy ją na hak. Zadaliśmy jej ból i musieliśmy ją tak trzymać. Była śmiertelnie ranna. Siedziałem na łodzi, dorosły mężczyzna, naprzeciw dwóch dorosłych mężczyzn i płakałem.

- Rozumiem - mówi True, choć nie rozumie. - To... niesamowite.

- Bo ona, ta ryba, dostarczyła mi niezwykłego przeżycia. Była jak cel, jak wyzwanie, i naprawdę nie chciałem, żeby przegrała. Chciałem, żebyśmy wygrali razem - i ona, i ja.

W oczach Hanka widać uniesienie.

- Pewnie się zastanawiasz, jaki to ma związek z relacją między kobietą i mężczyzną - mówi po chwili.

- Tak, myślałam o tym.

- Czuję, że to możliwe... w przypadku dwojga ludzi. Z większością kobiet - pomyślisz pewnie, że jestem świnia, ale nie jestem - jest mi jakoś tak. Jednym uchem słucham, co mówią, a drugim wypuszczam. Doceniam ich... wdzięk, poczucie humoru, ich marzenia, jeśli mają marzenia. Ale żadna nigdy nie miała tego czegoś. Żadna do tej pory nie była jak ta ryba. Rozumiesz? Żadna nie zaangażowała mojej uwagi do tego stopnia. Nie chodzi o to, że jestem taki dobry jako mężczyzna. Ale wiedziałem, że nie rzucę dla kobiety wszystkiego, póki nie poczuję tego czegoś. Póki nie poczuję, że nie mogę spojrzeć w inną stronę, choćbym nawet chciał.

- I co robiłeś?

- Byłem sam. Od czasu do czasu szedłem do baru.

- Tak samo jak ja - mówi True. - To nie jest złe. Ale i nie. "idealne."

- Racja, ale lepsze niż przystać na byle co.

- I powiadasz, nic o mnie nie wiedząc, że odczuwasz to coś w stosunku do mnie?

- Ty też to odczuwasz. Założę się, że nigdy w życiu z nikim nie posunęłaś się tak daleko w tak krótkim czasie. Mam rację?

- Seksualnie?

- Nie! To łatwe jak podanie ręki. W ogóle!

- No nie - przyznaje True. - Nie. Jestem ostrożna. Staram się wyważać swoje wybory.

- Ja też nie skaczę głową w dół. Czuję entuzjazm, ale potem się opanowuję. Wiem, że ty nie jesteś dla mnie wyborem, True. Jesteś moim przeznaczeniem. Jesteś tą, o której wiedziałem, że się zjawi. Nie wiedziałem tylko, że zjawisz się w mojej restauracji, z mokrymi włosami, z kośćmi policzkowymi... jak u posągu, że spojrzysz mi prosto w oczy i zwyczajnie rzucisz mi wyzwanie. Jakbyś mówiła: „To co, młodzieńcze? Tutaj? Teraz?” „Młodzieńcze” w takim sensie, jak to rozumiemy na Południu, a nie w dosłownym znaczeniu. Nie sądzę, by mogło być inaczej.

- Czyli jesteś skłonny budować miłość na przecuciu?

- A na czym jeszcze? - pyta Hank.

True odczuwa nagle tęsknotę za komfortem swoich cienkich prześcieradeł, szerokiego, czystego i spokojnego łóżka, i Hank wydaje się jej brudny i nieokrzesany, niczym facet, który

wie, jak naprawić motocykl. True boi się, dokąd on ją zabierze tym swoim motocyklem.

- Opuuszczasz kogoś z mojego powodu? - pyta w końcu Hank, przerywając ciszę.

- Nie mówię, że zostawiam kogokolwiek z czyjegokolwiek powodu - mówi cicho True. - Czuję... wiele czuję, ale to

się nam tylko zdarzyło, nie planowaliśmy przecież...

Wycofuje się, pedałuje do tyłu, chce, by nacisnął hamulec, bo ona tego nie robi. Obawia się, że nie potrafi.

- Sama wiesz najlepiej - mówi Hank.

Teraz, gdy węgle już się żarzą, True stąpa po nich ostrożnie. A jednak wycofać się byłoby równie trudno, jak opuścić pole magnetyczne. Bardzo chciałyby zobaczyć to wszystko tak, jak on to widzi, postrzegać to na jego sposób.

Ale ponieważ musi, powiada:

- Zobaczymy. A ty? Czy jest ktoś, kto poczuje się zraniony tym, co zrobiłeś?

- Nie - mówi Hank aż nazbyt krótko. - Posłuchaj, mam pewną słabość. Codziennie palę cygaro. Włóż płaszcz i wyjdźmy na chwilę na ganek.

Na zewnątrz jest rześko, ale nie ma wiatru. Delikatny aromat cygara przypomina zapach rozlanego wina.

- Z kim się spotykałaś, True? Z wieloma? Z kilkoma, ale za to poważnymi?

- Z kilkoma niepoważnymi - odpowiada True. - Budowlaniec, piekarz...

- Wytwórca świec.

- I ze wszystkimi, dosłownie wszystkimi ortodontami z Massachusetts. Mam przyjaciółkę, której mąż jest adwokatem specjalizującym się w sprawach rozwodowych. Uważa ona, że wszystko można załatwić za jednym zamachem. Ugoda, wyrok, randka z True, wiesz.

- Man dieu - odpowiada Hank - jak u nas mówimy. Przy każdej okazji.

- Znasz francuski?

- Mon dieu. Laissez les bon temps roulez. Je t'aime. Nazywasz swoją siostrę „chere”, ale masz na myśli „moja droga”, a nie „śpiewaczka”. Nazywasz faceta, którego nie lubisz, „cochon”. To coś podobnego.

- Ja mówię po francusku trochę lepiej.

- C'est la guerre. Powinienem być się więcej nauczyć. Moi dziadkowie mówili w domu po francusku. Dziadkowie ze strony ojca.

True uświadamia sobie, że czas płynie, pyta więc:

- Czy masz... Mój samochód jest zamknięty, a ja jestem boso i nie chcę chodzić po żwirze. Włosy mam jak ptasie gniazdo. Masz szczotkę do włosów? Jak wrócę do domu, nie chcę wyglądać, jakbym stoczyła walkę zapaśniczą.

- Chociaż stoczyłaś - uśmiecha się Hank. - Osobiście używam czegoś plastikowego jak szczotka dla psa, ale osoba, z którą mieszkam, na pewno ma jakąś szczotkę.

- Ja... Nie chcę używać cudzej szczotki - wzdraga się True. - Zapomnij...

- Ale ona jest bardzo schludna i czysta. Ma piękne włosy.

- Ona?

- Moja współlokatorka. Mieszkamy tu razem.

- Mieszkasz z... kobietą?

- Platonicznie.

True czuje ucisk w żołądku.

- Jesteście tylko przyjaciółmi?

- Teraz tak. Ona pracuje w restauracji.

- Teraz...

- Byliśmy... Byliśmy ze sobą pewien czas. I oboje wiedzieliśmy, że nic z tego nie będzie.

- A ona wie... że już nie jesteście razem?

- Tak - mówi Hank. - Nie. To znaczy, tak. Teoretycznie. Nikt mi się nie podobał, więc z nikim się nie spotykałem. Ale to czasami wydaje się nie do uniknięcia, że...

- Sypiałeś z nią? Ostatnio?

- Nie.

- Nie?

- Nie... od jakiegoś czasu.

- Jak długo?

- Kilka miesięcy. Na pewno dwa.

True spogląda wokoło, przerażona, jakby zza krzaków róż miał wyskoczyć doberman z wielkimi, ostrymi kłami.

- Gdzie ona jest teraz?

- Pewnie śpi.

- Robiliśmy to... gdy ona była w domu?

- Ma bardzo mocny sen. Można jej spuścić cegłę na nogę...

- Idę.

- Nie, nie - protestuje Hank. - Zaczekaj. To nie tak, jak myślisz. Po prostu mieszkamy w jednym domu. To, co robiliśmy ze sobą... razem... to tylko... trochę przyjemności, dotyku, trochę życia... to nigdy nie był żaden związek.

- Wyobrażam sobie. I ja mam za sobą tego rodzaju doświadczenie. Ale ty z nią

mieszkaś.

- Nie w tym sensie, True. Przysięgam. Nie jesteśmy ze sobą w taki sposób. Po prostu dzielimy wspólny dom. Jesteśmy kumplami. Nie chodzimy nawet razem do kina.

- Ale ona tu jest. Teraz. I nie sądzę, żeby jej się podobało...

- Nie sądzę, by ją to w ogóle obchodziło. Mnie też by nie obchodziło, jakby sobie przyprowadziła faceta. Z tego, co wiem, ma jakiegoś. Podoba jej się jeden... z piekarni - przekonuje Hank, ujmując dłoń True. Ale True jest przybita tym, czego się dowiedziała.

- Gdyby nie to, że muszę wziąć biustonosz i kluczyki, już dawno bym poszła. Po prostu rzuć mi przez drzwi biustonosz i kluczyki. Albo zostaw biustonosz. Potrzebuję tylko kluczyków - szepcze True, wycofując się w stronę samochodu. Z wnętrza domu dochodzą jakieś odgłosy. Czuje nieprzyjemny, nerwowy dreszcz, który, jak pamięta, ogarniał ją po

całonocnych zabawach za studenckich czasów. - Proszę cię, Hank. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Ale coś tu jest

nie w porządku. Proszę, idź i przynieś mi moje rzeczy. Muszę jechać do domu. Jest środek nocy. Już prawie rano. Jestem zdenerwowana, a to nigdy nie pomaga.

W samochodzie przegląda się we wstecznym lusterku. Jej twarz nie wygląda tak, jak True czuje - podbródek boleśnie otarty, jakieś zadrapanie na policzku. True wraca pamięcią do powrotów do akademika po randkach z chłopcami podczas studiów, jak spoglądała w lustro, zanim położyła się do łóżka, żałując, że teraz czeka ją tylko spanie, jak przyglądała się obrzmiałym wargom, rozpalonym policzkom i potarganym włosom. W tamtych czasach podniecenie sprawiało, że była piękna. Może i nadal tak jest. Ale teraz jest tak zażenowana, tak to przeżyła, że czuje się, jakby ciągnięto ją za samochodem. Wyciera rozmazany tusz opuszką palca. Nakłada błyszczak na wargi. Zatrzymuje się na całodobowej stacji benzynowej i kupuje dwie litrowe butelki soku pomarańczowego. Pierwszą wypija jednym haustem.

W szarawym świetle wstającego dnia trudno dostrzec, co to za paczka czy zawiniątko leży na bujanej ławie na ganku. Światła reflektorów omiatają ten przedmiot i True widzi Guya w kurtce z kapturem, owiniętego kołdrą.

- Co ty tu, u licha, robisz? - pyta True, zostawiając samochód i biegnąc ścieżką.

- Obudziłem się i ciebie nie było.

- Pojechałam... - True podnosi do góry butelkę - kupić sok. Nie mamy soku dla gości.

- Uważasz mnie za głupiego?

- Tak. Na dworze jest najwyżej zero stopni.

- Nie mówiąc już o infekcji chłodzącej wiatru - mruczy Guy, nieszczęśliwy jak

dziewczynka z zapalkami. - Dobrze wiem, że nie spałaś w swoim łóżku. Po pierwsze, było zimne, a po drugie - zasłane.

- Byłam poza domem.

- Poza domem w środku nocy?

- Tak.

- Rozmawiałaś?

- Tak.

- Z tym tańczącym facetem od restauracji i ciężarówki?

- Tak.

- A więc podrywasz go! - Guy podnosi się i owija teatralnym gestem kołdrą.

- Co to jest infekcja chłodząca wiatru?

- Infekcja chłodząca wiatru, mamó! Infekcja chłodząca wiatru! Dlaczego czujesz, że jest ci zimniej, niż faktycznie

jest, gdy wieje wiatr? Bo na wietrze łapiesz infekcję, przez którą jest ci jeszcze zimniej! Nie mów, że nigdy o tym nie słyszałaś! I nie zmieniaj tematu!

- Chyba naprawdę zaraz zmienię temat, jeśli natychmiast nie wejdiesz do domu. - True daje Guyowi klapsa w pupę, gdy ten zmyka w stronę drzwi.

- Mogę się położyć w nogach twojego łóżka? - pyta. - Wujek Dog opowiadał nam historyjkę o Lucky Hans.

To legenda z Przylądka, którą Dog uwielbia upiększać, by jeszcze bardziej przestraszyć swoje córki i jej syna.

- Tak - mówi True sennie, myśląc o ciągle obecnym w jej nozdrzach zapachu wybielinki i cygara. - Nie. Wezmę prysznic, a potem was wszystkich obudzę.

- Trudno. - Guy wygląda na zawiedzionego. Rzuca kurtkę i kołdrę w holu. - Zrobisz naleśniki na śniadanie?

- Tak - mówi True. Stoi w holu jak przygwożdżona. Obraz czarnej głowy ucieka między jej nogami jest jak ręka na ramieniu, niepozwalająca się jej ruszyć.

- Zrobisz gofry? - pyta Guy, czujny niby myśliwski pies ssący krew.

- Hmm... Tak - odpowiada True.

- Idź do łóżka, mamó - mówi Guy. - Wyglądasz, jakbyś była chora.

- Żadnego zabezpieczenia? - pyta Franny z niedowierzaniem. - Kompletnie żadnego? Nawet stosunku przerywanego?

Siedzą na zewnątrz - w tak ładne popołudnie delikatne łożki krokusów przebijają topniejący śnieg, a taki dzień



kuzynka True, Emily, nazwałaby dniem fioletowych bucików - przy dużym stole, na którym rzemieślnicy rozkładają czasami swoje towary, gdy przyjeżdżają do True z wizytą, wierząc, że w naturalnym świetle najlepiej będzie widać zalety ich pracy.

- Żadnego - odpowiada True, pochylając się nad swoją robótką i unikając wzroku Franny. Zna ją dostatecznie długo, by zdawać sobie sprawę, że jej brwi, brwi Grety Garbo, powędrują do góry pod kryzą czarnej grzywki.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że spałaś z dziesięcioma kobietami, z którymi on ostatnio sypiał?

- Zdaję sobie sprawę, że spałam z nim bez mała na oczach ostatniej z kobiet, z którą sypiał - mówi True.

- Możesz zajść w ciążę.

- To nie byłoby najgorsze. Mogłabym zachować w tajemnicy jego tożsamość. Gwiazdy w Hollywood tak robią.

- Zachowują tożsamość w tajemnicy, jak facet jest ogrodnikiem albo kimś takim.

- Znasz się na tym lepiej niż ja - mówi True sucho.

Chciałaby zmienić temat nie z powodu niechęci do mówienia o tej sprawie, ale by zachować wspomnienia niesplamione dotykiem plotki.

Rozmowa na temat Hanka, gdy nieprzerwany strumień wypowiedzianych przez niego słów i obrazów jego sylwetki przepływa przez jej głowę, sprawia, że True traci poczucie rzeczywistości. Czuje się tak, jakby oglądała dwa filmy naraz z udziałem tych samych aktorów: western i kryminał. True i Franny plotą wianki z dzikiego wina, które przystroją później serpentynami z prawdziwej wstążki: purpurowej, złotej i zielonej, na ślub Esy. Ślub ma się odbyć za trzy tygodnie, ale przygotowania nadal są w stadium embrionalnym, bardziej jako pomysł niż plan, co doprowadza True do wściekłości.

- Wiem tylko tyle - mówi True, wracając myślą do wczorajszej nocy, gdy zostawili z Hankiem samochód na parkingu przy plaży w Nauset i słuchali mężczyzny, który zawsze tam jest i gra calypso na pokrywkach od śmietników i który, jak się wydaje, ma dwie żony i co najmniej czworo dzieci - iż nie użyliśmy żadnego zabezpieczenia i że gdy z nim jestem, świat przestaje dla mnie istnieć. Czuję się wtedy tak, jakbym... jechała limuzyną. Jakbym miała szesnaście lat. Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek w ciągu ostatniego tysiąca lat.

- Musiałabyś żyć parę razy - mówi Franny. - A co będzie, jak się okaże, że ma poważne zamiary?

- A co ma być?

- To będzie twoja pierwsza - o, przepraszam, druga...

- Nie, Franny - mówi poważnie True. - Znałeś Pete'a pierwsza. - i dodaje: - Porównał mnie do ryby.

- Ach, gdybym wiedziała o analogii do ryby... To wiele wyjaśnia.

- W tamtym kontekście to, co mówił, miało sens.

- Ha! Wianki z dzikiego wina są przepiękne. Trochę tiulu i będą wyglądały, jakby je robiła sama Matha. Ale szczerze mówiąc, chciałabym, żeby Isabelle trochę się pospieszyła i podjęła jakieś decyzje co do reszty.

W tym momencie, jakby wywołana rozmową, w alejce pojawia się ciężarówka Hanka. True patrzy na swoje, zajęte robotką dłonie. Hank ześlizguje się z samochodowego fotela w taki sposób, jakby zsiadał z siodła. True ma nieustanny problem z oddychaniem w jego obecności, z trudem także kontroluje głos, gdy rozmawia z nim przez telefon.

Hank pochyla się i całuje True, chwytając jej dolną wargę w swoje zęby.

- „Pójdź, żyj ze mną, zostań moją miłą...” - mówi i dodaje: - Cześć! Jesteś Franny, prawda? - Hank wyciąga rękę. - Pamiętam już cały skład zespołu: Franny - najlepsza przyjaciółka na świecie, Isabelle - skarb wyciągnięty z rowu, który mieszka tutaj, Kathleen, Rudy - czyli facet od pomysłów...

- Nieźle! - wykrzykuje Franny, udając, że dmucha na rękę w uścisku Hanka. - Ale wierszyk! Jesteś Irlandczykiem?

Hank opiera nogę na ławce obok True i kładzie dłoń na jej szyi.

- Tak, ze strony mamy...

- To się nazywa bezczelność - przerywa mu Franny. - Żyć i tobą i z Lucy, zostać twoją miłą?

- True, miej litość - prosi Hank, zakłopotany. - Posłuchaj, Franny. Lucy przyszła do nas pracować, tak? Ale dziewczyna, z którą mieszkała, wyjechała. Więc się załapałem. Nie chodziło o nią. Spałem na składanym łóżku Toma. Mieszkacie tu od dwudziestu lat, więc wiecie, jak trudno latem znaleźć miejsce do spania na Przylądku. Ludzie podnajęliby lokum nawet Jeffreyowi Dahmerowi, gdyby tylko wyglądał na najedzonego. Jak się do niej wprowadzałem, nie wiedziałem, że kiedyś cię spotkam, True. - I zwracając się błagalnie do Franny dodaje: - Trzyma się kupy, no nie?

- Ja tam się w to nie mieszam - stwierdza spokojnie Franny.

- Mimo to... - mówi True, bierze kawałek tiulu i wiąże zabawną krawatę z prawdziwym windsorskim węzłem na szyi Hanka.

- Kochanie, jedyne, co mogę teraz zrobić, to przenieść się do namiotu - mówi Hank. - Jeśli chcesz, żebym rozbił namiot, rozbiję namiot.

- Może wejdę do środka? - mówi Franny. - Czuję się, jakbym podglądała...
- Jak się kochamy? - pyta Hank.
- Coś takiego - odpowiada Franny.
- Oczywiście, że się kochamy. Oto jak znajomość przeradza się w miłość. To proces.
- Hank! - strofuje go True. Jej twarz płonie. - Powinieneś już iść do pracy.

Przygotowujemy dekoracje na ślub.

- Dobra - mówi. - Zadzwoń do ciebie niebawem. Potem zadzwonię jeszcze raz. I jeszcze raz, gdy już będziesz spała, zadzwonię i cię obudzę.

Franny patrzy za odjeżdżającą ciężarówką.

- Cholera! - mówi. - Ja też chcę go za męża.

- Wracajmy do naszych zajęć, proszę - odpowiada True. - Nie możesz sobie wyobrazić, jak on mnie rozprasza, jak to wszystko mnie rozprasza.

- Spróbuję to sobie wyobrazić - mówi Franny z lubieżnym uśmiechem. - Ale widzę, jak cię wkurza, że mieszka z kimś, z kim to kiedyś robił. Ale też... rozumiem jego punkt widzenia. Bo niby co ma zrobić? Ma się wyprowadzić i zamieszkać w aucie, skoro znacie się... Ile? Dwa tygodnie?

- W sensie biblijnym nawet krócej - przyznaje True. - W sumie może dziesięć godzin. Wspaniałych godzin. Spędzonych na rozmowie o wszystkim i o niczym, bo wydaje się, że jeszcze będzie czas, by rozmawiać o wszystkim, a zarazem, że nie ma powodu rozmawiać o czymkolwiek, bo wszystko i tak jest jasne. Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić.

- Nie musisz. To wyjaśnia słowo miłość.

- A jednocześnie szczytem arogancji byłoby pomyśleć, że nie będę go widywać, póki się nie wyprowadzi. Nie można dokonywać życiowych zmian w oparciu o tak krótką znajomość.

- Trzeba.

- Robią to tylko głupcy. Ludzie samotni. Ja jestem samotna. - True poprawia się z rozwąga: - No, nie całkiem. Mam dziecko. Oni są teraz tylko współlokatorami. Ale tak, to działa mi na nerwy. Nie mogę nawet czuć się swobodnie, Kiedy do niego dzwonię. A jak idziemy gdzie indziej... - True myśli o innych miejscach: o tylnym siedzeniu ciężarówki, o podłodze w studiu jogi przyjaciela. - To idiotyczne. Czuję się, jakbyśmy byli parą nastolatków szukających miejsca, żeby to robić. Nie przyprowadzę go przecież do domu, gdzie jest Guy...

- Chętnie zabiorę Guya na kolacje i na pływalnię.

- Możesz też zabrać moją mamę?

- Z tym będzie gorzej - wzdycha Franny. - To głupie, żeby w twoim wieku ukrywać swoje prywatne sprawy przed matką. Dlaczego to robisz?

- Ukrywać? Nie ma nawet mowy o ukryciu czegośkolwiek. Dlaczego? Nie mam pojęcia dlaczego. Ona wszystko potępia. Nie mogę nic na to poradzić. Jak Esa się wyprowadzi, nie będę miała nikogo, kto mnie przed nią obroni. Ona

otwiera moje listy, Franny.

- Otwiera twoje listy?

- Nie denerwuj mnie. Moją pocztę w firmie otwiera rutynowo. To część jej obowiązków. Rutynowo też otwiera moje prywatne listy - tylko dlatego, że nie widzi w tym żadnego problemu. Moja matka otwierała moje listy i je czytała, gdy byłam nastolatką.

- Chciałaś ją zamordować?

- Oczywiście, ale nie bardzo mogłam. Gdy byłam niepełnoletnia i przychodziła na przykład ocena mojej pracy przysyłana przez nauczycieli, i tak miała prawo list otworzyć. Kathleen to najbardziej wścibska kobieta na świecie i jest w tym niezła. Nic nie umknie jej uwagi.

- Musisz ją zrozumieć, True - mówi łagodnie Franny. - Ona żyje twoim życiem.

- Faktem jest, że było mi to w pewnym sensie do tej pory wygodne. Była znakomitym filtrem rozmów telefonicznych. Wystarczyło, że przejechałam palcem po gardle i natychmiast mówiła, że jestem na spotkaniu.

- A teraz chcesz mieć swoje sekrety.

- Chcę własnej przestrzeni.

- Kiepska sprawa. On ma tę swoją...

- Współlokatorkę.

- A ty masz Kathleen...

- Dlatego nawet nie chcę o tym wszystkim myśleć, póki nie zobaczę, w jakim kierunku sprawa się potoczy. Jestem zwariowana na jego punkcie albo w ogóle zwariowana, ale nie chcę wykonywać żadnych zasadniczych ruchów, póki się nie przekonam, dokąd to wszystko zmierza, póki Guy się nie przyzwyczai, a już z całą pewnością nie chcę, by stało się coś, co zakłóci wielki dzień Isabelle.

Przede wszystkim, myśli True, Isabelle jest jej bardzo droga, jest prawie jej dzieckiem. Jedyłą poza Guyem osobą na świecie, z którą była tak blisko. Koniecznie, przynajmniej teraz, musi skoncentrować swoje myśli na Isabelle i jej zbliżającym się szybko ślubie. Ze względu na profesję narzeczonego Esa chciałaby, żeby atmosfera przyjęcia i jedzenie przypominały dawne czasy, coś ze średniowiecza, odmówiła jednak przyjęcia

pieniędzy, dzięki którym można by tę atmosferę stworzyć. Franny i Rudy proponowali kościane łyżki do jedzenia, miniaturowe, pomarszczone twarze przypominające trofea łowców głów jako ozdoby oraz zaszlachtowanie < czarnej kury. Ale True myśli, że wie, czego pragnie Esa - królewskiego ślubu wśród mgieł Avalonu przeniesionego na plażę Ridgevale Beach. Przy prawie zerowych wydatkach.

By to osiągnąć, musiała przemóc dumę Isabelle. Wszyscy już zabrali się do przygotowań, nawet Rudy. Ostatniej środy wieczorem Rudy i Keith zjawili się zziębnięci i obwieścili, że znaleźli farmera, który sprzedaje im mięso do pieczenia na ruszcie po okazyjnej cenie.

- Możemy kupić ćwiartkę wołu za trzysta dolców! - krzyczał Rudy.

- Woły i tak nie nadają się na zwierzaki domowe - dodał Keith.

True nalega, że zapłaci za jedzenie i pomoże przy wykonaniu dekoracji, chociaż zupełnie nie ma talentu do takich rzeczy. Zgodziła się także, na prośbę Esy, przygotować „duchową” ceremonię zaślubin, gdy młodzi zostaną oficjalnie związani węzłem małżeńskim w urzędzie w Barnstable. True stara się znaleźć coś odpowiedniego na tę okazję w Psalmach - coś, co nawiązywałoby do archeologii, przyjaźni i morza. Musi także wziąć pod uwagę, że matka Isabelle zjawi się z całym kontyngentem kumpli harleyowców, chociaż - jak nieustannie przypomina wszystkim Kathleen - nie da na przyjęcie nawet złamanego grosza. True poprosiła znajomego, żeby wypożyczył im za darmo ozdobny namiot, bo ta pora roku i tak nie jest na Przylądku sezonem na zawieranie małżeństw. Miejscowy przedsiębiorca pogrzebowy, który zawsze czuł do True miętę, przywiezie karawanem parę tuzinów składanych stołów i krzeseł, jeśli on i jego małżonka, bibliotekarka, zostaną zaproszeni na przyjęcie. Franny i True udekorują „salę”, czyli przestrzeń przed domem. Podstawą dekoracji będzie coś w rodzaju wiatrowskazu, owinięte tiulem wianki, na których Franny i True przykleją okruchy lustra, a potem będą się modlić, żeby nie było silnego wiatru.

Od czasu do czasu Franny i True podchodzą do gęstwiny z nożycami i nie zważając na zadrapania oraz siniaki, próbują wyłuskać najgrubsze gałązki dzikiego wina z płotów wokół domu, a nawet listowia, bo dzikie wino wspina się także na najwyższe gałęzie rosnących przy plaży drzew. Większych gałęzi użyją do uplecenia ślubnego łuku, naginając pędy i mocując je ich własnymi wiciami do plastikowego rusztowania. Gotowy łuk będzie wyglądał niezwykle świątecznie, zwłaszcza z daleka. Za świeczniki posłużą morskie muszle - tą sprawą zajmie się Guy z kolegami.

- Wiesz - mówi Franny wijąc jeden ze szczególnie symetrycznych wianków - można by robić takie wianki do wieszania na drzwiach dla firmy. Z małutkimi malowanymi

plakietkami na imię dziecka. Mogłaby je pleść Kathleen. Guy mógłby je pleść. A nawet Angelique. Nawet Clainey. Płaciłabyś im grosze i zaoszczędziła sporo pieniędzy. Taka Angelique i tak nic nie robi, tylko się opala.

- Muszę to sobie zapisać - mówi True i woła: - Eso, czy możesz mi przynieść notes?!

Na ganku pojawia się Isabelle. True i Franny podnoszą wzrok i obie otwierają usta z zachwytem.

Esa znowu włożyła suknię ślubną, wyjątkowe znalezisko, bogato haftowaną w srebrne róże, z rękawami sięgającymi czubków palców i dwukrotnie szerszymi niż talia młodej narzeczonej. Od czasu gdy Profesor (True ma pewne opory, by nazywać go prawdziwym imieniem, czyli Douglas) powiedział „tak”, Isabelle nie była zdolna do niczego poza rozmyślaniem i projektowaniem stroju. Wybrali obrączkę w stylu królowej Ginewry idealnie dopasowaną do palca. Esa często chwali się nią przy kolacji. Zachwyt True nad obrączką zakłóca jedynie nieutulony żal z powodu rychłej utraty Isabelle. Pocięchą w smutku jest dla niej tylko Hank. Nietrudno się domyślić, jak żarliwie prosiła Isabelle swych pogańskich bogów, by uczucie True do Hanka umocniło się i zapuściło korzenie.

Tymczasem uczucie nie tylko zapuściło korzenie, ale i rozwinęło skrzydła. Szybuje zbyt blisko słońca, myśli True, już czuć jego niebezpieczny żar. Pożądanie, które do niego czuje, jest silne i niesłabnące. Nie ma chwili, by nie chciała go dotknąć, podniecenie odczuwa nawet wtedy, gdy podchodzi do telefonu, wiedząc, że to on dzwoni. Faktem jest, że Hank musi znaleźć sobie własne mieszkanie. I to szybko. Ale ma tak mało czasu, a znalezienie na Przylądku czegoś dla jednej osoby, co nie byłoby ani obskurne, ani przesadnie drogie, graniczy z cudem. Szukanie tej igły w stogu siana to praca w pełnym wymiarze godzin. Partner Hanka, Tom, jest utalentowanym kucharzem i sprawnie przygotowuje proste posiłki. Ale tylko Hank, kierując się szóstym zmysłem, wie, jak szczypta czerwonego proszku dodana „na oko” do całego sosu (nigdy niczego nie odmierza) uświetni całe danie. True zachodzi czasem, by popatrzeć, jak Hank gotuje zachowuje się jak królowa, gdy wkracza do Jedynej i jest za darmo częstowana winem i pysznymi daniami), i pozachwycać się jego umiejętnościami. Isabelle obraca się w kółko.

- Wygląda niesamowicie, a zarazem uroczo - szepcze Franny. - Takie dziewczęce przebieranki.

- Racja - przyznaje True. Drażni ją, że Hank tak elegancko potrafi unikać tego tematu, gdy ona, choć nie wprost, stara się go podjąć. Zawsze jest coś innego, mniej ważnego, ale porywającego do przedyskutowania.

- Która piosenka jest najsmutniejsza? - spytał ostatnio, gdy zasugerowała, że powinni

porozmawiać poważnie.

- Myślę, że Brothers m Arms - odpowiedziała True.

- A ja myślę, że Waltzing Matilda. Ta piosenka sprawia, że czuję się jak Australijczyk.

Żałuję, że nie jestem Australijczykiem.

- To przenieś się do Australii - poradziła True z odcieniem żalu w głosie.

- Nie mogę - uśmiechnął się Hank. - Moje miejsce jest tu. Taki komentarz sprawia, że True się rozkleja, zapewne

zgodnie z intencją Hanka. Czy on coś knuje?, zastanawia się. czy to coś ją ugodzi albo urazi? A może unikanie trudnych spraw, umiejętność odkładania rozwiązania palących problemów na później to po prostu cecha męskiej osobowości? Na przykład jej brat budował ganek przez trzy letnie sezony.

True opiera dłonie na ogrodowym stole i stara się sobie wyobrazić, co ona i Hank mogliby robić, gdyby mieli czas robić cokolwiek innego poza szukaniem miejsc, gdzie mogą się kochać - jakie filmy mogliby obejrzeć, dokąd mogliby zabrać Guya. Podczas ferii wiosennych True i Guy wybierają się na trzy dni na Florydę, do miejsca, gdzie zwykli ludzie mogą pływać z tresowanymi morświnami. Czy Hankowi spodobałoby się coś takiego? Czy może mu zaproponować, by pojechał z nimi? Czy jeszcze za wcześnie?

- Musimy złożyć daninę bogini zbiorów. Myślę, że czuje się zaniedbywana - mówi Franny mocniejszym głosem, przerywając rozmyślenia True.

Franny i True podziwiają Isabelle i wyrażają swój zachwyt.

- Bogini wiosny - poprawia Esa. - Jestem Persefoną, a nie Demeter.

True unosi ramiona w baletowej pozie jako wyraz uznania dla Esy, ale jej myśli błądzą zupełnie gdzie indziej.

Nie dalej jak ostatniego wieczoru Kathleen dała wyraźnie do zrozumienia, że świetnie wie, co się dzieje. Gdy True nie zaczekała na rozwiązanie zagadki zbrodni w Trzech detektywach, świętego dla niej i dla Guya cotygodniowego programu Disneya, Kathleen obrzuciła córkę spojrzeniem, które przyprawiłoby o zwiędnięcie nawet dzikie wino. Szła za True aż do drzwi wyjściowych.

- Nie zamierzam udzielać ci rad, bo i tak nie posłuchasz - powiedziała. - Ale wiem, że nie idziesz ani na spotkanie medytacyjne, ani grać w siatkówkę z Franny.

True zaczerwieniła się. To były dwa niezawodne kłamstwa, usprawiedliwiające jej częste nieobecności w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

- Nie idę - przyznała.

- Ten mężczyzna. Ten chłopak, True... - szepnęła Kathleen. - Zastanów się, czego on

chce.

- Myślę, że chce tego, co mówi, że chce - odpowiedziała matce True. - Chce być ze mną. Trudno w to uwierzyć, ale tego właśnie chce. Szaleje za mną, tak samo jak ja za nim.

- Wiesz chyba, co mam na myśli.

Staram się, jak mogę, żeby nie wiedzieć, mam. I przestań mi dokuczać. Przestań nam dokuczać.

- Myślę, że on chce twojej... pozycji. Jakiej pozycji? - spytała przekornie True. True! Przepraszam, mam. Kiepski żart. Masz na myśli pieniądze?

- Nazywaj to, jak chcesz. To nie moje słowa, tylko twoje. Cała ty. Dlaczego nie mówiłaś tego o Evanie? Chociaż i mu miałaś sporo za złe?

- Evan był dentystą. Hank jest restauratorem.

Kathleen zrobiła minę, jakby w upalne popołudnie doszedł ją zapach zgniłych wodorostów.

True, nie chcę być cyniczna - powiedziała cicho - ale on jest przede wszystkim niebieskim ptakiem.

Nieprawda. Może kiedyś tak było. Ale już nie jest. Zapuścił korzenie. Włożył w ten interes wszystko, co miał.

Młody człowiek, z nikim niezwiązany...

Mieszka tu od dwóch lat. Jest związany ze swoją rodziną w Luizjanie. Są sobie bardzo bliscy.

- Nie chcę o tym dłużej dyskutować - powiedziała wówczas Kathleen. Zawsze miała niezwykłą umiejętność dawania mówcy do zrozumienia, że to ona, Kathleen, jest niepokojona swarliwymi debatami, chociaż sama rozpoczęła rozmowę. True wcale nie potrzebowała pomocy Kathleen, by ziarno niepokoju zakiełkowało w jej głowie. Wszystko, co Hank mówi o kłopotach z utrzymaniem płynności finansowej Jedynej uruchamia w jej głowie ogłuszające dzwonki alarmowe, True dobrze wie, że nawet większe restauracje mają niemałe problemy tego rodzaju w pierwszym roku działalności. Kucharze są krnąbrni, na personelu, który nierzadko ma lepkie palce, nie można polegać, przepisy są surowe. Każdemu innemu po prostu by współczuła. Ale w tym przypadku podejrzliwy umysł True każe jej się zastanawiać, czy

Hank nie zmierza do prośby o pożyczkę. To jedyny powód, dla którego nie zdradziła nikomu innemu poza Franny i Esą,

jak daleko zaszły sprawy między nimi. Poprzedniego wieczoru Hank powiedział jej



przez telefon:

- Możliwe, że naprawdę cię Kocham. Do tej pory byłem zakochany tylko raz, ale teraz widzę, że nawet tamto było niczym wobec tego, co jest teraz.

A ona odpowiedziała:

- Ja wiem, że cię Kocham. Ale co to oznacza...

- Nie zepsuj tego, True - upomina ją Hank. - Powiedzieliśmy to sobie. Tak czuję. Przedtem nieczęsto to mówiłem. Niech więc tak będzie, niech to trwa między nami.

True przypomina sobie tę rozmowę, kłując się kolcem w palec.

- Jesteś rozkojarzona, True. Myślisz o czym innym, prawda? - pyta Franny. - Powiedz mi, skoro Esa już sobie poszła... dobry jest?

- Wygląda na dobrego - uśmiecha się True i obie zaczynają nucić piosenkę, którą śpiewały za dziewczęcych lat: Herę Comes My Guy. Obie też wiedzą, że Franny nie miała na myśli dobroci charakteru, ale True jest bardziej powściągliwa w rozmowie na takie tematy niż wiele innych kobiet.

- Masz o nim wysokie mniemanie? True uśmiecha się szeroko.

- Wysokie, wysokie... mniemanie. Tak, mam wysokie mniemanie. Ale faktem jest, że nic o nim nie wiem.

- Dlatego właśnie Pan Bóg stworzył Internet...

- Nie podejrzewam, że uciekł z więzienia...

- Ja też nie. Chodzi o kredyty, niespłacone długi i tak dalej...

- Mówię, że o nim samym nic nie wiem. Nie wiem, jakie jedzenie lubi. Jakie filmy.

Czy porusza ustami, gdy czyta. Czy będzie przy mnie puszczał bąki. Nic.

- Wszystkiego się dowiesz.

- Tak. Ale za późno.

- Co byś chciała, żeby się zdarzyło?

- Dam ci trzy odpowiedzi. Pierwsza: Chcę zaczekać jakiś rok i zobaczyć, jak do siebie pasujemy, pozwolić mu poznać Guya, zobaczyć, czy nadajemy się na partnerów. Powoli. On im to zresztą mówi, krok po kroku. I ma rację. Każdy, kto tak mówi, ma rację. Druga: Chcę, żeby zamknął interes, wrócił do Luizjany i pisał do mnie od czasu do czasu. I trzecia: chciałabym oszaleć z miłości, wyjść za niego w następnym tygodniu i żyć z nim w wielkim szczęściu przez następne czterdzieści lat.

- Która odpowiedź jest realna?

- Każda.

Guy wysiadł ze szkolnego autobusu i pędzi alejką w stronę domu. Jakieś papiery

wypadają mu z otwartego plecaka.

- Dostałem list! - woła. - Zobacz, mam! Dostałem list od babci i dziadka. To list do mnie, a nie do ciebie. Chcą, żebym do nich przyjechał na część moich wiosennych ferii!

- Możesz pojechać w przyszłym roku. W tym roku jedziemy do delfinów.

- Ale oni piszą, że będę mógł jeździć na koniu, na Polo, całkiem sam, bez ciebie. Czy nie możemy pojechać do delfi-

w następnym roku?

- Zarezerwowałam miejsce przed sześciu tygodniami, Gee.

- Ale w przyszłym roku na pewno będę lepiej pływał. A oni dadzą mi wędkę i przysła mi bilet na samolot. Wszystko na moje urodziny. Przecież kończę dziesięć lat!

True odwiedziła teściów dokładnie dwa razy: pierwszy raz podczas miodowego miesiąca, drugi po urodzeniu Guya. Widziała ich w życiu tylko dziesięć razy. Lepiej zna kasjerkę w supermarkecie niż swoją byłą teściową. Nie pozwoli lecieć dziecku samolotem bez opieki na drugi koniec świata, tak samo jak nie pozwoliłaby mu wejść do klatki rekina podczas szkolnej wycieczki krajoznawczej. Na podstawie własnego doświadczenia z końmi wie, że są to stworzenia równie głupie, co uparte, na tyle duże, by zmiażdżyć człowieka, i na tyle mało inteligentne, by przestraszyć się motyla.

Z drugiej strony teściowie wychowali Pete'a i jego brata na silnych i zdrowych mężczyzn. To ludzie przyzwoici, z zasadami, jeśli nie tylko ciepłi i prości. Poza tym miałyby całe osiem dni i nocy na zastanawianie się, co jest między Hankiem i nią, bez stałej konieczności zaspokajania potrzeb Guya. Mogliby wyjechać z Hankiem... do niewielkiego motelu i... A jeśli samolot się rozbije? Jako żona pilota True wie, że ' to mniej prawdopodobne niż osunięcie się szkolnego autobusu z mostu na Bitter Creek do oceanu. Tak naprawdę chodzi o to, czy True chce mieć wolny tydzień, by widywać się z Hankiem. Mieć Hanka... może nawet... jeśli się odważy... we własnym łóżku. Zadawać pytania - dotychczas niezadane - i słuchać odpowiedzi.

- Nie byłbyś na weselu Esy - mówi do Guya, odgarniając spocone włosy z czoła.

- Byłbym, bo wesele jest w sobotę, a oni piszą, że mogę przyjechać w niedzielę i wrócić w środę.

True rzuca Franny pytające spojrzenie. Franny spuszcza wzrok w płataninę winnego wianka. True nie może liczyć na pomoc z jej strony.

- Super! - mówi w końcu True. - To dopiero będzie przygoda! Napisz do babci, że przyjedziesz.

- Nie mów „super”, mam! - protestuje Guy. - Mów „klawo”.

- Klawo! - powtarza True z westchnieniem, które wydobywa się z niej jak papierosowy dym i wznosi ku koronom drzew, ponad plażę, ku cieśninie, do chmur, zaklinając szczodłą rękę opatrności, by zechciała dać takiej głupiej jak ona odrobinę świętego spokoju.

Kwiecień

## COŚ NA WIOSNĘ!

Po kwietniowych ulewach wyrosną majowe kwiaty, przygotowaliśmy więc niespodziankę - zestaw cebulek, które możecie wspólnie zasadzić. Szukajcie ich w zielonej skrzynce z narzędziami ogrodniczymi, bez żadnych ostrych krawędzi, w sam raz dla maluchów. Jest tam też kapelusik przeciwdeszczowy w robaczki (bez obaw, nie gryzą!) i układanka przedstawiająca rozmaite owady - każdy element z kółeczkiem, żeby małe paluszki z łatwością go chwyciły. A ponieważ wiosna powinna być radosna, mamy też drewnianą kaczuszkę na kółkach i ze sznurkiem, wykonaną ręcznie przez Larry'ego Sornbergera, a do kompletu biało-żółte Kacze Kapciuszeki.

Nie przeoczcie też Daru Obfitości, naszej wody toaletowej, dzięki której umazana błotem mamusia będzie pachniała jak bogini deszczu.

Poprzedniej nocy tylko harleyowcy nie narzekali na ulewę. Domownicy uparcie śledzili prognozy pogody w telewizji, Rudy wydzwaniał do kumpli, miejscowych rybaków, błagając o promyk nadziei, że do jutrzejszego południa pogoda się zmieni.

Na szczęście temperatura w nocy oscylowała wokół szesnastu stopni. W piątek późnym popołudniem Franny przywiozła tort własnej roboty. Niosła go niczym drogocenną porcelanę z Limoges w pudle po komputerze.

- Woodstock - powiedziała - tyle że bez muzyki i narkotyków.

- Nie byłabym taka pewna - mruknęła z niepokojem True.

Matka Isabelle i jej najlepsi przyjaciele zjechali zaopatrzeni nie tylko w beczułki z piwem przytroczone do bagażników masywnych maszyn, ale i w kurczaki, które nabijali na ruszty i piekli nad ogniskami. Ci ludzie najwyraźniej wszędzie czuli się jak u siebie w domu. True pozostało jedynie powtarzać sobie w duchu, że nie potrwa to długo. Reszta starała się nie myśleć o dwustronicowym artykule w „Heraldzie” przedstawiającym odzianych w skórzane ubrania członków gangu, raczących się budweiserem. Mickey, mama Esy, w skórzanych ochraniaczach na spodnie, przemierzyła ogród wielkimi krokami u boku męża, Hoba, który wydał się True mitycznym stworem zdolnym przewracać świątynie.

- Ośmioro z nas zawsze wszędzie jeździ razem - wyjaśniała Mickey, podając twardą dłoń. - Narodziny, wakacje, wypadki krajoznawcze, przyjęcia, wizyty w sądzie, potańcówki. Nie musicie się martwić o nasze wyżywienie. - Potem wychwalała kukurydziany chleb z papryką pieczony w przedpotopowej żeliwnej patelni nad otwartym ogniem. - Dowcip polega na tym, że patelni się nie myje. Tłuszcz zawsze na niej zostaje.

True, dostrzegłszy paznokcie kuchmistrza, księgowego zwanego Howardem, poczuła się zbyt syta po późnym lunchu, by spróbować choćby odrobinę.

Na Cape Cod ziemia jest tak cenna, że - święty Boże nie pomoże - domy stoją jeden obok drugiego. Sąsiedzi albo ignorują przewidywane wydarzenia, albo czekają w napięciu na małżeńskie kłótnie w piątkowe wieczory, których szczekliwe odgłosy z łatwością przenikają przez okna osłonięte latem samymi żaluzjami, albo na urywane, namiętne westchnienia, brzmiące tak, jakby wydobywały się z szafy w naszej własnej sypialni. Takie odgłosy mogą być nawet na swój sposób inspirujące, ale tylko bardzo bogaci w swych otoczonych kamiennym murem posiadłościach mogą spodziewać się czegoś więcej.

Mimo to trudniej było nie dostrzec hordy przyjaciół matki Esy niż kolonii wymierających meduz, zwanych żeglarzami portugalskimi, wylęgających w sierpniu na plaże.

- Refleksyjną naturę odziedziczyłam po rodzinie mojej matki - mówi Isabelle.

True uśmiecha się nerwowo.

Dom True stoi na dużej, okrągłej działce. Nikt nie może zajrzeć w okna jej domu, a najbliższa budowla ma prawie dwanaście metrów wysokości i rotacyjny reflektor, którego światło, dzięki soczewkom Fresnela, sięga jedenastu mil w głąb morza. Prywatność zawsze była tu błogosławieństwem - teraz jest ratunkiem.

- Benzyna - mówi z niesmakiem Kathleen, wystawiając nos za drzwi. - Polewają ogniska benzyną, żeby podtrzymać ogień. Tylko patrzeć, jak będziemy mieć policję na karku.

- Nie martw się, mamó - radzi True. - Muszę jeszcze spisać tekst mojej ślubnej mowy. Nie mogę się wszystkim przejmować. Pamiętaj, że to wyjątkowy dzień w życiu Isabelle.

True wyszukała już teksty poezji zachowane od czasu studiów i rozmaite utwory teatralne. Czyta pean na cześć Maud (‘onne autorstwa Williama Butlera Yeatsa, gdy z zewnątrz i dochodzi ją dźwięk gitary.

- Chyba tego nie wytrzymam - mówi przez telefon do Hanka. - W twojej restauracji jest o wiele spokojniej.

- To przyjeżdżaj - proponuje Hank. - Przygotuję ci miejsce w salce bankietowej.

True przyjmuje propozycje. Sama obecność Hanka, pięknie ułożone kwiaty i serwetki oraz dochodzący z kuchni zapach duszonych potraw podnoszą ją na duchu. Zanim pojawią się Isabelle, Douglas, Rudy i Guy, True znacznie posuwa się z robotą.

- Chcę być pewna, że wszystko dogadza wam obojgu - mówi True do Isabelle. - Dlatego nie myślcie, że obrazicie moje uczucia, jeśli zechcecie coś wyrzucić.

Rudy, który potępia wywożenie znalezisk archeologicznych z kraju ich pochodzenia, sugeruje fragment Księgi Wyjścia, w którym, jak przypomina, mówi się o karze za wożenie

„szmaragdów, szafirów, diamentów, berylu i jasz su, które są kamieniami pamięci dla dzieci Izraela”\*, i dodaje

- Pamiętacie? „Gdyby pochwycił ktoś złodzieja w czask włamywania się i pobił go tak, iżby umarł...”

Odrywając się na chwilę od przyrządzania sałatek, Hank sugeruje Psalm 11: „Dlaczego mi mówicie: Niby ptak uleć na górę!” To będzie pasować do archeologii...

- Skąd wy wszyscy tak dobrze znacie Pismo Świąte? - pyta True, szczerze zaskoczona.

- Ja zdecydowanie odstaję.

- Wybrałem Pismo Świąte jako podstawową lekturę na] zajęciach z literatury - przyznaje Rudy.

Ale Douglas nie jest pewien, czy odpowiada mu deizm Psalmu 11, więc True powraca do stosowniejszego ustępu z Księgi Rut, rozdział 1, wers 16: „Nie nalegaj na mnie, abym opuściła ciebie i abym odeszła od ciebie, gdyż gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkas, tam ja zamieszkam, twój naród będzie moim narodem... śmierć oddzieli mnie od ciebie”.

- Co za wzniosły ton - wzdycha Isabelle. - Przypomina mi Gregory Pecka.

- Alana Ladda - poprawia ją Rudy.

- Czy nie ma tam żadnego fragmentu w bardziej zrozumiałym języku? - pyta Guy.

- To język na specjalne okazje - wyjaśnia True, gdy tymczasem reszta towarzystwa dopija kawę. - Taki język sprawia, że ludzie siedzą skupieni i słuchają.

Nikt, myśli True, nie szedłby w ślad za swoją drugą połową, to tu, to tam, z większą ufnością niż Esa. Nikt nie nadaje się lepiej do roli Rut, gdy Douglas będzie przemierzał ziemię w poszukiwaniu obozowisk nomadów, liczącego pięć dziesiąt tysięcy lat ekwiwalentu Estery. Wracają do domu wykończeni. True z żalem rezygnuje z czegokolwiek poza krótkim pocałunkiem Hanka w nadziei, że dłuższy sen odbije się korzystnie następnego dnia na jej twarzy. Lucy dziewczyna o chłopięcych biodrach i piersiach Barbie, patrzy zza drzwi prowadzących do kuchni. Na jej twarzy, którą True widzi ponad ramieniem Hanka, maluje się grymas pełen obrzydzenia. True wpycha do torebki pomietą serwetkę z zapiskami robionymi podczas rozmowy. Wszystkie sprawy, włącznie z dylematem dotyczącym znalezienia mieszkania dla Hanka, muszą poczekać, aż odbędzie się wesele Isabelle. Wóz udekorowany wilgotnymi wiankami z dzikiego wina, okryte brezentem motocykle, polędwice i focaccia dla trzydziestu gości, którzy zjawią się o drugiej, i True jako ozdobnik w lnianym kostiumie koloru morskiej piany, w kapeluszu z szerokim rondem i jedwabnymi wstążkami.

Nad ranem, gdy deszcz nieco ustał, True słyszy, jak harleyowcy śpiewają Give Peace

a Chance.

Gdy zegar wskazuje siódmą trzydzieści, dzwonią Sandersonowie, mieszkający przy drodze na plażę.

- True, kochanie - mówi łagodnie kwakierka, Sylvia Sanderson. - Wiem, że to o wiele za wcześnie na telefon. Ale ci nieszczęśni, przemoczeni ludzie na twoim trawniku... Czy imi... To znaczy oni zdają się być bardzo...

- Nie zostaną długo - pospiesznie zapewnia ją True. - Mamy dziś ślub mojej asystentki. Do zachodu słońca wyjadą, Sylvio.

Esa kręci głową.

- To znaczy wyjadą przed północą.

Esa znowu kręci głową. True ze zniecierpliwieniem wzrusza ramionami.

- No, najdalej jutro rano. Powiedz Luke'owi, że bardzo mi przykro. Sądziłem, że zatrzymają się w motelu...

- Och, wcale nam nie przeszkadzają - mówi Sylvia, a w jej głosie bynajmniej nie słychać wdzięczności z powodu zapewnień, że Mickey i jej kompania nie zostaną tu na całe lato. - Martwiliśmy się tylko, czy w tym deszczu... Czy ktoś z nich nie potrzebuje pomocy? Dachy nad głową? Mamy przecież stodołę, ciepłą i suchą.

True czuje, jak ogarnia ją duma, że Jankesi potrafią zachowywać się tak elegancko.

Zaledwie godzinę później, gdy True, Isabelle i Kathleen parzą sobie kawę, zjawia się ojciec Isabelle. Kathleen otwiera drzwi, a roześmiany jasnowłosy mężczyzna w dzinsach i grubej kurtce pyta:

- Czy to tu?

- Zależy - odpowiada Kathleen. Wtedy rozlega się głos Isabelle:

- Tatusiu! Powiedziałeś, że nie przyjedziesz. Powiedziałeś, że musisz bronować czyjeś pole!

Ale przyjechał. Z bardzo daleka, z Annenberg, z Wisconsin, i stoi, obracając czapkę w dłoniach:

- Przyjechałem wydać córkę za mąż - oświadcza. - Ale nie zostanę na noc.

- Ależ zapraszamy - odzywa się nagle Kathleen. - Może pan korzystać z mojego domku, a ja zanocuję u mojej córki True.

True jest wzruszona, że Kathleen tak szybko potrafi przełamać lody i okazać gościnność, gdy grzeczność tego wymaga.

Matka Esy, która nie widziała byłego męża przez dwadzieścia lat, z krzykiem wpada na ganek.

- Kellen! - woła, rzucając mu się na szyję. - No, no, jesteś gruby jak stodoła! Musisz ważyć najmarniej ze sto czterdzieści kilo!

- Ładne powitanie, mamó - komentuje Esa.

- A ty wyglądasz ciągle tak samo, Mickey - wzdycha Kellen Merton. - Po prostu pięknie.

- I jak ci się udało przyjechać, tatusiu?

- O mało bym nie przyjechał - wyjaśnia Kellen Merton. - Namówiłem Johannsena, żeby zrobili za mnie tę robotę z Eddiem. Załadowałem się do samolotu, na fotel jak dla karła. Siedzenie mnie boli, jakbym się zaklinował w toalecie na stacji benzynowej...

- Tato, dziś mój ślub - mówi Esa. - Oszczędź nam fizjologicznych szczegółów.

Isabelle już wcześniej wprowadziła Douglasa w temat i teraz jej narzeczonemu mówi, że słyszał wiele dobrego o dzieciństwie Esy na farmie.

- Powiedziałbym, że nauczyła się pracować - stwierdza irieeEsa.

- Gdzie pan ma swoje bagaże? Możemy pomóc je wnieść - oponuje True.

- Nie trzeba. Dziś wieczorem wracam - wyjaśnia ojciec Kellen.

- True ma na myśli ślub - mówi Esa. - Twój garnitur. Kellen Merton podnosi w górę plecak.

- Napisałaś: swobodny strój.

- Nie aż tak swobodny, tato.

- Czy sklep jest już otwarty? - pyta True. - Jest ósma rano, i ślub dopiero w południe.

- Nie zamierzam wydawać pieniędzy na garnitury - oświadcza Kellen Merton. - Sam lot kosztował mnie...

- Chyba mam jeszcze w domu jedną z marynarek Berta - mówi łagodnie Kathleen. - Tak. Na pewno mam. Ale czy będzie pasowała? Może i będzie. Mój mąż był postawny. Podoba się panu szara krata?

- Nigdy w życiu nie miałem garnituru, łaskawa pani.

- Z pewnością się panu spodoba. Ani jednej dziurki po molach, choć ma już tyle lat - mówi Kathleen, prowadząc Kellena do drzwi. - Bert górował wzrostem nad wszystkimi mężczyznami, ale nie miał na sobie ani grama tłuszczu.

- Bóg jednak istnieje - stwierdza Esa.

Przed dziesiątą pojawia się słabe słońce i żonkile ostrożnie podnoszą główki. Franny zaplata gęste włosy Esy we francuski warkocz, przetykając pasma srebrną nitką. Hank zjawia się wcześniej, wystrojony w ciemnoszary garnitur i czerwony krawat. True nie może się oprzeć zapisanemu w jej palcach wspomnieniu topografii ciała okrytego teraz tkaniną. To



będzie pierwsze wesele, spośród co najmniej tuzina, w których uczestniczyła w ostatnich dziesięciu latach, kiedy nie będzie ani zazdrosna, ani osamotniona.

Tuż przed południem Mickey wynurza się z namiotu ubrana w fioletowy kostium, z czystymi, wyszczotkowanymi włosami - wygląda dwadzieścia lat młodziej - i pomaga ustawić łuk z dzikiego wina i słodkogorzu. Jej mąż, Potężny Hob, z wysiłkiem unosi płachty namiotu, by opróżnić pełne wody wgłębienia.

Już czas. Ojciec Isabelle, schludny i elegancki, w spodniach j i marynarce ojca True, podaje córce ramię.

- Tato - mówi Isabelle, wyglądająca jak królowa z bajki - myślę, że wydałeś mnie z domu dawno temu, gdy poszłam na studia. Naturalnie chcę, żebyś szedł przy mnie, ale w moim życiu jest inny mężczyzna, który powinien znaleźć się teraz u mojego boku.

Rudy dumnie poprawia krawat, ale Isabelle wyciąga rękę do Guya:

- Chodź, mały. Poprowadzisz starą przyjaciółkę do ołtarza?

True zagryza wargę, gdy Guy prostuje dumnie swoje metr dwadzieścia siedem i bierze Esę za rękę.

Gdyby nie uspokajający dotyk Hanka, wzruszenie nie pozwoliłoby True pokonać dziesięciu metrów dzielących drzwi jej domu od tui.

Głos jej drży. Dokładnie w południe zaczyna mówić:

- Nie jestem, naturalnie, pastorem, byłam jedynie szefową Isabelle przez osiem cudownych lat, dlatego czuję się zaszczycona, że Isabelle poprosiła mnie, bym dzieliła ten moment razem z nią i Douglasem. Z całym ogromnym szacunkiem dla rodziców, którzy wychowali tę wspaniałą młodą damę, mam i ja swój udział... - Siłą powstrzymywane łzy sprawiają, że głos więźnie jej w gardle. True bierze głęboki oddech. -...Mam i ja swój udział w tym, że Isabelle, stosownie do swego imienia, z młodziutkiej dziewczyny stała się przepiękną kobietą. Prawie siedemdziesiąt pięć lat temu dramatopisarz Thornton Wilder napisał, że małżeństwo jest związkiem, w który wstępują prawie wszyscy ludzie. Pisał, że poza niewieloma wyjątkami ludzie stworzeni są do życia we dwoje. Powiedział też, że w jednym przypadku na milion małżeństwo jest czymś interesującym.

- To małżeństwo - ciągnie True, spoglądając w dal ponad rząd namiotów - będzie czymś szczególnie interesującym, ponieważ Isabelle i Douglas zdecydowali się nie tylko na wspólne życie, ale na życie pełne przygód. Wszyscy wiemy, dlaczego są tu dzisiaj. Ale dlaczego my tu jesteśmy? Jesteśmy świadkami zaślubin. Jesteśmy tu, by przyrzec, że jeśli kiedykolwiek tych dwoje złądzi, zaoferujemy im naszą pomoc. Że jeśli kiedykolwiek opuści ich bezwarunkowa miłość, która ich tu dzisiaj przywiodła, wesprzemy ich radą, jeśli o nią

poproszą, lub zachowamy milczenie, jeśli taka będzie potrzeba chwili. Thornton Wilder powiedział: Nie zapominajcie o innych świadkach waszego ślubu - o przodkach. O milionach przodków. Dlatego więc Douglas, który w swojej pracy zawodowej bada, jak żyli, umierali, zawierali związki małżeńskie nasi przodkowie, i Isabelle, która przez kilka ostatnich lat pracowała w firmie pomagającej witać istoty ludzkie na tym świecie, stoją tu dziś w doborowym towarzystwie.

True spogląda na Hanka, oczekując pełnego dumy uśmiechu... brawo! Ale w jego oczach dostrzega coś innego, coś tak głęboko intymnego, że bez mała zapomina, gdzie jest. Przepływa między nimi fala uczucia, gęsta i intensywna, aż napawająca lękiem. Czegoś równie bliskiego telepatii True nie doświadczyła nigdy z żadną inną dorosłą osobą. Dokładnie wie, co on do niej mówi: Jesteś moim sercem. Jesteś moją kobietą. Na zawsze.

Trzciny na bagnach zawodzą jak nienastrojone skrzypce, gdy True czyta fragment z Pisma Świętego. Wsluchuje się w tę muzykę, gdy zadaje pytanie, które każda kobieta zaczyna nosić w sercu, zanim skończy dwanaście lat: Czy chcesz...? Czy będziesz...?

Chcą. Będą.

W kilka godzin później True siedzi samotnie przy kuchennym stole. Wspaniały tort, który zrobiła Franny, przedstawiający latarnię morską w Stage Harbor, gdzie Isabelle i Douglas się poznali, wygląda jak pochylony kopiec. True

zrobiła sobie filiżankę mocnej herbaty. Hank wrócił do „sklepu”, jak nazywa swoją restaurację, gdzie tej nocy pełni rolę maitre'a - będzie witał, zabawiał gości i polecał im wina. Esa i Douglas chyba jeszcze nie śpią - True ma przynajmniej taką nadzieję - w luksusowym hotelowym apartamencie, który im zafundowała. W zamian zawiozą jutro Guya do Montany, dokąd, jak zaplanowali sobie już dawno temu - choć True wcale o tym nie wiedziała - wybierają się w podróż poślubną.

- Będziemy zajmować się końmi: szczątkami pradawnych koni i prawdziwymi końmi, na których się jeździ - powiedziała Esa - oraz szukać dowodów na to, że ludzie i mamuty wspólnie zamieszkiwali kiedyś tamte tereny.

- Zawsze to podejrzewałem - komentuje szybko Rudy opierając głowę na ramieniu Esy podczas długiego pożegnalnego uścisku. Nawet Rudy'emu nie skoro do żartów. Jeśli plan Keitha się powiedzie, mogą wyjechać jeszcze przed początkiem maja. Niewykluczone więc, że Rudy nie będzie widział Isabelle przez dłuższy czas. - Może uda się wam dotrzeć do Little Big Home, Eso. To coś w rodzaju Niagary północnego zachodu.

- To niezbyt romantyczne jak na miesiąc miodowy - wtrąca True cicho, gdy Douglas ładuje kufry Esy do swojego zdezelowanego vana.

- Jak się nie widziało swojego faceta przez sześć miesięcy - mówi Esa rozmarzonym głosem - to nawet siedzenie z nim w samochodzie i śpiewanie przy radiu będzie romantyczne.

True jej wierzy. Myśli, jak Keith i Rudy będą słuchali kompaktu z Betty Buckley, zmierzając na zachód. Rozjadą się w różne strony. Ich drogi prowadzą... od niej, w dal. Ale jest Hank. To, co do siebie czują, to coś więcej niż seksualna matnia... nieprawdaż? Poza wszystkimi niestosownościami tego związku jest w nim urok wspaniałego samopoczucia, które ogarnia True za każdym razem, gdy spotyka się z Hankiem, jest odurzenie pieprzowym zapachem jego ubrania, jest porozumiewanie się oczyma ponad głowami innych i głupi, ale jakże ważny fakt, że choć pochodzą z różnych światów i różnych generacji, uwielbiają tę samą zabawę: wymyślają historyjki o przechodzących obok parach. Co więcej, historyjki te niezmiennie do siebie pasują.

Isabelle i Douglas wydawali się niedobraną parą, a jednak poszli wspólną drogą, odurzeni szczęściem.

Nie ma wzorca na jej związek z Hankiem. W sprawach osobistych True zawsze zachowywała się jak grzeczna dziewczynka, a jeśli już nie jak grzeczna dziewczynka, to jak dziewczynka zdecydowana nie narażać się na krytykę.

Teraz też nie chce narażać się na krytykę. Ale ściągnęłyby raczej na siebie piorun, niż pozwoliła Hankowi odejść, nie wiedząc, jaka siła, poza tą oczywistą, pcha ich ku sobie i dlatego po tak krótkim czasie czują, że są naprawdę razem, przynajmniej gdy są sami, we dwoje, związani ze sobą jak tajna wspólnota, jak braterstwo, jak dwuosobowa sekta. Powiedział to Hank. Nazwał ich „bratnimi duszami”. True wie, że to trywialne określenie, ale w ustach Hanka jest jak wielokwiatowy miód. True nie znalazłaby trafniejszego terminu.

Pije następną filiżankę herbaty - tak mocnej, że z pewnością przez całą noc nie zmruży oka. Potem znajduje Guya leżącego w poprzek łóżka wciąż w garniturku od pierwszej komunii, w który ubrał się na ślub. Rzeczy do spakowania, od bielizny po kowbojskie buty, porozrzucane są po podłodze. True cieszy się, że wreszcie nadarza się okazja, by wszystko uporządkować. Znajdzie walizkę i ułoży w niej ładnie rzeczy Guya, by zrobić dobre wrażenie na byłej teściowej. Musi też przygotować lekarstwa antyalergiczne i dokumenty związane ze zdrowotnym ubezpieczeniem Guya. Gdy kończy sprzątanie, wygląda jak zombie. Kładzie się na łóżku obok Guya. Wdycha zapach przypominający zapach mokrego psa, wydzielający się z włosów każdego małego chłopca, który spędził dzień, biegając jak hart, z prędkością niewykrywalną przez radary, na przyjęciu dorosłych.

Ogarnia ramieniem jego wypukły tors i zasypia.

Budzi ich Kathleen ogarnięta uzasadnioną paniką. U jej boku stoi Kellen Merton,

ojciec Isabelle, umyty i uczesany, w czystej, zapinanej na zatrzaski flanelowej koszuli. Kathleen nie spała w domu córki - True jest tego prawie pewna. Kathleen ma w swoim domku dwie sypialnie, ale... Niemożliwe...] Chociaż... True snuje domysły z taką chciwością, że trudno jej skupić myśli na czymkolwiek innym.

Kathleen oświadcza, że samolot odlatuje za dwie godziny, Isabelle i Douglas już czekają. True nie ma czasu, by uświadomić sobie, że będzie to najdłuższa rozłąka z synem od chwili jego narodzin.

- Pamiętaj, Katie - mówi Kellen Merton. - Najlepsza pora to maj. Gdy kwitną drzewa.

- Nigdy nie byłam w tamtych stronach, choć mój mąż często tam jeździł - odpowiada Kathleen, obejmując ramieniem Guya.

- Będę bardzo tęsknić - mówi True do syna, starając się by jej głos był naturalny i serdeczny.

- Ja też będę tęsknił, mamusiu - mówi Guy i ściska ją pośpiesznie.

Już podał Douglasowi swój plecak. Douglas pomaga „panu Mertonowi” wsiąść na tylne siedzenie. „Pan Merton” macha ręką do „Katie”.

Wtedy Guy podbiega z powrotem do True.

- Pamiętasz, jak pojechałem do Monomoy Sea na obóz z noclegiem, kiedy byłem mały? Jak mi się tam nie podobało i nie chciałem pojechać drugi raz, chociaż to było całkiem fajne miejsce?

True przyznaje, że pamięta (Guy wcale nie był wtedy mały. Miał siedem lat).

- Pamiętasz, jak ci dałem plastikową torebkę i powiedziałem, że jest pełna... Ale to było głupie... Pełna całusów i że możesz sobie jeden wyjąć, jak będziesz za mną tęskniła?

True pamięta.

- A więc - Guy pokazuje True zaciśniętą piąstkę - pełną garść. Wiem, że to dziecinada...

I robisz to dla mnie, myśli True.

- Dziękuję, Gee - mówi. - Zawsze będę je miała ze sobą.

- Myślę, że będzie ci z nimi łatwiej - uśmiecha się Guy.

Uścisk, tym razem bardzo szczerzy. True czuje, że teraz, kiedy pozwala Guyowi jechać, wkraczają na terytorium, na którym będą musieli akceptować swe odmienne tożsamości. True nie jest pewna, czy jej się to podoba.

Opuszczona przez Esę, opuszczona przez dziecko i - przynajmniej chwilowo - przez kochanka, True rzuca się na rozgrzebane łóżko Guya. Hank jest pewnie w domu, u Lucy, i pewnie dłużej pości. Może doszedł do wniosku, że i ona musi być wykończona. Może stara

się zachować dystans. Mogłaby do niego pojechać. Ale, nie. Ten mężczyzna, który wszedł w jej ciało i w jej życie tak pospiesznie i z taką pewnością, jest jednocześnie gdzieś daleko od niej. Może właśnie w ten sposób zamierza nie dopuścić... wszystkiego innego, co łączy się z True - zbyt blisko siebie.

Może sprawa mieszkania to tylko poręczna zasłona dymna dla jego mieszanych uczuć. True nie chce tak myśleć.

Ale dom jest pusty, pozbawiony życia. Zaczyna prószyć późnowiosenny śnieg i szybko zamienia udekorowane wstążkami gałązki w patyki z obwisłymi, mokrymi szmatkami, tak jakby kapryśna wiosna powstrzymała na półwyspie przebudzenie się Persefony. Cisza - jak dłoń zakrywająca usta. True jeszcze nigdy nie czuła się tak osamotniona i tak niepotrzebna, jakby i ona była zamarznąta, zapomnianą resztką. Inna kobieta zabrałaby się za dobrą książkę i otworzyła butelkę merlota. Ale True pozwala zawiązać sobie ciszę. Zawija się w kołdrę syna, kuli się w rogu łóżka i zasypia. Gdy się budzi, jest ciemno.

Telefon... True myśli, że to Hank. Ale to Guy. Dzwoni - z Montany. True odnosi wrażenie, że jej syn zniknął w jednym z dezintegratorów, tak często pokazywanych w filmach z gatunku „Star Trek”, że teleportował się do Montany. Rozmowa jest krótka, bo Guy idzie z dziadkiem zobaczyć, jak krowa rodzi cielę - czy coś takiego. True nie ma nawet siły, żeby się podnieść i wyregulować termostat albo włączyć pomarańczowe, krzepiące światło. Zapada w sen. Choć sen zapewne niczego nie uleczy, może coś będzie na jego drugim końcu.

To Hank proponuje New Hampshire.

- Tam teraz nie ma żywego ducha - stwierdza True. Dlaczego nie Nantucket? Mają przynajmniej dobre jedzenie.

True zatrzymała samochód na pustej drodze prowadzącej do placu budowy w Harwich. Dworek z dwudziestoma pokojami, w którym zamieszka pewien deweloper mający tylko jedno - trzyletnie - dziecko, zajmie miejsce starego portu, który przez sto dwadzieścia lat udzielał gościny rybackim łodziom. Hank pali cygaro, True zapina dzinsy.

- Czy potrzebujemy towarzystwa? - pyta Hank.

- Może pojedziemy do Strawberry Banks - sugeruje True. - To ładne miejsce. Ze starymi gospodarzami. Przynajmniej jedna musi być czynna.

- Myślałem, że wejdziemy na górę Washington - mówi < Hank. - Zawsze chciałem wejść na ten szczyt. Niewiele wiem o New Hampshire.

- Bardzo zielona okolica - odpowiada True, myśląc o częstych podróżach w tamte strony, gdzie według jej szacunków mniej więcej co trzeci mieszkaniec rzeźbi w drewnie. -

choć jeszcze nie teraz.

True myśli o swoich rododendronach, pogrążonych w białym zimowym śnie, które już za parę tygodni obsypią kwiatami.

- Myślałem, że wejdziemy na szczyt, żebyśmy mogli potem powiedzieć, iż tego dokonaliśmy.

- Brzmi... intrygująco. Ale tam jeszcze na pewno leży śnieg. Nie dalej jak parę tygodni temu odbywały się te ich wielkie zawody narciarskie. Możemy... no wiesz... wcale nie wejść na szczyt.

- Ale możemy spróbować. A potem moglibyśmy pojechać do Kanady. Masz metrykę urodzenia? Bo trzeba ją mieć prawda?

- Mam paszport. A ty masz metrykę?

- Była mi potrzebna do prawa jazdy czy do licencji na sprzedaż alkoholu, coś takiego, więc mam.

- Ale ja nie mogę tak sobie nagle wyjechać. Ty chyba też nie. Czy możesz?

- Tom mnie zastąpi. Brat mu pomoże. I Chris. Już się zgodzili. Ja pracowałem za Chrisa, kiedy on pojechał do New Jersey na ślub siostry. Musi wykrobać sporo grosza, jak chce wejść w ten interes. Personel jest w porządku, przynajmniej teraz, a nowy kucharz - wręcz świetny. Ale wiem, że odejdzie, jak zacznie się sezon. Po prostu to wiem.

- Muszę przygotować zamówienia na jesień. Bez Esy jestem jak bez ręki.

- Mówiłaś mi, że zdaniem Rudy'ego nowa dziewczyna, która ma zastąpić Esę, nie jest zła.

- Nie pracuje jeszcze nawet na pełnym etacie.

- Tak, ale...

- Myślę, że Rudy mógłby przejąć na parę dni moje sprawy. Kathleen też zna się na wszystkim - z wyjątkiem komputera.

- Kiedy ostatni raz brałaś urlop, True? True musi sobie przypomnieć.

- Hmm, w dziewięćdziesiątym ósmym - mówi odważnie. - Byłam na wystawie zabawek w Nowym Jorku.

- To nie urlop. Posłuchaj. Kathleen czuje się dobrze. Ty jesteś wykończona weselem. Ja mogę zrobić sobie przerwę. Guy jest pod dobrą opieką. Nigdy nie wyjeżdżaliśmy razem podczas całej naszej... - Hank nie może opanować śmiechu - prawie miesięcznej znajomości!

Śmiech jest zaraźliwy. To wszystko jest takie głupie, a zarazem takie wspaniałe!

Ponieważ może być ślisko, jadą ciężarówką Hanka. True zauważa w bagażniku drobiazgi przypominające paliki do namiotu. Jeśli można wyobrazić sobie coś, czego True się

boi i czego nie znosi jeszcze bardziej niż kręgli, to obozowania. Peter był wielkim zwolennikiem kempingów i True ukuła sobie teorię, że obozowanie dla mężczyzny i obozowanie dla kobiety to dwa całkowicie różne doświadczenia. Dla mężczyzn obozowanie to - jakże męskie - wyczyny łowieckie i wdychanie rześkiego, przesyconego zapachem żywicy powietrza. Kobietom musi kojarzyć się z życiem w obozie karnym: latryny, wspólne prysznicze i targanie wody do zmywania naczyń cztery razy dziennie.

- Nie jedziemy na kemping - mówi True. Nie pyta, stwierdza.

- To tylko na wszelki wypadek - obiecuje Hank.

Górze Washington daleko wprawdzie do K-2, ale w miarę jak się wspinają, True czuje, że nowe buty, które według zapewnień sprzedawcy w sklepie Shoe Biz miały być wygodne jak ranne pantofle, coraz bardziej przypominają jej buty ze studenckich bali albo te, które miała na sobie w dniu ślubu - wdzięczne drobiazgi, które potrafią skazać człowieka na tortury z powodu rzemyka albo niewidocznych, ostrych jak nożyki, wewnętrznych krawędzi. Hank zwraca uwagę True na śpiew ptaka, jak sądzi, kardynała czerwonego albo wireonka czerwonoookiego, ale True odczuwa tak silny ból, że nie zainteresowałby jej nawet skowronek królewski. Wie, że jej kondycja fizyczna, niezależnie od wagi, jest na tyle dobra, że, gdyby nie stopy, mogłaby wbiec pod tę górę ścieżką usianą drobnymi kamykami. Dlatego ogarnia ją złość, że Hank udaje Edmunda Hillary'ego. Potyka się, ale próbuje ukryć cierpienie. Czując, że pęcherz na stopie pęka, zagryza wargi z cichym okrzykiem. Szczyt góry Washington, zwieńczony słoneczną aureolą, wydaje się równie odległy jak wierzchołek pomnika Waszyngtona. Błoto, niczym tłusty sos, wypływa spod podeszew. True czuje się poirytowana i spięta, chociaż - na szczęście - nie spodziewa się okresu wcześniej niż w przyszłym tygodniu, co jest podczas tej wyprawy prawdziwym błogosławieństwem.

Otoczenie i dziwne napięcie w okolicy brzucha przypominają jej jedyny nieprzyjemny moment podczas jedynej w życiu wyprawy, na którą True wybrała się z matką. Gdy True była dziewczynką, wspięły się na górę Whitney. Kathleen, zawsze pełna wigoru, zawsze rwała do przodu. Ze swoją laską z orzechowego drewna była postrachem wszystkich okolicznych psów, niemniej True zdziwiła się, gdy matka zaproponowała zrobienie czegoś tak bardzo niezwiązanego z domem i tak ekstrawaganckiego. Wyprawa miała być okazją do świętowania - uczczeniem faktu, że True została wybrana do wygłoszenia mowy pożegnalnej na zakończenie szkoły średniej - i rozpoczęła się od wizyty w sklepie Pike's Peak, gdzie splukaty się na europejskie swetry i spodnie z zaszewkami, dzięki którym True uchodziła jesienią w Amherst za wzór mój. True nie przypomina sobie, by Kathleen była kiedykolwiek bardziej „chłopięca”, bardziej impulsywna i otwarta, taka, jakiej zawsze się domyślała w swojej

oszczędnej i zdyscyplinowanej matce, sączącej tylko jeden dzin z tonikiem i dbającej o właściwy skład posiłków.

True próbuje przypomnieć sobie tamtą wycieczkę, gdy z Kathleen śpiewały głośno Shall We Dance? i Happy Talk, maszerując z laskami w dłoniach w siedmioosobowej grupie, w której były także Fam i Suzanne, dwie najbliższe szkolne przyjaciółki True, ich matki i jeden z ojców. W tamtych czasach obozowanie nie było niczym przykrym - matki zabierały mrożone i suszone specjały zakupione u L. L. Bean i żurawinowe ciasto domowej roboty na śniadania. Matki, a nie dziewczęta, zmywały naczynia. Ale gdy w drodze powrotnej True dostała niespodziewanie okres, przeżywała poniżające cierpienia - musiała pociąć na kawałki zapasowe bluzy, zrobić z nich namiastki podpasek, a potem nocą wymykać się z obozu, by je spalić. Odczuwała wówczas - i nadal odczuwa - tak wielkie zażenowanie w sprawach dotyczących higieny osobistej, że nie potrafiła zwrócić się o pomoc do koleżanek. A kiedy Kathleen wzięła ją na rozmowę i zażądała wyjaśnień, czy True przypadkiem nie pali po kryjomu papierosów, przyznała, że pali, bo wolała dostać burę od matki niż wyjawić prawdę. Nie rozmawiały ze sobą o tej sprawie aż do narodzin Guya. Nastąpiła wtedy taka chwila, cicha i skłaniająca do zwierzeń, gdy wydaje się dopuszczalne, wręcz właściwe, wyznać innej kobiecie coś bardzo intymnego. Kathleen nie mogła sobie nawet przypomnieć tamtego zdarzenia, póki True nie wspomniała o Gourde O'Malleyu, ojcu jej przyjaciółki Pam. Kathleen pamiętała go ze wszystkimi szczegółami - zarówno jego szerokie ramiona, jak i bujne, kasztanowe włosy.

Ścieżka jest coraz bardziej stroma. Hank i True przysiedli, by posilić się niskowęglowodanowymi, kokosowymi batonikami. True ma wrażenie, że jej stopy to sztywne kołki. Nie czuje palców. Gdy schyla się dyskretnie, by je obejrzeć, zauważa krwawą obwódkę na brzegu krótkich białych skarpetek. Szybko rozwiązuje buty. Pęcherze na paluchach są obrzmiałe i wilgotne, spód jednej ze stóp cały poodcierany, ale co to ma wspólnego z kostką?

Krew służy wzdłuż nogi. True z jękiem opiera się o skalną półkę. Życie jest straszne. Nie ma zapasowej bluzy, którą mogłaby pociąć. To powinno być zdarzyć się nie wcześniej niż za tydzień. Pani ginekolog najwyraźniej miała rację, mówiąc, że po czterdziestce nigdy nic nie wiadomo.

- Co ci jest? - pyta Hank. - Jesteś chora?

- Jestem chora - przyznaje True. - Muszę natychmiast wracać.

- Jeszcze zaledwie kilkaset metrów. To dla mnie takie ważne, żebyśmy dotarli na szczyt.

- To idź, a ja będę tu leżeć i krwawić.



- Stopy ci krwawią?

- Mam przecież nowe buty. Ale nie tylko o to chodzi.

- Ja bym je oddał. To niesłychane.

- Mam trochę dziwne stopy - wyjaśnia True.

Nie chce powiedzieć „nieforemne”. Ogarnia ją ochota, by walić w skałę tak długo, aż kamień się rozstąpi, a ona będzie mogła ukryć się w szczelinie.

- Na pewno nie dasz rady?

Czy ten facet jest chory?, myśli True.

- Na pewno - mówi.

Nie chce teraz wstać, pragnie, by Hank oddalił się choć na parę chwil, żeby mogła zobaczyć, czy krew już przesiąkła przez spodnie i białą koszulę, a jeśli tak, to czy kurtka przykrywa pupę.

- Nie wiem nawet, czy dam radę zejść. Czy to nie dom, o, tam? - Wskazuje ręką kamienny domek, na którego podwórku stoi wiekowy ford pikap. - Czy byłbyś tak dobry, poszedł tam i powiedział komuś, kto tam mieszka, że dam pięćdziesiąt dolarów za zwiezenie mnie na dół.

- Mogę cię znieść, True.

- Och, z pewnością.

- To nie tak daleko.

- Dobrze, zacznę schodzić, a ty idź na górę. Nie sądzę, żebyś szła aż tak szybko, byś mnie nie dogonił.

- Nie w tym rzecz.

- A w czym?

- Chciałem, żebyśmy oboje popatrzyli w dół ze szczytu. Chciałem, żebyśmy sobie wyobrazili, że możemy stamtąd zobaczyć cały świat, cały świat, który razem będziemy odkrywać.

- To bardzo miłe. - True jest szczerze wzruszona. - Idź więc i wieczorem w gospodzie wszystko mi opowiesz.

Czuje się tak, jakby przemawiała do Guya.

- Nadal nic nie rozumiesz - ciągnie Hank z odrobiną niezadowolenia w głosie. - Wszystko miałem zaplanowane. Wierzchołek góry jest dla mnie jak ostatni krok do nieskończoności. Tam wszystko jest możliwe. Jedyne, co masz nad sobą, to niebo. Ale i tak jesteśmy blisko nieba. Mogę więc i tu wygłosić moją krótką mowę.

True patrzy, jak Hank wkłada rękę do kieszeni i wyciąga z niej kopertę z

woskowanego papieru.

- Zrobiłem tę obrączkę w szkole. Z czystego srebra. Bardzo prosta, ale jedno ze złączeń i tak nie jest takie, jak powinno. Trzymam ją od dziesięciu lat, czekając, aż spotkam kobietę, na której rękę chciałbym ją włożyć.

Hank ujmuje jej dłoń. Pod paznokciem wskazującego palca True widać krew. Wkłada obrączkę - lekki i delikatny warkocz srebrnych nitek - na serdeczny palec. Przynajmniej o cztery numery za duża. Hank śmieje się, przeczesując drugą ręką kruczoczarne, indiańskie włosy, i przekłada obrączkę na jej kciuk. - Chciałbym, żebyś ją nosiła.

- To takie miłe... takie wspaniałe - mówi z trudem True.

Czuje w stopie pulsujący ból. - Czy ten wzór ma jakieś znaczenie?

- Znaczenie! Znaczenie? Specjalnie udajesz? Żarty sobie stroisz, tak? To pierścionek zaręczynowy, głuptasku. Chcę, żebyś za mnie wyszła. Proszę, żebyś za mnie wyszła. Byłbym zaszczycony, gdybyś za mnie wyszła.

- Wyszła za ciebie?

- Tak. Kocham cię i dobrze nam razem. Nigdy z nikim nie było mi tak dobrze od czasu, gdy z moim przyjacielem Perrym pojechałem łowić niszczuki na bagnach opodal Taloochee. Zawsze będzie nam dobrze. Proszę, żebyś za mnie wyszła. Wiem, że nie byliśmy jeszcze nawet razem w kinie, i wiem, że nie będziesz lubiła tych filmów co ja. Ale to nieważne. Inne rzeczy się liczą. To związek na całe życie. Wiedziałem to, jak tylko cię zobaczyłem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, nadleciały dwa orły i podjęły hałaśliwy taniec na brzegu skleconego byle jak gniazda. True poznaje po ruchach skrzydeł, że to taniec godowy. Nie sądzi, by orły łączyły się w pary na całe życie.

Zastanawia się nad znaczeniem liczby „dziesięć”. Dziesięć palców u pary zdrowych rąk. Dziesięć dziesięciocentówek, które składają się na dolara. Słyszała, że dziesięć lat to okres, którym definiuje się pokolenia, okres dzielący jedną grupę wiekową od następnej. Gdy patrzy na formularze, na stosy formularzy, które musi wypełnić każdego roku w związku z ubezpieczeniem dla Guya albo czymś tak trywialnym, jak prenumerata periodyku, zawsze nachodzi ją myśl, że już niedługo będzie musiała zmienić rubrykę wieku: z „35-44 lata” na „45-54 lata”, i przejść do grupy obejmującej ludzi o zupełnie innych priorytetach.

Są też dekady w historii: wspaniałe lata dwudzieste, z ich niezwykłym czarem i niebezpiecznym blaskiem, lata pięćdziesiąte, gdy nie brakowało ani woli życia, ani miejsc pracy, a każdy, kto pracował, mógł marzyć o domu na Cape Cod z czterema sypialniami. Dekady w życiu człowieka. Kończysz dwadzieścia lat i dziwisz się, że nie jesteś już

dzieckiem. Kończysz trzydzieści i mówisz sobie, że czas postanowić, co będziesz robić przez resztę życia. Kończysz pięćdziesiąt i przysięgasz, że wciąż jeszcze masz na wszystko czas. True czytała, że dzieciństwo trwa dziesięć lat, że niemowlę staje się dorosłym osobnikiem po dziesięciu latach. To ją martwi, czuje nawet instynktowną sympatię dla każdego, kto nazywa Guya „małym chłopcem”. Gdy jej matka miała czterdzieści trzy lata, True była już na studiach. Gdy True studiowała, Hank był pewnie w piątej klasie, tak jak teraz Guy. Gdy True miała dziesięć lat, matka Hanka nie ufałaby jej jako opiekunce do dzieci. Byłaby za młoda. Ale gdy on miał trzy lata, a ona trzynaście, byłaby dla niego idealną nianią. W dużej rodzinie mogliby być rodzeństwem. W dawniejszych czasach True mogłaby być nawet ciotką Hanka.

W filmie o kobiecie i mężczyźnie, w którym kobieta jest w jej wieku, a mężczyzna w wieku Hanka, główny konflikt wiązałby się właśnie z wiekiem bohaterki. W filmie, w którym bohaterka byłaby w wieku Hanka, a bohater w wieku True (albo i dziesięć lat starszy), głównym problemem mogłoby być cokolwiek - groźba bioterroryzmu, pościg za facetem wziętym pomyłkowo za gangstera, który skradł sztabę złota, determinacja naukowca pragnącego ratować wymierające goryle.

Przez ułamek sekundy True myśli o silnych i zdrowych więziach łączących ją z Guyem, o ryzyku związanym z pojawieniem się intruza, o ryzyku zdrady, o naturalnym osłabieniu jej zaangażowania w sprawy Guya wskutek pojawienia się w jej życiu jeszcze jednej osoby. Ale myśli też o nieocenionych korzyściach, jakie może dać Guyowi ojciec, dość młody, by kopnąć podkreconą piłkę, oddać celny rzut spod kosza, ojciec, który zna pas de chat oraz releve.

Guy mógłby wychowywać się z ojcem - tym ojcem, którego zachowa w pamięci.

Ludzie uważaliby pewnie True za szaloną czterdziestolatkę, która uległa seksualnej hipnozie przystojnego bajeranta. Mogliby jej zazdrościć i zastanawiać się, co takiego ma w sobie, że mężczyzna, który mógłby mieć kobietę dziesięć lat od siebie młodszą, a nie starszą, stracił dla niej głowę.

Orły nie zalecają się do siebie, dochodzi do wniosku True, one się kłóć. Samica ma zdobycz, samiec chce się posilić. Matka jest groźna, niewielka mysz to pokarm dla młodych. Każde z nich ciągnie w swoją stronę, rozrywają mysz, samiec wzbija się zdecydowanym ruchem i siada na niższej gałęzi, przytrzymuje pazurami swoją część, tę od ogona, i pochłania ją żarłocznie. Samica próbuje podzielić kawałki owłosionego mięsa między wyrywające się ku jadłu pisklęta. Czy zostanie coś dla niej? To tylko mała mysz. Ale w miejscu, gdzie znalazła tę, jest pewnie ich więcej.

True patrzy na twarz Hanka i czuje, że i jej twarz się rozjaśnia, a oczy lśnią. Taką

miłość odczuwała przedtem tylko raz. Bezpieczną miłość. Do Guya. Nie będzie sprzeciwiać się instynktowi. Weźmie Hanka w siebie - do licha z całą resztą - stworzy inną siebie, kochaną, i w ten sposób będzie patrzeć na świat.

- Tak - mówi True. - Tak, tak, tak. Wyjdę za ciebie. Nie myślałam, że to kiedyś powiem. Ale, tak. Tak. Chcę.

- „Tak” i „chcę” będzie potem.

- Nie. Teraz.

- Świetnie! To mi odpowiada.

- Ale dlaczego? Dlaczego tego chcesz?

- Bo jesteś niezwykła...

- To ty jesteś niezwykły. Mógłbyś mieć każdą.

- Skoro tak, to rzeczywiście jestem niezwykły.

- Będziemy szczęśliwi.

- To będzie spacer przy świetle księżyca. Będziemy szczęśliwi.

- I Guy będzie szczęśliwy.

- Pozwól mi się nim opiekować. Wiem, że sobie poradzę.

- Świetnie! To mi odpowiada.

- Boże! - krzyczy Hank z twarzą uniesioną ku niebu, z pięściami w górze. - Żenię się z nią! Zejdźmy z tej góry i świętujmy.

Zejdzie im dobre trzy godziny. True kuśtyka przodem, w samych skarpetkach, nie zwracając uwagi, że kamyki uwierają obolałe stopy. Hank idzie za nią, podtrzymując ją jedną ręką pod pachą, prawie unosząc ją nad ziemią. Często odpoczywają. Mijające ich rodzinne grupki oferują pomoc. True przyjmuje torebkę z lodem od starszego pana, ale omal nie mdleje z bólu, gdy przykładą ją do palców. W końcu Hank niesie ją, najpierw na obu rękach, a potem - jak strażak - na ramieniu. W ten sposób docierają do gospody u stóp góry. Właściciel spogląda na nich z ukosa.

- To zwyczaj w naszej rodzinie - mówi Hank. - Właśnie się zaręczyliśmy.

W bezlitosnym świetle lampy hotelowej łazienki True przygląda się obrażeniom na swych dolnych kończynach. Cała zresztą wygląda jak potwór z horroru.

- Pozwól mi popatrzeć, jak się rozbierasz - mówi czule Hank zza półprzymkniętych drzwi.

- Do diabła, nie! - wrzeszczy True.

- Jesteś moją narzeczoną! - stwierdza Hank.

- Jak tu teraz wejdiesz, wszystko odwołam - straszy True. Ściąga z siebie zabłocone,

lepkie spodnie oraz bieliznę,

zwija wszystko w kłęb i rzuca do torby na brudne rzeczy. Napelnia wannę. Gdy stopa styka się z gorącą wodą, True nie może się opanować i krzyczy z bólu. Hank otwiera drzwi.

- Nie - mówi - nie mogę słuchać twoich sprzeciwów, bo są głupie.

Ogląda jej stopę, znika na piętnaście minut i wraca z jedynymi sprawunkami, jakie udało mu się zrobić we wsi: z wodą utlenioną i sodą do pieczenia. Gazikami zwilżanymi roztworem sporządzonym z tych składników opukuje stopy True. Potem myje jej włosy i pomaga włożyć szlafrok. True leży sztywna na łóżku, stara się unikać pozycji pionowej. Hank kładzie się obok niej.

- Czy stopy bolą zbyt mocno, by skonsumować ten nowy stan rzeczy?

- Nie o to chodzi.

- A o co?

True gestem wskazuje na okolice miednicy. Hank kiwa głową.

- Dlaczego miałyby mi to przeszkadzać? - pyta. - Nie jesteś kimś, kogo poderwałem. Jesteś moją dziewczyną.

Kochają się z gwałtownością, która przyćmiewa rozum True - albo raczej chroni jej rozum przed tym, co ma związek z prawdziwym życiem. Jest tylko kobietą i jak każda samica, tuląc się i oddając, pragnie tej fali rozkoszy bardziej niż pożywienia i oddechu, tak jak uzależniony bardziej pragnie kokainy niż bezpieczeństwa, jakby ten krótkotrwały skurcz, jeśli tylko uda się jej go osiągnąć, mógł ją uleczyć i dać rozgrzeszenie.

- Czy zawsze będziesz moją kobietą? - pyta szeptem Hank. - I moją dziwką? Taką, jak kobiety Cajun opasane w talii sznurkami koralików, które drżą i podrygują, gdy one ruszają biodrami? Nie skończę, póki mi nie powiesz. Zostawię cię, tak jak teraz, najdroższa.

- Zawsze, póki będę mogła, zawsze będę twoja - szepcze True.

Czuje orgazm i wyobraża sobie ściany ze smugami sadzy, migotanie światła barwy miedzi, błysk zębów. Hank przycupnął, stopy oparł płasko i pociągnął jej biodra ku sobie. Jęk rozbrzmiewa jej w czaszce, w krzyżu.

Po raz pierwszy w życiu True zapada po seksie w sen. Gdy się budzi, jest tak ciemno, że nie widzi ani Hanka, ani nawet własnej ręki.

- Muszę coś zjeść - mówi. - Ale nie mogę wyjść z pokoju. Nie włożę butów.

Hank nakłania właściciela gospody, by pozwolił mu przynieść jedzenie na tacy do pokoju. True wcina - jakby nie jadła od tygodnia - chleb, sałatę i gulasz przyprawiony mocno porem i grzybami. Hank poprosił żonę gospodarza o parę tamponów, co budzi w True jeszcze większe uznanie dla narzeczonego niż kolacja. Ilu mężczyzn poprosiłoby o coś takiego?

- To kiedy, twoim zdaniem, miałyby odbyć się ten ślub? - pyta True.

True myśli o jesieni, o przyjemnym ciepłe złotej jesieni na półwyspie. O uroczystości w jej ogrodzie, podobnej do wesela Esy. Na szczęście.

- Co dzisiaj mamy? - pyta Hank, spoglądając przez okno.

- Dziś...? Poniedziałek.

- To może w czwartek? Czwartek zawsze był moim szczęśliwym dniem. Tata pracował do późnego wieczora. Siadaliśmy sobie z mamą, jedliśmy prele z musztardą i oglądaliśmy telewizję.

True siada na łóżku. Jest cudownie zaspokojona, czuje to w każdym mięśniu.

- W który czwartek?

- W czwartek. Popojutrze.

- Co?

- A jak myślisz, po co prosiłem, żebyś wzięła paszport? Naprawdę myślisz, że chciałem jechać do Kanady?

- Jak to? Tak zaraz?

- Zaraz. Nim zmienię zdanie.

- Skoro zamierzasz zmienić zdanie, lepiej o wszystkim zapomnijmy.

- Nie. Nie dlatego, że zamierzam zmienić zdanie. Dlatego że teraz się kochamy. Możemy kochać się i za trzy miesiące, i za rok, ale to strata czasu. Poza tym nie mam gdzie mieszkać.

- Chcesz mnie, bo nie masz gdzie mieszkać?

- Tak naprawdę chcę ciebie z powodu twojego syna. Mam takie przeczucie, jeśli chodzi o Guya...

- Przeczucie?

-...że jest jeszcze czas... by mógł traktować mnie jak ojca. Gdyby był chociaż trochę starszy, nie byłbym taki pewien.

Guy, myśli True. Och, Guy. Nawet nie pomyślała o synu, który jest gdzieś, na jakiejś równinie, której ona nigdy nawet dobrze nie poznała, odbiera porody od krów, spada z koni, nadeptuje na grzechotniki.

- Nie sądzę, żebym mogła poślubić ciebie czy kogokolwiek innego, nie powiedziawszy o tym mojemu synowi - mówi True. - Ponieważ wcześniej stracił ojca, jest ode mnie zależny w sposób, jakiego pewnie nawet nie możesz sobie wyobrazić.

- Mogę sobie wyobrazić. Ale czuję, że jak go zapytasz, odwiedzie cię od tego pomysłu. Przyzwyczał się, że ma cię wyłącznie dla siebie.

- Racja.
- A to wcale nie jest dla niego dobre.
- Nie jest też złe.
- Ale tak będzie lepiej.
- Skąd ta pewność?
- To nie pewność, tylko przeczucie. Wiem, że potrzebuje ojca. Każdy to widzi.

To właśnie, postanawia True przed zaśnięciem - plecy Hanka dotykają jej pleców - to będzie podawała ludziom jako powód, gdyby ktoś coś mówił.

Rano dzwoni do Guya, do domu dziadków. Wymyślili z Hankiem zgrabny, ich zdaniem, plan. Pobiorą się tu i teraz, w New Hampshire, ale urządzą też małą uroczystość kościelną w sobotę, po powrocie Guya. Oboje uważają, że Guy, biorąc w niej udział, nie będzie czuł się wyobcowany. Ale już po pierwszym sygnale True postanawia, że nie wspomni Guyowi o przedślubnym ślubie, że powie mu tylko o uroczystości planowanej po jego powrocie. Zbyt mocno kocha syna, by go zdradzić, a ten postępek wydaje się jej, jakkolwiek na to spojrzeć, zdradą. Tanim chwytem.

Słuchawkę podnosi była teściowa:

- True! Jak się masz? Twój syn właśnie próbował do ciebie zadzwonić, zanim poszedł na ryby.

- Cześć, Lindo - odpowiada True serdecznie. - Wiesz, gdzie go szukać? Muszę z nim porozmawiać. Jak się macie, ty i Pete?

- Pyszniutko jak na nasz wiek.

True niezmiennie zaskakuje fakt, że Linda, która przedwcześnie pochowała syna, potrafi zdobyć się na taki luz. Gdyby Guy umarł, True żyłaby jak roślina, jeśli nie skończyłoby się czymś gorszym, na przykład nadużywaniem barbituranów.

- Czy wiesz, że jesteśmy ponownie dziadkami? Przed paru miesiącami Denisowi urodziło się dziecko.

- Wiem. Gratuluję.

- Czy Guy może do ciebie zadzwonić po powrocie? To może być późno. Sprawdźmy twój numer... pięć zero osiem...

- Nie, Lindo. Jestem teraz w New Hampshire. Sama do niego zadzwonię. Zgoda? Możesz coś zrobić, żeby był w domu koło piątej?

- No wiesz, jak dziadek i on idą na ryby... Zwłaszcza że został im tylko dzień czy dwa... - mówi Linda. - Ale postaram się. - Linda chrząka. - Chcę ci powiedzieć, True, że wspaniale wychowałaś Guya. Dobra robota. Peter junior byłby bardzo dumny.

- Dziękuję, Lindo - mówi True, myśląc, że Linda wkrótce pewnie zmieni zdanie. Próbuje ponownie. Guy jeszcze nie wrócił. True nie może pozbyć się poczucia winy, które jest jak kleks na czymś tak białym jak pierzasta chmura.

True dzwoni ponownie we wtorek, ale dopiero w środę po południu udaje się jej zastać syna.

- Jak leci, kowboju?

- Kowboju? - śmieje się Guy.

Ten śmiech trafia True w samo serce. Czuje bez mała dotyk jego wyrosniętej, ale wciąż dziecinnej rączki, dotyk jego palców splatających się z jej palcami, przypomina sobie wspólną zabawę, gdy idąc ulicą, zderzają się biodrami i ramionami.

- Mamooooo... - Guy ścisza głos i szepcze: - Okropnie za tobą tęsknię.

- Ja za tobą jeszcze bardziej.

- Nie, ja bardziej.

- Ale dobrze się bawisz, co?

- Świetnie. Idziemy dziś na ryby i będziemy nocować pod namiotem. A ty też się trochę bawisz?

- Poniekąd. Prawie weszłam na szczyt góry Washington i okropnie poobcierałam sobie nogi.

- Z kim tam jesteś?

- Z Hankiem - mówi True.

- Z Hankiem? Z tańczącym facetem z restauracji?

- Tak. Z Hankiem. Z tańczącym facetem z restauracji. - True uśmiecha się do Hanka, który wkłada palec za kołnierzyk. Wszystkie okolicznościowe banały już zostały powiedziane, myśli True. Hank ma wrażenie, że kołnierzyk jest za ciasny.

- Czy on też wspinał się na szczyt?

- Oczywiście!

- Czy też poobcierał sobie stopy?

- Nie. Ma dobre buty. A ja miałam okropne, stare buty. To znaczy okropne, nowe buty.

- Cieszę się, że nie siedzisz tam tylko i nie płaczesz...

- Racja. Wiesz co? Jak wrócisz, będę miała dla ciebie niespodziankę.

- Psa?! - woła Guy.

- Nie, nie psa. Coś lepszego.

- Konia?



- Nie. Ta niespodzianka to pewien pomysł...

- Będą wystawiać Olivera?

- Powiem ci, jak wrócisz.

- Teraz.

- Teraz nie mogę.

- To tajemnica?

- Tak - szepcze True. - Nasza tajemnica. Chciałam tylko usłyszeć twój głos i powiedzieć ci, że jak wrócisz, będę miała dla ciebie niespodziankę.

- Dobrze - mówi Guy. - Już niedługo. Pamiętasz, jak mówiłem: „Jeszcze tylko jedno spanie i będziesz w domu”, gdy wyjeżdżałaś w interesach?

- Pamiętam - odpowiada True. - Mówiłeś to jeszcze jakieś sześć miesięcy temu.

- Wydaje mi się, że to było dawniej. Rzeczywiście tak się wydaje.

- Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie - mówi True.

- Ja ciebie też - odpowiada Guy. - Pa, mamó. I nie tęsknij za mną za bardzo.

- Dobrze - mówi True. - Postaram się. True wyłącza się i podaje telefon Hankowi.

- Nie powiedziałaś mu. - Hank jest zaskoczony.

- Nie. Nie zrobię tego.

- To znaczy, że nie zamierzasz powiedzieć mu o tym teraz, tak jak się umawialiśmy?

- To znaczy, że nie zamierzam tego zrobić.

- Nie zamierzasz...?

- Nie. Póki z nim nie pogadam, nie zrobię tego. Nie mogę. Nie mogę zawieść jego zaufania. Tak nie można.

Hank patrzy ponad jej głową na szczyty gór.

- I powiesz „nie”, jeśli on się nie zgodzi?

- Kochanie, nie myśl w ten sposób - mówi True, obejmując go ramieniem i kładąc jego dłoń na swoim policzku. - Chodzi o to, że miłość matki do dziecka... Nie rozumiesz tego, nie czujesz. Nie mogę sprawić mu przykrości.

- Dlaczego zakładasz, że to mu sprawi przykrość? - Hank pochyła się do przodu, obracając ją ku sobie. - Dlaczego zakładasz, że coś, czego tak bardzo pragniesz i co będzie dla niego dobre, sprawi mu przykrość? Czy tylko dlatego, że to będzie tak szybko? Czy może dlatego, że to ja?

- Nie - mówi True. - On nigdy nie musiał się mną z nikim dzielić. Nigdy nie musiał się zastanawiać, czy w moim życiu jest ktoś ważniejszy od niego. Teraz jest tysiąc kilometrów stąd. Może pomyśleć, że coś knuję za jego plecami.

- Kochanie, jesteś jego matką - tłumaczy Hank. - Jesteś jego matką. Jak sądzę, nie chcesz mu tego powiedzieć z tego powodu, że albo wstydzisz się swojej byłej teściowej, że wychodzisz za męża, albo myślisz, że nie jestem dość dobry na ojca dla twojego syna.

- Nie - protestuje True, myśląc: Hank ma rację. Widzi, że mam wątpliwości. Jeśli będę miała wątpliwości, stracę go, to jasne jak słońce na niebie. Ogarnięta paniką, a zarazem zdecydowana trwać przy swoim, mówi pewnym głosem: - Żadna z tych rzeczy. To po prostu za szybko.

- Będzie o wiele gorzej - stwierdza Hank - jeśli mu nic nie powiesz, jeśli go nie uprzedzisz, jeśli to go zaskoczy - na lotnisku albo następnego dnia. To nie będzie dla niego przyjemne.

- Czego się obawiasz, jeśli nie zrobimy tego teraz? - rzuca True prawie gniewnie. - Że ja się wycofam, czy że ty się wycofasz?

- Chcesz, żebym powiedział ci prawdę? - Hank zaciska pięści.

- Tak.

- Tak bardzo nawykłaś robić to, co ci mówią inni, że obawiam się, że ktoś cię przekona, że jestem śmieciem, i że chociaż wcale tak nie myślisz, weźmiesz pod uwagę życzenia innych osób, złękiesz się i wycofasz, i będziesz się ze mną widywać po cichu, póki nie pojawi się ktoś stosowniejszy.

True z trudem łapie oddech.

- Nie jestem aż tak płytka. Nie jestem idiotką - mówi.

- Wobec tego musimy powiedzieć Guyowi. Powinnaś docenić fakt, że wszystko zaplanowałem, że to najbardziej romantyczny gest, na jaki zdobyłem się w całym moim życiu, i boli mnie, że wszystko psujesz.

- Ależ, Hank, jak ja mam...

- Wynagrodzimy mu to. Zrobimy go najważniejszą osobą na naszym ślubie. Na naszym prawdziwym ślubie. I pojedziemy w podróż poślubną we troje. Po Bożym Narodzeniu - może na Florydę, tam gdzie można pływać z delfinami...

- Mówiłam ci o tym?

- O czym?

- Że chciałam pojechać tam z Guyem w tym tygodniu, że to właśnie zaplanowałam, nim okazało się, że Isabelle wychodzi za męża i zanim dziadkowie zaprosili Guya do siebie? I że potem mieliśmy jechać do Disneylandu?

- Nie.

- Hmmmm... - True zagryza wargę. - Esa ci powiedziała?

- Nie. Po prostu myślę, że to by mu się podobało. Mnie też by się podobało, jeśli chcesz wiedzieć. Wszystko to możemy zrobić i pojechać do Disney...

- Nigdy tam nie był.

- Ma dopiero dziesięć lat. To wcale nie tak dużo jak na Disneyland.

- Nie wierzę w nadprzyrodzone znaki i tak dalej.

- Ja też nie, a bo co?

Wczesnym rankiem, we czwartek, przed wejściem do kościoła w Norris w New Hampshire na umówione telefonicznie spotkanie True mówi:

- Zadzwoń do niego teraz.

- Słusznie - mówi Hank, choć wygląda na przerażonego. - Ja też z nim porozmawiam.

- Nie, tylko ja będę rozmawiać - stwierdza True, myśląc: Mała szansa, żeby Guy w ogóle ze mną rozmawiał, teraz, kiedy jest pogrążony po uszy w przeszłości swego prawdziwego ojca, kiedy zobaczy zszokowane, jak sądzi True, twarze dziadków, starających się mu wytłumaczyć, że dorośli postępują czasem w zaskakujący sposób, ale niepotrafiących ukryć mieszanych uczuć. True wybiera numer, odpowiada automatyczna sekretarka.

Dzwonią do sympatycznego księdza Kościoła episkopalnego, usprawiedliwiając półgodzinne spóźnienie, kupują kawę i True próbuje jeszcze raz. Odpowiada teściowa. True czuje nerwowe świerzbienie na szyi.

- Guy świetnie się czuje. Prawie w ogóle nie ma go w domu... mamy taką piękną pogodę... prawdziwa wiosna - Linda gada jak najęta.

- Rozmawiam z komórki, Lindo, czy możesz dać mi, proszę, Guya, zanim się rozłączymy - mówi True. - Jestem tu z przyjacielem. Połączenie może zostać przerwane w każdej chwili. Naturalnie, chciałabym pogadać z tobą dłużej, ale czy możesz dać mi teraz Guya?

- Naturalnie, True. Właśnie tu jest.

- Cześć, skarbie - mówi True.

- Cześć, skarbie - odpowiada Guy beczelnie.

- Pamiętasz naszą niespodziankę?

- Tak.

- Chcę ci o niej powiedzieć.

- To dobrze, bo już myślałem, że będę musiał ci nagadać po przyjeździe, bo sama zawsze mówisz, że nie powinniśmy robić sobie takich rzeczy.

- Nie mówić o czymś, tak?

- Tak. No to mów, mamó. Słucham.

True czuje okropny ból i żal. Mój mały chłopiec, myśli, bawi się pod cudownym słońcem Montany, nie podejrzewając, że jego samolubna matka chce pozbawić go takiego życia, jakie dotychczas wiedli, i to za jego plecami... To obrzydliwe.

- Hank jest tutaj - zaczyna True.

- Pozwolisz mu słuchać? - pyta Guy konspiracyjnym szeptem.

- Tak. To dotyczy także jego.

- Naprawdę?

- Tak - mówi True i bierze głęboki oddech. - Zamierzamy się pobrać.

- Zamierzamy? - powtarza Guy.

- Tak.

- Kto z kim?

- Ja z Hankiem.

- Mamusiu! Nawet go dobrze nie znasz, on jest za młody na ojca, nieodpowiedzialny i chce tylko twoich pieniędzy.

True wyobraża sobie, jak Linda nadstawia ucha. Wyobraża też sobie z pewną satysfakcją, jak ochrzani własną matkę, której słowa, jak sądzi, Guy teraz powtarza.

- Nie, wcale tak nie jest, kochanie. - True kontroluje głos. - Chce ożenić się z mamusią... z uczciwych pobudek. A ja go kocham. Sama nie wiem dlaczego! Po prostu się w nim zakochałam. On mówi, że bardzo chce wychowywać chłopca, który...

- To znaczy mnie? Czy własne dziecko?

- To znaczy ciebie, Guy. Chce...

- Czy to się stanie, zanim skończę dwanaście lat?

- Tak - odpowiada True.

- Zanim skończę jedenaście lat?

- Tak.

- No to kiedy?

- Myślmy o sobocie - szepcze True.

Albo połączenie zostało w tym momencie przerwane, albo Guy odłożył słuchawkę.

Gdy True ponownie wybiera numer, zgłasza się Linda.

- Wybiegł na dwór - mówi szklanym głosem, który True pamięta z czasów flirtu z Pete'em. - Zaraz go zawołam.

Guy milczy. True słyszy tylko jego oddech.

- Posłuchaj, Robaczku, odłożyłeś słuchawkę? Wybaczam ci. I tak bardzo cię kocham. Guy?

- Co mogę dla ciebie zrobić? - pyta Guy oficjalnie jak urzędnik.

- Zwykle mówisz: „Ja ciebie bardziej”.

- Z pewnością kocham cię bardziej niż ty mnie. Nie ja wpadłem na ten gówniany pomysł...

- Guy!

-...tylko ty!

- Za dwa spania będziesz w domu. Tęsknię za tobą, Guy. I babcia tęskni. I Hank tęskni.

- Jasne.

True podaje słuchawkę rozgrzaną od długiej rozmowy albo od siły, z jaką ją ścisnęła, Hankowi.

- Cześć, Guy - mówi Hank. - Nie spodziewam się, że zaakceptujesz to wszystko w ciągu jednej nocy. Ale daj mi szansę, dobra? Nikt nie wierzył, że możesz zagrać rolę Karła, bo jesteś za młody. Twoja mama mi to powiedziała. Wszyscy mówili: „On tego nie zagra”. Ale pozwolili ci spróbować, tak? - Hank czeka, a Guy najwyraźniej odpowiada. - Proszę więc tylko o to, żebyś pozwolił mi spróbować. A potem zobaczymy. - Cisza. - Tak. Tak, jak powiedziałem. Byłeś w tym wszystkim bardzo ważny. Dlaczego miałbym kłamać? Co bym z tego miał? - Cisza. Oczekiwanie. - Nie chcę jej pieniędzy. Mam swoje. Posłuchaj, Guy, dlaczego miałbym cię okłamywać? Dlaczego miałbym okłamywać kogoś, z kim mam spędzić całe życie? - Cisza. - Dobra, Guy. Dziękuję ci.

Hank kończy rozmowę i uśmiecha się blado do True.

- Zaczeka i zobaczy - wyjaśnia Hank.

- Cóż - odpowiada True z ustami zaciśniętymi we współczuciu. - Jestem z niego dumna. Gdyby lękał się, że straci moją miłość, skłamałby i powiedział, że jest szczęśliwy.

Później tego samego ranka True wkłada do ślubu białą satynową bluzkę i welwetowe spodnie, które wybrali w sklepie z używaną odzieżą, oraz gumowe ogrodnicze chodaki - rozmiar czterdzieści dwa - jedyne buty, w które może wcisnąć swoje spuchnięte stopy rozmiar czterdzieści.

Zapytana, czy ona, True Dickinson, chce wziąć tego oto mężczyznę, Henry'ego Bannistera, za męża, bez wahania i mimo wszystko wyraża swą absolutną wolę - tak, chce. Na czarno-białym zdjęciu zrobionym przez miejscowego fotografa, które jest gotowe w dwa dni później, True wygląda łagodnie i dostojnie - zdjęcie było zapewne retuszowane - wspiera się na ramieniu Hanka, a biała bluzka jakby celowo opada z jednego ramienia nisko na pierś. Wyraz twarzy Hanka przypomina True minę mężczyzn, którzy zwyciężyli w biathlonie albo

dali sobie radę z drapieżnikami podczas safari. Hank spogląda dumnie, zaborczo.

Ta fotografia zawsze będzie się jej podobała.

Przed kościołem True stwierdza, że nie może pozbyć się czkawki. Hank musi zatrzymać się i kupić piwo imbirowe. Uczy ją, jak ma się pochylić i wypić z puszki, odwróconej w przeciwną niż zwykle stronę, dziesięć łyków. Działa jak zaklęcie. True prosi o telefon.

- Muszę zadzwonić do Guya - mówi. - Muszę. Nigdy by mi nie wybaczył. A tak będzie miał trochę czasu, żeby się przyzwycząić. Wiesz, że poprzednio odłożył słuchawkę. -< Hank kiwa głową. - Wcale mu się nie dziwię - mruczy True. - Odłożenie słuchawki było całkiem uzasadnione. W końcu... prawie się nie znamy.

- Nieprawda - oponuje Hank.

- W jego pojęciu prawie się nie znamy. Każdy by tak powiedział. Mamy jedynie przeczucie.

- Tak samo ja powiedziałem Guyowi...

- Dobrze, ale już za późno na próby. Ty już dostałeś rolę.

To premiera. Jakie jest nazwisko panięskie twojej matki? - szepcze True.

- Rogan.

- Co lubisz jeść na śniadanie?

- Hamburgery. Resztki pizzy. Jabłka. Jabłka zawsze. I mues-ii. Przecież wiesz.

- Jaki sport uprawiałeś w szkole? Przy jakiej ulicy się wychowałeś? Dzwoniłeś do rodziny, gdy spałam? Jak ma na imię twój ojciec?

- GUS. Mówi, że GUS to zdrobnienie od Henry'ego. Albo Henriego. Nie znosi tego imienia. Grałem w koszykówkę, ale byłem za niski. Biegałem i byłem bardzo szybki, ale skręciłem kostkę.

- Czym on się zajmuje?

- Kto?

- Twój ojciec.

- Jest chirurgiem.

-...Chirurgiem?

Policzek dla przypuszczeń True. Czego się spodziewała? Że ojciec Hanka jest rybakiem? Tak, tego się spodziewała. Myślała, a nawet pocieszała się tym, że Hank robi karierę, żeniąc się z nią, że ona wniesie coś, co zrównoważy różnice w ich fizycznym wyglądzie. A tymczasem to ona robi karierę, przynajmniej jeśli chodzi o przodków - czy jakkolwiek to nazwiemy. To ona złapała grubą rybę. Ludzie będą jej gratulować.

Boże, myśli, ludzie będą mi gratulować.

Dobrze więc, niech będzie.

Potem przez dłuższy czas milczą, trzymając się za ręce, zadziwieni własnym niezwykłym uczynkiem.

- Czy nie sądzisz... Nigdy przedtem nie byłeś żonaty... Czy codzienność... nie nudzi cię? - pyta True, gdy przekraczają granicę stanu.

- Jak mogę się nudzić?

- Jestem od ciebie starsza. Starsza o dziesięć lat. Rozumiesz? Czy zastanowiłeś się, co będziesz czuł, gdy ja będę miała pięćdziesiąt lat, a ty czterdzieści? Gdy ty będziesz, w powszechnym rozumieniu, młodym jeszcze mężczyzną, a ja starszą panią?

- Wiem tylko, że nigdy przedtem nie spotkałem kobiety, o której myślałbym, że nie będę się z nią nigdy nudził, do końca życia.

- Nie dlatego, że nie próbowałeś.

- Przyznaję. Szukałem. Przez tydzień byłem zakochany w Galveston. Przez miesiąc w Bostonie. Miałem też kogoś we Francji. Przez sześć lat spotykałem się, choć nieregularnie, z pewną kobietą stąd, póki nie wyjechała do Bostonu, bo było w niej tyle rzeczy, które uwielbiałem...

- Kto to był?

- To nieważne.

- Chcę wiedzieć.

- Ona nie była tobą. Nie była nieustanną zagadką. Nie podziwiałem jej każdego dnia, że potrafi prowadzić interes, wychowywać dziecko i nawet wziąć ślub.

- Ale czyż nie wszyscy mężczyźni... wszyscy, nie tylko ty, pragną idealnych ud, pięknego ciała?

- Już to miałem. - Serce True leci w dół jak winda, której urwane liny wiją się niby węże. - To zwykle idzie w parze z osobowością nie głębszą niż opalenizna. Po pewnym czasie mężczyzna... Nie zrozum mnie źle, ale mężczyzna męczy się młodymi kobietami, makijażami, fryzurami, francuskim manicure. One są za młode. Nie chodzi o doskonałość...

True natychmiast przypomina sobie uczucie ciepłej wilgoci na nodze i poobcierane stopy. Ona nie jest doskonała. Ale on mówi, że nie chodzi mu o doskonałość fizyczną. Mówi, że chce u swojej kobiety indywidualności.

Może jest szczerzy. Może jest wyjątkiem - jednym na milion.

Ale być może wygaduje największe bzdury na świecie, myśli True. Wszyscy mężczyźni pragną urzeczywistnienia „katalogu kostiumów kąpielowych”. Wszyscy. Przystają

na mniej, bo nie mają wyboru. Widzi przecież desperackie męskie spojrzenia na parkingu Pick’N’Save, gdy kroczą obok kobiet ubranych w te same ogrodniczki i bluzki w poprzeczne paski, które pasowały im dwadzieścia kilogramów temu, kiedy były piękne i młode. True myśli, że ci mężczyźni zabiliby te kobiety, gdyby tylko mogli, że chętnie popełniliby morderstwo dla jakiejś supermodelki.

Ale może wcale tak nie jest. True ma tak niewielkie doświadczenie z mężczyznami. Żona jej prawnika, Holly Bourse, matka przyjaciela Guya, Ferma, nosi rozmiar co najmniej czterdzieści dwa, a mimo to jej mąż, Addy, po prostu ją uwielbia. Jej lekarka, Rollie Guinness, nie jest starsza od swojego męża, ale wygląda starzej niż on, a przecież on ją adoruje, podczas przyjęć pyta, czy jego żona nie wygląda pięknie, czy nie jest wspaniała, zwłaszcza po tym, jak w zeszłym roku Rollie cudem uniknęła śmierci z powodu jakiegoś wirusa.

- Chcę powiedzieć, że te krągłości... zmiany - mówi Hank - są interesujące.

- Jesteś chyba jedynym mężczyzną na świecie, który tak myśli.

- Wobec tego masz szczęście, że na mnie trafiłaś.

- Tak. Mam szczęście. Mam szczęście.

- Czy wiesz, True, co to znaczy dla mężczyzny, przynajmniej dla „tego” mężczyzny, że kocha go starsza kobieta? Piękna, pociągająca fizycznie, energiczna, starsza kobieta? To tak, jakby uczeń mógł zatańczyć z królową balu maturalnego. Tak jakby ta doświadczona, światowa kobieta naprawdę go chciała.

- Tak to czujesz? Nigdy nie słyszałam czegoś podobnego.

- Później ja także przecież będę starszy. Wyliczyłem sobie, że skoro w Stanach Zjednoczonych kobiety żyją dłużej od mężczyzn o dwanaście lat, w gruncie rzeczy jesteśmy w tym samym wieku.

Argumenty nie do odparcia. True kiwa głową i mówi: - Jak powiedział kiedyś pewien mój znajomy: Należę do ciebie.

True ma nadzieję, że po raz ostatni w życiu jest zadowolona, iż wraca do domu sama.

Nie chce rozstać się z Hankiem. Ale zarazem chciałaby dotknąć go czarodziejską różdżką i zamrozić na kilka godzin, dopóki nie uporządkuje reszty swojego życia.

Całują się niewinnie w samochodzie na parkingu przed restauracją. Hank radzi True - jak mąż - żeby wsadziła górskie buty do pralki. Uważa, że wszystko będzie dobrze, jak wysuszy je w suszarce, gdzie suszy się piłki tenisowe.

- Zamierzam wyrzucić je do śmieci razem z pokwitowaniem - mówi True.

- Wrócę do domu trochę później, kochanie! - mówi Hank z udawaną jowialnością. Jest



blady. True dostrzega piegi na jego nosie.

- Dzisiaj? - pyta.

- Nie mogę przecież mieszkać przy Bobby Lane. To chyba byłoby dziwne, True.

- Faktycznie. Jesteśmy małżeństwem.

- Tak przynajmniej jest napisane w dokumencie.

- To do zobaczenia.

- Przyniosę tylko... małą torbę z przyborami do golenia i tak dalej, wiesz... A jutro...

- Jasne, jasne. Ale jak ja pojedę ciężarówką, to kto cię przywiezie?

- Tom albo któryś z kelnerów.

- Nie Lucy.

- Nie Lucy. Chociaż przecież mogłaby. Jest moją dobrą przyjaciółką.

- Myślę, że nie zna pan kobiet tak dobrze, jak pan sądzi, panie Bannister. Nie wydaje mi się, by zareagowała zgodnie z pańskimi oczekiwaniami.

- Zobaczymy, pani Bannister.

- Jeszcze pani Dickinson. Ale i pani Bannister. Tak.

- Kocham cię, chere.

- Ja też cię kocham, Hank. I nie żałuję... wcale, ale to wcale.

- Ani ja.

True nie jedzie jednak prosto do domu. Podejmuje tę decyzję, opuszczając parking przed restauracją. Jej matka, to pewne, dostanie zawału serca. True modli się, by Franny była w domu. Gdy wjeżdża w alejkę prowadzącą do jej domu, widzi w salonie światło rubinowych, kryształowych żyrandoli, przezroczystych jak owocowe żelki, i prawie śpiewa z radości. Męża Franny, który jest budowniczym i dla którego zaczyna się okres najintensywniejszej pracy, zapewne nie ma jeszcze w domu, a Angelique nawet nie zauważy, jak True i Franny będą tańczyć w kuchni taniec brzucha.

- Pomocy! - woła True, otwierając drzwi. Przyjaciółka siedzi przy komputerze. Zdejmuje z nosa okulary i pozwala, by zawisły na koralikowym łańcuszku.

- Udała się wycieczka? - pyta.

- Pobraliśmy się.

- True - mówi poważnie Franny, rozkładając ramiona, w które rzuca się True. - On jest uroczym i przystojnym facetem, a ślub to jedno z trzech szczęśliwych zakończeń, których pragnęłaś. Prawdą jest też, że w naszym wieku w ciągu piętnastu minut wiemy, czego chcemy.

- Ale może rujnuję życie Guyowi.

Franny podchodzi do młynka do kawy, po czym zmienia zdanie i sięga po kieliszki do brandy.

- Pewnie wszystko będzie dobrze - mówi wreszcie.

- Dobrze? Pewnie? Miałaś powiedzieć, że na pewno będzie świetnie! - True przetyka palący trunek.

- Po pewnym czasie na pewno będzie świetnie - mówi Franny. - Mam cię okłamywać? To będzie wstrząs. Co Guy powiedział?

- Nie miał mi nic do powiedzenia.

- Nic?

- Nic z wyjątkiem tego, że zmieniłam całe jego życie poza jego plecami i nie powiedziałam mu nawet, że się pobraliśmy. Powiedziałam mu, że bierzemy ślub w następną sobotę, co się zresztą stanie, jeśli uda mi się to załatwić z ojcem Tierneyem.

- Widzę, że jesteś pewna swego - mówi Franny. - Bardzo pewna.

- Jestem pewna, że go kocham. Nie jestem pewna, czy powinnam była go poślubić.

- Coś ci powiem, moja droga. Nie poznasz człowieka, póki go nie poślubisz - nawet jak z nim mieszkasz. Pamiętam, że przez pierwsze sześć miesięcy wspólnego mieszkania ze Steve'em bałam się zasnąć, bo wiedziałam, że chrapię.

- Przejmowałaś się taką bzdurą?

- Naturalnie.

- Czyli nie jestem aż taką kretynką? Ciągłe myślę, co się stanie, jak on wejdzie do łazienki, gdy będę siedziała na sedesie. Wiem, że niektóre małżeństwa robią to w swojej obecności, ale ja bym nie potrafiła. Nigdy nie korzystałam z łazienki w obecności kogoś, kto miał więcej niż cztery lata, od chwili... gdy sama miałam cztery lata.

- A jego rodzice? - pyta Franny. - Ma ich oboje, tak? Skoro jest jedynym chłopcem w rodzinie i ma trzy siostry, nikt go nigdy nie zadowolili...

- Kurczę, nawet o tym nie pomyślałam - mówi True. - Dobrze, kochana, jadę do domu.

- A nie do Chatham Bars Inn? Na wesele?

- Najpierw byliśmy w podróży poślubnej. A potem się pobraliśmy.

- Bardzo oryginalnie.

- Może pojedziesz ze mną?

- Dokąd? Do ciebie?

- Tak, żeby powiedzieć mojej mamie.

- Nie powiedziałaś Kathleen? Wobec tego cieszę się, że to nie ode mnie się o tym

dowie.

- Dzięki! Wielkie dzięki!

- Lubię twoją mamę, True. Jest szczególną osobą. Trochę surowa w pewnych sprawach, ale...

- Trochę surowa? Jak nie będzie chciała wsadzić mnie do czubków!

- Myślę, że jej nie doceniasz, True. Bez trudu sama wyszłaby jeszcze za męża. Ciągle jeszcze by mogła.

- Tak, Franny, a słońce wzejdzie jutro na zachodzie. Pozwól mi przynajmniej zostać u siebie na noc... Chociaż nie. Muszę jechać. Bo jak Hank zjawi się tam przede mną...

- To by dopiero było!

- Dzięki. Cieszę się, że moje niepokoje urozmaiciły ci wieczór.

True ściska przyjaciółkę. Szczebiocząc i chichocząc nerwowo, obiecuje zatelefonować następnego dnia. Jedzie do domu. Ostrożnie parkuje starą ciężarówkę.

Kathleen krząta się po kuchni, sprząta papierowe talerzyki i plastikowe kubeczki. True dostrzega na kredensie limonkę, zgrabnie pokrojoną w ósemki.

- Grałyście w brydża, mammo?

- W remika - mówi Kathleen. - Mam wspaniałe nowiny! Tego nie było w scenariuszu.

Może Kathleen naprawdę zamierza wyjść ponownie za męża. Polecieć do Wisconsin na czas kwitnienia jabłoni. True z chęcią zapłaci jej za bilet w pierwszej klasie - w jedną stronę.

- Ja też mam nowiny - mówi True. - Najpierw ty powiedz swoje.

- Zgoda. - Kathleen uśmiecha się konspiracyjnie. - Osobiście przekonałam dyrektora „Today’s Child”, żeby umieścić wkładki naszej firmy w ich piśmie.

- To cudownie, mamusi!

- Mają milion prenumeratorów, True.

- To nas będzie kosztować.

- Tak, ale pomyśl o zasięgu!

- Co ty powiesz!

- Te dane nie są z księżycy.

- „Today’s Child” pokazuje stroje zwłaszcza dla młodych matek. Nie jest to nasza główna grupa docelowa.

Zaledwie pięć lat temu Kathleen wiedziała o marketingu niewiele więcej niż o krojeniu szynki parmeńskiej. Teraz peroruje z ożywieniem:

- Ale mają też artykuły dla babć. I poradnictwo. Na bardzo różne tematy. I robótki. Myślę, że będzie duży odzew.

True krzyczałyby z radości, gdyby nie to, że jej nerwy są napięte do granic. Czuje przypływ zachwyty dla matki. Ale moment nie jest sprzyjający.

- Myślisz, że nas zaleją zamówieniami? Wiesz, jak się boję choroby J. Petermana. Używać przychodu z ostatniego sezonu, żeby kupić zaopatrzenie na bieżący sezon. Tylko patrzeć, jak zbudujesz sklep przy Dworcu Centralnym.

- Myślę, że damy sobie radę z lekkim wzrostem obrotów. Rozmawiałam o finansach z Jeanine z banku. I z Rudym. A właśnie, nowo najęta dziewczyna zachorowała w drugim dniu pracy. Nie podoba mi się to. Ona ma coś nie tak z głową. Nie sądzę, żeby była w stanie zastąpić Esę.

- No cóż, świat się na niej nie kończy. Ale, ale - zaczyna True - zauważyłam, że ty i pan Merton spędziliście poślubną noc Esy w tej samej kwaterze. Czyżby coś się kroilo?

- Szanowna pani Dickinson. - Kathleen nieruchomieje z napełnioną do połowy torbą na śmieci w ręce. - Wypraszam sobie... Ten mężczyzna musi być ze dwadzieścia lat młodszy ode mnie. Rozmawialiśmy do późna. Miał bardzo interesujące życie. Niezły ancymon z tej Mickey. Parokrotnie zostawiała go samego z Isabelle, i z Kellena...

- Kellena?

-...iż matką Kellena jako jedyną osobą do pomocy, zanim ostatecznie związała się z Hobem. Musieli być wtedy bardzo młodzi. Można powiedzieć - dzieci-kwiaty.

- Isabelle miała szczęście, że nie nazwali ją Stokrotką albo Tulipanką.

- W istocie. A twoje nowiny? True truchleje ze strachu.

- Mamo, pamiętasz, jak zdobywałyśmy Pike's Peak?

- Tak.

- I jak dostałam okres...?

- Tak, pamiętam.

- To samo przydarzyło mi się na górze Washington. Do tego nowe buty kompletnie poobcierały mi stopy. Co najmniej przez tydzień będę musiała nosić kapcie z łośia, które Guy podarował mi na Gwiazdkę.

- Właśnie dzwonił.

- I co powiedział? Rozmawiałam z nim parę godzin temu.

- Powiedział, że dobrze się bawi. Ale chyba trochę tęskni do domu, nie sądzisz? Można się było tego spodziewać.

- Mamo, chcę ci coś powiedzieć. Hank spędzi tutaj dzisiejszą noc.

Kathleen jest niewzruszona.

- To nie moja sprawa, True. Ellen i Mary wypytywały mnie wczoraj, czy spotykasz się

z tym panem. Oczywiście niczego im nie powiedziałam. - True kiwa głową z wielką powagą.  
- Mam nadzieję, że rozumiesz, w co się pakujesz, zadając się z o tyle młodszym od siebie mężczyzną, mającym tak różniące się od twoich dochody...

- Jedyne dobrze prosperuje, mamie. Kathleen pociąga nosem.

- Sądzę, że powinnam się tam wybrać, skoro aż tak się zaangażowałaś. Ale jedzenie jest bardzo, bardzo ostre. I nietypowe. Mogłoby nie posłużyć żołądkowi Ellen. Wiesz, że zeszłego roku omal nie pękł jej wrzód. Mary była tam w ubiegłym tygodniu i...

- Hank będzie nocował tu regularnie.

- Myślałam - mówi Kathleen, stawiając na podłodze torbę ze śmieciami i przysuwając sobie kuchenne krzesło - że jesteś przeciwna narażaniu Guya na takie sytuacje. Nie kwestionuję twojego prawa do życia osobistego. Sama nie doświadczałam tego typu potrzeb - małżeństwo z Bertem Dickinsonem w zupełności mnie zaspokajało, zresztą wtedy kobiety nie latały do łóżka z...

- Trudno powiedzieć, żebym latała do łóżka...

- Nie twierdzę, że latasz, ale taki przykład dla Guya, gdy nieżonaty mężczyzna...

- On nie jest nieżonaty.

- Jest... żonaty? - pyta Kathleen. Milknie. Patrzy przez chwilę na swoje szerokie dłonie i w końcu spogląda na True. - Chyba się czegoś napiję.

- Ja też - wzdycha True. - Weź sobie podwójną porcję.

Kathleen zręcznie nalewa drinki. True dochodzi do wniosku, że Kathleen zdąży się upić, nim przyjdzie Hank. Może to i lepiej. Kobiety siadają naprzeciwko siebie przy kuchennym stole zrobionym ręcznie z drewna czereśniowego.

- A więc jest żonaty - mówi Kathleen. - Niezły bigos. Czy jest przynajmniej w separacji? Czy ona jest tutaj, czy tam, skąd on pochodzi? Alabama?

- Jest żonaty ze mną, mamie. Kathleen patrzy oniemiała.

- Pobraliśmy się wczoraj w New Hampshire.

- To... zalegalizowany związek? Nie ma... jakiegoś okresu na uprawomocnienie się...

- Mam czterdzieści trzy lata, mamie. Od dawna jestem pełnoletnia. A w torbie, razem z tymi cholernymi butami, które tak mi poraniły stopy, leży podpisany, opieczetowany i całkowicie legalny akt ślubu. W najbliższą sobotę, jeżeli uda mi się to załatwić, weźmiemy drugi ślub, w Kościele anglikańskim, u ojca Tierneya. Rodzina Hanka będzie wściekła. Oni należą do katolickiego Kościoła episkopalnego.

Kathleen pociąga nosem i macha ręką, jakby odganiała natrętą muchę.

- Rozumiem, że powinnam się wyprowadzić - mówi.

- Wyprowadzić się? Z twojego domku?

- Będziesz zapewne potrzebowała więcej... prywatności.

- Czyżbyś zamierzała z nami sypiać?

- True! - Kathleen zrywa się, omal nie wylewając drinka.

- Usiądź, mamó. Oczywiście, że nie chcę, żebyś się wyprowadzała.

- A on... Hank? - Kathleen wypowiada jego imię, jakby chciała odsunąć od siebie coś, co zbyt długo nie leżało w lodówce. - A co z Guyem?

- Co z Guyem? Postanowiliśmy się go pozbyć. Wyślemy go do szkoły w Szwajcarii, najprędzej jak się da. Nie zadawaj mi głupich pytań, mamó! Jak w ogóle możesz pytać o takie rzeczy? Nic się nie zmieniło poza tym, że się zakochałam i wyszłam za męża. Może zbyt pośpiesznie...

- Święta racja.

Kathleen zaczyna używać gładkich sformułowań, myśli True, pewnie jest już trochę wstawiona.

- Tak, może zbyt pośpiesznie, ale czułam, że to dobry moment. On wszystko zaplanował i pięknie poprosił mnie o rękę. - True wyciąga dłoń z obrączką na kciuku. - Sam ją zrobił. Dla mnie.

- Jak miło!

- Teraz powinnaś powiedzieć: kochana córeczko, życzę ci samych szczęśliwych dni.

- Oczywiście, że ci życzę, i mam nadzieję, że to małżeństwo skończy się lepiej niż poprzednie.

- Rzeczywiście bardzo mnie wspierasz, mamó. To nie fair.

- Wydaje ci się, że wszystko będzie takie łatwe?

- Nie. Wydaje mi się, że wszystko będzie bardzo trudne

i śmiertelnie się boję. Ale mam nadzieję, że zrobisz, co w twojej mocy, by mi pomóc, żebym się tak śmiertelnie nie bała. Przez całe życie opowiadałaś mi, jakim byliście udanym małżeństwem, ty i ojciec. Ja z Peterem nie miałam udanego małżeństwa. - True mówi dalej mimo protestu malującego się na twarzy jej matki. - Wiesz, że nie miałam udanego małżeństwa - przynajmniej w pewnych sprawach. Dobrze to wiesz. Chcę wykorzystać tę szansę, mamó. Chcę być szczęśliwa, kochać kogoś i dać Guyowi ojca.

- Idę spać - mówi nagle Kathleen. Wstaje. Ponownie odwraca się do True. - Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli prześpię się w pokoju gościnnym? Na dworze strasznie wieje. Jestem skostniała z zimna.

True podejrzewa, że powodem jest raczej alkohol, i zastanawia się, czy nie

zaoferować pomocy przy przejściu przez podwórze, ale zaraz uświadamia sobie, że to tylko wywoła kolejną burzę. Faktem jest, że będzie jej przeszkadzało, i to bardzo. Prośba Kathleen pachnie zemstą, jeśli nie skrajnym dziwactwem. To pierwsza noc Hanka w jej domu. W ich domu. Mówi jednak:

- Naturalnie, że nie będzie mi przeszkadzało.

True drzemie na sofie, gdy rozlega się ciche pukanie do drzwi. Hank stoi na ganku, trzyma plecak i patrzy nieśmiało.

- Jestem w domu, kochanie - mówi. Chichoczą.

- Mama śpi na górze.

- Jest tutaj? Dlaczego, u licha?

- Żeby nie czuła się zbyt swobodnie. Myślę, że to rodzaj rewanzu.

- Za co? Jak to przyjęła?

- Była nieco zaskoczona. Myślę, że większość ludzi będzie nieco zaskoczona, Hank. Może nawet jest zazdrosna. Nie dlatego, że wyszłam za męża, ale dlatego, że nie jestem już w pełni jej własnością.

True opiera głowę na piersi Hanka i oddycha głęboko. Hank pachnie dymem i parmezanem.

- Sądzę, że jest może pięć osób, w tym twoja matka, które powinny to zaakceptować. Jeśli chodzi o resztę, miej ich gdzieś.

- Chyba dobrze, że zamiast czekać, po prostu to zrobiliśmy. Inaczej byłoby tyle gadania, że wreszcie by nas zagadali.

- Teraz nie mogą już nic powiedzieć. Wepchnęliśmy im słowa z powrotem do gardeł.

- Tak myślę.

- Zadzwoń do mamy.

- No i?

- Powiedziała, że w samą porę. Bo ludzie zaczęli się zastanawiać, czy nie jestem pedałem.

- Daj spokój. Masz dopiero trzydzieści trzy lata.

- W naszych stronach młodzi wcześniej się pobierają. A ja z tym moim tańcem jako głównym atutem, i tak dalej. Tyle dziewczyn i z żadną nic. Nie ona pierwsza miała takie podejrzenia.

- Mogę złożyć oświadczenie pod przysięgą.

- Powiedziała, że witają cię wśród Bannisterów. Nie mogą się doczekać, kiedy cię poznają. Straszili nawet, że przyjadą tu wszyscy w następnym tygodniu.

- O matko... To przecież... ślub, nasz ślub... Za dużo tego dobrego. Powinam najpierw zrzucić dziesięć kilogramów, zrobić peeling twarzy i przemeblować dom.

- W porządku. Lepiej będzie, jak przyjadą później - kiedy przygotujemy jesienne podarunki, bo wiem, że się tym martwisz. Może na Święto Dziękczynienia.

Nie powiedział: „Kochanie, nie musisz robić peelingu twarzy”. Powiedział: „my”, mając na myśli firmę True.

- Twoja mama myśli, że utrzymuję młodszych od siebie mężczyzn?

- Dlaczego tak mówisz?

- Przeczucie.

Idą na górę do pokoju True. True zastanawia się, jak poprzesuwać tysiące słoiczków i tubek z kosmetykami, żeby zrobić trochę miejsca Hankowi przy podwójnej umywalce. Myśli też, co powinna ukryć. Pigułki nasenne. Krem z progesteronem, który wciera w brzuch. Rabbit Pearl, ciągle w oryginalnym opakowaniu. Wibrator pójdzie do śmieci. Dobrze, że ma sejf. Nie znosi swoich zdjęć z czasu, gdy była w ciąży, i z uczelnianego balu.

- Twoja mama mnie polubi, True - mówi Hank. - Wierz mi. Nie znam kobiety, której bym nie oczarował.

- Może ci zawczasu popsuć szyki. Kathleen jest surowa jak Królowa Matka. W dodatku martwi się o Guya.

- Zobaczymy. Moja mama powiedziała, żebym cię od niej mocno ucałował. - Hank całuje True. - I żebym ci powiedział, że twoje imię pasuje do rodziny Bannisterów. Z takim imieniem mogłabyś nawet pochodzić z Południa. A teraz, True, muszę iść spać. Nie jestem taki ostry zawodnik jak ty. Nie mogę brać ślubu, gotować dla sześćdziesięciu osób i jeszcze tego samego dnia tańczyć tango.

Biorą prysznic po kolei - drzwi do łazienki przymknięte. True wkłada swoją jedyną piżamę - flanelową w paski - i bawełniany podkoszulek pod spód. Hank wkłada spodnie od dresu i podkoszulek.

- Nie przeszkadza ci, mam nadzieję, że nie będę nago? - pyta.

- A większości przeszkadza?

- Tak... Miałem z tym sporo kłopotów. Były pretensje, że nie spałem nago i że nie chciałem, czy raczej nie byłem w stanie spać, trzymając kobietę w objęciach. A skoro o tym mowa, czy w każdej naszej rozmowie będą obecne inne kobiety? Zupełnie jakbyś myślała, że byłem playboyem.

- Trochę byłeś. Ale masz rację. Dlaczego to robisz?

- Nie mam ci za złe, że pytasz. Ale to do ciebie naprawdę nie pasuje.



Docinek jest trafny.

- Co nie pasuje?

- Brak pewności siebie.

- Cóż... - True czuje, że zaraz się rozplacze. - Nie brakuje mi pewności siebie. Po prostu jestem ciekawa i tyle.

- Najdroższa, jeśli sądzisz, że byłem zabawowym chłopcem, to nie masz pojęcia, co to znaczy. Powinnaś pogadać z moim przyjacielem Perrym. No, ale dobra, podoba ci się czy nie, śpię w piżamie. I chrapię.

- Ja nie wiem, czy chrapię. Dawno z nikim nie spałam, więc nikt się nie użalał. W każdym razie nie mam sztucznej szczęki.

- To dobrze. Lubię, jak kobiety mają własne zęby. Nie będzie mi też przeszkadzać, jeśli chrapiesz. Będę myślał, że Sully, mój pies, jest znowu blisko mnie. Bardzo tęsknię za moją Sully.

- Własne zęby? Żebyś cię mogła gryźć, mój drogi?

- Już mnie gryziono. Jakoś przetrwałem. True milczy. Hank ciągnie True na siebie.

- Czy to też cię rani? Daj spokój, kochanie. Nigdy w uniesieniu nie podrapałaś mężczyzny, prawda?

- Nie.

- Wobec tego muszę się postarać, żebyś to zrobiła. Żebyś krzyczała. Może nie dzisiejszej nocy, skoro mama śpi za ścianą. Rozumiem, co oznacza ta mina. Nie chcesz myśleć o kobietach, które gryzły twojego nowo poślubionego męża. To tak, jakby znaleźć prezerwatywy w jego saszetce na przybory do golenia.

Nagły cień na twarzy Hanka mówi True, że on ma prezerwatywy w saszetce na przybory do golenia. True siada na łóżku i zasłania twarz dłońmi.

- Trudno się przyzwyczaić. To wszystko stało się tak nagle... niedawno mogłeś robić... co chciałeś, a teraz jesteś... hmmm, mój.

- Posłuchaj, True. Chcesz się wszystkiego dowiedzieć? Teraz? Nigdy nie byłem w łóżku z mężczyzną. Nigdy nie kochałem się z dwiema kobietami naraz, ale byłem blisko czegoś takiego dwa, nie, trzy razy. Raz odbyłem stosunek analny. Okropieństwo. Pomysł był mój, dziewczyna tak się wściekła, że omal nie wsadziła mi potem do tyłka ogórka. Tyle.

- W porządku.

- Chcesz porównać wyniki?

- Jeśli o mnie chodzi, żadnych ogórków.

- Dobra, wróćmy do rzeczywistości. Czy moglibyśmy kupić Guyowi psa?

Pomyślałem, że możemy mu zrobić taki powitalny prezent. W końcu nie dałem mu nic na urodziny.

- Wszystko w swoim czasie, Hank.

- Kto to powiedział?

- Święty Augustyn.

- To wspomniał dom, True. Nigdy nawet nie marzyłem, że zamieszkać w takim domu - mówi Hank. - Jak pałac.

- Twój dom rodzinny też musiał być ładny.

- Był ładny, ale tata ciągle wyjeżdżał. Leczył mózgi i jelita dzieci w Gwatemali czy gdzie indziej, więc nie był najbogatszym z lekarzy. Poza tym wszystko mieściło się na jednej kondygnacji. Jak to w tropikach.

- Cóż, mia casa es tua casa, jak mówią - odpowiada sennym głosem True. Słyszy zza ściany kasłanie matki. Zastanawia się, czy to ostrzeżenie. Dziś nie będzie stukania w ramę łóżka. Jak dzieci zagubione w lesie, Hank i True trzymają się za ręce i zasypiają. Sny o psach biegających z małymi chłopcami przesuwają się jak cienie wzdłuż sztukaterii u sufitu.

Na dzień przed powrotem Guya True i Hank jadą do Bostonu, by odwiedzić Addleya Jamesa Bourse'a III, prawnika, który prowadzi sprawy True od czasu śmierci Petera, i zarazem męża sąsiadki True, Holly. Addy skierował True do właściwej firmy inwestorskiej, pomógł jej rozkręcić własny interes i ustanowić kuratelę Doga nad Guyem. Teraz trzeba będzie to zmienić. True chce, by zostały spisane testamenty, nie wiedząc nawet, dlaczego tak jej z tym pilno. Chce uporządkować swoje sprawy, nadać ich związkowi właściwą rangę. Plotki już się rozeszły po mieście. Franny mówi, że stała się czymś w rodzaju biura informacyjnego dla ludzi, którzy obawiają się sami zadzwonić do True i spytać, czy to prawda. True zgodziła się ostatecznie na zrobienie zdjęcia i danie ogłoszenia do „Heralda”.

Franny także dała ogłoszenie. Będzie gospodynią majowego przyjęcia w domu True.

- Mój dom jest za mały. Nazywamy to uroczystością, a nie przyjęciem, ale nie dodajemy: „Proszę nie przynosić prezentów”. Lubię prezenty - poucza Franny True.

True nie będzie się spierać o drobiazgi. Ona też lubi prezenty. Podejrzewa, że chociaż ma już robot kuchenny z pełnym zestawem przystawek, chociaż ma taką liczbę kieliszków do wina i dzięki mamie tyle obrączek na serwetki oraz tyle łyżek do sałatek, że wystarczyłoby na kilka pokoleń, jej przyjaciele pomyślą o podobnych uroczych drobiazgach, a wielu gości przyjdzie tylko po to, by mogli potem powiedzieć, że widzieli mężczyznę, którego poślubiła True Dickinson. True zastanawia się nad wypożyczeniem odtwarzacza do karaoke.

W kancelarii „Bourse, Bentley and Lynn” Addley częstuje ich herbatą i przeprasza, że

nie pomyślał o szampanie.

- Nasza True lubi nam sprawiać niespodzianki - mówi Addley. Póki True nie zobaczyła tego metra dziewięćdziesiąt dwa grającego w squasha, uważała imię Addley za śmieszne. - A to zakłada interes, a to bierze sobie... męża.

True wie, że Addy zająknął się, bo chciał powiedzieć „żonę”, i wie, że Hank także to zauważył. Cóż. Trzeba się przyzwyczaić. Ludzie Wschodu powiadają, że pieprzna plotka żyje osiemdziesiąt dni. Muszą przez to przejść. Komentarz Addy’ego to pierwszy z wielu, które usłyszą. True i Hank uśmiechają się szeroko do siebie.

- A więc - zaczyna Addy - mamy mówić o interesach.

Już za późno na umowę przedślubną, musimy zatem sporządzić umowę dotyczącą majątku małżeńskiego, a potem przejdziemy do testamentów. Umowa powinna określać, co się stanie z majątkiem, który każde z was wnosi do małżeństwa, w razie śmierci jednego z partnerów lub gdyby małżeństwo uległo rozwiązaniu i tak dalej.

- Nie myśleliśmy o takim dokumencie - mówi True. - Pobraliśmy się. A to znaczy, że to, co moje, jest jego, a to, co jego, jest moje.

- Istotnie - przyznaje Addy. - Ale nie rozmawiamy o przypadku, gdy oboje partnerzy mają po dwadzieścia lat, zaczynają razem od zera, zamierzają mieć dzieci...

- Takiego małżeństwa właśnie chcemy - mówi True. - Prawda, Hank?

- Myślę, że pan mówi o różnicach w naszych dochodach - stwierdza Hank - i o zabezpieczeniu twojego majątku na rzecz Guya.

- Dokładnie tak - mówi Addy.

- Ale ty sam będziesz tego pilnował.

- Naturalnie, że tak - mówi Hank. - Pan ma na myśli sytuację, gdy się rozejdziemy, gdy mój interes upadnie albo, co gorsza, ty umrzesz, a ja zechcę korzystać z pieniędzy, które przeznaczyłaś dla Guya...

- Tego byś nie zrobił - mówi True.

- Czy w ogóle rozmawialiście na ten temat? - pyta Addy.

- Nie - przyznaje True.

- Wobec tego zostawię was na chwilę samych, żebyście uzgodnili między sobą niektóre szczegóły, a potem będziemy kontynuować - mówi Addy.

True i Hank siedzą z butelkami herbaty SoBe w dłoniach i przyglądają się sobie badawczo. W końcu Hank chrząka.

- Nie mam nic przeciwko takiej umowie, True. Ostatecznie... prawie się nie znamy.

Mogłem okradać banki, a ty nic o tym nie wiesz.

- Okradałeś banki?

- Nie.

- Jaka jest najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś?

- Chcesz, żebym ci to powiedział teraz?

- A nie przychodzi ci od razu do głowy?

- To było dość brzydkie.

- Jestem gotowa.

Molestował siostrę, myśli True. Można unieważnić ślub.

- Jak byłem nastolatkiem - True czuje ucisk w żołądku - znalazłem w łazience na stacji benzynowej portfel. Ten portfel należał do innego biednego chłopaka, takiego jak ja. Wziąłem wszystkie pieniądze i zostawiłem portfel na umywalce.

- No i?

- I tyle. A co?

- To najgorsza rzecz?

- Tak. Ciągłe mi się to śni. Było tam ze sto dolarów drobnymi. Pewnie wszystko, co miał. Patrzyłem mu w twarz, widziałem jego zdjęcie w prawie jazdy, a jednak to zrobiłem. A ty? Jaka była najgorsza rzecz?

- Kiedyś chciałam być pisarką. Napisałam z pięćdziesiąt stron powieści o pewnej dziewczynce, noszącej głupie imię Lidia... Lidia Lincoln...

- Albo True Dickinson.

- Właśnie. I mój brat, mój kochany braciszek, jak byliśmy kiedyś na wakacjach, sprawił mi niespodziankę - umył i wyczyścił w środku mój samochód. Wyrzucił te strony, które schowałam pod siedzeniem. I wtedy...

- Wtedy co?

- Wtedy walnęłam go pięścią.

- I?

- Uderzyłam brata! Mocno. Właściwie za nic.

- To wszystko?

- To aż za dużo. A kiedy indziej powiedziałam mu, że bluzka, którą mi kupił na Gwiazdkę, jest ze sklepu z tanimi rzeczami. Ciągłe o tym myślę. Muszę mu o tym napisać któregoś dnia.

- Czyli nigdy nie siedzieliśmy w więzieniu - stwierdza Hank i pyta: - Masz dużo pieniędzy?

- Jak na tutejsze stosunki, nie.
- Wliczając moje udziały w restauracji i parę małych lokat, mam około siedemdziesięciu tysięcy.
- To niemało, Hank. Wcale nieźle, jeśli się weźmie pod uwagę, że tyle się włóczyłeś po świecie.
- I byłem głupi. Rozdawałem wspaniałe rowery, które sam składałem, bo chciałem wyjechać, a nie chciałem zawracać sobie głowy ich sprzedawaniem...
- Ja mam... ponad dwa i pół - mówi True.
- Miliona?
- Licząc dom i firmę. Może trochę mniej.
- A więc o tym mówił... Masz prawie trzy miliony dolarów?
- Wierz mi, że gdybyś rzucił przez to okno kamieniem, trafiłbyś dziesięć osób, które mają dwadzieścia razy więcej...
- Nic dziwnego, że twoja matka myśli... - Hank patrzy oniemiały.
- Ja tak nie myślę. Sądziłam, że będziemy zwyczajnym małżeństwem i że wszystko będzie wspólne... I będziemy mieć jeden rachunek w banku...
- Tom i ja mamy rachunek na firmę - przypomina Hank.
- Ja też mam, naturalnie, rachunek firmy. Mam też lokatę przeznaczoną na koszty studiów Guya i chociaż nie rozmawialiśmy o tym wcześniej, Hank, myślę, że nie musimy specjalnie uważać, żeby nie mieć dzieci...
- Bardzo bym chciał mieć z tobą dziecko. Bo to możliwe, prawda?
- Teoretycznie tak. Moglibyśmy adoptować dziecko. O tym także myślałam.
- Wspaniale.
- To obraźliwe, nie?
- Co? Taka umowa? True, przysięgam ci na moją matkę, nie traktuję tego w ten sposób. Zrób, jak uważasz.
- Myślałam, że uczynię cię moim spadkobiercą i będę twoją spadkobierczynią, tak jak w każdym zwykłym małżeństwie. Nie mamy po sześćdziesiąt pięć lat, nie postanowiliśmy zburzyć ściany między naszymi mieszkaniami w bloku w Słonecznym Miasteczku...
- Jest wiele osób, które w ogóle nie brały ślubu przed czterdziestką.
- Chcesz być opiekunem Guya, prawda?
- Jeśli ty też tego chcesz.
- Skoro masz być jego ojcem, jego ojczymem... czy zechcesz adoptować Guya?
- Czy to nie zależy od niego?

- Myślę, że tak.

- Jeśli on zechce... Chyba i tak będę mniej lub bardziej jego ojcem, skoro nie ma naturalnego ojca.

- Powinieneś być jego ojcem w rozumieniu prawa - mruczy True.

- W porządku. Tak będzie najlepiej. Uuu, czeka mnie sporo zajęć.

Wraca Addley. Hank siada po drugiej stronie stołu, obok True. True siedzi sztywno i mówi:

- Oto co chcemy zrobić... W małżeństwie cały majątek jest zwykle wspólny, prawda?

- Cały majątek powstały po zawarciu związku małżeńskiego.

- Ale po pewnym czasie w końcu wszystko będzie wspólne, tak? Dom i wszystko?

Addy milczy. Dopiero po chwili mówi:

- Tak.

- Wobec tego proszę przygotować papiery. Chcemy, żeby wszystko było wspólne, chcemy zmienić mój testament w taki sposób, żeby Hank był moim spadkobiercą, a testament Hanka... Masz testament, Hank?

- Tak. Gdzieś mam. Moja matka jest spadkobierczynią. To niewiele. Mała renta. Moje ubezpieczenie na życie.

- A więc tyle. Przyślemy testament Hanka pocztą. I przyjedziemy jeszcze raz.

True spogląda przez okno na bostońskie moło, gdzie wszystkie turystyczne sklepy i bary są ciche, a ich okna zasłonięte żaluzjami.

Po długiej chwili Addley mówi:

- Nie będę mógł tego zrobić.

- Dlaczego? Spisujesz testamenty, Addley.

- Ale głównie interesują mnie interesy partnerskie.

- Spisałeś mój testament.

- Z całym szacunkiem, True. Ale uważam to za nieodpowiedzialne. Założyłaś firmę dzięki pięćdziesięciu tysiącom z ubezpieczenia. To było wszystko, co miałaś. Cały czas pracowałaś jak niewolnica. I chociaż szanuję wasze podejście do tej sprawy...

- Nie szanujesz naszych życzeń.

- Nie sądzę, żeby to było rozsądne. Prawnik nie powinien być chłodnym totumfackim. A nawet gdybym taki był, jestem twoim sąsiadem i widziałem, jak walczyłaś o swoje. Panie Bannister, proszę mi wierzyć, to nie wynika z braku szacunku dla pana czy dla True. Może nie jestem tak bezstronny, jakbym mógł, gdyby True od lat nie była przyjaciółką rodziny...

Dopiero czwarty z prawników zgodził się zrobić to, czego sobie życzyli. True próbuje

się nie przejmować, ale w gardle rośnie jej gula na wspomnienie ich gładkich, skupionych twarzy. Przypominają grabarza, który pokazał jej trumnę dla Petera za cztery tysiące dolarów, wyjaśniając, że niektórzy chcą mieć pewność, że trumna „przetrwa wieki, chroniąc przed zmianami, które w innym przypadku mogłyby dotknąć zwłoki ukochanej osoby”.

Na koniec trafiają do małego domku w Dennis, gdzie znajdują podobnego do gнома, choć na swój sposób atrakcyjnego, łysego prawnika, który nigdy nie miał współnika. Ten częstuje ich wodą z lodówki w plastikowych kubkach i mówi:

- Osobiście nigdy nie miałem z nimi do czynienia, ale słyszałem o ludziach, którzy zdecydowali się zostawić swoje duże majątki Pomorzanom. Kodeks prawny stanu Massachusetts tego nie zabrania, choć nasi bracia Pomorzanie skłonni byli uważać to za obrazę. Widzę, że pan nie jest Pomorzanie, panie Bannister, ani ubogim włóczęgą z południowej Kalifornii, a pani, pani Dickinson, nie jest Ivana Trump. Oboje państwo wyglądacie na ludzi przy względnie zdrowych zmysłach, choć osądzanie czyjegoś rozsądku nie jest naturalnie moją sprawą. Wprawdzie dla nas, prawników, każdy dokument ma moc ostateczną i obowiązującą, ale w rzeczywistości każdy dokument można też zmienić, jeśli taka będzie wasza wola.

Testamenty mają zostać przygotowane w ciągu kilku tygodni i będą zawierać zabezpieczenie majątkowe na rzecz Kathleen, Guya i każdego dziecka, które narodzi się albo zostanie adoptowane. W rzeczywistości upłyną prawie dwa miesiące, nim True i Hank zjawią się ponownie w Dennis, by podpisać dokumenty. Będzie to wilgotny, wietrzny dzień, a oni będą się kłócić o głupoty, o motocykl. Do tego czasu nieraz poczuli się zaskoczeni faktem, że w ich miłości, zesłanej im przez opatrność, przeznaczonej im, owianej tajemnicą, jest dość miejsca na okopywanie się na pozycjach obronnych, na dumne milczenie, na noce, gdy padają na łóżko jak kłody, ale i na to, by razem z Guyem, leżącym w łóżku między nimi, oglądać powtórki Andy’ego Griffitha i uczyć się w salonie merenge przy muzyce z kasy, którą spontanicznie zamówili, wybierając numer 0 800.

Do tego czasu kochali się czterdzieści razy, a nie dziewięćdziesiąt dziewięć, jak zakładali.

Spędzali czas ze swymi rodzicami i zdali sobie sprawę, że nie są żadną biologiczną anomalią, lecz ich nieodrodnym potomstwem. I chociaż było to zaskoczeniem dla każdego z nich z osobna, żadne nie zwierzyło się drugiemu z tego odczucia. W prawniczej kancelarii True zdała sobie sprawę, że potrafi przewidzieć okoliczności, w których ona i Hank mogą zechcieć rozwiązać małżeństwo, ale nie potrafi przewidzieć okoliczności, kiedy nie chciałyby, by Hank nie był ojcem Gyua. Guy natomiast pozwolił ostatecznie Hankowi pokonać

niewidzialną, dzielącą ich barierę.

Do tego czasu doświadczyli też wielu spojrzeń pełnych zwątpienia i przyjęli wiele szczerych gratulacji, które umocniły ich dwuosobową wspólnotę. Spędzili wiele nocy na obgadywaniu pomysłu nazwanego „Pierwszym Rokiem Poza Domem”, a niektóre zachowania zaczęli określać jako „cała Kathleen”, nauczyli się też nieść sobie ulgę w bólach krzyża - u niej w lędźwiach, u niego blisko serca.

Poeta z Nowej Anglii napisał, że „Jest coś, co czuje niechęć do granicznych murów”\*, i może to samo „coś” w jankeskiej naturze True nie pozwala jej przyznać się do błędu. Jeśli chodzi o Hankę - w rodzinie Bannisterów rozvodu nie było od dwustu lat. Choć więc oboje przeżyli chwile upokorzenia, nadal zdecydowani byli trwać przy swoim, gdy zjawili się razem, by podpisać dokumenty, i roześmiali się, gdy prawnik powiedział: „Dzięki naszej gwarancji wasze testamenty i tak was przeżyją. Dlatego teraz, kiedy uporządkowaliście swoje sprawy, nie czujcie się w obowiązku umierać”.

Maj

W TO MI GRAJ

Rozsyp nasiona z tego wiosennego podarunku, a zobaczysz, jak do czerwca zazieleni się pierwszy ogródek twojego malucha. Później użyj naszego balsamu do rąk, magicznego specyfiku, który spracowanym dłoniom mamy nada miękkość aksamitu. A co dalej? Na świat przychodzą młode - niech więc zjawiają się i w waszym domu. W szopce z gładkiego tworzywa znajdziecie baranka, kurczątka, cielaczka (naturalnie, ze swoją mamusią!), zrebkę, a także farmera, który się o nie wszystkie troszczy. Każda figurka, jak również dołączona do zestawu czapka bejsbolowa z naszym logo, z gwiazdkami i niedźwiadkami, została wykonana bardzo starannie, bez ruchomych elementów i przy użyciu bezpiecznych barwników, gdyby komuś zachciało się ją włożyć do buzi!

OJ »O

- Jesteś wstrętną, ohydną jędzą! - wrzeszczy Guy ze szczytu schodów. - Nie mogłem ci tego powiedzieć przez telefon, ale tak właśnie myślę!

Pierwszy dzień maja. Guy wrócił do domu z Montany.

Sprawy nie potoczyły się tak, jak planowali True i Hank.

True pojechała po Guya na lotnisko sama, zamierzając delikatnie podjąć temat nowej rodziny, może rodzeństwa, większej potrzeby otoczenia się bliskimi ludźmi po wyjeździe Esy. Chciała mu wyjaśnić, że zrobiła to dla dobra ich obojga. Tolerancyjny ojciec Tierney, spytawszy najpierw sceptycznie: „Miniślub? Mam nadzieję, że nie wyniknie z niego mini-mażeństwo?”, zgodził się odprawić religijny obrządek w sobotę o drugiej.



Ale Guy jest blady i zamknięty w sobie jak małż.

Serce wali w piersi True. Ma dwadzieścia pięć kilometrów - i cztery zjazdy z autostrady - by wywołać w ich życiu moment „Nagasaki”, choć niespełna dziesięć lat temu doświadczyli „Hiroszimy”, która zostawiła po sobie, jeśli nie pamięć, to przynajmniej ślad. Jak mogła tak dać się zwieść płomiennym zapewnieniom Hanka, że dla Guya wszystko można jakoś „spreparować”. A może jest po prostu nadopiekuńcza, tak jak wtedy, gdy Guy był niemowlęciem, a Pete oskarżał ją, że lata za małym z termometrem w dłoni.

True miała nadzieję, że obecność mężczyzny w domu będzie dla Guya czymś intrygującym, ale teraz widzi, iż równie dobrze mogła oczekiwać, że skrzydlate małpy złapią ich samochód i poniosą w powietrzu ku celowi podróży. Hanka nie powinno być w domu, gdy przyjadą, myśli, ogarnięta nagłą paniką. Powinien był wyjść. Na parę godzin, albo i nie pokazywać się przez tydzień. True zburzyła przecież idealnie uporządkowaną egzystencję, której świetlane centrum siedzi teraz przypięte pasami na fotelu obok.

Guy jest częścią niej samej; każde jego słowo, każdy gest wypalają piętno na jej tożsamości.

Jak mogła myśleć podobnie o Hanku nawet w chwilach największego uniesienia? True wręcz nie wierzy, że przeżyła bez Guya tych parę dni, które - jak się okazuje - zaciągnęła z powodu zaistniałych okoliczności na całych dziesięcioleciach życia ich obojga. Guy urosł chyba z centymetr i zmężniał. Jest opalony, złotobrazowy - jak chłopiec z reklamy sprzętu do wspinaczek wysokogórskich. True pożera go wzrokiem, nadal spragniona ukradkowych gestów, które wykonują matki: poprawić sterczący kosmyk włosów pod pozorem odsłonięcia brwi, musnąć go wargami, sprawdzając, czy przypadkiem nie ma temperatury, poprawić mu koszulę tylko po to, żeby jeszcze raz zobaczyć pępek, miejsce, którym kiedyś byli złączeni. Są to gesty, które matki małych dzieci mogą wykonywać bez pytania o pozwolenie. True chce, żeby wszystko było tak jak kiedyś, kiedy byli najlepszymi kumplami, kiedy jedno było obrazem drugiego. Teraz to wszystko tracą.

Prędzej czy później i tak musiałyby do tego dojść, ale nowa sytuacja boli jak świeża rana.

True wyobraża sobie tykanie zegara - należącego kiedyś do jej babci - w wielkim domu przy Stage Harbor Lane, domu z szerokim gankiem, na którym Kathleen i Hank czekają, jak sądzi True, w niezmałconej ciszy.

Kathleen potrafi zachować ciszę jak pies myśliwski przed akcją.

- Naprawdę nie chcesz iść się napić jakiegoś gazowanego napoju, zanim dotrzemy do domu? Tylko ty i ja?

- Nie, mamo. Babcia L. mówi, że to niezdrowe dla chłopca - stwierdza Guy, przyglądając się z ogromną uwagą rzeczom, które oglądał codziennie przez całe swoje życie.  
- To przez te napoje z automatu w twoim biurze jestem gruby. Woda. Teraz piję tylko wodę. Trzy i pół litra dziennie.

- Wspaniale. - Z cytryną.

- Jak się mają babcia i dziadek?

- Dobrze. Dlaczego tak wolno jedziesz? Chcę już zobaczyć babcię i Eda.

Ed to złota rybka Guya, która - zgodnie ze statystyką - już dawno powinna zdechnąć. Guy nauczył ją płynąć za swoim palcem.

Ed!, myśli True, nie karmiłam Eda! A co będzie, jak Ed pływa brzuchem do góry? O, nie, Boże, mama na pewno pamiętała. Oby tego samego burzliwego popołudnia Gee nie musiał jednocześnie opłakiwać straty jedyne go domowego zwierzątka i wyłącznych praw do matki.

Wjeżdżają w alejkę przed domem. U klamki wisi papierowy kosz z kwiatami. True przypuszcza, że to dar od Termy Retton, małej dziewczynki mieszkającej dwa domy dalej, która robi biżuterię z paciorków i gdy dorośnie, chce pracować w jej firmie. Jej starszy brat Lane pomaga latem w Dwunastu Podarunkach przy pakowaniu paczek.

Pierwszy maja, myśli True.

Pierwszy maja.

- Babciu! - Guy rzuca się do frontowych drzwi. - Widziałem, jak się rodzi cielę! A w górach spotkaliśmy stado łoś! Jeździłem na Polo bez siodła... - Guy dostrzega Hankę w momencie, gdy spojrzenia True i jej męża spotykają się, wyrażając wzajemne błaganie o pomoc. - Cześć... ja... zapomniałem...

Nie tylko Guy. Hank też chyba zapomniał jego imienia. Macha ręką.

- Pan Bannister - mówi Kathleen, uśmiechając się łagodnie, ściskając Guya i tuląc krągłości pulchnego ciała do swego drobnego łona.

Już od lat True nie wracała pamięcią do chwil, gdy wraz z bratem obgryzali grzanki tak, by nadać im kształt rewolwerów, a potem celowali z nich w Kathleen, ledwie odwróciła się do nich plecami, stwierdziwszy: „Płacąc podatki jak wszyscy inni, opłacam też autobus i nie będę odwoziła was tylko dlatego, że nie możecie wstać z łóżek o właściwej porze...” A przecież i True, i Dog jechali w to samo miejsce co matka, do tej samej szkoły. True nie wie, dlaczego przypomniała to sobie akurat teraz. Może dlatego, że Kathleen (choć nie obraca słów w czyn) sprawia wrażenie szlachetnej i chętniej, by się nad tobą użalić... a nazwać jedynie błędem to, że źle oceniła sytuację.

W kuchni jest tak jasno, jakby ktoś zamierzał dokonać w niej przeszczepu serca. True podchodzi do kontaktu i przyciemnia oświetlenie.

- Wiesz, co, Guy - mówi wesoło. - Hank chciałby, żebyś stał tuż obok niego.

Guy grzecznie staje obok Hanka.

- Nie teraz - śmieje się True. - Żebyś był jego drużbą na ślubie. Tak jak byłeś drużbą Esy.

- Nie możesz być świadkiem - dodaje ciepło Hank - bo jesteś za młody. Dlatego Tom podpisze dokument. Ale chciałbym, żebyś trzymał obrączki.

- Rozumiem.

- To znaczy, że się zgadzasz?

- Mówię, że rozumiem. Ale wcale nie jestem pewien, czy chcę iść na wasz ślub.

- Dlaczego? - pyta Hank.

- Bo postanowiłeś ożenić się z moją mamą, nie zapytawszy mnie nawet o zdanie!

- Chwileczkę! Wydawało mi się, że twoja mama jest dorosła! Nie sądziłem, iż musi pytać cię o pozwolenie, żeby zrobić coś, co jej zdaniem jest dobre dla was obojga.

Guy jest bliski płaczu:

- Tylko dzieci robią takie głupoty! Wstydzę się za was!

- Zaczekaj, Gee - błaga True, gdy Guy łapie plecak i nową wędkę. - Nie chcieliśmy cię urazić. Kochamy się tak bardzo, że nie mogliśmy się powstrzymać, by nie wziąć ślubu. I tak powinno być, Gee. Mogłabym przyprowadzać do domu różnych mężczyzn, jak Ronnie...

- Nadal się za was wstydzę! - woła Guy. - Faceci nie chcą słyszeć, że ktoś jest tak bardzo zakochany w ich własnej matce, że chce seksu i takich rzeczy...

Guy odwraca się na pięcie, by pójść do swojego pokoju.

- Pokaż mi tę wędkę - przerywa mu Hank.

Guy spogląda ze złością, ale powoli zaczyna wyjmować wędkę z pokrowca.

- Piękna - mówi Hank. - Nigdy nie łowiłem muchówką. Mój tata łowił. Wujek próbował mnie nauczyć, ale od razu zacząłem żyłką o drzewo.

- Tego nie robi się pod drzewami - mówi Guy z dezaprobatą. - Stoi się w wodzie i rzuca pod drzewa, w stronę brzegu.

- Kiedyś złapałem bambusową wędką niszczuka na kulkę z chleba.

True patrzy na Hanka z uwielbieniem.

- To nie to samo co pstrąg - podkreśla Guy.

- Nie. Pstrąg to królewska ryba.

- Dziadek też tak mówi. Dokładnie tak samo.

- Twój dziadek musi być bardzo mądry.

- Tak. Dał mi zdjęcia taty, na których tata jest mały. Jako niemowlę wyglądał identycznie jak ja. Umarł, kiedy miałem dwa lata. Mam jego czapkę, którą nosił w szkole lotniczej, a jak będę starszy, dostanę jego kurtkę z Embry Riddle. Był pilotem. I był na wojnie. Czy ty byłeś na wojnie?

- Nie, ale mój tata brał udział w drugiej wojnie światowej. Służył w Pierwszej Dywizji Piechoty „Big Red One”. Jako lekarz. To najbardziej niebezpieczne zadanie. Mój tata był bardzo dzielny.

- Tak samo jak mój. Zginął, próbując pomóc pewnej kobiecie w reperaturze samochodu. Potrącił go samochód prowadzony przez pijanego kierowcę.

- Wiem. Niewiele dzieci ma takie przeżycia. Ty też musisz być dzielny - mówi Hank.

- Chcesz grzankę z serem, Guy? - pyta Kathleen, gdy Hank poddaje wędkę różnym próbom, zginając ją i testując jej elastyczność.

- Poproszę - mówi Guy. - Cześć, Ed, stary koniu! - Ed niestrudzenie pływa w pałacu Neptuna. - Mamo, czy mógłbym dostać konia?

Boże, nie, błaga w myślach True, niech robi to, co inne dzieci - niech w tej trudnej chwili zrobi w tył zwrot i zajmie się codziennymi sprawami.

- Nie. Gdzie byśmy trzymali konia? W garażu?

- A psa?

- To świetny pomysł - mówi Hank. - Też chciałbym mieć psa.

- Założę się, że chciałbyś tu mieć swojego psa - mówi True.

- Pewnie, że tak. - Hank bierze True za rękę.

Guy wzdyga się, ale nie okazuje zdenerwowania, tylko pyta:

- Masz psa?

- Moja suka jest u mamy w Luizjanie. Ma szesnaście lat.

Za stara, żeby tu przyjechać. Lubi siedzieć sobie na ganku i baraszkować z kotami.

- Jaka rasa?

- Sully? Chyba żadna. Trochę owczarek, trochę labrador, trochę wyżeł.

- Sully to zdrobnienie od czego?

- Od Sully.

- Myślałem, że Sully... na przykład od Sullivan.

- Nie mam pojęcia, skąd się wzięło to imię. Może moja siostra miała na myśli „Sally”.

Bo to ona je wymyśliła.

- Chciałbym mieć psa rasy collie. One są najmądrzejsze. Nazwałbym go Cygan.

- To rzeczywiście bardzo fajne psy. Przywiązują się do właściciela. Muszę cię tam zabrać na ryby.

- Gdzie?

- Tam, gdzie się wychowałem. Można tam zobaczyć nawet aligatory.

- Kłamiesz - mówi Guy bez mała uprzejmię.

- Przysięgam na głowę mojej mamy, że nie kłamię. Tu można zobaczyć walenie i te... no...

- Ale nie jak się normalnie pływa...

- Foki!

- Foki to tak - przyznaje Guy niechętnie.

Kathleen przynosi grzankę przyrządzoną zgodnie z upodobaniami Guya - zimny plasterk cheddara między dwiema mocno spieczonymi grzankami. Guy uśmiecha się do niej z największą, nieudawaną ufnością. Jak True mogła nie wyobrazić sobie tej sceny i nie przygotować właściwego planu? jak mogła dopuścić, by hormony zaćmiły jej umysł? W taki sposób zaczynają się historie, które trafiają do „Good Housekeeping” i mają tytuły w rodzaju: „Wyrwałam syna z objęć kokainy”: „Choć wcześniej stracił ojca, Guy Lemieux był szczęśliwym, dobrze ułożonym i utalentowanym chłopcem...” To nie jest właściwa pora, by mu o tym powiedzieć. Ale, niestety, jedyna. Nie zwracaj uwagi na mężczyznę, który jest w kuchni, Guy. Wszystko jest w idealnym porządku. Nadal najbardziej kocham ciebie. Ale czy rzeczywiście najbardziej kocha syna? Bez wątpienia. Samo to pytanie jest absurdalne. Kocha Guya nad życie.

Kocha też Hanka. Kocha go tak bardzo, jak tylko można kochać mężczyznę, i podejrzewa, że bardziej, niż potrafiłaby go kochać jakakolwiek inna kobieta. Jest jego żoną. Ale im obu winna jest coś więcej niż wywracanie oczami i wyłamywanie palców, coś więcej niż ta cała dziwaczna pantomima, z której powodu postronny obserwator mógłby pomyśleć, że True dławi się jak niszczuk kulką z chleba.

- Gee - mówi True - pora spać. Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- Czy on tu zostaje? - pyta Guy.

- Tak, jesteśmy już prawie małżeństwem.

- Dobrze.

- W gruncie rzeczy wzięliśmy ślub cywilny w New Hampshire... Teraz możemy więc wziąć prawdziwy ślub. Tak jak to zrobili Esa i Doug. Ale zgodnie z prawem już jesteśmy małżeństwem.

- Hmm... Chyba będę dziś nocował u babci.

- Bardzo słusznie - mówi Kathleen, sięgając po płaszcz.

- Niesłusznie - odpowiada True. - Tu jest twoje miejsce, Guy. Ze mną. I z Hankiem.

Począwszy od dziś.

- Więc teraz nie mogę nawet nocować u babci?

- Jeśli my wyjedziemy albo coś w tym rodzaju, to tak. Ale dzisiaj nie.

- Nie będę mówił do ciebie „tato” - oświadcza Hankowi Guy.

- Nie musisz. Póki nie zechcesz. Jeśli kiedykolwiek zechcesz. Podoba mi się moje imię - mówi Hank.

- Naprawdę? W moich uszach brzmi jak pierdnięcie - odparowuje Guy.

- Wystarczy na dziś, Guy - ostrzega True.

- Tak jakbyś wiedziała, mamusiu, co...

- Myślę, że jesteś bardzo zmęczony - mówi True.

- Myślę, że jestem wkurzony. Chcę iść do babci.

- Nie - mówi True.

- Chcę iść do babci.

- Powiedziałam już. Nie dzisiaj. To dopiero początek rozgrywki.

Dwie godziny później True i Hank siedzą w kucki pod zamkniętymi na klucz drzwiami sypialni Guya. Chłopiec od godziny nie odpowiada na żadne pytanie. Ale nie słychać też, by płakał. True i Hank sądzą, że zasnął.

- Musimy zniszczyć zamek - mówi True. - Nie będzie to łatwe, bo zamek jest solidny.

- Uszkodzimy drewno - stwierdza Hank.

- Nie mogę zostawić go tak na całą noc.

- Może jednak byłoby lepiej zostawić go w spokoju. Nie będzie mu łatwo płakać w obecności mężczyzny, którego prawie nie zna, a który właśnie poślubił jego mamę.

- Ma dopiero dziesięć lat. Nie wie, że prawdziwi mężczyźni nie płaczą.

- Mówię tylko to, co pamiętam z własnego dzieciństwa. Jak się wbiło haczyk w rękę albo skaleczyło szkłem stopę, robił człowiek, co mógł, żeby tylko nie płakać w obecności...

- Nie zamierzam wychować go na Steve'a McQueena.

- Nie unos się, kochanie. Dlaczego złościsz się na mnie? True tkwi w pułapce miłości do księcia z bajki o indiańskich włosach.

- Nie złościsz się na ciebie. Jestem wkurzona na siebie. Rozumiem, co masz na myśli, ale nie mogę zostawić go samego.

- Połóżmy się i zobaczymy, czy wyjdzie. Prędzej czy później musi iść do toalety.

- Kiedyś wysiusiał się przez okno, jak był na mnie zły.

- Dajmy mu trochę czasu.

Leżą w łóżku, które do tej pory True uznawała za swoje, jedno obok drugiego, uważając, by się nie dotknąć, tak jakby przebiegała między nimi niewidzialna granica - taka sama, jaką wytyczali między sobą True i Dog na tylnym siedzeniu samochodu, gdy jeździli z wizytą do dwóch niezamężnych ciotek w Salem. Dokładnie w takich samych pozycjach zastaje ich rano. True idzie na palcach pod drzwi pokoju Guya. Nie ma go. Przez okno łazienki widzi Guya, siedzącego przy oknie w domu Kathleen. Macha rękami, emocjonując się czymś bezgłośnie przy śniadaniu. True łapie szlafrok i wkłada chodaki.

- Cześć, mamó - mówi. - Zabieram Guya do domu.

- Właśnie, że nie! - Twarz chłopca jest nabrzmiąta ze złości. Guy wydyma policzki, oczy nękają pod fałdami opuchlizny. True uświadamia sobie, że zasnęła w okamgnieniu, a syn musiał płakać długo w nocy.

Oto, jaką jest matka.

- Nie bądź tak surowa, True. Zachowujesz się, jakby to on był czemuś winien - mówi Kathleen. - Jak ty byś się czuła, gdybyś po powrocie z podróży zastała w łóżku matki obcego człowieka i gdyby twoje życie zostało postawione na głowie?

- Jego życie nie zostało postawione na głowie! - krzyczy True i zaciska pięści, a potem otwiera je i obejmuje swoje ramiona. Tak, życie Guya zostało postawione na głowie. Nie przyzna tego otwarcie, bo czuje się... zakłopotana. A nawet więcej - głęboko zawstydzona. Dlatego nie zadzwoni do Doga i nie zwierzy się, jak to zwykle czyni, gdy ich matka zachowuje się dziwacznie, ani nie poprosi Franny, by przyszła i udzieliła Guyowi zgrabnej, żartobliwej reprimendy. Będzie musiała odwrócić się, iść do domu i porozmawiać o tym z kompletnie obcym człowiekiem, którego „zna” tylko w sensie biblijnym. Bierze Guya za rękę, na stole zostają niedojedzone płatki z mlekiem. True bez mała ciągnie syna przez ogród w stronę domu. Czuje na sobie wzrok Sandersonów, bo na pewno śledzą ich spokojnym, nieosądzającym, kwakerskim spojrzeniem.

W sobotę True ubiera się w najlepszy kostium, wciska ciągle opuchnięte stopy w sandały na wysokim obcasie, wkłada do wieczorowej torebki studolarowy banknot na ofiarę dla kościoła Saint Thomas More razem ze złotymi kolczykami w kształcie latarni morskiej kupionymi w prezencie dla Franny, która zechciała być jej drużną. Esa nie wróciła jeszcze z podróży poślubnej. Rudy gdzieś się zapodział i nie można go znaleźć. Guy leży na łóżku w dżinsach i brudnym podkoszulku.

- Ubieraj się, kochanie - mówi True.

- Jestem ubrany - odpowiada Guy.

- Ubierz się, Guy - rozkazuje True. - Ładnie.

- Idź do diabła - spokojnie radzi Guy.

- Mam dosyć proszenia, żebyś był grzeczny, mam dosyć przeproszania cię i mam dosyć wybaczenia ci niewłaściwego zachowania. Będziemy mogli przez następnych dziesięć lat wyjaśniać sobie pewne sprawy, bo może zbyt pośpiesznie poślubiłam Hanka, ale teraz podnieś tyłek z łóżka, włóż porządne spodnie i czystą koszulę, bo jak nie, to dostaniesz w ten tyłek, odbiorę ci magnetofon i go sprzedam.

- Dlaczego? Dlatego że mam własne zdanie?

- Nie. Dlatego że jesteś niegrzeczny, chociaż wcale nie jesteś niegrzecznym dzieckiem. Jeśli nawet nienawidzisz Hanka, pamiętaj, że przyniósł ci autograf Scottie'ego Pippena, przyszedł na twoje przedstawienie i starał się być dla ciebie miły.

- Wszystko po to, żeby przymilać się do ciebie, więc idź i zabierz magnetofon.

True siada na łóżku.

- Czy byłbyś zadowolony, gdybym zachowywała się w podobny sposób wobec ciebie? Gdybyś chciał brać udział w zapasach, a ja byłabym tak bardzo temu przeciwna, że nawet nie przyszedłabym na mecz?

- To są zawody, nie mecz. I to zupełnie co innego - wytyka Guy.

- Dobrze. Proszę cię więc jeszcze raz, żebyś w imię miłości do mnie zrobił coś, czego nie chcesz zrobić, i zakładam się z tobą o pięćdziesiąt dolarów, że pewnego dnia będziesz zadowolony, że to zrobiłeś.

- Naprawdę dasz mi pięćdziesiąt dolarów, jeżeli będę go nienawidził do końca życia?

- Dam ci pięćdziesiąt dolarów, jeśli będziesz go nadal nienawidził pod koniec lata.

- I nie wykręcisz się? Przecież to idiotyczny zakład. - Guy uśmiecha się szeroko, wstaje i podchodzi do szafy. - Za pięćdziesiąt dolarów kupię sobie dwie superkartki z zawodowcami. Z autografami!

Mając na sumieniu przekupstwo, True telefonuje do matki, by zapytać, czy jest gotowa do wyjścia, i dowiaduje się, że Kathleen zamierza sprzedawać po południu plakietki na rzecz czystych plaż, żeby nie obciążać Mary i Ellen pracą, którą powinna wykonać sama.

- Nie będziesz na moim ślubie? - pyta True, czując się, jakby dostała obuchem w głowę. - Będziesz sprzedawała plakietki, zamiast być na moim ślubie? Nawet Dog przyjedzie na mój ślub!

- Byłam już na jednym twoim ślubie - mówi Kathleen. - I przyjdę na przyjęcie, które przygotowuje Franny.

- Skąd wiesz, że Franny przygotowuje przyjęcie?



- Dzwoniła dziś rano.

- Nic mi nie powiedziałaś.

- Spytała, w co się ubierzesz. Powiedziałam jej. Nie sądziłam, że chcesz, by ci przeskadzano. Drzwi twojej sypialni były zamknięte.

- Drzwi mojej sypialni zawsze są zamknięte, jak biorę prysznic i się ubieram.

- Nie wiedziałam, czy wolno mi...

- Nie rób tego! Nie rób tego, proszę! Błagam cię na kolanach, żebyś przysłała. Jeśli nie przyjdiesz, urazisz moje uczucia i uczucia Hanka, i uczucia Guya. A Guy pomyśli, że wolno mu pyskować jeszcze bardziej niż teraz, co i tak rani mi serce.

- Ja... - kluczy Kathleen, najwyraźniej nie chcąc nikogo urazić, a zarazem nie chcąc w żaden sposób otwarcie zaakceptować tego związku, choćby przez uczestnictwo w uroczystości zaślubin.

True wyciąga więc kartę atutową:

- Czy wiesz, co sobie pomyśli ojciec Tierney, jak nie przyjdiesz na mój ślub? - Kathleen milczy. Zastanawia się. - Nie mówię już o Mary i Ellen, z którymi rozmawiałaś przecież na ten temat.

- Muszę włożyć suknię - mruży Kathleen. - I stosowne buty.

Gdy True ma powtórzyć, że będzie szanować Hanka, że będzie mu wierna ciałem i duszą, że będzie go kochać całą sobą - w imię Boga przyrzeka, że tak właśnie będzie. Hank powtarza te same słowa. Wcześniej powiedział przez telefon matce i babci, że „obrzęd katolicki” jest lepszy niż nic, a Bóg i tak jest wszędzie. Guy wzdryga się, wręczając Hankowi obrączkę True i obrączkę, którą True kupiła dla Hanka. Jak się okaże, Hank nigdy nie będzie jej nosił. Ponieważ Franny zaplanowała przyjęcie dla młodej pary w późniejszym terminie, nie ma potrzeby przygotowywania obiadu czy kolacji. Nie pozostaje więc nic innego, jak wrócić do domu. Całują się więc i wracają.

- Moja mała siostrzyczka jest wreszcie szczęśliwa - szepcze Dog do ucha True. - Jeśli ten facet sprawi, że smutek zniknie z twojej twarzy, uznam go za przyjaciela.

- Czy to widać? Czy kiedykolwiek było widać mój smutek? - pyta szeptem True.

- Tak, tak i jeszcze raz tak - odpowiada Dog.

Przez kilka następnych dni Guy karze True, traktując babcię, a nie ją, jak matkę.

Pewnego popołudnia, zaraz po lekcjach, a tuż przed przyprawem, Guy pyta babcię, czy może iść na plażę. True słyszy, że Kathleen daje mu pozwolenie. Wtrąca się więc - ona, niedobra matka - do rozmowy. Kathleen świetnie zdawała sobie sprawę, że True się wtrąci, dlatego niczym nie ryzykując, pozwoliła na coś, czego kiedy indziej z pewnością by

zabroniła. To wprawia True w jeszcze większą złość. Pływy są o tej porze roku rzeczą normalną, a fala potrafi porwać nawet dobrze zbudowaną, dorosłą osobę. Guyowi, który jest szybki jak mały mustang, pewnie udałoby się uciec, ale przyjęto zasadę, że chłopiec nigdy nie spaceruje samotnie po plaży podczas odpływu. Wygląda więc na to, że Kathleen podsyca determinację Guya, który wręcz pragnie, by True zachowywała się jak wiecznie sprzeciwiający się wszystkiemu rodzic.

- Traktujesz mnie jak dziecko - rzuca Guy i wybiega, by pograć w kosza z Brendanem.

Hank wpada przed pracą na chwilę do biura i całuje ją tak namiętnie, że True czuje skurcz w kroczu. Rudy wzdycha.

- Guy mnie nienawidzi - mówi True do Rudy'ego, gdy Hank wychodzi.

- Istotnie - przyznaje Rudy.

- Guy mnie nienawidzi - mówi True przez telefon do Franny. - i już zawsze będzie mnie nienawidził.

- „Zawsze” to strasznie długo - mówi bezradnie Franny.

- A teraz podstawowe pytanie? Co mam robić?

- Zaprosiłabym go na kolacje we dwoje w wasz poniedziałkowy wieczór. Niech Hank coś przygotuje i was obsłuży. A w następnym tygodniu zabrałabym go gdzieś, gdzie Hanka nie będzie, żeby się przekonał, że nie całe jego życie musi kręcić się wokół tego faceta i że nadal może liczyć na uwagę matki, skupioną wyłącznie na nim.

- Oto i moja Franny - mówi True. - Jak to się dzieje, że jesteś taka mądra?

- Dla ścisłości, sama zwykle nie słucham własnych rad.

- Ona co? Co zrobiła?! - woła Isabelle, która w tej sekundzie wchodzi do biura po wczorajszym powrocie z podróży poślubnej. Ściskają się z Rudym. True uśmiecha się i pokazuje Esie uniesiony kciuk, słuchając dalej Franny, która konkluduje:

- Co innego, gdyby uciekł z domu albo połknął całe opakowanie aspiryn. To, czym ci się rewanzuje, to w gruncie rzeczy drobiazgi, ewidentnie symboliczne.

- A ja, w gruncie rzeczy, jestem załamana i ewidentnie rozstrojona nerwowo.

- Daj mu spokój, a wszystko wróci do normy, i nie dramatyzuj tak strasznie - radzi Franny. - Tylko dolewasz oliwy do ognia. Idź się lepiej prześpij. Albo jeszcze lepiej - idź się prześpij z Hankiem.

True odkłada słuchawkę. Nie może iść się przespać ani nawet napić się kieliszka wina, ani zrobić niczego innego, co by ją podniosło na duchu. Ma mnóstwo pracy, bo nowa dziewczyna niczemu nie potrafi podołać. Może rzeczywiście „ma coś z głową”, mimo dyplomu Harvardu. Tak bardzo nie nadaje się do tej pracy i tak wyraźnie nie radzi sobie ze

stawianymi jej wymaganiami oraz rozlicznymi obowiązkami, że Rudy i True zastanawiali się już, czy nie zaproponować jej dwumiesięcznego nieopodatkowanego odszkodowania w zamian za to, że nie pozwie ich do sądu o zerwanie umowy. Rudy i True będą pracowali przy wysyłkach po siedemnaście godzin na dobę, póki nie znajdą kogoś, na kogo będą mogli naprawdę liczyć - nawet jeśli trzeba będzie podkraść kogoś Elizabeth, chociaż przysięgli sobie, że więcej tego nie zrobią. True powtarza, że jeśli Rudy odejdzie, będzie musiała zwinąć interes, bo nie ma na tym świecie nikogo, kto rozumiałby potrzeby jej firmy. Wyjątkiem może byłby Hank - on nauczyłby się wszystkiego drogą osmozy - ale ten ma swoją restaurację i nigdy nie okazał nawet przelotnego zainteresowania zaangażowaniem się w interesy True.

Kiedy jednak True pozwoliła Esie obrócić się kilka razy wokół własnej osi i wysłuchała kilkakrotnie, że ona, Isabelle, od razu jej mówiła, że to facet, o którego chodzi, że zaraz na początku jej to powiedziała, gdy True schowała dumę do kieszeni i szczerze odpowiedziała na pytanie, jak Guy to przyjął - zdarzył się cud.

- Myślałam, że tylko ja będę mieć dla ciebie niespodziankę - mówi Isabelle, wydymając wargi.

- Jesteś w ciąży? - zgaduje True.

- Nie.

- Przeprowadzacie się do Utah? - próbuje jeszcze raz True.

- Nie.

- No to co?

Douglas, oświadczając Esie, dostał propozycję stypendium podoktoranckiego w Uniwersytecie Bostońskim. Esa nie zamierza przenosić się do Bostonu i jeszcze słono płacić za ten przywilej. Dlatego kupią albo wynajmą mieszkanie lub domek tuż za Sagamore Bridge, może w Onset.

Isabelle przyszła więc nie tylko odwiedzić True, ale upaść na kolana i błagać ją o starą albo jakąkolwiek inną - pracę w Dwunastu Podarunkach!

A jeśli True chce, Esa chętnie zostanie u niej od czasu do czasu na parę dni i pomoże opiekować się Guyem, bo Douglas, jak należy się spodziewać, i tak ciągle będzie w rozjazdach ze studentami.

Ostatecznie to nie Esa, ale True w przyływie uczucia wielkiej ulgi pada na kolana i bierze w dłonie rękę Esy.

Rudy unosi brwi i prosi Vivien, nową pracownicę, żeby wyszła z nim na zewnątrz na papierosa, bo chce o czymś pogadać (True nie pozwala palić w pobliżu magazynów).

- Nie wiedziałam, że palisz - mówi Vivien, wyciągając paczkę papierosów.

- Właśnie postanowiłem zacząć - wyjaśnia Rudy.

True czuje, jak nagi Hank wślizguje się do łóżka. Czuje ostry zapach sosnowego mydła, którego używają w restauracji, by zabić zostający na dłoniach zapach owoców morza. Bez słowa ściąga z niej flanelowe sportowe spodnie i zaczyna ją pieścić językiem. Czujna True wyciąga rękę, by go powstrzymać, ale niespodziewanie uświadamia sobie, że prędzej czy później będą musieli przestać zastawiać krzesłem zamknięte na klucz drzwi. Nie powinna wzbraniać się przed seksem z prawowitym małżonkiem, gdy jej (ich?) syn śpi w odległym pokoju. Nie może się jednak skoncentrować i Hank, którego język nie jest robotem, zauważa w końcu, że jego wyrafinowane pieszczoty na niewiele się zdają.

- Dlaczego po prostu nie idziemy dalej? - pyta Hank. - Dlaczego nie robimy następnego kroku?

- Dlaczego nie wymkniemy się z domu i nie zrobimy tego w samochodzie? Albo dlaczego nie mielibyśmy zachować powściągliwości do czasu, aż Guy wyjedzie na studia?

Gdy True kładzie się w poprzek ud Hanka, obciągnąwszy uprzednio podkoszulek i wciągnąwszy szorty, ten podpowiada:

- Nie wiesz o miejscu na zewnętrznej stronie?

- Myślałam, że chodzi o to, by wziąć go jak najgłębiej.

- Nie. Najważniejsza jest zewnętrzna strona.

- Każdej to mówisz?

- Większość kobiet tego nie wie.

- Większość?

- Jedna wiedziała. Ale, jak na mój gust, miała zbyt duże doświadczenie.

- Chciałbyś, żebyśmy były wyszkolone jak japońskie kurtyzany, a mimo to niewinne.

- Za dużo mówisz.

Żadne z nich nie słyszy, jak drzwi się otwierają. True jest ubrana, ale Hank nagi.

True czuje, że to koniec. Guy stoi w drzwiach. Nigdy nie zapomni wyrazu jego twarzy. To koniec. Guy już nigdy jej nie zaufa. Odwraca się i łkając, pędzi na dół.

- Przepraszam! - woła Guy. - Przepraszam!

- Tylko spokojnie - radzi Hank.

Ciągle słysząc, jak Guy woła: „Przepraszam!”

- Spokojnie?! - krzyczy True. - To tak jakbyśmy nie zwracali na niego żadnej uwagi, tylko zabawiali się dalej. Nie widzisz? Przyszedł, żeby się z nami... pogodzić albo coś... a my tak...

- Dlaczego nie masz tu lepszego zamka?

- Nie był mi potrzebny.

- O Boże! On już pewnie jest na dworze i leci do Kathleen. Moja babcia zawsze mówiła, że rano wszystko wygląda lepiej.

- Każda babcia tak mówi. Co cię to właściwie obchodzi? To nie twoje dziecko.

- Zignoruję to. Tak zrobię. Chociaż nie zasłużyłem. Chodź, podrapię cię po plecach.

Ale True wie, że musi iść do syna. Sztywna jak kij czeka, póki Hank nie zacznie chrapać, potem wkłada długie spodnie od pizamy i na palcach schodzi na dół. Siada na brzegu łóżka Guya i przygarnia go do siebie.

- Wiem, że widziałeś - mówi.

- Dlaczego to robiłaś? - pyta Guy.

- Żeby mieć dziecko - mówi True, wymyślając na poczekaniu powód. - Żebyś miał siostrzyczkę albo braciszka.

- Przyszedłem, bo chciałem z tobą porozmawiać - mówi Guy. Łzy chłopca toczą się po dłoniach True, w których matka trzyma jego twarz.

- Nie jestem złą kobietą, Gee. Kocham go. Zakochani ludzie, którzy wzięli ślub, próbują mieć dzieci.

- Kochasz go bardziej niż mnie.

- Nie. Nigdy nikogo nie będę kochała bardziej niż ciebie. Obrażasz mnie, mówiąc w ten sposób. Ranisz mnie. Świetnie o tym wiesz.

- Ale ty będziesz z nim spała każdej nocy. Nawet jak będę wymiotował.

- Nic się nie zmieniło, Guy. Zawsze możesz tam wejść.

- Tak, i zobaczyć coś, co mnie przyprawia o mdłości. Jak obrzydliwe, gołe cycki pod umywalką w łazience taty Brendana.

- Nie mów tak. Dlaczego tylko z tego powodu, że wyszłam za męża, wydaje ci się, że możesz się wyrażać jak kierowca ciężarówki?

- On się nie nadaje na tatę.

- Skąd wiesz?

- Bo wiem.

- Bo jest za młody?

- Bo nie wie, że dla mam najważniejsze są dzieci! Gdyby wiedział, toby tego nie zrobił! Sama tak zawsze mówiłaś: „Ty jesteś na pierwszym miejscu”.

- Jesteś na pierwszym miejscu.

- To dlaczego to robiłaś?

- W ten sposób mamy i tatusiowie się kochają. W ten sposób okazują sobie miłość.

Czy nie uczono cię tego na lekcji higieny w szkole?

- A jak będę wymiotował w nocy?
- Przyjdiesz i zapukasz do drzwi.
- A... jak będziesz się z nim kochać?
- To przestanę.
- Akurat będziesz mogła!
- Naturalnie, że będę mogła.
- Jak zaczniesz to robić, to nie będziesz mogła przestać.
- Kto ci to powiedział?
- Brendan.
- Posłuchaj... Brendan nie wie więcej o... kochaniu się niż ty.
- On mówi, że jak się obejmiecie, to nie będziecie mogli skończyć aż do rana.

Dobry Boże, myśli True, oto co jej syn wyniósł z pastiszu lekcji „o dojrzewaniu”, z informacji o klaczach i ogierach w Montanie oraz z nauk Brendana.

- Kochanie, to nieprawda. To zajmuje najwyżej piętnaście minut. I można przestać, kiedy się tylko chce.

Oboje patrzą na Hanka, który wchodzi do pokoju ubrany w spodnie od piżamy i siada na łóżku w nogach Guya.

- Powiedz mu, żeby wyszedł - instruuje True Guy.
- Guy chce porozmawiać ze mną - wyjaśnia Hankowi True.
- Zdaje mi się - mówi powoli Hank - że to dotyczy nas wszystkich. Mnie także. Jestem tu mężczyzną, jak rozumiem, jeszcze jednym mężczyzną, tak? I powinniśmy przywyknąć do siebie w pewien sposób, tak?

- Nie! - mówi Guy, wciskając twarz w poduszkę. - Nie jesteś moim ojcem.
- Nie powiedziałem, że jestem twoim ojcem.
- I nigdy nie będziesz.
- To zależy od ciebie.
- Nigdy nie będę chciał, żebyś był moim ojcem.
- Dlaczego?
- Po pierwsze dlatego, że jesteś brzydki.
- Gee! - prychnął True. - Powiedz, że to nieprawda.
- Prawda!

- Może i jestem brzydki - przyznaje niechętnie Hank. Przysuwa się nieco i dotyka ręką biodra Guya. - Posłuchaj, stary, to nie będzie łatwe. Ale jedno ci powiem, zanim wyjdę, i nie

będę nalegał, żeby mama poszła ze mną: Kocham twoją mamę. Kocham ją i będę się nią opiekował... i tobą, i babcią, jeśli mi pozwolicie. Możesz mnie traktować jak wujka albo starszego przyjaciela. A może jak tatę. Ale nigdzie stąd nie pójde, kolego. Zostanę tutaj. I może z tego wyniknąć parę fajnych rzeczy.

- Wymień jedną - rzuca wyzwanie Guy.

- Mogę skoczyć rowerem wyczynowym na siedem i pół metra.

- Pierniczysz.

- Nie wyrażaj się, Guy! - True jest równie rozbawiona, co zszokowana. - Trzeba skończyć z tymi brzydkimi słowami.

Hank rzuca jej spojrzenie, które mówi wyraźnie: daj spokój, on tylko próbuje mi zaimponować.

- Nikt nie potrafi czegoś takiego. - Guy uśmiecha się złośliwie.

- Ja potrafię - upiera się Hank. - Sześć metrów na pewno.

- Założę się o dziesięć doków, że nie potrafisz.

- Przyjmuję zakład.

- O prawdziwe dziesięć dolców. Nie tak, jak robią dorośli. Tak, tak, zakładam się o dziesięć dolców, że pierwsza przyjedzie winda po lewej stronie, a potem mówią, że się na nie nie zgodzili. Nie mam wyczynowego roweru. Mama mówi, że powybijam sobie zęby. A Ferm ma. I Brendan ma. Mogę do niego zadzwonić? Na pewno się rozmyślisz, zanim do niego zadzwonię.

- Ludzie z Południa tak nie robią.

- Ludzie z Południa są niby lepsi od innych?

- Tylko jeśli chodzi o zakłady. Jak wycofasz się z zakładu, musisz się pojedynkować.

- Gadanie - mówi Guy, siadając na łóżku.

- Mój prapradziadek musiał się pojedynkować.

- Trujesz - mówi Guy. - Na pewno się nie pojedynkował.

- Pojedynkował się. Na pistolety - zapewnia Hank.

- Gee, proszę cię tylko - wtrąca True - żebyś przyjął moje przeprosiny, że wzięłam ślub w taki sposób. Ale i tak wyszłabym za Hanka. Kocham go. Naprawdę. On nie jest taki jak... głupi Evan Koszmarny. I wyszłam za niego także dla ciebie. - Guy pociąga nosem. - Naprawdę. Zobaczysz, jak będziesz starszy, przekonasz się, że to dobrze, gdy chłopiec... ma blisko tatę, ma... faceta, który jest od niego starszy.

|a nie mogę robić tego wszystkiego, co robią mężczyźni, Ciuy.

- Wujek może.

- Ale on mieszka w Amherst.

- Rudy może.

- Rudy może wyjechać.

- Jesteś pewna?

- Nie, ale może... - True uświadamia sobie, że robi z Hanka urządzenie domowego użytku. - Nie twierdzą, że Hank zajmie miejsce twojego ojca czy kogokolwiek innego, kogo kochamy. Ale nigdy nie jest za dużo miłości wokół nas.

- O co chodziło w tym pojedynku?

- O honor.

- Wiadomo, że o honor. Ale o co poszło? O dziewczynę? () krowę? O rancho?

- Mogę spytać tatusia.

- Nazywasz swojego ojca tatusiem?

- Tak. Na Południu tak właśnie mówimy.

- Tutaj to brzmi dziecinnie.

- Ty możesz na mnie mówić... - Nie posuń się za daleko, Hank, modli się w duchu True. -...jakkolwiek chcesz. Zaczynij od Hanka. A jeśli w twoich uszach brzmi to jak pierdnięcie, to nazywaj mnie Henry. Albo Stary. Albo Ośła Głowa.

Hank wstaje i wychodzi z pokoju, znika cicho jak cień. I True siedzi obok łóżka.

- Połóż się obok mnie - mówi Guy, chwytając ją za rękę tak mocno, że nie może się uwolnić. - Ogram was na całe

sześćdziesiąt dolców - mówi sennym głosem.

True kładzie się obok niego. Guy odwraca się do niej tyłem, przytulając pupę do jej brzucha. Nie mija nawet parę sekund, gdy zaczyna oddychać głęboko i miarowo. True myśli, poza wszystkim on także jest facetem, małym mężczyzną. Ona i Franny często rozmawiały o mężczyznach, o tym, jak budowa ich chromosomów, X i Y, musi wpływać na tak wielką różnicę między płciami, niezależnie od elastyczności, z jaką interpretuje się pojęcie płci kulturowej. Zrywasz z facetem, przyznały zgodnie True, Franny i Esa, i spędzasz całe dni na słuchaniu w kółko i w kółko Clair de Lunę, na picciu białego wina i na spaniu do jedenastej w południe. Facet w podobnej sytuacji doprowadza do porządku samochód.

Ale coś w tym jest - jak przypomina zawsze Franny - że to faceci piszą słowa tych piosenek: A dla mnie świeci słońce w ten chmurny dzień. Bez ciebie jestem bezradny jak kotek, co na drzewo wlaźł. Dotyku twego pragnę, miłości ma. Maria, poznałem dziewczę, co tak na imię ma, i teraz Maria inaczej w mych uszach brzmi. Do wspomnień wracam i znów



blisko cię mam... - to wszystko napisali mężczyźni. A skoro tak, upiera się Franny, to nie mogą być ośmiokomórkowymi organizmami.

True wraca do małżeńskiego łóżka. Hank chrapie, najważniejsze miejsce po zewnętrznej stronie jego członka pozostanie tej nocy zapomniane.

True zostawia drzwi otwarte.

Gdy budzą się rano, widzą Guya zwiniętego w śpiworze w nogach ich łóżka.

- Nie - ostrzega Hank, kiedy True wskazuje na syna palcem. - Nic nie mów. Wstań i idź, zrób jajka czy co tam. Nie zawstydzaj go.

Podczas spotkania przy kawie ku czci zjednoczenia trzyosobowej jednostki rodzinnej True odbywa z Franny naradę.

- A więc tak: Chodzi nam o to, żeby publicznie wyrazić naszą radość. Prezenty. Kwiaty. Oficjalne potwierdzenie legalności związku. Kogo mamy zaprosić w imieniu waszej trójki? - pyta Franny.

- Sąsiadów, Esę i pana młodego, całą bandę z pracy, Bourse'ów, Sandersonów. Wprawdzie trudno mi sobie wyobrazić spotkanie z Addleyem Bourse'em, ale Holly jest w porządku. A ich syn Ferm gra z Guyem w kosza. Przyjaciele mojej mamy, Joy i jej mąż. Beatrice i Laura z Teatru Rodzinnego w Chatham. Co sądzisz o Elizabeth? Chociaż może to... przesada jak na drugie małżeństwo?

- Masz na myśli: jak na małżeństwo z młodszym mężczyzną? Pamiętaj, że dla Hanka nie jest to drugie małżeństwo.

- Fakt.

- A teraz prezenty! - mówi Franny z młodzieńczym entuzjazmem. - Wino miesiąca, dmuchane szkło, talony do starych wiejskich gospod, prawda?

True pozwala sobie na odrobinę radości. Zawsze lubiła prezenty. Może dlatego zajmuje się prezentami zawodowo. Przez ostatnie osiem lat dostała ich niewiele. Rudy i Esa zawsze potrafią sprawić jej przyjemność jakimś miłym drobiazgiem, od Franny dostaje wspaniałe książki, od Kathleen talony. Dog zwykle zapomina o prezentach. Wdowy, a zwłaszcza matki, przywykają z czasem do tego, że żadna paczuszka pod bożonarodzeniowym drzewkiem nie kryje tajemnicy - nawet ta, na której widnieje ich własne imię. Faktem jest, że Esa parokrotnie zawierała z Guyem sekretne umowy, a raz namówiła go nawet, by odłożył równowartość sześciomiesięcznego kieszonkowego na krzyżyk, który True do tej pory nosi na szyi.

Tymczasem Franny mówi dalej:

- Zechcesz też zapewne zaprosić całą rodzinę Hanka. Płomień entuzjazmu przygasa.

- Nie.

- Chcesz zostać nieznaną synową na zawsze?

- Myślałam, żeby to odłożyć. Do... Bożego Narodzenia. Bożego Narodzenia 2005 roku, powiedzmy.

- Nie. Musisz się z tym zmierzyć, True.

- Jego matka jest bardzo młoda. Urodziła go chyba... w szkole średniej.

- True...

- No dobrze, na studiach.

- Czyli jest przynajmniej o tyle starsza od ciebie, co ty od Hanka. Nie. Dwa razy tyle.

- To mnie dobija, Franny. Wyobrażasz sobie, że masz teściową tylko dziesięć lat starszą od siebie?

- Nie.

- To dlaczego koniecznie chcesz, żebyś zmierzyła się z czymś takim?

- Bo taką masz teściową. Nic na to nie poradzisz. Trzeba się było ożenić z sierotą.

- Och, Franny, Franny, bądź poważna. Co mam zrobić? Jak się mogę zmienić w ciągu trzech tygodni? Jeśli będę jadła tylko same owoce...?

- Nie wygłupiaj się. I tak sporo zeszczupiałaś. Jak jeszcze schudniesz, będziesz miała zmarszczki...

- A co się stanie, jak będą ze mnie pokpiwać? Proszę, weź mnie na zewnątrz i przejedź mnie samochodem.

- Nie sądzę, żeby to ci pomogło schudnąć.

- Przerzucę istnieć! Albo przynajmniej będę niesprawna. Esa wróciła. Poprowadzi firmę do czasu, aż Guy urośnie.

- I ja mam być za to odpowiedzialna? Mam asystować przy samobójstwie? Samochodowym harakiri?

- Przestań żartować!

- Nie żartuję. Robisz z siebie ofiarę. W miłym tego słowa znaczeniu. Jak masz zmartwienie, to nie masz po prostu zmartwienia, tylko przyjmujesz pozycję obronną.

- Dlaczego to robię?

- Pewnie dlatego, że tyle w życiu przeszłaś. Ale koniec z tym. Wracajmy więc do przyszłości. Jak chcemy mieć muzykę, to musimy mieć kasety. Chłopak Angelique, Rob, może się tym zająć. Teraz zastanówmy się nad treścią zaproszenia... Uroczystość, której gospodarzem będzie... Guy Lemieux... z okazji ślubu jego matki, True Harte Dickinson Lemieux Bannister...

- Przydługo...

- Guy Lemieux... z okazji ślubu matki True Dickinson z Henrym Bannisterem.

- Tak dobrze.

- I jakiś wierszyk. Może coś Edny St. Vincent Millay. Albo znanego i lubianego barda. Na przykład: „Uciec mi? Nigdy - szczęście moje! Póki ja jestem mną, a ty jesteś tobą”\*. Co ty na to?

\* Fragment *Life In Love* Roberta Browninga (1812-1889), wybitnego poety epoki wiktoriańskiej).

- Brzmi, jakbym musiała się za nim uganiać i chwycić go w sidła.

- No to nie. A może Lennon i McCartney? Coś takiego: „...I chociaż wiem, że kochać nie przestanę z ludźmi i rzeczami z tamtych, dawnych lat... W moim życiu ty liczysz się najbardziej”.

- Tak. Chyba tak. Doskonale - mówi True.

- Co powiesz na Dzień Pamięci? Gdy kwitną bzy i bawełna?

- A na plażach cuchną wodorosty...

- Włożysz suknię w lawendowym kolorze - sugeruje Franny - i będziesz boso.

- Scarborough Fair? Czy Sunset Boulevard?

- W co chcesz się ubrać? W koronki z Alençon i w gorset?

- Nie. Nie tak to sobie wyobrażam.

- True - mówi Franny łagodnie - ty w ogóle nic sobie nie wyobrażasz. Obawiam się, że sama będę musiała wszystko kupić. Oto, kim powinnam być. Osobą do robienia zakupów dla bogatych i nieco sfrustrowanych. Będziesz miała suknię bez rękawów, żeby pokazać piękne ramiona, i szal z koralikami, upnę ci włosy i zobaczysz - będziesz błyszczeć.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła, Franny? - pyta True.

- Nosiłabyś dzinsy na co dzień i od święta - odpowiada szczerze Franny. - Byłabyś śliczną szarą myszką z najpiękniejszymi włosami w okolicy.

Rankiem w dniu uroczystości weselnej między True i Hankiem dochodzi do pierwszej wielkiej kłótni małżeńskiej i zaczyna się równia pochyła. Ślub, choć jednoczy, jest też zawsze kolizją sprzecznych interesów, współzawodnictwem i > najbardziej podstawowe sprawy: Czyja rodzina wydaje się bardziej normalna? Czyja rodzina lepiej się prezentuje?

True ubiera się w suknię z rayonu w lawendowym kolorze i lekkie pantofle, wkłada ciemnoametystowy naszyjnik, przypina kolczyki, gdy Hank z na pół ogoloną twarzą pyta:

- Ile ważysz?

- Sześćdziesiąt dziewięć i pół kilograma - odpowiada szczerze True. W każdym razie

na tyle szczerze, na ile potrafi być szczerą w takich sytuacjach istota ludzka. Urywa sobie tylko dwa i pół kilograma.

- A twoja zwykła waga?

- Sześćdziesiąt cztery i pół. A bo co? Wyglądam w tym grubo?

- Wyglądasz pięknie.

- No, ale skoro pytasz, to jest chyba jakiś powód.

- To ty ciągle mówisz o wadze. Jak wszystkie kobiety.

- Wszystkie kobiety? Jasne, dobrze je przecież znasz.

- Raczej wszystkie kobiety, które znałem. Wszystkie kobiety lubią pikle. Bo są smaczne i mają mało kalorii. Nawet moja mama je lubi. I moje siostry. Chociaż są chude jak tyczki.

- Pewnie będą myślały, że ja jestem gruba jak balony na paradzie w Dniu Dziękczynienia.

- Mamo - woła Guy od drzwi - koszula nie mieści mi się w spodnie!

- Tak to trzeba zrobić - odpowiada Hank. Instruuje Guya, stojąc na rozkraczonych nogach, spuszczać spodnie i wkładając do środka koszulę, zanim zapnie rozporek. - Zawsze się udaje.

- Fajowo - mówi Guy.

- Jeśli chodzi o wagę... - ciągnie True.

- Masz idealną wagę.

- Z wielkim „ale” albo z wielką d...

- Nic takiego nie powiedziałem - mówi Hank, kończy golenie i wyciąga deskę do prasowania, by odświeżyć koszulę, która właśnie wróciła - leży jeszcze zapakowana - z pralni.

- Po co to robisz?

- Róg kołnierzyka jest zagnieciony.

- Czy zawsze wszystko prasujesz?

- Wszystko prasuję.

- Wiesz, jak to się nazywa?

- Jak?

- Zaburzenia obsesyjno-kompulsywne.

Guy, z elegancko włożoną w spodnie koszulą, siedzi na łóżku i z wyraźnym zainteresowaniem śledzi rozmowę.

- Ja nazywam to schludnością. To ważne w interesach. Pognieciony kołnierzyk to

zaniedbana restauracja.

- A co oznaczają niewyprasowane szorty? Albo niewyprasowana góra od piżamy?

Nieudaną randkę?

- Nie zaczynaj ze mną, True.

- Guy, idź zobacz, czy Esa już przyszła.

- I tak wiem - mówi Guy. - Klóćcie się i nie chcecie, żebym słyszał. Chociaż chciałbym usłyszeć, bo normalnie jesteście do siebie tacy ciuciuruciu.

- Jesteśmy małżeństwem dopiero od miesiąca! Czego się więc spodziewasz? - pyta Hank.

- Poza tym wcale się nie klóćmy - mówi True z zaciśniętymi ustami. Rozmazuje się jej szminka. Ma wielką ochotę rozsmarować ją na zęby.

- Dorośli nigdy się nie przyznają, że się klóćą - stwierdza Guy. - Ty i babcia klóćcie się przez cały czas. Widzę przecież. Ale uśmiechacie się do siebie szeroko, pokazujecie wszystkie zęby i mówicie „proszę” i „jeśli nie masz nic przeciwko temu”.

True ściąga suknię i rzuca ją w kąt szafy. Wkłada dzinsy.

- Muszę iść do biura i coś sprawdzić. Później się ubiorę. W luźną suknię.

- Zamknij się, True - mówi Hank.

True jest tak zszokowana, że przysiada na podłodze szafy.

- Zamknij się? Zamknij się?!

- Nie jestem jednym z twoich sezonowych pracowników. Nie jestem parobkiem do roboty w polu. Nie traktuj mnie z góry.

- A ja nie jestem jedną z twoich panienek, więc przestań chrzanić. Powiedz otwarcie, że martwisz się, co twoi rodzice i twoje zgrabne siostry oraz ich mężowie...

- Nie są mężatkami...

- Jedna jest...

- Ale ona nie przyjedzie. Lada chwila będzie rodziła.

- Która? Flora? Fauna? Paprotka?

- Tanniferro.

- Słowo daję, niezwykle barwne imiona.

- Z pewnością nie tak skąpe jak jankeskie. Jane, Brinn, Ferm, Luke, Dob. Boicie się, że wam zabraknie sylab?

- Zamknij się!

- Kit, Fran, Holly. Stop! To dwusylabowe. Jak nic kobieta nie stąd. Lynn, Chip.

- Boisz się!

- Niczego się nie boję! Z wyjątkiem twojej niewyparzonej gęby. Masz tak niskie poczucie własnej wartości, że zarazasz tą niepewnością wszystkich dookoła. Dlaczego tak się zachowujesz? W naszym dniu? Jestem dumny z kobiety, z którą się ożeniłem. Boisz się dzisiejszego dnia, że ludzie to dostrzegą i pomyślą...

- Co dostrzegą?

- Nic.

- Co dostrzegą?

- Różnicę wieku.

- Myślisz, że skoro zachowujesz się jak uczeń, to wyglądasz jak uczeń. Mylisz się!

- Dobra, dobra. - Hank odwraca się ku niej i patrzy na nią, siedzącą nadal w szafie, z wysoka. - Co chcesz, żebym powiedział? Nie wyglądasz na trzydzieści pięć lat, True. I nie wyglądasz na czterdzieści pięć. Wyglądasz na czterdzieści trzy. A właściwie na czterdzieści. Ja wyglądam na trochę młodszego niż jestem. Może dlatego, że nie przeżyłem tego, co ty...

- Masz na myśli odpowiedzialność...?

- Nazwij to, jak chcesz... kłopoty. Borykanie się z życiem.

- Jestem dojrzałą kobietą, Hank. Przez osiem lat faktycznie borykałam się ze wszystkim sama. Witaj więc w moim świecie.

Słyszą, jak Isabelle woła z dołu:

- Gdzie jest mój chłopczyk? Gee? Gdzie jesteś?!

- Tu jestem! Oni się kłóca! - odkrzykuje Guy. Hank schyla się i podnosi True.

- Oboje jesteśmy zdenerwowani - szepcze z ustami w jej włosach. - Byłoby nienaturalne, gdybyśmy nie byli. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Nigdy jeszcze nie stanąłem przed rodzicami jako dojrzały mężczyzna. I ty też tego nie przeżyłaś. Przynajmniej w taki sposób. Musimy trzymać się razem. Wszystko w naszych rękach.

- Masz rację. Masz rację - mówi True. - Ty i ja. Zawsze razem.

- Do grobowej deski. Na dobre i na złe.

- Przysięgasz?

- Przysięgam.

Esa i Guy są blisko niej. Zapach perfum Esy sprawia, że True płacze ze szczęścia, przypomina sobie ich wspólne, spokojne, przepojone zapachem white linen poranki. Tuli mocno Esę:

- A więc mamy nianię! A gdzie Profesor?

- Na dole. Flirtuje z twoją mamą. Czy wiesz, że twoja mama i mój tata co tydzień do siebie pisują? E-maile!

- To dopiero! A mówi, że nie potrafi posługiwać się komputerem!  
- Prawdziwy romans. Na odległość, ma się rozumieć.  
- Daj spokój. - True kręci głową. - o czym też tak piszą?  
- Jak twierdzi tata, o książkach, o wdowieństwie i tak dalej.  
- Twój tata jest rozwiedziony, Eso. Nie jest wdowcem.  
- Poznałaś przecież moją mamę. Może mu się równie dobrze wydawać, że jest wdowcem. Idę na dół pogadać z Rudym. A wy tu... róbcie, co tam chcecie.  
- Nie zamierzamy nic robić - mówi Hank.  
- Jesteśmy zdenerwowani - wyjaśnia True. - Kłócimy się.  
- Kto by nie był zdenerwowany! - Isabelle odrzuca włosy. - Douglas i ja okropnie się pokłóciliśmy w dniu naszego ślubu.

Ledwie Isabelle zamknęła za sobą drzwi, Hank i True całują się namiętnie. Oboje czują się podniesieni na duchu.

- Zdjęła mi naprawdę wielki ciężar z serca, mówiąc, że inni też się kłócą - oświadcza True.

- Skoro o ciężarze mowa, nie wiem, co mi przyszło do głowy z tą twoją wagą - stwierdza Hank. - Wyglądasz jak królowa w tej sukni, True. Przysięgam na... - Grób twojej matki. Albo na jej głowę. Albo na jej oczy. Zjawi się tu, zanim się spostrzeżemy. Lecę na chwilę na dół, zrobię, co mam do zrobienia, wracam i ubieram się w swoją kreację.

- A ja popracuję jeszcze nad kołnierzykiem koszuli... - Hank pokazuje zęby w uśmiechu i celuje w True palcami jak z pistoletu. - Mam cię!

Nieco później, tego samego piątkowego ranka, zdarza się coś, co w całej historii firmy True wydarzyło się dotychczas tylko raz. Umiera dziecko. Sześciomiesięczny chłopiec z Denver ginie w wypadku samochodowym. Powiadamia ich o tym babcia, przestraszona, że paczka z prezentem dotrze do załamanych rodziców. Gdy Rudy podchodzi do True, by jej o tym powiedzieć, jest tak blady, że ta pyta, czy przypadkiem nie zachorował. Wysyłają kurierem lilie do rodziców chłopca, zwracają całą sumę za dwanaście podarunków i załączają elegancki list z kondolencjami. „Miłości się nie traci”, pisze True z oczyma pełnymi łez. „Dziękujemy Wam, że zechcieliście, byśmy byli częścią życia Duncana”. Po napisaniu listu, o drugiej, zamyka biuro i prosi wszystkich, by pojechali do domów i przygotowali się do uroczystości.

Hank zaproponował, że przywiezie rodzinę z lotniska volvem, ale jego ojciec uparł się, by zajął się swoimi sprawami, a on wynajmie samochód.

Samochód co się zowie. Gdy zajeżdżają pod dom True, obecni już goście milkną

oniemiali.

Nie jest to najdłuższa z limuzyn, ale limuzyna. Siostry Hanka, które wyskakują natychmiast z samochodu, są dokładnie takie, jak je opisał. Szczuplutkie i zgrabne, z długimi nogami i czarnymi lokami. Jedna z nich - True sądzi, że młodsza - skacze na Hanka i owija się obiema nogami wokół jego bioder, co jak sądzi True, musi być na Południu zwyczajowym siostrzanym powitaniem. Hank podrzuca ją w górę. Następnie z samochodu wynurza się mama, wysoka, potężna i - jak Kathleen powiedziała by przyjaciółkom od brydża - „niechlujna”. Jest to zażywna, siwiejąca kobieta, która od razu spogląda ku oknu, przy którym stoi True, podczas gdy Franny na kolanach fastryguje jej halkę. Kobieta dostrzega patrzącą na nią True i puszcza do niej oko. Na koniec pojawia się ojciec Hanka. Wyskakuje z limuzyny i całuje syna w usta. Jego włosy są takie same jak włosy Hanka - kruczoczarne, aż granatowe w słońcu. Takie same biodra. Ale Hank senior, zwany Gusem, jest znacznie wyższy i potężniejszy od syna. Ma też niewątpliwie, choć zaciągniętą śmietaną, czarną skórę.

Franny wybucha śmiechem, omal nie wsadziwszy igły w nagie udo True.

- Zgadnij, kto przyjdzie na obiad?\* - pyta.

True z premedytacją unika kanapek, sałatki z homara, chrupkich paluszków z zapieczonego koziego sera, żeby jak najprędzej i jak najskuteczniej upić się chambordem i szampanem. Teść całuje ją w oba policzki ku nieskrywanej uciechu Holly i Addleya Bourse'ów. Teściowa, Clothilde, ujmuje jej dłonie, przytula ją i wręcza jej długie, białe pudełko, prosząc konspiracyjnie, by zaczekała z jego otwarciem do zakończenia „całego tego zamieszania”. Mówi jej, że jest urocza, delikatna, krągła i słodka - True nie ma pojęcia, jak zareagować, więc stara się o tym co prędzej zapomnieć. Z pewnym trudem udaje jej się dowiedzieć, która z sióstr to Reed, a która Win, która jest tancerką i była studentką medycyny, a która nadal studiuje medycynę. Siedzą z Isabelle na kocu pod drzewem, mężczyźni kopią piłkę. Nawet sąsiad, Luke Sanderson, którego True nigdy przedtem nie widziała poruszającego się inaczej jak tylko wolnym krokiem, prezentuje teraz zagrywki wyuczone w Princeton. Gus Bannister posadził Guya obok siebie na drewnianym leżaku. Nalega, by ten nazywał go grand-pere, i pokazuje mu zawartość swoich kieszeni: kieszonkowy zegarek, którego dzwonek naśladuje. Nawiązanie do filmu S. Kramera gwizd pociągu, składany skalpel przypominający nóż kieszonkowy i wypreparowane ludzkie oko.

- Jesteś wstawiona? - pyta Isabelle.

- Nie tak, jakbym chciała.

- Nie jesteś szczęśliwa? Wyszłaś za najatrakcyjniejszego faceta w mieście. Ja wróciłam do pracy. Żyć nie umierać.



- Jestem szczęśliwa. Ale się boję. Boję się, że to za duży wstrząs dla małego Chatham, i dla mnie też.

- Och, True, przecież jesteś typem ryzykantki...

- Na lotni. W interesach. Ale nie w życiu.

- Daj spokój. To tylko chwilowy wstrząs. Przejmujesz się?

- Oczywiście, że nie. A ty byś się przejmowała?

- Oczywiście - nie. Czy ktokolwiek normalny by się przejmował?

- Myślisz, że moja matka jest normalna?

- W pewnym sensie - odpowiada Esa szczerze. - Nie jest jakaś... szczególnie wyjątkowa.

- Wiesz, co jej to da? - mówi True, wskazując nóżką kieliszka. - Superargumenty na żigolaka. Choć już i tak ma ich dość.

- Twoja matka nie ma uprzedzeń.

- Nie ma uprzedzeń typu: czarni uczniowie w szkole z białą większością. Nie ma uprzedzeń wobec sąsiadów. Ale czarni w rodzinie? Ona jest demokratką, Isabelle. Co nie znaczy, że jest liberalna.

Dołącza do nich Franny. Podkłada sobie koc, by nie ubrudzić trawą sukni z białego rayonu.

- Pierwszy raz w tym roku włożyłam białe ubranie - stwierdza. - Cudowna pogoda. Jak latem.

- Rozmawiamy właśnie o białym i niezbyt białym - mówi True. - i jak moja matka zareaguje na to, że wyszłam za czarnucha.

- Bardziej przejmowałabym się innymi ludźmi - przyznaje Franny.

Ktoś nastawił CD zespołu zydeco, którego członkowie chodzili z Hankiem do szkoły. To muzyka pełna werwy i radości. Ojciec i matka Hanka podnoszą się jednocześnie i rozpoczynają żwawy i skomplikowany taniec. Clothilde odrzuca do tyłu srebrne włosy i kołysze szerokimi, nieokiełznanymi biodrami, poruszając się to drobnymi, to posuwistymi krokami.

- Wyglądają uroczo - mówi True.

- Tak wy będziecie wyglądać za trzydzieści lat.

- Za trzydzieści lat Hank będzie mnie pchał po parkiecie, siedzącą na wózku i podłączoną do kroplówki.

- Przestań, True. Zaczynasz być nudna. Masz w sobie geny przodków. Twoja matka jest giętka jak mój nauczyciel

jogi-

- Ona chodzi do twojego nauczyciela jogi.

Gdy muzyka zwalnia, GUS rozgląda się wśród tłumu, po czym z elegancją i wdziękiem podaje ramię Kathleen. True i Franny wstrzymują oddech. Czy przyjmie zaproszenie? - myśli True, czy wykręci się ciepłą pogodą? Nie, jest zbyt układna. Przyjmie zaproszenie. Ktoś zrobi zdjęcie. Wszystkie zdjęcia będą czarno-białe. Fotograf powiedział, że są ponadczasowe, że kolory, które po jakimś czasie wydadzą się niemodne, na czarno-białych zdjęciach zawsze są tak samo atrakcyjne.

Ale nie to miał na myśli.

Kathleen wstaje, na ustach cień uśmiechu. Z właściwym dystansem lokuje się w ramionach Gusa, zaczynają tańczyć na parkiecie ułożonym na trawie.

- Ona naprawdę to potrafi - stwierdza Franny.

- Ciągle z ojcem tańczyli - mówi True. - W Moose Lodge. Była w zarządzie seniorów czy coś takiego.

Holly Bourse, balansując szklanką z piwem imbirowym, podchodzi do nich w momencie, gdy Esa wstaje z zamiarem odszukania Douglasa i zmuszenia go do tańca.

- Właściwie widziałam ich tańczących tylko na zdjęciach, nigdy w rzeczywistości. Ale na przykład wiem, że byłam na pogrzebie ojca, a wydaje mi się, że widziałam tylko zdjęcia z pogrzebu.

- Czy wiesz, że drugi stopień upojenia alkoholowego wyzwala chęć do filozofowania? Uważaj, True. Na następnym etapie człowiekowi zaczyna się wydawać, że jest niewidzialny - upomina Esa.

- Pan młody jest niezwykle przystojny - mówi Holly. - Wszystkie ci zazdrościmy. Chciałybyśmy, żeby to z nami się ożenił.

- Holly - True dotyka policzka przyjaciółki. - Jesteś bardzo miła. Rzeczywiście, jest przystojny, ale jego wygląd to nie wszystko. Wygląd to tylko maleńka część zalet Hanka.

- Myślicie, że jego ojciec poczuje się urażony, że pan młody na torcie jest biały? - pyta Holly.

Ręka True sztywnieje, gotowa wymierzyć policzek, ale zastyga w bezruchu.

- Przestań - mówi Franny do Holly.

- Chyba wiedziałaś - ciągnie Holly.

- Nie. Nie wiedziałam - odpowiada True.

- Ale nie ma to dla ciebie znaczenia.

- A dla ciebie by miało?

- Nie, True! Chyba że ze względu na dzieci. Ale ty nie zamierzasz mieć dzieci, prawda? - mówi nerwowo Holly.

- A ty byś nie zamierzała? - pyta True. Jej głos jest chłodny jak metal, choć Franny szczypie ją w ramię.

- Nie - odpowiada Holly. - Szczerze mówiąc, życie jest dość skomplikowane, nawet jak się nie jest...

- Nie jest...?

- Mieszkańcem.

- Sądząc po Hanku, nie wyglądałyby na mieszkańce. Podejrzewam, że już jego tata jest mieszkańcem - mówi True.

- Chcesz mieć dzieci? - Szczęka Holly opada, i to dosłownie.

- Jestem zdrowa. Hank nie ma dzieci i chce je mieć. Guy byłby zapewne szczęśliwy, mając siostrzyczkę. Nie jesteś ode mnie wiele młodsza, Holly. Ile masz lat? Trzydzieści dziewięć?

- Trzydzieści osiem.

- Mnóstwo ludzi po czterdziestce decyduje się na dzieci - ciągnie True.

- Słusznie - mówi Franny. - Niewykluczone, że Steve i ja adoptujemy dziecko.

- Ale dziecko mogłoby być...

- Jakie?

- Nooo... Czarne.

- Czarne?

- Czarne... czarne.

- Gdybyśmy adoptowali afrykańskiego Amerykanina, to tak. Co jest zresztą całkiem możliwe. Właśnie się nad tym zastanawiam. Ale żadne dziecko nie jest ciemniejsze od ciemniejszego z rodziców - mówi True.

- Skąd wiesz? - nalega Holly.

- Uważałam na lekcjach biologii. Jezu! Czy to takie ważne? Czy ludziom się zdaje, że on... bardziej mnie zadowala, czy jak?

- Nie sądzę, żeby ktoś tak myślał - mówi niewinnie Holly. - Chociaż szczerze mówiąc, True, jest w tym nieco egzotyki.

- Ano jest - przyznaje True, zwracając się do kelnera po dolewkę. - i bardzo mi się to podoba. Bardzo.

- Ludzie gadaliby, czy tak, czy owak - mówi wesoło Holly.

- Też tak uważam - uśmiecha się True.

Hank tańczy ze starszą siostrą, Reed, wolnego swinga. Oboje, czarująco roześmiani, z łatwością powtarzają wyćwiczone figury i obroty. Tylko rodzeństwo może tańczyć w ten sposób albo ojcowie z córkami, matki z synami. I ja potrafię tańczyć w ten sposób z Dogiem, myśli True, szukając brata wzrokiem. Gdy byli nastolatkami, nieustannie ćwiczyli w salonie, by zaimponować swymi umiejętnościami reszcie świata. Dog dostrzega jej spojrzenie, kiwa głową. True wstaje i przy ogólnym aplauzie dołączają do Hanka i Reed. Gdy swing się kończy, słychać szybszy, stary kawałek, piosenkę Chucka Berry'ego o ślubie nastolatków. Isabelle i jej mąż podrygują jak przystało na młodzież w ich wieku, a Dog uśmiecha się szeroko i bierze True za rękę, mówiąc:

- Pokażmy im, jak to się robi, siostrzyczko.

Wśród muzyki i brzęku kieliszków, choć słowa są prawie poza zasięgiem słuchu, True wychwytuje sens pytania, które matka Hanka kieruje do syna: Est-ce que c'est ta maison aussi?\*, i spostrzega, jak Hank szczypie matkę dobrodusznie. True zapamiętuje to i spogląda na brata.

- Nie zamierzasz mnie spytać, czy wiedziałam, że jego ojciec jest czarny? - szepcze, gdy Dog zawija ją do pierwszego obrotu.

- Sądzę, że wiedziałaś. Poza tym jakie to ma znaczenie? Jesteśmy w Massachusetts.

- W ojczyźnie wolnych i odważnych.

- I BoSox (Boston Red Sox), drużyna bejsbolowa.

- I Patriots (drużyna futbolowa).

- I Konstytucji.

- Gdzie nikt nie wspomina o Portugalczykach, z wyjątkiem zachwytów nad ich wierszami...

- No cóż...

- Mogło być gorzej. Gdybyśmy mieszkali w Missisipi.

- Jasne.

- Wszyscy to zaakceptują, jak wieść się rozniesie. Uznają nas za bardzo postępowych.

- Tak czy owak zaakceptują, kochanie. Tylko głupcy postąpiliby inaczej. Jak powiedziałem, nikogo to nie będzie obchodziło.

- Myślałam, że najważniejsza będzie różnica wieku, a tymczasem pójdzie o wygląd. Myślisz, że Guy się z tym pogodzi?

- O niego się nie martw. Moje dziewczynki nie wierzyły, gdy nauczyciel opowiadał im na historii o linczach. Ciągłe mnie pytały: „To zmyślane, prawda, tatusiu?” Nasze dzieci mają do czynienia z różnymi okropieństwami, ale nie z tym.

- Tak myślisz, wujeczku?

- Tak myślę, koteczku.

True zapomina czasami, jaka to cudowna rzecz mieć starszego brata. Mimo wszystkich swoich wad Dog jest prawdziwym skarbem. Może nie diamentem. Raczej czymś większym i zdrowszym, czymś jak bursztyn.

- Ale pamiętasz chyba - ciągnie True, gdy powolna melodia pozwala jej przytulić się do Doga i gdy spostrzega, że Hank tańczy teraz ze swoją matką - sprzeczkę latem w The Squire z tym chłopakiem w klubowym stroju Cleveland...

- W związku ze zmianami w mieście? Z tym, który narzekał, kto się w nim osiedla, od czasu gdy jego rodzina sprowadziła się w latach sześćdziesiątych?

- Tak, i zamierzałeś mu dowalić.

- Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, True. Gdybym próbował mu dowalić, źle by się to dla mnie skończyło. Ale tak, pamiętam. To była dziecinada.

- Czyli wszystko będzie dobrze? - błaga True. Brat uśmiecha się i wygina ją do tyłu we wdzięcznym skłonie.

- Pilnujcie się. Tylko tyle. Nie dopuszczajcie do siebie podejrzeń ani nie pozwólcie, by pojawiły się między wami. Pośpiech, z jakim wzięliście ten ślub, i fakt, że on nie wie, co to znaczy być ojcem, i tak dostarczą wam wyzwania. Bądź czujna. Wyglądasz na bardzo zakochaną i on wygląda na bardzo zakochanego. Pod wieloma względami jest fajnym facetem, rodzina go wspiera i sędzę, że da sobie radę z Guyem, gdy wy oboje już się dotrzecie - mówi Dog. - Jestem zaskoczony, że to zrobiłaś, ale nie tak jak mama! Myślałem, że dostanie zawału, kiedy ze mną rozmawiała przez telefon. „Zrozum, Augustusie, zrozum. To najgorsze, co się mogło stać. Wszystko zmarnowała...”

- Powiedziała coś takiego?

- Może użyła trochę innych słów.

- Czuję, że takich właśnie słów użyła.

- Bardzo podobnych i porównała całą sytuację do czasów, gdy... - Dog zaczyna się śmiać i kasłać, sięga do tacy niesionej przez kelnera, pociąga łyk szampana, zachłystuje się i szampan wylatuje mu nosem -... porównywała to do... - Dog próbuje się uspokoić -... porównywała to do... pamiętasz, jak miałaś jedenaście lat i potraktowałaś sobie brwi płynem do usuwania włosów...

- Naprawdę? - Teraz True nie może opanować śmiechu, chociaż śmiech wzmaga mdłości i True czuje, że żołądek wędruje jej do gardła i rozdyma się jak balon. - To jej się przypomniało? Nie pozwalała mi ich wyskubać, bo tylko dziwki wyskubywały sobie brwi, i

potem przez połowę szóstej klasy wyglądałam jak łysa owca.

- Mama powiedziała: „Po ojcu odziedziczyła głowę do interesów, ale nie ma nawet tej szczypty zdrowego rozsądku, którą dobry Bóg obdarzył robaka na przynętę”. - Dog obraca siostrę w tanecznym wirze i True czuje, jak żołądek, który rósł i wędrował do gardła, pęka. True wymiotuje cynobrem na lawendę.

- Nawet nikt nie zauważył - zapewnia ją Clothilde, pomagając True doprowadzić do porządku spleciony starannie przez Franny warkocz. - Zajrzyjmy do szafy. Ile w niej pięknych rzeczy! Może ten kremowy kostium?

- Zemdleję w nim z gorąca - mruczy True, upokorzona, że jest przy niej teściowa, którą zna zaledwie od dwóch godzin, a nie jej własna matka. Kathleen zaprowadziła ją tylko pośpiesznie na górę, do sypialni, jakby panny młode zazwyczaj wymiotowały na weselnych uroczystościach. Gdy się to stało, Kathleen, wprawdzie tylko na ułamek sekundy, zakryła twarz obiema dłońmi.

- A żółta sukienka bez rękawów?

- Będę wyglądać, jakbym miała żółtaczkę. Naprawdę nie wiem, dlaczego ją kupiłam, nie znoszę jej.

- Wobec tego daj mi ją.

- Chętnie - zgadza się ze zdziwieniem True.

- Trzeba ją trochę poszerzyć w talii, ale ponieważ ma kloszową spódnicę... Ta mi się podoba. Ta z białą rybą na białym tle.

- To też ją sobie weź - oferuje niepewnie True.

- Nie. Myślałam, żebyś ty ją teraz włożyła, kochanie. Jest śliczna. Pasuje dla panny młodej. Taka zwiewna.

- Zgoda. To miło z pani... z twojej strony... Clothilde.

- Byłabym zaszczycona, gdybyś nazywała mnie „mama”. Myślę, że i mój chłopiec byłby zadowolony.

- Mamo, wobec tego. To tak dziwnie brzmi. „Zaszczycona”. Użył tego słowa, gdy prosił mnie o rękę. „Będę zaszczycony...”.

- A więc mogę być z niego dumna. Widzę, że dobrze go wychowałam.

- To prawda.

- On też jest dumny i szczęśliwy.

- Zwłaszcza teraz, gdy widzi, jak panna młoda wymiotuje na suknię.

- Kochanie, w naszych stronach przyjęcie jest nieudane, jeśli dwie czy trzy osoby nie zwymiotują do rowu czy w krzaki... i jeśli nie zostanie wezwana policja...

- Tutaj to skandal. To demonstracja słabości organizmu.

- Jak to u Jankesów.

- No właśnie.

Czoło Clothilde wygląda się. Kobieta ujmuje jedną ze srebrnych szczotek True w długie białe dłonie o owalnych paznokciach pomalowanych lakierem w kolorze melona w złote cętki. True wkłada przez głowę suknię, a teściowa pyta:

- Mogę jej użyć?

- Oczywiście - odpowiada True.

Ciekawe, czy Clothilde usłyszała w jej głosie ledwie wyczuwalne wahanie. To odruch. Byłaby tak samo zakłopotana, gdyby ktoś poprosił ją o pożyczenie szczoteczki do zębów. Tymczasem Clothilde szczotkuje pofalowane włosy, a potem poprawia je palcami:

- Teraz obie pięknie wyglądamy. Umyj zęby i pokrop się perfumami...

True zastanawia się, czy ktoś zmył podłogę i czy biało-czarny film jest rzeczywiście najlepszy do ujęć obejmujących wymiotowanie. Guy wali w zamknięte na klucz drzwi i krzyczy, że chce się dowiedzieć, czy mama dobrze się czuje, akurat wtedy, gdy Clothilde pyta:

- To co ci się w Hanku z początku najbardziej podobało? Jego pupa? - Uśmiecha się konspiracyjnie, lecz dobrotliwie, a na jej dużej, pięknej twarzy pojawiają się owalne wgłębienia. Odkrzykuje do Guya: - Nie martw się, Gee! - Bannisterowie są jedynymi znanymi True ludźmi, wyjąwszy rodzinę pierwszego męża, którym wymawianie imienia Guya nie sprawia najmniejszego kłopotu. - Wszystko w porządku. Brzuszek mamy nie wytrzymał z nerwów. Ale teraz już wszystko będzie dobrze.

True próbuje coś wymyślić, by uniknąć odpowiedzi na zadane pytanie. Znowu szczoteczka do zębów. Żeby z matką męża wymieniać poglądy na temat jego pupy?

- W szkole średniej wygrał konkurs na Najładniejszą Pupę. Zawsze był, że tak powiem, lep na dziewczyny?

- Dziewczyny na niego leciały, jak powiedziałby mój syn.

- Jest uroczy. Śliczny i silny. Twój syn, nie mój. Chciałabym, żeby nas odwiedził.

- Dziękuję. Pewnie by się ucieszył. Ale teraz czuje się jeszcze trochę niepewnie.

- Przyzwyczajają się powoli? To spadło na niego dość niespodziewanie.

- Myślę, że się przyzwyczajai. Najpierw był... zszokowany. Był zły. Wściekły, jeśli chcesz wiedzieć.

- Chyba można się było tego spodziewać, nie? Napadu okropnej złości?

- Pewnie tak. Nadal nas to martwi - przyznaje True. „Nas”, myśli. „Nas”. Teraz „my”

to Hank, i Guy, i ja, i ta miła kobieta, i mężczyzna na dole, który wygląda jak Adam Clayton Powell au lait. True zbiera się na odwagę i pyta:

- Wy też byliście w szoku?

- Byłam zaskoczona - mówi Clothilde, usuwając rozmazany tusz spod oka. - Ale tylko tym, że stało się to tak nagle. Żebyś widziała moją matkę, Irlandkę, gdy wyszłam za Gusa. Musieliśmy uciec z domu, chociaż w praktyce na Południu można brać ślub w wieku dwunastu lat. Mój ojciec o mało go nie zabił. Ale teraz, po trzydziestu ośmiu latach, mogę szczerze przyznać, że mój mąż jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam. I mam nadzieję, że mój syn jest do niego podobny. Jednego jestem absolutnie pewna: jak Hank podejmie decyzję, to przebiedzie jak huragan, nic go nie powstrzyma.

- Powstrzymałabyś go... gdybyś wiedziała?

- Wiedziała, że co? - Clothilde naprawdę nie rozumie.

- Gdybyś wiedziała, że... jestem od niego starsza, dużo starsza, że jestem wdową z dzieckiem.

- Mais, tak.

- Słucham?

- Wtrącamy często francuskie słówka. Chciałam powiedzieć „aléż tak”. To znaczy ja osobiście nie robię tego zbyt często, za to GUS - bez przerwy. Zawsze wiedzieliśmy, że Hank ożeni się ze starszą kobietą.

- Wiedzieliście?

- Mais, tak. Wszystkie te dziewczątka, które sprowadzał... zawsze myślałam: „O, nie! Znudzi mu się po tygodniu”. I rzeczywiście tak było.

- Ale był zakochany w jakiejś dziewczynie z Florydy, która później przeprowadziła się tutaj. W tej, o której nie chce opowiadać.

- Bo nie ma o czym mówić. Była zepsuta. Z wyższych sfer. Poznali się na studiach.

- Czym się zajmowała? - True, podniecona szampanem, z pasją podejmuje śledztwo. - Jak wyglądała?

- Miała krótkie, ciemne włosy. Nie była gruba, ale duża, taka jak ja, no, może nie taka duża, ale szeroka w ramionach, silna - wyjaśnia Clothilde. - Bardzo ładna. Hank na pewno ma jej zdjęcie. Byli ze sobą i rozstawali się, ale trwało to długo. Teraz przyszło mi do głowy, że zdjęcie zostawił w domu - ciągle ma mnóstwo rzeczy w naszym garażu. Przywieźliśmy tylko parę drobiazgów. Ale zostały jeszcze całe pudła do przysłania.

- Była ładna, prawda?

- Urocza. I inteligentna. Píše książki. Ma na imię Adele. Adele... coś z zębami... o,



Cabot. Pisze książki dla dzieci i sama je ilustruje. Jest taka jedna książeczka o dziecku syrenki...

- Znam ją! Korzystam z tej książeczki w Podarunkach.

- W podarunkach?

- W mojej firmie. W podarunkach, które będę wysyłać także waszej córce, jak będzie miała dziecko. Książeczkę o syrence, która bardzo kocha swoje niegrzeczne dziecko, wkładamy do paczki na pierwsze urodziny. Przejrzałam całe mnóstwo, naprawdę mnóstwo książek, zanim wybrałam właśnie tę!

- Mały jest ten świat - mówi Clothilde. - Bardzo mały.

- Nie mogę w to uwierzyć! Adele Cabot mieszka tuż przy granicy. W New Hampshire. To dlatego Hank tyle wiedział o New Hampshire. Bo naprawdę dużo wiedział o New Hampshire.

- Jeśli chodzi o Adele, ważne jest to, że choć - jak mi się wydaje - byli w sobie zakochani, nic z tego nie wyszło, bo ona nie potrafiła naprawdę zainteresować sobą Hanka. On bardzo łatwo się nudzi. To słabość jego charakteru. Te wszystkie prace, których się imał, to też przez nudę. Powiedziałam mężowi: „Ta dziewczyna nie będzie dla niego wyzwaniem”. I mój mąż, GUS, pierwszy przyznał mi rację: „Miałaś rację, mamusiu”, powiedział. Siostra Hanka, Win, też tak myślała. Ona i Hank są prawie rówieśnikami. Opowiadała mi, że Hank latał za dziewczynami z dziewiątej klasy, gdy miał dziesięć lat!

Clothilde obejmuje True ramieniem i tuli ją do piersi w długim uścisku, którego True zawsze oczekiwała od własnej matki - i nadal oczekuje - a musiała zadowalać się uściskami Esy i Franny. True czuje w oczach ból od powstrzymanego płaczu, a może od zaczynającego się kaca - albo od jednego i drugiego naraz. Bierze dwie aspiryny i myje zęby pastą z dodatkiem kopru.

Idą razem na ganek. Wszyscy pilnują się, by nie patrzeć w ich stronę.

True dyga z odwagą, którą zawdzięcza stojącej obok niej kobiecie, i mówi:

- Pokaz gastronomicznych fajerwerków zakończony. Wybaczcie mi. - Wszystko przez taneczne wygibasy! - wykrzykuje brat True, śmiejąc się serdecznie.

- A teraz, jeśli mogę - woła Hank, podbiegając do ganku. - Dajcie coś wolnego, bardzo wolnego i przytulanego, żebym mógł zatańczyć z panną młodą.

Słysząc Moon River. Tafla wody za pasem plaży Ridgevale Beach lśni i migoce.

- Mogłeś mi powiedzieć - mówi True.

Guy jest na dole, zdecydowany ograć grand-pere w szachy. GUS wygrał z nim już trzykrotnie, ale najwyraźniej jest pod wrażeniem. Reszta gości udała się na spoczynek, z

wyjątkiem siostry Hanka, która pojechała do Chatham zwiedzić latarnię morską z jednym z sezonowych pracowników True. Tę wycieczkę Isabelle określiła jako „obiecującą lub podejrzaną - zależy, z której strony spojrzeć”.

- Powiedziałem ci - upiera się Hank, pieszcząc jej piersi. - Powiedziałem ci, że jestem Kreolem.

- Powiedziałeś mi, że gotujesz po kreolsku. A to co innego.

- Powiedziałem ci, że nauczyłem się gotować od mojej kreolskiej babki, a ty powiedziałaś, że wiesz, jaka jest różnica między Kreolami i Cajun. W końcu jesteś Kanadyjką.

- Nie jestem Kanadyjką. Mój syn jest Kanadyjczykiem - mówi True. - Ja jestem Angielką z dziada pradziada. I przysięgam, myślałam, że kreolskie znaczy po prostu bardziej pieprzne.

- I słusznie. Ale kreolskie znaczy też częściowo afrykańskie. Tak jak wszystkie koty calico to kotki. Powiedziałem ci, że moja babcia pochodzi z Haiti.

- Zadowol mnie więc, jak w powieściach o plantacjach. Jestem żoną plantatora, mam kruczoczarne włosy i nieskazitelnie porcelanową skórę. A ty jesteś czarnuchem pracującym na polu. Lucyferem czy coś w tym rodzaju.

- Laissez bon temps roulez - odpowiada Hank.

- Słyszałam, jak twoja matka pytała cię, czy ten dom jest twój. - Hank gwałtownie odrywa czarną głowę od delikatnego zajęcia, jego ciało sztywnieje pod rękami True, zupełnie nie tam, gdzie trzeba. - Czy może się przesłyszałam? - mityguje się True.

- Nie. Rzeczywiście o to spytała. Myślałem, że nie rozumiesz po francusku.

- Tyle rozumiem. Mój mąż był francuskim Kanadyjczykiem.

- To co innego - mówi Hank i odsuwa się od niej. Gwałtownie ostudzona, True wstydliwie obciąga jedwabny brzeg obcisłej koszuli. Nocne głosy, trzask drzwi samochodu, szum fal potężnieją wobec ciszy, jaka zaległa między nimi, bo temat pieniędzy, podejmowany w łóżku czy w jakiegokolwiek przestrzeni należącej do miłości, nie może działać inaczej niż bryła lodu.

- To jest twój dom - szepcze True. - Powiedziałam Rudy'emu i wszystkim, że jest także twój. Podobnie jak pieniądze. - Hank milczy. True czeka dziesięć uderzeń serca. - Możesz wystawić czek na dziesięć tysięcy, dwadzieścia tysięcy. Nikt nie może się sprzeciwić. Słyszysz mnie?

- Słyszę-mówi.

- Wierzysz mi?

- Wierzę. Jestem wykończony. Chcę już zasnąć, cher.

- Dobrze - mruczy True.

Nie jest śpiąca. Ale Hank nie potrafi spać przy świetle. Książka leży na nocnym stoliku. Rozłożona, drukiem do dołu. („Nie można tak traktować książek”, mówi zawsze Kathleen, gdy True niszczy grzbiety i zagina rogi albo całe strony zamiast używać zakładek. Kathleen mówi, że wszystko może posłużyć za zakładkę, choćby serwetka. True zawsze kupuje dwa egzemplarze książek w twardych okładkach, jeden z nich dla Kathleen, żeby matka nie musiała tak cierpieć, czytając książkę, którą True zdążyła już zniszczyć). Kuszą ją pozostałe nieprzeczytane dwie trzecie Anny Kareniny, znakomitej powieści, przez którą tylko prześlizgnęła się podczas studiów. Kiedyś uważała Annę za głupią i próżną, wstydliwą, ale dziwkę. Nie wyobrażała sobie miłości tak wielkiej, by mogła popchnąć kogoś pod koła pociągu. Teraz chce o tym przeczytać jeszcze raz. Zastanawia się, czy nie pójść z książką do salonu. Ale jej dom jest dziś domem weselnym. Ona i Hank są ważną częścią tej uroczystości, dlatego oczekuje się od nich określonego zachowania albo przynajmniej udawania. Jeśli ją zobaczą, będą się dziwić, dlaczego świeżo upieczona małżonka samotnie czyta po nocy stare powieści.

W jednym z pokoi gościnnych słychać śmiech Esy, miłosny tryl. True wolałaby, żeby Esa nie była jeszcze mężatką, żeby jak zwykle mogła pójść do niej, zwinąć się na jej łóżku w kłębek, obciągnąć na kolana koszulę nocną i gadać z nią

o wszystkim i o niczym. Teraz nie może tego zrobić. Musi zamknąć oczy i skupić uwagę na pospolitej pociesze, jaką niosą mroczne objęcia snu.

True śni o orłach pikujących w dół, walczących i splatających się w locie. Nagle we śnie ktoś chwyta ją za skrzydło

i True spada w przebudzenie. Ale to tylko Hank położył jej ramię na swojej piersi.

Czerwiec

LATEM ŻYCIE JEST PIĘKNE

...Zwłaszcza kiedy ma się ivy godne buciki kąpielowe chroniące delikatne stopki, okulary przeciwsłoneczne z gumką, która okala główkę, lecz nie uwiera, i plażowy kapelusik, który na pewno nigdzie nie pofrunie. Dwa takie kapelusze - dla dziecka i dla mamy - włożone jeden w drugi, po zrolowaniu zajmują nie więcej miejsca niż gazeta. Przydadzą się też czerwone bandany we wzór z biedronek i książka o małej syrence, która chciała wyjść na brzeg, żeby nocą oglądać robaczki świętojańskie. Wszystko to zapakowaliśmy w torbę spacerową, całkowicie nieprzemakalną i wyposażoną w przegródki nie tylko na pieluszki i inne rzeczy niezbędne dla dziecka, lecz także na książki i kanapki; specjalna, trzymająca

temperaturę kieszeń idealnie posłuży do przechowywania zimnych napojów.

OS SO

Wokół zmiany.

Malowane czarnym atramentem kwietniowe drzewa, delikatne, okryte wilgotną mgiełką majowe gałązki zniknęły pod gęstą zielenią czerwca. Także w domu barometr idzie w górę, a prognozy są optymistyczne.

Na widok zdezelowanej toyoty Esy, stojącej od wczesnego ranka w alejce przed domem, True czuje się stabilna jak skała i odczuwa wielką ulgę. Jest jak płaskodenna łódź, która po przechyle natychmiast wraca do pionu. Niezatapialna, jak mawiają rybacy. Trzyma się pewnie na wodzie, z Isabelle u boku.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo osamotniony czuł się Rudy po wyjeździe Esy. Po krótkiej rozłące oboje zdają się na nowo odczuwać wspólnotę celu. Broszury z Kalifornii zniknęły gdzieś pod stosem papierów dotyczących pilniejszych spraw. Pęk grzechotek - czarnych kotów wypełnionych lśnjącymi księżycami - wisi u okiennej ramy. Drżą i pobłyskują pomarańczowo, gdy wiatr przenika przez żaluzje. Lipcowe podarunki - czerwono-biało-niebieskie szorty i koszulki uszyte z materiału, z jakiego robi się amerykańską flagę, wraz z podwójnym opakowaniem Słonecznej Emulsji, spreparowanej przez miejscowego chemika, zostały umieszczone w zgrabnym, miękkim gumowym wiaderku na suwak i rozesłane. Sierpniowe podarunki z dziewiętnastowiecznym kostiumem kąpielowym dla chłopców są przygotowywane do wysyłki, wrzesniowe zaś - wkrótce będą skompletowane.

Hank staje się częścią domowej codzienności. Gdy otwiera lodówkę, nie spogląda już na True i nie pyta: „Czy masz sos Tabasco?” Zaczyna się czuć coraz pewniej, schodzi nawet na dół w podkoszulku i spodniach od piżamy.

True postanawia poświęcić poniedziałkowy poranek na przejrzanie rachunków.

W ramach przygotowań kupiła sobie na pocieszenie najlepszą kawę i migdałowego rogalika.

Ponieważ działalność jej firmy opiera się w dużej mierze na Internecie, czuła się zobowiązana inwestować w podobne firmy. Wrodzona rozwaga nie pozwoliła jej jednak popaść w szaleństwo, nawet gdy czytała oszałamiające relacje o ludziach, którzy zainwestowali w stoły kuchenne i w ciągu jednej nocy stawali się bajecznie bogaci.

Gdy boom minął, doradca True zaczął wyprzedawać na prawo i lewo duże pakiety akcji przedsiębiorstw działających w nowoczesnej technologii. Nadal mówi o długoterminowości i cierplivej wytrwałości, ale True nie należy do osób, którym łatwo jest uwierzyć, że sześciocyfrowe straty są tylko „na papierze” albo są jedynie „korektą”. To po

prostu strata, która jej dobrze nadmuchaną poduszkę zamienia w płaską podkładkę i może sprowadzić na True trudne chwile. Odczuwa jankeski, śmiertelny strach przed płaceniem pensji za bieżący miesiąc z zysków poprzedniego miesiąca i - chociaż doznaje ulgi - gdy prognostycy mówią, że krwawa rzeź przedsiębiorstw „dotcom” ma się ku końcowi, w jej własnej firmie zamówienia utrzymują się na stałym poziomie, a nawet troszeczkę spadły, co zwykle występuje w przypadku towarów luksusowych, gdy ludzie muszą zacisnąć pasa.

Ale True i tak jest szczęśliwa, że nie podjęła aż takiego ryzyka jak inni.

Artykuły o „młodych wilkach” zdumionych nagłą utratą fortun nieustannie pojawiały się przecież w codziennej prasie. Byli to młodzi geniusze bez dyplomów, z życiorysem zawodowym składającym się z jednej linijki. Wypieczony bochenek chleba tych marzycieli zamienił się w płaski kawałek macy. Dziś muszą zmierzyć się z rzeczywistością, a są do tego przygotowani o wiele gorzej niż True. „Szukają pracy...” - obwieszczał jeden z tytułów w poprzednim tygodniu.

True ma zasoby i umiejętności. Nawet jeśli jej interes splajtuje, nadal będzie miała pakiet mocnych akcji - a przynajmniej dużą jego część. Zachowa dom - albo przynajmniej jego część. Ciągle nie jest przekonana do giełdy. Zastanawia się, czy nie lepiej byłoby spieniężyć akcje, zamienić je na udaną lokatę z werandą - innymi słowy, na nadmorską posiadłość, którą można wynająć, a następnie spokojnie czekać, aż zyska na wartości - na namacalne zabezpieczenie, które nie zależy od humoru japońskiego króla telefonii.

Przez długi czas po śmierci Pete’a giełda przypominała jej sympatycznego olbrzyma, który co kilka miesięcy wrzuca parę magicznych fasolek do garnka True i Guya. Każdy „krach” w ciągu jej dorosłego życia, choć „epokowy”, trwał zwykle bardzo krótko i zawsze najlepiej było po prostu przeczekać. Zawsze więc przeczekiwała i dobrze na tym wychodziła.

Chyba jednak to się zmienia. „Odbicia” zaczynają być tak powolne, jak ruch wilgotnej piłki tenisowej. True pokłada nadzieje w biotechnologii i podobnych dziedzinach (ludzie zawsze będą potrzebowali mammografów). Zamierza bacznie pilnować grubości portfela. Nie będzie zbyt ekspansywna i nie będzie poszukiwać nowych rozwiązań, do czego ją namawiano. Jeśli znajdzie się w sytuacji przymusowej, zachowa stoicki spokój.

True potrafi zachowywać stoicki spokój.

Przywykła też jednak do pewnego rodzaju swobody, do lekceważenia drobnych stu dolarów - co nie ma nic wspólnego ani z jej sposobem bycia, ani ze sposobem, w jaki została wychowana, ani nawet ze sposobem, w jaki wychowuje Guya. Bardzo łatwo przywyknąć do takiego życia i True bardzo szybko do niego przywykła. Zastanawia się, co kupuje teraz za gotówkę. Lody, kawę. Ale nie ubrania, produkty spożywcze czy sprzęt kuchenny - a przecież

tak niedawno było inaczej.

Zawsze jednak mówi, że prędeziej sprzeda dom niż firmę. Sprzedaż domu odczułaby jak stratę członka rodziny. Przywykła do dużej przestrzeni, do wygody i przytulności biura, gdzie każde biurko stoi przy oknie. Docenia to wszystko na nowo, patrząc pełnymi zachwytem oczami Hanka. Któregoś dnia Hank przyniósł do domu stos kartonów i oświadczył, że zakłada system stereo, żeby muzykę z jednego odtwarzacza słychać było na każdym piętrze. Gdy go zainstalował - z wprawą znajdując sposoby, by przeciągnąć przewody i ukryć kable, co wzbudziło w True podziw - odczuła pokusę sprawdzenia rachunku. Ale w jej szczęściu nie ma miejsca na skąpstwo i krytykanctwo. Gdy budzi się o poranku i słyszy Vivaldiego albo Patsy Cline, zastanawia się, jak mogła do tej pory bez tego żyć.

Teraz, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na dworze z mężem i synem pierwszego, naprawdę słonecznego dnia w tym sezonie, włącza Koncert Brandenburski i zdecydowanym ruchem rozkłada plany i budżet na łóżku, bierze okulary do czytania i na dwie godziny pochyla się nad papierami z dobrze zaostrzonym ołówkiem w ręku.

Przez dłuższą chwilę nie zwraca uwagi na dochodzące z dołu odgłosy poranka. Ale z czasem hałas staje się coraz bardziej natarczywy.

I coraz radośniejszy.

Rok szkolny już się skończył. Guy i Brendan są na trawniku przed domem z Hankiem. Przy niewielkim sprzeciwie True Hank kupił Guyowi rower wyczynowy Redline i z drewna ze stodoły Sandersonów (True widziała, jak Hank poszedł do nich z krótką wizytą, po czym wrócił bodaj ze wszystkim, czego chciał!) budują skocznię: wklęsły równoboczny trójkąt, z którego lada chwila zaczną z wielką prędkością wyskakiwać na rowerach w powietrze.

- Mamo! Chodź na dół! - woła Guy. - Zaraz zaczynamy! True zrywa się z łóżka i wybiega na dwór, wylewając sobie

kawę na podkoszulek.

Poprawka: na podkoszulek Hanka.

- Siadaj - mówi Hank, prowadząc ją do drewnianego leżaka.

- To nie dla dziewczyn! - ostrzega Guy.

- Jestem gotowa - mówi True.

- Ale to nie ja pierwszy skaczę - stwierdza Guy, poklepując ją po ramieniu - tylko tata.

To znaczy Hank.

- Jasne - mówi True.

True i Hank wymieniają spojrzenia i skryte uśmiechy. Żadne z nich nie odważy się skomentować tego przejęzyczenia. Ale True musi zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć z radości.

Pod podkoszulkiem Hanka - mimo że jej mąż jest taki szczupły - wyraźnie zaznaczają się mięśnie. True ma nadzieję, że sąsiedzi też patrzą na to widowisko. Hank nabiera prędkości na ścieżce, unosi siłą ramion przednie koło roweru do góry i spogląda kątem oka na True. Popisuje się przed swoją dziewczyną, chce zrobić wrażenie na jej synu. Kto by pomyślał, kto jeszcze przed paroma krótkimi tygodniami by przypuszczał, że z tych ułożonych na trawie desek ona, True, wyciągnie królewskiego pokera z samych serc?

Odpręża się, chłonąc ciepło drewnianego oparcia. Niebo jest jak niebieska nierdzewna stal, lekki wiatr nie niesie ani groźby, ani wilgoci. True odczuwa głębokie zadowolenie. Do diabła z rachunkami, myśli. Liczby tu nie pasują.

- No to jazda! - woła Hank. - Muszę się zebrać na odwagę. Nie robiłem tego przez piętnaście lat. To znaczy od czasu, gdy miałem piętnaście lat.

- Czyli dłużej niż przez piętnaście lat - podkreśla True wesoło.

- Dziękuję, kochanie. - Hank zdejmuje wymyśloną czapkę.

I oto nagle Hank pędzi alejką z niewiarygodną prędkością, bez kasku, stojąc wysoko na pedałach i kierując się wprost na drewnianą platformę. True wstaje powoli z fotela, ale nie ma czasu na ostrzeżenie, bo on już leci, szybuje w powietrzu, ląduje bez żadnego zachwiania i staje w miejscu, na trawę. Guy biegnie tam, gdzie wylądował Hank z kłębkami sznurka, drugi jego koniec Brendan przytrzymuje nogą (co najwyraźniej zostało już wcześniej zaplanowane) i we trzech metalową miarką szacują odległość.

- Sześć metrów sześćdziesiąt centymetrów! - wykrzykuje Brendan. - Niesamowite! Ale ma talent!

- Ale nie siedem i pół metra - cieszy się Guy. - Przegrałeś!

- Powiedziałem: przynajmniej sześć metrów - przypomina Hank.

- Powiedziałeś siedem i pół.

- Wiesz, że powiedziałem przynajmniej sześć. Wygrałem.

- Dobra - przystaje Guy. - Jestem ci winien dziesięć dolców. Mamo, masz dziesięć dolców?

- O, nie, proszę pana - mówi Hank. - To ty jesteś mi winien dziesięć dolców. Nie mama.

- Ja nie mam dziesięciu dolców - wyjaśnia Guy. - Mam w skarbonce. A skarbonkę można otworzyć dopiero wtedy, jak jest pełna.

- Nie szkodzi. Możesz zarabiać, pomagając w drobnych pracach.

- Drobnych pracach? - pyta Guy, jakby Hank mówił w języku urdu.

- Tak, na przykład zbierając swoje porzucane ubrania, które mama po tobie sprząta.

I wyjmując naczynia ze zmywarki, zanim mama albo babcia cię o to poproszą, a zwłaszcza wtedy, gdy poproszą. Teraz nie zawsze to robisz.

- Zaczekam, aż się zacznie szkoła i dostanę kieszonkowe. Będę w piątej klasie, więc będę dostawał pięć dolarów - mówi swobodnie Guy.

- Za co dostajesz kieszonkowe? Guy jest zdziwiony.

- Po prostu dostaję.

- Ale za co?

- Za nic - przyznaje True. - Nie dostaje natomiast zabawek ani gier - z wyjątkiem wakacji - albo dostaje bardzo rzadko, i nie ma skutera ani Nintendo i do tej pory nie miał roweru wyczynowego...

- Bo nie byliśmy małżeństwem, gdy miał urodziny - mówi do True Hank. - To mój urodzinowy prezent dla Guya. Ale ta sytuacja wymaga natychmiastowej zmiany. Od tej pory będziesz musiał układać równiutko czyste ubrania, a brudne znosić na dół, i każdego wieczoru będziesz wyjmował naczynia ze zmywarki.

- O, nie! - woła Guy.

- O, tak! - mówi Hank.

True zastanawia się, czy to nie za dużo i nie za wcześnie. Naturalnie, nie znosi, gdy Guy rzuca zdjęte z siebie ubrania gdzie popadnie, tam gdzie stoi, nawet na podłogę przed łazienką.

- Mamo? - Guy odwraca się do True. True wzrusza ramionami. „Mówcie jednym głosem”, przypomina sobie pierwsze i najważniejsze zalecenie dla rodziców.

- Muszę przyznać Hankowi rację - mówi. - Nie mogę przecież wiecznie po tobie sprzątać.

True obserwuje walkę, jaką toczy sam z sobą jej syn, jak daje krok, by ruszyć w stronę domu, ale zaraz uświadamia sobie, że wyjdzie na nieznośnego dzieciaka. True widzi, jak Guy z aktorską sprawnością stara się zapanować nad sobą i przywrócić swej twarzy przyjazny wyraz.

Ale gdy wkłada na głowę kask i przygotowuje się do skoku, True nagle zdaje sobie sprawę - czuje gwałtowny rzut adrenaliny - jaki Guy jest wściekły, z jaką determinacją chce dowieść swej męskości. Pedaluje z furją, kiwając się, zginając i prostując na przemian krótkie nogi, skacze, leci daleko, co najmniej trzy metry, ale gdy ląduje, przewraca się i nie wstaje. Tylko krzyczy.

Pierwszy podbiega do niego Hank.

- W porządku, True, w porządku! - woła.



True stoi na ganku. Siłą woli odrywa rękę od piersi, by nie wyglądać jak Scarlett O'Hara.

Spogląda w stronę domku Kathleen i widzi matkę nieruchomą przed drzwiami.

- Obojczyki - mówi lekarz w pogotowiu - łamię się u dzieci w tym wieku bardzo łatwo. Ale na szczęście równie łatwo się zrastają. Postanowiłeś zeskoczyć z drzewa, tak?

- Próbowałem skoczyć na rowerze - mruczy Guy otumaniony valium, które mu podano. - Mój ojczym mnie namówił.

Hank rumieni się.

- Nie całkiem. Bawiliśmy się tylko i... True wtrąca się do rozmowy:

- Naturalnie, do niczego go nie namawiał. Guy sam chciał skoczyć.

W samochodzie, w drodze do domu, Guy zasypia, tuląc czule gips.

- To moja wina - zaczyna Hank.

- Nie. To moja wina. Za bardzo wam popuściłam - mówi True. - Ten zakład i tak dalej.

- True, mógł to robić sto razy, a za sto pierwszym zrobić sobie krzywdę.

- Ale zrobił sobie krzywdę za pierwszym razem. A teraz straci lekcje muzyki, tańca...

- Cóż, tak czy owak może powinien na pewien czas zrezygnować z tych rzeczy.

- Dlaczego? Sam przecież tańczyłeś.

- Myślę, że Guy chce być teraz facetem i robić to, co facetowi przystoi.

Hank zmienia temat, gdy skręcają ku plaży przy zatoce Cape Cod Bay. Jest odpływ i na publicznej plaży, odległej o osiemset metrów albo nieco więcej, mającą małe sylwetki ludzi zmierzających w stronę wody.

- Spójrz. Co oni tam robią? - pyta Hank.

- Niektórzy zbierają mięczaki. Inni muszle i kawałki drewna...

- Na wyroby artystyczne?

- Czasami tak. Ale też na podpałkę do ognisk. Może szukają metali szlachetnych.

- Zawsze mi się wydawało, że ludzie z detektorami to dziwacy.

- Jakiś facet znalazł tu zeszłego lata wodoodporny damski rolex. Zupełnie nowy.

- Może kupimy sobie detektor - śmieje się Hank. - Ale trzeba się zdrowo nachodzić.

- Nigdy tego nie robiłeś?

- Nigdy nawet nie pływałem w tym oceanie. To nie jest ocean, jaki lubię. Za zimny.

- To z pewnością nie zatoka San Francisco, choć tutaj woda jest ciepła jak w basenie. Nagrzewa się, bo jest płytka. Ale jak masz pod opieką dziecko... Fala przyływu idzie bardzo szybko i może porwać nawet malucha, który dobrze pływa, i to szybciej, niżbyś się

spodziewał. Może nawet porwać dorosłego.

- Pozwalasz mu spacerować tu z przyjaciółmi?

- Ale ze mną.

- I z przyjaciółmi.

- Tak.

- Ile musi mieć lat, żebyś mu pozwoliła przychodzić tu samemu?

- Trzydzieści - śmieje się True. - Do czego zmierzasz?

- Może... może jesteś nadopiekuńcza.

- A tobą nie opiekowano się nadmiernie?

- Nie wiem.

- Na pewno byłeś rozpieszczany.

- To fakt.

- Pierworodny i jedyny syn kochającej matki, chłopiec pana doktora.

- Wiem tylko, że jak byłem w wieku Guya, pływałem w oczkach wodnych, gdzie na dnie były barakudy. Nigdy nie wkładałem kamizelki ratunkowej. Pozwalali mi skakać na rowerze. I nigdy nie wkładałem kasku. Mam zdjęcia.

True milczy.

- Nie złość się - mówi Hank.

- Jesteś z tego dumny? Chciałbyś, żeby Guy nie wkładał kasku? A gdyby dziś nie miał kasku? Moglibyśmy teraz patrzeć na monitorze na wykres pracy mózgu.

- Moi rodzice nie przejmowali się aż tak bardzo każdym moim krokiem.

- Co świadczy jedynie o tym, że wtedy były inne czasy...

- Chcę tylko, żebyś potraktowała dzisiejszy wypadek jako niefortunny skutek dobrych intencji, a nie jak tragedię. I żebyś przez ten wypadek nie zrobiła z niego chłopca, któremu niczego nie wolno. Chcę, żebyś potraktowała to jako pewien postęp, jego zezwolenie, żebym odegrał jakąś rolę w jego życiu.

- Wiem, Hank - mówi True. - Byłam zachwycona, patrząc na ciebie. Czy wyobrażasz sobie, co czułam, gdy mój chłopiec, mój syn, powiedział „tata” pierwszy raz od czasu, gdy był maleńki?

Hank bierze True za rękę.

- Więc nie zrób z niego maminsynka...

- Chwileczkę! To nie fair! To by się nie stało, gdyby nie był na ciebie wściekły, gdyby nie próbował zachować się honorowo wobec ciebie. Ale on to nie ty. Odgrywając jakąś rolę w jego życiu, nie powinieneś robić z niego takiego chłopca, jakim w twoim wyobrażeniu

chłopiec powinien być, albo nawet takiego chłopca, jakim sam byłeś. Albo jacy byli chłopcy dwadzieścia lat temu.

- Rozumiem twój punkt widzenia. I chcę, żeby wkładał kask. Wiem, że tak jest bezpieczniej. Ale wygląda w nim jak głupek.

- Kochanie! Wszystkie dzieci noszą kaski, przynajmniej w obecności rodziców.

- Nam jakoś nigdy nic się nie stało.

- Założę się, że nie wszystkim.

- Wszystkim, których znałem.

- Mieliście szczęście. Znam dziecko, które musi przez całe życie nosić gorset, bo skoczyło na główkę do płytkiej wody i...

- To jakieś wyjątkowo głupie dziecko. True wpada w złość.

- Nie przejąłby się tak bardzo, gdybyś mu nie naopowiadał, jak to się zachowują prawdziwi mężczyźni, strzelają do siebie z powodu dziewczyn...

- Język masz jak żmija.

- A ty masz rozum jak muł.

- Odwołaj to.

- Ty pierwszy.

- Dobrze, odwołuję. O mało nie umarłem ze strachu, gdy się przewróciłem. Nie jestem idiotą. Byłem przerażony - przyznaje Hank.

True opiera głowę na jego ramieniu.

- Ja też.

Nie nawykła do podporządkowywania swoich sądów opiniom innych, a przynajmniej tych, z którymi dzieli życie. Chociaż zawsze uważała się za bardzo miłą szefową, bez ogródek mówi, co myśli. W swoim małym królestwie to ona rządzi. Zastanawia się teraz, ile razy budziła w innych złość, tak jak Elizabeth. Ile razy była obgadywana, wyśmiewana. Musi po prostu wyjaśnić Hankowi, że on niewiele wie o ojcostwie. Był jedynie synem, a nie ojcem.

- Nie chcę, żeby zawsze unikał ryzyka - zaczyna łagodnie True.

- A ja chcę, żeby unikał głupiego ryzyka. Może nie pamiętam wszystkiego. A może udawało mi się unikać kary za to, czego mi nie pozwalano. I tylko to pamiętam.

Tej nocy, gdy Guy pojękuje cicho podczas snu, odurzony środkami przeciwbólowymi, True i Hank kochają się przy otwartych drzwiach. W momencie największej rozkoszy True gryzie ramię Hanka mocniej, niż by tego wymagała chwila. Hank wzdryga się. True jest zadowolona z siebie, czuje wewnętrzną satysfakcję, gdy drzenie w jej ciele powoli ustaje. Teraz Hank wie, jak kobieta potrafi ugryźć. Ale gdy układają się do snu, True w jedwabnej

koszuli, Hank w mało podniecających szortach na tasiemkę w pasie, gdy Hank ostrożnie przytula ją do siebie, True czuje - choć nie jest to najnowsze uczucie na świecie - że znalazła duszę swego męża od zawsze i że reszta świata nie ma dla niej żadnego znaczenia.

Choć cudownie rozluźniona, nie może zasnąć. Zwija się w kłębek, wciska poduszkę między kolana.

Idzie do pokoju Guya. Na widok gipsu zaczyna płakać. Nie ma pojęcia, dlaczego płacze, ale nie może przestać.

Żeby nie budzić Hanka, schodzi na palcach na dół i kuli się na kanapie, pod kocem z kaszmirskiej wełny. Łzy nadal ciekną. Strach. Ulga. Wdzięczność. Wybaczenie? Nie płacze często, więc nie wie, jak się zakręca ten kurek. Ledwie zaczyna zasypiać, budzi się przestraszona uczuciem, które w pierwszej chwili wydaje jej się dobrze znane, a zarazem zupełnie nowe. Hank bierze ją na ręce i niesie do łóżka.

Następnego ranka True idzie do apteki po waciki do makijażu. Wrzuca też do koszyka parę japoniek oraz aparat do określania płodnych dni i test ciążowy. Kupuje paczuszkę pilników do paznokci i jeszcze jeden test ciążowy, do równego rachunku. Czyta treść ulotki na odwrocie aparatu, żeby upewnić się, czy do określenia płodnych dni nie trzeba pobierać krwi. Ale nie, będzie musiała jedynie zrobić to, co i tak robi każdego dnia w toalecie.

Hank i True pokazują się publicznie, po raz pierwszy jako małżeństwo, na aukcji na rzecz Teatru Rodzinnego. Pierwszą napotkaną osobą jest starszy mężczyzna, emerytowany sędzia i znajomy Kathleen jeszcze z Amherst, którego True nie widziała od czasu, gdy jej syn był małym dzieckiem. W tym czasie Guy pobiegł pokazać przyjaciółom gips. Sędzia, mężczyzna korpulentny o zaczerwienionych oczach, toruje sobie drogę wśród tłumu, by przywitać się z True.

- To nie może być... - starszy pan przygląda się uważnie Hankowi -...twój syn. Czyżby już tak urósł?

- To mój mąż - odpowiada żałośnie True, a Hank pociąga nosem, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- Naturalnie. Przepraszam. - Mężczyzna się rumieni. - Słyszałem, że wyszłaś za mąż.

- Tak, za nieletniego! Ale nie jest taki młody, na jakiego wygląda, panie Hammersmith. - Sędzia ściska dłoń Hanka, który nadal nie potrafi opanować wesołości.

- Zdobył pan młodą i wspaniałą kobietę, synu - mówi sędzia poważnie.

- Jestem tego świadom, proszę pana.

- Nie jest pan stąd. Mam dobre ucho. Mam słuch starego psa myśliwskiego.

Dobre i to, myśli True, jak się ma wzrok nietoperza.

- Pochodzę z Luizjany. Mam restauracje w Truro. Proszę zająć do nas z żoną.

- Ach - wzdycha sędzia - zmarła przed czterema laty. Nie potrafię przekonać uroczej matki tej młodej damy, by nie odrzucała moich zaproszeń na kolację.

- Może zmieni zdanie. Ja musiałem użyć bardzo mocnych argumentów, żeby przekonać do pewnych spraw jej córkę.

- Życzę wam wszystkiego najlepszego.

Sędzia Hammersmith oddała się sztywnym krokiem, nagabywany przez wielu, którzy chcą uściskać mu rękę. Jego żona Greta była wielką dobrodziejką teatru. True podejrzewa, że dyrektorka teatru, Beatrice, ma na oku majątek bezdzietnego sędziego.

- Wcale nie musiałeś używać mocnych argumentów, kłamco. Tak czy owak, robi się duszno. Chodźmy do domu - przekomarza się z Hankiem True, ledwie sędzia znalazł się poza zasięgiem słuchu.

- Co? Przecież dopiero przyszliśmy. Jeśli tu jest ci duszno, to nie masz szans przetrwania w Luizjanie.

- Każę sobie zrobić przenośne urządzenie chłodzące, które będę nosić na głowie. Nie chodzi o to, że jest gorąco, tylko o to, że atmosfera gęstnieje. Że się śmiałeś, jak on to powiedział. O nas.

- A co miałem zrobić, dać mu w nos? Zresztą to było śmieszne. Facet zobaczył męską sylwetkę i myślał...

- Może to jest naprawdę wbrew naturze. Może wszyscy tutaj tak myślą. Patrzcie na tę starą idiotkę, na True. Jak wisi na tym facecie. Może powinieneś mnie zostawić, uciec, jak Heathcliffe.

- W gruncie rzeczy wcale na mnie nie wiesz. Chociaż chciałbym, żebyś wisiła. - True bierze Hanka pod ramię. - True, musisz przestać myśleć w ten sposób. I to natychmiast. To jest niebezpieczne. Musisz uwierzyć, że jeśli patrzę na jakąś kobietę, to nie myślę sobie: „Kurczę, chciałbym, żeby była moją żoną, chciałbym, żeby moja żona była młodsza. Chciałbym, żeby True wyglądała tak jak ona”. Samo patrzenie nie oznacza pożądania. Chodźmy, moja ty miss Cape Cod. Przywitajmy się z innymi. I proszę, żebyś cały czas na mnie wisiła, jak oddana żona. True Dickinson Bannister.

Nawet nie skończył mówić, gdy Beatrice rzuciła mu się na szyję, szczebiocząc, że Hank musi zaangażować się w pracę teatru, że jeśli nie umie grać, to ona go nauczy, ale on musi grać, bo ma właściwą prezencję, i Beatrice słyszała, że jest tancerzem, i że koniecznie trzeba nauczyć dzieci, jak mają się poruszać.

- Chętnie zrobię, co będę mógł, jeśli pozwoli mi na to praca i... nauka z naszym

synem. - True patrzy na Hankę ze zdziwieniem. - Będę uczył Guya podstaw baletu i jazzu.

- Szczęściarz z Guya! Ma chłopak talent, naprawdę. Powinien tańczyć. I trochę zeszczupleć. A to się łączy, prawda?

Beatrice odwraca się i odchodzi, jej strój złożony z chust faluje i płynie wraz z nią.

- Bardzo miła - mówi Hank.

- Istotnie. Jest wspaniała. I wymagająca. Kiedyś Guy starał się o rolę w jakimś przedstawieniu, nie pamiętam już... chyba w Peter Rabbit, w innym teatrze i dostał główną rolę, ale odmówił jej przyjęcia, mimo że byłaby to jego pierwsza główna rola... Guy zawsze był oczkiem w głowie Beatrice. Ale później powiedział mi: „Byli dla nas za mili, mamo. Nigdy na nas nie krzydzeli”.

- Rozumiem, że to przygotowanie do prawdziwego teatru, ale nie chcę nawet pomyśleć, żeby Beatrice mogła być dla niego zbyt surowa. - Hank milknie, unosi podbródek True i całuje ją lekko. - Lepiej się czujesz?

- Tak. Nawet postanowiłam nie zamawiać chirurgicznego liftingu twarzy - przyznaje True. - Ale muszę ci powiedzieć, że nie czuję się dobrze, i nie ma to nic wspólnego z tym, co sobie myślą ludzie. Mdli mnie.

Hank chwytą ją za ramiona:

- Jesteś w ciąży?

- Nie - odpowiada True. - Ja tylko... Nie. Nie jestem w ciąży. A cieszyłbyś się, gdybym była?

Hank oddycha z ulgą.

- Jasne - odpowiada.

- Nie brzmiało to przekonująco.

- Jasne, że byłbym zadowolony. Ale jak sama powiedziałaś: „Wszystko w swoim czasie”.

- Wszystko do chrzanu! - oświadcza Guy, zachodząc ich z tyłu. - Nie mogę się bawić, bo boli mnie szyja, i nikt nie chce się podpisać na tym cholernym gipsie.

- Nie używaj brzydkich wyrazów - przypomina mu obojętnie True.

- Hank mówi, że „cholerny” to nie jest brzydkie słowo.

- No proszę, w tacie zawsze jest oparcie.

I tak spędzają - Hank wesoło, True na obserwowaniu otoczenia - resztę parnego, spokojnego dnia. Wilgoć w powietrzu staje się z czasem bardzo dokuczliwa, zapowiadając burzę. True czuje, że mdli ją coraz bardziej, i zaczyna się zastanawiać, czy rzeczywiście nie jest to nieprzyjemny zwiastun ciąży. Ale potem przypomina sobie zaschniętą skorupę sałatki

ziemniaczanej. Na szczęście zjadła tylko parę kęsów.

W domu kładzie się do łóżka i prosi Hanka, by posłał Guya do babci.

- Pozwól mi zabrać go ze sobą - proponuje Hank, a Guy natychmiast zalewa ją tysiącem własnych argumentów: chce wkładać wiśnie do drinków, nigdy nie był w restauracji przez cały wieczór, będzie grzeczny, nie będzie przeszkadzał, powyciera stoły. Drobne prace, pamiętasz? True się zastanawia.

- Wieczór może być spokojny, jeśli rozpęta się burza - mówi Hank. - W taki wieczór zamykamy nawet kasę fiskalną.

- Co to znaczy?

- Przyjmujemy pieniądze na lewo, żeby było na podatki. True siada na łóżku, czuje ucisk w żołądku.

- To niezgodne z prawem!

- Ale tylko trochę, True. Tak samo jak zatrudnienie meksykańskiego chłopca do pomocy bez papierów.

- Robicie takie rzeczy? Nie wolno wam! Nigdy więcej tego nie róbcie!

- Musimy.

- Nie, nie musicie! Zapłacę te podatki! Nie rozumiesz, że i ja mogę być pociągnięta do odpowiedzialności? Możecie mnie zrujnować!

- Nie pomyślałem o tym. Wydawało mi się, że nasze firmy działają niezależnie od siebie. Ale rozumiem, że tak nie jest.

- Hank, ile się naszukaliśmy prawnika, żeby nasze sprawy nie były niezależne od siebie?

- Porozmawiam z Tomem. Nie denerwuj się. Jesteś biała jak ściana.

- No, już w porządku. Bawcie się dobrze. Nie pozwalaj mu...

- Nie pozwolę mu uszkodzić sobie drugiej ręki ani wpaść do piekarnika, ani pić whisky.

- Idźcie już sobie - mówi z ulgą True. - Oszust z ciebie, Hank. Ale może przynajmniej teraz przestaniesz nim być.

Zrywa się gwałtowna burza. W świetle bladoniebieskiej błyskawicy True widzi, jak przewraca się jedno z drzew w jej ogrodzie. Ziemia aż drży. True zrywa się i wymiotuje do owalnej, czystej muszli. Prostuje się, spocona, ma mroczki przed oczami, ale czuje wyraźną ulgę. W świetle kolejnej błyskawicy widzi matkę przemierzającą ogród w o wiele za dużym płaszczu przeciwdeszczowym, a potem słyszy, jak Kathleen zrzuca buty i pędzi na górę po schodach.

- Jezu Chryste, True. Nic ci nie jest?

- Jezu Chryste? Nigdy nie słyszałam takich słów w twoich ustach.

- Nigdy nie widziałam, jak drzewo przewraca się trzy metry od moich drzwi! -

Kathleen przygląda się badawczo True. - Co się stało?

- Niedobrze mi. Musiałam zjeść jakieś bakterie razem z tą obrzydliwą sałatką ziemniaczaną na teatralnym pikniku.

- Przyniosę ci piwa imbirowego.

- Nie, nie przynoś.

- Jak chcesz. Nie wrócę do siebie, bo jeszcze drzewo przewróci się na moje łóżko!

Siadają obie na łóżku True. Kathleen popija herbatę, True drzemie. Gdy się budzi, widzi, że matka układa stos prezentów ślubnych leżących nadal na starym kufrze, który był kiedyś własnością babci True.

- Tego jeszcze nie otworzyłaś - mówi Kathleen, podnosząc białe pudełko od Clothilde.

- Nie zdążyłam. Otwórzmy to teraz.

- Nie chcesz poczekać na Hanka?

- Nie robi mu to różnicy. Takie rzeczy go nie interesują.

- Guy śpi?

- Pojechał z Hankiem do pracy.

- Aha! - odpowiada Kathleen z irytacją. - No, to otwórzmy.

W pudełku znajduje się piękny, zrobiony ręcznie, pusty album na zdjęcia. A pod spodem inny piękny album, też ręcznie zszyty na grzbiecie. True otwiera go i widzi, że zawiera pamiątki z życia pierwotnego syna: metryka urodzenia Hanka, pukiel czarnych włosów, pierwsze fotografie w dzieciennym garniturku, zdjęcie zatytułowane: „Chodzę! Tylko dziesięć miesięcy!”, inne zdjęcie, na którym mniej więcej sześciolatek Hank tańczy na scenie (w garniturku i kapeluszu), urocze fotografie robione latem przedstawiające Win i Hanka, gdy trzymają Tannie na kolanach - nieco starsi i brązowi jak kasztany. Hank z papugą na ramieniu, skóra i kości, niczym dziecko z rycin w książkach Dickensa, widać mu każde zębro z osobna, potem Hank, już starszy, postawniejszy, seksowny, z półprzymkniętymi niebieskimi oczami, jakby gotów puścić oko do aparatu, tak piękny, że - True widzi to wyraźnie - Kathleen wstrzymuje oddech. Hank bez koszuli na kajaku. Hank łowiący ryby. GUS, Clothilde i jedna z trzech dziewcząt - zdaniem True, Win. Zarówno ona, jak i Hank mają na sobie szkolne czapki i płaszcze. Hank trzyma na kolanach starszą panią. True sądzi, że to babcia. Hank na nartach z kobietą, której True nie widzi wyraźnie, bo cała niknie pod warstwami ubrania. Hank na żaglówce z mężczyzną - True rozpoznaje w nim znacznie



młodszego Toma. Zaświadczenia o wynikach w nauce i listy urodzinowe: Synu, masz teraz szesnaście lat i chociaż dałeś nam w tym roku wiele powodów do dumy, zwłaszcza w State, czas przyłożyć się do nauki. Będę Cię kochał także wtedy, gdy zechcesz zbijać bąki, ale nie rób mi tego. Tata. Gdy True z czułością zamyka album, myśląc, jaki to z serca płynący prezent, który oddaje życie Hanka w ręce żony, wypada małeńka lśniąca koperta, podobna do torebeczki na kolczyki. W środku tkwi zardzewiała perełka dziecięcego zęba. True wkłada kopertę z powrotem do kieszonki albumu, gdzie dostrzega też świeczkę od chrztu. Nie może się doczekać, by pokazać prezent Guyowi i porównać go z albumem przedstawiającym pierwsze lata Guya.

Załączony bilecik informuje: Nie miałaś okazji poznać przeszłości Henry'ego, dlatego dajemy Ci ją w prezencie. Drugi album niech służy Waszej wspólnej przyszłości. Z wyrazami miłości, Clothilde i GUS.

Najbardziej wzruszył True ząbek Hanka. W biurze ma pudełeczko po kolczykach, w którym trzyma mleczne zęby Guya. Nawet drużynie gladiatorów nie udało się odebrać jej tego pudełeczka. A oto ząbek Hanka, podarowany szczerze i z zaufaniem synowej, która nadal jest w gruncie rzeczy obcą osobą. True przyciska album do piersi, jakby tuliła ciepłą, pachnącą magnoliami Clothilde, i czuje, jak chłodny deszcz zrasza wyschniętą pustynię jej wnętrza. Z poczuciem winy odwraca twarz, żeby Kathleen nie dostrzegła na niej wyrazu błogości, i zastanawia się, czy właśnie nie znalazła rodziny, której szukała przez całe życie, jak przechodzień zagląający w oświetlone okna. Rodziny, w której ludzie nie odsuwają się sztywno na ławce, by zrobić miejsce innemu, ale wstają, by zaoferować najwygodniejszy fotel, twierdząc, że i tak mają już dość siedzenia.

Ale Kathleen niczego nie zauważa. Z dna pudełka wyciąga dużą, miękką - zaklejoną - kopertę z naklejką „Hank”. Kathleen unosi brew i wręcza kopertę True.

- Kiepsko zaklejona - mówi łagodnie. - Nie chcesz jej otworzyć?

Trzyma nad parą unoszącą się z kubka herbaty najpierw jeden, potem drugi róg koperty i powoli odkleja ją bez najmniejszego rozdarcia.

- Nie - mówi True. - To przecież dla Hanka.

- Myślałam, że wszystko, co jest jego, jest także twoje.

- Można by pomyśleć, że pracujesz dla CIA, mamó. Chyba... nie powinniśmy zaglądać.

- Ale jednak chcesz zajrzeć, prawda?

- Niespecjalnie - odpowiada True, choć wiele by dała, żeby zobaczyć, co jest w środku. Zamiast mdłości czuje rosnące podniecenie, rzut adrenaliny. Spogląda na zegarek.

Dopiero dziewiąta, ale z powodu burzy mogą wcześniej zamknąć restaurację. Otwiera kopertę. Są w niej listy i kilka zdjęć. True wyjmuje jedno po drugim i ogląda z wielką uwagą. Hank w sportowym płaszczu z kobietą z długimi czarnymi włosami spływającymi na czarną suknię. Hank w śmiesznej koszuli nocnej. Hank nagi, ale przykryty kołdrą, czyta w łóżku. Kobieta w eleganckim kostiumie układająca usta do pocałunku. Fotografie ze studenckich zabaw. Pocztówka. Nie tęsknij za bardzo. Wkrótce wracam. Gruba koperta, w jakich laboratoria fotograficzne oddają wywołane zdjęcia wraz z rolkami filmów. True zagląda do środka. Adele. Adele taka, jaką widziała na zdjęciach reklamowych. Adele spoglądająca z nad biurka. Adele na łóżku. Adele z twarzą wystawioną do słońca. Piękna Adele. Jest też list. Nie mogę w to uwierzyć, kochanie! Dwie książki! DWIE KSIĄŻKI! Adele i Hank z jakimś mężczyzną stojący obok kwitnących krzewów głogu. Ona, równa wzrostem Hankowi, jeśli nie wyższa, w sztruksowych szortach i botkach, sweter zarzucony na ramiona w sposób, w jaki noszą swetry wszystkie kobiety na Cape Cod z wyjątkiem True. Adele na kamienistej ścieżce z wielką, grubą łaską. Adele na tle burzowego nieba. Adele wypelzająca z namiotu, ramiona skrzyżowane w geście protestu przed fotografowaniem. Adele sącząca wino na skale. Na skale. Adele i Hank na górze Washington.

True zaczyna pakować fotografie z powrotem do koperty, nie reagując na zdjęcie dziewczyny w dżinsach, kompletnie ubranej, która siedzi okrakiem na (także kompletnie ubranym) Hanku - zapasy na niby.

- Zaczekaj - szepcze Kathleen dziwnym tonem, gdy uderza kolejny piorun. - Ułóż je tak, jak były. Nie spiesz się.

- Jakie to ma znaczenie, mammo?

- Wiedziałaś, że znał Adele Cabot.

- Co innego wiedzieć, co innego zobaczyć.

- To tylko stare fotografie, ale... Zaczekaj, True. Ułóż je tak, jak były. Nie chcesz chyba, żeby się dowiedział, że w nich grzebałaś.

- Myślisz, że będę mu kłamać?

Kathleen patrzy na córkę dłuższą chwilę, twarz ma spokojną.

- Lepiej nic nie mówić. Może któregoś dnia sam ci je pokaże. A może nie. Może jego matka wiedziała, że nie będziesz chciała ich oglądać. Była więc tak miła, że zakleiła kopertę. Włóż je tak, jak były.

- Dlaczego tak ci na tym zależy?

- Zrób, jak mówię. Każdy ma... swoje prywatne sprawy. Ty też masz swoje prywatne sprawy. Ludzie czasami dziwnie reagują...

- Teraz dopiero narobiłaś mi chętki. Chcę przeczytać te listy. Chcę wiedzieć, czy kłamał, mówiąc, że przedtem nigdy nie był naprawdę zakochany.

- Skąd niby będziesz to wiedziała? Każdy zakochuje się więcej niż jeden raz. Może jednak nie powinnaś była otwierać tej koperty.

- Przecież to był twój pomysł, mamó.

- Zgoda. Ale powinnyśmy ją włożyć z powrotem i zakleić, a albumy wyjąć i powiedzieć, że oglądałyśmy je razem.

True patrzy w szare oczy matki, na okalające je drobne zmarszczki, i widzi młodzieńcze spojrzenie, wyzywające i stanowcze.

- Będzie szanował cię za powściągliwość, zamiast czuć się zawstydzony albo dotknięty.

- Dobrze to wiesz.

- Tak, wiem.

Matka okrywa córkę kołdrą aż po ramiona, czego nie robiła od czasu, gdy True była w ciąży, a przedtem od czasu, gdy była małym dzieckiem, i bierze płaszcz.

- Zostawiłam ci kałużę na dywanie. Przepraszam - mówi Kathleen.

- To tylko woda.

- Położę się. W pokoju gościnnym, jeśli pozwolisz.

Drzewa wciąż kołyszą się i jęczą. Kathleen zabiera miękką kopertę ze sobą. Następnego dnia True znajduje ją zaklejoną na dnie długiego, białego pudełka. Po powrocie do domu Hank spogląda na nią, bierze ją w ręce i odkłada z powrotem.

- Pewnie jakieś stare rachunki. - Uśmiecha się.

Później tej samej nocy True, Hank i Guy wyciągają album Guya.

- Podobny do mnie - upiera się Hank i wszyscy się śmieją. Guy i Hank są jak pozytyw i negatyw, jeden jasny, drugi ciemny. - Popatrz na podbródek i ramiona. Całkiem do mnie podobny.

Wszyscy troje dobrze się bawią, oglądając zdjęcia z dzieciństwa w albumie Hanka. Zaśmiewają się na widok koszulek polo w paski i dzwonów w stylu Billy'ego Kida, i różowych klap w maturalnym garniturze Hanka (i żółtego ubrania dziadka, Gusa), chichoczą, gdy Hank wydaje jęk przerażenia na widok zdjęcia, na którym ma włosy do ramion i kolorową apaszkę.

Guy uroczyście wkłada pierwsze zdjęcie Hanka i True przedstawiające ich jako męża i żonę do nowego, białego, udekorowanego wstążkami albumu i podpisuje je: „Mama i Hank/tata uciekają z domu, by wziąć ślub”.

Guy mówi, że oboje wyglądają, jakby nie spali przez całą noc.

- Mam nadzieję, że fotografie z przyjęcia będą lepsze, mam - mówi poważnie. - Napiszę, że byłem jego gospodarzem.

True kładzie album do cedrowej szafki, na pudełko z różanego drewna zrobione przez jej ojca w prezencie ślubnym dla matki i skrywające ślubne rękawiczki, które Kathleen podarowała córce jeszcze w dzieciństwie, oraz pakiet listów z czasów, kiedy ojciec podróżował po kraju z książkami „Od A do Z”.

Następnego wieczoru, gdy True jest sama, a Guy ogląda na dworze pocięty na szczapy do kominka pień powalonej osiki, True szuka miękkiej koperty. Ale i ona, i białe pudełko zniknęły.

Lipiec

#### FAJERWERKI NA NIEBIE

Pora na fetę, fajerwerki i rewię mody. Nasze czerwono-biało-niebieskie ubranko jest dziełem tych samych rzemieślników, którzy szyją flagi państwowe. Oprócz tego w koszyku krągłym jak arbuza znajdziecie najnowszy model układanki zręcznościowej w formie mrówek, które łączą się w rządki, zmierzając do piknikowych wiktuałów - małe rączki będą miały czym się zająć. Nie zapomnijcie też spakować Podarunku Słonecznego: delikatnej, pięknie pachnącej emulsji, wykonanej według naszej specjalnej receptury, do ochrony zarówno młodszej, jak i nieco dojrzałej skóry.

Warunki są wspaniałe.

Barometr idzie w górę.

Ale potem w dół.

W czerwcu była piękna pogoda. Lipiec jest burzowy, nieprzewidywalny. Właściciele domków przy plażach zaczynają wymagać świadectw zgonu, gdy wynajmujący, którzy obiecywali dożygonną wdzięczność w marcu, nie są zdolni wywiązać się z obietnic parę miesięcy później.

- Jestem wujkiem! - krzyczy Hank późnym wieczorem pewnego poniedziałku, gdy True wychodzi spod prysznic. Hank łapie True i wiruje z nią po łazience.

- Robisz się lekka jak piórko, kochanie! I będziesz mamą chrzestną!

- Co?

- Tannie chce, żebyśmy byli rodzicami chrzestnymi jej dziecka. Chrzest będzie za parę tygodni. Zawsze chrzczymy niemowlaka jak najprędzej, żeby przypadkiem nie umarł nieochrzczony. Ale ten mały jest silny. Cztery kilogramy żywej wagi! Pierwszy chłopiec w rodzinie! Carr Bannister Swallow. Ładne imię, nie?

True sięga po ręcznik. Guy, zainteresowany krzykami, wpada do ich łazienki, ale zaraz się wycofuje, widząc, że True jest rozebrana.

- Zaraz wracam! - woła z korytarza.

- Ładne... - mówi z wahaniem True.

- Coś nie tak?

- Nie wiem, czy mogę być mamą chrzestną. Nie jestem katoliczką. Rzymską katoliczką.

- To nie przeszkadza - mówi Hank. - Ojciec chrzestny jednej z córek Tannie, mój kumpel Perry, jest baptystą. Wystarczy, że czymś tam się jest.

- Poza tym - kiwa głową True - on nie jest pierwszym chłopcem w rodzinie. Jest jeszcze przecież... nasz chłopiec.

- Rozumiesz chyba, co mam na myśli - mówi Hank. - W mojej rodzinie. W rodzinie Bannisterów.

- Ty też chyba rozumiesz, co mam na myśli - odparowuje True. - Czy my nie należymy do rodziny Bannisterów?

- Dlaczego ty ze wszystkiego robisz problem? - Hank wydyma wargi. - Mam nie świętować narodzin siostrzeńca? Czy to kogoś obraża? Dlaczego doszukujesz się problemów tam, gdzie ich nie ma?

- Dobrze, nie mówmy o tym - wzdycha True, po czym pyta: - Naprawdę tak robię?

- Tak. Szukasz dziury w całym. Jak się dobrze postarasz, to wreszcie znajdziesz coś, co cię zrani.

- Nie chcę być raniona ani obrażana. Może po prostu taka jestem. Ale musisz przyznać, że pierwszym chłopcem w rodzinie Bannisterów jest...

- Dobra już, dobra. Szczęście, że Guya tu nie było.

- Czyli zgadzasz się ze mną, tak?

- I jeszcze coś. Czy ty zawsze musisz wiedzieć, zanim wyjdę z domu, czy przypadkiem nie ma czegoś, co sprawi, że będę o tobie myślał przez cały dzień ze złością?

- Chciałabym... Jak ty to mówisz? Chciałabym, żebyśmy żyli w zgodzie.

- Porozmawiamy o tym przy kolacji, dobrze, kochanie? Jeszcze się nie przyzwyczaiłem myśleć o Guyu w ten sposób. Zdarzają mi się niezręczności.

Ty jesteś niezręczny. A ja krucha. Do spółki - słoń w składzie porcelany, myśli True.

- Dobrze - zgadza się, wiedząc, że Hank przynajmniej nie kłamie.

Planują wybrać się na kolację do Bistro, bo dziś wypada jeden z niewielu wieczorów, gdy Hank ma wolne. Żeby go nie popsuć, zanim się zaczną, True dodaje:

- Nie musimy się tym zbytnio przejmować. Chodzi tylko o to... żebyś nie mówił mu, że to jego grand-mere i grand-pere, a potem robił z nowo narodzonego dziecka lepszego Bannistera.

- Przecież nikt nie myśli, że tamto dziecko jest lepsze - mówi Hank. - A nawet, jak znam moją rodzinę, już się zastanawiają, żeby sprawić Guyowi niespodziankę, która go bardzo ucieszy.

- Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? Hank unosi jej podbródek.

- A może wiem mnóstwo rzeczy, o których ty nie wiesz? True jednakże wie z całą pewnością, że zdenerwowała go

dyskusją o salickim prawie Bannisterów, że Hank pójdzie teraz na plażę i będzie pływał przez pół godziny, by odreagować złość. Choć i tak nie ukoji go to w pełni. Pojawi się z lśnącymi jak focza sierść włosami, zsiniałą skórą i z gniewem w sercu. True wie, że powtórzy się stara śpiewka. Czekają ich coś, co True zaczyna nazywać w myślach Wielką Ciszą. Spyta go trzy, cztery, jedenaście razy, o co mu chodzi. Nie odpowie. Będzie niezmiernie zajęty przeglądaniem ilustracji w starych jak świat numerach „Trans Am” albo czytaniem przepisów kulinarnych. True będzie ponawiać pytanie. Aż w końcu Hank stwierdzi: „Wszystko w porządku. Dlaczego miałoby być inaczej?”

Dlaczego? Czy tylko mój mężczyzna, czy też mężczyźni w ogóle mają skłonność do takiego zachowania?, zastanawia się True. Muszę spytać Franny, czy to kwestia chromosomu Y. Czy oni nie potrafią powiedzieć wprost, o co chodzi? Czy już za późno, by znaleźć na to jakieś lekarstwo? Hank sprawiał wrażenie człowieka otwartego, rozmownego, dowcipnego, umiającego zadawać pytania. Nie znała go od tej strony, nie znała jego zachowań - podobnych do zachowań Pete'a - które ją zniechęcają i przerażają, a także sprawiają, że burzy się ze złości i bojaźliwie wycofuje, że czuje się jak królik, wściekły i zastraszone, gdy pada na niego cień skrzydeł drapieżnika.

Teraz True zabawi się w zgadywanie. Jest zły, bo wmieszała Guya w świętowanie narodzin chłopca Tannie, ale to chyba niezbyt żyzny grunt pod Wielką Ciszę. Są jakieś sprawy, może kłopoty w pracy, które chce z nią przedyskutować. Może pokłócił się z Tomem. A może oczekuje, i słusznie, że będzie sprzeczać się z nim na temat samochodowej wyprawy do Luizjany. Nie ma przecież powodu, by jechać tam samochodem - poza tym, że Hank po prostu lubi prowadzić, chociaż pokonanie półtora tysiąca kilometrów w upale, z marudnym Guyem i Hankiem utrzymującym, że za jego czasów dzieci nie marudziły, byłoby aktem czystego masochizmu. Każda z tych rzeczy mogła być powodem, że jej mąż zanurza się nieoczekiwanie w Atlantyku, którego temperatura nie przekracza siedemnastu stopni. True

zachowa się powściągliwie. Zdążyła się już nauczyć, że pytanie Hanka w takich chwilach, co mu jest, może jedynie wywołać zakłopotanie i złość.

Isabelle mówi, że Hank jest typem „przeżuwacza”, podkreślając, że Douglas jest taki sam. Ale Isabelle potrafi sobie z tym radzić. Gdy Douglas wszystko dokładnie sobie przemyśli, staje się rozmowniejszy. Albo i nie.

Są małżeństwem od czterech miesięcy, a True wciąż jeszcze nie udało się zgłębić źródła zagadkowego niepokoju Hanka, jeśli można to tak nazwać, który wpływa na ich codzienność jak przewlekła podwyższona temperatura albo uporczywy przeciąg. Mogą być bardzo szczęśliwi, ale niech tylko True zrobi jeden fałszywy krok, wzgardzi pieśczętą, złapie go na błędzie, który każdy by dostrzegł, a Hank zaraz się „wylacza”. Ostatnio, gdy się „wylaczy”, potrzeba wielu dni, by wrócił do normalności. W rezultacie True, nienawykła do dwuznaczności, łapie się na tym, że waży każde wypowiedane słowo, byleby tylko panował spokój. A to oznacza, że musi pertraktować z niewiedzą, nieświadomością.

Teraz nadszedł ten moment, gdy True uświadamia sobie, że jej cierpliwość wobec uporu Hanka zaczyna się wyczerpywać. Czym innym jest pewność Isabelle o trwałej miłości Douglasa. Wyrozumiałość True wobec milczenia Hanka słabnie, jest krucha, nie głębsza niż opalenizna.

To jej przypomina... ją samą.

Po prostu - w jednej rodzinie nie ma miejsca dla dwóch męczenników. To terytorium True zajęła już dawno temu - i ma do niego pełne prawo. Nie jest miło - wręcz okropnie - dopuścić podejrzenie, że poślubiła swoje lustrzane odbicie, chowa więc tę myśl głęboko w zaułkach mózgu jako czystą fantazję. Poza tym ona walczyła. Zmagala się z trudnościami i je pokonała. Hank szedł łatwą drogą od samego początku, ledwie wychynał z kanału rodnego. Czym usprawiedliwić jego wieczne narzekanie? True rozważa błędy Hanka, które są prawdziwe, niezależnie od tego, czy wynikają z jego braku doświadczenia, czy też nie. Był taki moment w zeszłym tygodniu, gdy Guy nabuzowany sportowymi wyczynami, trafianiem do kosza, skakaniem na deskorolce czy czymś podobnym, biegł alejką i natknąwszy się na Hanka, usiłował skoczyć na niego, rzucić mu się na szyję.

Ale Hank uściskał go tylko i szybko postawił na ziemi.

- O kolego - rzekł - jesteś za duży, żebym cię dźwigał. Musieliby mnie potem reanimować!

Wstyd Guya przemierzył trzymetrową odległość dzielącą go od siedzącej w biurze matki. Hank nie zdawał sobie sprawy, że Guy poczuł się wtedy dokładnie tak, jak dziesięcioletni chłopiec nie znosi się czuć, czyli jak dziecko - mimo że spragniony ojcowskich

uczuciu, zabiegał o nie właśnie w dziecinny sposób: zwijał się w kłębek tuż obok Hanka siedzącego na sofie, wynajdywał powody, dla których mógł dotknąć jego ramienia, wpadał na niego, gdy mijali się w drzwiach. Na takie gesty Hank zdaje się przyzwalać, ale wygląda na zakłopotanego. Poklepuje Guya, daje mu kuksańca w zabawie, ale nigdy go nie całuje. True chciałyby, żeby Hank nieproszony pocałował czasem Guya albo uściśkał, ale nie miała pojęcia, jak mu o tym powiedzieć, póki nie doszło do tamtego zdarzenia, gdy Guy usiłował rzucić się Hankowi na szyję. Owego dnia, leżąc już w łóżku, powiedziała:

- To było dla niego upokarzające.

- Co takiego? - spytał Hank, zajęty prasowaniem ubrania na następny dzień.

- Gdy nie chciałeś podnieść go do góry.

- Nie powinienś chciał, żebym go podnosił. Właśnie w tym rzecz, True. Dziecko w tym wieku nie powinno chciał, żeby je...

- Czy twój tata cię całuje?

True widzi, że Hank pragnie zdobyć w tej bitwie przewagę, posługując się tym, co zresztą jest w nim najlepsze. Hank nie kłamie, przynajmniej nie otwarcie.

- A co to ma wspólnego z dziesięcioletnim chłopcem, który zachowuje się jak niemowlę? Naturalnie, że tatuś mnie całuje, ale na Południu jest to...

- To stosowany przez dorosłego mężczyznę odpowiednik brania dziecka na ręce.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale od czasu do czasu. A on mnie nie odstępował. I bierze wszystkie moje rzeczy. Szczotkę do włosów, żel, ubrania...

Ubrania są przedmiotem nieustannych narzekań Hanka. Od pierwszej nocy, gdy się kochali, True nie ma pozwolenia na pożyczanie sobie koszul Hanka. Jak słusznie zauważył, on nigdy nie pożycza sobie jej bluzek.

Hank ciągle się skarży, że giną mu podkoszulki, że Guy zabiera je umyślnie i nosi je, by czuć się bliżej niego, a zarazem wyglądać doroślej i bardziej modnie. Hank sprawił sobie kosz na własne brudne rzeczy i pierze je oddzielnie - nawyk, jak mówi, z czasów ubożego kawalerstwa, gdy dbałość o każdą parę spodni i każdą koszulę z długimi rękawami była ekonomiczną koniecznością. True podejrzewa, że to coś więcej, że Hank czuje, jak wchłania go wspólne gospodarstwo, że jego tożsamość zaciera się we wspólnocie dóbr, ale True boi się o tym nawet wspominać. Mogłaby zostać oskarżona o sadzanie go na kozetce psychologa.

Dlaczego jednak dorosły mężczyzna nie potrafi przywyknąć do takich drobiazgów? Guy zawsze dostaje od Hanka ostrą burę, gdy ten znajdzie swoją koszulę rzuconą w kącie sypialni chłopca.

True próbuje więc wyjaśnić mu szczerze:



- Zabiera ci koszule z tego samego powodu, dla którego usiłuje skoczyć ci na szyję. Nie dlatego, że jest z nim coś nie tak, ale dlatego, że bardzo długo nie miał ojca. Chce być taki jak ty. Chce, żebyś go akceptował.

A Hank odpowiada uparcie:

- Dobrze, True, ale to dziecko musi już ważyć z pięćdziesiąt kilogramów. Nie mogę podrzucić go w górę, a następnie złapać jak dwuletniego brzdąca.

- I w tym rzecz. Nikt go nie podrzucał i nie łapał jak dwuletniego brzdąca od czasu, gdy miał cztery lata. Musisz traktować go ulgowo.

- Traktuję go ulgowo. Zapaprał mi ketchupem dwie najlepsze koszule.

- Koszule możemy odkupić, Hank. On potrzebuje twojej miłości. Pełnej miłości. Koszul także.

- Ale to są moje koszule.

- W rodzinie używa się wspólnie różnych rzeczy.

- One na niego nawet nie pasują. Sięgają kolan. Guy jest po prostu przyzwyczajony, że bierze, co chce. Widziałem któregoś dnia, jak się bawił moim zegarkiem kieszonkowym. Dostałem go od tatusia na maturę, rozumiesz?

- Może powinieneś dać mu parę swoich rzeczy, parę drobiazgów, żeby poczuł, że traktujesz go... jak swojego syna.

- Ale ja jeszcze tego nie czuję. Przyzwyczajam się... Staram się. Ale jeszcze nie czuję...

True nie wierzy własnym uszom.

- Jeszcze nie czujesz? - Jak ktoś może nie kochać Guya?, myśli True. Nie z jej punktu widzenia, ale obiektywnie? Próbuje jeszcze raz. - A możesz... udawać? Zanim nie poczujesz?

- Będę robił, jak uważam. Na swój sposób i w swoim czasie - mówi Hank łagodnie. - Nie w tym rzecz, że nie chcę.

- Rozumiem. Guy uważa, że może dotykać rzeczy ojczyrna. Ale to rzekomo niegrzeczność.

- Nie masz... Wiesz, czego nie ma w tym domu? Nieprzyjemny ton głosu Hanka niweczy najlepsze intencje

True. Czuje ona, jak narasta w niej złość, jak wyrastają jej pazury. Mówi aż nazbyt cicho:

- Powiedz! Czego?

- Pewnych zasad. Pewnych ograniczeń. Dziecko wchodzi do twojego pokoju, kiedy chce. Wchodzi do twojego biura i zaczyna mówić, nawet wtedy, gdy rozmawiasz przez

telefon...

- Wszystkie dzieci tak robią...
- Isabelle także wchodzi wszędzie, jakby była u siebie. Kathleen nawet nie puka...
- Czy ty pukasz do drzwi pokoju swojej matki?
- Nie o tym rozmawiamy...
- Chwileczkę. Pukałeś do drzwi matki?

- Do drzwi jej łazienki. Nas obowiązywały pewne zasady. Miałem trzy siostry i musiałem respektować ich prywatność. Nie wolno mi było dotykać ich rzeczy bez pozwolenia.

- On nie ma sióstr. Osobą najbardziej przypominającą mu siostrę była Esa. Ona mieszkała z nami przez osiem lat.

- Wobec tego musimy wprowadzić pewne zasady - mówi Hank, tłukąc żelazkiem w prasowaną tkaninę. - Jakies zasady. Chcesz coś wziąć, najpierw spytaj, czy możesz. Chcesz wejść, najpierw spytaj, czy możesz.

- Chcesz się przytulić, najpierw spytaj, czy możesz.

- To nie ma nic wspólnego z tobą, True.

Kolejna Wielka Cisza. Po dwóch dniach, podczas których ich rozmowy ograniczały się do „dobranoc” i „dzień dobry”, True poprosiła, by Hank poszedł z nią na spacer.

- Wiem, że cię uraziłam, ale powiedz mi, czym. Hank, z rękami w kieszeniach, wzrusza ramionami.

- No, powiedz. Cisza.

- Proszę. Słucham.

- Nie. Na pewno mi przerwiesz.

- Nie przerwę.

- To dobrze.

True czeka. Minutę. Dwie.

- Więc co jest nie tak?

- Widzisz? Przerывasz.

- Przecież nic nie mówiłeś!

- Ale chciałem. Przygotowywałem się.

- Niech będzie.

Mijają kolejne dwie minuty. True przysiada na pieńku, zdecydowana, że ani jedno słowo nie wyjdzie z jej ust, póki Hank nie zdradzi swoich myśli. W końcu jednak przerywa ciszę.

- Jestem przyzwyczajona, że przerwy między wypowiedziami nie trwają dłużej niż dwie minuty.

- Nie popędzaj mnie. Bo usłyszysz rzeczy, których nie chcesz usłyszeć.

- Nie ma niczego, czego bardziej nie chciałabym usłyszeć niż ta cisza, Hank. Ta cisza jest jak broń.

Skąd mężczyźni to umieją - straszyć ciszą jak karabinem? Dlaczego True także nie może się tego nauczyć? To niezwykła broń, o wiele skuteczniejsza niż gadanie. Czeka kolejną minutę, liczy: jeden, dwa, tysiąc. Czeka dwie minuty. Nigdy nie przypuszczała, że mogłaby pomyśleć o Hanku inaczej, niż że jest piękny. A jednak ta poza chłopczyka zdecydowanego nie odpowiadać na pytania jest przesłodzona. Gdyby siedzieli w łodzi, zdzieliłaby go wiosłem.

- Dobra - zaczyna wreszcie Hank. - Czuję się...

Mija minuta. Dwie.

- Jak?

- Czuję się... jakby mnie poźarto żywcem.

- Och!

Oto jak sprawić, żeby starsza pani powiedziała „bingo”. Ja pierdolę!

- Guy chce tego - ciągnie Hank - ty chcesz tamtego. Ciągle mnie obserwujesz. Jestem przyzwyczajony do własnej przestrzeni, True. Jestem przyzwyczajony do czasu... na przemyślenia. A teraz, zanim pójdę do pracy, Guy chce się ze mną bawić albo chce, żebym mu pomógł w lekcjach, albo chce mi pokazać, co narysował, albo chce, żebym posłuchał, jak śpiewa, albo ty chcesz, żebym coś przymocował, albo... czuję, że w ogóle nie mam czasu być sobą.

- Tak wygląda życie rodzinne.

- W mojej rodzinie tak nie wyglądało.

- Aha.

- Zastanawiam się, czy nie wziąć paru wolnych dni i nie wyjechać, żeby pomyśleć.

- O czym?

- Nie wiem... Nie wiem, czy jestem do tego stworzony, True. Wydaje mi się, że chciałabyś, żebym był od razu, z marszu, mężem i ojcem.

- Wcale tego nie chcę. Wiedziałaś, że to będzie wymagało dotarcia. Ale nie miałam pojęcia, że czujesz... że za dużo od ciebie wymagamy.

- Podejrzewam, że... jeśli mam być szczery, że nie zdawałem sobie sprawy, w co wchodzę.

True czuje, jak chłodna chmura paniki opada jej na głowę. Kuli się od jej zimna.

- Czy zamierzasz... mnie opuścić?

- Nie, właściwie nie.

- Właściwie?

- Nie.

- Jesteśmy małżeństwem. Czy... Gdy braliśmy ślub, sądziłeś, że będziemy ze sobą przez całe życie?

- Tak. Oczywiście, że tak. I nadal tak myślę. Nie wiedziałem jedynie, co to znaczy „na zawsze”. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie to będzie trudne dla faceta - może to tanio zabrzmieć - dla faceta, który sam dysponował swoim czasem, sam planował swój rozkład zajęć, spędzać całe życie z kimś innym. Nie zdawałem sobie sprawy, jak trudno jest być mężem i ojcem, i to tak od razu, tak nagle.

- Myślisz więc, żeby mnie opuścić, ale jeszcze nie teraz.

- Tego nie powiedziałem. Wkładasz mi w usta słowa, których nie powiedziałem.

- Nie robiłabym tego, gdybyś wykrzesał z siebie wreszcie coś niedwuznacznego. Coś bez „sądzę” albo „może”.

Hank zaczyna chodzić w tę i z powrotem - raz jest w cieniu latarni, raz poza nim. Na jego twarzy widać wysiłek. Wygląda to tak, jak na starym filmie z kiepskimi efektami. Jest facet. Nie ma faceta. Jest facet. Nie ma faceta.

- Nie wiem, czy wytrzymam tę nieustanną presję... ze strony ludzi, którzy ciągle czegoś ode mnie oczekują. Chodzi zwłaszcza o Guya. Wiem, że to biedne dziecko potrzebuje ojca, ale nie mogę wytrzymać, gdy ktoś mnie nie odstępuje...

- Ty dupku - mówi cicho True.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam: „Ty dupku”. Powinnam była powiedzieć: „Ty samolubny dupku”. Jesteś dorosłym mężczyzną, Hank. Miałeś ojca przez całe życie, gotowego ci pomagać, wysłuchać cię, pokierować tobą. Nadal rozmawiasz z nim, jak często? Raz na tydzień? Nie przeszło ci przez myśl, że Guy potrzebuje tego samego? - i dodaje: - A gdy prosiłeś, żebym za ciebie wyszła, czy nie pamiętasz, jak powiedziałeś: „Wiem, że Guy potrzebuje ojca”?

- Sądziłem, że to będzie łatwiejsze. Sądziłem, że Guy będzie łatwiejszym dzieckiem. Nie przypuszczałem, że przylgnie do mnie tak od razu.

- On jest łatwym dzieckiem - upiera się True. - Jest grzeczny. Ma dobre stopnie. Zwykle robi to, o co się go prosi. Wydaje mi się, że to, co masz na myśli, Hank, brzmi następująco: Guy jest dzieckiem, kropka. Ty nie przywykłeś do dzieci, kropka. Przynajmniej

do dzieci na co dzień.

On już nie pamięta, myśli True, że w dzieciństwie dni były długie jak tygodnie, a tygodnie jak lata. W lipcu Boże Narodzenie wydawało się niebywale odległe. W Boże Narodzenie wydawało się, że urodziny w marcu nigdy nie nadejdą. Jak mógł o tym zapomnieć? On, który przypomina jej, mówiąc o skokach na rowerze i innych zabawach, że wcale nie tak dawno sam był chłopcem.

- Hank, chcę cię o coś zapytać. Czy ktoś kiedyś z tobą zerwał?

- Nie wiem.

- Nie wiesz, czy ktoś kiedyś z tobą zerwał?

- Nikt nigdy ze mną nie zerwał, używając tak wielu słów. Myślę, że chodziło raczej o to, że przestawałem spotykać się z kobietą tak często, jak poprzednio, ale nie potrafię powiedzieć ci, tu i teraz, czyj to był pomysł, żeby się rzadziej widywać. Ale jeśli to był ktoś, z kim spotykałem się przez dłuższy czas, to nadal ze sobą rozmawiamy i... sam nie wiem. Bo co?

- Czy któraś z twoich kochanek ci się narzucała?

- Nie.

True ma wrażenie, że rozmawia z jedną z muzycznych książeczek, które miał Guy, gdy był mały. Naciskasz guzik i słyszysz piosenkę - za każdym razem tę samą piosenkę na tej samej stronie.

- Naprawdę nie wiesz, czy któraś z twoich dziewczyn ci się narzucała? Czy nigdy nie pokłóciłeś się z kimś, gdy ten ktoś działał ci na nerwy?

- Nie.

- Czy w ogóle kiedykolwiek kłóciłeś się z kimkolwiek?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? A dlaczego ty się kłócisz?

- To co robiliście, jak się nie zgadzaliście?

- Zawsze się zgadzaliśmy.

- Nawet w takich sprawach, jak, powiedzmy, polityka?

- Ktoś chyba kiedyś powiedział, że jestem zakonspirowanym mnichem.

- Zakonspirowanym mnichem?

- Bo powiedziałem, że podobają mi się ubrania mnichów. Długie, luźne szaty. Kobiety stroją się, a ty jesteś tylko ubrany. Nie musisz dobierać paska do butów. Kobiety mają lepiej.

True czeka, aż Hank skończy. Wie, że nie jest to najstosowniejsza chwila, by

debatować o wyskubywaniu brwi, makijażu i rajstopach.

- Czy ktoś kiedyś nosił twoje koszule?

- Nie.

- Dlaczego? A Lucy? Mieszkaliście w jednym domu. Spaliście ze sobą...

- Nie każdej nocy. Miałem swój pokój. Praliśmy nasze rzeczy osobno...

- Czuję, że przez całe życie rzeczywiście robięś wszystko „na swój sposób”, a gdy przestawało być po twojemu albo gdy zanosilo się na to, że nie będzie po twojemu, po prostu odchodziłeś.

- Możliwe. - Hank patrzy na True ze skupieniem na twarzy. - Może tak było. Nie lubię... Lubię, gdy są określone pewne zasady. Każdy to lubi.

- Ale teraz to niemożliwe. Teraz ani nie możesz określać zasad, a przynajmniej nie we wszystkim, ani nie możesz odejść - mówi True. Hank milczy. - Jesteś żonaty. Obiecaliśmy coś sobie. Na zawsze. W obecności innych.

- Martwisz się, co pomyślą inni? Czy martwisz się o nas?

- O nas! Nie obchodzi mnie, co myślą inni. Gdybym się martwiła, co myślą inni, nie wyszłabym za ciebie. Nie chciałabym żyć bez ciebie. Żyć tak jak przedtem.

- Ani ja. I dlatego to jest takie straszne. Kocham cię, True. I zależy mi na Guyu. I nawet, niech to szlag, przywykłem do Kathleen. Ale ciągle się martwię, czy nie jesteś mną rozczarowana.

- Nie jestem. Nie jestem.

- Na pewno?

- Mogę być pewna co do jednego z nas. Nie wiem, czy mogę być pewna za nas oboje. Hank obejmuje ją ramieniem.

Gdy w kilka dni później wychodzą z Bistro - poprzedni wolny wieczór Hanka nie został wykorzystany z powodu sprzeczki - wieje silny wiatr. True ma gęsią skórę na ramionach. Hank, który upiera się, że płynie w nim gorąca krew, otacza ją ramieniem.

- Człowiek się cieszy, że jest lato, a tu taki ziąb - mówi, kręcąc głową.

Nikt nigdy nie wypowiedział prawdziwszych słów, myśli pośepnie True. Zaczynają padać wielkie, pojedyncze krople. Zbiera się na ulewę.

- Biegnijmy do samochodu! - woła True. - Po co tu stoimy?

- Zaczekaj - mówi Hank. - Zaczekaj chwilę. - Kulą się pod szerokim na sześćdziesiąt centymetrów daszkiem ganku Izby Handlowej, gdy deszcz leje jak z cebra. - Chcę cię zapytać o coś ważnego.

- O co? - pyta True niecierpliwie, drżąc z zimna.

- Czy zawsze stosujesz dezodorant pod pachy?

- Co? - True robi krok do tyłu i natychmiast jest kompletnie mokra. - Co? Jak śmiesz...

- Żartowałem. - Hank ściąga sweter i narzuca go na głowę True. - Chciałbym zapytać Guya, czy zgodzi się, żebym go adoptował. Nie spytałem go o zdanie za pierwszym razem, co, jak się okazało, było naruszeniem poczucia jego męskości, i miałem z tego powodu sporo kłopotów. Ale chcę, żeby wiedział, zanim pojedziemy do moich bliskich, że jest pierwszym chłopcem w rodzinie Bannisterów. Chcę go adoptować i czuję, że on także tego chce.

- Mówisz poważnie? - True jest wzruszona, ale i zdumiona. - Jak możesz myśleć o czymś takim po tym, o czym niedawno rozmawialiśmy? Że to dla ciebie takie trudne i tak dalej?

- Za bardzo się mną przejmujesz, True. Musisz się nauczyć traktować mnie jak wszyscy inni, nie brać wszystkiego aż tak poważnie.

- Adopcja mojego chłopca to poważna sprawa.

- Mojego chłopca - mówi Hank, a jego oczy nigdy nie lśniły aż tak bardzo.

- To kiedy? - pyta True, gdy ich usta się rozdzielają. Wargi Hanka mają smak soli, jakby deszcz był krwią.

- Może dziś? - pyta Hank.

Jadą po raz kolejny do prawnika. Tego, który pokazuje w uśmiechu wszystkie zęby, a wcześniej spisał ich testamenty. Nie po to, by ich zniechęcać, ale z poczucia obowiązku prawnik uprzejmie ostrzega, że miał w życiu do czynienia z przykrymi sytuacjami, gdy rodzice pobierali się, adoptowali dziecko małżonka, a potem rozchodzili, co było prawdziwą tragedią dla zdeorientowanego podopiecznego.

- Ile razy? - pyta True.

- Co najmniej kilkanaście - odpowiada prawnik, wyginając ze smutkiem usta. Jest przystojnym mężczyzną o wielkich niebieskich oczach i nakrapianej piegami łysej głowie, a mimo to udaje mu się mieć tajemnicze, ironiczne spojrzenie sowy wyglądającej z dziupli.

Milczą i wymieniają spojrzenia, nie zdając sobie sprawy, że inni mogą je postrzegać jako wyraz niepewności i zaniepokojenia.

- Jesteśmy zdecydowani - mówi w końcu Hank. - Uważamy, że to ważne dla Guya, dla jego poczucia bezpieczeństwa.

- W istocie - przyznaje prawnik. - Ale może też to być dla niego źródłem poczucia braku bezpieczeństwa, jeśli sprawy nie ułożą się tak, jak trzeba. Adopcja nie podlega przedawnieniu.

- Jesteśmy tu i mamy za sobą wszystkie czynności przygotowawcze - wzdycha True. -

Badania krwi, badanie na gruźlicę i testy psychologiczne. A to wszystko podlega przedawnieniu.

- Zatem myślą państwo praktycznie - mówi prawnik.

- Nie. Tak jak powiedział Hank, myślimy o bezpieczeństwie Guya - odpowiada True. - O prawdziwych działaniach, nie o gestach. Mówiłam panu, gdy podpisywaliśmy testamenty, że nie będzie takich okoliczności, w których nie chciałabym, by Guy nie był synem Hanka.

- A zatem sprawa jest prosta.

A jednak True martwi się, ilekroć dostrzeżga któreś ze spojrzeń Hanka skierowanych w nieokreśloną przestrzeń, zastanawia się, czy postępują słusznie i czy postępując w ten sposób - True rozumie, że ze strony Hanka jest to gest mający ją uspokoić - nie ranią Guya. Jednak na parę dni przed dopełnieniem formalności wydarzy się coś, co ją ostatecznie przekona. Coś, co True potraktuje jako znak.

W niedzielny poranek True spotyka Guya na ścieżce przed domem.

- A dokąd to tak wcześnie?

- Jadę z tatą rozwieźć podarunki.

- Podarunki? - pyta True. - Jakie podarunki?

- Dla biednych ludzi, którzy mówią po francusku. Do The Breakers - dwa. I jeden do baraku. Razem trzy.

- Mówisz, jakbyś to już kiedyś robił - mówi True.

- Robiłem, jak mieliśmy zajęcia z kultury regionu.

- Co robiłeś?

- Rozmawiałem, włóczyłem się po okolicy. Hank pytał, czy zechcę nazywać go tatą po adopcji.

- No i...? - dopytuje True.

- Poszliśmy do tej kobiety. Ona ma trzydzieści kotów, mamó, i jest dla nich naprawdę bardzo dobra, i ma piętnaście pojemników na śmieci. Wcale nie było bałaganu, ale ludzie z innych mieszkań zabrali jej wszystkie koty. Z wyjątkiem jednego. Ona kocha koty tak bardzo, że nawet córce dała na imię Kitty.

- A co odpowiedziałeś Hankowi?

- Właśnie próbuję nazywać go tatą. Zobaczę, czy mi będzie pasować. Hank powiedział, że może tak być.

- A zapytał cię, co myślisz o adopcji?

- Tak.

- I co mu powiedziałeś?



- Powiedziałem mu, że kiedy pierwszego wieczoru zapytałaś mnie o to... to aż płakałem w łóżku, bo... wiesz, mamo, to nie w porządku wobec taty. Ale Hank uważa, że tata na pewno o tym wie i że na pewno by powiedział, że Hank jest tylko dodatkowym tatą, a nie tatą zamiast niego. Hank wierzy w niebo, wiesz?

- Myślisz, że to głupie?

- Nie - mówi poważnie Guy. - Nie całkiem. Nie chcę być jedynym dzieckiem w szkole, które przez całe życie nie ma taty. Doszedłem do wniosku, że skoro on i tak tu mieszka, to mogę się zgodzić. Głupio jest mieć ojczyzna. To tak brzmi, jakbyś była po rozwodzie.

- I co on na to?

- Powiedział, że jest mu... Powiedział: „dziękuję”.

- Mogę z wami pojechać, chłopcy?

- Nie wiem. Muszę spytać Ha... tatę.

True planowała spędzić ten rano na odrabianiu papierkowych zaległości, porządkowaniu adresów znajdujących się nie na swoich miejscach i segregowaniu dokumentów; co dziewczyna zastępująca Esę zaniedbała. Nie ma żadnego interesu w tym, by opuścić biuro, ale ma wielką ochotę znaleźć się obok syna siedzącego między nią a Hankiem w ciężarówce męża. Zamiast czekać, aż Hank przyjedzie po Guya, jedzie z nim do Jedynej, gdzie jej mąż ładuje do aluminiowego pojemnika paczuski zawinięte w folię albo w polistyren.

- Co to takiego? - pyta niewinnie True.

- Jedzenie - odpowiada Hank. - Nie musiałas go przywozić, kochanie. Właśnie miałem pojechać.

- Chcę jechać z wami. Wiem, że to jedzenie. Ale dla kogo? - Dla moich znajomych.

- To wiem, Hank. Guy mi powiedział. Ale czy to znaczy, że dostarczasz ludziom ciepłe posiłki? - Hank milczy. - Zawozisz je biednym, Hank?

- Biednym, którzy mówią po francusku - wtrąca Guy. - Comment ga va? Bonjour, Madame Le Chat (Co dobrego? Dzień dobry, pani Kot (Kocia Mamo)).

- Bardzo dobrze, Guy - mówi Hank.

- Nie zapomnijcie o mnie - wtrąca True.

- Chyba nie chcesz naprawdę jechać, True - stwierdza Hank. - Tam nie jest elegancko. Tam śmierdzi. Oni śmierdzą, jeśli chcesz wiedzieć.

- Chcę pojechać.

Na twarzy Hanka widać wysiłek, taki sam jak na twarzy Guya, gdy syn stara się nie

płakać albo się nie śmiać.

- No dobra, wskakuj.

Jadą daleko na południe, do Hyannis, na ulicę za dworcem autobusowym. Tam znajduje się The Breakers, dom pomocy społecznej. Nie zasługuje on na swoją nazwę, bo mieszkający tam starsi i ułomni ludzie nie otrzymują żadnej pomocy z wyjątkiem pogotowia ratunkowego. True widzi czasami karetki przed frontowym wejściem, gdy odwozi Guya na lekcje muzyki albo na próbę do teatru. Miejsce jest skandalicznie brudne i ciasne. Zmatowiałe od brudu szyby nie były czyszczone z zewnątrz od lat. Widać na nich jedynie ślady wzruszającego wysiłku, który podejmują niektórzy mieszkańcy, by umyć je od wewnątrz - okrągłe świetliki, podobne do tych, jakie powstają zimą na zamarzniętych szybach od dziecięcego chuchania.

Pierwsze kroki kierują do staruchy, którą Guy (i Hank, o ile wiadomo True) nazywa Madame Le Chat.

- Allol - woła Guy. - Bonjour, Madame Le Chat! Nous aves steak avec lager et tarragone.

- J'avez... - poprawia spokojnie Hank.

- Pewnie. Żabi skrzek z oranżadą. - Guy spogląda na Hanka. - Mniam, mniam, pycha!

- Bonjour, Gee - mówi drobna kobieta, której członki są krótsze niż u przeciętnego człowieka - może od urodzenia, może wskutek choroby - i tak powykręcane, że nawet wąż nie ryzykowałby z własnej woli takiej ekwilibrystyki. Kobieta sunie w głąb pokoju na świszczącym elektrycznym wózku. Pomieszczenie jest duszne i pełne zapachów, których True nawet nie próbuje identyfikować.

- Bonjour, Henri. Qui est cette belle femme?"

- Dzień dobry, Henri. Kim jest ta piękna pani?

- C'est... ma filie - odpowiada Hank, całując sękatą, niebieskawą dłoń. True jest wzruszona i zakłopotana. Nazwał ją swoją dziewczyną, a nie legitime, legalną żoną. Ale może to nie kreolski, który ma własną idiomatykę, i nie francuski, jakim mówią paryżanie. Może legitime jest staromodne.

- Elle est si belle\* - szepcze Madame, kiwając szponiastym palcem. Spod pomarańczowego wełnianego szala, który ma na sobie mimo obezwładniającego gorąca, wychyla się maleńki, czarno-brązowy włochaty łepiek.

- Le chat! Nie powinna pani trzymać tu kotów, Madame - mówi Guy - Znowu narobi sobie pani kłopotów.

- Ten tłusty głupek - stwierdza Madame - zabrał mi wszystkie mes bebes, moje dzieci.

J'ai une seule\*\*. No, powiedzmy trzy.

- Oft est Kitty?\*\*\* - pyta Hank, kładąc stek i serwetkę oraz stawiając małą plastikową szklaneczkę wina na stole lepkiem od kurzu i tłuszczu, pełnym kocich kłaków. Madame wzrusza ramionami. Hank odciąga True na bok i szepcze:

- Kitty jest poniekąd... stracona. Podobnie jak koty. Ona także powinna zostać wykastrowana. Ale jest miła. Ma ze dwadzieścia pięć lat. Zagląda czasami do mamy, co nie jest źle jak na dzieci tutejszych mieszkańców.

Hank podchodzi do starszej kobiety, całuje ją w oba policzki i jada dalej. True nigdy nie kochała męża bardziej niż teraz, gdy bezinteresownie daje coś z siebie innym.

Następny przystanek to barak, który True już kiedyś widziała. Zawsze sądziła, że jest opuszczony, krzywy jak wyrwana z zawiasów brama na pustej działce koło lotniska. Nigdy nie widziała rzędu palących się chińskich latarni, mimo oślepiającego słońca.

- Hank, bastardl\*\*\*\* - woła starszawy Mulat w wyświechtanym, zapoconym kapeluszu z szerokim rondem. Podchodzi, by otworzyć drzwi, wspierając się mocno na lasce z bambusa. - Ifils Henry'ego. Comment tu ras?\*

- To stary lubieżnik - ostrzega Hank.

- On mówi „cycki” - dodaje Guy. Hank otacza True ramieniem.

- Cette femme est moją żoną - mówi do mężczyzny, który ma na imię Claude. - c'est que tu fait, Claude? Tu avais biblios? Je bring cuisine, mais delicieuses\*\*, człowieku.

- Claude jest z Bayou Forche - szepcze Hank do True. - Czas kalectwa spędza na obstawianiu zakładów konnych, ale dzięki Bogu ma szczęście i nie przepija wszystkiego. - Twarz starego człowieka rozjaśnia się na widok mięsa.

- On uważa, że owoce morza są dla zniewieściałców - mówi dalej Hank, gdy Guy ugania się po pokoju za wiekowym spanielem starszego pana.

- Jeździ pan konno, panie River? - pyta True.

- Riviere - poprawia Hank.

- Tak. Mam dwanaście koni. Uczę... equestrienne, dressage. L'air ponad la terre\*\*\*.

- Ma na myśli konie lipicańskie. Nie wiem, czy kłamie, czy nie - mówi Hank. - Ale na fotografiach widać, że trenował konie.

Zdjęcia wiszą na honorowym miejscu: elegancki, wyprostowany Claude Riviere z lśniącym łbem kasztanowatego ogiera przy policzku, za nim, na płocie, siedzi piękna Hiszpanka albo Indianka; Claude Riviere pochyla głowę, przyjmując medal; Claude na szarym arabie z plecioną grzywą. True zastanawia się, czy gdyby człowiek potrafił przewidzieć, że jakiś etap w jego życiu przyniesie klęskę, umiałby coś zmienić, wprowadzić

jakieś poprawki, by pozostać na powierzchni, zamiast stoczyć się na dno? Czy gdyby to było możliwe, ludzie dawaliby wiarę takim przewidywaniom i wybierali inną drogę, zamiast wkraczać na równię pochyłą, czy raczej lekceważyliby szansę? Czy wierzyliby, że może spotkać ich los, jaki stał się udziałem Monsieur Claude'a?

- Jak go znalazłeś? - pyta True, gdy Guy i Hank krzyknęli: Au revoir!, a Claude zrobił jakąś niezrozumiałą uwagę dotyczącą anatomii True. Wyjaśnił jej również, że latarnie oznaczają Mardi Grcis, tout le monde toujours\*.

- O Marie, to jest o Madame, przeczytałem w gazecie, gdy odebrali jej koty. Pomyślałem, że to idiotyczne nazywać córkę Kitty. Ale potem doszedłem do wniosku, że pojedę i ją odwiedzę, bo w artykule napisano, że jest przestraszona i nie mówi dobrze po angielsku. Pochodzi z... nie wiem, chyba z Belgii czy skądś. Prawie jej nie rozumiem. Poszedłem więc i ona opowiedziała mi o Claude. Na Blanche, do której teraz pojedziemy, natknąłem się w księgarni. Była na wózku. Ma reumatyzm.

- Ta biedna kobieta jest w twoim wieku, mamó - dodaje Guy. - i ma na tatę wielką ochotę.

- Wcale się jej nie dziwię - mruczy True. - Hank, czy ci ludzie... nie dostają jedzenia z... publicznych pieniędzy?

- Dostają, ale gówniane. Instytucjonalne popłuczyny. Biały chleb w zamkniętym opakowaniu, tak wilgotny, że nadaje się tylko na robienie kulek. Postanowiłem więc, że raz w tygodniu będę, no wiesz...

- Dlatego w soboty przygotowujecie dodatkowe posiłki. - True kiwa głową. - Myślałam, że to bonusy dla pracowników. Wiesz, teraz sama czuję się winna. Czy możemy dać im trochę pieniędzy, żeby jakoś... lepiej mieszkali?

- Nie. Nie przyjmą ich.

- Dlaczego?

- Nawet bym nie pytał. Lubią zjeść coś dobrego, poza tym to okazja, żeby pogadać. W gruncie rzeczy nic wielkiego, True.

Odwiedzają Blanche. Jej twarz byłaby piękna, gdyby nie niszczycielski wpływ choroby i lekarstw. Hank zamocował jej coś w rodzaju stojaka, na którym kładzie otwarte książki, bo nie może utrzymać ich zniekształconymi dłońmi. Książki leżą na każdym stoliku, zapelniają wszystkie półki, a nawet suszarkę obok zlewozmywaka. Następnym razem, przyrzeka Hank łamanym francuskim, przyniesie jej parę nowych książek (True wtrąca: „Mam ich tony. Przyniesiemy parę nowych powieści”) i danie z krewetek. Blanche promienieje uśmiechem, ale na True spogląda spode łba.

Gdy Hank wyjaśnia, że True jest jego żoną, Blanche wzdycha Mon dieu. Ściany obwieszane są plakatami, takimi, które każdy może mieć, na przykład Absinthe Drinker Toulouse-Lautreca, ale i rzadko spotykanymi, takimi jak na przykład oprawiony plakat informujący o wystawie Moneta w Barcelonie w 1982 roku.

- Blanche była chyba nauczycielką albo studentką sztuk pięknych - mówi Hank. - Ma sporo obrazów, które sama namalowała. Leżą teraz w rulonach w jej sypialni.

- Może sfinansujemy ich oprawienie?

- A, to dobry pomysł. Pewnie by się jej spodobał.

Ostatnia wizyta, znowu w The Breakers, u starszego mężczyzny, którego jednak nie zastają. Starzec nieustannie odwiedza lekarzy. Ma osiemdziesiąt osiem lat i raka kręgosłupa, który powoli go zabija - tak powoli, że umrze zapewne na coś innego. Właśnie złamał rękę, jadąc motocyklem do skrzynki pocztowej.

- Bardzo bym chciał, żebyś poznała Jeana - mówi Hank - ale nigdy go nie ma. Zwykle po prostu zostawiam mu jedzenie. Gee, weź kości. - Guy wskakuje do kabiny ciężarówki i przynosi papierową torbę. - Dla Słodkiej Sue, jego psa. Nikt nie wie, że ona tu mieszka. To collie, taki pies, jakiego chce mieć Gee. Potrafi leżeć cichutko.

True nie może pojąć, jak prawie dziewięćdziesięcioletni staruszek może jeździć motocyklem.

- Och, Jean jeszcze nieraz się nim przejedzie. Powinnaś zobaczyć ten motocykl. Gdzieś tu stoi. - Motor musi mieć ze czterdzieści lat, ale lśni jak srebrny guzik przy nowym blezerze. - Jean bardzo się o niego troszczy.

- Przewiózł mnie nim ostatnim razem! - wykrzykuje Guy ku przerażeniu True.

- Czy on jeszcze widzi?

- Nie bardzo - mówi Hank. - Przewiózł go tylko po parkingu.

- Dlaczego mi o tym wszystkim nie opowiedziałeś? Przyjeżdżasz tu... Robisz to od samego początku? Od kiedy masz restaurację? - pyta True w drodze do domu. Hank kiwa głową i wykonuje jakiś lekceważący gest. Nagle True mówi: - Potrzebna ci jest nowa ciężarówka, Hank.

- Jasne, że potrzebna. Ta staruszka ma już ze dwieście tysięcy przebiegu. Ale przez to twoje pilnowanie księgowości obawiam się, że nie możemy sobie teraz na to pozwolić - odpowiada Hank.

- Możemy. Jedźmy, obejrzymy auta. Teraz. Po prostu zobaczmy, co jest na rynku. Z tylnym siedzeniem dla psa i Guya oraz... innymi rzeczami. - Hank uśmiecha się, sądząc, że True chodzi o wygodne miejsce dla kochanków, ale ona myśli jedynie o miejscach do

siedzenia. - Jedźmy, obejrzyjmy samochody.

- Kupmy czerwoną! - woła Guy. - Ja głosuję za czerwoną.

- Nie! Stalową! - przekomarza się z nim Hank. - Stalowe są dla starych. Takich jak ja.

- Na pewno wolisz czerwoną.

- Dobrze, niech będzie czerwona - przystaje Hank i gdy Guy radośnie wyskakuje z samochodu, usta ojczyrna muskają jego policzek.

Gdyby True się modliła, modliłaby się teraz, żeby zazdrośni bogowie nie czuli się obrażeni radością Hanka, gdy znalazł idealnego czerwonego forda, i by zostawili ich troje w świętym spokoju.

Kurator społeczny, który przyszedł do nich po raz drugi z krótką wizytą w ramach procedury przygotowawczej do adopcji, spytał Guya:

- Czy chcesz, żeby Hank był twoim prawnym ojcem?

- Nie może być moim naturalnym ojcem - odpowiedział Guy. - Ale nie pamiętam mojego prawdziwego ojca, więc chyba wszystko jest w porządku.

Kurator rozmawiał też z Guyem w cztery oczy w jego pokoju, a potem szepnął True, żeby się nie niepokoila - to Guy bardziej zabiega, żeby Hank pokochał jego, niż na odwrót. True opowiedziała o tym Hankowi.

- Wydzielę część koszul w mojej szafie, żeby mógł je sobie do woli niszczyć - odpowiedział Hank z grymasem żalu na twarzy.

Kilka dni później, w nocy przed rozprawą sądową, True budzi się i wiedzona instynktem idzie do pokoju Guya. Nie słyszała żadnego odgłosu, nic, co mogłoby ją zaniepokoić. To tylko przeczucie. Guy ma zamknięte oczy. W świetle księżycy wygląda jak alabastrowa figura nagrobna. True już zamierzała wycofać się na palcach, gdy Guy się odezwał:

- Nie śpię.

- A co robisz?

- Modlę się.

- Uhm.

- Przepraszam tatę.

True czuje, że coś ją ściska za gardło.

- Kochanie, nie sądzę, by tego od ciebie oczekiwał.

- Przepraszam go, bo go nie znałem i nie chcę, żeby pomyślał, że o nim zapomniałem.

Mówię mu, że pewnego dnia w niebie przedstawię mu Hanka. Myślisz, że by się polubili? Obaj lubią łowić ryby...

- Myślę, że tak.

- Czy Hank jest taki dobry jak tata? To podstępne pytanie.

- Tak - odpowiada poważnie True. - Nie wybrałabym ci taty, który nie byłby równie dobry jak twój prawdziwy, pierwszy tata. A skoro wierzysz w niebo, nie wydaje ci się, że tata pomógł go wybrać? Biorąc pod uwagę, że pojawił się tak niespodziewanie... - True jest gotowa uwierzyć w interwencję sił boskich, chociaż do tej pory coś takiego nigdy nie przeszłoby jej przez myśl. - To całkiem prawdopodobne.

- Może.

True bierze Guya w ramiona i trzyma go jak wtedy, gdy był małym dzieckiem, patrząc mu w twarz.

- Jesteś bardzo dzielny, Guy. Myślę, że naprawdę ufasz mamie, niezależnie od tego, że miałeś mi za złe...

- W gruncie rzeczy kocham cię, mamusiu. Nadal cię kocham. Ale ufam też Hankowi. Przyrzekł mi na honor, że zawsze będzie się mną opiekował. Wyzwę go na pojedynek, gdyby było inaczej.

- Ach, rozumiem.

True milczy przez chwilę, a potem mówi:

- Świetnie wiesz, że najbardziej kocham cię, Gee. I prawdę mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy chcę się tobą z kimś dzielić.

Taka jest, jak się nagle okazuje, prawda. - Ja też nie chcę się tobą z nikim dzielić, mamo. Ale wiesz... Samo życie - mówi Guy.

Następnego popołudnia, gdy True kończy długą i wyczerpującą rozmowę z Lanym Sornbergerem, podczas której musiała koić jego zranione uczucia i błagać go, by następnej wiosny dostarczył im świętych kaczek, uświadamia sobie, że już prawie się spóźnili na sprawę adopcyjną.

- Ciężka cholera - mówi do Kathleen. - Nie wiesz, gdzie jest moja komórka? Umówiłam się z Hankiem o trzeciej przed sądem. A jeszcze muszę zadzwonić do Franny, żeby zatrzymała się przy sklepie z samochodami. Ty przywieziesz Guya, zgoda?

- Jesteś pewna, że to dobrze? - pyta Kathleen.

- Co?

- Z tą adopcją. Przecież to znaczy, że Hank będzie jego prawnym ojcem.

- Nie mów! Jesteś tego pewna?

- Poważnie, True. To jeszcze większe zobowiązanie niż małżeństwo. Chodzi o całe życie tego dziecka.

- On kocha Hanka, mamó. Wiem, że to wszystko tak szybko poszło, ale obaj się zmienili. Dziecko jest podatne, a Hank stara się, jak potrafi.

- A jeśli się rozejdziecie?

- Guy nadal będzie kochał Hanka, mamó. A ja nadal będę chciała, żeby był ojcem Guya. Ile razy mam jeszcze do tego wracać? Co by było, gdybyście rozeszli się z ojcem? On nadal byłby naszym ojcem.

Kathleen milczy przez chwilę.

- On już był waszym ojcem.

- Posłuchaj, mamó. Przyjedziesz czy nie? Decyduj. Bo jak nie, to poproszę Franny, żeby go przywiozła. Nawet jeśli będzie musiała wcześniej wyjść z biura.

Kathleen wzdycha i wyłącza komputer.

O czwartej po południu, podczas ostatniej rozprawy tego dnia, sędzia Clark Halliwell mówi: „Niniejszym ogłaszam, że od tej chwili i na zawsze są panowie w obliczu prawa ojcem i synem”.

Podobny do gnoma prawnik z Dennis, ten sam, który sporządził ich testamenty, zaofiarował się przejrzeć papiery.

- Czy wszystko jest tak, jak trzeba? - pyta.

- Mogę zobaczyć? - mówi Guy. - Nie. Chcę, żeby było Guy Lemieux Bannister. - Hank pochyla głowę i dotyka ramienia Guya. - Po obu moich ojcach.

Wszyscy przelękają ślinę.

- A ja? - odzywa się True. - A co z moim nazwiskiem? Dickinson?

- Będę musiał mieć dwa prawa jazdy - jęczy Guy.

- Możesz używać inicjałów - szepcze prawnik.

- Zgoda - mówi Guy.

Sędzia przywołuje urzędnika, który wraca niebawem z poprawionymi dokumentami.

- Może to zrobić? - pyta True.

- Jeśli pani tego chce - stwierdza prawnik. - Prawo, jak to się mówi, nie zabrania. Może zmienić nazwisko na Howdy Doody, jeśli mu pani pozwoli. Albo na Batman. Albo na Artysta Były Książę.

- Teraz wszystko będzie dobrze - mówi Hank. - Chodź, babciu - dodaje, obejmując Kathleen. - Czy ciebie także powinienem adoptować?

- Dostałeś ją razem ze mną - mówi dumnie Guy. - W pakiecie.

Gdy wychodzą na zewnątrz, Franny stoi na krawężniku oparta o wielkiego czerwonego fordę z ogromną kokardą zrobioną z kilometrów (całego zapasu miejscowego



kwiaciarza) zielonej wstążki.

- Powóz zajechał, Monsieur Le Papa - mówi Guy z głębokim ukłonem. Hank łapie syna pod pachę i kręci nim młynka. Jak widać, potrafi go unieść, i to bez kłopotu.

W następną niedzielę, przy basenie w ogrodzie Franny, oniemiała True obserwuje przyjaciółkę, która smaruje nagie piersi, brzuch oraz ramiona i kładzie się na słońcu, niczym ofiara na ołtarzu. Franny - nieulekła śniada Irlandka - jest jedyną znaną True kobietą, która nadal się opala.

- Myślę, iż Hank ma wątpliwości, czy słusznie postąpił, że się ze mną ożenił - mówi wreszcie True.

- A ja myślę, że masz niedobrze w głowie - odpowiada Franny. - Dopiero co adoptował twoje dziecko i wygląda na szczęśliwego jak kot, który upolował kanarka, a ty...

Franny zwilża gardło napojem Sport 20 Plus. Basen Franny usytuowany jest w głębi otoczonej paprociami i drzewami niecki. Franny i Steve nieraz organizowali barbecue z pływaniem na golasa pod nieobecność Angelique i Clainey, odwiezionych do Mashpee do matki Steve'a. Dziś, jak zawsze zresztą, jeśli chodzi o słońce, True jest bardzo ostrożna. Ma na głowie słomiany kapelusz z szerokim rondem i zastanawia się nad kostiumem kąpielowym z wysoką stójką pod szyją. Jedyne, na co sobie pozwala, to raz na godzinę zrzucić na parę minut ręcznik z pleców - niczym ekshibicjonista w bostońskim parku. Tylko raz, i to w kompletnych ciemnościach, rozebrała się podczas barbecue do naga. Bardzo jej się podobało pływanie bez niczego, nurkowanie w ciemnoniebieskiej wodzie, ocieranie się ciał w zmysłowy, ale nie seksualny sposób.

- Wszystko pięknie ładnie, ale chciałabym, żeby pieścił mnie tak, jak nową ciężarówkę - szepcze True.

- Daj spokój - mówi Franny - nikt nie robi tego codziennie, gdy miną pierwsze dwa miesiące.

- Nigdy nie robiliśmy tego codziennie. A przecież jest młodszy. Hormony powinny go rozpierać.

- Jak nic masz większe potrzeby seksualne niż on. Mężczyźni jakoś flaczeją po trzydziestce.

- Wspaniale - zrzędzi True, naciągając kapelusz mocniej na oczy. - Ja mam potrzeby, a on sflaczał. Czy powinnam była wyjść za osiemnastolatka? Kiedy chodziliśmy ze sobą...

-...przez cały ten tydzień... - wtrąca Franny, chichocząc.

- W każdym razie na początku powiedział: „Wystarczy mi pół godziny i mogę na nowo”.

- Ale... - próbuje przerwać jej Franny.

- A tymczasem widzę, że faktycznie: pół godziny i spać. - True ma nastrój na narzekanie i nie da się jej od tego odwieść.

- Nie nawykł do ciągłych podniet.

- Sądząc po liczbie kobiet, podejrzewam, że miał w życiu mnóstwo podniet.

- True, przestań z tym wreszcie. Masz obsesję na punkcie jego przeszłości. Naprawdę, masz obsesję. Nie cieszysz się, że próbował wody z wielu źródeł, by wybrać najsmaczniejszą? Myślę, że po prostu nie nawykł do życia z matką z dzieckiem, i w dodatku z teściową. A teraz jeszcze z synem.

- Boże! Jakbym już tego nie słyszała!

- A więc wiesz, w czym rzecz, i jeszcze mnie pytasz?

- Wiem, w czym rzecz, ale nie wiem, co się pod tym kryje. Chodzi o te podniety.

Zupełnie jakby się wychowywał pod kloszem.

- Nie całkiem. To ty stawiasz przed nim ponadprzeciętne wyzwania.

- Dlaczego?

- Choćby twój dom, w którym panuje wieczny ruch i ciągle coś się dzieje. Był prawdopodobnie przyzwyczajony do piwa i telewizji po pracy.

- Nie musi być... ofermą.

- Przywyknie. Ale mówisz, że jeszcze coś jest nie tak.

- Nie wiem dokładnie, co - mówi True.

- Spróbuję zgadnąć.

- Mianowicie?

- Pilnujesz go, jakby chciał...

- Jakby chciał?

- Jakby chciał uciec z pierwszą irlandzką kelnerką, która mu się nawinie.

- No i co?

- No i skończ z tym. Ignoruj to. Kiedy mężczyzna ogląda menu, wcale nie znaczy, że coś zamówi. Zachowujesz się, jakbyś czekała, że zrobi coś, czego nie chcesz, żeby zrobił. Jakby ci to sprawiało satysfakcję.

- To idiotyczne.

- Też tak sędzę.

- Nie. To, co mówisz, jest idiotyczne. To ostatnia rzecz na świecie, jaka mogłaby mi sprawiać satysfakcję.

Leżą, słuchając kardynałów szczebioczących w gałęziach sosen ponad ich głowami.

- Chyba powinnam zająć w ciążę - stwierdza True.

- Tak bez uprzedzenia? To prawie pewne przypięczętowanie małżeństwa. Tak samo jak przypięczętowanie jego końca.

- O mało nie zwariował z radości, gdy jego siostra urodziła w zeszłym tygodniu...

- Ale tak prędko?

- Ja nie młodnieję, Franny. Jak chce mieć ze mną dziecko, to musi się wziąć do roboty.

- Robiłoby mu różnicę, gdyby to nie było jego dziecko biologiczne? Moglibyście zaczekać, aż małżeństwo się ustabilizuje, i adoptować.

- A od kiedy to małżeństwo musi mieć system korzeniowy jak sekwoja? Mnóstwo ludzi, którzy „muszą” się pobrać, zostaje małżonkami. Sądząc po zachwytach nad „wykapanym Bannisterem”, robiłoby mu różnicę.

- Jak to dziecko ma na imię?

- Carr (samochód).

- Ślicznie. A inne dzieci... bo jego siostra ma jeszcze inne dzieci, prawda?

- Nie wiem. Ale pewnie Roof i Boat (dach, łódź).

- Jesteś okropna.

- Tak, jestem. I jestem zazdrosna. Wiem o tym. Nie muszę pytać psychologa, żeby wiedzieć, że kochałby to dziecko bardziej niż Guya. Bliższa koszula ciała.

- Taka jest natura ludzka - mówi Franny z denerwującą logiką. - To dziecko rosłoby na jego oczach. A może i wcale tak nie jest. Osobiście nie uważam, by więzy genetyczne były aż tak ważne. Ręce mi się wyciągają do każdego dziecka. A moja Angelique wydaje mi się kimś obcym.

- Łatwo ci powiedzieć.

- Mówiłam ci, że wypełniliśmy w zeszłym tygodniu papiery? Pojedziemy do Teksasu, a nie do Chin. Musisz mieszkać w danym kraju co najmniej sześć tygodni! A Steve, wrażliwy człowiek, mniema, że latynosczy chłopcy są lepiej predysponowani genetycznie do bejsbola. Nie przejmuj się, True. Hank ma dobre serce. Daj mu trochę czasu. Przejdzie mu starokawalerskie samolubstwo. Spoztrzeże, że małżeństwo to jedna wielka wspinaczka. Guy jest takim słodkim małym niedźwiadkiem. Zawojuje go. Guyowi pewnie trudno jest pojąć, że dorośli potrzebują własnej przestrzeni. Ty zresztą nigdy tego specjalnie nie potrzebowałaś.

- Nie miałam szans - mówi True. - Może i nawet potrzebowałam czasu... na refleksję i różne bzdury, których ludzie potrzebują. Ale co niby miałam robić? Przywiązać Guya do nogi od stołu na czas moich rozmyślań?

- Samotni rodzice muszą umieć się dostosowywać. Samotni mężczyźni - nie.

Ale są też ludzie, którzy przycinają kawałki puzzli, żeby do siebie pasowały, i True, jako dziecko, do nich właśnie należała. To zresztą doprowadzało jej matkę do białej gorączki. Teraz True postanawia zrobić dwie rzeczy, które pomogą Hankowi wdrożyć się do rodzinnego życia - zająć w ciążę i usunąć „drugą brodeę”. Te dwie sprawy mają ze sobą, jak sądzi True, ścisły związek. Jeśli pozwoli odessać sobie tłuszcz

z tego, co nazywa „wole”, nadając tym samym podbródkowi młodzieńczy zarys, bardziej będzie przypominała kobietę, którą zapłodniłby Hank, gdyby poślubił jedną z naturalizowanych cudzoziemek ze zdjęć z brązowej koperty. Te kobiety nie mają wprawdzie nazwiska, ale mają podniecające podbródki. Psychoterapeuta nazwałby to myśleniem magicznym, ale True się nie przejmuje. Nigdy nie stosowali środków antykoncepcyjnych, więc ciąża wcale nie będzie dla Hanka niespodzianką.

Wtedy kobiety z brązowej koperty znikną z jej snów, tak jak zniknęły z jej cedrowego kufra.

Umawia się z poleconym przez Holly Bourse chirurgiem plastycznym na dwa tygodnie przed planowaną podróżą do Luizjany (na szczęście Hank przystał na koncepcję lotu samolotem). Umawia się także z lekarzem specjalizującym się w zagadnieniach związanych z zachodzeniem w ciążę i dowiaduje się, że urządzenie, które już kupiła, oraz analiza spermy męża to wszystko, co będzie potrzebne. True czeka na miesiączkę z niecierpliwością siedmioklasistki, żeby jak najprędzej zacząć odliczanie dni.

Potem jedzie do Bostonu na zabieg odessania tłuszczu z podbródka. Lekarz ordynuje dożylnie podanie leku, który - jak powiada - pozwoli True zapomnieć o bólu natychmiast, gdy tylko go poczuje, a zatem, nie pamiętając o bólu, w gruncie rzeczy w ogóle go nie doświadczy. True żałuje, że nie można kupić tego lekarstwa bez recepty i zawsze mieć je w domu pod ręką. Roztwór wpływający do żyły przy nadgarstku sprawia, że True zaczyna widzieć jak przez mgłę.

- Jak będę po tym wyglądać? - pyta.

- Powstanie kilka niewielkich siniaków, które z łatwością pokryje pani podkładem.

Z pewnością nie jest to facet, który używa fachowych określeń.

- A kiedy znikną?

- Po paru dniach. Łatwo się pani robią siniaki? Nie? Wobec tego nie potrwa to długo.

Dobrze jest zażywać cynk i unikać palenia.

- Nie palę. I biorę cynk.

- To wszystko będzie dobrze.

- Znikną w ciągu dwóch tygodni?

- Mmmmm - mówi lekarz. True słyszy jakby świst i dalej nie wie już nic - aż do chwili, gdy budzi się na łóżku ze szczęką owiniętą bandażem jak duch Marleya.

- Pani Bannister? - mówi pielęgniarka. - Czy osoba, która pani towarzyszy, czeka w poczekalni?

- Na zewnątrz - kłamie True. Przyjechała sama.

- Aha, bo przez parę godzin będzie się pani czuła trochę zamroczone.

- Rozumiem.

- Może już pani powoli wstawać.

Szczęka Hanka też potrzebuje podwiązania, gdy True pojawia się w domu.

- Za dwa tygodnie nie będzie śladu - wyjaśnia mu przepraszająco.

- True, True, po co to wszystko?

- Ja... Chciałam mieć ładniejszy zarys szczęki... Na spotkanie z całą twoją rodziną. Na ich terenie.

- Przecież nie będą się przyglądać twoim szczękom. Nie jesteś koniem wyścigowym.

- Tak się boję tej podróży - przyznaje True i wyciąga rękę, ale ku jej przerażeniu Hank nie otwiera ramion, by przygarnąć ją do siebie.

- Co ty sobie o nich myślisz, True? Postanowiłaś się aż okaleczyć? Kochają cię taką, jaka jesteś. Tak jak i ja. Bo tak jest.

- Myślałam, że nowa, lepsza wersja spodoba im się jeszcze bardziej.

- Żadna wersja nie będzie lepsza.

- Poważnie?

- Jak dla mnie.

- Ale i tak jestem zadowolona, że to zrobiłam - mówi True. - Zrobiłam to bardziej dla siebie niż dla ciebie. Jestem pewna, że będę się sobie podobała, gdy... - Wchodzą do chłodnego holu i True dostrzega swoje odbicie w lustrze. - Hank, litości...

- Pora na dobrą minę do złej gry.

True zachodzi do biura i bierze segregator z wykazem grudniowych prezentów, wśród których mają znaleźć się dwie nowe pozycje. Wszyscy, zwłaszcza Rudy i Esa, pracownicy pochyleni nad blatami. True bierze uderzeniową dawkę tabletek przeciwbólowych, które dał jej chirurg, i zastanawia się, czy czerwono-zielone bamboszki z zawiniętymi do góry noskami nie są zbyt chrześcijańskie. Ostatecznie przystaje na alternatywną propozycję krawca, by bamboszki miały wyhaftowanego bałwanka i mocno przyszyte, zrobione szydełkiem niebieskie śnieżynki na czubkach. Niech ktoś z pracowników zadzwoni do niego: True

zostawia wiadomość dla Kristy dziewczyny, która prowadzi księgi i odpowiada na telefony, gdy nie ma Kathleen. True nie wie nawet, kiedy zasypia, a gdy się budzi, odbiornik telewizyjny jest nastawiony na stację, która podaje wiadomości wyłącznie po rosyjsku. Hank kręci się z kubkiem zielonej herbaty:

- Nie idziesz do pracy? - pyta True.

- Już byłem i wróciłem - śmieje się Hank. - Jest pierwsza w nocy.

- Wobec tego muszę wrócić do biura - mruczy True.

- Nigdzie nie pójdziesz, Zsa Zsa - mówi Hank. - Wyluzuj się! Miło jest poczuć, że ktoś się nami opiekuje, choćby raz w życiu.

I chmury znów się rozwiewają.

- True! To ty jesteś True - mówi w dwa tygodnie później Tannie Swallow, gdy wszystkie siostry, dwie małe siostrzenice z kręconymi włoskami, noszące tak naprawdę imiona Dana i Melanie, niemowlę, mąż i teściowie witają True, Hanka i Guya na lotnisku. - A to Gee. Gee, myślę, że spodoba ci się nasz domek na drzewie, wiesz, taki do zabawy - ciągnie Tannie. W przeciwieństwie do pozostałych sióstr Tannie jest bardziej śniada i okrąglejsza, podobna z figury do True. Potem pyta ją szeptem: - Co ci się stało? Miałś wypadek?

Mimo że omal nie przedawkowała cynku, mimo grubej warstwy podkładu - doktor wiedział, co mówi - oraz specjalnego mazidła w kolorze skóry stosowanego przez aktorów, kupionego w teatrze za radą Beatrice, True wygląda na osobę, która stoczyła nierówną walkę z Leonem Spinksem. Szyję ma spuchniętą, jakby w życiu nie dostarczyła organizmowi ani odrobiny jodu, a zasinienia prezentują całą gamę kolorów Technikoloru, od purpurowego przez niebieski po zielonkawożółty.

- Miałam robiony podbródek... - przyznaje się True. - Nie lifting, tylko... Chciałam mieć ładniejszy owal twarzy. A ten cholerny lekarz - przepraszam Clothilde... znaczy mam, nie, nie, nie zaboli, jak mnie pocałujesz - zapewniał, że do dziś nie będzie nawet śladu. Ale jeśli nie chcecie, żebym była obecna na chrzcinach, to ja absolutnie rozumiem...

- Ależ mowy nie ma! - Tannie jest prawdziwie wstrząśnięta.

- Będziemy mieć widowisko - chichocze Hank.

- Zamknij się! - mówi mu True, ale też musi się roześmiać. - „O próżności, twoje imię brzmi: kobieta”.

- Mnie tam się podobasz - mówi do True teść. - Trzeba ci zaaplikować wyciąg z draceny i paru innych ziółek. Do rana nie będzie śladu. Spytam mamę. A ten młodzian - zwraca się do Guya - sporo urósł. Myślisz, że teraz wygrasz ze mną w szachy? Tu gramy trochę inaczej. Oszukujemy.

- Nie wiem, jak się oszukuje, ale mogę spróbować - odpowiada wesoło Guy. - Czy mogę zobaczyć dzidziusia? - Tannie pochyla się i pokazuje Guyowi dziecko. - Wiem, jak się trzyma dzieci, trzymałem mojego kuzyna Dennisa, jak byłem w Montanie. - Tannie delikatnie podaje maleństwo Guyowi. - Jest taki, taki miłutki. Ale nie jest czarny! - Zebrani zerkają po sobie. - Myślałem, że będzie czarniejszy. Czarne dzieci podobają mi się najbardziej. Bo mają takie śliczne włoski.

- Poprawię się następnym razem - mówi Tannie, której mąż ma białą skórę. Guy wybucha śmiechem jako pierwszy.

- Moje geny nie mają wiele do powiedzenia w tej rodzinie - przyznaje mąż Tannie. - A moja małżonka bardzo lubi rządzić.

- Moja babcia też lubi rządzić - śmieje się Guy. - A najbardziej to mama. Jest nawet szefową firmy.

- Tak samo jak twój tata - dodaje GUS.

- O nie, tata jest dla wszystkich bardzo miły.

- To ja jestem dla wszystkich bardzo miła - oponuje True.

- Ale nie puszczasz Van Halen. Tata to nic, tylko obija się w pracy. Wszyscy jego pracownicy obijają się przez cały czas. Nie tak jak u mamy w biurze. Tam każdy musi siedzieć przy biurku albo być w magazynie. I nie wolno palić. A w Jedynej można palić.

- Ale ty nie pal - konkluduje GUS. - Zaraz, zaraz, słyszałem, że jestem teraz twoim legalnym dziadkiem. - Guy przytakuje głową, zerkając na True w oczekiwaniu aprobaty. - W naszej rodzinie wymaga to małej uroczystości. - GUS sięga do kieszeni. - Ten pierścień należał do mojego taty. Nosił go podczas pierwszej wojny światowej. Ja nosiłem go podczas drugiej wojny światowej. To jest diament, a to rubin. Był przeznaczony dla mojego pierwszego wnuka. Mogłem go dać Carrowi, mojemu pierwszemu wnukowi, ale chyba bardziej należy się tobie. Jest więc twój. Ciut za duży, ale mama i tata przechowują go w sejfie, póki nie urośniesz.

- Albo zmniejszymy go, żeby pasował! - woła Guy.

- Nie! - krzyczą wszyscy jednym głosem, zaburzając subtelny nastrój tej chwili.

True całuje Gusa w oba policzki.

- Dziękuję - mówi.

- To nic wielkiego, kochanie. Tradycja jest tradycją - odpowiada szczerze GUS.

- Ale ja nie zamierzam go nosić podczas trzeciej wojny światowej - mówi szybko Guy. - Mama i ja jesteśmy pacyfistami.

Wszyscy się śmieją i wsiadają do samochodów.

Dom Bannisterów, zbudowany w stylu hiszpańskim, niby półksiężyc okala basen i dziedziniec z fontanną. True nigdy nie widziała takiej prostoty. Wszystkie domy na Cape Cod - ledwie mury zostaną wzniesione - zdają się przyciągać najprzeróżniejsze ozdoby jak magnes opiłki żelaza. Tu jest tylko jedno dzieło sztuki na jednej białej ścianie: szklana rzeźba, pomarańczowy królik skaczący w płomień. Reszta ścian jest bez ozdób, ale mnóstwo na nich łukowato zwieńczonych okien. Kanapy i poduszki są białe, a dywany mają kolor ciemnej umbry.

- Prześlicznie - mówi True do Clothilde.

- Lubię odpoczywać - stwierdza Clothilde. - Gotować i odpoczywać. Nie chcę zwracać sobie głowy odkurzaniem.

Guy i dziewczynki biegną do basenu, a Hank zwija się w kłębek na jednej z kanap i natychmiast zapada w głęboki sen. True z trudem oddycha w takim gorącu, zostaje więc wewnątrz i patrzy, jak Tannie zajmuje się dzieckiem. Mąż Tannie wrócił do biura.

- Jest taki śliczny - mówi True. - Hank i ja też próbujemy mieć dziecko.

Clothilde częstuje True mrożoną herbatą, bardzo słodką, ale przynajmniej zimną.

- Naprawdę? O tym nasz syn nie wspominał.

True pragnie, by te kobiety wiedziały, by nie miały żadnych wątpliwości, że to prawdziwe małżeństwo, z seksem, planami na przyszłość i tak dalej. Chce do nich należeć, stać się częścią ich sekretów i zapachów.

- Czy jesteś pewna...? Zresztą... Moja przyjaciółka Elise miała dziecko w wieku czterdziestu sześciu lat. Całkiem ją to zaskoczyło. Z niego też niezły ancymon.

- Chcę, żeby Guy miał rodzeństwo. Poza tym nie mogę tracić czasu.

- A co na to mój syn? Jeszcze niedawno interesowało go tylko to, żeby mieć modną fryzurę. Boski dar dla kobiet - prycha Clothilde. - Przynajmniej za kogoś takiego się miał.

- Myślę, że bardzo by się cieszył. Jest tak podekscytowany narodzinami Carra.

- Rozmawiałaś z nim o tym?

- Chciałabym mu zrobić niespodziankę. Jak na starych filmach.

- Nie jesteś pierwszą kobietą, która na to wpadła. W każdym razie Hank wygląda znakomicie. Muszę przyznać, martwiłam się. Hank nigdy nie był... jak to powiedzieć... zbyt stały... w zobowiązaniach.

- Ze swoimi dziewczynami?

- Z dziewczynami, pracą, samochodami, domami, szkołami, płytami. Ilekroć się spotykaliśmy, mówił o innych planach. Któregoś razu... co to było, Tanniferro? Wentylacja?

- Tak, wentylacja - śmieje się Tannie, trzymając Carra na ramieniu i czekając, aż mu



się odbije. - Hank sprzedał wszystko, co miał: motocykl, stereo, żeby przystąpić do firmy, która czyściła powietrze w domach ozonem czy czymś...

- I oczywiście okazało się, że ten facet to oszust - mówi Clothilde. - Uciekł ze wszystkimi pieniędzmi naszego biednego chłopca. Musieliśmy mu pomagać, żeby mógł przynajmniej wrócić do szkoły.

- Potem chciał zostać mnichem. Nie katolickim, wyobraź sobie, tylko w jakiejś grupie medytacyjnej... - mówi Tannie.

- Jest niepraktycznym idealistą - dodaje Clothilde. - Ale to się chyba zmienia. Podobno restauracja nieźle prosperuje.

- A, tu jest! I śpi jak zabity - słychać inny głos, piskliwy, drażniący ucho.

Hank natychmiast się zrywa:

- Grand-mere!

Otwiera ramiona ku małej, czarnej kobiecie, o ciągle ciemnych jak kasztany włosach, spiętych w kok długą szpilką. Powolna i wyprostowana, wsparta jest na pomalowanej na jaskrawy kolor drewnianej lasce, która wygląda bez mała jak szykowny dodatek.

- Henri, wyglądasz dobrze i zdrowo - mówi, siadając przy kolanach Hanka.

- To moja teściowa, Winston - mówi Clothilde. - Siostra Hanka dostała po niej imię. Mamo, to żona Hanka, True.

- Jakie piękne imię! Jaka piękna dziewczyna!

- Już dawno nikt mnie nie nazwał piękną dziewczyną - śmieje się True. - i to w taki sposób.

Maman Winston podchodzi bliżej.

- Aaa, widzę jakieś poprawki na twarzy.

- Powiedzmy.

- Babciu, musisz powróżyc True z kart - ponagla Tannie.

- Zaczekaj, niech ucałuję tego chłopca. Guy ocieka wodą.

- Czy mógłbym prosić...? Nie mogę znaleźć ręcznika.

- Bo grand-mere zapomniała dać ci ręcznik. Zaraz przyniosę. Chcesz może słodkiej herbaty?

- Tak. Poproszę.

- To twój syn? - pyta Winston.

- Mój syn, Guy.

- Podejdz bliżej, Gee - mówi starsza pani, a gdy Guy podchodzi, szybkim, kocim ruchem łapie go za podbródek. True widzi przerażenie w oczach Guya.

- Usta śpiewaka. Śpiewasz?

- Tak! Skąd pani wie?

- Po prostu wiem.

- Ma pani osiemdziesiąt lat?

- Więcej! Zaśpiewasz mi coś? - Guy patrzy błagalnie na True, która wzrusza ramionami.

- Teraz? W kąpielówkach?

- A co będzie, jak potem umrę i nie usłyszę twego śpiewu?

- Dobrze - mówi Guy. - Ale najpierw muszę iść do łazienki.

- Zrobić siusiu?

- Nie! - śmieje się Guy. - Poćwiczyć. Rozgrzać gardło.

Gdy wraca owinięty ręcznikiem, pyta True, co ma zaśpiewać: coś starego czy nowego? Starego, radzi True. Guy śpiewa słodkim chłopięcym głosem Scarlet Ribbons. Gdy kończy, wszystkie cztery kobiety płaczą.

- Ten chłopiec - mówi maman Winston do Hanka - nie jest przeciętnym chłopcem.

Hank uśmiecha się blado. True myśli, że przywykł, by tego rodzaju komentarze kierowano pod jego adresem. GUS zjawia się w drzwiach ze starym spanielem na smyczy.

- Sully! - woła Hank.

Stare psisko wali kosmatym ogonem o podłogę, a białe kudły migocą w powietrzu.

- Sully, staruszek! - Guy zrzuca ręcznik i wyciąga rękę do psa.

- Ostrożnie! - ostrzega Hank. - Bądź ostrożny, dopóki się z tobą nie zaprzyjaźni.

Ale Sully radośnie obwąchuje Guya, który wybiega z pokoju, by zaraz wrócić z plastikową torbą pełną psich smakołyków.

- Wziąłem to od Ferma dla ciebie, Sully. Wiedziałem, że tu będziesz.

Pies żre łakomie.

- Nie dawaj jej za dużo, Guy! - ostrzega Hank, po czym parska śmiechem i mówi: - A zresztą, niech żre. I tak brzuch jej sięga do kolan.

Sully delikatnie liże twarz Guya. True nigdy nie aprobowała lizania po twarzy, ale nie jest zdolna zakłócić szczęścia syna.

Clothilde przygotowała na kolację pysznego okonia morskiego w sosie własnym i gdy Tannie ich opuszcza, pojawia się Win, zapomniawszy już najwyraźniej o fotografii z wesela, ze swoim chłopakiem.

- To co, Hankie, zabierzesz swoją panią do Francuskiej Dzielnicy? My tam nie chodzimy, ale turyści to lubią.

- To niebezpieczne, Win - wtrąca Clothilde.

- Musi przecież posłuchać muzyki, mamó, zobaczyć striptiz i tancerzy oraz wypić hurricane.

- Będzie tu cały tydzień. Dajmy jej się zadomowić.

- Nie, najlepiej dziś - upiera się Win, tupiąc nogą, a True myśli: Rzeczywiście, oto jedna z córek, które podporządkowały się domowym zasadom.

- Jutro wieczorem będzie o wiele lepiej - mówi Clothilde ze spokojem. - Tego wieczoru kobiety zjedzą en seules, a Hank i GUS pojedą do Bayou Fourche, gdzie wychował się stary przyjaciel Hanka, Perry, moczyć kije przy świetle latarni i grać w karty.

I rzeczywiście, w chwilę później Hank zrywa się i rzuca w ramiona ogromnego czarnego mężczyzny, swego starego kumpla, legendarnego Perry'ego, po czym natychmiast się żegnają.

- Hank! - woła True. - Zaczekaj!

Ale Hank już zniknął, a chłopak Win przeprasza i pędzi w ślad za nimi.

- Nareszcie jesteśmy same - mówi Tannie, wchodząc do pokoju.

Tannie mieszka zaledwie parę przecznic dalej. Wróciła bez dziecka.

- Świetnie śpi ten chłopczyk. A na dworze jest tak pięknie i chłodno. - True nie sądzi, by temperatura spadła poniżej trzydziestu stopni. - A gdzie moje szalone panienki?

- Dana! Melanie! - woła Clothilde.

- Czy możemy u ciebie zostać, grand-mere! Możemy zostać z naszym kuzynem? - dziewczynki podskakują. Są ubrane w ogromne podkoszulki, które, jak sądzi True, należą do Gusa.

- Naturalnie. Idźcie do dużego pokoju, na futony.

- Zaraz przyjdę i położę was spać - mówi maman Winston. - Opowiem wam o dwójce zakochanych, którzy spacerują po plantacji Kenilworth, trzymając się za ręce, sans tetes, i o drzewie, które płacze perłami, a potem zaśniecie i będziecie spać.

- Bez głów? - szepcze True.

- Ale bardzo w sobie zakochani - mówi teściowa. - Wcale nie jak duchy.

Po paru minutach maman Winston wraca z atlasową torebką.

- Karty! - woła Win, klaszcząc w dłonie. - Moja babcia naprawdę zna się na czarnej magii!

True jest wykończona. Przeprasza towarzystwo i wskakuje w podkoszulek i stare szorty Hanka. Nie ma sensu ubierać się w eleganckie stroje. Hanka i tak nie ma, a aparat do oznaczania płodnych dni pokazuje, że dzisiejszy wieczór nie jest najlepszym momentem. W

salonie True zastaje Clothilde odpoczywającą na kanapie, ubraną w długi satynowy kaftan we wschodnim stylu.

- Jak ona to robi, że nie jest zmęczona? - pyta True teściową, myśląc o starszej pani, która miesza talię kolorowych kart.

- Jestem stara, więc nie mogę tracić czasu na spanie - wyjaśnia Winston. - Sen jest dla młodych jak te tam.

Zbierają się przy stole na przeszklonym ganku. True wsłuchuje się w nieznane odgłosy owadów i ptaków. Delektuje się chłodnym, lekkim wiatrem.

- Masz pytania do kart? - zaczyna Winston.

- Nnn... Nie wiem - mówi True, przypominając sobie, że jej mąż nie przedstawił swemu najlepszemu przyjacielowi ani jej, ani ich syna. - W jaki sposób zadaje się im pytania?

- Nie znasz tarota?

- Nie.

- Wobec tego zaczniemy od najprostszej wróżby. Od siedmiu kart. Najpierw dotknij talii. Oprzyj obie stopy na ziemi. Gołe stopy. - True wykonuje polecenie. - Potasuj. Ja będę trzymała talię, a ty wyciągniesz siedem kart i ułożysz je w ten sposób. - Winston układa karty w kształt mniej więcej krzyża. True robi, co jej kazano, i z całych sił próbuje coś wywnioskować z pojawiających się przed nią obrazków, niestety, bez skutku. W końcu siedem kart leży na stoliku. Przy jednej z nich Win wydaje okrzyk zdziwienia, przy innej Clothilde wzdycha. True niechętnie kładzie jedną z kart odwrotnie, niż powinna, tak, że jej nazwa „Koło Fortuny” jest na dole i w dodatku do góry nogami. Gdy wyciąga rękę, by ją poprawić, Winston mówi:

- Skoro ma być odwrócona, to niech zostanie odwrócona. Mamcin Winston wskazuje po kolei na karty i wyjaśnia

ich znaczenie. Na samym czubku widnieje karta zwana „Głupcem”.

- To najważniejsza ze świętych kart tarota - mówi Winston cichym głosem, ale i cichym, żeby dzieci jej nie słyszały. - Oznacza człowieka mądrego, o wielkim sercu. Myślę, że to jasne, iż w tym życiu jest nim twój mężczyzna, Henri. - Potem wskazuje na następną kartę, na Koło Fortuny. - Ta karta należy do Arkanów Wielkich i oznacza naturalnie - Winston wskazuje na klejnoty i złote łańcuchy widniejące na obrazku - wielkie bogactwo i powodzenie. Jej odwrotne ułożenie oznacza także, że zmiana jest nieunikniona.

- Och! - wykrzykuje True. - Czy to znaczy, że stracę majątek?

- Nie, to znaczy że zmiana jest nieunikniona. Ta - Winston pokazuje następną - Piątka Pucharów to karta niebezpieczeństw. Poddanie się żalowi. Chodzi o stan psychiczny, o

niepokój. Może też oznaczać chorobę. Piątka Mieczy - ciągnie Winston - to walka. Walka o, jak to się mówi?, o pozбиieranie się do kupy?

- Właśnie tak się mówi, babciu - chichocze Win.

- Głupie dziecko - burczy na nią Winston. - Może oznaczać przegraną, długotrwałą albo chwilową, ale też triumf siły wynikającej z połączenia serca z rozumem.

- Wszystko to wynika z tego jednego obrazka? - dziwi się True.

- Karty nigdy nie kłamią - mówi Winston. Następna karta, którą True położyła do góry nogami, to Królowa Monet. - Ta karta związana jest z niewierną kobietą, z nieufnością. Oznacza poddanie się pokusie, niezgodzie. Ale jest odwrócona, więc możemy mieć nadzieję, że będzie to dotyczyło kłopotów fizycznej natury, które mogą być chwilowe.

Wszystkie czekają na następną kartę. True to wyczuwa. To brzydki portret Judasza powieszonoego na drzewie. Karta przedstawia Wisielca.

- Ta karta nie oznacza tego, co zdaje się sugerować, True. To jest karta poddania się, dobrowolnego poddania się okolicznościom, na które my, ludzie, nie mamy wpływu. A ta ostatnia - obwieszcza triumfalnie - to As Monet, karta narodzin i błogosławionego podarunku.

- Podarunku - powtarza True.

- Wystarczy jak na jeden wieczór - mówi grand-mere Winston, chowając karty do ałtasowej torebki w srebrne gwiazdki. Gdy True wychodzi, by pocałować Guya na dobranoc, słyszy za sobą ciche, lekkie kroki mamon.

- Jak chcesz zatrzymać przy sobie mężczyznę, weź monetę z prawdziwego srebra na cmentarz i wrzuć ją, przez kratę, do najwyższego grobu.

- Na cmentarz? Jakikolwiek cmentarz?

- Tutaj. Nie sądzę, by to działało na cmentarzach Północy. Najlepiej do grobu kobiety.

- Będę pamiętać - szepcze True.

Następnego wieczoru wcześniej ubierają się na kolację: Hank i True, Win i jej chłopak. Perry i jego najnowsza dziewczyna przyłączą się do nich już na miejscu w Dzielnicy Francuskiej. Guy i grand-pere pójną popływać łódką z latarniami w Rezerwacie Barataria, w Bayou Fourche. Będą wypatrywać trzymetrowych krokodyli, które - jak zarzeka się GUS - często wypływają na powierzchnię, a potem będą łowić ryby w miejscu znanym Gusowi „od dzieciństwa”. Zanim True zdąży przygotować się do wyjścia, Guy przywyknie do nazywania Tannie i Win tante i przyzna, że tu jest „tak samo dobrze jak w Montanie”.

Wystające obojczyki tante Win obwieszono są lapisem i srebrem, a ramiona okolono bransoletkami, których True nie może nawet precyzyjnie przeczisnąć przez nadgarstek. Win dobrze wie, czego oczekuje po tym wieczorze, jeśli chodzi o bratową. Ostrzega Hanka:

- True musi zobaczyć wielki dom, gdy jest oświetlony.

Jak się później okaże, ma na myśli dom z 1858 roku, będący rzekomo domem rodziny sous-sains - aktorów i mimów za dnia, a wampirów nocą. Jest to w gruncie rzeczy piękny klasycystyczny budynek, gdzie marmury położono z taką samą rozrzutnością, z jaką używa się muszli na Cape Cod.

- A ty myślałaś, że tylko w twoich stronach są starocie, tak? - szepcze Hank do True.

- To nie są nasze strony, prawda Hankie? Nasze strony to Francja - mówi Win, prosząc dorożkarza, by wysadził całą czwórkę w pobliżu Magazine. True nigdy nie słyszała tak poetyckich nazw ulic: Błogość, Bourbon, Tchoupitoulas, Królewska, obok tak pospolitych, jak Calhouns, Washington, State. Win wymawia Milan jak „majlan”.

- Ulica Przeznaczenie?! - zachwyca się True. - Kto ją tak nazwał?

- Ktoś - stwierdza Win łagodnie - komu było zbyt gorąco, by się podnieść i wziąć do roboty.

- Muszę się tu na chwilę zatrzymać - mówi nagle True. - Czy ćwierćdolarówki są srebrne?

- Raczej miedziane - odpowiada Hank.

- Muszę wejść na ten cmentarz - mówi True. Cmentarz nosi nazwę Wszystkich Świętych. - Hank, idź, proszę, do kiosku i spytaj, czy facet ma półdolarówkę.

- Nikt nie ma półdolarówek, True. Po co ci ona?

- Idź, proszę. - True liczy na łut szczęścia wsparty tajemną mocą mamany. Hank wraca, trzymając w dłoniach półdolarówkę z Kennedym.

- Muszę tam pójść sama - mówi True.

Idzie wśród grobów i mimo upału czuje na plecach zimny dreszcz. Wszystkie krypty ponad ziemią, pięknie smutne i złowieszcze, pokryte są plamami szarego mchu, a ich gzymsy i kopuły podrapane przez apatyczne, cienkie jak papier palce osłaniających je dębów. Tu nikogo nie wolno pochować pod ziemią. Win powiedziała True, że ziemia jest jedynie skorupą okrywającą rzekę życia i pogrzebanie ciała pod ziemią oznaczałoby spotkanie z przodkami, zanim dotrze się do nieba. True rozmyśla, który z grobów najbardziej do niej przemawia, gdy jej uwagę odwraca rząd małych marmurowych skrzynek, przypominających nosidełka dla dzieci - Joyeux, Claudine, Imogene, Byron - czworo dzieci, wszystkie umarły w tym samym, 1919 roku. True przypomina sobie coś o epidemii grypy. Potem dostrzega nagrobną rzeźbę w kształcie kapelusza z puszką na czubku. Po jednej stronie wyryty jest napis DZIADEK EMILE 1888-1978, a po drugiej stronie BABCIA SAPHINE 1898-. Ta kobieta musi mieć teraz ponad sto lat. True słyszy, że Hank woła ją z chodnika, odwraca się i

aż się dziwi, że zaszła po grząskiej ścieżce tak daleko. Hank wydaje się z tej odległości mały i drobny, a Win wygląda jak marionetka machająca rękami. True musi się pospieszyć, ale nie chce popełnić błędu. Znajduje w końcu kryptę wykonaną z ciemnoszafirowego granitu, zagląda przez błyszczącą mosiężną kratę. Napis mówi tylko: „MARIE LANDRY: Idzie w piękności, jak noc...”\* True wstrzymuje oddech, zamyka oczy i słyszy głuchy brzęk monety upadającej na ceramiczną posadzkę grobu kobiety, która - jak wyobraża sobie True - może zwrócić blady niby muszla ostrygi wzrok ku przeznaczeniu nieznajomej. W tej chwili ustał nawet świergot ptaków.

True odwraca się i biegnie.

- Co tam robiłaś? - pyta Hank. - Czy nie dość mamy cmentarzy na Cape Cod?

- Te są ładniejsze - wyjaśnia True. - Zupełnie inne. Dostrzegłam ten ciemnoniebieski grób... - True wskazuje ręką, ale grobu, który wybrała, w ogóle stąd nie widać. - ...Ten, o tam, i chciałam go zobaczyć z bliska. A wy tu nie przychodzicie, żeby popatrzeć na groby?

- Są zbyt smutne - mówi Win. - Za dużo dzieci.

- Rzeczywiście - przyznaje True.

- Wolę trzymać się od tego miejsca z daleka - wzdryga się Hank. - Ale podobno pochowana jest tu królowa voodoo.

- Marie Leveaux - prycha Win. - Gdyby była pochowana wszędzie tam, gdzie mówią, że jest pochowana, miałyby więcej współlokatorów niż Al Gore podczas studiów.

- Przychodziliśmy tu kiedyś szukać tego grobu - wtrąca Matthew, chłopak Win. - Mówią, że jak uda ci się dotknąć rogu jej trumny, miałbyś...

- Co? - ponagla True.

- Wiesz... z kobietami. - Uśmiecha się.

- Szukaj dalej, złotko - parska dobrotliwie Win. - Wiem tylko, że straciliście już pół godziny z czasu przeznaczonego na zakupy - dodaje z wyrzutem. Pogania True, by jak najprędzej znaleźć się na Magazine Street, która - jak się zarzeka - jest prawdziwym piekłem dla kobiet bez pieniędzy - ale ty

i Hank nie macie tego problemu. - Zanim True zdążyła zaprotestować, Win dodaje, że nazwę ulicy wymawia się Mah-gah-zahn, co nie ma nic wspólnego z miesięczną publikacją.

To rzeczywiście piekło.

True chce mieć każdą rzecz, na którą padnie jej wzrok. Łóżko z baldachimem w greckim stylu, rzeźby królików lecących na tle płonącego nieba, przedmioty wykonane różnymi technikami, przypominające karty grand-mere Winston, zrobione z dziurkowanej

cynowanej blachy, drewna i szklanych paciorków, często dekorowane czaszkami w cylindrach. Win mówi, że cylinder symbolizuje Barona Samedi, Pana Śmierci.

- Czcimy w Luizjanie śmierć, bo myślimy, że dzięki temu o nas zapomni - mówi Win.  
- Te wszystkie wilgotne chaszcze, głębokie mokradła, opowieści o febrze i czymś jeszcze gorszym niż febra. Człowiek przyzwyczaja się żyć ze śmiercią za pan brat.

Win przedstawia True Simone, swojej nauczycielce tańca, która prowadzi także sklep z dziwnymi, starodawnymi koronkami, spódniczkami i petites choses. Gdy mężczyźni oddalają się na burrito i kawę - True nigdy nie piła tak dużo kawy, która ma w jej odczuciu konsystencję i zapach oczyszczonej nafty - Win namawia ją na wydekoltowaną bluzkę z trójkątnymi poduszkami na ramionach i długą, szeroką spódnicę w kolorze wyblakłego bursztynu. Simone zbiera włosy True, zawija je na dłoni wysoko ponad karkiem i upina starymi grzebykami z prawdziwej skorupy żółwia. („Nie martw się”, mówi Win, „te żółwie umarły bardzo dawno temu”). Po dwóch dniach stosowania tłustej mikstury, którą grand-mere Winston dała True w małym słoiczku zamkniętym korkiem od wina, siniaki i obrzmienia zupełnie zniknęły. To, co zostało, rzeczywiście można przykryć podkładem.

- Tak powinnaś wyglądać - mówi Simone.

- Biorę ją - postanawia True, gdy Simone drapuje koronkową chustę na jej piersiach.

Strój kosztuje osiemset dolarów. True z bijącym sercem podaje jej kartę kredytową, zawstydzona, że zrobiła kardynalny błąd. Ale - podobnie jak mały chłopiec, który koniecznie chce wyjść ze sklepu w nowych butach - wrzuca swoją luźną suknię bez rękawów do torby i wkłada nową kreację.

- Wyglądasz jak dama z XIX wieku - mówi Win. - Hank zwariuje. Nawet nie spojrzy na inną.

Coś w twarzy True sprawia, że Win milknie. Nie spojrzy na inną? Na jaką inną?

- True, on kocha tylko ciebie - mówi Win.

- Dlaczego to mówisz?

- Nie trzeba umieć czytać przyszłości jak moja babcia, by wiedzieć, że się martwisz. Śledzisz każdy jego ruch.

- Miał tyle dziewczyn. Gdy wzięliśmy ślub, zastał na sekretarce siedem płaczliwych wiadomości. No, może nie płaczliwych, ale mówiących mniej więcej: „Ach, kochanie, tak się cieszę!”

- Dlatego, że jest tchórzem i nigdy z nikim naprawdę nie zrywa.

- To znaczy? Przepraszam, Win. Nie powinnam była o to zapytać. Jestem wścibska.

- Ależ nie ma sprawy. Jesteś w rodzinie, skarbie. On po prostu... Zostawiał je



wszystkie w przekonaniu, że były tą jedną jedyną. Zostawiał po sobie złamane serca, jak mówią w filmach.

- Czy wy sądziliście...

- Tak? Śmiało!

- Czy sądziłaś, że on się kiedykolwiek ożeni?

- Sądziłam, że ożeni się, jak będzie całkiem stary. Myślałam, że będzie się tak włóczył, zakochiwał i odkochiwał bez końca. „Winnie”, mówił czasami... Czy to nie okropne? Brzmi jak świnka Winnie... Ale moje prawdziwe imię to Mary Winston, wiesz...

- Wiem. Mary Winston, Mary Tannifero... Hank powinien być Mary Henri...

- Ukradł mi dowcip! Ach, ten chłopak. Tak czy siak, mawiał czasami: „Winnie, za dużo tego towaru jest na świecie”. Tata nawet myślał, że Hank jest gejem. Ciągłe się tym martwił.

- Naprawdę robiłoby mu to różnicę?

- Pewnie! Więc gdy cię poznał...

- Wszyscy się ucieszyli?

- Aż za bardzo, aż za bardzo się ucieszyli. Jesteś dla niego jak gwiazdka z nieba.

Mówię szczerze. Przysięgam ci na...

-...”głowę mojej mamy”.

- Właśnie!

Gdy Hank widzi ją w blasku popołudniowego słońca obok promieniejącej radością Win, gwizdże przeciągle, a na jego twarzy maluje się wyraz zachwytu i pożądania. True wie, że warto było wydać te pieniądze, bo taki wyraz jego twarzy nie ma ceny. Myśli też, że nigdy nie spędzała czasu przyjemniej niż teraz. Myśli, że to miasto jest zaczarowane. Piją kwaśną, różową miksturę z kwiatami w wysokich szklankach w Bistro Martinique. Hank zamawia po francusku pompano i grillowane bakłazany, debatuje z kelnerem z właściwym sobie - w sprawach jedzenia - znawstwem. Wraz z zakąskami - ostrygami smażonymi w kozim serze - pojawia się Perry z piękną kobietą, której lśniący cekinami suknia w kolorze miedzi zdaje się podkreślać delikatną sinusoidalną linię krągłości jej ciała.

- Pamiętasz Jacqueline? - Perry kłania się. Hank wstaje i całuje w oba policzki piękność mającą na głowie mnóstwo cieniutkich warkoczyków ozdobionych bursztynowymi koralikami. Ona zarzuca mu ręce na szyję i True widzi, jak przywiera do niego biodrami.

- Nie wiedziałem, że spotykasz się z tym starym draniem - mówi do niej Hank, gdy kobieta węzowym ruchem wciska się na ławę obok chłopaka Win.

- Od niedawna - uśmiecha się Jacqueline. - Musisz przyznać, że jest uroczym starym

draniem, prawda?

- Wiesz, True, jak Perry naprawdę ma na imię? - pyta Win nerwowo. - Peridot. Bo ma zielone oczy.

Następuje wymiana spojrzeń, które każdy, nie tylko psycholog, z łatwością by rozszyfrował. Mówią one wyraźnie: „Nie masz chyba nic przeciwko temu?” „Nie. W porządku”. True nie musi pytać, czy Hank cieszył się urokami ciała pod miedzianą suknią, i przyrzeka sobie, przysięga jak rycerz, na honor, że z jej ust nie padnie żadna wymówka, żadne podejrzliwe stwierdzenie.

- Wyglądasz świetnie, ale utyłeś, skarbie - mówi Jacqueline do Hanka.

- Zimą żywię się wytworami własnej pracy - odpowiada jej Hank. - Poza tym życie małżeńskie.

- Słyszałam, że się ożeniłeś. Ale nie wierzyłam w to ani przez chwilę. Chciałabym kiedyś poznać twoją żonę. Chciałabym zobaczyć tę panią. - Jacqueline śmieje się chrapliwie.

- Oto i ona. To True.

- Nie wierzę - upiera się Jacqueline. - Jak masz na imię? True?

- Tak - mówi True, wyciągając rękę, która zostanie zignorowana. I natychmiast pod rozbawionym, złośliwym spojrzeniem wielkich, czarnych, kocich oczu Jacqueline True wydaje się, że jej ubiór to okrutny żart ze strony Win, że wygląda jak księżniczka Małgorzata przebrana za Martę Washington. Czuje, jak wałeczki sadła wylewają się dyskretnie spod obcisłej góry, i zdaje sobie sprawę, że Simone, mimo upału, zaoferowała jej chustę, by ukryć to i owo, oszukać wzrok. Gdy wyciąga rękę, chusta zsuwa się z ramion, muskając talerz.

- Pora w to uwierzyć! - mówi True chłodniej, niż zamierzała.

- Tłuszcz! Szybko zimną wodą! - woła Win.

- Gratulacje - mówi cicho Jacqueline. - Nie sądziłam, że będziesz taka... jasna. True wie, że Jacqueline chciała powiedzieć: „taka stara”. Bogato zdobione wnętrze wydaje się tanią, zakurzoną dekoracją, sceną w burdelu osłoniętą wystrzępionym, czerwonym atłasem, dziurawym przy bliższych oględzinach. Tęskni za czystą, surową linią Jedynej, za chłodem własnego, białego pokoju. Kraina Szczęśliwości zniknęła, True traci rezon, więdnie. Wstaje, przeprosza i idzie do łazienki. Win podąża za nią, drobiąc kroki na wysokich obcasach.

- Nie zwracaj na nią uwagi - mówi z wściekłością do True. - Ona spała ze wszystkimi facetami w okolicy...

- Niewielka to dla mnie pociecha. - True stara się powstrzymać łzy. Wyjmuje grzebyki z włosów - Win mruczy: „True, nie” - i pozwala miękkim pofalowanym włosom opaść na ramiona. Naciąga bluzkę wyżej niczym gorset, upychając co się da do środka. Win pomaga

jej związać chustę, tym razem na supeł.

- Powinam włożyć starą suknię...

- Nie, bo będzie wiedziała, że to z jej powodu. A to już za bardzo pachnie Wschodnim Wybrzeżem. Jeszcze przed sekundą wyglądałaś jak Maria Antonina...

- Nie mogę znieść widoku kobiet, które on...

- Tylko nie powiedz „kochał”, bo on jej nigdy nie kochał.

- Czy ona będzie z nami przez cały wieczór?

- Tak sądzę.

- Wobec tego zaraz po kolacji jadę do domu... Nie staraj się zrozumieć, Win, bo i tak nie zrozumiesz. Jesteś tak piękna i szczuplutka jak czapla na obrazku, który mam na biurku. Nie wiesz pewnych rzeczy. Jesteś kochaną dziewczyną, ale jeszcze dziewczyną. Jeśli zobaczę ją tańczącą z Hankiem, to skończy się na kłótni, a nie chcę popsuć jednego z najpiękniejszych dni w moim życiu. Wolę, żeby myślał, że boli mnie głowa, niż że trawi mnie zazdrość. Wybacz Win, ale będę tu przyjeżdżał jeszcze dziesiątki razy, jestem przecież twoją szwagierką. Hank mówił, że przyjedziemy na Boże Narodzenie, więc... proszę...

- Nie rozumiem... Dziwka jedna - krzywi się Win. - Nie rozumiem i rozumiem. Nie myśl sobie. Szczuplutkie też bywają zazdrosne.

- Niewierze.

- Na przykład ja. Jestem tancerką. No i co? Może nie Marią Tallchief, ale i tak mam szczęście. Będę uczyła w miejscowym zespole, a może nawet wystąpię latem z Albinem Aileyem - w kostiumie z kapturem, spod którego będzie mi wystawał tylko nos. Ale nigdy nie będę bogata. Mogę co najwyżej wyjść za mąż. Nie mam ani takiej głowy do interesów jak mój brat, ani takiego rozumu jak moja siostra...

- Jakże to może mieć dla ciebie znaczenie, jakże to może mieć znaczenie, skoro budząc się każdego ranka, codziennie wiesz, że jesteś po prostu sobą?

- Takie znaczenie, że do szóstej wieczorem nie wolno mi nawet spojrzeć na jedzenie, że od siedmiu lat nie zjadłam ani jednej kromki chleba, że na śniadanie palę papierosa, a moje stopy wyglądają jak końskie kopyta...

True próbuje przywołać na pamięć radość, którą odczuwa, jedząc ciepły chleb, i przeciwstawić ją radości z posiadania takiej figury, jaką ma Win.

- Nie mogę - mówi True. - Chcę ci uwierzyć i może kiedyś bym uwierzyła, z dziesięć lat temu. Teraz czuję się, jakbym była... jaka? Krucha? Jakby wszystko, co mam, wisiało na włosku. Kiedyś zdawało mi się, że nic się nie zmieni. Zarwę noc, to nic, i że tak będzie zawsze; wypiję całą butelkę wina, to nic, i że tak będzie zawsze.

- Uważam, że moja mama jest piękna. Tata też tak uważa. Pewnie nie wierzysz - mówi Win.

- Wierzę, jeśli chodzi o nich - odpowiada True i myśli o odgłosie monety upadającej na kafelki.

Jest gotowa błagać, by pozwolono jej nie robić tego, czego się po niej spodziewają, i mimo nalegań Hanka wrócić do domu taksówką, gdy nagle coś pęka w jej opiętej materiałem piersi. Wraca do stołu. Sama przecież prosiła Hanka, by udawał, skoro nie potrafi inaczej, więc i ona nie będzie gorsza. Ledwie powzięła postanowienie, radosny nastrój, który zawładnął nią w sklepie przy Magazine Street, znów ją ogarnia. Z powrotem upina włosy.

- Je suis desolee - mówi True. - Kładzie dłoń na brzuchu wiele mówiącym gestem i dodaje: - już myślałam, że coś mi dolega, ale wszystko w porządku.

Hank i True dzielą się talerzem krewetek na lodzie i zamawiają pięknie przyozdobione owocami napoje.

Potem pojawia się czteroosobowy zespół i zaczynają tańczyć.

Jacqueline wije się i wygina, jej smukłe, zdobne bransoletami ramiona - gniazdo ponętnych węży. Kołysze się i trzęsie, parodiuje łóżkowe ruchy. Jest piękna. Ale za bardzo się stara.

Hank i True tańczą jak na swoim ślubie, jak kochankowie, jak brat z siostrą, jak jedno ciało, jakby stworzeni do wspólnego ruchu bez udziału wzroku, stopieni z muzyką. Potem Win tańczy z Hankiem, a True z Perrym. Melodia zmienia rytm i Perry prowadzi True do dwustepa. Pot cieknie True po czole. Chwyta grzebienie, podpina włosy wyżej. W pewnej chwili zrzuca z ramion chustę, prostuje się i pozwala kołysać się swobodnie bliźniaczym księżycom białych piersi. Perry wygina ją przez ramię i mówi do Hanka:

- Ta kobieta potrafi się ruszać...

Na długo przed północą Hank szepcze:

- Chodźmy stąd. Gorąco tu i pełno dymu.

- A poza tym - mówi True tak głośno, by wszyscy słyszeli - takie potrawy ty gotujesz o wiele lepiej. - True całuje Win w usta i pozwala jej odwzajemnić się mocnym, znaczącym uściskiem. Jacqueline całuje w oba policzki. - Musicie przyjechać z Perrym na Północ. Wiem, że mój mąż bardzo by chciał pokazać Perry'emu restaurację. Jest mniejsza niż ta, ale za to bardzo wytworna. - Ciemna twarz Hanka oblewa się rumieńcem. - I musicie poznać naszego małego. Mamy dużo miejsca. Dom jest ogromny.

Wychodzą na ulicę, trzymając się za ręce. Widząc, że się żegnają, saksofonista zaczyna grać Stardust. Hank rzuca mu dziesięciodolarowy banknot i jeszcze półdolarówkę.

Po powrocie do domu, do Metairie, dostrzegają Guya i Gusa w świetle wykuszowego okna. Słyszą, jak Guy woła:

- Szach i mat! Pokonałem cię, grand-pere\ Pokonałem cię - i to uczciwie!

Hank ujmuje dłoń True i całuje ją.

- Nie chciałbym stracić tego widoku z powodu takiej sobie muzyki i przesłodzonych drinków.

Wchodzą do środka.

- Istotnie - mówi GUS. - A ja nie lubię przegrywać! - Podnoszą się z miejsc. - Chodźmy zobaczyć, jak się czuje twój przyjaciel.

Przyjaciel?, myśli ponuro True, jak nie podarował dziecku aligatora. Najchętniej udusiłaby go gołymi rękami. Guy, podrygując, wybiega z pokoju. Muszę go oduczyć tego podrygiwania, myśli True, i skakania do góry z radości. To okropnie dziecinne. Ale zaraz nienawidzi samej siebie za takie myśli - Guy jest przecież małym chłopcem.

- Mój mąż nie kłamał. Nie lubi przegrywać - mówi Clothilde do True, otwierając drzwi. W domu panuje przyjemny chłód. - Bardzo mądry chłopiec ten wasz Gee. Cieszę się, że nie jest pretensjonalny, taki, na jakich wychowują swoich chłopców ci głupcy z naszej okolicy. Wyglądasz jak królowa Mardi Gras, True. Mary Winston zabrała cię na Magazine Street. Pewnie twój portfel nieco schudł.

- Schudł, i to porządnie - przytakuje True.

- Ale wygląda świetnie jak na Jankeskę, nie? - pyta Hank.

- Obróć się - prosi Clothilde. - Trzeba przyznać, że warto było wydać te pieniądze. Ale dlaczego wróciliście tak wcześnie?

- Okropnie tam gorąco i brudno, mamó. I ani przez chwilę nie mogliśmy być sami - mówi Hank, unikając konieczności dalszych wyjaśnień. True słyszy w jego głosie nutę dumy.

- Lepiej ubrać się w coś wygodnego i wypić lemoniadę z miętą - mówi teściowa. - Upał dziś nie do wytrzymania, więc dobrze zrobiliście. Win będzie tańczyła całą noc.

Ja też mogłabym tańczyć całą noc, myśli True. Ale czasami wystarcza i mniej.

Clothilde nagle poważnieje.

- Musimy cię za coś przeprosić, True... Nie, nie, chwileczkę. Naprawdę musimy cię przeprosić. Zrobiliśmy coś, co zwykle robią dziadkowie i co nigdy nie jest słuszne, ale musisz nam wybaczyć, bo Gee jest taki szczęśliwy...

True przygotowuje się na aligatora, ale okazuje się, że to...

no cóż, i gorzej, i lepiej zarazem. Z wielką czułością, jakby trzymał w ramionach Carra, Guy wnosi do pokoju czarno-

białego szczeniaka o niewiarygodnie mądrych, zielonych

oczach, które mówią do True: „No, trudno”.

- Proszę, proszę - mówi True. - Wyłowiliście go w rozlewisku, w Bayou Fourche?

- Wybacz nam, True...

- Już ją przeproszałam, kochanie.

- Chłopiec potrzebuje psa. A to collie, True. Najmądrzejsze z psów. Kupiłem go od starego znajomego, który hoduje te psy...

- Popatrz, mamusiu, tylko spójrz na niego - prosi Guy. True bierze na ręce szczeniaka, który pachnie mlekiem

i sianem. Pies delikatnie liże ją po szyi, jakby chciał wyczuć, czy to boli.

- Czy on już... nie potrzebuje mleka matki? Jest taki malutki.

- Już odstawiony od matczynej piersi - mówi dumnie GUS - ale niewykastrowany. Teraz kastruje się psy, gdy są całkiem małe. Gdy mają cztery miesiące. Ten ma dziesięć tygodni.

- Zaplanowaliście to, niegodziwcy - mówi z wyrzutem True do Gusa, który robi wielkie oczy, wywraca białkami i niewinnie rozkłada ramiona. - I jak my go zabierzemy...

- To collie, mamusiu. Ma na imię Gypsy. Zdrobniale Gyp. Gypsy Carr Bannister Pierwszy.

- Nie pozwoli nikomu skrzywdzić Guya - mówi GUS. - I przez całe życie będzie strzegł waszego domu. To cudowne psy.

- Najlepsze - dodaje Hank.

- Ty też maczałeś w tym palce! - woła True. Hank robi identyczny poddańczy gest, odwraca dłonie wierzchem do dołu. - Ale co mam zrobić, muszę ci wybaczyć. Dziękuję ci, kochanie. Od początku mówiłeś...

-...że mu kupię psa. I dotrzymałem słowa.

- I nie zdradziłeś się ani słowem! Przez te wszystkie tygodnie! - wyrzuca mu True.

- Okropnie gubią sierść - informuje Clothilde. - Odkurzacze musi działać na najwyższych obrotach.

- No proszę.

- Ale chodzi robić siusiu na dwór - podkreśla Guy. - Chcesz zobaczyć? - i rzeczywiście. Gypsy z wdziękiem przykuca na swoje małe co nieco. - Muszę mu tylko powtarzać: „Idź zrób siusiu” w tym samym miejscu każdego dnia. Muszę go też nauczyć, żeby siadał, jak podniosę rękę do góry i nawet nic nie powiem, i nie wolno mi nigdy powiadać jego imienia ze złością, żeby przychodził, ilekroć go zawołam.

- A kto będzie mu dawał jeść i zabierał go na...

- Ja, mamusiu. Wiesz, że jestem bardzo odpowiedzialny. Grand-pere kupił specjalną torbę, żebyśmy mogli zabrać go do samolotu i trzymać pod siedzeniem, i mały kocyk, i dwa skórzane gryzaki, żeby nie gryzł niczego, co wygląda jak skarpetka albo but, i żeby nie myślał, że można gryźć cudze skarpetki i buty, i będzie dostawał tylko karmę dla psa, najlepiej kurczaka z ryżem, bo jagnięcina z ryżem powoduje, że psy puszczaają bąki...

- Jest naprawdę uroczy.

- Wiedziałem, że pozwolisz mi go zatrzymać. Grand-pere powiedział, że mamy łatwo dają się przekonać.

- Wcale tak nie powiedziałem! - protestuje GUS.

- Nie kłam. Powiedziałeś - karci go Guy.

- Nie musimy się martwić o zdanie tatusia, prawda? - True obrzuca Hanka spojrzeniem pełnym kpiarskiej złości. - Wiedział o tym na wiele tygodni przedtem. Jeszcze zanim tu przyjechaliśmy.

- Daj spokój!

- Wiedział, ale nie wiele tygodni przedtem, tylko tydzień, True. Powiedziałam o tym Henriemu w zeszłym tygodniu. Ale nie chcieliśmy psuć... niespodzianki.

True, Hank i Guy zasypiają w jednym łóżku. Gypsy leży grzecznie na swoim legowisku, skomląc cichutko. True słucha pisków przez parę chwil, a potem podchodzi i bierze psa na ręce. Szczeniak natychmiast zasypia, z łepkiem pod jej brodą, ufnym jak niemowlę. True myśli o płocie we frontowej części ogrodu. Tam przynajmniej. Droga jest dość ruchliwa... albo może buda, gdy nikogo nie ma w domu...

- Podoba ci się? - szepcze Hank.

- Jest śliczny. Ty potworze. Nie mogę mieć do ciebie zaufania. Wiedziałeś, że jak Guy go zobaczy, będzie po wszystkim.

Całują się. True przypomina sobie wcześniejsze godziny tego wieczoru, stół z haftowaną serwetą i dziewczynę o złotej łusce syreny. Mógł ją mieć, ale wolał inną. Całują się znowu, język Hanka dotyka jej podniebienia, jego wargi są miękkie, ssące.

True czuje bicie serca. On ją kocha. I kocha Guya. Ponieważ przy chrapiącym obok Guyu nie mogą robić tego, na co mają ochotę, Hank mówi:

- Posuń się, Gypsy, mały przyjacielu, niech się położy między żoną a synem. Żebym mógł objąć ich oboje.

Bolesny skurcz w żołądku ustaje i True zapada w sen, obejmując jedną ręką Hanka, a drugą mały jedwabisty łepiek.

W przedostatni wieczór w Metairie, poprzedzający chrzciny, True widzi chichoczących w holu Hanka i Perry'ego. Mają dziś męski wieczór. True jest nawet zadowolona. Widziała tyle łodzi i budynków, słyszała tyle piosenek i opowieści, że chce tylko położyć się na plecach na gumowym materacu i patrzeć w gwiazdy przez szklany dach nad basenem Bannisterów.

- Dobranoc, kochanie. - Hank całuje True. - Chcesz, żebym ci coś przyniósł?

- Miejmy nadzieję, że niczego nie przyniesiesz. - Perry parska śmiechem, ale Hank spogląda na niego surowo.

- To moja żona - mówi.

- Przepraszam, True. - Perry pochyla głowę jak wielki, zawstydzony sześciolatek.

- Jest jak duże dziecko - mówi babcia Winston. - Idą do jakichś spelunek, obrzydliwych miejsc.

- Do... burdeli?

- Nie - śmieje się starsza pani. - Tam, gdzie podają tylko wodę z imbirem i gdzie tańczą gołe ślicznotki. W takich knajpach jedzą boudin i jajka z octu.

- Beze mnie?

Kobiety parska śmiechem.

- Kobiety tam nie chodzą - mówi Win. - Ani nie oglądają striptizu. Chyba że w Dzielnicy Francuskiej.

- Naprawdę? - mówi chłodno True.

- Jeśli to ci się nie podoba, uderz go - śmieje się Win. -

My nieustannie go biłyśmy. Reed zatłukłaby go na śmierć. Jest drobna, ale porywcza.

True i Guy spędzają wieczór na pływaniu. Ich ramiona leniwie zataczają łuki fosforyzujące w świetle gwiazd.

- Czy musimy już stąd wyjechać? - pyta Guy.

- A co? Nie chcesz pokazać Fennowi i Brendanowi swojego dzidziusia?

Guy uśmiecha się szeroko i triumfalnie, bo Holly nie pozwala Fennowi mieć żadnego żywego stworzenia.

- Chcę - mówi Guy.

- Wrócimy tu jeszcze. Nie raz.

- Dobra. Czy mogę już iść do łóżka, mamó. Gyp jest zmęczony.

True też jest zmęczona. Gdy wychodzi z kuchni ze szklanką słodkiej herbaty, robi coś, co ją samą dziwi. Całuje Clothilde w głowę, a teściowa dotyka dłonią jej policzka.

- Podobało ci się u nas? - pyta.



- Bardzo - odpowiada True.

- Teraz jest to także twój dom - mówi Clothilde ze szczerą tkliwością.

True czuje, jak wzruszenie łapie ją za gardło, i postanawia, że podczas tej podróży, jeśli tylko aparat da jej „zielone światło”, zrobi to. Chciałaby począć dziecko w tym domu pełnym miłości i radosnego szczęścia, w domu, w którym pragnęłaby się wychowywać, spokojna, niekontrolowana i akceptowana.

Idzie do łazienki. Wyrocnia mówi, że to właśnie ta noc. True wkłada ślubną satynową koszulę nocną, która jest teraz znacznie luźniejsza, i czeka zwinięta w kłębek na swojego mężczyznę.

Hank wchodzi do pokoju chwiejnym krokiem i zapala lampkę nocną. Cały dom od dawna pogrążony jest we śnie. Hank uśmiecha się szeroko, wzruszając ramionami.

- Gdzie byłeś? - pyta True.

- W River Annie's. Chodziliśmy tam, jak byliśmy młodzi - odpowiada. Jego oddech i ubranie przesiąknięte są dymem cygar.

- Był striptiz?

- Win ci powiedziała?

- Tak.

- To nie jest taki prawdziwy lokal ze striptizem. Tylko dwie striptizerki.

- Opowiedz mi, co robiły?

- True, nie złość się na mnie.

- Nie złoścę się. Powiedz, co robiły. To mnie interesuje. Z pewnego powodu.

- A mnie interesuje, żeby natychmiast zasnąć i spać dwanaście godzin. Ale najpierw muszę wziąć cztery aspiryny. Czy jest aspiryna w kredensie?

- Skąd mogę wiedzieć, kochanie? Przecież to nie mój dom. Czy mogę szperać po kredensach? Chyba nie.

- Ależ naturalnie, że możesz. Idź i sprawdź.

True przynosi mu cztery aspiryny i szklankę wody. Widzi, że Hank dostrzega jej ciało falujące pod materiałem.

- Babcia powiedziała, że podają tam jedynie wodę z imbirem. Że to dziewczęta są główną atrakcją.

- Perry miał ze sobą coś, co nie było wodą z imbirem. A przy okazji, Perry powiedział dziś, że jesteś gorąca. - Hank zaczyna się śmiać.

- Dlaczego się śmiejesz? Jestem gorąca.

- Tak to sformułował. Mówiliśmy tak w latach osiemdziesiątych. Teraz przynajmniej

dom jest klimatyzowany. Ale jak byliśmy mali, tatuś uważał, że klimatyzacja jest niezdrowa.

- Ale ja nie jestem gorąca w sensie temperatury ciała. Jestem sexy.

- A więc cuda się zdarzają. Nigdy nie słyszałem, żebyś to mówiła.

Hank, nagi, wchodzi do łóżka.

- Opowiedz mi teraz o striptizerkach.

Z wieloma pauzami i westchnieniami Hank opisuje różowe satynowe łóżko, na którym leży „zółta” dziewczyna i ściąga biustonosz i pończochy.

- I co dalej?

- Potem rozchyła nogi, tak że nie trzeba już sobie niczego wyobrażać.

- Czy to wbrew prawu?

- Chyba tak.

- I co dalej?

- Potem podkłada sobie poduszkę pod pośladki, tak że już naprawdę niczego nie trzeba sobie wyobrażać, i udaje... no wiesz co.

- Czy tak?

True podciąga swoją dziewiczą koszulę, rozkłada uda i podkłada pod pośladki jedną z nieskażonych koronkowych poduszek Clothilde. Chociaż oczy Hanka są tak czerwone, że może wykrwawić się na śmierć, jeśli ich natychmiast nie zamknie, True widzi, że wzbudziła jego zainteresowanie. Powoli, bardzo powoli zaczyna ruszać biodrami w górę i w dół, przesuując się w przód i w tył po poduszce. Oblizuje palec i wskazuje to miejsce... Hank unosi się na łokciu, True ściąga koszulę i pyta:

- Czy jestem tak ładna jak ona?

- Dla mnie jesteś ładniejsza - stwierdza Hank i kładzie się na niej, gotów w nią wejść.

- Nie ma kobiety piękniejszej od ciebie. Czy to jest potrzebne? - pyta, próbując wyciągnąć poduszkę spod jej pupy, ale True czytała w którymś z czasopism, że poduszka pomaga spermie szybciej dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

- W książkach Hemingwaya dziewczyny zawsze miały pod pośladkami poduszki. To podobno... zwiększa tarcie.

- Kimże jestem, by polemizować z Hemingwayem - uśmiecha się Hank. - Poczekaj chwilę. Cuchnę jak bagno. Pozwól mi wziąć prysznic. Albo przynajmniej umyć zęby.

- Tylko zęby. Nie mogę czekać. Hank rusza biegiem do łazienki.

Gdy leży wygięta - Hemingway choć raz miał rację - myśli: As, As Monet. Podporządkowanie się... Wyobraża sobie, że zamek obraca się, zaskakuje.

W niedzielny poranek True z grubą warstwą podkładu na twarzy, w pięknej jedwabnej

chuście na głowie, którą dała jej przewidująca Clothilde, trzyma w kościele Carra Bannistera Swallowa, gdy ksiądz udziela mu błogosławieństwa i polewa święconą wodą. Jej mąż, który prezentuje się naprawdę wspaniale w niebieskim garniturze i czerwonym krawacie, stoi wyprostowany obok niej. Oboje przyrzekają wywiązać się ze swych obowiązków i wychować dziecko w wierze Zbawiciela. Potem odbywa się przyjęcie z pysznymi kanapeczkami, a mały Carr zostaje obdarowany srebrnymi łyżeczkami, bransoletką z wygrawerowanym imieniem, obligacjami i ptaszkami z jedwabiu. Od Perry'ego dostaje bardzo zapewne kosztowną miniaturkę skórzanej kurtki motocyklowej.

Po przyjęciu wszyscy udają się do domu na drzemkę. Tylko True i jej mąż nie śpią - wspomnienie wczorajszego spektaklu żony ożywa na nowo w pamięci Hanka. Takie są cnoty katolicyzmu. Uświęcone, prawowicie rozpalają żądzę.

Następnego ranka True, Hank, Guy, Gypsy i jeszcze jeden pasażer lecą z powrotem do Chatham.

W dwa tygodnie później True bierze ze sobą do łazienki mały biały sztyft. Isabelle czeka na zewnątrz, gdy True uważnie siusia na wskazane miejsce.

- Daj spokój, True. To naprawdę nie jest najbardziej zawstydzająca rzecz, jaką razem robiłyśmy w łazience.

True wie, do czego Esa pije. Dokładnie dziewięć miesięcy po śmierci Pete'a True i jej wówczas nowa pomocnica Isabelle pojechały do Domu Pogrzebowego Nickersona, by zabrać to, co eufemistycznie nazwano „szczątkami” Petera. Pokazywano im wiele urn we wszystkich kształtach - od Sfinksa po Myśliciela Rodina - póki True nie powiedziała:

- Zamierzam rozsypać prochy Petera na plaży którą kochał.

- Musi mieć pani na to pozwolenie - odparł pospiesznie wytworny dyrektor domu pogrzebowego. - Większość rodzin pragnie zatrzymać...

- Ale my nie - stwierdziła Isabelle - i wcale nie jestem pewna, czy potrzebne jest pozwolenie.

Ale gdy zajrzały do wnętrza pojemnika, okazało się, że jego zawartość bardziej przypomina archeologiczne wykopaliska niż miałki proszek. True widziała długie jak palce Guya kawałki kości i skrawki czegoś, co wyglądało na czarny plastik.

- To resztki torby, w której znajdowało się ciało, gdy... no, wiesz... - powiedziała Esa.

- Nie mogę pokazać tego ludziom - stwierdziła True. - Wykluczone.

Tak więc, pokrzepiwszy się wieloma kieliszkami wina, zabrały pojemnik do łazienki True i za pomocą sitka do spaghetti oddzielały kości, póki nie został miękki, białawy proszek, który przywierał do ich spoconych twarzy i włosów, tak jakby wysypały talk dla niemowląt.

True pamięta, jak śmiały się histerycznie:

- Wszędzie mam na sobie Pete'a!

W tydzień później, przy dźwięku kobz, rodzina rozrzuciła prochy na plaży. A późnym wieczorem Esa i True jak piraci zakopały kości pod drzewem w pobliżu latarni w Chatham.

Teraz True chichocze tak samo histerycznie jak wtedy.

- Czekam! - woła Esa, tupiąc nogą.

- Ja też czekam. Muszą upłynąć trzy minuty.

- Dobra, ale otwórz drzwi. Nie musisz chyba czekać ze spuszczoneymi majtkami.

Siadają obok siebie na łóżku i patrzą na sztyft jak na wyrocznię. Ale sztyft uparcie pozostaje dziewiczo biały.

- Może źle go obsusiałaś - sugeruje Esa, gdy dwie minuty minęły.

Wtedy jednak, jak za dotknięciem czarodziejkiej różdżki, w okienku pojawia się śmiało zarysowana niebieska linia.

- Posłuchaj, True. Chociaż jest możliwe, że test wykonany zbyt wcześnie może dać fałszywy, negatywny rezultat, to ta niebieska linia z pewnością jest absolutnym dowodem, że jesteś w ciąży. Idź do lekarza i...

Ale True już skacze po łóżku.

- To As Monet! As Monet! - woła, jakby ciemnoskóra babcia Hanka nie ujawniła jej prawdy siedmiu kart, ale tylko jednej.

Sierpień

ALE UPAŁ

Głównym elementem Podarunku Sierpniowego jest gumowe wiaderko zapinane na suwak, które może służyć również za torebkę, z solidną, ale bezpieczną łopatką do kompletu. Dla dziewczynek mamy żółty jednoczęściowy opalacz, dla chłopców kąpielówki wzorowane na męskich kostiumach kąpielowych z dziewiętnastego wieku, z wygodnymi, szerokimi ramiączkami (czyż bokserki nie spadają bez przerwy, przez co pielucha jest stale zapiaszczona?). A ponieważ sierpniowe noce stają się chłodne, dołączamy śpioszki usiane gwiazdami, z zapięciem, z którym można sobie poradzić, nie będąc geniuszem. Nie zapomnieliśmy też o śmiesznych skarpetkach w rybki. Jedna para dla ciebie, druga dla małości. Świetnie pasują i do dżinsów, i do wełnianych spodni.

Dlaczego ludzie nieuchronnie ściągają na Cape Cod właśnie w sierpniu, pozostaje dla jego mieszkańców zupełną zagadką. Zawsze jest gorąco, ale upał może być albo wilgotny, albo tak ognisty jak pudełko zapalek niechcący pozostawione na piecu.

Upał sprawia, że ludzie popadają w tarapaty.

Policjanci w Chatham muszą zażegnawać spory między kierowcami z Ontario a tymi z New Jersey. Jeśli podczas tygodniowego pobytu zdarzą się trzy dni brzydkiej pogody, każdy czuje się osobiście pokrzywdzony. Ci, którzy włóczą się po księgarniach i antykwariatach, są naburmuszeni. Oglądają grosz z każdej strony, a nawet skłonni są ukraść jakieś pióro albo solniczkę. Szefowie kuchni znani są z tego, że potrafią wylać kubel pomyj za drzwi - akurat na plecy wychodzącego kelnera, który właśnie dostał lepszą ofertę pracy od będącego w potrzebie właściciela knajpy przy tej samej ulicy. Wybuchają też kłótnie między studenckimi kochankami, którzy największe erotyczne uniesienia przeżywali na wydmach w Dzień Weterana. Do sierpnia wspomnienia namiętności przypominają białe plamki po oparzeniach słonecznych - są wprawdzie widoczne, ale nie powodują bólu, który kiedyś musiały sprawiać.

Ludzie złością się na zbieraczy małży, że te same skorupiaki, które widzą wyciągane z mułu i które, jak argumentują, mogą należeć do każdego, podawane są im z liśćmi rokiety albo odrobiną sosu chrzanowego w Jedynej. Hank zawsze mówi, iż ludziom wydaje się, że płacą za produkty spożywcze, podczas gdy tak naprawdę płacą za przyprawy. Gdyby wiedzieli, że przyprawy, takie jak Sysco - dobra marka, którą Hank kupuje z religijnym namaszczeniem - ale i inne, które przychodzą w paczkach bez nazw, a Hank je importuje, gdy musi, kosztują w hurcie tylko pięćdziesiąt centów za ćwierć kilograma, rozżłoszcziliby się do reszty.

Jednego z takich sierpniowych wieczorów, niebezpiecznie gorących jak cukier palony na karmel, True ma wrażenie, że sama też traci zmysły.

True i Guy idą pograć w minigolfa z Gypem na smyczy, ale muszki kąsają tak niemiłosiernie, że postanawiają pojechać i poprzeskadzać trochę ojcu. W końcu wyprawa do Truro to dobre usprawiedliwienie dla grzeszku, który oboje z Guyem uwielbiają popełniać - powolnej przejażdżki z otwartymi oknami i włączoną klimatyzacją. Zanim Guy zdążył na parkingu otworzyć drzwi samochodu, True dostrzega Hanka stojącego pod gzymsem przy wejściu.

Hank... całuje jakąś kobietę.

Hank całuje kobietę, kobietę, całuje kobietę. True nie widzi jej twarzy, choć jest jeszcze sporo słonecznego światła, bo kobieta, sięgając ustami do policzka Hanka, ma twarz uniesioną i osłoniętą woalką równo obciętych włosów. Dość, że nie sięga jego ust. Całuje go tak, jak całują Bannisterowie, w oba policzki. Trzyma go za ręce. Po chwili się rozdzielają. True nie wie, czy zakryć Guyowi oczy, czy wyskoczyć z samochodu z podniesionymi do góry, rozpostartymi rękoma i wyć jak upiór, czy może zsunąć się pod deskę rozdzielczą, by się schować. Hank i kobieta stoją obok siebie. True oddycha ciężko, z każdą sekundą coraz

ciężej, jakby biegła pod górę i nie mogła się zatrzymać.

Hank dotyka ramion kobiety, unosi jej podbródek, grozi palcem, całuje ją w czoło. Przygarnia ją na chwilę do piersi. Potem kobieta z opuszczoną głową oddala się w stronę sportowego samochodu.

- To passat - stwierdza Guy. - Uwielbiam passaty. Też będę miał passata, jak będę sławny.

- Jasne - mówi True.

Nie chce otworzyć drzwi, wychylić się i zwymiotować. Nie chce zwymiotować w rękę. W volvie nie ma akurat ani jednego pustego kubka po kawie ani jakiegoś pojemnika po napoju, chociaż normalnie jest ich tu pełno. Pochyla się więc do przodu i zbliża twarz do wylotu wentylatora. Oddycha głęboko i powoli.

- Już skończył z całowaniem. Możemy teraz wejść do środka?

Jasne, jasne, jasne. Nie, nie, nie. Zaczekaj, zaczekaj, myśli True.

- Zdaje się, że... Kto to był? - pyta True. - Ta pani?

- Nie wiem.

- Nigdy jej nie widziałeś?

- Nie.

- Może lepiej pojedziemy na lody.

- Dlaczego? Przecież już po wszystkim. To mogła być... Ale nie, bo ona jest ruda. I teraz chodzi z bratem Toma, wiesz?

- Nie. Kto? Lucy?

- Tak.

- Jedźmy, Gee. Jedźmy stąd natychmiast.

True jest prawie pewna, że może prowadzić samochód. Teraz czuje tylko, jak się poci, ale mdłości ustały. Oddychanie pomaga. Oddycha jeszcze głębiej, ale boi się, że straci od tego przytomność. Zaczyna się śmiać. Guy, z początku zdziwiony, zaczyna w końcu śmiać się razem z nią. True naciska mocno pedał gazu i zatrzymuje się przy wjeździe do Nadmorskiego Parku Narodowego. Zrzuca koszulę i zostaje w samym topie, przylepionym z gorąca do skóry.

- Okropnie gorąco, prawda? - pyta Guya. - Mam wielką ochotę na coś bardzo zimnego.

W tej kobiecie było coś znajomego. Zamyślona True gubi drogę do Sundae School i nagle znajdują się obok salonu z automatami. W końcu jednak docierają do lokaliku przy drodze, gdzie bezwstydnie pałaszują mrożoną kawę z sosem toffi.

- Teraz lepiej, co? - pyta Guya, który obserwuje ją ze zdziwieniem, gdy przeczesuje palcami włosy, a potem nakłada, ściera i znowu nakłada błyszczak na usta.

- Pojadę teraz po tatę, dobra? I niedługo wrócę - mówi. - Założę się, że to była jakaś dawna koleżanka tanie Tannie albo tante Win. Nie sądzisz?

- Kto? - pyta Guy.

- Ta pani, którą całował.

- Pewnie tak. - Guy beztrąsko klepie ją po ramieniu. Zostawiwszy Guya z Kathleen przy filmie o wiedźmach-

-bliźniaczkach („To film Disneya, mamó”, uzasadnia Guy, spodziewając się sprzeciwu z jej strony, ale tym razem True jest zbyt zmęczona i zbyt rozkojarzona), wraca do Jedynej. Siedzi w samochodzie na parkingu. Ale gdy tylko dostrzega Hankę wychodzącego z zaplecza na swoje cygareto, uświadamia sobie, kim była ta kobieta. Adele Cabot. Adele z Florydy, New Hampshire, Massachusetts, Adele tu i teraz. True nie potrafi przybrać spokojnego wyrazu twarzy na spotkanie z Hankiem. Nie wie, o co spytać, a o co nie pytać... Włącza wsteczny, ale gdy zaczyna cofać, Hank słyszy chrzęst żwiru i biegnie w jej kierunku.

- Cześć! Właśnie chciałem po ciebie zadzwonić, żebyś przyjechała. Kompletna martwota dzisiaj. Pomyślałem, że może będziesz chciała zagrać w darta czy w coś innego. Przynajmniej byłabyś z frontu, gdzie jest przewiew. Boże, wiesz, jak na zapleczu jest gorąco? Tom pracuje prawie nago.

Hank też niewiele ma na sobie. Podkoszulek na ramiączkach i wystrzępione szorty pod białym kucharskim fartuchem.

- Jestem wykończona, masz rację - mówi True. - I te okropne muchy. Widzieliśmy je z Guyem. A ty jesteś zmęczony? Koszmarny wieczór, co?

- Sami tacy, co siedzą nad kromką chleba przez trzy kwadransy. I zamawiają jednego drinka.

- Nikt inny? Żadnych stałych klientów? Żadnych przyjezdnych?

- Nie. - Hank całuje True w nos.

True przygląda się jego ustom, wilgotnym wargom, czwartemu od końca ułamanemu zębowi.

Czeka. Dłuższą chwilę.

Jeśli Hank powie: Ta pisarka, wiesz, z którą kiedyś byłem, Adele, odwiedziła mnie dzisiaj. Przyjechała na wakacje... nie wybuchnie. Przysięgła sobie na wszystkie świętości. Hank ją tylko pocieszał. I tyle. Teraz True jest tego pewna. Nie próbował odnowić uczucia ani nie była to randka, nie na widoku, nie na parkingu. W każdej chwili ktoś mógł przyjechać.

Ona mogła przyjechać. Ona przyjechała! Adele ma jakiś kłopot, może straciła... kontrakt albo pracę, albo serię wykładów, coś takiego... Albo zerwała ze swoim chłopakiem, albo, jeszcze lepiej, znalazła prawdziwą miłość. Żegnała się z Hankiem. Tak to było. Żegnała się z nim i życzyła mu powodzenia w taki sam sposób, w jaki True by to zrobiła. W przypadku kogoś takiego jak... powiedzmy Evan. I tyle. Gdyby było inaczej, Hank powiedziałby teraz: Adele wpadła. Ma kłopoty. Znasz Adele. Ale Hank nic nie mówi. True wchodzi do chłodnego wnętrza przypominającego wnętrze baru w Vieux Carre jak do geody. Macha ręką do Toma. Pełne poczucia winy spojrzenie Toma jest przezroczyste niby folia spożywcza. Tom znika w głębi lokalu. Pojawia się Lucy w lekkiej bluzce z gołymi ramionami, próbuje sił jako przyjmująca gości i w uśmiechu pokazuje True wszystkie zęby. True idzie do parnej kuchni, gdzie dwójka mężczyzn pracuje w milczeniu ramię w ramię z nowym pomocnikiem. Wylewają mleko na krewetki smażone na patelniach, sypią garściami czerwony pieprz, zręcznie chwytają szczypcami steki i wyciągają je z wielkich piekarników, gdzie mięso piecze się po uprzednim obsmażeniu. Wszystko jest przyrządzane na bieżąco, nic się nie marnuje. True ma wrażenie, że obserwuje pracę mechanizmu zegarka.

- Pamiętaj. Potrzebne mi będą potrójne krewetki Tazo - przypomina Tomowi Hank.

- Roger, trzy czy cztery?

- Niech pomyślę. Cztery. I ciastko z kremem, zamrożone, żeby się nie rozpląnęło po drodze - mówi Hank. - i chleb.

Pewnie dla Madame Le Chat i pana Riviere. Oto i cały Hank, dobry i szlachetny.

Hank całował Adele.

Tylko jej się zdawało. Widziała to w kalejdoskopie hormonów.

Nie może oderwać wzroku od Toma, gdy ten za pomocą palnika ścina sos brulee, dziś - czekoladowy. Żeby spróbować sosu brulee, True gotowa jest wejść do gniazda jadowitych węży. Teraz jednak zarówno sos, jak i łakomstwo gości zgromadzonych poza maleńką przestrzenią kuchni, mozolnie borykających się z gęstą zupą rybną czy tartymi batatami ze słodkim estragonem, dla których tu przyszli i które zamierzają spożyć do końca mimo upału, mimo gastrycznych dolegliwości niechybnie czekających ich tej nocy w łóżkach gospod Hawthorne's Inn albo Gilded Gull, wydają się jej zwykłym barbarzyństwem. Spoglądając przez uchylone drzwi, spodziewa się zobaczyć ryje i rogi.

- Kochanie, kuchnia to nie miejsce dla ciebie - mówi Hank, wycierając szyję czystą serwetką. - Jesteś zielona na twarzy.

True wchodzi do restauracji, siada przy barze i prosi barmankę Rosę o mrożoną herbatę. Bierze szklankę w obie dłonie, a potem obiema dłońmi dotyka policzków.



Każda żona by zapytała. Żadna żona pewna siebie i mężowskiej miłości nie byłaby tak bierna, tak potulna. Czy True jest myszą? Czy wiedźmą? Dlaczego nic nie mówi?

Po zamknięciu Hank przetarł podłogę mopem - napis na ścianie głosi wyraźnie PODŁOGA POWINNA BYĆ - I BĘDZIE! - ZMYWANA PIĘĆ RAZY W TYGODNIU, umył się do połowy pod wodą z węża na podwórzu i zaproponował, by zostawili ciężarówkę i pojechali do domu jednym samochodem. Jutro True mogłaby go podrzucić do pracy.

Nie ujechali nawet mili, a skóra Hanka zdążyła wyschnąć.

- Wyobrazasz sobie? Jest mi tak gorąco, jakbym się w ogóle nie mył.

- Musisz chyba chudnąć w takiej temperaturze, jaka panuje w kuchni - mówi True.

- Tego lata dwa i pół kilograma. Na razie - śmieje się Hank.

- Zachowujesz się tak, jakby to nie była ciężka praca. A przecież ta robota przypomina sypanie węgla do pieca pod pokładem statku - mówi True.

- Człowiek nie powinien zachowywać się tak, jakby ciężko pracował - odpowiada poważnie Hank. - Mój tatuś mówi, że wtedy tak to wygląda, jakby się pracowało dla pieniędzy.

- Ja pracuję dla pieniędzy.

- Bzdury, True - karci ją Hank. - Nikt nie pracowałby tak ciężko jak ty dla samych pieniędzy ani nie mówiłby o swojej pracy tak jak ty. Nie musisz aż tak się przejmować, a jednak się przejmujesz. Słyszę to w twoim głosie, gdy rozmawiasz przez telefon.

Hank skręca ku Nauset, idą na spacer. Czuje się wreszcie jakiś ruch w powietrzu, choć trudno powiedzieć, że wieje - choćby lekki - wiatr. True zdaje sobie sprawę, że jest krytykowana za posiadanie jedyne w okolicy centralnego klimatyzatora - mieszkańcy Cape Cod gardzą klimatyzacją, chociaż na parkingu JC Penney dochodzi do walk o każdy wiatraczek, gdy nadejdzie fala upałów. True usprawiedliwia się faktem, że jej dom to nie tylko mieszkanie, ale także miejsce pracy. True musi dbać o właściwą temperaturę w magazynach - gdzie zamontowane są klimatyzatory okienne - nie tylko ze względu na towar, ale i na pakowaczy. Ogarnia ją jednak przerażenie na samą myśl, że któraś z mam w Filadelfii, otwierając paczkę z Podarunkami, poczuje smród surowego dorsza, który wiatr niesie z pobliskiej przetwórni.

- Dlaczego jesteś taka ponura? - pyta Hank.

- Chyba przez pogodę. Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Chodźmy do domu. Może tam zobaczę, co się z tobą dzieje.

- Dobrze.

- Chętnie bym tutaj trochę odpoczął, ale widzę, że nie jesteś... plażową dziewczyną...

- Uwielbiam plażę, Hank. Ale nie znoszę piasku.

- To co cię tu przygnało?

- Los mnie przygnał. Gdyby to ode mnie zależało, plaża byłaby pokryta jakąś nawierzchnią, na przykład taką jak podłoga sali do gry w koszykówkę. Nie mogę długo wytrzymać, by nie iść na basen do Franny, ale ja po prostu... nie znoszę piasku.

- A Guy uwielbia. Uwielbia się zakopywać.

- Ilekroć to robi - mówi True, biorąc Hanka pod rękę w drodze do samochodu - ciarki mnie przechodzą.

- Chce nawet, żebym ja go zakopywał.

- Mów mu, żeby dał ci spokój.

- Mówię mu, ale on wtedy nalega jeszcze bardziej. Takie są dzieci. Pójdziemy na lody?

- Już jadłam. Niedawno. Z Guyem.

Do licha, myśli True. Czy Guyowi nie przyjdzie do głowy zapytać o tę kobietę? Nie. Guy zapomina o sprawach dorosłych, jeśli nie dotyczą go osobiście, równie szybko, jak o majtkach rzuconych na podłogę w łazience.

- Wobec tego chodźmy do łóżka. Chcę ci coś pokazać.

- Nie chcę do łóżka - mówi nagle True nieco za wysokim głosem. - W bagażniku mamy koc.

Idą daleko w mrok, tam gdzie nie dosięgnie ich światło latarni morskiej ani blask ognisk rozpalanych przez nastolatków. Nie ma nawet uciążliwych muszek. True staje przed leżącym na kocu Hankiem i w kusocielski, jak sądzi, sposób pozwala opaść związanym w pasie tasiemką spodniom, pod którymi nic nie ma, po czym kładzie się obok niego. Woda jest gładka i spokojna, nad nią wisi metaliczny księżyc, a na mosiężnym niebie chmury stoją w rzędach niczym ołowiane sztaby - zbyt symetrycznie jak na dzieło natury.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego - mówi True. - To pewnie oznacza jakąś zmianę pogody, ale widok jest... jak nie z tej planety.

Hank wyciąga z tylnej kieszeni niewielki kartonik.

- Mam nadzieję, że to nie narkotyki - chichocze True.

- To lód - mówi Hank.

- Lód?

- Lód. Zwyczajny lód.

- Będziemy pić martini?

Hank wyjmuje jedną z barowych kostek z małym wgłębieniem pośrodku i kładzie ją

na brodawkę jej piersi. Brodawka sztywnieje najpierw wskutek szoku, potem z rozkoszy, gdy woda spływa po żebrach True. Hank pochyla się, najpierw liże, potem ssie.

- Chłodniej? - pyta.

- W pewnym sensie.

Leżą obok siebie, zamyślony Hank pieści jej brzuch i uda wskazującym palcem, rysuje pióra, kółka, księżycy i gwiazdy. Unosi się lekko i zdejmuje dżinsowe szorty, a potem sięga ręką grzbietu, by ściągnąć koszulę. Ten gest, choć widziała go już setki razy, wciąż budzi w niej pamięć esencjonalnej męskości i rzuca ją na kolana. Nigdy nie spotkała istoty tak naturalnie stworzonej do seksu. Gdy Hank wchodzi w nią, True słyszy młodzieńczy, tłumiony śmiech i czyjeś słowa „...taki przystojny”, zagłuszane chrzęstem piasku pod bosymi stopami, ulatujące równie szybko jak słowa piosenki dochodzące z otwartych okien przejeżdżających samochodów, gdy jako mała dziewczynka leżała w łóżku i próbowała zasnąć.

Trzyma ją za ramiona, twarz ma skrzywioną, chrapliwy oddech zniża się o oktawę, przechodzi w pomruk, jęk, w stękanie, pcha zbyt mocno, jej łopatki rzeźbią wgłębienie w piasku pod pledem. True odczuwa ból. Rozum, który steruje jej samopoczuciem, każe go odepchnąć, ręka chce go powściągnąć. Ale już za późno, by zakłócić symetrię bolesnej fizyczności i uczucia zmierzającą do krótkiej chwili uniesienia. To byłby grzech. Nie bacząc na obecność przechodniów, nie może powstrzymać grymasu rozkoszy, w ślad za którym płyną łzy.

Tak, myśli True. Jest przystojny. Od pokoleń. Jest mój.

- Gotowa? - pyta Hank, jęcząc z rozkoszy.

- Bardziej niż gotowa.

True próbuje nadać oddechowi przerywany rytm orgazmu. Hank się pręży. Ona się pręży. Po raz pierwszy w ich małżeństwie - udaje.

- Wypowiadacie życzenia do gwiazd w Luizjanie? - pyta, gdy Hank kładzie się obok niej. Ziębny pot z jego skóry sprawia, że teraz drży z zimna.

- Tak samo jak i tu.

- O czym marzyłeś, gdy byłeś chłopcem?

- Chciałem być McClarenem - odpowiada Hank. - A ty?

- Ja chciałam być sławną aktorką.

- A więc ty jesteś bliżej. True milczy chwilę.

- Wiesz, o czym teraz marzę? To trochę niesamowite.

- O czym?

- Marzę o tym, żeby moje dzieci żyły długo. Żeby mnie przeżyły.

- No pewnie. Zawsze sobie znajdziesz powód do zmartwień.

- Kiedyś o tym nie marzyłam - przyznaje True.

- A o czym marzyłaś?

- O tym, żeby poznać faceta z Luizjany, który jest restauratorem...

Hank okrywa ją swoją koszulą.

- Ładnie brzmi... - mówi.

-...żebyśmy się pobrali, pojechali do Luizjany, kochali się któreś nocy i żeby rano okazało się, że jestem w ciąży! A w dziewięć miesięcy później żebyśmy mieli wspaniałą małą dziewczynkę albo wspaniałego małego chłopczyka, który by wyglądał całkiem tak, jak ten facet z Luizjany...

Hank nieruchomieje, patrzy w księżycowe srebro na horyzoncie.

- Czy chcesz mi coś powiedzieć, True?

- Myślę, że tak, tatusiu. - True trzyma kciuki zaciśnięte pod udami.

Hank nadal siedzi bez ruchu.

- True, ja... True, szczerze mówiąc... - Serce w True zamiera. - Ja... Chciałem powiedzieć, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. A nawet więcej. Jestem taki szczęśliwy, że nie śmiem powiedzieć ani słowa, żeby czar nie prysnął.

- Więc jesteś szczęśliwy?

- Szczęśliwy. Szczęśliwy? Ja... Ja myślałem, że będziemy musieli używać termometrów i wszystkiego... - Musieliśmy, myśli True, rozwierając palce. - Tatuś mi o tym mówił. A my wcale nie musieliśmy! Potrzebowaliśmy jedynie odrobinę bimbrowa i słynnej spermy Bannisterów!

- Nie ciesz się na zapas... Minęło dopiero parę dni, jeszcze daleko do pełnego bezpieczeństwa. Lekarka mówi, że w moim wieku zdarzają się poronienia i tak dalej.

- Naszemu dziecku nie może stać się nic złego! Naszemu dziecku! Naszemu dziecku!  
No, proszę! Wszystko

w porządku!

- Chciałam tylko, żebyś wiedział, ale to jeszcze nic pewnego. Dopiero za jakieś sześć tygodni będzie, mam nadzieję, pora na ostrożny optymizm.

Hank zrywa się, zgarnia piasek z ud True.

- Do licha, True! Czy nie zrobiliśmy... nie zrobiliśmy mu przypadkiem jakiejś krzywdy? Jej? Czy musimy teraz... grzecznie się zachowywać?

- Nie! - śmieje się True. - Musimy tylko trochę uważać. Wyjaśnię ci. I wystrzegać się wprowadzania powietrza do...

- Wiem, wiem.

- Jesteś pewien, że to nie za dużo? To znaczy syn, małżeństwo...

- Oczywiście, że nie! - woła Hank. - Ale boję się. Boję się, czy wszystko będzie dobrze. Tylko to. Nie spodziewałem się tego tak szybko. Ale przecież sześć miesięcy to kawał czasu. Nie, pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego. Czegokolwiek. O ironio!

- Dlaczego: „O ironio”?

- Nieważne - mówi Hank. - Nic takiego. Po prostu jestem zaskoczony. I tyle. Nigdy nie przytrafiło ci się coś zupełnie niespodziewanego, co by sprawiło, że czułaś się bardziej szczęśliwa niż kiedy indziej? Coś, na co nawet nie miałaś wielkiej nadziei?

- Tylko raz. Gdy mi się oświadczyłeś.

- Znakomity przykład - stwierdza Hank.

Wyciąga ręce, by wziąć ją w ramiona, pocałować. Ale ona odwraca twarz.

- Mam piasek... w ustach. Dlatego właśnie nie znoszę piasku - śmieje się True. Nie pozwoli, by jego usta dotknęły jej ust; nie wtedy, gdy ma na sobie jakąś cząstkę Adele.

Wspinają się po drewnianych schodach w stronę samochodu. Hank - nadal w samych szortach - podtrzymuje ją, jakby była nie tylko brzemienna, ale i upośledzona. True dostrzega krzywe spojrzenia dwudziestoparolatek, które zatrzymały się na parking, żeby zapalić - może papierosy, a może nie tylko. Wybaczcie, dziewczyny, myśli True.

True udziela sobie nagany. Odrzuca wszystkie wątpliwości. Są one jak ciężar kotwicy ciągniętej za łodzią na spokojnych wodach. Ciężar jest hamulcem, schodzeniem w dół. O, tak, jest przystojny, myśli True. Ja jestem jego, jego jedyną kobietą. Dlatego muszę traktować go jak partnera, a nie jak dziecko, nawet nie jak chłopca, już nie, już nigdy więcej. Któregoś dnia, może po narodzinach dziecka, powie jej: Pamiętasz tamtą noc? Kiedy mi powiedziałaś, że jesteś w ciąży? Wydarzyła się najgłupsza rzecz, ale nie chciałem zepsuć tamtej chwili. Nie wyobrażasz sobie, kto się wtedy pojawił, mówię ci, okropność...

- Kocham cię - mówi True.

- Ja też cię kocham - odpowiada Hank.

- To dobrze.

- Więcej niż dobrze. Muszę zadzwonić do moich, wynająć baner, który będą ciągnąć za samolotem... To dobrze i... jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać.

Wybaczę mu, myśli True. Cokolwiek to jest. Powie mi o Adele, powie, że to nic nie znaczyło, a ja mu uwierzę.

- Mam... mam pewien pomysł - mówi Hank, zaskakując ją tak bardzo, iż nie może się nawet rozzłościć, że szybko zapomniał o dziecku. - Mam pomysł. - True przygotowuje się na

najgorsze. - Pomysł na firmę, nie dokładnie taką jak Dwanaście Podarunków, ale podobną... Posłuchaj... Pomyślałem, że gdybyśmy mieli dziecko - starsze niż Guy, bo Guy dopiero za parę lat wyjedzie na studia - ale wiesz, jak się ma dziecko, które opuszcza dom, to człowiek chce, żeby to dziecko myślało o domu i żeby wiedziało, że się o nim myśli.

Mimo zamętu w głowie True czuje, jak odzywa się w niej intrygujący dźwięk srebrnego dzwonka...

- No i?

- Moja mama nazywa to paczkami od troskliwych rodziców. Wysyłałoby się je raz na miesiąc...

- Z ciasteczkami w metalowych pudełkach, płytami i robionymi ręcznie skarpetkami.

- Właśnie. - Hank aż przyklęka. - i z lwią maścią...

- Z lwią maścią! Świetny pomysł! Jak ci to przyszło do głowy? Na pierwsze przeziębienie, gdy mama jest daleko... Ale nasza własna lwia maść, nasz wyrób.

- I inne rzeczy. Kawa. Rękawiczki...

- Masz rację, Hank, masz racje. I maska na oczy, jeśli twój współlokator uczy się po nocach...

- I korki do uszu, jeśli przez całą noc słucha muzyki albo się kocha.

- Tak - mówi True wolno - to by się mogło udać... Wstaje pospiesznie.

- Oczywiście, że tak, True - mówi Hank zirytowanym głosem. - Nie jestem idiotą. Nie jestem dzieckiem. Mówisz do mnie jak do Guya.

- Nie chciałam. Po prostu tak mówię, gdy się zastanawiam.

- Wszystkie te rzeczy można by wkładać, tak jak wkładamy twoje, znaczy, nasze rzeczy w coś, co można jakoś później wykorzystać. Na przykład do plecaka na książki albo do...

- Pojemnika na kompakty, takiego dużego. Jasne.

- I moglibyśmy nazwać firmę... Słuchaj dobrze! Moglibyśmy ją nazwać Pierwszy Rok Poza Domem. Takie wyrosnięte Dwanaście Podarunków.

- Nie mów nic więcej - rzuca True, biegnąc do samochodu. - Papier! Trzeba to wszystko zapisać! Nie mów ani słowa, tylko powtarzaj sobie w duchu: Mam świetne pomysły, mam świetne pomysły. Powtarzaj. Jak zaklęcie.

- Chwileczkę. Dlaczego mam nie mówić dalej? Powiedziałaś, że pomysł ci się podoba!

- Bardzo mi się podoba. Dlatego jedźmy do domu. Weźmiemy notes i zrobimy listę. Twórca pomysłu musi mieć kogoś, kto będzie taki pomysł realizował. Tym kimś będę ja. Ja

zrealizuję twój pomysł.

- Ale ja też chcę go realizować - protestuje Hank.

- Hank, dajesz mi ten pomysł czy chcesz go ze mną realizować? Czy chcesz, żebyśmy robili to wspólnie?

- Nie myślałem, że będziemy to robić wspólnie albo że nie będziemy. Nie myślałem o niczym więcej, jak tylko o pogadaniu o tym. Powiedziałbym ci o nim już wcześniej, gdyby nie twoje wiadomości, które naturalnie miały pierwszeństwo i trochę zbiły mnie z tropu. Zawsze myślałem, że cały czas będę poświęcał restauracji, ale teraz wydaje mi się, że mógłbym się nauczyć i zrobić to razem z tobą.

- Bardzo bym chciała, żebyś to ze mną robił, ale nie wyobrażam sobie, jak by to miało być, póki nie znajdziecie współnika dla ciebie i Toma, nie menedżera, ale prawdziwego partnera. Nie masz pojęcia, ile trzeba czasu na zaplanowanie prototypu, na badania marketingowe.

- True, to mój pomysł i im więcej o nim myślę, tym bardziej mnie pociąga. Chciałbym zrobić z tego coś... idealnego, jak Dwanaście Podarunków. Wiesz, same sukcesy. Poza tym pomyślałem nawet, że można by zrobić coś takiego dla seniorów.

- Chwila. Moment. Jedźmy już! Bo zanim dojedziemy, wszystko pozapominam... Chodźmy!

Hank bierze True za rękę i biegną razem, jeszcze szybciej. Nagle True się zatrzymuje.

- Ale to nie znaczy, że masz przestać być niezależny, Hank, i rzucić swój interes. I to wszystko, co robisz dla biednych ludzi. Jeśli naprawdę chciałbyś się w to zaangażować, musiałbyś spędzać ze mną więcej czasu, uczyć się prowadzenia takiej firmy.

- Będziemy się kłócić. Wiem.

- Właśnie. Będziemy się kłócić. Będzie ci się zdawało, że wiesz lepiej niż ja, i będziesz obrażony, jak ci powiem...

- Klótnie nie będą dotyczyły przecież naszych spraw osobistych. Te sprzeczki będą takie same jak twoje sprzeczki z Rudym. Muszę się zastanowić. Muszę mieć trochę czasu. Ale czuję, że udałoby mi się pokonać pychę. W końcu - wzdycha Hank - ty jesteś szefową.

- Chodzi wyłącznie o doświadczenie w interesach - mówi True. - To twój pomysł. Bylibyśmy partnerami. Tylko tu. - True dotyka głowy. - A tam - True dotyka brzucha - i gdzie indziej będziemy...

Widząc, jak Hank gwałtownie nabiera powietrza, True myśli: Zaczekaj. Powoli. Nie wszystko naraz. Jest w tym jakaś uzdrawiająca równowaga. Ona miała dla Hanka niespodziankę. On miał niespodziankę dla niej. Po raz pierwszy spogląda na Hanka w górę, a

nie z góry. Nigdy by nie pomyślała, że można rozwinąć pomysł Dwunastu Podarunków tak zręcznie, tak gładko i pięknie.

Nocą spacerowicze upajający się chłodną bryzą dostrzegają światło na samej górze wielkiego domu, w oknie wychodzącym na plażę Ridgevale Beach. Światło pali się do wczesnych godzin porannych jak latarnia na pokładnicy statku.

True często się śmieje, gdy wspólnie kreślą plany, często wyraża aprobatę. Hank chichocze, skrywając dumę pod gestami niepewności, ale uparta myśl, niczym przestraszona mysz, ciągle krąży po klatce czaszki True.

True wstaje późno - wciąż rozmarzona, pod wrażeniem rozkosznego, słodko-słonego seksu, wzmocniona kojącą dawką wspólnej pracy, tylko trochę zaniepokojona wspomnieniem przypadkowego spotkania z Adele. Zmierzając do biura, wpada na matkę, która robi w kuchni herbatę.

- Hank ma genialny pomysł - mówi.

- Mianowicie?

True zaczyna opowiadać o Pierwszym Roku Poza Domem. Kathleen słucha cierpliwie, to kiwa, to kręci głową.

- Dobry pomysł. Ale czy to właściwa pora na nowe przedsięwzięcia?

- Sama nie wiem. Nie wiem, czy to odwaga, czy szaleństwo. Ale myślę, że sukces jest pewny.

- Blooms by Dawn też tak myślał. - Kathleen opiera dłonie na wąskich biodrach.

- Blooms by Dawn? A skąd ty wiesz o Blooms by Dawn, mamó? - pyta True.

- Słyszysz się to i owo.

- A słyszałaś o Bono i jego staraniach na rzecz pokoju na świecie?

- Mówię o gospodarczych wiadomościach z Internetu. Szukam, czytam, to i wiem. A to, co piszą, jest zdecydowanie zniechęcające.

True udaje odważniejszą, niż w istocie jest.

- Nie bądź taka bojaźliwa, mamó. Pomysł jest świetny. Zobaczmy, czy uda się zrobić egzemplarz próbny. Na to na pewno możemy sobie pozwolić.

- A co z kapitałem?

- Miałam różne propozycje finansowe.

- Ale każdy będzie chciał pakiet kontrolny!

- Może i ktoś dostanie jakiś pakiet. Za dobrą cenę. Mam przeczucie.

- Jesteś pewna, że to nie hormony?

- Co to znaczy „hormony”?



- Przecież nie jestem ślepa, True.

True mimowolnie spogląda na swój brzuch. - Skąd wiesz?

- Matka zawsze wie - odpowiada Kathleen.

- Wie, jak grzebie w śmieciach.

- Nie, True. Matka wie z twoich rozmów telefonicznych - niby szeptanych, ale nie aż tak, żeby nie dosłyszała - z lekarzami, i to prowadzonych w biurze. Wie, bo Esa powiedziała Rudy'emu, który przysiągł, że nikomu nie powie, a sama słyszałam, jak mówił Keithowi oraz swojej matce...

- O, nie. Wobec tego muszę powiedzieć Guyowi. A chciałam poczekać, aż będę pewna, że nie wydarzy się coś, co...

- „Coś” może się wydarzyć w każdej chwili. Ale jestem pewna, że nic się nie wydarzy.

- Jesteś pewna, mamó? Zupełnie jakbyś dęła w trąby i powiewała flagą z radości.

- Naturalnie. Cieszę się razem z tobą, jeśli to jest coś, czego chcesz.

- Chcę.

- Muszę zajrzeć do Internetu i sprawdzić, czy nie ma już takich usług dla studentów. Widziałam kiedyś podobną stronę dla starszych ludzi i było na niej mnóstwo wejść.

- Skąd to wszystko wiesz? Miałam wrażenie, że nie potrafisz posługiwać się komputerem, że komputer wybuchą, ledwie go dotkniesz! A tymczasem widzę, że lada dzień złamiesz szyfry Pentagonu, mamó.

- Uczę się - mówi Kathleen ze spokojem i obojętnością, zanurzając torebkę herbaty we wrzółku raz, potem drugi, i odwieszając ją na drewnianą ramkę, by użyć jej ponownie później. - Na naukę nigdy nie jest za późno. Kellen pisze, że...

- Och, Kellen. Ten genialny sadownik.

- Jest bardzo inteligentnym człowiekiem. Dyskutujemy ostatnio o Annie Kareninie.

- Ja też czytam Annę Kareninę - mówi zdziwiona True.

Kłamie. Jest tak zmęczona, że od tygodni nie tknęła żadnej książki.

- No proszę! - uśmiecha się matka.

W następny poniedziałek True dostaje szokującą wiadomość z redakcji telewizyjnego programu Today.

Ktoś odwołał udział w audycji, chcą więc w zamian przedstawić pojutrze Dwanaście Podarunków, mocne przedsiębiorstwo działające poprzez Internet, posłuchać o filozofii firmy i jej sekretach. Chcą, by True poleciała do Nowego Jorku, a dzień wcześniej przysłała próbki pięciu czy sześciu podarunków w celu przygotowania do pokazu przez ich projektanta. True

zawsze marzyła, by z prowadzącą audycję, Rosie O'Donnell, zaprezentowały niespodzianki w paczce Podarunków. Niezmiernie podekscytowana, True wstaje, rozmawiając ciągle przez telefon z producentem, macha na Rudy'ego, Wezwij Franny, pisze na kartce, i Rudy natychmiast sięga po słuchawkę.

Jeszcze przed przyjazdem Franny Esa i True kupują adres internetowy [pierwszyrokpozadomem.com](http://pierwszyrokpozadomem.com). Potem, gdy zjawia się Franny, wszystkie trzy idą na górę, by podjąć decyzję w naprawdę ważnej sprawie: co True będzie miała na sobie w telewizyjnym studiu.

- Czy ja w ogóle mam coś takiego, w co mogłabym się ubrać? Nie musi być jakieś super. Byleby nie było ani białe, ani czarne, ani biało-czarne, ani w paski, które powodują migotanie obrazu.

- Myślę, że masz. Nie możesz włożyć krótkiej spódnicy, bo twoje nogi będą wyglądały jak słupy, chociaż wcale nie są jak słupy. Czy masz jakieś inne kolczyki oprócz tych, które nosisz i które nie są stosowne nawet na rodeo? Paciorki i pióra, okropieństwo!

- Hank też to mówi. Ciągłe pyta: „Jak długo jeszcze musisz je nosić?” A ja pytam: „Żeby co?” A on na to: „Żeby wygrać zakład”. To samo mówi o moich kowbojskich butach.

- Na szczęście ja mam lepsze kolczyki. Powinny być złote i duże, ale proste i osadzone blisko twarzy. Czytałam gdzieś, że do telewizji trzeba ubrać się prosto, mówić prostymi zdaniami i powoli, ale treściwie. Tak jakbyś przemawiała. Niezależnie od tego, o co cię pytają, mówisz to, co chcesz powiedzieć. Powtarzasz to i koniec.

- A co ja chcę powiedzieć?

- Daj spokój, True.

- Pytam poważnie, co ja chcę powiedzieć?

- Powiesz tej miłej blondynce, że Dwanaście Podarunków jest wyjątkową firmą, absolutnie wyjątkową, ponieważ oferuje klientom możliwość obdarowywania najważniejszego dla nich malucha co miesiąc, przez cały pierwszy rok życia dziecka. A ta miła blondynka powie: „Och, czyli coś w rodzaju Klubu «Książka Miesiąca»..”. A ty się leciutko roześmiesz i powiesz: „Nie, nie. Każdy przedmiot znajdujący się w paczce Podarunków, z wyjątkiem pięknych książeczek wybranych przez bibliotekarzy dla dzieci...”

- Przeze mnie i przez Kathleen.

- Przecież Kathleen jest bibliotekarką!

- Fakt.

- „...każdy przedmiot wykonany jest ręcznie przez artystów i rzemieślników, a więc każdy z nich jest troszeczkę inny. Mamy też kremy przeciwsłoneczne i inne kosmetyki

produkowane tylko na użytek naszej firmy według specjalnych receptur, by nadawały się zarówno dla dziecka, jak i dla matki. Dbamy też o to, by wszystkie nasze produkty powstawały w sposób wolny od jakiegokolwiek okrucieństwa”. Dodaj, że śpioszki są bardzo funkcjonalne. Zażartuj. Opowiedz, że nigdy nie potrafiłaś równo zapiąć zatrzasków w śpiochach Guya, zwłaszcza po ciemku, i dlatego postanowiłaś, by śpiochy produkowane przez twoją firmę miały w kroku szeroki pas i tylko dwa zatrzaski, po jednym z każdej strony - ciągnie Franny. - I że ślimaki wkłada się przez głowę, że są jak golf, więc nie robią się supły na tasiemkach.

- Czyli już wiem, o czym mam mówić...

- To nie wszystko, jeszcze coś najważniejszego. - Franny grozi palcem.

- O czymś zapomniałam?

- Ogłosisz powstanie nowej firmy!

- Jeśli ogłoszę powstanie nowej firmy, będę musiała naprawdę tę firmę założyć, i to szybko! A wcale nie wiem, czy już jestem na to gotowa.

- O ile pamiętam, kiedyś mówiłaś: najważniejsza jest odwaga - przypomina Franny. - Mówiłaś, że jak sprawy nie idą, najlepiej...

-...więcej ryzykuj! Tak. Musiałam być naćpana - mówi True.

- Nigdy nie będziesz miała lepszej okazji.

- Racja - przyznaje True. - Będę musiała znaleźć sposób.

- I jeszcze coś, o czym zapomniałam. Podkreśl bardzo mocno, że każde dziecko dostaje ubranko dopasowane do swoich rozmiarów. Chodzi o wcześniaki. W dzisiejszych czasach rodzi się mnóstwo wcześniaków - mówi Franny. - Wiesz, starsze matki przy forsie. I będzie ich jeszcze więcej.

- Skoro o tym mowa...

- Co? - Franny marszczy nos z niesmakiem, patrząc na pomarańczową prostą suknię w paski wielkości namiotu.

- Nie wyrzucaj jej. Może mi się przyda.

- Do czego? Zrobisz z niej markizę, jak będziesz wyprzedawać starocie przed garażem?

- Nie.

Franny spogląda uważnie na True.

- True Dickinson! - mówi, obejmując przyjaciółkę i mrużąc jej w ramię słowa zarezerwowane zwykle na przypadki klęsk i cudów, a nie najbardziej naturalne zjawisko w życiu człowieka. - Czy to bezpiecznie latać teraz samolotem?

- Tak nisko? Bezpiecznie. To tylko kroczek.

- Jeden mały kroczek dla kobiety, a wielki skok dla... Och, True, tak cię Kocham - mówi Franny. - Zaslugujesz na to. Hank wariuje z radości?

- Tak. Jest trochę zaskoczony. I prze...

-...prze-ra-žo-ny - mówią jednym głosem i wybuchają śmiechem. - Będzie się musiał niejednego nauczyć. Ale poczekaj tylko, niech ją zobaczy!

- To chłopak. Wiem na pewno.

- Już wiesz?

- Nie. Ale Hank tak mówi.

- To dziewczynka, True - mówi poważnie Franny. - Ja będę jej chrzestną matką.

W końcu postanawiają, że True włoży lnianą sukienkę w kolorze morskiej piany - tę samą, w której żeniła Douglasa i Esę.

- Życzcie mi szczęścia - mówi True tuż przed odlotem do Nowego Jorku, a Hank i Guy odpowiadają chórem:

- Połamania nóg!

W ostatniej chwili True bierze Hanka na stronę i szepcze:

- Widzisz? To przeznaczenie.

- Przestań. Pamiętaj tylko, żeby siedzieć prosto i uśmiechać się - mówi Hank.

True czuje się spokojniejsza, widząc z samolotu, że Hank obejmuje Guya ramieniem.

Franny i True zatrzymują się w pensjonacie, budynku z piaskowca, przy East End, czystym, ale wyglądającym dość niesamowicie z powodu ozdób na ścianach: wyszywanki z wycinkami z psalmów przeplatają się z fotografiami jasnowłosych dzieci. Fotografie pomalowane są pastelowymi farbami; czegoś takiego True nie widziała od dzieciństwa. Właścicielka szczegółowo uzasadniła konieczność cichego oglądania telewizji wieczorami - po siódmej jej czteroletnie dziecko idzie spać. Przeglądając księgę gości, Franny czyta głośno:

- „Idealne schronienie dla wierzących... Dziękujcie Jezusowi Chrystusowi za to miejskie sanktuarium”. Ktoś z Peru: „Co za niespodzianka odnaleźć Boga w tym mieście grzechu i przemocy”. Nie sądzę, żeby ona miała dziecko, True. To fotografie sprzed trzydziestu lat. Może miała czteroletnie dziecko i...

- Przestań, Franny, nie strasz mnie - mówi True, trzymając rękę na brzuchu. - Chyba zamknę drzwi na klucz.

Myją zęby i kładą się jedna obok drugiej. Telewizor ma jedynie pokojową antenę i łapie tylko jedną stację. Biało-czarny obraz faluje i miga, gdy oglądają jakiś brytyjski

dziennik.

- Zadzwońmy do domu z mojej komórki - mówi Franny. - Jeśli Steve odpowie, będziemy pewne, że nie przeniosłyśmy się w inną epokę. Dziecku w każdym razie chyba się podoba. Może będzie anglofilem. Bo jakoś nie wymiotujesz.

- Śpij - mówi True. - Za sześć godzin muszę wyglądać na trzydziestolatkę.

Obie aż podskakują z przerażenia, gdy za ścianą, tuż przy ich głowach, ktoś trzaska drzwiami i zamyka je na klucz. Chichoczą.

- Dam ci pięćdziesiąt dolarów, jeśli zaczniesz ze mną skakać po łóżku, wzdychać i krzyżeć. Dam ci sto dolarów.

- Cicho! - karci ją True, ale śmieją się tak głośno, że efekt jest ten sam. Franny musi wybiec z pokoju na siusiu, a True w końcu musi zwymiotować.

Następnego dnia w studiu telewizyjnym True jest zachwycona, gdy stylistka rozplata jej warkocz i układa prostą fryzurę z puszczonej luźno i podwiniętymi pod spód włosami. W tym uczesaniu True wygląda lepiej niż w jakimkolwiek innym. Gdy przypinają jej mikrofon i wchodzi na wizję, zapomina o nerwach. Mówi swobodnie, prezentując pozytywkę, puzdreczko, otwierające się przy dźwiękach kołysanki, w którego wnętrzu znajdują się śpiochy i mydełko. Prezenterka jest tak oczarowana, że zamawia podarunki dla dziecka swojej siostry mieszkającej w Kansas. Kiedy Jane (bo True sądzi, że prezenterka ma na imię Jane) pyta o plany na przyszłość, True stwierdza ogólnikowo:

- Myślmy o chwili, gdy nasi mali klienci dorosną i wyfruną z rodzinnego gniazda, o chwili, gdy dziecko po raz pierwszy opuszcza dom i gdy rodzice, w każdym razie tacy jak ja, pragną posłać cząstkę siebie wraz z dzieckiem, ale są zbyt zajęci, by piec ciasteczka i robić na drutach skarpetki...

- Podarunki dla dużych dzieci! - wykrzykuje prezenterka.

- To właśnie nasz plan - uśmiecha się True.

- Fantastycznie! - mówi Jane całej Ameryce, a serce True drży ze strachu i podniecenia, co czasami może oznaczać jedną i tę samą rzecz.

Gdy wracają do domu, na ganku wiszą napisy wykonane przez Guya: MAMA GWIAZDA TELEWIZYJNA! 12 SUKCESÓW ZA JEDNYM ZAMACHEM! Hank z entuzjazmem opowiada, że już ją pokazywali w bostońskim dzienniku o szóstej.

Wystąpienie True trafia do rubryki Styl życia w „Boston Globe”. Pojawia się reporter, by przeprowadzić wywiad. Dostają tyle nowych zamówień, że Esa i Kathleen ledwie dają sobie radę z odbieraniem telefonów i odpowiadaniem na e-maile. True zastanawia się, czy nie

dać ogłoszenia, że zatrudni pakowaczy - wynagrodzenie plus bonusy - by praca wydała się bardziej atrakcyjna. Notowania giełdowe, po sięgnięciu dna, zaczynają zwyżkować, równowaga wydaje się jeszcze bardzo chwiejna, ale sytuacja wraca do normy. Gdy Hank pojawia się w domu, True jeszcze siedzi przy biurku

i wysyła potwierdzenia zamówień do nowych klientów. Nie zauważa nawet, póki nie dostrzeże plamy na ścianie, że zostawił zapiaszczone buty pod schodami. To tak bardzo do niego niepodobne, że zaniepokojona True szuka go i znajduje męża stojącego przed lustrem w łazience. Co najdziwniejsze, Hank jest pijany.

- Hank? - pyta. - Co się stało?

- Nic.

- Widzę przecież, że coś się stało. Nigdy nie pijesz. Nie tak.

- Czasami robię rzeczy, których nie robię. Głowa mi pęka od tego wszystkiego.

- Od czego?

- Od tego, że mój kochany kumpel Tom pożyczył sobie dziesięć tysięcy dolarów z naszych pieniędzy i zainwestował w jakąś kretyńską firmę telefoniczną, którą jego brat pomagał utworzyć.

- No i?

- No i się nie udało.

- Och, Hank.

- Przysięga, że zwróci te pieniądze bardzo szybko, ale gdy mu powiedziałem, żeby do tego czasu brał tylko połowę pensji, to się wkurzył i...

- Wkurzył się! Skoro nawet cię nie zapytał...

- Pomogę ci.

- Nie - mówi ostro Hank. - Nie.

- Jesteśmy partnerami, Hank. Pamiętasz? Od kołyski po grób.

- Nie będziesz płaciła moim ludziom.

- A ty zapłaciłbyś moim?

- Tak.

- No więc?

- To co innego. Nie chcę, żeby Tom wiedział, że musiałem lecieć do mojej bogatej żoneczki i prosić o kieszonkowe...

- Tak to sobie wyobrażasz? - True czuje, jak lodowacieją jej ręce.

- Ja nie. Ale tak to widzą wszyscy inni.

- A co oni nas obchodzą? Sam mi tak kiedyś mówiłeś. Poza tym nikt nie musi

wiedzieć.

- Ja będę wiedział. Będę się czuł... jakbyś mnie miała na własność.

- Hank!

- Jestem... mężczyzną, True.

- A ja jestem twoją żoną. Na dobre i na złe. Będę cię wspierać wszystkim, czym jestem, i wszystkim, co mam.

- Dobra.

- Dobra.

- Dobra! Dobra! Dobra! Pomóż mi.

- Zapomnijmy więc o tym.

- Ale nie tylko o to chodzi.

- A o co? - Hank myje twarz, jeszcze raz i jeszcze raz, jakby chciał coś z tej twarzy zmyć. - Hank?

- O nic.

- Jak to o nic? - True nie ma cierpliwości do takich rozmów. Gryzie się w język.

Dosłownie.

- Nic takiego, co powinno cię zajmować. Pozwól mi się zastanowić. Kiedyś ci powiem.

- Niedobrze ci?

- Myślisz o żołądku? Nie - mówi Hank. - Nie jest mi nie dobrze.

- Nie martw się o pieniądze, kochanie. Połóż się i śpij - pociesza go True.

- Uhm.

- No, na pewno się uda.

- A jeśli nie? - bełkocze Hank.

- To...coś wymyślimy. Prześpij się teraz. Mówię ci. Ta audycja była darem losu. Jedno zrównoważy drugie. I ceny na giełdzie są tak niskie, że...

True zdaje sobie sprawę, jak niewiele wie o mężu, uświadamia sobie, że nawet w umysłach najpogodniejszych mężczyzn są mroczne zakamarki, a w przypadku Hanka jest to strach przed uzależnieniem się od kobiety. W innych okolicznościach pewnie by to ją rozgniewało, ale teraz atmosfera jest zbyt napięta, zbyt wiele przed nimi nadziei i zbyt wiele niebezpieczeństw, by dopuszczać do kłótni. True myśli o swoim ojcu, o mężu Franny, Steve'ie. Czy są mężczyźni, którzy nie starają się trzymać swoich kart jak najbliżej orderów?

- Muszę umyć zęby. Posuń się, proszę.

- Chcesz cztery aspiryny?

- Tak. I pozwolę ci je przynieść. - Hank bierze aspiryny z otwartej dłoni True. - Idę spać. I robić to, co nakazywała mi mama, gdy mnie zamykała w moim pokoju. Będę przemyślał nad moimi grzechami.

True przypomina sobie Adele. Jej uniesioną do góry twarz. Jeszcze nic o niej nie powiedział.

- Dostałam nową książkę Adele - mówi True do Hanka w parę dni później. - To naprawdę znakomita autorka.

- Tak, całkiem niezła.

Teraz to powie. Że przyszła. Widzieliśmy się. Było mi jej okropnie żal, bo to, co jest między tobą i mną teraz...

- Wszystko u niej... w porządku? Jesteś z nią w kontakcie?

- Czasami. Jej mama jest od lat bardzo chora. Adele nigdy właściwie nie miała ojca.

- Tak jak ja - mówi True. - To znaczy ja miałam, ale wcale go nie pamiętam.

- Myślę, że dlatego była... może dlatego aż za bardzo pragnęła szczęścia... ale nie w agresywny sposób. Chciała być kochana. Spotykała się z moim znajomym i przez niego się poznaliśmy. Podczas przyjęcia - bodaj z okazji wydań jej pierwszej książki. O małej syrence, która myślała, że jej mama jest...

-...delfinem.

- Właśnie.

- I muszę powiedzieć, że ten facet traktował ją jak śmieć. Któregoś dnia więc zadzwoniłem i zaprosiłem ją do kina. Zupełnie jakbym jej dał czek na tysiąc dolarów. A potem po prostu nigdy nie przestaliśmy. Aż przestaliśmy.

- Dlaczego przestaliście się spotykać?

- Bo wyjechałem.

- Dlaczego ją zostawiłeś?

- Przyjechałem tutaj. Nie chciałem długotrwałego związku.

- Było jej przykro?

- Tak. Bardzo przykro. I mnie też. Ale tak czy owak to już koniec. Kręciliśmy się w kółko. Odrobina dotyku, odrobina przyjemności. Odrobina życia. I żadnej przyszłości. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego kobieta o takich możliwościach o tylu zaletach jest tak... bojaźliwa, taka niepewna siebie. Chciałem ją jakoś... podbudować. Sprawić, żeby zobaczyła siebie taką, jaką naprawdę była. Miała piękne ciało, jak prawdziwa modelka, ale nie taka chuda. A myślała, że jest brzydka. Jak to możliwe?

- I o to chodziło? Nie podobało ci się, że nie wierzy w siebie?



- To... na pewno nie pomagało.

True widzi po twarzy Hanka, ze sposobu, w jaki gwałtownie przełącza telewizor na CNN, że zdał sobie sprawę z tego, co przed chwilą powiedział własnej żonie. Jeśli wezmę pigułkę nasenną, myśli True, czy dziecko także po prostu zaśnie, czy wyrośnie mu dodatkowa kończyna? Nie będzie ryzykować. Wszystko, jak się przekonała, od syropu na kaszel po witaminę B, ma w ulotkach jakieś ostrzeżenia dla kobiet w ciąży. Ale hormony i witaminy dla ciężarnych sprawiły, że jej włosy zgęstniały i pięknie lśnią. Uwielbia czuć pod palcami ich puszystość. Pokazała kasetę z nagraniem audycji telewizyjnej swojej fryzjerce. Teraz ma włosy podcięte równo wokół głowy. Uwielbia, gdy ciężkie kosmyki kołyszają się u jej policzka,

- Martwisz się o nią?

Hank przełącza telewizor na VH1.

- W pewien sposób. Chyba dlatego nie odchodziłem od niej tak długo. Ona naprawdę mnie potrzebowała. Zaczekaj chwilę, bardzo lubię tę piosenkę - mówi Hank. To Van Halen, Jump. Hank skacze na łóżko i zaczyna przebierać palcami po strunach wyimaginowanej gitary.

- Rób za chórek, True. Nie uważasz, że gitara na niby jest cudownym instrumentem?

- Nie. - True wydyma wargi. - Nie chcę śpiewać: „Skacz! Dalej, skacz!” albo „Odrobina szacunku, tylko odrobina...”

- Ale nie możesz przecież śpiewać solówki.

- Dlaczego?

- Nie jesteś facetem, więc nie możesz grać na gitarze na niby.

- Ty nie znasz starych piosenek. A ja tak.

- Na przykład Beatlesów? Znam. Znam całą The Ballad of John and Yoko. Wiem, że Something's Happenin' Here to tak naprawdę For What It's Worth.

- Miałam na myśli stare piosenki. Piosenki naszych rodziców. Takie, jakie podśpiewywała moja mama podczas gotowania. Takie jak... South of the Border. Dlaczego oni mówią o popie z lat czterdziestych?

Ale Hank śpiewa South of the Border, słowo po słowie.

- Nie doceniasz mnie, True. Moja mama też to śpiewała.

- Dobra, mam wspaniały pomysł. Ilekroć będzie nam się zbierało na kłótnię, zaczynamy śpiewać. To będzie sygnał. Ja będę śpiewać wyższym głosem. Będziemy śpiewać.

- Co mam zrobić, żeby powietrze w tym pokoju zaczęło krążyć?

- Przecież wcale nie jest gorąco. Na zewnątrz jest pewnie ze dwadzieścia stopni. Co o tym myślisz, Hank? O terapii śpiewem? Jak się pokłócimy?

- Zgoda. Świetnie. Ale ja nie mogę spać, True. Na południu klimatyzacja zawsze jest włączona.

- Idź wobec tego i pozamykaj wszystkie okna.

- Ty idź. Ja jestem zmęczony.

- Ja też jestem zmęczona. Nie chcę się ruszać. Mam bardzo wygodnie ułożoną poduszkę pod nogami.

- Dlaczego masz tu tyle okien? Jezu, w tym domu jest chyba ze dwieście okien.

- Sześćdziesiąt.

- I po co tyle?

- Było ich mnóstwo jeszcze przed rozbudową. Dom jest znakomicie zaprojektowany pod kątem naturalnej wentylacji. Klimatyzacja w ogóle nie jest potrzebna.

Hank wstaje, utyskując, kroczy po berberyjskim dywanie jak czapla. Ponieważ wychował się na drewnianych posadzkach, uważa, że berberyjskie dywany są nie tylko brzydkie ale stanowią też niepotrzebne narzędzie tortur. Mówi, że są jak ostre gwoździe. Twierdzi, że położy parkiet i orientalne dywany, jak tylko True wyjedzie w podróż trwającą dłużej niż trzy dni.

Zamknięcie wszystkich okien zajmie mu pół godziny i nawet umiarkowane pożądanie oraz ogromna czułość, jaką True żywi do Hanka, nie powstrzyma jej przed zaśnięciem. Sen stał się jej narkotykiem. Świętością. Zasypia i przy biurku, i w samochodzie, gdy czeka na Guya przed szkołą, i zwinięta na kanapie przed kolacją. Uwielbia to ciągle spanie, kolejny dowód, że ciąża się rozwija. Zapada w sen przy piosenkach Boya George'a w przekonaniu, że chociaż nie zasługuje ani na Hanka, ani na swoje szczęście, jest królową świata albo przynajmniej najbliższej okolicy.

Pewnego niedzielnego poranka Hank przygotowuje ciasto na gofry. Kuchnia jest cicha i pełna oczekiwania jak wnętrze dzwonu.

- Podejdź do mnie, Gee - mówi True i kładzie głowę Guya na swoim ramieniu. - Gee, tata-Hank i ja chcemy ci coś powiedzieć.

- Co? - pyta Guy. Ręce ma tłuste od parówek z indyka. Usiłuje nauczyć Gypa siadania, ale ilekroć podnosi rękę, pies nerwowo podskakuje.

- Hank?

- Tak?

- Hank? - powtarza True niecierpliwie, jakby chciała powiedzieć: siadaj i przygotuj się

do rodzinnego zdjęcia. - My...

-... będziemy mieli dziecko - kończy za nią Guy.

- Gee! Kto ci powiedział?

- Sam to wydedukowałem.

- Sam to wydedukowałeś - śmieje się Hank. - Nie - wiesz nawet, co to znaczy „wydedukować”.

- Właśnie, że wiem - mówi Guy.

- Jak? - pyta True.

- Stoi tu wielka butelka, na której jest napisane: „Witaminy dla kobiet w ciąży”. A ja wiem, co to jest ciąża.

- Cieszysz się?

- Siad, Gyp! - Pies w końcu siada. - Dobry piesek. Dobry. Widziałaś, mamusiu, usiadł!

- Cieszysz się? - pyta ponownie True.

- Eeeee, tak.

- Myślisz, że będę je kochała bardziej niż ciebie? Wiesz, że to nieprawda. Babcia też nie kocha mnie bardziej niż Doga. Zawsze będę kochała cię tak samo mocno.

- Eeeee, nie.

- No więc? Zawsze chciałeś mieć siostrzyczkę albo braciszka.

Guy przenosi wzrok na Hanka. True chrząka i Hank spogląda na nią. True telegrafuje mu pytanie.

- O mnie się nie martw, kolego. Syna już mam. A z tym tu będzie sporo uciechy. I świetna zabawa. Chociaż na początku z takim nie porozrabiasz. Nie to co my. Ty jesteś moim pierworodnym. Nie dostałeś pierścienia od grand-pere?

- Nooo, tak. - Guy patrzy badawczo na Hanka. A potem pyta: - Pozwolisz mi nalewać ciasto?

True wie, że rozmowa skończona.

Wrzesień

ZŁOTA JESIEŃ

Co się stało z latem? Zostawiło po sobie jeden dar: jabłka. Powitajmy wonną, słodką porę jabłek - pierwszego dziecięcego przysmaku i jednego z pierwszych desygnatów przy nauce języka. Nasze duże, dojrzałe jabłko, z gładkiego drewna, pomalowane jaskrawo-czerwoną nietoksyczną farbą, rozdziela się na ćwiartki i w magiczny sposób składa z powrotem. Wydziergany na drutach sweterek ma guziki w kształcie... zgadnij, czego? Przepyszna marmolada jabłkowa z Michigan doda zdrowia temu jabłuszku, które pada

niedaleko od jabłoni. A na dokładkę dobra lektura - opowieść o syrence Mimi i o delfinach.

Pewnego ranka pachnącego sosną - co zwiastuje jesień - True widzi rdzawą plamę na majtkach.

Przerażona, dzwoni do Bostonu i żąda od pielęgniarki natychmiastowego połączenia z lekarką, nie bacząc na delikatny protest rozmówczynie, która cierpliwie wysłuchuje zaniepokojonej True.

W końcu jednak ginekolog podejmuje słuchawkę.

- Nie, pani Bannister - mówi. - Niewielkie plamienie jest rzeczą normalną i czasami wynika ze zmian w szyjce macicy. Gdyby dostrzegła pani wyraźną, czerwoną plamę albo gdyby wystąpiło ciągłe krwawienie, proszę dzwonić. A tym, co teraz pani widzi, proszę się nie martwić.

- Hank - szepcze True wieczorem w łóżku, z którego nie wstała przez cały dzień, porozumiewając się z Esą i Rudym telefonicznie i wysyłając im e-maile ze swojego laptopa. Hank, miałam dzisiaj brązową plamę...

- Gdzie? - pyta Hank, przyglądając się bacznie jej twarzy. True nie może powstrzymać się od śmiechu.

- Nie na twarzy. Mówię o krwi...

- Dziecko? Wszystko w porządku?

- Lekarka wcale się nie przejęła. Powiedziała, że prawdo podobieństwo poronienia w tym okresie ciąży jest nie większe niż dwa procent... jeśli płód jest normalny.

- A jest?

- Nie wiem! Jeszcze za wcześnie, by cokolwiek stwierdzić. Nie jestem jasnowidzem!

- Wobec tego słuchaj lekarki - stwierdza beztrąsko Hank, sięgając ramieniem, ponad jej ciałem, do telefonu. Dzwoni do domu. GUS potwierdza słowa ginekologa, co podnosi True na duchu.

- Staraj się nie chodzić, póki wszystko nie wróci do normy - dodaje GUS - i zrób sobie okład z lodu na podbrzusze...

True leży na wznak całą sobotę, z zimnym okładem i stopami opartymi o blat do laptopa, czytając opowieść o tragedii Anny, aż wreszcie czuje, że mogłaby schładzać na swoim brzuchu martini.

Plamienie ustaje.

W poniedziałek wraca do pracy. Nadal jednak się niepokoi i często odwiedza toaletę. Aż dziwne, że koledzy nie oferują jej środka przeciw bieguncce. Szuka na papierze toaletowym śladów krwi z większą gorliwością niż za studenckich czasów, gdy miesiączka

się opóźniała, chociaż ani ona, ani paru kochanków, których miała, nie zapominali o zabezpieczeniu.

Martwi się zwłaszcza dlatego, że czeka ją następna po dróż - wkrótce musi polecieć z Bogu ducha winnym dzieckiem do Kalifornii.

Zainteresowanie mediów Dwunastoma Podarunkami zwróciło uwagę na firmę True pewnego poważnego inwestora. („Musi być bogaty. Na papierze firmowym napisane jest Bel Air, nie ulica czy numer domu, tylko Bel Air, jakby był właścicielem całego miasta”, powiedział Rudy). Bogacz, ojciec trójki dzieci w wieku studenckim, jest „oczarowany” pomysłem Pierwszego Roku Poza Domem.

Ogólny zarys współpracy omówił za pośrednictwem poczty elektronicznej i telefonu z True i Hankiem. A właściwie z True, bo gdy Otto Karp dzwoni z Hongkongu czy Berlina w godzinach swojej pracy, Hank zajęty jest zwykle sprzątaniem kuchni. Gdy Karp dzwoni, w domu jest tylko True. W każdym razie twierdzi, że gotów jest w to wejść. Jego pośpiech staje się zaraźliwy.

True odwiedza swoją ginekolog w Bostonie. Lekarka jest dobrej myśli.

- Jeśli płamienie ustanie na okres paru tygodni, może się pani czuć całkiem bezpieczna, lecąc samolotem w drugim trymestrze.

- To będzie wcześniej niż drugi trymestr - wyjaśnia True.

- Wobec tego musi polecieć ktoś inny, pani Bannister - stwierdza lekarka. - I proszę tego nie bagatelizować. Zmiany ciśnienia w pierwszym trymestrze nie są wskazane.

Potem razem patrzą na bijące serce płodu widoczne na monitorze ultrasonografu. Wydaje się absolutnie oczywiste, że True nie zrobi nic, co mogłoby zagrozić temu motylemu łopotaniu, nawet gdyby Donald Trump oferował jej w zamian jeden ze swoich wieżowców.

- Naprawdę bije! - mówi True z entuzjazmem. - Naprawdę!

Lekarka, kobieta rozsądna, która swego czasu przyjmowała porody w igloo gdzieś na odległych krańcach Alaski, uśmiecha się z tolerancyjną wyrozumiałością, jakby ta powtarzająca się od wieków ludzka przypadłość była czymś nowym i wyjątkowym.

- Serce bije zdrowo i mocno - stwierdza. - Błona płodowa jest dość cienka, ale nie ma powodu do niepokoju. Widzi pani, że serce bije, i, jak powiedziałam, niebezpieczeństwo poronienia zmalało. Proszę się odprężyć, pani Bannister. Wiele starszych kobiet ma dzieci. Zwłaszcza tych, które są bardzo biedne albo bardzo bogate.

True nosiła w pamięci słowo „starszych” niczym jeszcze przez tydzień po wizycie. Dowód rzeczowy - poplamione majtki - z pewnych powodów włożyła do plastikowego woreczka i schowała niczym Całun Turyński w cedrowym pudełku. True wie, że specjaliści

od ciąży wysokiego ryzyka używają słowa „starsza” w ściśle medycznym znaczeniu tego słowa, ale nie może przestać myśleć: Jestem starszą matką maleńkiego jak palec dziecka młodego Hanka. Znaczy to, że jestem dość stara, by postępować mądrze i rozsądnie a jednak nie potrafię zachowywać się inaczej niż młoda ciężarna. Wypowiada życzenia do gwiazd. Rzuca solą przez ziemię i unika widoku księżycy w nowiu. Nie stąpa po spoinach płyt chodnika. Patrzy na Hanka i Guya, gdy się mocują na podłodze w salonie i krzyczą na siebie, grając w Skeleton Kombat, a myśli kłębią się jej w głowie. Ich męska świadomość, ufność, którą bezwiednie ją obdarzają, jest dla niej źródłem satysfakcji. To z kolei sprawia, że to ona wytycza większą część, może nawet zbyt dużą część drogi, którą pójdzie jej rodzina. Dziecko, które nosi, jest nie tylko cenne, ale i potrzebne.

Święta Anno, święta Tereso, święty Antoni, modli się True - pokłada w świętych tyle nadziei przede wszystkim dlatego, że większość ich miała na ziemi ciężkie życie - sprawcie, by to dziecko przetrwało. Niech będzie nadzieją, a nie obawą. Proszę jedynie o to, żebyśmy nadal byli tacy, jacy jesteśmy. Brzdęk, moneta uderza o posadzkę błyszczącego grobu.

Planowanie spotkań z Ottonem Karpem - którego wszyscy zaczęli niesprawiedliwie i nieelegancko nazywać Grubą Rybą - w taki sam sposób, w jaki tworzy się reklamy telewizyjne, odwraca uwagę True od innych spraw. Decyzja co do wyjazdu została już podjęta: zamiast True polecą Hank i Isabelle („druga po Bogu”, jak mówi Rudy). Hank będzie sprzedawał nowy produkt, a Isabelle zaśpiewa balladę o historii Dwunastu Podarunków. Spotkanie odbędzie się podczas obiadu w apartamencie hotelu Hilton w Beverly - formuła banalna, ale nie obraźliwa. Kelnerzy zaserwują sole i świeże owoce. W pomieszczeniu będą dwa wazony z frezjami. True wybrała się z Hankiem do The Pilgrim, by kupić mu lniany garnitur („kolejny banał”, jak powiada Rudy, ale zignorowali jego słowa). Isabelle ubierze się w jedwabny kostium True w kolorze brzoskwini i koronkową bluzkę. Franny skróciła spódnicę kostiumu, by dla dobra sprawy odsłonić piękne nogi Esy. Wszyscy głęboko wierzą, że odegrają one taką samą rolę jak podprogowa reklama w kinach prażonej kukurydzy.

- Jeśli oczywiście Otto nie jest gejem - stwierdza Rudy. - Bo wtedy to ja powinienem pojechać i też dostać nowy garnitur. Jakbyś nie wiedziała, gustuję w szarościach.

Kathleen przejmie obsługę komputerów i poczty elektronicznej. Krista będzie przez parę dni zastępować Esę przy obsłudze klientów.

Guyowi pozwolono nie iść do szkoły w piątek i spędzić weekend u Esy i Douga, by Hank i True mogli przed wyjazdem wszystko dopiąć na ostatni guzik. Hank wraca w piątek do domu znacznie wcześniej niż zwykle i bierze wolne na sobotę. W kuchni zastąpi go błyskotliwy praktykant, specjalista od sosów.

Hank i True robią z łóżka prowizoryczną salę narad.

- Po pierwsze - poucza Hanka True - przy głównych daniach nie wspomnisz ani słowem o interesach. Będziesz zachowywał się tak, jakby całą twoją uwagę pochłaniało jedzenie. Będziesz mówił o rybie i o tym, jakie to dobre sole mamy na Cape Cod, i wreszcie, że on musi do nas przyjechać, żebyśmy mu taką solę przyrządzili. Mów o restauracji, w której masz udziały... Posłuchaj mnie dobrze. Możesz to tak ująć?

- Nie opowiadaj mi takich rzeczy, True, bo mnie to złości. Zupełnie jakbyś pouczała Guya, które słowo ma uwypuklić w monologu, chociaż tak naprawdę nie wiesz, czy to właściwe słowo! Jeśli nie jesteś pewna, czy dam sobie radę, wyślij Fanny - strofuje ją Hank.

Hank pogwizduje, przymierza spodnie i zastanawia się, czy nie są odrobinę za długie.

Ale True, chociaż nie chce obrazić męża, zdaje sobie sprawę, że trzeba wykorzystać wszystkie sztuczki i umiejętności.

Stara się nie przesadzić: nigdy nie pojmowała i nie akceptowała różnic między dumą kobiety a mężczyzny, ale wie, że kobiety są w tym względzie o wiele bardziej praktyczne. W końcu czyż się nie mówi: „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”? Hank wygląda na zapalonego, a przedsięwzięcie, o którym tyle dyskutowali, może zakończyć się dla nich stratą dziesiątków tysięcy albo przynieść mu niezłe pieniądze. Tylko True wie, z jakim optymizmem podchodzi do sprawy Gruba Ryba, jak duże, choć dające się zmierzyć, jest ryzyko, biorąc pod uwagę sytuację na giełdzie, i na jakie zagrożenia, mimo wzrostu popularności Dwunastu Podarunków narażony jest jej portfel. Nikt nie mówi o tym głośno, ale wszyscy wiedzą, że niepowodzenie drugiej firmy może pochłonąć nie tylko dom True, ale i Jedyną. True nie może przewidzieć, czy Hank wybrałby pozbycie się w pierwszej kolejności swojej restauracji czy ich domu. Nie może też przewidzieć, na co by się zgodziła.

Zaledwie w kilka dni później True uświadomi sobie, że nigdy nie przeszło jej nawet przez myśl, by w ofierze niepowodzenia mogła zostać złożona jej firma.

- Nie zaczynaj od przeprosin, że mnie tam nie ma. - True nie może się powstrzymać, by nie przypomnieć o tym Hankowi. - Jeśli zapyta, powiedz prawdę, że jestem... w ciąży, ale tak czy owak od początku planowaliśmy, że ty pojedziesz. Nie wspominaj ani słowem o kłopotach innych firm internetowych. Nie nawiązuj do tego, o czym piszą w gazetach. Próbuj raczej mówić coś wręcz przeciwnego. Nawiąż do danych demograficznych, podkreślaj rozmiary naszej grupy docelowej - największa liczba dzieci w historii Ameryki opuszcza domy i udaje się na studia, a rodzice wielu z nich to ludzie zamożni i nadal aktywni zawodowo...

- Bzdury i głupoty. Raz w górę, raz w dół. W moim osobistym odczuciu słowo

NASDAQ brzmi jak coś, co powinno sponsorować wyścigi Formuły 1. Nie czytam o tym wszystkim i nie chcę czytać - mówi Hank. - Powiedz mi jedynie, jak go oczarować, nie zdejmując koszuli.

- Hank, to poważna sprawa!

- Przecież jestem poważny! Przecież sam cię do tego przekonałem. To wspaniały pomysł.

- Ale ja jestem twoją żoną.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie dałabyś się przekonać, gdybyś nie była moją żoną?

- Nie o to chodzi. Musisz po prostu wiedzieć, co i kiedy zrobić, i jak postąpić z próbkami w prototypowej paczce... Bądź swobodny, rozłóż wszystko dookoła, tak by jego sekretarka i jego partner mogli sobie coś wybrać... Daj mu czas na obejrzenie próbek. Spytaj go o dzieci...

- Wiem, True. Od małego nigdy nie miałem kłopotów ze swobodą.

- Potem powiedz o badaniach rynku... że w Chicago siedem na osiem osób powiedziało... zresztą to powie Esa...

- True! - wrzeszczy Hank. - Przestań!

Jednak na parę dni przed wyjazdem męża obawy o ciążę, o pieniądze, o ciągle niewyjaśniony „problem” Hanka, nad którym on, jak sam twierdzi, zastanawia się, pływając, sprawiają, że nerwy True są napięte do granic wytrzymałości.

Któregoś wieczoru True łapie Hanka powracającego z plaży z chmurną miną.

- O co chodzi? O co chodzi, Hank? - pyta. - Powiedz mi, co cię dręczy?

- Nic takiego - wykręca się Hank. - Nic, co by dotyczyło ciebie... albo nas, albo dziecka.

- Jeśli to dotyczy ciebie, to dotyczy także i mnie - argumentuje True.

- Nie... Nawet mężowie i żony mogą mieć osobiste problemy - odpowiada Hank.

- Czy musisz podjąć jakąś decyzję? - próbuje ponownie True.

- Nie - odpowiada Hank.

True zdumiewa męską umiejętność mówienia „nie” albo „tak” i nieodczuwania najmniejszej potrzeby uzupełnienia takiej odpowiedzi jakimkolwiek wyjaśniającym zdaniem.

Hank jest otwarty na rozmowę w nie większym stopniu niż ostrzyga na dyskusję o realizmie magicznym.

True stara się więc żyć dalej, nie tracąc optymizmu. Ćwiczy wdechy i wydechy przy płytach Enya oraz spaceruje z Gypem, póki nogi nie odmówią szczeniakowi posłuszeństwa. Przybiera na wadze - już cztery kilogramy. Czasami myśli o punkcie zwrotnym, który właśnie



tak wcześnie osiągnęli - i w małżeństwie, i w życiu zawodowym. Trudno przewidzieć, co się wydarzy. Nowe przedsięwzięcie może być liściem zdolnym zburzyć domek z kart. Ale wycofanie się z propozycji Ottona Karpa byłoby bezsensowne, stanowiłoby widomy znak, że zwierzę jest ranne. True czuje, że skacze na głęboką wodę, gdy dla dobra swego zdrowia powinni' wygodnie dryfować na poduszce z fal. Każdego wieczoru spogląda na stojące na półce z książkami w sypialni powiększone i oprawione w ramkę zdjęcie z ostatniego pikniku na plaży, kiedy pozwolili Guyowi zakopać ich w piasku, na dwa bliźniacze kopce, pod którymi syn napisał słowa: MAMA I TATA. Gdy True dowiaduje się, że znakomita mezzosopranistka Kitt Reuter-Foss przyjeżdża do Teatru Rodzinnego na Cape Cod, by zagrać rolę Nancy w przedstawieniu Olivet' dzwoni do Beatrice i pyta, czy słynna śpiewaczka będzie udzielać dzieciom prywatnych lekcji. Beatrice oddzwania i uszczęśliwiona informuje True, że Kitt zgodziła się uczyć czwórkę dzieci - jednym z nich jest Guy! Warto wydać osiemdziesiąt dolarów za godzinę, niezależnie od tego, z czego będzie musiała zrezygnować, by sobie na to pozwolić. Hank nauczył Guya tour jęte przy silnych protestach i narzekaniach syna, który usiłował mu udowodnić, że prawdziwy mężczyzna może nauczyć się podskakiwania, oglądając filmy wideo z Michałem Barysznikowem albo Gene'em Koilym. Guy rośnie, smukleje i jest coraz zwinniejszy. Gdy roi > i arabeskę, Hank patrzy na True takim samym wzrokiem, jak na zdjęciu ślubnym - z nieukrywaną dumą graniczącą z pożądaniem. Noce nadal bywają namiętne: od tyłu, twarzą w twarz, bokiem. Są też poranki, gdy Hank budzi się ze swą dawną werwą, pragnie jej, rozbiera ją, zanim True zdąży przegonić Gypa i pobiec do łazienki, by po kryjomu zrobić siusiu i dać upust mdłościom. Jest im dobrze. Są zadowoleni.

Ale zdarzają się też poranki, gdy Hank budzi się i przypomina źdźbło zmarzniętej nocą trawy. Z zewnątrz nic nie widać, ale True wie, jak jest kruchy, że załamie się pod najlżejszym dotykiem, którego stara się wobec tego unikać. Hank ucieka od niej wzrokiem. Nie odpowiada, gdy Kathleen mówi mu dzień dobry. W takie poranki zdaje się nie dostrzegać nawet Guya, który odwraca oczy, gdy odpowiedzią na jego uściski jest tylko obojętne wzruszenie ramion. True widzi zakłopotanie oraz urazę syna i nienawidzi męża za jego dziecinną nieumiejętność udawania dobrego humoru. Udawanie dobrego humoru to specjalność mieszkańców Massachusetts. Listy od Win - która jest teraz w Nowym Jorku i planuje odwiedzić ich za parę tygodni - są jedynym źródłem radości dla Hanka. Dla True są natomiast powodem niewytłumaczalnego niepokoju. True zastanawia się, czy to nie z powodu dziecka Hank czuje się uwięziony między życiem z True a kolejnymi otwartymi drzwiami. Do tej pory nie było takich otwartych drzwi, przez które Hank nie mógłby przejść, gdyby chciał. Nie zdawałem sobie sprawy, co to w rzeczywistości znaczy „na zawsze”. True

nasłuchuje dźwięcznego „na zawsze” w barwie jego głosu, szuka „na zawsze” w uścisku jego dłoni, tak dużej, że potrafi objąć i zamknąć jej rozstawione palce. Wypatruje szkicu ich wspólnej przyszłości w jego pożądaniu. Ale liście zaczęły żółknąć i spadać, a True czuje się stara i zmęczona - zmęczona staraniem się, by być młodą. Jej talia poszerza się, nogi puchną w kostkach, Jeszcze nie widać, że jest w ciąży. Widać natomiast, że jest zaniedbana.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem Hanka do Kalifornii Guy wpada do łazienki, gdy True ogląda majtki.

- Nie wiesz, że trzeba pukać? - pyta, zdenerwowana i zaczerwieniona.

- Przepraszam. Ale co ty właściwie robisz?

- Poprawiam sobie majtki. Są za ciasne - mówi True. - Wrzynają mi się.

- Nosisz majtki nawet pod piżamę, prawda? Ja nigdy. Lubię czuć się swobodnie! - woła Guy radośnie.

- Tak nas nauczyła babcia - mówi szczerze True. - Mówiła, że do łóżka trzeba się ubierać tak samo jak gdzie indziej. Przywykłam do tego. Głupio się czuję, jak ich nie wkładam.

- A wiesz, co? - pyta Guy, zapominając o bieliźnie True - Na Halloween przebiorę się za Gene'a Kelly'ego.

- To świetnie - mówi True, odzyskując dobry nastrój, w trakcie przygotowywania strojów na Halloween zawsze znakomicie się bawili.

True zastanawia się, jak ma wyglądać kostium Gene'a Kelly'ego. Beżowe spodnie z mankietami i biały podkoszulek Skąd ktoś będzie wiedział, że Guy jest Gene'em Kellym?

- Włożę mundur marynarski - mówi Guy, jakby czytał w jej myślach. - Ale nie taki, jaki noszą dzieci. Prawdziwy. Ze sklepu Army-Navy.

Hank i Guy oglądali stare filmy z Gene'em Kellym, Judy Garland i Leslie Caron i próbowali wykonać niektóre taneczne figury, żeby Guy zobaczył, że pas de bourse czy chine him to nie są kroczki dla dziewczynek w różowych baletkach, tylko prawdziwy, wręcz sportowy wyczyn. Hank twierdzi, że w ciągu roku Guy nauczy się wszystkiego, czego on go może nauczyć.

- Ludzie będą myśleli, że jesteś marynarzem - mówi synowi True.

- Ale ja będę wiedział, kim jestem - odpowiada Guy. True przypomina sobie pierwszy halloweenowy kostium

Guya - przygotowany przez Kathleen strój królika z obwisłymi uszami, obszytymi od wewnętrznej strony czerwoną satyną - i zeszłoroczną kreację, gdy z sobie tylko znanych powodów Guy postanowił przebrać się za kelnera. True obeszła całe miasto w poszukiwaniu

używanej góry od smokingu, a potem musiała jeszcze skrócić o połowę rękawy. Przyjaciele wołali już na niego spod drzwi, gdy True usiłowała jeszcze przykleić plastikową oliwkę do szklanki martini na foliowej tacce.

Tymczasem Guy zdążył zapomnieć także o Halloween i skacząc po łóżku, rzuca miękką piłką do obręczy, którą Hank zainstalował na zwieńczeniu sklepionego sufitu, żeby mógł celować, gdy leży w łóżku. Gypsy skacze po łóżku razem z Guyem i w końcu True zaczyna się niepokoić, czy na piętrze niżej nie pospadają żyrandole. Przegania ich. Zastanawia się, jakim Guy będzie bratem dla Chloe albo Brewstera. Albo dla Annie Laurie. Czy Marrowa. Endory albo Jesse. Paula albo Mimi. Chciałaby powiedzieć Guyowi, że udaje się tak często do łazienki, by sprawdzić, jak się miewa mała dziewczynka czy mały chłopiec, ale nie byłoby to słuszne. Guy mógłby się niepotrzebnie martwić.

Czeka, aż Hank przyjdzie do łóżka, ale mąż nie przychodzi. True idzie na palcach na dół i widzi go w jego gabinecie. Twarz Hanka oświetlona jest tylko ekranem komputera. Z pasją wystukuje e-maila, długiego e-maila. Z zewnątrz dochodzi ponury szelest liści osiki. True nie wchodzi do gabinetu.

Mimo tych wszystkich niepokojów majtki True są białe jak bita śmietana, a wrześnie dni na Cape Cod toczą się spokojnie.

Wrześnie dni są niezwykle piękne, tak jakby natura wysypała z pudełka wszystkie zabawki w oczekiwaniu na ponury listopad. Trudno oprzeć się ich czarowi. Szpalery płomiennych krzewów zdobią obrzeża szos. Wielkie klony, mimo częstych jeszcze ciepłych nocy, czerwienią się wstydliwie. Naprzeciw białego domu True, za żółtymi brzożami, widok jest wręcz boleśnie pocztówkowy. Wspomnienie tego widoku, powiada sąsiad True, Luke Sanderson, trzyma go przy życiu przez cały nieszczęsny styczeń. True stoi na ganku pełna nadziei dzięki lekkiemu wiatrowi, w którym czuje się pierwsze ukłucie chłódów, i nowemu życiu, które już pewnie uczy się pływać i obracać w jej wnętrzu. Z okna na piętrze dochodzi głosik Guya: „Mój Gypsy to dobry psiak, najlepszy, ma najbardziej miękkie psie uszy na świecie, mój Gypsy”. True wie, że Gypsy, który nie jest głupi, będzie leżał w nogach łóżka Guya, póki chłopiec nie zaśnie, a potem zeskoczy i skieruje się ku otwartym drzwiom pokoju przewodnika stada. Szczeniak chodzi trop w trop za True, idzie za nią nawet do łazienki. True ma ochotę się śmiać, gdy Gypsy, choć

pogrążony w głębokim psim śnie, słysząc, że True wstaje od biurka, wzdycha zrezygnowany i rusza za swoją panią. True jeszcze nie śpi, gdy Gypsy otwiera nosem drzwi i mości się w zagłębieniu zgiętych kolan True.

Przychodzi wreszcie poranek, gdy True budzi się i nie czuje mdłości. Nie odnosi

wrażenia, że zwykle płatki owsiane albo sucha grzanka zrujniają jej przewód pokarmowy. Spogląda w lustro i widzi twarz nie pożółkłą od nudności, lecz wygładzoną dodatkową krągłością, zaróżowioną delikatnym blaskiem, jak morela. Jej włosy są... piękne. Unosi do góry dwie pełne garście miodowego atlasu, czuje się silna jak lwica, pełna energii jak młoda dziewczyna i marzy o huevos rancheros\*. Skacze na Hankę i przygważdża go na dwadzieścia minut, przez co, jak stwierdza później, ma kąsaną ranę na dolnej wardze. Ale niewiele ją to obchodzi. Rozpiera ją poczucie siły i wiary w pomyślność. Jest niezaspokojona, pożądając Hankę, jedzenia i błyskotliwej pogawędki w biurze.

Jeśli taka jest gra hormonów, jeśli takie są dobrodziejstwa ciąży po czterdziestce, zafunduje sobie następne dziecko tak szybko, jak to tylko fizycznie możliwe, postanawia.

O poranku, na dzień przed spotkaniem, Hank wyrывa True z błogiego, mocnego snu gwałtownym szarpaniem za ramię. Z telewizora dochodzą jakieś krzyki. Czy to jeszcze noc? W pierwszej chwili True czuje się urażona. Przerwał jej sen tylko po to, by pokazać jakiś głupi numer z porannego filmu z Bruce'em Willisem?

Nie. Obudził ją pierwszego poranka końca świata.

Trzeba będzie wielu dni, by w pełni uświadomili sobie, że to, co się stało, nie jest ani snem, ani wyrafinowanym oszustwem, milenijną wersją halloweenowego dowcipu Orsona Wellesa. Siedzą skuleni na łóżku True: Guy, Kathleen, Isabelle i Rudy - nikt inny nie przyszedł do pracy, nikt się nawet nie pofatygował, by zadzwonić - i oglądają ciągle to samo ujęcie, jeszcze raz i jeszcze raz. Patrzą, jak wieże World Trade Center osuwają się powoli, niby zamki z piasku, w fontannie pyłu. Patrzą na sylwetkę drugiego wielkiego pasażerskiego odrzutowca, wyglądającego jak dziecięca wycinanka, na tle drugiego wieżowca. Jeszcze raz i jeszcze raz. True uświadamia sobie, że została obudzona, by zobaczyć na własne oczy, jak drugi samolot wbija się w budynek dokładnie w tym momencie, w którym to się rzeczywiście stało. To nie był program o efektach specjalnych nadawany na Discovery Channel, program odkrywający tajemnice pirotechników, którzy wykonują malowane modele ze sklejkki do filmów Arnolda Schwarzeneggera.

Hank, który reaguje na wstrząs gadatliwością, spędza całe popołudnie na telefonowaniu do siostr i rodziców. Dopytuje się z lękiem, czy ktoś z nich, szwagier albo kuzyn, znał kogoś, kto był w którymś z samolotów czy budynków. Wysyła e-maile i sprawdza swoją skrzynkę pięć razy na godzinę. Win, która mieszka w Chelsea, jest roztrzęsiona, ale bezpieczna. Gdy tylko będzie mogła opuścić miasto, przyjedzie na Cape Cod. Spróbuje wynająć samochód. True proponuje, że kupi jej samochód, jeśli tylko znajdzie coś, co jeździ.

Okazuje się w końcu, że nikt z nich nie był ani nikt na razie nie słyszał, by ktoś bliski był - z wyjątkiem Addy'ego Bourse'a, którego kolega po fachu znajdował się w Pentagonie, ale wyszedł cało - w miejscach, które ucierpiały.

- To pogwałcenie zasady o „sześciu stopniach oddalenia”!\* - wykrzykuje po trzech dniach Hank i wygraża pięścią czystemu, niebieskiemu niebu za oknem.

Dzwonił Dog. Ani on, ani jego żona nie znają nikogo spośród rannych i zabitych. Jak to możliwe? Przecież mieszkańcy Massachusetts uważają, że znają bez mała wszystkich ludzi w Stanach. Ale Amherst jest małą miściną, małym miejscem jest także Cape Cod, Chatham zaś to tylko centrum tego małego miejsca.

Gdyby to był sierpień, gdy każdy z ciekawością wypatruje na Cape Cod gwiazd filmowych, choć temu zaprzecza, więcej znanych nazwisk mogłoby się znaleźć w wielkich czarnych nagłówkach gazet.

Ale zaczął się rok szkolny, a wakacje się skończyły. Wielkie nazwiska wróciły do Nowego Jorku albo do Los Angeles. Na pierwszy rzut oka żadne z małych nazwisk nie wydaje się znajome.

- Powinniśmy się cieszyć - mówi Hankowi Kathleen - że nie było tam naszych przyjaciół. Winniśmy wdzięczność Bogu.

- Bogu? - pyta Hank z niedowierzaniem.

Ale z czasem, powoli, gdy po miasteczku zaczynają krążyć wieści, gdy ludzie zachodzą na pocztę, a szkoły wznawiają działalność po dwudniowej przerwie, okazuje się, że syn Redfortów z Dennis - tych, którzy, jak True sięgnie pamięcią, zawsze przychodzili do kościoła Saint Thomas - pracował na sześćdziesiątym ósmym piętrze World Trade Center i został uznany za zaginionego. Córka Sargentów, jej mąż i trójka ich dzieci lecieli feralnym samolotem z Logan do Disneylandu, podobnie jak T. J. Karavos, ulubiony zawodnik bejsbolowej drużyny Chatham As, najlepszy miotacz zeszłego sezonu. Miał on tak głębokie dziurki w policzkach, że było je widać nawet wtedy, gdy się nie uśmiechał. Nazywano go kolejnym Nolanem Ryanem. Leciał lotem II do domu, do Pasadeny, z zaręczynowym pierścionkiem w kieszeni, bo miał się oświadczyć swojej sympatii z czasów szkolnych. True przypomina sobie okrzyki zachwyty Guya i jego przyjaciół w szczycie letniego sezonu. „Miejscowe lotnisko w Logan w najlepszym razie można by nazwać ospałym, więc kto by pomyślał... Noże musiały być ceramiczne - mówi Franny. - Ze sklepu z wyrobami dla artystów, takie, jakie mają w magazynie”. Stany Zjednoczone, bezpieczne i od strony głowy, i od strony nóg, chronione fosą morską, zostały ugodzone w samo serce bez jednego wystrzału, nawet bez wymachiwania karabinem. True pragnie przestać widzieć i słyszeć. Chciałaby

przesunąć wskazówki zegara do lipca, gdy w mieście rozmawiało się o tym, kto zabierze do domu nagrodę zdobytą w konkursie „Survivora”, gdy skąpy strój Jennifer Lopez spowodował sprzeczkę między True i jej mężem, bo Hank ośmielił się wspomnieć, że przypomina mu Latynoskę, z którą spotykał się kiedyś w Teksasie. Zazdrość True i usuwanie tłuszczu z podbródka wydają się teraz takie niedorzeczne. Jeszcze nie koniec, informują spikerzy w radiu. Będą i inne cele ataków terrorystycznych. Wieże Sears w Chicago, Statua Wolności, symbole. True myśli o nabożeństwach żałobnych, o wzroście liczby samobójstw, o nosach i gardłach zaatakowanych przez dur brzuszny, o kaszlu w pociągach kolejek podziemnych, o przesyłkach pakowanych radośnie (jak jej Podarunki), które mogą rozprzestrzenić bakterie ‘wąglika, o zamachowcach samobójcach sprawdzających swoje urządzenia detonacyjne, a potem ochoczo wkładających numerowane kamizelki podczas Maratonu Bostonskiego czy kupujących hot-dogi w World Series. True nie może nie dostrzec znaków i koszulek „American Pride”, flag na drzwiach, nie wyłączając jej własnych. Nie może lekceważyć faktu, że Dób, starszy brat dziewczynki z sąsiedztwa, który skończył właśnie osiemnaście lat, chce zaciągnąć się do wojsk lotniczych. Gdy dzwoni Otto Karp... wszystko się zmieniło... rynki... z pewnością pani rozumie... może w następnym roku... nie powinniśmy mieć wielkich nadziei... nie potrafi nawet skupić uwagi na jego słowach, odpowiada półsłówkami. Biznes zdaje się nie mieć znaczenia, nawet jeśli krach na giełdzie będzie głębszy niż przewiduje najczarniejszy scenariusz i stracą o wiele więcej pieniędzy, mnóstwo pieniędzy. Ale wtedy spadną też stopy procentowe, myśli True, więc będzie można... kupować domy - domy przy plażach, na których utrzymanie nie będzie stać młodych nowojorczyków, więc będą musieli się ich pozbyć. Teraz wszystko się zmieni. Czas zająć się podstawowymi sprawami. True składa ręce na brzuchu i jeszcze raz myśli o ulubionym powiedzeniu Luke’a Sandersona o ziemi, że nie można jej zrobić więcej. Zaciągną niskoprocentową pożyczkę pod hipotekę domu i restauracji... będą kupować domy i je wynajmować. Albo coś takiego. Nic się nie liczy poza ich małym zespołem i jego szczęśliwym przetrwaniem. Czwartej nocy Guy budzi się z krzykiem:

- To miał być samolot taty! To miał być samolot taty i Esy! Hank przenosi go do ich łóżka. Prawie pięćdziesięciokilowy Guy przywiera do Hanka, owija się wokół niego jak wyrośnięty szczeniak, a True zapewnia go jeszcze raz i jeszcze raz, że to nie ten samolot. Samolot Hanka i Esy miał wylecieć znacznie później, choć tego samego dnia. W końcu Guy zasypia, ale pojękuje przez sen aż do rana.

Czwartego ranka, gdy przygaszeni pracownicy wracają do biura, True dostrzega na papierze toaletowym brązowoczerwoną plamę. Klęka i wymiotuje - bardziej z nerwów niż z

mdłości. Na majtkach jest krew, czerwona krew. Nie mówiąc nic nikomu, nawet Isabelle, wsiada do samochodu i jedzie do Bostonu, gdzie spotyka się ze swoją ginekolog. Krwawienie tymczasem ustało, pojawiają się tylko pojedyncze krople.

Ze zmarszczoną brwią i w zadziwiająco obojętny sposób lekarka mówi True, że rzeczywiście „grozi jej” poronienie, ale serce płodu nadal mocno bije. Informuje, że True może zostać w szpitalu na obserwację, ale najlepiej będzie, jeśli „ktoś, kto ją tu przywiózł”, odwiezie ją z powrotem do domu, gdzie powinna zostać w łóżku przez kilka tygodni.

- Jeśli życzy sobie pani, możemy pobrać krew i upewnić się, czy organizm produkuje wszystkie niezbędne hormony... Czy nie jest potrzebne jakieś uzupełnienie... Ale i tak przepiszemy parę czopków z progesteronem, chociaż pani łożysko powinno być...

- Jest pani taka zasadnicza! - woła True. - Jakby to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Nie chcę histeryzować, ale pani ton jest tak oficjalny...

- Nie robię tego umyślnie.

- Bardzo się denerwuję. Jestem zrozpaczona - mówi True.

- Ja też się denerwuję, pani Bannister. Wydaję się taka roztargniona pewnie dlatego, że nic nie jest ostatnio normalne, nic nie dzieje się tak, jak powinno. Ostatnie dni są bardzo trudne. W tym samolocie, pani Bannister, była moja pacjentka w piątym miesiącu ciąży. Wprawdzie nie w pani wieku, ale próbowała tak wiele, tak wiele razy.

- O Boże, jak mi przykro! Nigdy bym tak nie mówiła, gdybym wiedziała!

- Ale to nie usprawiedliwia faktu, że jestem taka zasadnicza... Wiem, jak bardzo pragnie pani dziecka. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby przyszło na świat zdrowe i całe. - Lekarka stukła ołówkiem w zęby. - Poza tym - dodaje cicho - o to w końcu chodzi. Nowe życie będzie najlepszym rewanżem.

Dopiero po piątej True rusza w stronę domu, z grubą jak pielucha podpaską między nogami. Droga numer 6 jest kompletnie pusta. Cisza w powietrzu - tu, gdzie zwykle słychać samoloty - aż huczy w uszach. Gdy True zatrzymuje się w alejce przed domem, widzi odchodzącą od zmysłów Kathleen.

- Jak mogłaś tak zniknąć? Gdzie byłaś?

- Miałam wizytę u lekarza, mamo.

- Nie mogłaś z tym poczekać? Czy lekarze w ogóle pracują? Podobno wielu zgłosiło się jako wolontariusze do pomocy? Dlaczego nam nie powiedziałaś? Myślałam, że zwariuję - jak wszyscy pozostali.

- Nie wiem. To wszystko jest takie dziwne. Myślałam, że nikt nawet nie zauważy.

- Jesteś chora, True?

True wie, że matka ma na myśli guz, nowotwór - chorobę nieuleczalną.

- Nie, nie jestem chora. Mogę... poronić. - Kathleen kręci głową i z wyrozumiałością otwiera ramiona. - Muszę się położyć, mamusiu.

- W twoim wieku... - mruży Kathleen, dokładnie takim samym tonem, jakim mówiła do True, gdy ta w wieku sześciu lat wylała pełną szklankę mleka. - Idź się położyć. Przyniosę ci herbatę i zostanę, póki nie wróci Hank.

- Przyniesiesz mi lód, mamó?

- Naturalnie.

- Poprzednim razem używałam kulek z lodu. Pomogły, bo woreczek był idealnie elastyczny.

- To już był „poprzedni raz”? Bóle?

- Nie. Krwawienie.

- Mocne?

- Bardziej wygląda na krwawienie, niż faktycznie jest. Tak przynajmniej mówi lekarka.

- Lepiej dmuchać na zimne. Nie byłaś przecież w ciąży przez jedenaście lat.

- Myślę, że to jak z jazdą na rowerze. Zresztą ostatnio świetnie się czułam.

- Zaraz zadzwonię do Hanka. Wyglądasz na wykończoną.

- Dobrze. Ale powiedz mu, żeby się nie spieszył.

- Przecież w restauracji nie będzie dziś żywego ducha. Po tym wszystkim.

- Chyba masz racje. Dziękuję, mamó.

- I zagram z Guyem w karty, jak się pojawi.

- Będzie się martwił.

- Wyjaśnię mu wszystko w taki sposób, że nie będzie się martwił. Dam sobie radę.

- Dobrze.

- Przyniosę ci herbatę.

Mimo zapewnień babci Guy przychodzi i siada ostrożnie na samym skraju łóżka.

- Przecież nie zrobisz mi krzywdy, Guy - mówi True. - Możecie z Gypem wejść na łóżko i pooglądać ze mną te okropne wiadomości w telewizji.

- Obchodzą mnie wiadomości, mamó. Zginęła mama mojej koleżanki ze szkoły. Ale bardziej martwię się o nasze dziecko.

- Nie ma potrzeby martwić się na zapas. Lekarka powiedziała, że dziecko jest silne...

- To dobrze. Cieszę się, że to silne dziecko.

- Więc nie musisz się martwić. Mama tylko poleży trochę w łóżku. A ty możesz mi



przynieść... Niech pomyślę... Jogurt z kremem toffi i taco.

- Fuuu!

- Wiesz, jak to jest z kobietami w ciąży. Mają ochotę na dziwne rzeczy. Lody i marynaty.

- To nie jest dziwne. Ale krem toffi i taco?

- Nie razem!

- Gee! - woła Kathleen. - Chcesz grzankę z serem? Znudziło mi się już czekanie na ciebie.

- Dzięk! - mówi True, gdy Kathleen podaje jej herbatę. Jest naprawdę wdzięczna Kathleen za jej usłużność - może

niewielką, jak mogłoby się wydawać innym córkom - i za to, że matka nie histeryzuje z powodu zagrożenia ciąży - czego można by się spodziewać po innych potencjalnych babciach. Kathleen jest jeszcze w pokoju, gdy wchodzi Esa i siada na łóżku.

- A więc - mówi - wszystko sprawdziłam. Taki rodzaj plamienia jest całkiem naturalny we wczesnej ciąży u około trzydziestu procent kobiet. Niektóre mają nawet w tym czasie regularne miesiączki...

- Tak myślisz? - pyta cicho True.

- Tak myślę. Naprawdę. Naszemu maleństwu nie może stać się nic złego. Musisz tylko odpoczywać, trochę wyhamować, nie denerwować się i tak dalej.

- Zgoda. Jak tylko przyjdzie Hank, nie ruszę się przez dwa tygodnie. Może mnie nawet myć w łóżku.

- A ja mogę nawet nie wracać dziś do domu, chociaż...

- Chociaż chcesz być z Douglasem. Kochanie, każdy chce być z osobą, którą kocha.

Nie usprawiedliwiał się.

- Ale jak będziesz mnie potrzebowała, dzwoń.

- Zadzwoń natychmiast.

- Chcesz, żebym zabrała Guya?

- Ma przecież szkołę. To znaczy mam nadzieję, że będzie chodził do szkoły. Poza tym Kathleen jest bardzo pomocna.

- Przecież to jej wnuk albo wnuczka. Widać, jaka jest przejęta.

- Naprawdę? - mówi ze wzruszeniem True.

- Tak. Ale się z tym nie zdradza. I jest z ciebie dumna. Ale się z tym nie zdradza.

- Hmmmm - mruczy True.

Gdy Isabelle wraca do biura, by je zamknąć, wpada Kathleen i pyta, czy True miałyby

ochotę na zupę, którą właśnie rozmroziła. True chętnie zje.

- Rozmawiałas z Hankiem? - pyta i widzi, jak twarz matki poważnieje.

- Nie... nie mógł podejść do telefonu - odpowiada dziwnie Kathleen.

- Są tacy zajęci?

- Przyniosę ci zupę. Z chlebem?

True je zupę. Bierze kartkę papieru, na której Esa zapisała numer nowo zainstalowanego w samochodzie telefonu. Hank się nie pokazuje. Po godzinie True wykręca numer własnego domu i jeszcze raz pyta matkę, która jest na dole w kuchni:

- Gdzie był Hank, jak do niego dzwoniłaś, mamó? Kathleen przychodzi do niej na górę.

- Tom powiedział, że w drodze do domu.

- Ale przecież już minęła godzina.

Z dołu dochodzi odgłos zamykanych drzwi.

- Właśnie przyszedł - mówi Kathleen.

Hank pędzi po dwa stopnie na górę z torbą ubrań od The Pilgrim. Rzuca torbę i pochyla się nad True, dotyka dłonią woreczka z kulkami lodu.

- Jakiś kłopotik tam na dole? True uśmiecha się blado.

- To samo co poprzednio, ale lekarka mówi, że nie ma się czym przejmować.

- Dzięki Bogu! - Hank oddycha głęboko.

Wchodzi do łazienki i odkręca prysznic. Oboje spoglądają na Kathleen, która nie kwapi się opuścić pokoju.

- Hank chce wziąć prysznic, mamó - mówi True.

- Czy mogę więc iść do domu? Wszystko w porządku? - pyta Kathleen.

- Nie całkiem, Kathleen. Chciałbym, żebyś została. Jak tylko się umyję, muszę pojechać do Bostonu. Myślę, że ktoś powinien zostać z True - Hank parodiuje poważną minę do True - niezależnie od tego, co ona powie.

- Proszę? - pyta True. - Po co masz jechać do Bostonu? Co się stało? Teraz? W nocy? Nie ma chyba dostaw towarów o tej porze!

- Muszę być z kimś, kto jest w kłopotie, True - mówi Hank, rozpinając koszulę.

Kathleen nie rusza się z krzesła stojącego obok łóżka True.

- Mamó - zaczyna True - czy możesz nas zostawić na chwilę samych?

- Pójdę zajrzeć do Guya - mówi Kathleen, wstając powoli, z oporem.

- Co się stało, kochanie? - pyta True, unosząc się na łóżku. - Czy ktoś z twoich krewnych...

- Leż! Leż i się nie ruszaj. Tylko się umyję. Za trzy minuty jestem przy tobie.

I rzeczywiście. Wychodzi z łazienki szybciej niż kiedykolwiek - to reguła, że True przestępuje z nogi na nogę w holu, gotowa do wyjścia, gdy Hank nadal przymierza ubrania - wkłada nową koszulę i sportową marynarkę.

- Bardzo ładna - mówi True o jasnobieżowej marynarce z szarozieloną i czerwoną nitką.

Hank dobiera krawat pasujący do zieleni.

- Kupiłem na wyprzedaży. Sześćdziesiąt procent taniej. Wrzucę garnitur do torby na wypadek, gdybym go potrzebował, i piżamę.

- Zamierzasz nocować w Bostonie?

- True, okropnie się boję, jak mam ci to wyjaśnić - wzdycha Hank, siadając w nogach łóżka i drapiąc True w stopę. - Muszę być z Adele...

- Z Adele? Z Adele?

- Wiedziałem, że zareagujesz w ten sposób. Ale nic nie rozumiesz. To nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z nami, ani z żadnym uczuciem pomiędzy Adele a mną - z wyjątkiem uczuć przyjacielskich. Jej matka umiera. Chorowała bardzo długo. Jak sięgnę pamięcią, ciągle miała wylewy. A teraz, po tym wszystkim, co się stało, ponieważ Marie zapadła w śpiączkę, Adele zadzwoniła do mnie i... Jestem jedyną osobą, którą ma.

- Podobno ma kogoś. Tak mi powiedziałeś. Jakiegoś faceta z Północy.

- Miała.

- No i...

- Zostawił ją. Gdy się dowiedział, że jest... No wiesz... - Hank patrzy na czubki swoich butów. Potem schyla się, by usunąć jakiś nieistniejący pyłek.

- W ciąży? - pyta True. - Adele jest w ciąży?

- Tak.

- Dlatego wtedy powiedziałeś: „o ironio”? Gdy powiedziałam ci o naszym dziecku?

- Tylko dlatego, że dwie kobiety, które...

- Chwileczkę! Chwileczkę! - krzyczy True. - Dwie kobiety, które co? - True spostrzega, że drzwi są szeroko otwarte i Kathleen musi słyszeć każde jej słowo. - Zamknij drzwi! - rozkazuje. - Zamknij drzwi!

- Nie mam dużo czasu, True. Posłuchaj mnie.

- Zamknij drzwi albo rozbij tę lampę na twojej głowie! Uważaj! - szepcze True z wściekłością.

- No, no, moja pani. Chyba posuwasz się za daleko - odpowiada spokojnie Hank, ale

zamyka drzwi.

- Dwie kobiety w twoim życiu! To chciałeś powiedzieć! Ale jedna z tych dwóch kobiet jest twoją byłą dziewczyną, a druga żoną! Jestem twoją żoną! Kto ma kłopoty z ciążą? Czy Adele jest chora?

- Nie. Jak na razie wszystko w porządku. Ale to, co się dzieje, może jej zaszkodzić, tak?

- Który to miesiąc?

- Jakoś tak, jak ty... jak my. Może trochę krócej.

- Skąd wiesz? Skąd wiesz, od kiedy jest w ciąży?

- Byliśmy w kontakcie.

- Istotnie, byliście w cholernym kontakcie! Widziałam was! Widziałam, jak ją całujesz przed restauracją. Gee widział!

- Szpiegujesz mnie? - Zszokowany Hank podnosi się z łóżka.

- Szpieguję? Przyjechaliśmy zobaczyć, jak się tatusiowi pracuje, a tymczasem zobaczyliśmy tatusia umizgującego się do jakiejś kobiety na parkingu przed restauracją.

- To nie tak. Opowiedziała mi, że Dave ją zostawił, więc przenosi się do Cambridge. Próbowałem ją pocieszyć. Tylko to, True. Ona jest moją przyjaciółką. Starą, dobrą przyjaciółką.

- Nie obchodzi mnie, kim jest! Potrzebuję cię tutaj. Teraz. Zwłaszcza teraz. To niedorzeczne, Hank. - True stara się mówić spokojniej. - Świat się wali. Lekarze każą mi leżeć w łóżku. Żaden mąż przy zdrowych zmysłach nie zostawiłby żony samej w takiej sytuacji!

- Chyba trochę przesadzasz.

- Przesadzam?! Gdybym zachowała się tak jak powinnam, dałabym ci w twarz. Idź i powiedz to pierwszym pięciu osobom, które spotkasz, i zapytaj, czy przesadzam. Spytaj Esę. Spytaj swojego ojca! Spytaj Clothilde, Hank, czy ja przesadzam!

Hank wzdycha głęboko.

- Posłuchaj, True. Obiecałem jej. Ona nie ma nikogo innego.

- Musi mieć przyjaciół. Krewnych. Rodzeństwo.

- To nie są tacy przyjaciele, do których może zadzwonić w takiej sprawie.

- Wyobrażam sobie! - zgadza się True. - A dlaczego? - Jest bardzo zamknięta w sobie.

- Czyli będzie miała ciebie, tak? - ciągnie złowieszczo True.

- Nie zawsze. Ale teraz naprawdę się martwię.

- Naprawdę się martwisz? Hank, nie rozumiesz, że przekraczasz pewne granice? Tak

się nie robi. Co ty mi chcesz powiedzieć? Że bardziej martwisz się o zdrowie psychiczne Adele niż o moje? Niż o nasze dziecko?

- Oczywiście, że nie. Gdybyś nie była otoczona ludźmi, którzy pędzą na każde twoje skinienie, nie zrobiłbym tego. Ale wystarczy, że kiwniesz małym palcem, a wszyscy lecą, by się tobą zająć.

- I to cię gniewa - stwierdza True.

- Nieprawda. Ale ty nie jesteś typem, który potrzebuje pomocy. A gdybyś była, masz swoich współ...

- Przestań. Ani słowa o Esie i Rudym...

- Ty masz wsparcie. A ona nie. Obiecałem, że przyjadę, i nie złamię przyrzeczenia. Jadę, a ty się lepiej uspokój, bo naprawdę się rozchorujesz. Ty nikogo nie potrzebujesz, prawda, True? Łatwiej ci działać w pojedynkę. Tak mówiłaś. Masz swoje własne małe królestwo...

- Teraz już nie mówisz tylko o Adele, tak, Hank?

- Nie.

- To coś więcej niż Adele. Nie wiem, co to takiego, ale na pewno łączy się z życiem, które kiedyś wiodłam, i to nie najgorszym życiem...

- Tak. Dopasowałaś i mnie do tego życia, żeby wszystko chodziło jak w zegarku, póki nie zaszłaś w ciążę. Wtedy pozwoliłaś swojemu biednemu, głupiemu Hankowi reprezentować cię na wielkim ważnym spotkaniu.

- Zamknij się! Niczym sobie na coś takiego nie zasłużyłam! Co to znowu za jakaś cholerna męska duma?

- Jadę. Pocałuj mnie, proszę. To nie ma nic wspólnego z nami. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Kocham cię i nie chcę takich kłótni - mówi Hank cicho, odgarniając mokre włosy ze spoconego czoła True.

True milczy. Bierze rękę Hanka i powolnym, mechanicznym ruchem zdejmuje ją ze swojej głowy.

- Jeśli pojedziesz, nie wracaj.

- True.

- Jeśli pojedziesz, nie wracaj. Mówię poważnie. Chyba że pojedziesz, pokażesz się i po paru godzinach wrócisz - jeśli musisz zrobić aż tyle, by udowodnić samemu sobie, jaki jesteś dobry.

- Nie ograniczaj mnie. Nie stawiaj mi żadnego ultimatum.

- To nie jest ultimatum - mówi True jednostajnym tonem. - Nie wrócisz do tego domu.

Wybór należy do ciebie.

- Nie muszę wybierać. Jedyne wybory to...

- Wymyśl się.

- True, błagam cię. Porozmawiamy o tym, jak wrócę.

- Wymyśl... się... stąd - mówi True i odwraca twarz do poduszki. Czuje, jak Hank muska jej warkocz. Słyszy, że zabiera swoje rzeczy, a potem drzwi cicho się zamykają. Słyszy, jak Hank schodzi po schodach.

Mija godzina. True płacze, gryząc poduszkę, by nie było słychać łkania. Potem wstaje, przemywa twarz i bardzo powoli idzie na dół.

Guy dopada ją w pół drogi.

- Coś ci potrzebne, mamusiu? Przyniosę ci. Wracaj do łóżka.

- Potrzebny mi jest tata... Potrzebny mi jest laptop z małego gabinetu, gdzie tata ma swoje rzeczy.

- Przyniosę ci. A ty idź się położyć. Babcia i ja będziemy się tobą opiekować. Babcia robi ci herbatę. Dokąd tata poszedł, taki elegancki?

- Na pogrzeb - mówi True. - Przykre, prawda?

- Czy ten ktoś zginął jedenastego września?

- Nie. To dawny przyjaciel. Tata nie chciał tam jechać, ale musiał. Niedługo wróci. - True uśmiecha się i targa grzywkę Guya.

Próbuje różnych haseł: Sully I, Henri I, Thatoneplace, Clothilde, Kreol, Peridot, Adele, Adelecabot i w końcu Ade-leOI.

Ostatnie hasło otwiera pocztę elektroniczną Hanka.

To hasło otwiera pocztę jej męża.

Oczywiście, do kogo niby miałyby pisać, przekonuje samą siebie True, choć inne odpowiedzi same się nasuwają: do matki, do sióstr, do mieszkających daleko przyjaciół.

W skrzynce jest jedna wiadomość sprzed paru tygodni. Kosz opróżniony. Nie powinna czytać poczty męża. To pogwałcenie wszelkich zasad. Otwiera wiadomość i czyta: „Hank, kochanie, nie możesz sobie wyobrazić, co znaczyło dla mnie Twoje wsparcie. Nawet jeśli Cię tu nie ma, czuję Twoją siłę. I jest mi łatwiej. Nie wiem, jak Ci dziękować”. [podpis: „Adele, Twoja Adele”.

Żeby nie zaszkodzić nie tylko dziecku, ale i innym wewnętrznym organom, kładzie się z powrotem na wznak. Serce jej wali. Sprawdza podpaskę. Czysta jak łąka.

O dziewiątej Guy całuje ją na dobranoc.

- Tata niedługo wróci, tak powiedziałaś, prawda? - pyta mimochodem. Gypsy lize

nadgarstek True, a jego smutne, inteligentne oczy patrzą błagalnie. - To dlaczego babcia zostaje u nas?

- Nie wiedziałam, że zostaje.

- Poszła po swoje rzeczy.

Kathleen naturalnie nie dopuści, by ominął ją kulminacyjny moment tego przedstawienia, myśli gorzko True. Z drugiej strony to matka się nią opiekuje. Może ona jedna rzeczywiście się przejmuje.

- Mmmm - mruczy.

Włącza telewizor i ogląda powtórzenie audycji The Mary Tyler Moore - tylko dlatego, że wszystkie inne stacje pokazują ciągle te same zdjęcia: nadlatujący czarny samolot, płomienie ognia i spadające, lecące w dół małe sylwetki.

Kiedy Mary robi wymówki Lou za brak przywilejów wynikających z wysługi lat, True zasypia.

Śni, że Guy jest dorosły. Idą we dwójkę jedną z ulic Chatham, chcą kupić sandały. Guy, o głowę wyższy od niej, ma dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Urodziwy, opalony i smukły. Gypsy jest już starym psem. Ma posiwiały pysk, ale wciąż zwawy chód. True nie widzi siebie, ale czuje strzykanie w biodrze, ból w ramieniu. Gdy przechodzą obok sklepu „Upragnione dziecko”, zaraz za Danny’s Galley, w jego drzwiach staje Hank. True czuje, że na jej ustach pojawia się uśmiech. Czarne włosy Hanka, teraz długie i pofalowane, przerzedziły się, widać w nich szare pasma. Hank podchodzi do Guya i ściska go po męsku. Ich usta się poruszają, Guy się uśmiecha, ale True nie słyszy, o czym mówią. True patrzy dalej, na drzwi sklepu, które Adele usiłuje otworzyć i jednocześnie przepchnąć przez nie wózek. Guy podbiega, by jej pomóc, i Adele prowadzi wózek z ich wspaniałą latoroślą po wyłożonej płytami ścieżce. Adele także coś mówi. Chociaż True nie słyszy słów, wie, że Adele mówi jej, że dziecko ma na imię Chloe Marie, po matce jej i Hanka. Hank promienieje dumą. True odczuwa smutek przebrzmiałego szczęścia. Sięga do kieszeni zakietu - to marynarski dwurzędowy zakiet, taki, jaki nosi jej matka - znajduje chustkę do nosa i paragon ze spożywczego, na którego odwrocie zapisała sobie - w portmonetce Kathleen pełno jest notatek na serwetkach i paragonach - że musi wysłać Adele potwierdzenie zamówienia. Dziecko ma sześć miesięcy. Będzie dostawało prezenty przez co najmniej pół roku.

True budzi się. Czuje mgiełkę zimnego potu pod piersiami. Stało się.

Następnego ranka o szóstej True najpierw wybiera numer komórki Hanka. Automat odpowiada chłodno: „Abonent czasowo niedostępny”.

Potem, zgodnie z planem, dzwoni do Isabelle.

Esa podnosi słuchawkę.

- Kto umarł?

- Przepraszam, że cię obudziłam, kochana. I przepros Douglassa. Ale czy możesz przyjechać dzisiaj trochę później? Nie wyjeżdżaj, dopóki do ciebie nie zadzwonię, bo może poproszę cię, żebyś mi coś przywiozła z Bostonu, zgoda?

- Oczywiście, True - zgadza się zaskoczona Esa. - Receptę czy coś takiego?

- Nie. Po prostu czekaj, aż do ciebie zadzwonię. U mnie wszystko w porządku, nic się nie martw - powtarza. - Tylko nie wyjeżdżaj, zanim nie zadzwonię.

- A gdzie Hank?

- Oddzwonię, Eso - obiecuje True.

Zastanawia się, czy nie zadzwonić do Franny, ale jest zbyt wcześnie. Zresztą nie ma potrzeby. Co się miało stać, już się stało. True nie odczuwa konieczności nadzwyczajnego pośpiechu - czuje raczej coś w rodzaju szoku, takiego samego, jaki musi być udziałem gazeli rozszarpywanej przez lwa. I coś w rodzaju ulgi. Chociaż mózg nie w pełni ogarnia rozmiar jej cierpienia, teraz True potrzebuje wyłącznie informacji. Chociaż sądzi, że może się mylić, teraz chce się mylić. Nie wolno jej płakać. Nie wolno jej się załamać. Bo nie ma nikogo, kto by ją podtrzymał na duchu. Zastanawia się, czy nie zadzwonić do matki Hanka. Próbuje się powstrzymać, ale ręka mimowolnie sięga po słuchawkę. Odzywa się GUS:

- Jak się czujesz, True? Jak Guy?

- Wszystko w porządku. Chciałam rozmawiać z... mamą.

- Jest tuż obok mnie. Obudź się, Clo.

- Och, Boże! Nie budź jej, proszę.

Rozmawiają przez godzinę. True opowiada o wszystkim. O e-mailach i przyjacielskich pocałunkach. O tym, jak Hank uparł się i wyjechał, o swoich kłopotach ze zdrowiem, o swoich lękach i konieczności leżenia.

- Czy napomykał coś o Adele? - pyta teściową True.

- Coś tam mówił, True. W ostatnich tygodniach. Muszę przyznać, że oboje się dziwiliśmy.

- A o co chodziło?

- Nie jesteśmy pewni, ale zrozumieliśmy, że Adele ma jakieś poważne kłopoty. Hank uważał, że ona nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. Ten mężczyzna, z którym chciała być i za którym pojechała, ten, który mieszka gdzieś na Północy...

- To nie był Hank? Nie przeniosła się dlatego, żeby być bliżej Hanka? Czy z tamtym facetem łączyło ją coś poważnego?



- Mówiliśmy mu, żeby porozmawiał o tym z True, prawda, GUS? - True słyszy pomruk przytakiwania. - Ale on uważał, że czułabyś się zagrożona. Powiedział, że jest między wami za dobrze, żeby...

- Bo było dobrze. A co złego jej się stało? Adele?

- Nie wiem, czy mogę zdradzić to, co w zaufaniu powiedział nam Hank.

- Rozumiem. Ale ja naprawdę bardzo się staram uniknąć załamania nerwowego.

- Dobrze. Wiesz pewnie, że jej matka była bardzo chora. Adele z nią mieszkała. Jest jedynaczką. Ojciec opuścił je wiele lat temu. Wydaje mi się, choć nie wiem tego na pewno, że jej rodzice nigdy się nie pobrali. W każdym razie musiała być... jak to się mówi, GUS? Pod stałą opieką lekarską? A ten facet z Północy... Powtarzam tylko to, co Hank powiedział Gusowi, bo ze mną o tym nie rozmawiał...

- Dobrze, dobrze...

- No więc ten facet zerwał z nią, i to akurat wtedy, kiedy matka rozchorowała się na dobre, bo Adele była...

- W ciąży. Hank mi powiedział. Czy nie sądzisz, mamó, że ten facet nigdy nie istniał i że to Hank jest ojcem dziecka?

- Nie. Oczywiście, że nie. - Clothilde jest przerażona.

- Hank pisał do niej, był roztargniony, bez mała załamany.

- Wiem, że to nie jest dziecko Hanka. Wyobrażam sobie, że martwi się o nią. I myślę, że dlatego tak długo z nią był, kochanie. Obawiam się, że taka była przyczyna. Powtarzała mi, że nie może bez niego żyć.

- Ja też tak myślę. Przynajmniej teraz. Ale ona będzie miała dziecko.

- Hank powiedział, że ona chce mieć kogoś, kogo będzie kochała, jak matka umrze.

- Jak Hank mógł powiedzieć to wszystko wam, a nie mnie? Płaczliwy ton w głosie True jest nieprzyjemny, nawet dla niej samej.

- Źle zrobił. I powiedzieliśmy mu to.

- Ale to się tak fatalnie, tak fatalnie zbiega w czasie... To jest wręcz obraźliwe... W każdej innej sytuacji nawet bym jej współczuła. Ale teraz nie mogę tego znieść, mamó. Nie mogę znieść, że ona go wezwała, a on pojechał. Tak jakby jej uzależnienie od niego było... czymś normalnym. Jakby było dozwolone. Jakby częściowo miała go dla siebie. W dodatku ona zna go o wiele dłużej niż ja.

- GUS mu to powiedział. Że to nie przyjaźń, tylko rodzaj biernej kontroli. Ale Hank argumentował, że stara się być prawym człowiekiem.

- No, tak.

- Wiesz, kochanie - mówi w końcu Clothilde. - Muszę ci powiedzieć, że ja w to nie wierzę.

- Tak... - mówi True głosem cichym jak jęk.

- Nie podoba mi się ten jego wyjazd. Jeśli ona dzwoni, a on ją pociesza, to w porządku, to po przyjacielsku. Ale gdy prosi, żeby przyjechał, to całkiem co innego. Hank jest teraz żonaty. Nie uważam, że powinien być jechać, i nie uważam, że powinnaś się była zgodzić...

- Nie zgodziłam się! Wręcz mu zabroniłam.

- To znaczy, że mój syn zachował się jeszcze gorzej. Możesz mu powiedzieć, że tak uważam. Że jego matka tak uważa.

- Nie wiem, czy to dobrze, żebym mu powiedziała, bo wtedy się dowie, że z wami rozmawiałam...

- Ależ, kochanie, on opowiada nam o wszystkich swoich głupich posunięciach i błędach. O tym, jakie ma trudności. O tym, jak kocha Guya. Jakim wyzwaniem jest dla niego nowe dziecko, jak się tego obawia i jaki jest podekscytowany. Powiemy mu: Henri, Henri...

- Co?

- Powiemy mu: dorośnij.

- Ale on nie dorośnie, mamó. Wydaje się, że dorasta, a potem znowu się cofa, i znowu nie wie, jak dziecko, co jest słuszne, a co nie. Nie chcę was obrazić, mówiąc to, ale taka jest prawda.

- Wierzę ci, True. Należy do ludzi, którzy późno dojrzewają. Zawsze mieliśmy z nim ten kłopot. Czasami sam nie wie, czego chce. Mówiąc to, nie chcę być niełojalna wobec własnego dziecka... - Clothilde wzdycha, True słyszy echo westchnień Hanka.

- Wiem - pociesza ją True. - Ja też nie chcę być niełojalna. Po części to moja wina. Ja tak... tak długo czułam się winna, że za niego wyszłam. Może przez to i on zaczął czuć się podobnie. Z początku ciągle powtarzałam, że jesteśmy parą wbrew naturze z powodu różnicy wieku, że on jest uwięzionym ptakiem.

- Nie myśl o Hanku jak o ptaszku w klatce, True. Sam dokonał wyboru. Wybrał ciebie. Nie może dłużej siedzieć na płocie i flirtować, z kim zechce, będąc zarazem mężem i ojcem. Kocham mojego chłopca całym sercem. Ale wiesz, on prześlizgnął się przez życie, prawiać słodkie słówka...

- Clothilde... Mamó, co ja mam zrobić? Co się stanie, jeśli będzie współczuł Adele tak bardzo, że...

- Nie zrobi tego.

- Wiem.

- Połóż się spać, True. Rozumiem, że nie możesz się nie martwić. Ale wszyscy wiemy, że martwienie się nic nie daje. Dlatego właśnie mężczyźni się nie martwią. Zadzwoń, jak wróci do domu. Dobrze?

- Dobrze - mówi True.

Potem Clothilde opowiada, że Perry zaciągnął się do Straży Przybrzeżnej, że Tannie znowu pali i nie karmi piersią, a True spogląda na zegar. Jest dziewięta. W końcu Clothilde mówi:

- Tata cię pozdrawia. Pozdrów też od nas Kathleen i Gee.

- Pozdrowię - mówi True ciepło.

Zasypia. Budzi ją Kathleen - jej usta mają kształt wąskiej kreski. Przyniosła True sałatkę z homara.

- Jak miło z twojej strony, mamó - komplementuje ją True.

- Czułam, że potrzebujesz pocieszenia.

- Mmmm.

- Nie pytam, co się stało...

- Bo wiesz tyle, co i ja. Nie staraj się nawet udawać, że nie słyszałaś. Darłam się na całe gardło.

True siada gwałtownie na łóżku. Zapomniała zadzwonić do Isabelle. Łapie za telefon.

- Esa? - True usprawiedliwia się, ledwie Esa podnosi słuchawkę. - Zasnęłam. Chciałam cię prosić, żebyś mi przywiozła... Zaczekaj... Muszę najpierw zadzwonić do Toma. Zaraz się odezwę.

- Tylko na pewno, True, bo siedzę i czytam horoskopy ze starego „Glamoura”. Żaden z moich horoskopów się nie sprawdził. Miałam być czujna na możliwość takiego zwrotu w karierze, o jakim nigdy bym nawet nie pomyślała. Może to znaczyć, że zamierzasz mnie wyrzucić. W biurze nie dzieje się najlepiej. Muszę się wziąć do roboty.

- Tom? - mówi True, gdy ten podnosi słuchawkę. - Podaj mi numer telefonu Adele Cabot.

- Nie znam go.

- To podaj mi jej adres. - Tom nie może go sobie przypomnieć.

- True, sam próbowałam się do niego dodzwonić przez cały rano...

True odkłada słuchawkę i dzwoni do biura numerów. Puka się pięścią w czoło.

Trudno się dziwić, że w Bostonie jest wielu abonentów o nazwisku Cabot.

Ale w Cambridge jest tylko dwóch A. Cabot. Pojedynczy inicjał przed nazwiskiem to klucz do znalezienia na liście samotnej kobiety. True telefonuje pod jeden z numerów i dodzwania się do oburzonej Janet, której mąż ma na imię AL True ponownie wykręca numer informacji i pyta o drugi numer. „Numer zastrzeżony na życzenie klienta”, informuje automat. Dyskusja z operatorką o wyjątkach będących sprawą życia lub śmierci kończy się równie suchą odmową. „Czy mogę dostać adres?” Kobieta nosowym głosem wypowiada numer przy Saint Vincent Court. W ten sposób, myśli z goryczą True, ludzie nie mogą zadzwonić do Adele, by ją zastraszyć, mogą jedynie do niej pojechać i zastraszyć ją osobiście. True dzwoni do Isabelle.

- Esa? Chcę cię prosić, żebyś mi kupiła monitor serca.

- Masz kłopoty z sercem? Tak, myśli True.

- Nie. Aparat do słuchania bicia serca płodu. Wiesz, takie specjalne słuchawki dopplerowskie. Możesz go kupić w sklepie ze sprzętem medycznym.

- Dobrze - mówi Isabelle.

- I jeszcze chciałam, żebyś pojechała do Cambridge, znalazła dom przy Saint Vincent Court, numer 570. Żebyś zadzwoniła do drzwi i zapytała o Adele Cabot.

- Tę pisarkę? Tę, z którą spotykał się Hank?

- Tak.

- Chcesz jakąś książkę?

- Nie. To znaczy, tak.

- True? Co się, u diabła, z tobą dzieje?

- Myślę, Eso... - True wybucha płaczem i nie może powstrzymać łkania. Stara się odzyskać miarowy oddech, ale leżąc i płacząc, nie może wykrztusić słowa. - Myślę, że Hank... myślę.

- Już jadę, True. Nie dzwoń do mnie na komórkę i przez pewien czas nie oczekuj telefonu ode mnie, dobrze? Połóż się i śpij. Tak zrób. Połóż się i śpij. Dziecko jest już bardzo zmęczone. Nie zakałapuśkaj się do końca. Rozkazuję ci, jako twoja najwierniejsza przyjaciółka. Czekaj na mnie. Przywiozę ci urządzenie, jedzenie i informacje. Obiecujesz?

True robi, co powiedziała Esa. Gdy się budzi, jest prawie ciemno. Odwraca się do nocnej lampki i widzi, co ją obudziło. Esa siedzi cichutko na fotelu w jej sypialni, patrząc na drzewa oświetlone światłem zachodzącego słońca.

- Był tam - mówi True. Isabelle nie odpowiada. - Rozmawiałas z nią? Albo z nim? - Isabelle kręci głową. - Widziałas ich?

- W oknie - mówi Esa. - Stali. Ubrani. Samochód Hanka stał zaparkowany przed

domem.

- Jesteś pewna, że jego?

- Pamiętam zdjęcie samochodu z kilometrami wstążki. Pamiętam zdjęcie jego i Guya stojących przed samochodem z kokardą na dachu tuż po adopcji. Pamiętam, jak mi mówiłaś, że wszyscy wołali: „Niespodzianka!” Pamiętam, jak byłam w szpitalu i myślałam, że jest tak piękny, tak piękny jak Indianin ze starej ryciny... pieprzony „szlachetny dzikus” czy ktoś taki, i jak zorganizowałam wam randkę w kręgielni... - True widzi łyż, paciorki lśniące złotem w ostatnich promieniach słońca, na policzkach Esy. - Wybacz mi, True. Tak bardzo mi przykro. Cholerny dupek. Co on tam robi? Nie pojmuję.

True opowiada skróconą wersję.

Potem wyjmują z pudełka niewielkie urządzenie, które True może przyłożyć do lekko wypukłego, pokrytego galaretką brzucha i słuchać Chloe czy Adama, Drew czy Francię, Brewstera czy Morrowa, puk-puk, puk-puk, stabilnego punktu życia w wirującym wszechświecie.

Guy i True leżą w łóżku i oglądają na wideo sztukę Oliver! Guy przygotowuje się do przesłuchań do roli, na której mu tak bardzo zależy - roli Olivera. True zaczyna płakać - płacze zresztą nieustannie - gdy Nancy śpiewa: „Póki mnie potrzebujesz”, i mówi Guyowi:

- Nie płaczę z powodu taty. Mam nadzieję, że wszystko u niego w porządku, chociaż będziemy musieli poważnie porozmawiać, jak wróci, bo jego postępowanie bardzo mnie martwi.

- Wiem! Tak samo jak ja, kiedy idę do Firma i nie zadzwonię do ciebie, a przecież mogłem wpaść pod samochód albo coś...

- Właśnie - mówi True. - Po prostu wszystkie mamy płaczą przy tej piosence. To jest wyciskacz łez dla mam.

- Wiem, że jesteś zakochana - mówi Guy - ale tata nigdy nie walnąłby cię w głowę bierwionem do kominka.

- Masz rację, Gee. Chcesz posłuchać maleństwa?

- Jasne! - wykrzykuje Guy. Wyjmują monitor.

Gdy True się budzi, zegar na wieży ratusza w Chatham wybija północ.

Budzi się znowu, gdy o piątej rano Hank wraca do domu i siada na ich łóżku, by zdjąć buty. True czuje ból w klatce piersiowej, ale wie, że to odpowiednik jej dziecięcej astmy, a nie atak serca ani poronienie. Spogląda na monitor przy łóżku.

- Dziwię się, że cię tu widzę - mówi. - Powiedziałam, żebyś nie wracał.

- Wiem, że tak nie myślałaś - odpowiada Hank. - Posłuchaj, True, to było okropne. Te

wylewy. Adele odchodziła od zmysłów. Matka była jedyną osobą, którą miała. Teraz przynajmniej będzie dziecko. Jest przerażona, że je straci. Wyjaśnię ci wszystko po pracy. Tom i tak mnie zabije.

- Matka Adele umarła.

- Wiesz o tym?

- Domyśliłam się, że umarła, skoro nie wracałeś - i że to było nieuchronne. Doszłam do tego po rozmowie z twoją matką i po przeczytaniu twojego e-maila.

- Czytałaś moją pocztę? Jak do licha weszłaś do skrzynki? - Czerwona plama wstydu rozlewa się po jego twarzy i szyi.

- Nie wiedziałam, jak się z tobą skontaktować przez całe dwa dni. Czy ty rozumiesz, co to znaczy?

- Ty z pewnością rozumiesz - mówi Hank, wydymając wargi. - Ale chyba nie chciałaś ze mną rozmawiać. Mogłaś przecież zadzwonić.

- Ma zastrzeżony numer.

- Tego nie wiedziałem. Mogłaś dzwonić na komórkę.

- Nie odpowiadała. Domyślałam się, że sytuacja była... tragiczna, więc nic nie działało.

- Tego też nie wiedziałem. Mówię szczerze. Miałem ręce pełne roboty. Nie potrafiła załatwić najprostszycich spraw. Była kompletnie załamana.

- Miała szczęście, że ty nie byłeś załamany. Że miała chłopca na posyłki.

- True, jestem wykończony. Nie zaczynaj. Spędziłem cały dzień na oddziale intensywnej opieki z chlipiącą...

- Nie rozbieraj się. I mów po cichu - odpowiada True. - Nie próbuj mnie przekonać, że powinnam ci współczuć z powodu tego, co przeszedłeś.

- A potem cały dzień w krematorium z jakimiś obcymi, którzy nawet nie znali Marie. Prawie nie spaliśmy. Byłem na nogach praktycznie przez trzydzieści godzin.

- Marie? I „my”? Kogo nazywasz „my”? Czy ty i Adele to „my”? Sądziłam, że „my” to ty i ja. Co ja niby mam o tym wszystkim myśleć? Nie widzisz, do czego doprowadziłeś? Nie widzisz, prawda? Albo widzisz, ale nie dbasz o to.

- Powiniennem być już w pracy. Jeśli więc musimy o tym dyskutować, zróbmy to później, jak się otrząsnę i trochę prześpię.

- Jak ty się otrząśniesz? Nic z tego.

- Nic z tego?

Głos True staje się głuchy i głęboki:

- Nie rozbieraj się, tylko się spakuj. Spakuj się. Zresztą masz już w walizce wszystko,

czego potrzebujesz na kilka dni. Podaj mi adres, gdzie mogę przysłać to, czego nie zdołasz zabrać. Weź samochód. Weź telewizor. Weź, co chcesz, z wyjątkiem Guya i psa.

- O czym ty, do cholery, mówisz? Jaki adres? Dobra, jest mi przykro. Wiem, że nie dzwoniłem. Jeśli spojrzeć na to z twojego punktu widzenia, postąpiłem po świńsku. Powinienem być zadzwonić dziesięć razy. Wiem. Powinienem być od razu się usprawiedliwić. Ale nie można używać komórki w szpitalu...

- Ale można używać komórki w mieszkaniu. W mieszkaniu można też korzystać ze zwykłego telefonu.

- Proszę?

- Esa widziała twój samochód zaparkowany przed domem Adele. Widziała ciebie i Adele.

- Byliśmy tam może godzinę albo coś koło tego. Musieliśmy się zdrzemnąć. Nie spałem z nią ani nic z tych rzeczy. To znaczy spaliliśmy w jednym łóżku. Ale niczego nie robiliśmy. Ona tylko zrobiła kawę.

- Nie obchodzi mnie, czy z nią spałeś.

- Wiem, że cię nie obchodzi.

- Obchodzi mnie natomiast, że bardziej troszczyłeś się

o mamę byłej dziewczyny i o jej dziecko niż o nasze dziecko

i o to, o czym tu sobie myślałam. Nawet nie tyle o tym, że mnie zdradzasz, ile o tym, co się z tobą dzieje. Czy jesteś żywy, czy zasnąłeś za kierownicą i wpadłeś do rowu. Jak Pete. Jak mój ojciec. Nie zadzwoniłeś i nie było cię przez dwie noce. A ja krwawiłam, Hank. Wcześniej tego dnia. Bardzo krwawiłam. Musiałam jechać do Bostonu. Powinnam zostać w łóżku co najmniej przez dwa tygodnie. O mało nie straciliśmy dziecka, Hank. Teraz już nie krwawię, ale krwawiłam. - Pod oczami Hanka widać sine plamy. - Ty, który nigdy nie opuszczasz ani jednego dnia pracy, nie zadzwoniłeś nawet do Toma. Skupiłeś całą uwagę na Adele. Nigdy nie widziałam, żebyś był tak kompletnie skupiony na czymkolwiek.

- Śledziłaś mnie? Tak mi ufasz?

- Jeśli sądzisz, że chodzi tylko o zaufanie albo o moje widzimisię, a nie o odpowiedzialność, znaczy to, że nie nadążasz za...

- Co z dzieckiem?

- Myślę, że w porządku.

- Dzięki Bogu. - Hank wyciąga rękę ku włosom True, ale ona odsuwa głowę. Kładzie obie dłonie na jej brzuchu, zaokrąglonym pod jego koszulą, w którą True wtulała twarz przez całą noc.

- Chciałbyś posłuchać bicia jego serca? - pyta True, wiedząc, że to, co mu proponuje, graniczy z okrucieństwem.

- A mogę?

- Kupiłam taką zabawkę...

- Hmm.

True widzi, jak oczy Hanka się zmieniają, gdy słucha Abby albo Martina. Isabelle albo lana.

- To najbardziej niesamowite przeżycie, którego kiedykolwiek... kiedykolwiek...

- Tak, dość niesamowite. To bicie serca twojego dziecka. Naszego dziecka, Hank. Te urzędzonka wcale nie są drogie. Możesz kupić podobne dla Adele.

- To było wstrętne.

- Było. Bo i wstrętnie się czuję. Czuję się pozbawiona nadziei. Zdradzona. Opuszczona. Czuję się tak, jak ty też byś się czuł, gdybyś tu leżał i wiedział to, co ja wiem. Nienawidzę tego, co zrobiłeś, Hank. A teraz idź.

- Mam opuścić ten dom, True? Opuścić? Dlaczego? Powiedziałem ci, że z nią nie spałem...

- Dlatego, że... Nie pojmujesz tego, prawda, Hank? Nie pojmujesz. Przykro mi, że muszę to powiedzieć. Mam wrażenie, jakbym miała do czynienia z dzieckiem. Ale skoro ty nie rozumiesz „dlaczego”, to ja ci tego nie wytłumaczę.

- Dobra - mówi Hank.

- Dobra? - Tego True nie chce zaakceptować. - Tylko to masz do powiedzenia?

- Tak. Jestem zmęczony, jestem tym wszystkim zmęczony. Masz rację, True. Nie mam prawa spojrzeć ani w lewo, ani w prawo. Nie mam prawa oddychać. Mam cię za to dosyć, tak samo jak ty mnie. Prawdziwe problemy Adele to drobiazg wobec twoich wyimaginowanych kłopotów.

- Dziękuję, Hank. Elegancko powiedziane. To dowód, że jesteś prawym człowiekiem, co tak bardzo lubisz podkreślać. Uważasz, że „trzymam cię na uwięzi”, ponieważ nie chciałam, żebyś jechał do byłej dziewczyny, gdy mi groziło poronienie, tak? Mój sprzeciw wobec faktu, że spędziłeś z nią dwie noce, uważasz za... szykany, tak? - True milknie na chwilę, a potem mówi: - Częściowo mogę przyznać ci rację. Może kiedyś rzeczywiście byłam taka, jak mówisz. Może kiedyś na każdą dziewczynę patrzyłam jak na rywalkę, która będzie miała mojego przystojnego księcia. I to całkiem nie tak dawno. Ale wiele się może zmienić - nawet w krótkim czasie. Szybko zakochaliśmy się w sobie. Szybko nauczyłeś się kochać Guya. I szybko oduczyłeś mnie tak myśleć. Sprawileś, że ci zaufałam, sprawileś, że Guy ci



zaufał.

- A to, co z tym teraz robisz, jest...

- Chwileczkę! Uwierzyłam ci, iż nie jest ważne, że jestem od ciebie starsza. Uwierzyłam, że mamy prawdziwą rodzinę, że twoje milczenie było tylko dziwactwem. Ale to nie było dziwactwo. To był wykręt. Zastanawiałeś się, co tu zrobić, żeby uczynić swoją True szczęśliwą, a jednocześnie pocieszać drogą Adele. Wystukiwałeś listy w swoim gabinecie. Rozmawiałeś o tym ze swoimi bliskimi. A mnie okłamywałeś. Zaplanowaliśmy wspólny interes. Zrobiliśmy razem dziecko. A ty...

- Co...? Nie mogę pojąć, dlaczego tak do tego podchodzisz. Jakbym kogoś zabił.

- Zabiłeś. Zabiłeś nas. Może rany nie byłyby aż tak głębokie, gdybym faktycznie była przekonana, że z powodu nadzwyczajnych wydarzeń nie mogłeś nawet zadzwonić do swojej żony.

- Po co? Żeby słuchać tych wszystkich bzdur, które byś mi mówiła? Bo co ciebie obchodzi, że sytuacja była taka, a nie inna.

- A więc nie zapomniałeś tak całkiem. Wiedziałeś, jak zareaguję. Ona nie jest tylko dobrą kumpelką. Pewnie, że nie jest. Nie wierzyłam w to od czasu, gdy zobaczyłam, że ją całujesz. I nie tylko o to chodzi, że widziałam, jak ją całujesz, ale o to, że nic mi o tym nie powiedziałeś! Jakbyś miał coś do ukrycia! Mogłabym się nią nie przejmować, gdyby się tak stale nie pojawiała. Ale ona pojawia się, bo ty nie chcesz jej puścić - albo ona nie chce ciebie puścić.

- To był zwykły pocałunek. Tak samo, jakbym całował Win.

- Nieprawda!

- Prawda! Może nieprawda dla purytanina.

- Przestań! Nie ośmielaj się znowu gadać tych głupot, że mam w żyłach wodę zamiast krwi, bo urodziłam się na północ od linii Mason-Dixon, Hank. Widziałam, że ją całujesz. Nie mam omamów wzrokowych i nie przesadzam. Ale tak, my purytanie, mamy na to nazwę.

- Jaką?

- Marność. Przebiegłość. A przede wszystkim - zakłamanie.

- Nie mogę uwierzyć, że chcesz zniszczyć małżeństwo przez taki drobiazg. Nie mogę uwierzyć, że tak cię to nakręca. Z pewnością przeżywasz to bardzo głęboko. Z pewnością bardzo się przejmujesz.

- Nie mogę uwierzyć, iż sądziłeś, że będzie inaczej. Zniszczyłeś moje zaufanie, Hank. Zniszczyłeś moje zaufanie. Nie byłeś wobec mnie lojalny...

- Powiedziałem ci, że z nią nie spałem. Nie było między nami żadnej intymności.

- A właśnie, że była. O to chodzi, że między wami była intymność. Jak najbardziej intymność. Nie widzisz tego? To coś więcej niż przelecieć kogoś, a potem wskoczyć do samochodu i wrócić do pracy. Byłabym wściekła, ale może jakoś bym sobie z tym poradziła, uznała za głupi wybryk w krótkim życiu. Ale to? Nie mogę... A może raczej - mogę zrozumieć. Sprawileś, że zaczęłam ci wierzyć, i to cię przeraziło, tak? Sprawileś, że uwierzyłam, iż jesteś facetem, którego będę miała na zawsze, a to znaczy, że i ty musiałbyś w to uwierzyć.

- Zgoda. - Hank podnosi ręce do góry. - Twoje na wierzchu, True. I co zamierzasz z tym zrobić? - Hank wskazuje na jej brzuch. - Zamierzasz wyrzucić męża w chwili, gdy walczysz o życie naszego dziecka? A może chcesz się tego dziecka pozbyć, True? Żeby nie psuło ci figury?

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła, Hank. Chcę dziecka. Chcę, żeby to dziecko było obecne także w twoim życiu. A przede wszystkim nie pozbyłabym się dziecka z tak błahego powodu jak głupota jakiegoś faceta. Nie jesteś ode mnie młodszy o dziesięć lat, Hank, jesteś ode mnie młodszy

o sto lat. Bo nie myślisz. I dopóki nie zaczniesz myśleć inaczej, nie dogadamy się. Może nigdy tego nie potrafiliśmy, bo zanim się poznaliśmy, każde z nas miało za sobą kawał życia. A może dlatego, że oboje chcemy robić wszystko na swój sposób.

- Zawsze byłaś przekonana, że cię zawiodę. Ale dosyć tego. Próbowałem. Nie udało się.

- Z pewnością ci się nie udało. Nawet twoja matka tak uważa.

- Powiedziałaś mojej matce? Rozmawiałaś z moją matką?

- Zadzwoiłam do twojej matki pierwszego ranka po twoim wyjeździe. Nawet ona uważa, że źle zrobiłaś, jadąc do Adele. Ona jest moją teściową. I mogę do niej dzwonić, kiedy tylko zechcę.

- Ale nie po to, żeby na mnie donosić. Cholera jasna. Musi być nieźle wkurzona.

- Oczywiście, że jest. Widzisz? Oto, czym ty się przejmujesz. Spakuj się. Porozmawiamy... hmmm, co to dziś mamy?

True ujmuje twarz w dłonie. Wyczuwa jej płaszczyzny i łuki, krucze spojenia. Podtrzymuje je palcami. Przyciska ręką wargi, żeby przestały drżeć.

- Wtorek.

- Porozmawiamy w piątek, dobrze?

- O czym?

- Nie wiem. O dziecku. Jak to wszystko wytłumaczyć Guyowi. A teraz się prześpię.  
Idź już.

Zostań na zawsze. Nie opuszczaj mnie. True wbija paznokcie w czoło. Nie powie tego.

- Idź już, Hank.

- Daj mi tę koszulę. To moja ulubiona stara koszula.

- Nie - mówi True. - Jest moja. Moja.

Nigdy nie widziała twarzy tak wykrzywionej bólem, jak twarz Hanka w tamtej chwili. Hank podchodzi do szafy, ściąga w pośpiechu ubrania - wieszaki hałasują i uderzają o siebie - a potem wychodzi z pokoju.

Oniemiała z przerażenia, wiedząc jedynie, że postąpiła słusznie i że miała po temu powód, i że zarazem nie potrafi wytłumaczyć sobie siły, która ją do tego popchnęła, kładzie jedną poduszkę na głowę, drugą pod brzuch i z nosem schowanym w koszulę Hanka zasypia.

Październik

**BÓJ SIĘ!**

Halloween bywa ekscytujący, a nawet przerażający. My podarujemy wam dreszczyk emocji, ale nie będziemy nikogo straszyć. Kostiumy w postaci kolby kukurydzy i dyni, uszyte z mięciutkiej tkaniny, mogą przydać się później jako stroje do zabawy albo do snu. Wypełniają je miłe sezonowe podarki: połyskliwy rzeźbiony kotek w sam raz do dziecięcej rączki, książka o mamie nietoperzowej i jej maleństwie, które nie chciało spać (skąd my to znamy?), formowana ręcznie świeczka rozsiewająca wszystkie wonie jesieni, która rozświetli mrok nocy i ukoji duszę.

- Co ma oznaczać to całe chrzanione zamieszanie? Gdzie tata? Dlaczego jeszcze nie wrócił? - Guy potrząsa True, budzi ją.

Sen jest tunelem, w którym True chowa się tak często, jak tylko może. Jeśli się uda, częściej niż raz dziennie. Spogląda na zegarek przy łóżku. Czwarta po południu. Pierwszy października. Jej syn nadal ma na plecach szkolny plecak.

- Nie mów „chrzanione” - mruczy spierzchniętymi wargami. Jej głos brzmi, jakby była pijana.

- Tata mówi, że to nie jest brzydkie słowo.

- A ja mówię, że brzydkie. Znaczy to samo co „piep...”, więc jeśli jeszcze raz powiesz to chrzanione słowo, to ci spiorę buźkę - mówi True i dodaje: „łobuzie”, i dodaje: „podejdz tutaj”. Przytula Guya, który pachnie mokrym psem, żelem do włosów i jeszcze czymś, jakby goździkami.

- Łobuzie? Ja jestem łobuzem? - Guy rzuca plecak na podłogę niczym rękawicę. -  
Babcia mówi, że wyrzuciłaś tatę, a ty mnie nazywasz łobuzem?

- Nie wyrzuciłam taty. To znaczy wyrzuciłam. Przeprowadził się na trochę do... Toma,  
bo za bardzo się kłóciliśmy i tata zrobił coś obrzydliwego...

- Co?

- To sprawy między dorosłymi.

- Przespał się z inną?

- Nie.

- Więc w czym jest chrzaniony problem?

- Gee, idź z Gypem na spacer. Na długi spacer. A potem poczytaj o Broadwayu. Masz  
dzisiaj lekcje z tą panią, wiesz, z Kitt. Zawiozę cię.

- Na pewno możesz wstać z łóżka?

- Tak - mówi True. - Już dobrze się czuję.

Kłamie. Nie ma pojęcia, czy powinna wstać. Ale postanowiła chodzić, ile się da, i  
liczyć na przychylność natury.

- Najpierw nie mówisz mi, że zamierzasz wyjść za mąż, a potem, że zamierzasz  
wyrzucić z domu mojego jedyne go ojca... - Guy zaczyna płakać. True obejmuje go  
ramieniem.

- Rzeczywiście chrzaniona sytuacja. Ale jakoś sobie z tym poradzimy, Gee. Dog,  
babcia, Esa i Rudy...

- I tata...

- I tata, mam nadzieję.

- Nie zamierzacie się rozwieść?

- Nie. Mam nadzieję, że nie. Chociaż może. Nie wiem. Pewnie nie. W każdym razie  
muszę dać mu nauczki.

- Dać mu nauczki? Przecież on jest dorosły!

- Dorośli też muszą dostawać nauczki, Gee. Chociaż nie wiem, czy on to w ogóle  
zrozumie. Ale i mnie należy się nauczka.

- Ty jesteś mamą! Ty powinnaś wszystko wiedzieć!

- A co ty o tym myślisz?

- Co ja myślę? Ja jestem dzieckiem!

- Pamiętasz, jak zabrałam ciebie i Ferma na kręgle i przewidziałeś, że zdobędziesz sto  
trzydzieści jeden punktów? I rzeczywiście zdobyłeś sto trzydzieści jeden punktów. Więc  
może potrafisz przepowiadać przyszłość, jak maman Winston w Metairie.

- Czy ona o tym wie? Może rzuciła na ciebie urok.

- Nie sądzę - odpowiada True.

Myśli, że powinna zadzwonić do Clothilde, choć chyba wolałaby się poddać punkcji zatok nosowych. Myśli też o Piątce Pucharów, walce rozumu z sercem, o chwilowej porażce. Jaka była przepowiednia dla świata? Dla jej małego egoistycznego świata? W Nowym Jorku mali chłopcy w wieku Guya, ubrani w nowe granatowe garniturki, słuchają dźwięku kobz na pogrzebach swoich ojców strażaków. Zwykłe życie stało się żyznym gruntem dla tragedii. Nawet Humphrey Bogart musiałby się z tym zgodzić.

W pobliżu domu True orlica zastała gniazdo splądrowane przez szopa. Dobrze jej tak, bo spóźniła się w tym sezonie z tokami. Orlica kierowała się instynktem albo odruchem. Teraz szop będzie zimował w gnieździe, które ona zbudowała dziobem i szponami. Orlica nie zamierza zabić szopa. Odwraca tylko skorupy jaj, z których nie wyklują się młode.

Esa wchodzi do pokoju niezapowiedziana i kierując się intuicją, obwieszcza krótko Guyowi, że nie matka, tylko ona zawiezie go na lekcje - mówi to dokładnie w tej chwili, gdy True pyta:

- A co ty o tym myślisz? O tacie i o mnie?

- Mamo - mówi Guy, ocierając oczy uchem Gypa - ja potrafię przewidywać przyszłość tylko w przypadku kręgli.

- W porządku. Naprawdę w porządku - mówi True do Franny w tydzień później, gdy siedzą obok siebie w sali prób. Omal nie zwariowała od tego leżenia w łóżku, dlatego każdą okazję do wyjścia z domu wita z radością. - Czuję się znacznie lepiej, niż sądziłam, że będę się czuć.

- Wyglądasz dobrze - przyznaje Franny. - A jak tam...? - Wskazuje głową na brzuch True.

- Świetnie. Fizycznie czuję się świetnie. Ale nie pamiętam, jaki mamy miesiąc albo czy jestem w mieście, czy nie jestem. Szkoda, że mój umysł nie funkcjonuje tak sprawnie, jak mój brzuch.

- Może to zasługa hormonów.

- Też tak sądzę. Ach, żeby można je było wypreparować i zrobić z nich eliksir. Euforyczne Zapomnienie - wyłącznie w Dwunastu Podarunkach.

- Naprawdę jest tak, jak mówisz? To zachwycające - dziwi się Franny. - Ja byłabym kompletną ruiną.

True milczy przez moment.

- Wiesz co, Franny, są takie chwile, długie chwile, gdy pragnę tylko śmierci, ale nie

mogę umrzeć. Zabiłabym i dziecko, i Guya. Więc biorę się w garść i coś tam robię. Czasami jestem jak zombie w średnim wieku.

- Potrafisz żartować - stwierdza Franny.

- A mam wybór? Co mam robić? Dzwonić do ciebie z płaczem o czwartej nad ranem? I tak prosiłam już Esę, i to dwukrotnie, żeby została na noc, żeby spała ze mną w moim łóżku, choć powinna była spędzać noc w domu, z Douglasem, bo nie mogłam znieść myśli, że będę spała sama.

- Dlaczego właściwie nie przyjmiesz go z powrotem i nie podręczysz przez parę miesięcy?

- Zastanawiałam się nad tym, ale mógłby pomyśleć, że to on miał racje, że może robić, co chce, a ja będę mu wybaczać. Pomyślałby, że jestem niekonsekwentną zrzędą. Czy potrafiłabyś żyć z mężczyzną, który uważa cię za niekonsekwentną zrzędę? Liczę na to, że będzie mnie błagał o litość.

- Jeszcze tego nie zrobił?

- Nie. Ale dzwoni.

- I co mówi?

- Nie rozmawiam z nim. Zwykle Kathleen odbiera telefony. Właściwie się do nas wprowadziła. I jestem jej za to wdzięczna.

- To skąd wiesz, że nie próbowałby błagać o litość?

- Obawiam się, że powiedziałałby coś o biednej Adele, a wtedy ja musiałabym go zabić. Rozmawia z Guyem. Przychodzi i go zabiera. Ja się wtedy chowam.

- Nie wiem, co bym zrobiła - zastanawia się Franny - gdyby Steve przespał się z inną kobietą... Pozwoliłabym mu wrócić jedynie dla przyjemności przebaczenia mu każdego dnia aż do końca życia.

- A gdyby spędził dwie noce i jeden upojny dzień w cudownym Cambridge w ramionach byłej ukochanej, mimo że prosiłaś, błagałaś, a nawet używałaś gróźb, żeby nie jechał? Gdyby zignorował to wszystko i pojechał?

Wypowiedzenie takich słów jest dla True niezwykle trudne i Franny nie tylko to dostrzega, ale i docenia.

Dotyka palcem czubka piegowatego nosa. Ten gest, niezmienny od czasu, gdy True ją poznała, pozwala się jej skoncentrować.

- Rozumiem... Ale skoro z nią nie spał...

- Czy naprawdę nikt poza mną tego nie widzi? - oburza się True. - Przecież to jeszcze gorzej! Mogłabym, jak powiadasz, poradzić sobie z jakimś głupim skokiem w bok, ale to...

to... miłość, Franny! Ten postępek świadczy o miłości!

Beatrice ostro zwraca im uwagę, by przestały gadać. Wiele par oczu mamuś i tatusiów zwraca się ku nim z zaciekawieniem i przygląda natarczywie, zwłaszcza True, która kuli się w fotelu.

Na szczęście zaczynają się przesłuchania, więc ludzie skupiają uwagę na scenie. Kilkudziesięcioosobowy tłum dzieci i rodziców cichnie tak, że True słyszy, jak Franny ssie pastylkę od kaszlu. Jej córka, Clainey, także ubiega się o rolę w najambitniejszym jak dotychczas przedsięwzięciu miejscowego teatru.

Beatrice szczegółowo wyjaśnia, dlaczego Oliver! będzie przedstawieniem o większej skali trudności niż A Christmas Carol przed laty.

- Zostaliśmy zaproszeni - tak! - zostaliśmy zaproszeni do pokazania Olivera! na deskach Opery Bostońskiej... - po sali niesie się pomruk zachwytu - ...i to dwukrotnie, a obecnie prowadzimy rozmowy na temat również dwukrotnego występu - Beatrice milknie na chwilę - na scenie Radio City\*! Czy wierzycie? - Dzieci piszczą i szepczą. - Ale... Ale program prób będzie bardzo napięty. Mamy też zaszczyt gościć Kitt Reuter-Foss, znaną mezzosopranistkę, która występowała w roli Nancy w Metropolitan Opera. Kitt jest tu z nami dzisiaj - urocza rudowłosa osóbką, którą True dostrzegła w drzwiach pensjonatu, gdy odwiozła Guya na lekcję, marszczy nos i macha do dzieci - by pomóc nam dokonać wyboru. Ci z was, którzy są zaangażowani w zajęcia sportowe albo... muszą porządnie przyłożyć się do nauki, zechcą być może odłożyć udział w przedstawieniu do przyszłego roku. Będziemy mieć dwadzieścia spektakli, nie licząc występów ulicznych. Rodziców chciałabym poinformować, że sponsor wyasygnował dodatkowe środki na zapewnienie dzieciom bezpieczeństwa podczas wszystkich przedstawień i... na uzbrojoną... nie chcę nikogo straszyć, ale będziemy mieli uzbrojoną ochronę w autokarach, które zawiozą nas do Bostonu i na występy w innych szkołach.

Beatrice otwiera szerzej pełne smutku, wielkie, szare oczy, obwiedzione delikatnymi zmarszczkami.

- Przyszło nam żyć w przerażających czasach. Ale pamiętajmy, że sztuka także jest bronią przeciw brutalności. Zanim zaczniemy, chciałabym poprosić was wszystkich o chwilę ciszy. Pochylmy głowy i pomódlmy się albo pomyślmy w skupieniu o wszystkich, którzy zostali uznani za zaginionych,

o naszych żołnierzach, o bezpieczeństwie naszego kraju i pokoju na świecie. - Wszyscy posłusznie pochylają głowy. Po chwili Beatrice klaszcze w dłonie. - A teraz posłuchajmy piosenek!

Mała córeczka Franny, ubrana w koronkową sukienkę

i białe baletki, wygląda jak aniołek z bożonarodzeniowego drzewka. Gdy śpiewa I'm Forever Blowing Bubbles, nie sposób usłyszeć jej cieniutkiego głosiku na tle delikatnych dźwięków pianina w sali prób. Potem tańczy, lekka jak puszek mleczka, i True widzi, że Beatrice zapisuje coś w swoim notesie i spogląda na Franny. Clainey zostanie wybrana do chórków małych obszarpańców. Całe szczęście. Byłoby okropne, gdyby Guy dostał rolę, a Clainey nie - zarówno dla przyjaźni Franny i True, jak i dla samej True, która tak bardzo pragnie bliskości Franny albo Esy, albo Rudy'ego, a nawet Kathleen, że zamierza trzymać się ich kurczowo w każdym momencie następnych sześciu miesięcy. Zastanawia się, ilu ludzi w ilu miejscach na świecie wypowiedziało tego wieczora takie słowa jak ona, zdając sobie sprawę, że były nieszczerze. Świetnie się czuję. Lepiej, niż się spodziewałam. Co to może znaczyć? Że jest zdolna oddychać? Co więcej mogła powiedzieć Franny? Myślałam, że wróci po dwóch dniach, ale nie wrócił. Nie wierzę, że nie chce poddać się terapii. Nie umiem nawet powiedzieć, ile razy dotykałam się nocą palcami, żeby przypomnieć sobie to, co czułam, gdy był ze mną... Tak, mogła to wszystko powiedzieć.

Ale boi się nadać tym słowom byt realny. Coś każe jej wierzyć, że znów będą razem. Nikomu się do tego nie przyzna. Może nawet nie przyzna się do tego tak do końca przed samą sobą.

Guy występuje jako następny.

- Zaśpiewam piosenkę The Lord of the Dance, ale nie wiem, kto ją napisał, i zatańczę coś, czego nauczył mnie... tata. Będę recytował tekst z książki Where the Wild Things Are. - Guy zbiera się w sobie, wypina pierś, zaczyna śpiewać: Tańczyłem o poranku... - Przepraszam. Książkę napisał Maurice Sendak. Przepraszam.

Beatrice kiwa głową i unosi brew. Dzieci, które są w zespole od dłuższego czasu, wiedzą, że zapowiadanie swojego występu jest czymś, co robią wszyscy profesjonaliści, a Beatrice chciałaby, by członkowie jej grupy byli profesjonalnymi aktorami, „dla których jedyną zapłatą są oklaski”.

Piosenka wykonana jest tak płomiennie, że nieznajoma wysoka kobieta o długich, czarnych włosach, siedząca trzy fotele dalej, pochyla się ku True i mówi:

- Czy to pani dziecko? Ma piękny głos.

True odwraca się w jej stronę z uśmiechem i dostrzega Hankę. Dwa rzędy dalej. True wyciąga do niego rękę, uśmiechają się. True zagryza mocno dolną wargę, żeby nie płakać. Pierwsze kroki tanecznego popisu Guya są zręczne i precyzyjne, potem chłopiec robi gwiazdę - raz, dwa, prawie trzy - i ląduje na pupie. Podnosi się czerwony ze wstydu.



- Podłoga jest tutaj bardzo śliska - mówi pogodnie Beatrice. - Dziękujemy, Guy. I dziękujemy twojemu ojcu za tę choreografię, która musiała być dla ciebie prawdziwym wyzwaniem.

Guy odważnie rozpoczyna recytację. Publiczność obdarza go pełnym aprobaty śmiechem, gdy w pewnym momencie reżyser przerywa mu występ. Guy przekroczył limit czasu, a jest jeszcze setka dzieci, które przez dwa następne wieczory będą ubiegały się o jedną z siedemnastu ról.

Spocony i naburmuszony Guy siada obok True.

- Przerypałem - mówi. Dostrzega Hankę. - Tatusiu! - wykrzykuje. - Wróciłeś!

Przytula policzek do ręki Hanki. Twarz Hanki krzywi się boleśnie.

- Jestem, jestem. Wcale nie przerypałeś - szepcze Hanka. - Byłeś dobry. Liczy się ogólne wrażenie, a nie perfekcja.

- Przerypałem - powtarza dobitnie Guy.

Ze sposobu, w jaki kobieta, która przed chwilą komplementowała True, pochyla się do przodu, gdy następane dziecko - słodki blondynek - pojawia się na scenie, True domyśla się, że to jej syn. Powiedzieć, że głos chłopca śpiewającego Amazing Grace jest piękny, byłoby dla niego obrazą. Mały śpiewa jak chłopiec z niemieckiego chóru, jest wzorem doskonałości, jeśli chodzi o samokontrolę i oddech. Potem płynnie recytuje wiersz Tennysona i kończy występ kilkoma sekundami stepowania.

True patrzy z zapartym tchem. Pochyla się ku kobiecie, która, szczęśliwa, kiwa głową i pokazuje chłopcu uniesiony w górę kciuk.

- Jest świetny. Mam na imię True. - True wyciąga rękę.

W tym samym momencie widzi, jak Guy, który spostrzegł, że Hanka zniknął, zrywa się z miejsca i wypada przez wahadłowe drzwi. True podnosi się, by biec za nim, ale kobieta, której podała rękę, jeszcze coś mówi. By nie uchybić grzeczności, a zarazem nie przyciągać uwagi zebranych do napadu złego humoru Guya, siada z powrotem.

- Już wiem, kim pani jest - mówi kobieta z ciepłym uśmiechem na twarzy, jasnej jak światło księżyca. - To pani jest tą sławną kobietą od podarunków dla dzieci. Mam na imię Genevra.

True musi teraz odzyskać to coś, co, jak sądzi, wiązało się kiedyś z jej osobowością, i poświęcić rozmówczyni chwilę uwagi.

Franny próbuje jej pomóc:

- Moja córka już się prezentowała. Ta malutka, której nie było słyhać.

Nie jest to łatwy moment dla rodziców, których dzieci współzawodniczą o

stosunkowo niewielką liczbę ról. Ale też szczególnie trudny moment dla osoby, stwierdza w duchu True, której ojciec jest nieuchwytny jak ojciec Hamleta.

- Gen... jak się do pani mówi zdrobniale?- pyta True.

- Genevra - odpowiada kobieta.

- Twój syn jest naprawdę wspaniały. - True nie zastanawia się, tylko pyta: - Czy należy do zespołu Teatru Rodzinnego?

- Nie. Występował w reklamach - odpowiada Genevra. - Raz grał w filmie i sześć razy w spotach reklamowych. Ale ten musical podoba mu się tak bardzo... my także nie mamy nic przeciwko niemu, z wyjątkiem jednej brutalnej sceny, więc postanowiliśmy, że może spróbować.

- Jestem pewna, że mu się uda - stwierdza True.

- Ja też tak myślę.

Prawie niedostrzegalna mina Franny naśladowującej snoba, który zadziera nosa, rozśmiesza True.

Wychodzi, by poszukać Guya. Syn siedzi przy oknie i ociera oczy.

- Musisz wrócić do środka. Takie są zasady. Nie możesz tak sobie uciec. To nieprofesjonalne.

- Nie wrócę. Dlaczego mam tam siedzieć? Dlaczego tata przyszedł, zobaczył mnie, a potem czmychnął?

- Nie wiem, ale pewnie musiał wracać do pracy i nie chciał robić zamieszania. Spotkasz się z nim jutro - pociesza syna True.

Prowadzi Guya, ciągle gotowego się rozplakać, do środka. Dzielnie sekundują innym kandydatom przez następną godzinę przesłuchań, umierając ze strachu wraz z dziećmi, które muszą być dosłownie wypychane przez rodziców ze swoich krzeseł na scenę albo które zapomniały słów, i oklaskując spokój ducha stałych członków zespołu. Potem, gdy siedzą w samochodzie, Guy obwieszcza, że jest „zbyt zmęczony, by iść na chrzanią lemoniadę”, i pyta matkę, dlaczego ciągle namawia go na coś, od czego się tyje.

- Nie przejmuj się - radzi mu True. - Wiem, dlaczego jesteś wściekły. Ale nie obwiniaj o to mnie. Mnie też nie było łatwo, gdy odszedł. Po prostu myślałam, że masz ochotę się czegoś napić. W końcu nieźle się napociłeś.

- I wszystko na nic - mówi Guy.

- Tego nie wiesz - odpowiada cierpliwie True. Nie może myśleć o niczym innym tylko o Hanku, chociaż widzi, że jej syn cierpi. Ma w sobie więcej pieprzonej uprzejmości niż sama Emily Post ((1873-1960), Amerykanka, autorytet w sprawach etykiety. Emily Post Institute,

założony przez nią w 1946 roku, a obecnie kierowany przez trzecie pokolenie potomków, zajmuje się m.in. poradnictwem w sprawach poprawnego zachowania w rozmaitych dziedzinach życia, nie wyłączając biznesu), przez co zaczyna nie lubić samej siebie. Czy ten facet w ogóle ma serce?

Przez następne dwa dni, niezależnie od tego, czy słucha audycji o wydarzeniach jedenastego września, o śmierci strażaków, o ich wielkiej odwadze, o odkryciu, że terroryści uczyli się w tej samej uczelni, gdzie jej pierwszy mąż, Peter, zdobył dyplom pilota, czy też wprowadza nową asystentkę Esy w arkana procedury aktualizacji danych i pokazuje jej, jak wysyłać komputerowe przypomnienia albo karty pocztowe do klientów, którzy zapominają, że wymiary „ich” dzieci zmieniają się z upływem czasu („Jak można to wszystko spamiętać?!”, wykrzykuje dziewczyna przytłoczona nagle ogromem szczegółów, tak ważnych dla sprawnego funkcjonowania firmy), nieustannie i samolubnie nasłuchuje dzwonka telefonu. Czeką na list wrzucony przez szczelinę w drzwiach. I tak jak dawniej, za studenckich lat, gdy chłopak się nie odzywał, podnosi czasem słuchawkę, by sprawdzić, czy linia telefoniczna działa bez zarzutu.

Pierwsze pytanie, jakie zadaje jej Isabelle, gdy zjawia się w środę rano w biurze, brzmi:

- Jaką rolę dostał Guy?

True z przerażeniem uświadamia sobie, że „zapomniała” czekać na telefon w sprawie Guya, co naturalnie sprowadza pecha, podobnie jak odczuwanie radosnego nastroju albo jedzenie lunchu z przyjaciółmi w drodze na mammografię. Natychmiast stara się to nadrobić, popadając w przesadny pesymizm. Obiecuje sobie trwać w przekonaniu, że Guy nie dostanie roli mówionej, i że dołoży wszelkich starań, by go pocieszyć.

- Nie mówmy o tym - ostrzega True Esę. - Guy się przewrócił. Myślę, że Hank uczył go zbyt trudnych jak na dziecko rzeczy.

- Ale i tak może dostać rolę.

- Może. Tyle że on... Wiesz... Guy chciał dostać rolę Olivera.

- Aaaa... Jest już gotów do takiej roli?

- Cóż, za rok będzie następne przedstawienie. Tak mu to wytłumaczę.

- Ale i tak może dostać rolę. Nikt nie śpiewa tak jak Guy.

- Owszem, był tam chłopak znacznie od niego lepszy. Oliver-sopran powinien wyglądać niewinnie. Guy jest niewinny, ale nie zachowuje się jak niewiniątko.

- Hmm. Kiedy będzie coś wiadomo?

- Nie wiem, czy Beatrice zadzwoni, czy przyśle zawiadomienie listem - odpowiada

True. - I nie myśl sobie, że robi mi jakąś różnicę, czy moje dziecko dostanie rolę w przedstawieniu, czy nie, gdy świat się wali, nie mówiąc już o tym, że mąż mnie opuścił, a ja jestem w ciąży.

- Nie musisz mi tego mówić - stwierdza Isabelle. - Ale życie toczy się dalej. Musi. Tak właśnie zwyciężamy nad siłami ciemności.

- Naoglądałaś się z Douglasem starych filmów?

- Wiesz przecież, że taka jest prawda.

Isabelle zabiera się do pracy ze swoją asystentką. Pojawia się Rudy. On jeden nie wnikał w sprawę rozstania Hanka i True, choć także nie zapomniał o wyrazach współczucia. Można powiedzieć, że sprawia wrażenie niezainteresowanego. True próbuje więc poufnego tonu.

- Za parę tygodni zrobią mi test, czy z dzieckiem wszystko w porządku - mówi do Rudy'ego.

- Naprawdę zamierzasz to ciągnąć?

- O czym ty mówisz? Myślisz, że mogłabym... zrobić skrobankę?

- Tak, True.

- Nie, Rudy. Nigdy.

- Religia?

- Zdrowy rozsądek. Wystarczy mi, żeby wychować dziecko w pojedynkę.

- Czego ci wystarczy?

- Pieniądzy, przynajmniej na razie. Zapału. Wsparcia ze strony bliskich. Ludzie dokonali o wiele większych rzeczy, mając o wiele mniejsze możliwości.

- A czy masz wystarczająco dużo... miejsca na dziecko? W swoim życiu? Chcę powiedzieć, że masz mnóstwo spraw na głowie. Startujesz z nową firmą, i to bez partnera.

- Dam sobie radę.

- Jesteś odważniejsza niż ja.

- Myślisz, że jestem głupia?

- Myślę, że niewłaściwie oceniasz trudy wychowywania dziecka w pojedynkę w twoim wieku. Tylko się nie złość. Masz jeszcze Guya i Kathleen, którymi musisz się zajmować.

- Więc dlatego, że Hank zachował się jak świnia, ja mam zrezygnować z czegoś, czego zawsze pragnęłam?

- Niektórzy ludzie mogą uważać, że to egoizm wydawać na świat kolejną istotę ludzką... na taki świat... jeśli się nie ma wystarczającego zaplecza uczuciowego... jeśli nie

można dać dziecku wszystkiego, czego potrzebuje.

- Kto tak uważa? Ty czy Keith? Rudy pąsowieje.

- Keith. Ja biorę twoją stronę.

- Miej go gdzieś, Rudy. Myślisz, że tak to sobie wyobrażałam? Myślisz, że nie jestem przerażona tym wszystkim,

o czym właśnie mówiłeś? Ale co... to maleństwo walczyło

i teraz czeka na... Ja nadal, nadal kocham Hankę. I mam nadzieję, że się pogodzimy.

Wprawdzie nie bardzo sobie to wyobrażam, ale mam taką nadzieję.

- Wiem.

- On chce tego dziecka. Czy będziemy razem, czy nie.

- Jesteś pewna?

- Keith czy ty?

- Ja. Tym razem. Bo ja nie jestem pewien, czy właśnie dziecko go nie spłoszyło.

- Cieszę się, że to mówisz.

- Dlaczego?

- Bo to mnie wkurza. Dlatego. Nie na ciebie się wkurzam. Wszyscy pewnie tak myślą.

Będę więc dobrze przygotowana, gdy pięć, sześć albo i dziesięć innych osób powie mi to samo, bo na pewno się tacy znajdą.

- My wszyscy będziemy cię wspierać.

- Wiem - mówi True, ujmując Rudy'ego za rękę. - Wiem. Ale chodzi o to, że... jak nic usłyszysz na mieście, że twoja szefowa jest szalona, gdy ciąża będzie widoczna.

- Już słyszę.

- Ach, tak!

- Sama zaczęłaś.

- Od kogo słyszysz?

- Lee Macy. Dee.

- Co mówią?

- Coś, co ma znaczyć: Co ona myślała? Jak niby mogło być? Czego mógł chcieć mężczyzna w jego wieku...

- Dobra. Kapuję.

True wzdycha, a potem pyta Rudy'ego:

- Czy nie byłoby lepiej, gdyby ludzie potrafili zajmować się swoimi sprawami?

- Ależ to są ich sprawy, droga True. To, że ty nie plotkujesz, nie znaczy, że inni nie traktują plotek jak narodowej rozrywki.

- Nie dbam o to, co mówią. Póki ty i Esa, i... ludzie, którzy się dla mnie liczą, gotowi są kochać mnie i moje dzieci, to po prostu o to nie dbam.

- Owszem, dbasz.

- Dobra. Dbam. Ale Guy jeszcze nie zna życia. Zamierzam udawać, że wszystko jest w porządku. Będę udawać jak cholera. Muszę. Będę wesołą rozwiedzioną ciotą.

- Wreszcie powiedziałaś coś sensownego.

- Przecież nie „ciotą” w tym sensie.

- Zawsze jest nadzieja.

- Tak - mówi True, marszcząc nos. - Podoba mi się taka Nadzieja. Pachnie Mayflower. Rudy wstaje i obejmuje True. True pozwala sobie na chwilę rozluźnienia, czuje, że drży.

- No, już dobrze, True, kochanie - pociesza ją Rudy.

Guy wpada do biura prosto ze szkolnego autobusu. Rzuca plecak.

- Mieliliśmy na wuefie ćwiczenia na wytrzymałość. Byłem przedostatni.

Guy kładzie się na podłodze.

- Ja zawsze byłem ostatni - stwierdza Rudy. - Dopiero teraz jestem prawdziwym wieloboistą.

- To znaczy, że wiele się bijesz? - pyta Guy.

Śmieją się, gdy w domu rozlega się dźwięk telefonu. Isabelle podnosi się, by biec go odebrać, ale Guy ją uprzedzi Rudy i Esa milkną, a True z napięciem słucha, co mówi Guy.

- Tak, dobrze - odpowiada podekscytowany Guy. - Oczywiście. Dziękuję, Beatrice.

Nareszcie pamięta o dobrych manierach, myśli True. Guy pędzi przez łącznik z powrotem do biura, wrzeszcząc:

- Mamo, mamó! Dostałem ją! Dostałem!

- Co? Rolę Olivera?

- Nie. Przebiegłego Spryciarza.

True telefonuje do Hanka, a ten w kilka minut później zajeżdża z piskiem opon przed dom.

- To najlepsza rola w tym przedstawieniu! Będiesz śpiewał najlepsze piosenki o kieszonkowcach i...

- Wiem! Wiem! I będę miał cylinder! - Guy pędzi w stronę Hanka z otwartymi ramionami. Nagle się zatrzymuje. - Zapomniałem. Jestem za duży, żeby...

Hank przyklęka, całuje Guya w usta i podnosi go do góry.

- Tak, jesteś wielki! Jesteś wielki! - mówi i znowu się obejmują.

True wstaje i wychodzi z pokoju, szczęśliwa, że jakoś trafia do drzwi, bo jest kompletnie oszołomiona.

świat opisywany w nagłówkach gazet składa się z państw, których nazwy zna się tylko z gier planszowych: Uzbekistan, Afganistan. Wojna - choć nikt naprawdę nie wie, przeciw komu jest prowadzona - nazywa się teraz, dość dziwnie, Złotym Orłem, Nieskończoną Sprawiedliwością albo Trwałą Wolnością. To ostatnie brzmi w uszach True jak nazwa podpasek.

Któregoś wieczora True telefonuje do Hanka do restauracji i mówi:

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać o interesach. O Pierwszym Roku Poza Domem.

- Nie mam ochoty na spotkanie służbowe z tobą, True - mówi Hank, osłaniając słuchawkę przed hałasem dobiegającym z zaplecza restauracji. - Jeśli chciałaś rozmawiać, powinnaś była poświęcić mi więcej uwagi, gdy próbowałem ci wytłumaczyć...

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać o Guyu - przerywa mu True. - O waszych spotkaniach.

Hank milczy chwilę, potem mówi:

- Dobrze. Mogę wpaść dziś wieczorem?

- Tak.

Odkładają słuchawki, nie mówiąc sobie „do widzenia”. Gdy Hank przyjeżdża, Guy już śpi. True rozpoczyna rozmowę:

- Porozmawiajmy normalnie o zwykłych rzeczach, Hank. Udawajmy, że nic się nie stało i że wielki świat nie przewraca się do góry nogami. - To spory wysiłek dla True i Hank zdaje się go doceniać. - Jakie imię chciałbyś nadać naszemu dziecku?

- Brewster - mówi Hank. - Chociaż wydaje mi się, że to ty powinnaś decydować. Jak o wszystkim innym. Czy będzie nosiło nazwisko Bannister?

- Brewster Bannister? - True prawie wybucha śmiechem.

- Zawsze mi się podobała nazwa tego miasta. Brewster Bannister brzmi... wodewilowe. Albo kongresowe. Brewster D. Bannister.

- A to „D”?

- Dickinson.

- Hmm. Miło z twojej strony. Mógłby być piłkarzem. Jak T.J. Albo hokeistą. Brew Bannister, numer sześćdziesiąt osiem, opuszcza ławkę kar. Myślę o nim także jako o dorosłym człowieku, Hank. Niezależnie od tego, jakie mam przeczucia, wiązę z nim wiele nadziei. Byłam taka szczęśliwa, taka szczęśliwa, aż nie mogłam w to uwierzyć. To było coś, czego, jak myślałam, nigdy nie będę mogła dla ciebie zrobić. Byłam taka szczęśliwa i

jednocześnie taka przerażona. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. I takim się okazało.

- Nie przeze mnie. Chciałbym wiedzieć, dlaczego, do diabła, nie podchodzisz do telefonu, gdy dzwonię...

- Nie wiem, co powiedzieć, i myślę, że ty też nie wiesz.

- Wiem, co powiedzieć, ale sądząc po twoim dotychczasowym zachowaniu, podejrzewam, że nie chcesz tego usłyszeć.

- Chyba jeszcze za wcześnie, by rozmawiać o imionach - mówi opryskliwie True, zmieniając temat. - Chcę, żebyś miał udziały w nowej firmie. Chcę, żebyś miał udział w zyskach. Możesz też pomóc, jeśli zechcesz, w zdobyciu kapitału.

- Jak? - Hank wychodzi na ganek i zapala cygaro.

- Zamierzam spotkać się z Elizabeth. Ma mnóstwo pieniędzy i nie sądzę, by się bała - tak jak Otto Karp. Wiem, że mi ufa.

- Jaka ma być moja rola?

- Któregoś poniedziałku, gdy restauracja jest zamknięta, mógłbyś przygotować lunch, a ja przedstawię jej pomysł.

- My przedstawimy jej pomysł.

- Nie chcę cię obrazić, Hank, ale ja jestem osobą, którą ona zna. A jest dość... ekscentryczna.

- Zgoda.

- Zrobisz to?

- A jeśli chodzi o Guya...

- Będę go zabierał na weekendy.

- Na co drugi weekend.

- Nie widzę go przez cały tydzień. Czym jest godzina po szkole, żeby zawieźć go na lekcje? W ten sposób trudno być ojcem. Chyba nie będzie mógł grać w kosza w tym sezonie, prawda? Z powodu przedstawienia.

- Myślę, że nie. Ja też prawie go nie widuję w ciągu tygodnia. Poza tym myślę, że właśnie ojcostwo na pełnym etacie cię wykończyło.

- Ty z nim mieszkasz. Tak, jestem idiotą! Często to podkreślałaś. Nie wiedziałem, jak bardzo będę tęsknił za jego nieustannymi prośbami, póki ich nie straciłem! Czyż cię to nie cieszy, True? Brakuje mi tego „przeszkadzania”. Brakuje mi pytań co pięć minut w rodzaju: „Chcesz zagrać w Czarnego Piotrusia, tato?”

- Masz miejsce, gdzie nie byłby narażony na...



- Na co? Na widok gołych kobiet i palenie marihuany? Tak. Mam swoje mieszkanie. Podnajmuję domek.

- Tym razem jakoś szybko ci się to udało.

- Potrzebowałem miejsca, gdzie mój syn mógłby spać. Czy to coś złego?

- Nie. Myślałam tylko...

- Wiem, co myślałaś. Poprzednim razem nie szukałem miejsca przede wszystkim dlatego, iż chciałem, żebyśmy się pobrali, True.

- Wobec tego przepraszam.

- Dlaczego mamy nie podzielić się weekendami? Będę go zabierał na piątki i część niedzieli i odwoził wcześniej w niedzielę.

- Zgoda, ale weź pod uwagę przedstawienie. Zaplanowano mnóstwo prób.

- Jeśli będą się późno kończyć, mogę go czasami zabierać z teatru w soboty wieczorem, po zamknięciu. Zamykamy teraz dość wcześnie, koło dziewiątej.

- Jakoś się dogadamy.

- A teraz sprawy wielkiego świata - mówi Hank. - Dużo nad tym wszystkim myślałem. Przyszło mi nawet do głowy, żeby się zaciągnąć...

- Zaciągnąć się? Przecież masz rodzinę...

- Przynajmniej do Straży Przybrzeżnej. Mógłbym to zrobić. Wzięliby mnie.

- A restauracja?

- Można służyć w rezerwie. Potrzebują strażników. Dobrze płacą i byłbym pomocny. Powinienem to zrobić. Mój ojciec był w moim wieku, jak walczył w Korei. Czułbym się jak baba, gdybym tego nie zrobił.

- Hmm.

- Prawdopodobnie nie potrwa to długo.

- Słyszałeś o Wietnamie, Hank?

- Nie sądzę, żeby teraz było podobnie.

- A ja myślę, że będzie.

- Każdy powinien robić to, co uważa za słuszne, True. - Pyka cygaro, gasi je i rozkrusza jego resztkę w palcach. Spogląda na True z niewypowiedzianą tęsknotą. - W czym tkwił błąd? Chyba w tym, że od początku traktowałaś mnie jak dziecko... Może i zachowywałem się jak dziecko. Może zaczęło się od pikniku, kiedy tamten gość wziął mnie za twojego syna i nie wiedziałaś, co z tym zrobić. - True zdaje sobie sprawę, jakim ogromnym wysiłkiem musi być dla Hanka otwarcie tej puszkii Pandory, i podziwia go. Sama też spróbuje zdobyć się na coś podobnego, chociaż do tej pory Hank powtarza tylko „ty, ty, ty”.

- Nie traktowałam cię jak dziecko! Traktowałam cię jak człowieka, jakim jesteś. Jak kogoś, kto nie wiedział tego, czego nie wiedział. A tobie wydawało się, że traktuję cię jak głupiego. Wszystko zaczęło się od ojcostwa. Od tego, jak Guy będzie się czuł, jeśli nie zechcesz wziąć go na ręce i tak dalej. Wtedy się pogubiliśmy.

- Jest jeszcze tuzin innych rzeczy, o których ci nie mówiłem. Przypomnij sobie, na przykład, zaciśnięte usta Kathleen, gdy zapomniałem podrzucić, jadąc do pracy, jakiegoś cholernego papierka do szkoły Guya. Przypomnij sobie to spojrzenie mówiące: Co za półgłówek. Ale w porządku, mój półgłówek, moje trofeum, mój mąż.

- Bzdury! Nigdy nie traktowałam cię jak trofeum. Byłam zakłopotana.

- Zakłopotana?

- Byłam zakłopotana naszą różnicą wieku, a nie dumna z tego powodu. Ty nigdy nie wprawiałeś mnie w zakłopotanie. Naprawdę nie.

- Nawet wtedy, gdy nie wiedziałem, że FDR to nie ten sam facet co Teddy Roosevelt? Gdy Franny i Steve byli tu i graliśmy w tę grę...? - Spłoszona True odsuwa się w tył. - Wiesz, o czym mówię?

- I gdy obraziłeś nas wszystkich, mówiąc, że pytania są tak dobrane, że tylko starsi ludzie mogą znać odpowiedzi? Przestań! I gdy powiedziałeś o moich dresach, że będziesz nosił coś takiego, jak będziesz po... czterdziestce? Ile razy musiałam przełykać takie teksty?

- Nie zamierzałem cię obrazić. Bronilem się tylko.

- Ja też.

- Jesteś do tego stworzona.

- To do niczego nie prowadzi, Hank. To poker. Licytacja. Raz ja ciebie sprawdzam, raz ty mnie. Stworzona, żeby się bronić? Podobno tak jest. Ale kiedyś tak nie było. Myślę... że masz rację. Nie wiem, dlaczego. Nikt mnie nigdy nie zostawił. Ale... nie ufam... mężczyznom. Nawet tobie. To znaczy nie do końca. Nie ufałam ci także, zanim zrobiłeś to, co zrobiłeś. Ale o tym nie wiedziałam. Nie było powodu, żebym to wiedziała.

True sięga coraz głębiej, głębiej, niż by chciała. Czuje, jak otwiera się jej wnętrze, zamknięte dotychczas na cztery spusty.

- Co takiego zrobiłem, żebyś mi miała nie ufać? Nie mężczyznom. Ale mnie osobiście?

- Poza bardzo oczywistymi rzeczami?

- Byłoby lepiej, żebym jej nigdy nie poznał.

- Ja też tak myślę. Chociaż teraz, jak sądzę, pewnie już tak nie myślisz, tylko jesteś szczęśliwy.

- Skąd ty możesz wiedzieć, czy jestem szczęśliwy albo czego pragnę? - wzdycha Hank.

- Nigdy nie zabiegałeś, żebym się czuła bezpieczna, Hank. Mówiłeś rzeczy, na które zwróciłaby uwagę każda kobieta. Nie tylko ja. Bo zwraca się uwagę, gdy mężczyzna mówi: „Obrywało mi się, że nie chciałem spać z kobietami nago”. To znaczy ni mniej, ni więcej tylko: sypiałem z dziesiątkami seksownych kobiet i wszystkie chciały, żebym był przy nich rozebrany, ale potem mi się to znudziło i przystałem na coś bardziej stabilnego, na ludzki odpowiednik La-Z-Boy, wygodnego mebla. Jak mogłam ci ufać, skoro mówiłeś mi takie rzeczy prosto w twarz?

- Pytałaś o to, True! Sama mnie do tego popychałaś. Pytałaś o szczegóły. Jakbyś chciała dręczyć samą siebie. Jestem facetem, True. Gadam różne rzeczy. Nie ma facetów, którzy nie gadają bzdur bez zastanowienia albo o czymś zapominają, albo nie dzwonią, chociaż powinni, albo są tak zajęci grą czy dyskusją, że po prostu zapominają zadzwonić...

- Albo są tak zajęci byłą kochanką, że zapominają zadzwonić...

- Jeśli nie chciałaś mieć faceta za męża, trzeba było połączyć się z kobietą.

- Zapomniałam - przyznaje True. - Naprawdę zapomniałam, jak bardzo tępi potrafią być faceci. I nie uważam tego za obrazę.

- Nie traktuję tego jak obrazy. A potem, gdy wszystko było jak najlepiej, gdy szliśmy do przodu pełną parą, zabrałaś do Nowego Jorku Franny.

- Moją przyjaciółkę Franny? Na nagranie w telewizji? Nie chciałeś chyba ze mną jechać?

- Chciałem jechać!

- Nic mi nie powiedziałeś! Skoro jesteś taki dobry w mówieniu, to dlaczego nic nie powiedziałeś?

- A co miałem powiedzieć? Wszystko zaplanowałam, zanim się o czymkolwiek dowiedziałem...

- Mógłbyś pojechać, gdybym wiedziała. Myślałam, że uważasz to za głupie. Dotyczyło to moich interesów. Babskich spraw. Jak się uczesać i jaką włożyć biżuterię.

- W tym akurat jestem rzeczywiście dobry. Byłem urażony. Myślałem, że będziesz chciała pojechać z mężem.

- Przykro mi.

- I nic tylko te pieniądze, pieniądze i pieniądze. Każdy grosz się liczy. Jakby świat się walił każdego dnia... Zachowywałaś się, jakbyśmy musieli przenieść się do baraku! Czułem się winny, zamierzałem nawet sprzedać ciężarówkę!

- Oj, Hank, jeśli chodzi o pieniądze... Wychowano mnie w poczuciu troski o pieniądze. Nie mówmy o pieniądzach. Pomyślałby kto, że mówimy o twoim cennym ptaszku.

- Którego nienawidzę.

- Co?

- Nienawidzę mojego członka.

- Dlaczego, u diabła?

- Bo jest chudy na czubku, zamiast być duży i gruby. Na pewno marzyłaś: „Żeby miał dużego, grubego, dziesięciocalowego kutasa...”

- Jesteś stuknięty. Jesteś skończonym kretynem. Nie chciałam cię obrazić.

- W porządku. Kiedyś nawet omal nie kupiłem ciężarków, żeby go powiększyć.

- Śmieję się, ale przysięgam, nie z ciebie. Jezu, Hank, nie spodziewałam się, że będziesz zdolny powiedzieć mi teraz coś, co mnie rozbawi... Ale to, to po prostu... wyśmienity żart. Masz idealny... członek. Idealnie mnie... wypełniasz. Zawsze sprawiałeś, że odzywały się we mnie najpierwotniejsze instynkty. Nie mówiłam ci tego, żebyś nie był jeszcze bardziej pewny siebie.

- Mogę być pewny siebie od pasa w górę. Każdy facet czuje... każdy facet chce mieć większy członek.

- Chyba tylko wtedy, gdy szuka seksbomby. Tylko jeśli chce się ożenić z... Julią Roberts albo księżniczką Dianą...

- Śniło mi się kiedyś, że się ożeniłem z księżniczką Dianą. I z Madonną. Tej samej nocy.

- Najwyraźniej nie masz takiego deficytu ego jak ja.

- Nigdy nie miałaś snów erotycznych z udziałem wielkiego gwiazdora?

- Do diabła, nie! Nigdy nie miałam żadnego erotycznego snu. Z wyjątkiem snów o moim bracie.

- Bracie? No, nie. To chore.

- Franny powiedziała, że wcale nie.

- Aaa, skoro Franny powiedziała, to święte. Jak to jest, że bardziej wierzysz swoim przyjaciółkom niż mnie? Jak to jest, że przychodzisz i mówisz: „Tak, miałaś rację”, dopiero wtedy, jak najpierw zapytasz Franny albo Rudy’ego?

- Już tego nie robię. Kiedyś tak robiłam, zanim cię dobrze poznałam. Przyzwyczyłam się omawiać z nimi wszystkie sprawy. Ale, na przykład, w ogóle nie pytałam ich o zdanie co do Pierwszego Roku Poza Domem. Przedstawiłam im koncepcję jako twój wspaniały pomysł. I myślę, że gdybyśmy byli nadal małżeństwem, powinniśmy teraz zaśpiewać - mówi True,

walcząc ze łzami.

- Najdroższa - mówi Hank, ogarniając ją ramieniem. - Może powinniśmy to jeszcze przemyśleć. Być ze sobą przynajmniej do czasu, gdy dziecko przyjdzie na świat. Nie wyglądasz najlepiej.

- A więc to tak, Hank! W taki sposób starasz się naprawić małżeństwo? Oferujesz tymczasową wspólnotę i mówisz kobiecie, że wygląda jak śmieć. Czy taka jest prawda? Czy to tylko bzdura wypowiedziana bez zastanowienia? Milczenie. Bzdura. Milczenie. Bzdura. Czy ty sobie zdajesz sprawę, Hank, jak to na mnie wpływa? Ciągle muszę próbować cię odgadnąć. Dowiedzieć się rzeczy, które ludzie wiedzą o sobie, zanim się pobiorą. Przecież nie mogę czytać w twoich myślach.

- A ja nie mogę odpowiadać na miliony twoich pytań. Jak ona się czuła, gdy jej to powiedziałeś? Jak ty się czułeś, gdy ja zrobiłam tamto czy owamto? Zupełnie jakby mi ktoś grzebał w mózgu... Gdy próbuję cokolwiek wyjaśnić na twój sposób, dostaję bólu głowy.

- Wobec tego lepiej bądźmy osobno.

- Jak chcesz - mówi sucho Hank. - Mam tylko jedno pytanie. Czy mogę korzystać z twojego studia na dole, żeby nauczyć Guya paru kroków do Oliver all

- Naturalnie.

- Czy mam dzwonić, żeby się umówić?

- Nie, nie musisz. Masz przecież klucz. Po prostu umawiaj się z Guyem. Najlepiej będzie zaraz po szkole, zanim pojedziesz do pracy.

- Jeśli chcesz, mogę oddać ci klucz.

- Przestań się wygłupiać.

- Wiesz, True, może wszystko byłoby inaczej, gdybyś tak bardzo nie chciała być dziewczyną, zapominając, że zakochałem się w kobiecie.

- Albo gdybyś ty od początku nie okłamywał mnie w sprawach, w których powinieneś być szczerzy, jak to, na przykład, że byłeś na górze Washington z Adele...

- Adele! Adele! Szkoda, że nie wie, jaka jest ważna.

- Bo pewnie wygłosiłeś do niej taką samą mowę, jak do mnie! Pewnie oświadczyłeś się jej, wręczając ten sam idiotyczny pierścionek.

- Nie musisz go nosić.

- Pewnie - mówi True i próbuje ściągnąć go z palca, ale nie może, bo palce są spuchnięte. Hank przygląda się temu z wyrazem bólu na twarzy.

- Powinienem był dać ci wielki, ciężki brylant, taki, jaki nosi Holly, żebyś mogła nim świecić innym w oczy.

- Mogę świecić wielkim brzuchem!

- Jakie to ma znaczenie, że byłem tam z Adele? Byłem tam też z Tomem i Perrym, a jednak im się nie oświadczyłem. Czy powinienem był ci powiedzieć, że już kiedyś tam byłem?

- Oświadczyłeś się jej?

- Nie.

- Oświadczyłeś się jej na górze Washington?

- Nie.

- Ale w ogóle się jej oświadczyłeś.

- Rozmawialiśmy o małżeństwie. Teoretycznie. Setki razy. I pewnie dlatego się nie pobraliśmy.

- Nie chcę nigdy więcej rozmawiać o Adele! Mam jej po dziurki w nosie! Mam dość myślenia o niej. Śni mi się po nocach! Idź i ożeń się z nią! I nie dbam o to, czy się zaciągniesz! Zaciągnij się choćby do Navy Seals! (Komando Foki, jednostka specjalna armii amerykańskiej podlegająca Marine Corps. Wykonuje zadania specjalne na morzu, lądzie i w powietrzu. Liczy 2,5 tysiąca żołnierzy). Wolna wola! - True opiera się o słupek ganku, oddycha ciężko, jakby biegła. - To była bzdura wypowiedziana bez zastanowienia. Wcale tak nie myślę. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała dość sił, żeby o tym mówić, o którejkolwiek z tych spraw. A już na pewno nie dziś.

Hank odwraca się, True otwiera frontowe drzwi. Wtedy słyszy, jak okno w pokoju Guya zamyka się z cichym trzaskiem.

Pewnego późnego popołudnia True słyszy muzykę dobiegającą ze studia i schodzi na dół. Hank uczy Guya stania na palcach w nowych - rozmiar czterdzieści dwa - butach do tańca (a la Gene Kelly) przy dźwiękach starej piosenki Judy Garland You Gotta Have Me Go With You. True przygląda się im z dumą i sympatią - jak bardzo kocha ich obu! Mogą się na siebie gniewać, ale jednak Hank nadal próbuje zrobić dla Guya to, czego ona zrobić by nie potrafiła. Hank ciągle próbuje. True rozmyśla o tym, gdy Guy ćwiczy podwójne piruety, przy których zawsze się przewraca.

- Zapominasz o patrzeniu w jedno miejsce - przypomina chłopcu Hank.

- Jak, do diabła, mam patrzeć w jakieś miejsce, skoro patrzę na nogi?

- Nie patrz na nogi. Same sobie dadzą radę. Podczas obrotu musisz patrzeć w jedno miejsce na ścianie. Zróbmy teraz tę łatwiejszą część, ze stepowaniem. - Hank znowu włącza CD. - I pamiętaj, synkopowanie to kładzenie akcentu poza rytmem. Posłuchaj. Nie robi się tego bez celu, synkopowanie dodaje smaku melodii.

- Mam dość problemów ze zwykłym rytmem - mówi Guy.

- Nieprawda, jesteś bardzo muzykalny, Guy. Słyszę przecież, jak rapujesz. Masz dobre wycucie rytmu. A jak weźmiesz lekcje gry na pianinie... - Guy marszczy się z obrzydzeniem.

- Wiem, wiem. I wiem, co mówią wszyscy rodzice: „Żałuję, że przerwałem lekcje gry na pianinie”. Rzecz w tym, że naprawdę żałują. Bo pianino jest najważniejsze ze wszystkich instrumentów. Tak naprawdę jest instrumentem perkusyjnym. Jak potrafisz czytać nuty bez przygotowania, to możesz też zaśpiewać, co tylko chcesz.

- Potrafisz grać z nut bez przygotowania? - pyta Guy najwyraźniej zadowolony z chwili przerwy. Jego podkoszulek jest mokry od potu, a twarz czerwona jak burak. True nie po raz pierwszy zastanawia się, czy odziedziczył po niej jej dziecięcą alergię.

- Tylko trochę - przyznaje Hank. - Wstyd się przyznać, ale zanim zacznę, muszę sobie policzyć, który klawisz odpowiada której nucie... c, d, e, f...

- Każdy tak sobie radzi - mówi Guy.

- Naprawdę?

- Tak.

- No, dobra, do roboty. Mięśnie nie mogą ostygnąć. Poćwiczmy przy drążku.

- Jestem cała obolała.

- To tym bardziej poćwiczmy przy drążku. Jedynym sposobem na obolałe mięśnie jest rozciąganie. Brzmi bez sensu, ale tak jest.

- Ten cholerny drążek jest wyżej niż moja głowa...

- Fakt, powinienem był go trochę obniżyć - przyznaje Hank. - Złap się parapetu.

True patrzy, jak Hank zmierza w kierunku drążka, i nie może uwierzyć, że to, co widzi, to nie przywidzenie. Guy obserwuje Hanka uważnie, przeszywa go wzrokiem, i nagle, umyślnie, podkłada mu nogę. Hank przewraca się, bezbronny, na kant drążka, z nogą zgiętą w idealne „L” - szczęście, nie w odwrócone „L”.

- Jezu! - krzyczy Hank, turlając się na plecy i chwytając za kolano.

- Nie chciałem! - woła Guy.

- Chciałeś! Sama widziałam! - krzyczy True. - Nic ci się nie stało? Uderzyłeś się? Złamałeś nogę?

- Naprawdę nie chciałem! Jestem taki... ćwok - mówi Guy.

- Dobra. Przeżyję. Ale chyba muszę iść do lekarza - mówi Hank przez zaciśnięte zęby, brutalnie nastawiając kolano.

- Będę wymiotował - mówi Guy.

- Ty będziesz wymiotował? - pyta Hank, pot cieknie mu wzdłuż nosa. - Żebyś poczuł

ten kurewski ból...!

- Zamknijcie się, jeden i drugi. Gee, widziałam, że podstawiłeś mu nogę. Widziałam! Jeśli jesteś na niego zły, że tu nie mieszka, powiedz mu to. Ale nie próbuj go krzywdzić.

- Będziesz musiał pojechać do szpitala - mówi Guy, zupełnie bez żalu, ignorując słowa True.

- Nie martw się, pojedę.

- Myślisz, że ci tak zostanie? - pyta Guy.

- Nie - odpowiada Hank. - A teraz, jeśli możecie pomóc mi wstać i dać mi coś, o co się oprę...

True rozgląda się wokoło i jej wzrok pada na parasolkę. Podaje ją Hankowi. Hank spogląda na True.

- Nie bądź śmieszna. To by nie utrzymało nawet ciężaru Guya. Ja naprawdę nie stanę o własnych siłach.

Uśmiecha się smętnie.

- Muszę mieć kule... albo porządny kij...

- Mam w garażu stary balasek! (po angielsku - bannister). - woła True. - Moglibyśmy przywiązać ci go do ramienia temblakiem, którego Guy używał, jak miał złamany obojczyk. Boże, gotowi pomyśleć, że bijemy się w tym domu...

- Balasek będzie... bardzo stosowny\* - mówi Hank.

Hank utyka z kawałkiem wypolerowanego drewna przyczepionego do ramienia. Gdy True pomaga mu usadowić się na tylnym siedzeniu, Hank wyje jak zranione zwierzę, ale choć wokół jego ust widać biały pierścień pozbawionej pigmentu skóry, daje znak True, by się nie przejmowała.

- Idź do babci, Guy. Natychmiast - mówi do syna True surowym tonem.

Po drodze pyta Hanka:

- Jak mogłeś tak naciągnąć to kolano? Zrobiłeś sobie pewnie jeszcze większą krzywdę. Jesteś taki... Nie czujesz bólu?

- Kochanie, parzę się dwa razy dziennie. Nadwerżyłem w życiu każdy mięsień, uderzyłem się młotkiem co najmniej raz w każdy palec, traciłem paznokcie. Boli mnie, ale jakoś wytrzymam. Zapomniałem powiedzieć Guyowi, żeby się porzucił - mówi Hank.

Wjeżdżają na ogranicznik prędkości na parkingu przed szpitalem. Samochód podskakuje, Hank mimowolnie krzyczy z bólu.

- Tak mi przykro, Hank, że Guy zrobił ci krzywdę. Ukarzę go. Odbiorę mu sprzęt grający. Nie pozwolę mu przez miesiąc wyjść z domu. Zresztą sama jeszcze nie wiem - mówi



True.

Hank ma zerwane więzadła po obu stronach kolana.

- Zdjęcie rentgenowskie wygląda paskudnie - oznajmia lekarz. - Ale poobserwujemy to kolano. Jeśli nie będzie pan próbował dogrywki, może unikniemy operacji artroskopowej.

- Operacji? - Hank wyraźnie blednie.

- Jeżeli nie będzie pan stawał na tej nodze przez sześć tygodni...

- Nie mogę - odpowiada Hank. - Jestem kucharzem.

- Przez pewien czas będzie pan jednonogim kucharzem. To się panu stało podczas gotowania? - pyta lekarz, ordynując unieruchomienie nogi na całej długości.

- Nie. Tańczyłem.

- Podczas jakiegoś koncertu?

- Uczyłem syna tańczyć. Źle upadłem - wyjaśnia Hank.

- Możesz korzystać w kuchni z biurowego krzesła na kółkach - proponuje True.

- True, kuchnia ma osiem metrów na dziesięć. Gdzie wstawimy krzesło na kółkach?

- A stółek?

- Pomyślę - mówi Hank, mając na myśli „przestań gadać”.

- No cóż, od tańca trzeba się będzie na pewien czas powstrzymać - stwierdza lekarz. - Nie wiem, czy będzie pan miał pełną ruchomość... ale, jest pan młody. Umawiamy się za tydzień, zgoda?

W cztery godziny od upadku True i Hank zatrzymują się na ścieżce przed domem. Guy natychmiast pojawia się przy samochodzie, pomaga Hankowi wziąć kule.

- Ale wielki gips! - woła. - I co się stało? Czy to ci zostanie na zawsze?

- Nie, wszystko będzie dobrze - mówi Hank. - Przez jakiś czas będę unieruchomiony. A ty będziesz musiał jedynie słuchać, co do ciebie mówię podczas naszych lekcji. Porozciągałeś się trochę?

Guy odwraca się i zaczyna głaskać po brzuchu Gypa.

- Mmm - zaczyna Guy. - Trochę. Jesteś pewien, że nie będziesz kulawy do końca życia?

True spogląda na syna. Mimo że tak niewinnie bawi się z Gypem, wygląda na... wściekłego.

- Słuchaj, Gee. Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo jest rozpuszczony jak dziadowski bicz, dlatego - mówi Hank. - Zawsze w końcu mu ustępujesz. Jak nie ustępujesz, wierci ci dziurę w brzuchu. A jak nie dostanie tego czego chce, od ciebie, to idzie do babci i ona mu to daje.

- Może i ustępowałam za często. Ale nie jest łatwo wychowywać dziecko samotnie.  
Po prostu się ustępuje. Może

nie jest łatwo nie ustępować w drobiazgach, skoro i tak tyle stracił w najważniejszej sprawie. Może to dziecko też będzie zepsute, i to z tych samych powodów.

- Nie wtedy, gdy ja będę miał coś do powiedzenia... - mówi Hank łagodniejszym tonem.

- Ale widać wyraźnie, że nie będziesz miał. - Głos True jest chłodny i obojętny. - On nie jest umysłowo chory.

- Skoro to nie był przypadek... - Hank uderza dłonią w czoło.

- Myślałem, że będzie jeździł na wózku - mówi Guy. - Miałem taką nadzieję.

- Guy! - True jest przerażona.

- Przykro mi, że to taka poważna sprawa, ale naprawdę miałem nadzieję, że będzie jeździł na wózku przez jakiś czas... powiedzmy do Gwiazdki.

- Nie masz nic innego do powiedzenia?

- Na przykład? - odpowiada pytaniem Guy.

- Że ci przykro. Że nie powinieneś być zachować się jak mściwy gówniarz. A co by było, gdyby uderzył się w głowę? A gdybyś zabił tatę?

- Wiedziałem, że go nie zabiję! - Guy zaczyna płakać. Piers mu drży pod podkoszulkiem do ćwiczeń, na którym widnieje napis: TAK MNIE NAUCZONO!

- Wiedziałeś, że go nie zabijesz?! - krzyczy True.

- Nie chciałem go zabić! Chciałem ci ocalić życie! - mówi Guy do Hanka.

- Co to, do cholery... - Hank prycha, True go ucisza. - Co to znaczy, Gee? Ocalić mi życie?

- Jako kaleka nie mógłbyś iść na wojnę! - chlipie Guy. - Widziałem na filmie z Gene'em Kellym! Specjalnie złamał sobie rękę, ale potem i tak został bohaterem, a ty chciałeś nas zostawić i iść na wojnę. Słyszałem, jak mówiłeś mamie, więc pomyślałem, że jakbyś sobie coś zrobił, tobyś nie poszedł, dlatego podstawilem ci nogę. Nie próbowałem cię zabić! Kocham cię! Już jeden tata mi umarł! Wystarczy, że nas opuściłeś! A jakbyś poszedł na wojnę, to na pewno by cię zabili, bo jesteś stary, a żołnierze zwykle są młodzi. Nie mógłbyś biegać tak szybko, znaczy dość szybko, i musiałbyś być generałem, żeby cię nie zabili, chociaż nawet oni giną, jak na nich rzucą bombę albo coś. Nie chciałem zrobić ci krzywdy, ale coś musiałem zrobić!

- O Boże, dobry Boże - wzdycha Hank. - Nie uważasz, że mogłeś mi po prostu powiedzieć, jak człowiekowi? Guy, skarbie, po pierwsze, nie wybieram się na żadną wojnę.

Jak mógłbym iść na wojnę? Przecież jestem za stary, a do tego mam dziecko. Nigdy bym cię nie zostawił. A teraz jestem kaleką.

Nikt nie wie, co powiedzieć. True, chociaż ma ochotę objąć i Hanka, i Guya, bo już sama nie wie, któremu z nich bardziej współczuć, zakrywa jedynie twarz dłońmi.

- Jak ci następnym razem powiem, co masz robić w studiu, to będziesz słuchał, rozumiesz? - mówi poważnie Hank.

- Tak.

- I nie martw się zbytnio. Mama i ja musimy porozmawiać o pewnych sprawach, ale ja nigdzie nie jadę. Mamy nasze mieszkanie, tak? I udekorujemy łazienkę okładkami starych albumów, tak?

- Tak - mówi Guy.

- I spotykamy się w niedzielę, tak?

- Tak - przytakuje Guy.

- Idę - mówi Hank do True.

- Mogę cię odwiedzić.

- Dziękuję, True. Widziałem, jak prowadzisz. Zaryzykuję sam - stwierdza Hank, i True odwraca się, nie mówiąc Hankowi, że ostatniej nocy po raz pierwszy poczuła ruchy dziecka.

Rolę Olivera dostał syn Genevry, miły, dobrze ułożony chłopiec, Conor Cahill. Genevra ma jeszcze trójkę innych dzieci, same dziewczynki. Zwykle siedzą grzecznie u jej stóp i coś malują albo szyją, gdy Conor i pozostali mali aktorzy odbywają próby.

Jeśli Esa albo Hank nie mogą podzucić Guya na zajęcia, True, dla której dwukrotna jazda w tę i z powrotem byłaby zbyt męcząca, kładzie się na jednej z ławek i na zmianę to drzemie, to z podziwem przygląda się spokojowi Genevry.

- Zupełnie jakby dała dzieciom jakieś prochy albo coś - zwierza się True Franny, której córka Clainey rzeczywiście została wybrana jako jedyna dziewczynka do bandy małych obdartych złodziejasków, której przewodzi stary przyjaciel True, Ellery obsadzony w roli Fagina.

- Słyszałam, że są jeszcze bardziej zatwardziałymi chrześcijanami niż Fredericksonowie - szepcze Franny. - Wiesz, to ci, którzy chodzą do tego czegoś w Dennis.

- Tego czegoś?

- Przecież nie można tego nazwać kościołem. Wygląda na pasaż handlowy ze szkołą, klubem osiedlowym i siłownią... Steve nazywa to „Domem kultury pod wezwaniem Jezusa”.

- Może i ja powinnam zacząć tam chodzić - mówi True. - Guy ostatnio klnie jak

szewc.

- Musiał się nauczyć od Clainey - stwierdza z pokorą Franny. - Nic tylko „p...” to „p...” tamto. Muszę ją dosłownie trzymać za buzię. Uczy się naturalnie od starszej siostry, która już dawno wyrosła ze słownictwa z kreskówki Disneya. Obawiam się, że Angelique zostanie zawodową kryminalistką. Jak ostatnim razem szła na imprezę, miała pod żakietem wypukłość, która okazała się zgrzewką piwa.

- Może być jeszcze gorzej - mówi True, wskazując głową na swoją wypukłość. - Jesteś pracownikiem socjalnym, kobieto, pomagasz innym w trudnych sytuacjach. I wychowałeś małą przestępczynię?

- Wiesz, szewc bez butów chodzi - mówi Franny. - Byłam za młoda, jak ją urodziłam. Staralam się być dla niej miła. Z MacClainey nie popełnię tego błędu, ani z następnym dzieckiem, gdybym je miała. Ty też uważaj. Ucz dziecko moresu od urodzenia...

Znajdują miejsce na ławce obok Genevry. True zaczyna rozmowę:

- Zawsze zostajesz na próbie?

- Tak. Mamy tylko jeden samochód - mówi Genevra. -

Mój mąż pracuje wieczorami w FedEx, więc mam czas. Zaofiarowałam się z pomocą, bo potrzebny jest ktoś za kulisami, kto by kierował dziećmi. A moje nie muszą wcześniej wstawać. Nasza gromadka uczy się w domu, więc nie ma dla nas znaczenia, kiedy zaczniemy.

- To się nazywa mieć szczęście - mówi Franny. - Ja każdego ranka muszę ściągać pannę MacClainey z łóżka, żeby zdążyła na autobus.

- Okropne - stwierdza Genevra. - Biedne dziecko. Nigdy się nie zastanawiałaś nad uczeniem dzieci w domu? A może... pracujesz? - Genevra wydyma lekko wargę.

- Pracuję - mówi Franny, zerkając na True. - Pomagam innym ludziom wychowywać dzieci. O ironio! Ale myślę też, że chyba oberwałaby ode mnie przez łeb, gdybym ją próbowała nauczyć geografii, a ona niegrzecznie by się odezwała.

- Ja wiem, że nie mogłabym uczyć Guya - wtrąca True. - Szczególnie w obecnym stanie.

- Tak, jest nieznośny - mówi Genevra, a True czuje, jak czerwienieją jej uszy. - Ale to naprawdę nic trudnego, jeśli tylko ma się trochę cierpliwości. Nie trzeba przechodzić żadnych testów ani niczego. Bierze się po prostu książki z rejonowego kuratorium i dba, żeby dzieci były mniej więcej na poziomie odpowiedniej klasy. Można uczyć dzieci tego, co w naszym mniemaniu powinny umieć, i nie uczyć tego, czego nie muszą wiedzieć. Rozumiecie, co mam na myśli? Conor jest naturalnie sporo do przodu. Musi - przy takiej liczbie występów.

- Ja też pracuję - mówi True. - Cały dzień. Nie uważasz, że dzieci mają... mniej

szacunku do własnych rodziców?

- Chyba nie - odpowiada Genevra, schylając się, by pomóc córeczce rozwinąć splątany kłębek wełny. - Myślę, że moje dzieci czują do mnie większy szacunek niż do kogokolwiek innego. I na tym cała rzecz polega. Ja też je szanuję. I świetnie się bawimy. Teraz przerabiamy rozdział o rdzennych Amerykanach, więc budujemy tipi... Mam nadzieję, że ładna pogoda utrzyma się jeszcze przez jakiś czas, żebyśmy mogli przespać się w nim choć jedną noc i coś ugotować... Niedługo będzie znacznie chłodniej, a ja jeszcze nie zrobiłam wszystkich sweterków dla dziewczynek.

- Zrobiłam? - pyta True.

- Tak, robię je co rok - mówi, śmiejąc się, Genevra. - Na maszynie, nie myślcie sobie. Nie jestem superkobietą.

Śmieją się wszystkie trzy - Franny i True trochę nerwowo.

- Robisz też rzeczy... nie tylko na własny użytek? - pyta True, dostrzegając w Genevrze potencjalną współpracowniczkę. Z pewnym wysiłkiem myśli o interesach, ale w ostatnim okresie wszystko sprawia jej wysiłek.

- Robię czasem rzeczy na bazy organizowane przez Kościół, i tak dalej. Sprzedałam też kilka par rękawiczek.

- Wiesz, że jestem właścicielką firmy, prawda? Potrzebowalibyśmy dziecięcych rękawiczek. Chciałabys o tym kiedyś porozmawiać? Zostawić ci moją wizytówkę?

- Spytałam męża - odpowiada Genevra z radosnym uśmiechem. - Przydałoby się trochę dodatkowych pieniędzy. No i moje małe rękawiczki powędrowałyby w świat... ale Cal powinien wyrazić zgodę.

- Może nie całkiem w świat... - mówi True.

- No, to w kraj. Robię rękawiczki z jednym palcem w kształcie różnych zwierzątek. Dziewczynkom bardziej się wtedy podobają, prawda, króliczki?

Trzy jasne główki wędrują najpierw w górę, potem w dół. Franny i True wstępują na herbatę do małego lokaliku obok teatru.

- Ona przypomina żonę ze Stepford\* - mówi True.

- Może jest po prostu kobietą starej daty - odpowiada Franny. - Ludzie są różni.

Całują się na pożegnanie.

- Masz już wyznaczoną dokładną datę? - pyta Franny.

- Żałuję, że to nie nastąpi natychmiast, tylko dopiero w lutym albo w marcu. Zależy, ile czasu minęło, zanim zrobiłam test. Lekarka mówi, że dość dużo już zyskałam na wadze...

- Może to płyny. Kostki masz bardzo spuchnięte... Nie bolą cię?

- W ogóle ich nie czuję. Mogę się jedynie cieszyć, że nie zarabiam jako barmanka pracująca topless.

- Nie jesteś podekscytowana tym wszystkim?

- Szczerze mówiąc, jestem trochę przestraszona. Bez Hanka. Wszystko jest wielkim znakiem zapytania. Bez Hanka.

- Esa i ja będziemy ci towarzyszyć przy porodzie. Musisz też wziąć kogoś do pomocy. Pielęgniarkę do dziecka. Nianię na pełny etat. A poza tym przecież on może wrócić.

- Esa bardzo mi pomaga. A ja staram się oszczędzać.

- Ale Esa ma mnóstwo zajęć. Uważaj, żeby się nie przegrzała. Z pewnością znajdziesz pieniądze na pomoc, choćby na kilka godzin dziennie.

- Mam nadzieję.

- Wozisz Guya na próby po całym dniu pracy. Nie możesz żyć na takich obrotach, True.

- Tak, lekarka powiedziała, żebym trochę przyhamowała. Mam za wysokie ciśnienie.

- Może dojść do zatrucia ciążowego.

- Nie strasz mnie! Czy to są te zaburzenia przemiany materii, kiedy trzeba natychmiast wydobyć dziecko, bo ciśnienie krwi matki...

- Tak. Ale nie trzeba od razu wydobywać dziecka. Mama na pewno musi zostać w szpitalu. I ma bóle głowy. Masz bóle głowy?

- Tak.

- Posłuchaj, True. Wybierz się do agencji niań... albo ja to zrobię! W twoim imieniu. Musisz koniecznie zwolnić tempo.

- Dobrze. Przyrzekam.

- I powiedz o tym wszystkim Hankowi. Na pewno zechce ci pomóc. Przynajmniej dziecku, jeśli już nie tobie.

- Ilekroć rozmawiamy, zaczynamy się kłócić. Pewnie przez to skacze mi ciśnienie.

- Zawsze ci przecież przez niego skakało ciśnienie, czyż nie tak, True?

Księgowy przyjdzie w poniedziałek. True nie ma czasu, by się do tego spotkania przygotować, biorąc pod uwagę nieobecność Hanka i wiele innych kłopotów. Powiedziała jednak Isabelle, że dobrze byłoby mieć pod ręką kardiologa, gdy ten facet się zjawi. Nie ma pojęcia, co będzie oznaczała wojna jako dodatek do poprzednich strat, ale boi się o niej nawet pomyśleć w aspekcie ekonomicznym. Zleciła pośrednicze szukanie domków letniskowych sprzedawanych po okazyjnych cenach i zdaje się, że ta już nawet coś znalazła w Harwichport. Domek jest jednak drogi - kosztuje ponad czterysta tysięcy, mimo że się targowała jak... Arab

na bazarze. Czuje się winna, gdy myśli o „Arabie”. Niektórych wyrażen ludzi już nigdy nie będą używać. True robi teraz dokładnie to, czego - jak sobie przysięgła - miała nigdy nie robić: sięga do pieniędzy odłożonych na wykształcenie Guya i do swojego funduszu emerytalnego, żeby zapłacić pensje, korzysta z zysków, żeby kupić zaopatrzenie tylko na dwa, trzy miesiące. Rozsądniejsza kobieta pogodziłaby się z okolicznościami i sprzedała dom, ale True nie może, nie chce uwierzyć, że sytuacja ekonomiczna nadal będzie się pogarszała i że zobaczy kolejki po chleb przed Danny's Galley. Jeśli nawet zdarzy się coś takiego, myśli True, że wszyscy będą jechać na tym samym wózku, wtedy i oni zlikwidują firmy i zaczną starać się o pracę. Guy będzie zarabiał, grając w spotach reklamujących pizzę. Ona ma dyplom nauczycielki, nawet już się dowiedziała, co będzie potrzebne, żeby aktualizować papiery. Przeniosą się do wspomnianego domku letniskowego, urodzi się dziecko, True będzie się cieszyła letnimi wakacjami.

Gdy zjawia się księgowy, pełen wigoru dokładnie w ten sposób co grabarz, True rozmyśla nad wystrojem wnętrza letniego domku - najlepsze byłyby biało-niebieskie paski - a nie nad rozłożonymi przed nią księgami, nie jest więc przygotowana. Gdy rozpoczynają rozmowę, True uświadamia sobie, że i tak nigdy nie byłaby przygotowana dostatecznie.

Jak najprędzej trzeba zorganizować spotkanie z Elizabeth. Ruszyć z nową firmą i czerpać z niej korzyści jak Jasio z zaczarowanej fasoli. Dwanaście Podarunków nadal otrzymuje mnóstwo nowych zamówień, jakby klienci, podobnie jak True, nie chcieli poddać się obłudowi przygnębienia kosztem dzieci z własnej rodziny. Nigdy też nie miała większych kłopotów niż teraz, gdy dwóch pakowaczy zostało powołanych do wojska, a dwóch innych nagle przypomniało sobie o konieczności zdobycia szkolnych dyplomów. Zatrudniła czterech pełnoetatowych pracowników, starszych mężczyzn na emeryturze. Nie potrzebują, nie muszą mieć ubezpieczenia zdrowotnego. Kathleen zarządza nimi z dużą werwą. True zdecydowała się też zatrudnić koleżankę Rudy'ego, która zajęłaby się prezentacjami, co do tej pory robiła Kathleen, gdy podczas wstępnej rozmowy okazało się, że dziewczyna jest znakomicie ubrana. A więc jeśli działać, to teraz.

Czyż w końcu to nie True mówiła gromadzie smutnych, pozbawionych nadziei kobiet: „Gdy nic się nie układa, więcej ryzykuj”? Wydaje się, że właśnie teraz, gdy świat chwieje się w posadach, mądrze jest - choć brzmi to paradoksalnie - robić rzeczy ryzykowne i szalone. Kraj True najpierw rzuca bomby, a potem w to samo miejsce paczki z lekarstwami i środkami opatrunkowymi. Kim jest True, żeby wykazywać więcej logiki i opanowania?

True wybrała się do Bella Madonna przy Wellfleet i kupiła sobie porządny strój ciężowy - elegancki, jasnokremowy wełniano-jedwabny kostium - na spotkanie z Elizabeth

podczas lunchu w Jedynej. True woli nie myśleć o bladym uśmiechu, który pojawi się na twarzy Elizabeth, gdy poprosi ją o pieniądze. Przed wyjściem z domu siedem razy idzie do toalety.

W ciągu kilku ostatnich dni True nie czuła się dobrze, i to Isabelle wozila Guya na lekcje śpiewu z Kitt oraz na codzienne próby. Mówiła przy tym True, że wcale jej to nie przeszkadza, bo ma przynajmniej okazję nadrobić zaległe lektury.

True wie, że macierzyński instynkt Esy, nie wobec dziecka, ale wobec niej i Guya, rozkwita najpełniej, gdy szefowa jest w uderzeniu. Esa zajmuje się teraz Guyem troskliwiej i czulej niż w czasach, gdy był mały. Często zostaje w ich domu na noc, upierając się, że Douglas i tak pracuje do późna, więc nawet nie zauważa jej nieobecności. Przy tym wszystkim, co True ma ostatnio na głowie, Esa jest prawdziwą pomocą, prawdziwym błogosławieństwem. Z podsłuchanych fragmentów rozmów True wie, że jeden z rzemieślników odnawia starodawne nosidełko dla dziecka. Wie także, że Esa i Rudy zlecili Genevrze Cahill, mamie „Olivera”, wykonanie białej pikowanej kołderki z szydełkowym wykończeniem. Choć True zdaje sobie sprawę, że ma to być niespodzianka, nie może się powstrzymać i nie zerknąć, gdy wpadając od czasu do czasu na próby, widzi Genevre zajęta robótką. Pewnego wieczoru, kiedy Esa nocuje u True - Douglas wyjechał na trzydniową konferencję - True komentuje wyrafinowane dzieło Genevry. - Ona jest jakaś dziwna - mówi Isabelle.

- Dlaczego?

- Patrzy tak jakoś... niesamowicie. A któregoś dnia powiedziała coś, co mnie śmiertelnie przstraszyło. Powiedziała, że może pastor miał racje, że Jezus Król...

- Chyba nie powiedziała: „Jezus Król”.

- Tak powiedziała. Jezus Król. Tak naturalnie, jak ty byś powiedziała Franny Van Nevel. No więc, że może Jezus Król naprawdę ukarał Stany Zjednoczone za to, że się odwróciły od jego nauk, i że to był początek kary boskiej dla wszystkich narodów.

- Co takiego?

- Myślałam, że złapię Guya za rękę i ucieknę. Ale w końcu spytałam: „Dlaczego tak myślisz? Masz takie udane dzieci. Dlaczego myślisz, że Bóg chciałby nas wszystkich ukarać?”

. - I co ona na to?

- Powiedziała: „Nas by nie ukarał”.

- Co, twoim zdaniem, miała na myśli?

- Moim zdaniem ona uważa, że jej rodziny Bóg by nie ukarał.



- Bo są prawymi ludźmi.

- A może myślała - mówi Isabelle, mnąc róg obszernej koszuli nocnej - że nie będą ukarani, bo wszyscy zostaną wzięci do nieba jak w Księdze Apokalipsy.

- Hmm.

- Jest opryskliwa w stosunku do Guya.

- Opryskliwa?

- Słyszałam, jak kiedyś powiedziała: „Oddaj kredki Conorowi. To jego kredki”. A Guy i tak nadal sobie rysował.

- To nic takiego - wzdycha True. - Zawsze się znajdzie jakaś matka, która nawraca dzieci na dobrą drogę i zachowuje się jak Duch Wigilijnej Przeszłości.

- Wcale mi się to nie podobało.

Isabelle nie jest nadwrażliwa. True jednak wie, że jest bardzo czujna. Gdy Isabelle położyła się spać, True zdała sobie sprawę, że jej także się to nie podoba. Guy zawsze był przyjacielski i dzielił się z innymi. Tylko raz sprawił Beatrice kłopot - zamiast słuchać tego, co mówiła, ćwiczył kopnięcia karate - ale to było dawno temu.

Przeglądając rano swoje długi i kredyty, True ponownie wraca myślą do Genewy. Skoro jest taka „dziwna”, może lepiej zapomnieć o rękawiczkach z jednym palcem w kształcie zwierzątek, chociaż wyroby, które Genevra jej pokazała, były rzeczywiście prześliczne.

Jutro spotka się z Hankiem, myśli. Jest bardzo zmęczona. Boli ją głowa. Ale wstaje i bierze prysznic, wyginając się na boki, żeby ogolić nogi i ułożyć włosy.

Nadal chce mu się podobać. Nadal go pragnie. I tyle.

True wygładza spódnice i poprawia starą złotą szpilkę pożyczoną od matki.

- Bardzo ładnie wyglądasz - mówi Kathleen. - Służbowo, ale niezbyt formalnie. Nie podlizuj się jej, True. Ona tylko na to czeka.

- Skąd wiesz, na co ona czeka? - pyta smętnie True. - Aaa, wiem, co masz na myśli. Sądzę, że powie: „Szukaj szczęścia gdzie indziej”.

- Na pewno spodziewa się, że poprosisz ją o pracę.

- A może powinnam poprosić ją o pracę.

- To nie byłby zły pomysł - mówi Kathleen w zamyśleniu. - W obecnej sytuacji.

- A co zrobimy z kilkoma tysiącami zamykanych na suwak nieprzemakalnych wiaderek? Z dzierganymi kapelusikami w krowy skaczące przez księżyc? Urządzimy wyprzedaż przed garażem?

- Dlaczego nie? Elizabeth tak właśnie robiła z zapasami. Pamiętasz? Kobiety gotowe

były koczować całą noc pod jej domem, żeby kupić lalkę za pół ceny.

- Nie chcę się pozbyć firmy, mamó.

- Nie jestem pewna, czy to kwestia chcenia, True. Musisz myśleć o Guyu. I o dziecku.

Wiem, że firma nie jest warta tyle... co kiedyś.

- Skąd to wiesz?

- Rudy.

- Zatrudniam największego plotkarza w Massachusetts. Mamó, błagam cię na kolanach - uklęknęłam, gdybym widziała własne kolana i gdybym nie miała na sobie jedynej porządnej pary rajstop - nikomu nie mów o wartości moich akcji ani o wartości niczyich akcji. Nie chcę, żeby się rozszedł zapach krwi.

- Nigdy bym tego nie zrobiła.

- Nawet Mary. Ani nawet Ellen. Nawet na spowiedzi. Nikomu.

- Nigdy bym tego nie zrobiła. Ja... powiedziałam tylko Kellenowi. Ojcu Isabelle. Ale on jest daleko, w Wisconsin.

- Och, wspaniale.

- On jest bardzo... On z nikim nie rozmawia, True. On mówi, że nasze e-mailowe rozmowy to prawie jedyne, jakie prowadzi, z wyjątkiem Esy i wymianą poglądów o pogodzie.

- A więc Esa wie.

- Ale od ciebie. Ona przecież prowadziła księgi, zanim przejęła je Vivien.

- Dobrze, dobrze. - True przelotnie całuje matkę w policzek. - Siedzmy cicho jak myszki i nie mówmy tego, o czym myślimy. A teraz życz mi szczęścia.

- Życzę ci. I nie zapomnij, po co tam idziesz, jak zobaczysz swojego byłego męża.

- On nie jest moim byłym mężem, mamó.

- W obliczu prawa - nie.

- Kocham Hankę. Nic na to nie poradzę.

- Doprawdy trudno to zrozumieć - mówi Kathleen. - Przykro mi to mówić, ale myślę, że słusznie postępujesz. On był niewiele wart.

- Proszę cię, mamó. Nie każ mi go bronić. Kathleen wzsusza ramionami.

Elizabeth, smuklejsza i bardziej elegancka niż kiedykolwiek, czeka na parkingu przed Jedyką. Hank przygotował kromki z krabów z małymi kiełbaskami i małymi grzankami, zupę z czarnej fasoli i sałatkę z homarem w malinowym winegrecie.

- Słyszałam o roli Guya. Od Beatrice - zaczyna Elizabeth.

- Mam nadzieję, że przyjdiesz go zobaczyć - mówi z uśmiechem True, gdy siadają do

stołu.

- Powinam. Dostatecznie dużo kosztowała mnie ta sopranistka. Będę na koncercie galowym.

- Nie wiedziałam, że wspierasz finansowo teatr.

- Nieustannie.

- To wspaniale, Elizabeth. Wiesz, że Beatrice potrafi dokonywać cudów swoim wigorem.

- Istotnie - przyznaje Elizabeth, chrupiąc grzanekę. - Znakomicie wyglądasz, True. Ładnie i młodo. Nie mogę powiedzieć, że jesteś „smukłą”, ale masz wysportowaną sylwetkę.

- Powinnaś zobaczyć mojego psa.

- To znaczy?

Pojawia się Tom z gorącym chlebem kukurydzianym. Nie mówi ani słowa.

- Nie bardzo mogę ćwiczyć, ale nie chcę być gruba jak szafa, więc chodzę z psem na spacer. Żaden pies na Cape Cod nie ma lepszej kondycji niż on.

- Czyli spacer służy wam obojgu. - Elizabeth nie wspomina o separacji Hanka i True.

- W każdym razie wyglądasz kwitnąco.

- Ty też, Elizabeth.

- Nie wyglądam młodo. Wyglądam na wypoczętą. I jestem wypoczęta, bo - niebawem o tym przeczytasz, jeśli czytasz gazety - sprzedałam Bohaterki Elizabeth.

- Sprzedałaś...?

- Tak. Firmie Short Stuff.

- Ale przecież... to było twoje dzieło, twoje dziecko. Elizabeth obrzuca True spojrzeniem, które sprawia, że ta

kurczy się jak Alicja pod grzybem.

- To nigdy nie było „moje dziecko”. Ale było to coś, co kochałam i doprowadziłam do takiego etapu, że może rozwijać się dalej bez mojego codziennego udziału. Pozostanę w zarządzie przez pewien, krótki, czas. Stefano będzie zarządzał firmą nieco dłużej. To trwało siedemnaście lat, True. Zdajesz sobie z tego sprawę? Nic już nie było dla mnie nowe, wyzwania się skończyły.

- Czyli jesteś na emeryturze?

- Najprostsza odpowiedź brzmi: tak. Ale i nie. Robimy z Rogerem to, co zawsze chcieliśmy robić. Podróżujemy. Pracujemy też z Beatrice nad pewną sprawą dotyczącą sztuki, która zmieni naszą społeczność, społeczność całego Cape Cod. Zespół powinien mieć swoją siedzibę, piękny teatr, jak to nazywam w swoich planach. Nie tylko dla dzieci. Ale są też inne

powody.

- Czyli będziesz zajęta.

- Będę zajęta. I będę zamożna. Ale muszę podchodzić do tego z większym dystansem. Jak wiesz, Short Stuff to ogromna firma. Pomijam to, że robią w okropnej branży. Teraz małe dziewczynki będą potrzebowały wzorców bardziej niż kiedykolwiek.

- Wojna.

- Powtórka z historii, na której przerabianie skazane jest każde pokolenie.

Tom w milczeniu podaje zupę, True czeka, aż Elizabeth zacznie jeść, ale ona prosi o butelkę szampana. Tom, niczym duch, pojawia się z butelką.

- Wznieśmy toast - proponuje Elizabeth.

- Za twoje nowe przedsięwzięcia?

- Za twoje. Za to oczywiście, o którym chcesz dziś ze mną rozmawiać. I za sukcesy uroczej restauracji twojego męża. I za to, żebyście się pogodzili, co, mam nadzieję, nastąpi.

- Wiesz o tym?

- O nowej firmie? Naturalnie. Rozumiem, że nie zaprosiłaś mnie tutaj, żebym jadła dobry lunch. Chcesz chyba porozmawiać o firmie dla studentów.

True wzdycha.

- Kto ci powiedział?

- Nie Rudy.

- Czy ściany mają uszy? - True kieruje pytanie do otaczającego ją powietrza.

- Dziwisz się?

- Nie. Czy ludzie mówią o mnie i o Hanku?

- Ludzie zawsze coś mówią.

- Nieprzyjemne rzeczy.

- Nie wierzę ludziom, True. Nie wiem, co zaszło między wami, ale wiem, że to nie było aż tak ważne, jak to, co was ze sobą złączyło.

True bierze głęboki oddech.

- No cóż... Czas pokaże. A więc, Elizabeth, najogólniej mówiąc, jestem przekonana, że ta firma, dla której napisałam już plan działania - True kładzie na stole między nimi czterostronicowy scenariusz w niebieskiej lśniącej okładce - ma ręce i nogi. Uważam, że moje pokolenie będzie wysyłało dzieci na studia częściej niż poprzednie pokolenia, a jednocześnie więcej dzieci wychowywało się w znacznie lepszych warunkach. I to będzie siła napędowa Pierwszego Roku Poza Domem. To pomysł Hanki i muszę przyznać, że jest genialny. W przeciwieństwie do pokolenia moich rodziców teraz wiele mam i babć będzie nadal pracować,

gdy ich dzieci i wnuki po raz pierwszy w życiu wyjadą z domu na dłużej.

Nie będą więc siedziały w kuchni i piekły ciastek, nie będą wysyłały paczek z ciepłymi skarpetkami i...

- Innymi słowy: Dwanaście Podarunków dla tych, którzy tymczasem urosli.

- Tak.

- Podoba mi się. To mi przypomina tego faceta, który zbił fortunę na wysyłaniu dzieciom tortów urodzinowych na uczelnie... Jak on się nazywał?

- Nie pamiętam - mówi True. - Ale wiem, o kim mówisz.

- Liczby też tu są?

- Tak.

- Dlaczego nie poszłaś do banku albo nie zastawiłaś domu...

- Zastawię dom tak czy owak.

- I mimo to postanowiłaś zwrócić się do mnie, chociaż musi cierpieć na tym twoja duma...?

- Chciałam to zrobić... po cichu. Sądziłam, że może zechcesz wejść w coś takiego.

- Istotnie, mogłabym chcieć wejść w coś takiego. Jestem pełna podziwu dla Dwunastu Podarunków.

- A więc jeśli przejrysz to i się zastanowisz... Proponuję wysoki procent za zwrot z inwestycji.

- Chciałabym mieć połowę.

- Pierwszego Roku Poza Domem?

- Dwunastu Podarunków.

- Nie!

Tom, widoczny w kuchennym okienku, mruga oczami. Stojący za nim Hank - Elizabeth nie może go zobaczyć - podrzyna sobie palcem gardło.

- Dlaczego nie?

- Bo to moja firma!

- To korzystne rozwiązanie. Twoja obecna firma byłaby bezpieczna. A nowa - narażona na mniejsze ryzyko.

- Odczułabym to... jak porażkę.

- Zastanów się.

- Dobrze - wzdycha True. - Elizabeth? - pyta cicho. - Czy ty mnie nienawidzisz?

True patrzy, jak Elizabeth opróżnia wysoki kieliszek z szampanem, i żałuje, że sama nie może wypić porządnego łyka. W końcu Elizabeth się uśmiecha.

- Oczywiście, że nie. Próbuję to zrozumieć... raczej podziwiam cię i dobrze ci życzę.  
Byłam rozczarowana, gdy...

- Gdy odeszłam? Gdy Rudy odszedł?

- Tak, faktycznie... Byłam wykończona. Naprawdę.

- Miałaś wielu kreatywnych ludzi. Stefano.

- Stefano to nie True Dickinson. Zresztą wiedziałam, że to się stanie. W chwili gdy zrozumiesz, jaka jesteś utalentowana. I gdy zdasz sobie sprawę, ilu rzeczy się nauczyłaś, pochlebiam sobie, ode mnie. Było mi jedynie przykro, że to musiało być kosztem śmierci twojego męża. Ale cóż, wszystko prowadziło do twojego obecnego partnera. - Elizabeth wykonuje upierścienioną dłonią gest obejmujący pomieszczenie. - A to z kolei, jeśli już nic innego, da ci udane dziecko.

- Tak. Cieszę się z tego. Jeśli już nic innego.

- Jest pracowity. Zaangażuje się w nowe przedsięwzięcie. Byłam tu kilkakrotnie.  
Bardzo miłe miejsce.

Tom przynosi tacę z deserami. True daje mu znak, że może odejść, ale Elizabeth go zatrzymuje. True otwiera usta ze zdumienia. Nigdy nie widziała, by Elizabeth Chilmark zjadła więcej niż jeden kęs czegokolwiek, co zawierało cukier albo czekoladę - nawet podczas urodzinowych uroczystości w biurze.

- Wezmę krem z bitą śmietaną - mówi Elizabeth.

- Hmm. Ja też. Dziękuję, Tom.

- Rozkoszujmy się deserem. Przekażę ci... tę kwotę i będę współwłaścicielką Dwunastu Podarunków. A w swoim czasie, być może, odkupisz ode mnie te pięćdziesiąt jeden procent.

- Czterdzieści dziewięć, Elizabeth. Nie możesz oczekiwać, żebym pozwoliła ci kontrolować firmę, którą stworzyłam ze wszystkich swoich pieniędzy.

- Naturalnie. Zgadzam się. Pozwolę ci odkupić tę część po cenach rynkowych obowiązujących w danym momencie.

- Myślałam, że powiesz nie. Zdecydowane nie. Nie sądziłam, że będziesz... Naprawdę nie chcesz zaangażować się w nowe przedsięwzięcie?

- Nie bardzo.

- Dlaczego?

- Mam tyle rzeczy na głowie. Ty lepiej sobie z tym poradzisz. Ty i Rudy tworzyście wspaniały zespół. Musisz przyznać.

- Rudy mnie opuści. Jak tylko sytuacja się uspokoi, przeniesie się do Kalifornii.

- Nonsens. Zawsze to powtarzał. Nigdzie nie pojedzie. Evie nie spuści go z oczu. Znam matkę Rudy'ego od lat. Wspomnisz moje słowa.

- Ta nasza umowa... jest dość skomplikowana. Muszę przedyskutować to z mężem.

- Nie jest chyba współwłaścicielem twojej firmy? Z pewnością zrobiłaś małżeńską umowę majątkową.

- Nie - wzdycha True. - Może powinnam była... zwłaszcza że obecna sytuacja...

- Musiałaś bardzo w niego wierzyć. Ale powinnaś taką umowę sporządzić. Zwłaszcza teraz.

- Roger ma prawo do połowy tego wszystkiego, co masz.

- Oczywiście, że nie. On ma swój majątek i ja swój.

- Myślę, że to rozsądne.

- Naturalnie. Ale też nie świadczy o wielkim zaufaniu. - Elizabeth wkłada do ust ostatnią łyżeczkę kremu. - Pyszny! Szkoda, że nie wzięłam dwóch porcji. Zjadłabym jak nie! Dokąd się teraz wybierasz?

- Skąd wiesz, że się gdzieś wybieram?

- Spoglądasz na zegarek.

- Rzeczywiście, muszę zdążyć na czas.

- Ale zanim pójdziemy... - Elizabeth otwiera portfel i kładzie na stole studolarowy banknot.

- To miał być nasz... - zaczyna True.

- Wiem o tym - odpowiada Elizabeth. - Pieniądze są dla Guya. Żeby uczcił fakt, że znowu ma oboje rodziców. - True czuje, jak łzy napływają jej do oczu. - Cokolwiek się stanie, Guy ma ojca.

- Ma ojca - przyznaje True z nadzieją, że Hank nie słyszy jej słów. - I to dobrego. Ale nie musisz tego robić, Elizabeth. Byłam wzruszona, gdy dostałam misę z delfinami na nasz ślub i lalkę, tę lalkę... Szkoda, że nie mogłaś przyjść na przyjęcie. Wszystko dzieje się w takim tempie. Dziękuję ci za ślubny prezent, będąc na skraju... rozvodu.

- Dostałam zaproszenie, ale nie czułam się dobrze. Potrafisz się... zachować, True. Twoja matka potrafi się zachować. - Elizabeth podnosi się z krzesła. - No cóż, partnerko. Wkrótce się zobaczymy. W biurze. Z papierami. Lepiej się teraz czujesz?

- O wiele. Nie możesz sobie wyobrazić, o ile lepiej. Elizabeth pochyła się i pospiesznie, jak błysk zapalanej zapalki, muska ustami policzek True.

- Miło mi, że się z tym do mnie zwróciłaś. To dowód zaufania. Adopcja, dziecko... to też dowody zaufania. I odwagi. Zawsze byłaś odważna. To bardzo istotne. Miej odwagę i

teraz, True. Rób, co uważasz za najlepsze, ale pamiętaj, że nie zawsze najlepsze jest to, co oczywiste.

- Postaram się.

- Twoje starania są zwykle udane - mówi Elizabeth, zmierzając ku drzwiom. Uśmiecha się szczerzej, idzie zwyczajnym krokiem niż kiedyś, w czasach, z których True ją pamięta. True jest zaskoczona. Tom i Hank wychodzą z kuchni i siadają obok niej.

- Oddałaś jej połowę interesu - mówi Hank.

- Musiałam - mówi True. - Ale odzyskam ją. Myślę, że ona chce, żebym pracowała, by ją odzyskać. Czuję, że tak to sobie zaplanowała. Nauczka. I trochę na tym zarobi, skoro ma powstać nowa firma.

- A nasza restauracja nie będzie następną w kolejce do bankructwa - mówi Tom. - Przekłęci poganiacze wielbłądów. Jakby nie dość było innych kłopotów...

- Nie ma tego złego. Jaka szkoda, że nie mogę się napić wspaniałego moet czy chandon. Pijcie za mnie, chłopcy! Opróżnijcie kieliszki. Znowu wyszliśmy na prostą. Czuję się jak wielka dama. True Dickinson - cała naprzód!

Hank obraca się na pięcie i idzie do kuchni, ściąga ze złością fartuch, omal nie urywając guzików. W sekundę później True słyszy, jak opony ciężarówki piszczą na żwirze.

- Dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś go miała w nosie? - pyta nagle Tom.

- Bo chcę, żeby myślał, że mam go w nosie - mówi z wściekłością True.

- Dlaczego? To go zabija.

- A mnie się wydaje, że jest w świetnej formie. Jestem pewna, że Adele też ma się znacznie lepiej.

- Mówi, że nie odpowiadasz na jego listy. Nie odpowiadasz na telefony. Jedyne, o czym chcesz z nim rozmawiać, to dziecko - ciągnie poważnie Tom.

- Listy? Jakie listy? „Przyjechać po Guya o czwartej?” Niezwykle interesujące.

- A czego się spodziewasz? Facet jest wykończony.

- Facet sam tego chciał - mówi True. - Nie twierzę, że nic ci do tego, Tom. Powinnam ci właściwie podziękować, że mi nie powiedziałeś, że widywał się z Adele za moimi plecami.

- Nie było o czym mówić. Nie sądziłem, by to miało jakiegokolwiek znaczenie. I nadal tak uważam, True.

- Dlatego ty i Hank tak dobrze się rozumiecie - mówi True, zbierając papiery. - Ale powiedz Adele, jak ją zobaczysz następnym razem, że chociaż bardzo mi przykro, musimy zrobić parę cięć i że nie będziemy więcej potrzebować jej książek. Może szukać szczęścia



gdzie indziej. I jeszcze raz dziękuję, że pomogliście mi być wypłacalną. W przyszłości zyska na tym i Hank.

True zmierza ku drzwiom.

Odwaga opuszcza ją w mgnieniu oka, siedzi na parkingu przed biurem prawnika, z którym się umówiła po drodze do domu. Słowa Elizabeth brzmią w jej uszach jak smętna melodia. True zbiera siły, pudruje się we wstecznym lusterku. Wchodzi i wita się z prawnikiem. Krótko i bez zażenowania opowiada, co się stało. Chce zmienić upoważnienie na matkę, chce, by prawnik przygotował porozumienie w sprawach finansowych dla Hanka, jak również zobowiązanie, że Hank nie będzie rościł pretensji do jej majątku sprzed małżeństwa.

- Nie muszę tego robić - mówi zagadkowo prawnik.

- Ale ja chcę, żeby pan to zrobił - wyjaśnia True. - Miał pan rację.

- Ale pani chyba nie ma racji. Pan Bannister był u mnie przed kilkoma dniami i prosił, żebym przygotował dokument zawierający rezygnację z jakichkolwiek żądań wobec pani majątku teraz i w przyszłości, oraz poinformował mnie o swoim pragnieniu partycypowania w kosztach utrzymania Guya Lemieux Bannistera i innych dzieci pochodzących z tego małżeństwa.

- Naprawdę? - pyta True.

- Proszę zobaczyć. - Prawnik podaje jej dokumenty.

True nie otwiera teczek, ale znowu musi posiedzieć dłuższą chwilę w samochodzie na parkingu przed biurem prawnika, zanim przestaną jej drżeć ręce, żeby mogła prowadzić auto. Hank to zrobił.

A co ona zrobiła?

Zbliża się Halloween. Próby przed występem odbywają się teraz każdego wieczoru, bo do premiery został tylko miesiąc. True jest wykończona. Chociaż Kathleen stara się, jak może, by przyuczyć nowych pracowników, nieustanne zmiany, utrata stałych członków zespołu, którzy poszli do wojska albo wrócili w rodzinne strony, są bardzo uciążliwe. Gdy zawozi Guya na próbę, częściej niż rzadziej, drzemie na krześle, zasłuchana w pięknej melodii, mając wrażenie, że z oddali dochodzi ją głos jej osobistego anielskiego chóru. Pewnego wieczoru drzwi są szeroko otwarte i True słyszy Kitt Reuter-Foss śpiewającą piosenkę Nancy As Long as He Needs Me. Nieco później, gdy Kitt wychodzi ubrana w zniszczony strój barmanki, w którym zresztą prześlicznie wygląda, True jest cała we łzach.

- Co się stało? - pyta Kitt.

- Nic - mówi True. - Nigdy w życiu nie słyszałam, by ktoś śpiewał tak pięknie. Pani musi być... Nie chodzę do opery... Ale pani musi być wielką gwiazdą. Nie wiedziałam, że...

- Proszę to powiedzieć mojemu agentowi. Jestem tylko służącą Madame Butterfly.

- Ale na Broadwayu z pewnością...

- Na Broadwayu jest jeszcze trudniej niż w operze. Guy ma przed sobą daleką drogę.

Tak jak i moje dziewczynki, moje córki.

- Ma pani dzieci?

- Dwie córki, nastolatki. Jedna jest jeszcze mała, druga kończy szkołę - ma naprawdę dobry głos...

- Pani jest za młoda na nastolatki.

- Ach, to smutna historia. Byłam niezamężną matką w szóstej klasie. - Kitt dotyka czoła wierzchem dłoni. - Proszę nikomu nie mówić o tej wstydlivej sprawie.

- O Boże - mówi True. - O mój Boże!

- No, nie! Uwierzyła mi pani? Nieprawda. Mam czterdzieści lat. Wyszłam za swoją sympatię z czasów studiów. Jest teraz w domu. Kieruje chórem kościelnym, miejskim, teatralnym i jeszcze jakimś. Ale porozmawiajmy o Guyu. Jeśli popracuje, może mieć piękny głos, ma dobre warunki sceniczne i potrafi grać. Jak wejdzie w okres dojrzewania... proszę uważać! W przeciwieństwie do niektórych...

- Do kogo?

- O Boże, mam za długi język. O, proszę zobaczyć. - Kitt otwiera usta. - Widzi pani? - Śpiewa wysokie „c”. Beatrice woła: „Moje panie!”

Ellery w przebraniu Fagina otwiera drzwi sali prób.

- True, kochanie. Dobrze ci się tu śpi? Przechodziłem tędy niedawno i słyszałem, jak cichutko chrapiesz, co, jak rozumiem, jest wynikiem twojego odmiennego stanu. Kitt, informuję z przykrością, że musisz się teraz dać zamordować...

- Sama nie wiem - mruczy True. Słyszy, jak Conor śpiewa rzewną Where Is Love?, i mówi do oddalającej się Kitt: - Da się pani zaprosić kogoś wieczoru na kolację? Nie do domu, na to nie ośmieliłabym się nikogo narazić, ale do restauracji mojego męża. Znakomite jedzenie, Cajun. Jestem pewna, że nas zaprosi.

- Ten facet o kuli to mążuś? - pyta Kitt.

- T... Tak.

- Zabrzmiało jakoś bez przekonania.

- Ach, nic takiego - zaczyna True, ale otwartość i spokój spojrzenia Kitt każe jej powiedzieć: - A właściwie coś. Jesteśmy w separacji. Co nie znaczy, że nie możemy iść do jego lokalu. Nadal jesteśmy przyjaciółmi.

- Mniam, mniam. Mam na myśli jedzenie, oczywiście. A nie tego faceta. Szkoda, że

macie kłopoty. Ale jak tylko zobaczy tego kogoś, kogo masz w brzuchu, wszystko samo się naprawi. Taką przynajmniej mam nadzieję. Naprawdę. - Kitt bierze True za rękę. - Może to głupie, ale będę się za ciebie modliła. To okropne być z dala od kogoś, kogo się kocha. No dobrze, muszę iść umrzeć. Przyjmuję zaproszenie. Od jakiegoś czasu żywię się samymi kluskami.

- Módl się.

True przeciąga się i szuka bardziej miękkiej kanapy. Weszło jej w nawyk, gdy przywozi Guya na próbę, uciąć sobie krótką drzemkę, nawet w taki wieczór jak ten, w sobotę, gdy Hank przyjedzie, by zabrać syna po długiej próbie, i przywiezie go tu na kolejny maraton następnego popołudnia. Tego wieczoru dochodzący z oddali dźwięk muzyki i dziecięcych głosików kołyszą ją do snu szczególnie rozkosznie. W półśnie widzi wychodzącą zza kulis Genevre, za nią pokazuje się jedna z jasnowłosych główek.

- Och, Genevro! - woła True. - Dzięki, że przysłałaś mi rękawiczki do obejrzenia, i przepraszam, że jeszcze ci nie odpowiedziałam.

- Nic nie szkodzi - odpowiada Genevra. - Przykro mi, ale mąż uważa, że powinniśmy teraz skoncentrować się na pracy charytatywnej. Na robieniu ciepłych rzeczy dla wdów i sierot tu i za granicą, dla naszych misji. Wiesz, że nasze misje są nawet w Iranie? Nie będę więc miała czasu. Ale bardzo ci dziękuję.

- W porządku - mówi True. - Rozumiem.

Sama też wysłała pieniądze do Czerwonego Krzyża, ale osobisty wkład to coś więcej.

Tak czy owak, True jest zadowolona, że Genevra nie zdecydowała się na robienie rękawiczek. To znaczy, że jej mąż się nie zdecydował. Franny ma racje. Genevra przypomina „żonę ze Stepford”. Genevra odwraca się nagle i mówi:

- True, muszę ci coś powiedzieć. Nakrzyczałam dziś na Guya. Bo on... obawiam się, że przestraszył niektóre z dzieci.

- Naprawdę? Mam nadzieję, że pomogło, jak mu zwróciłaś uwagę...

- Rysował pornograficzne obrazki. Ołówkiem Cona.

- Proszę? Jakie pornograficzne obrazki?

- Rysował... Sam niech ci powie. I straszył Conora, że go uderzy, jak ten komuś wygada. Powiedziałam, że nie będzie żadnego bicia. Guy opowiadał jakieś historie, że Conor go ugryzł, ale Conor nigdy nikogo ani nie uderzył, ani nie ugryzł, nawet swoich małych siostrzyczek. Dzięki Bogu. Nie pozwalamy na przemoc. Nie mamy nawet telewizji.

- Porozmawiam z nim. Dziękuję, Genevro. Jestem pewna, że Guy nie miał na myśli nic złego. Wiesz, ma dziesięć lat. Chłopcy w tym wieku bywają wulgarni, ale dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. Trochę nam się tu wymykają spod kontroli. Conor jednak nie jest przyzwyczajony do tego rodzaju przepychanek.

- Rozumiem.

Gdy Genevra odchodzi, True kładzie się z powrotem na kanapce i natychmiast zasypia. Nagle czuje, że Guy szarpie ją za ramię.

- Mamo! Mamo! - True siada. Oczy Guya są opuchnięte i zaczerwienione.

- Mówiłam ci, żebyś używał specjalnego kremu do zmywania twarzy, Guy. A tak wystarczy chwila i znowu masz zaczerwienione oczy...

- Użyłem kremu.

- To co się stało? Uczulenie na kurz? Musimy zrobić ci testy...

- Mamo, wyjdźmy stąd natychmiast. Wrócimy, jak tata przyjedzie i jak wszyscy stąd wyjdą. On zaczeka.

- Oczywiście, że zaczeka. Ale co się stało, Guy?

- Chodźmy, mamo, proszę.

Wychodzą na ulicę oświetloną jedynie światłem dochodzącym z Espresso Yourself, herbaciarni w sąsiednim budynku, gdzie studenci uczą się do późnych godzin.

- Napijmy się herbaty - mówi Guy.

- Ziołowej. Albo nie. Musisz zaraz iść spać. I żadnego oglądania filmów z tatą.

- To może gorącej czekolady. Ona pomaga zasnąć.

- No, ten jeden raz...

Wchodzą do parnej, pachnącej, rojnej herbaciarni. Zanim zdążyli usiąść, Guy ciągnie True za rękaw.

- Mamo, ja się jej boję. Nie robiłem przecież nic złego.

- Kogo się boisz? Aaa, wiem. Pani Cahill. Opowiedziała mi o wszystkim.

Guy zostawia bitą śmietanę i patrzy na nią.

- Powiedziała ci?

- Powiedziała. I proszę, żebyś więcej nie rysował brzydkich obrazków.

- To były tylko jądra, mamo. Jest taki bohater kreskówek, którego z Kevinem nazywaliśmy „Wielkie Jądro”. Nikomu to nie szkodziło. Ale wtedy Conor podszedł i powiedział, że naskarzy Beatrice, a ja powiedziałem: „Ani się waż, bo Beatrice mnie skrzyczy”, i złapałem go za rękę, to on mnie ugryzł.

Guy wyciąga rękę i pokazuje czerwoną pręgę z widocznym śladem rzędu małych ząbków.

- Tego już za wiele.

- Dlatego chcę zrezygnować.

- Zrezygnować? Zrezygnować z przedstawienia?

- Tak. Ona działa mi na nerwy. Ona mówi, że pójdę do piekła, mamusiu.

- Proszę?

- Ona mówi, że pójdę do piekła, jak cały ten kraj wyleci w powietrze. - Guy płacze coraz mocniej i True wie, że nie z powodu ugryzienia. Pociąga łyk zielonej herbaty, parząc sobie język. - A ona mówi... Tylko przyrzeknij, że nikomu nie powiesz...

- Co mówi, Guy?

- Najpierw mi przyrzeknij.

- Nie przyrzeknę.

- Przyrzeknij. Przyrzeknij, że jej nie powiesz, że ci powiedziałem. Bo ona powiedziała, że jak ci powiem, to będę wstrętnym skarżypytą.

- Chwileczkę, Guy. Ty i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, tak? Mówimy sobie wszystko. Pamiętasz, jak to było, gdy nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego i kolano taty, kolano Hanka tak bardzo ucierpiało? - Guy kiwa głową. - To była prawdziwa nauczka. Więc cokolwiek ktoś ci mówi - nie chodzi o brzydkie kawały, które ci opowiada Brendan albo Finn, tylko o ważniejsze rzeczy, które tak cię przerażają, że chcesz się wycofać z udziału w przedstawieniu, o którym marzyłeś i nad którym pracujesz od dwóch miesięcy - to musisz mi to powiedzieć, cokolwiek to jest. - Guy szlocha głośno, studenci oglądają się i patrzą na niego. - Wyjdźmy na zewnątrz - proponuje True.

- Ona powiedziała...

- Powiedziała...

- Powiedziała, że jestem zepsutym bogatym bachorem i że ona się założy, że mam w domu własny komputer, a ja jej powiedziałem, że bawię się na twoim biurowym komputerze, to ona spytała Kevina, po co jemu komputer, a on powiedział, że potrzebny mu do szkoły, a ona powiedziała, że wszyscy jesteśmy bogatymi zepsutymi bachorami, a potem powiedziała... bo ja im powiedziałem, że tata mnie adoptował, mówiłem to Kevinowi, a ona powiedziała...

- Co, Guy? Co powiedziała?

- Ona powiedziała: „Wiesz, dlaczego przystojni młodzi mężczyźni, jak twój, tak zwany, tata, żenią się z grubymi starymi kobietami, jak twoja mama? Dla pieniędzy”. I powiedziała, że wszystkie dzieci i ich mamusie, i tatusiowie tak mówią. I że dlatego on cię zostawił. Bo jesteś stara i gruba. I że True straciła swojego żylaka czy jakoś tak...

- Żigolaka?

- Tak. I że tata wcale mnie nie kocha i że teraz, jak cię zostawił, to o mnie zapomni i

ucieknie z ładną dziewczyną w swoim wieku. A ja powiedziałem, żeby nie mówiła takich rzeczy, bo mój tata kocha moją mamę, są przyjaciółmi, ale mają teraz pewien problem, a ona powiedziała, że tylko tak mi się zdaje...

True puszcza się prawie biegiem, Guy pędzi za nią, błagając, by nie wracała do teatru. Przy drzwiach prowadzących za kulisy stoi Conor i liże lizaka, tak blady, bez mała przezroczysty, że naprawdę wygląda na niedożywionego bohatera, którego gra.

- Gdzie twoja mama? - pyta True.

- Nie wiem - mówi chłopiec i wskazując na Guya, dodaje: - On rysował brzydkie obrazki.

- A ty go ugryzłeś. Żebyś więcej niczego podobnego nie zrobił mojemu synowi, słyszysz? Bo pozwolę mu także ugryźć ciebie. A on ma zęby jak pirania.

- Nie, mamusiu, proszę - błaga Guy, na granicy prawdziwej hysterii.

- Gdzie jest twoja mama? Lata na miotle nad dachami? Conor wzrusza ramionami i pokazuje na przepierzenie

kulis. True myśli, że gdyby mogła teraz zobaczyć samą siebie, zobaczyłaby twarz o skórze napiętej jak plastikowa folia, jak maska, i aż się dziwi, że wahadłowe drzwi, które popycha z furją, nie wylatują z zawiasów.

- Genevra?! - woła True w mrok. - Beatrice? Genevra? Beatrice i Genevra wraz z kilkoma innymi matkami przyglądają się liście wiszącej na clipboardzie.

- Właśnie się zastanawiamy, co kto przyniesie na galowy poczęstunek - mówi Beatrice.

Spokojnie, żeby nie przestraszyć Beatrice, True mówi:

- Genevro, proszę, żebyś nigdy więcej nie rozmawiała z moim synem. - Patrzy z satysfakcją, jak bladość rozlewa się po twarzy Genevry niczym plama mleka. - Rozumiesz? Jeśli masz cokolwiek do powiedzenia na temat mojej rodziny, mojego osobistego życia albo naszych kłopotów, zwróć się z tym do mnie. Słyszysz, co mówię? A nie do dziesięcioletniego dziecka, które jest z twojego powodu tak przerażone, że chce zrezygnować z udziału w przedstawieniu.

- Zrezygnować z udziału w przedstawieniu - powtarza zdziwiona Beatrice. - Z jakiego powodu?

- Z jej powodu! - krzyczy True. - Powiedziała mojemu synowi, że jego ojciec ożenił się ze mną dla pieniędzy, wyobrażasz sobie? Straszyla mojego syna piekłem. Powiedziała mu, że będzie złym chłopcem, jeśli mi to powtórzy.

- On jest wstrętnym małym kłamczuchem - mówi Genevra. Jej mąż wyłania się z

cienia z kurtką Conora w dłoniach. Bierze True za ramię.

- Moja żona powiedziała prawdę. Ja też to zauważyłem. Guy jest trudnym chłopcem. A ja nie chcę, żeby moja żona się denerwowała - mówi surowym tonem. - Pani chłopiec ma skłonność do stwarzania problemów... - Mężczyzna unosi dłoń jak policjant z drogówki. - Powinna się pani uspokoić i rozmawiać jak kulturalna osoba.

- Proszę zdjąć rękę z mojego ramienia, bo jak nie, to kopnę pana w tyłek - mówi True. - Może będzie mi trudno to zrobić, ale spróbuję. Jestem silniejsza, niż pan myśli, chociaż jestem grubą, starą i opuszczoną kobietą w ciąży. Czy pańska żona powiedziała panu, co naopowiadała mojemu synowi?

- Musiała dać mu reprimendę. Brakuje dyscypliny między tymi małymi dzikusami - odpowiada ojciec Conora. - Con zwykł przebywać w uprzejmym i serdecznym otoczeniu, a nie w zoo!

- Chwileczkę! - przerywa mu Beatrice. - Nigdy nikogo nie prosiłam, żeby zaprowadzał dyscyplinę wśród dzieci. Ja tu jestem od tego. I nigdy...

- Potem będzie rozpałał ogień i kradł dziewczynkom majtki. O tak, Guy, wszyscy wiemy, jak bawisz się zapalniczkami i chowasz innym majtki - mówi Genevra, a Guy chowa się za matkę.

- Ty obłudna klempo! - woła True. - Daj mu święty spokój! Beatrice, wiesz, jak cię podziwiam, ale nie pozwolę dręczyć mojego syna. Wiem, o co chodzi z ogniem. Zapalił zapalniczkę do świec. Raz. Więc trzeba dzwonić po straż pożarną! - Tym razem łyzy nie przyniosą True ulgi. Jest tak wściekła, że nie zastanawia się nawet nad tym, że naraża nienarodzone dziecko na okropne hałasy, że dziecko nabawi się kolki i będzie musiało przejść odpowiednie leczenie zaraz po urodzeniu. - Jeśli jest tak, jak ona twierdzi, jeśli ludzie mówią na mój temat takie rzeczy, to nie chcę, żeby mój syn był częścią tego wszystkiego! Gdyby Hank był tutaj, myślałby tak samo.

- Proszę zostawić moją żonę w spokoju - mówi ojciec Conora z piersią przy twarzy True. - Pieniądze nie dają pani prawa, by opowiadać o niej nonsensy! - Robi jeszcze jeden krok w stronę True, ale waha się, cofa. True jest ciekawa, czy to jej obnażone zęby tak go przestraszyły, gdy kątem oka dostrzega, że za nią stoi Hank.

Guy podbiega do niego, obejmuje go, chowa twarz pod skórzaną kurtkę Hanka.

- Tatusiu, oni powiedzieli mamie...

- Słyszałem - mówi cicho Hank. - Byłem w holu i wszystko słyszałem. - Patrzy ojcu Conora prosto w twarz. - Tam, skąd pochodzę, mężczyzna nie zwraca się w ten sposób ani do ciężarnej kobiety, ani do dziecka. Zachowuj się, bracie. Niech moje kule cię nie zwiódą.

- True, kochanie, to wszystko jest bez sensu - mówi Beatrice. - Genevro, porozmawiajmy spokojnie.

- Porozmawiajcie o tym same, ja wychodzę - mówi True, ujmując Hankę pod ramię i zapominając, że nie ma do tego prawa.

- Nie dostałby żadnej roli, gdyby mamusia nie zapłaciła! - woła za nimi Genevra, gdy zmierzają ku wyjściu, a True otwiera przed Hankiem drzwi. - Wszyscy to wiedzą. On nie umie śpiewać. Ani tańczyć. Jest po prostu śmieszny.

- Genevro! - woła przerażona i zszokowana Beatrice.

Ale oni są już za drzwiami. True i Guy płaczą, zataczają się, wyglądają jak dwójka pijanych clownów. Wychodzą na ulicę. Nareszcie.

- To ona jest śmieszna, Gee - mówi True. - Jest wstrętną kłamczuchą. Wiesz, że jesteś utalentowany. I masz najpiękniejszy uśmiech na świecie. Wiesz o tym.

- Chciałem być Przebiegłym Spryciarzem. Tak się dobrze bawiłem - mówi Guy, ocierając oczy.

- I będziesz - mówi Hank. - A teraz uspokój się. Nie pozwól, żeby jej słowa miały na ciebie aż taki wpływ. Ty też się uspokój, True, bo nie będziesz mogła prowadzić.

- Możemy włączyć radio w samochodzie? - pyta Guy.

- Tak - odpowiada Hank i zwraca się do True: - Dasz sobie radę?

- Tak - mówi True, gdy Cahillowie przechodzą obok, patrząc przed siebie i uśmiechając się w sposób, który wydaje się żywcem wzięty z Księgi Apokalipsy. - Tak, dam sobie radę. Dziękuję, Hank. Potrafisz zjawić się we właściwym miejscu we właściwym czasie, prawda? Koniecznie porozmawiaj z Guyem - radzi, gdy w samochodzie rozbrzmiewają ogłuszające idiotyczne piosenki o przygotowaniach do miłości, która ma trwać całą noc.

True ma wrażenie, że jest zamknięta w szklanej klatce, że świat obok niej obraca się jak dekoracja. Pragnie jedynie zobaczyć ścieżkę przed własnym domem i własne łóżko. Odjeżdżając, opuszcza szybę i woła:

- Myślałam, że stracę panowanie nad sobą. Myślałam, że naprawdę mu przyłożę.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem, True. Co gorsza, podejrzewam, że on by ci oddał, doprowadzając cię do... - Hank przesuwając palcem po gardle. - Ty wariatko! Nie słyszałem wszystkiego, co ona mówiła, kochanie - ciągnie Hank - ale wiedziałem, że coś złego, słysząc twoje wściekłe krzyki.

- Ty też byś krzyczał. Oskarżyła Guya, że chciał uderzyć jej syna, podczas gdy w rzeczywistości to Conor ugryzł Guya - powinien dostawać szczepionkę przeciw wściekliźnie.



Mówiła też... o tłustej starej babie, mając na myśli mnie.

- Więc poróżniłaś się z jakąś szaloną mamusią, która ci zwyczajnie zazdrości?

- Zazdrości?

- Firmy. Domu. Dobrego życia. Twojego dziecka. Naszego dziecka. Bo pewnie jej mały jest zepsutym bękartem. Gada o tym, co ją boli.

- A moja uroda? Myślisz, że i urody mi zazdrości? I tego, że jestem samotną czterdziestotrzyletnią matką?

- Pewnie tak.

- Jesteś największym wazeliniarzem w mieście.

- Jestem bohaterem wieczoru. Podoba mi się to. Lubię, jak mamy okazję pogadać.

Choćby w sytuacji kryzysowej. Brakuje mi twojej przyjaźni.

- Hmmmm.

Znowu to samo. Najpierw dobrze mu idzie, a potem nagle mówi coś zupełnie niestosownego.

Hank podjeżdża bliżej. Prawie mogą się dotknąć. Hank mówi:

- Tak naprawdę chciałem powiedzieć, że stałem tam w holu, żeby cię posłuchać.

- To znaczy?

- Przypomniało mi się nasze pierwsze spotkanie. Nocą, kiedy utknęłyście w śniegu...

- No i?

- I przypomniałem sobie twoją twarz, gdy brnęłaś pod górę. I to, dlaczego się w tobie zakochałem właśnie w tamtym momencie, gdy byłaś mokra i brudna, i umazana krwią.

- Dlaczego?

- Bo myślałem, że jesteś najdzielniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Naprawdę?

- Tak - mówi Hank uprzejmie. - Dzisiaj też tak było. Tak jak wtedy. Może potrzebowałaś mnie tamtej nocy, ale myślę, że i sama dałabyś sobie radę. Nie pozwoliłabyś Esie umrzeć. Z pewnością dałabyś sobie radę i dziś. Jesteś wojownicza, True. To pewnego rodzaju pociecha wobec naszej sytuacji... wiedzieć, że mnie nie potrzebujesz. A wtedy myślałem, że nie czułaś się pewnie. Podejrzewam, że jedynym powodem, dla którego nie czułaś się pewnie, byłem ja.

Ależ potrzebuję cię, chce powiedzieć True, uśmiechając się krzywo do Hanka i pokazując Guyowi uniesiony w górę kciuk, gdy zamyka szybę. Potrzebuję cię i chcę, żebyś wrócił do domu. Zrób coś, cokolwiek, żebyś odważyła ci się to powiedzieć. Już zamierza otworzyć usta, gdy Hank mówi:

- Wiesz co, True. Nie chcę, żebyś dowiedziała się tego od kogoś innego. Sam ci powiem. Adele mieszka u mnie kilka dni w tygodniu. Wyłącznie na przyjacielskich zasadach. Ona nie jest taka jak ty. Jest kompletnie zagubiona, boi się spać przy zgaszonym świetle. Myślę, że pomaga jej czyjaś obecność. W ciągu dnia ma u mnie dobre oświetlenie do rysowania. Ale nie martw się, przy Guyu nigdy jej nie ma. W weekendy mieszka z nią przyjaciółka, która ma zajęcia na Harvardzie. Znając twój stosunek do mnie, rozumiem, że ci to nie przeszkadza.

„Wojownicza”, myśli True, skręcając ostro w Queen Anne Road i dając upust łzom. „Nie przeszkadza”. Jak on może myśleć w ten sposób? Oczywiście, oczywiście, może, ale dlaczego? To przedziwne. Najpierw oberwać za słabość... potem za siłę. Od tego samego mężczyzny, który - jak jej się kiedyś wydawało - nie może jej nie rozumieć.

Tej nocy w jej śnie orlica matka rozpościera nad nią swe potężne skrzydła.

Następnego dnia Beatrice dzwoni do niej w porze, która zgodnie z panującym na Cape Cod obyczajem uznawana jest za pierwszy dopuszczalny moment na niepokojenie kogoś telefonem, czyli o wpół do dziewiątej rano.

- True, kochanie, muszę porozmawiać z tobą o wczorajszym wieczorze.

- Beatrice, wstydzę się za siebie.

True postanowiła nie wstawać z łóżka przez cały dzień. Wtuliła się w poduszkę i zakryła kołdrą aż po czubek nosa.

- Nie masz się czego wstydzić. Zachowanie tej kobiety było skandaliczne.

- Wyznaje inne wartości.

- Ale nie ma prawa narzucać tych wartości innym. Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nie upoważniłam nikogo do dyscyplinowania naszych dzieci. Tylko ja i Laura możemy zwrócić dziecku uwagę, jeśli nie zachowuje się tak, jak trzeba...

- Czy Guy nie zachowuje się tak, jak trzeba?

- Guy i Kevin rysowali brzydkie obrazki. Laura powiedziała Guyowi, żeby przestał, i Guy przestał. Powiedział „przepraszam” i je wyrzucił. Nie zrobił nic takiego, czego nie mogłoby zrobić dziesięcioletnie dziecko. Więcej do tego nie wracaliśmy. Natomiast mały Conor... już wcześniej ugryzł dwie osoby i uszczypnął jedną z tancerek w nogę... - Wstrętny mały aligator, myśli True. - Musisz też wiedzieć, że powiedzieliśmy Genevrze, żeby nie wchodziła za kulisy do końca przygotowań do przedstawienia. To ona straszy dzieci, a nie Guy.

- W porządku. Nie chciałabym, Beatrice, żebyś myślała, że to ja jestem powodem tego wszystkiego. Czy wiesz, że Hank i ja...

- Kochanie, każdy, kto widzi ciebie i twojego uroczego męża razem albo kto widzi go z Guyem, wie, że tworzycie kochającą się rodzinę. Niezależnie od tego, co się teraz dzieje.

- Nie, Beatrice. To znaczy tak. Rzeczywiście wszyscy się kochamy, ale ja i Hank rozstaliśmy się. To najsmutniejsza rzecz na świecie. Ale część tego, co ona powiedziała, jest prawdą.

- To była złośliwość - stwierdza Beatrice. - A więc coś, co nie mogło być prawdziwe. Nawet jeśli w jej słowach znalazło się ziarno prawdy, to nie chcę o tym wiedzieć ani się tym zajmować. Nigdy nie słyszałam, by ktokolwiek inny mówił podobne rzeczy. Ale i tak musiało cię to bardzo zboleć.

- Nie - mówi True. - Staralam się to zignorować. - True oddycha głęboko. - Tak, bardzo mnie zabolalo. Poczulam się jeszcze bardziej zagubiona i bardziej niż kiedykolwiek odczulam, że jestem obiektem kpin.

- True, kochanie, musisz mi obiecać, że zrobisz dokładnie to, co powiedziałaś najpierw. Zignorujesz te słowa, będziesz się starała postępować po swojemu i że absolutnie, w żadnym razie, nie będziesz chciała, żeby Guy zrezygnował z udziału w przedstawieniu.

- Zgoda.

- I ostatnia rzecz, True. Chcę, żebyś przyrzekła mi coś jeszcze. Zrobisz to dla mnie?

- Tak, Beatrice. Naturalnie.

- Przyrzeknij mi, iż powiesz Guyowi, że ma on o wiele więcej talentu niż jego mama pieniędzy. Powiedz mu to dokładnie tymi słowami.

- To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jaką kiedykolwiek słyszałam - mówi True, siadając na łóżku. - Dziękuję, Beatrice.

- Taka jest prawda.

True, pokrzepiona na duchu, wstaje i na moment zapomina o miejscu na łóżku obok niej. Dom jest pogrążony w porannej ciszy, Gyp delikatnie pcha nos pod jej rękę. Porozmawiam z nim, myśli True, w końcu nie ma znaczenia, kto się myli, a kto nie, on nie chciał mnie zranić. Jest tym wszystkim skołowany, ale nie chciał mnie zranić. True przewraca w rzeczach na biurku Guya, znajduje numer telefonu Hanka. Wybiera numer. Przy czwartym dzwonku słyszy: „Jeśli chcesz zostawić wiadomość dla Hanka, Adele albo Guya, mów po sygnale”.

Nie marnuje czasu. Niczego mi nie oszczędza.

True za skarby świata nie zostawi wiadomości po sygnale.

Isabelle przynosi gazetę z wielkim czarnym nagłówkiem: „Mamie Olivera dziękujemy!” To tylko miejscowy „Herald”, ale w pierwszym akapicie jest napisane: „Matkę

młodego aktora grającego główną rolę w przygotowywanym przez Teatr Rodzinny przedstawieniu Oliver! poproszono, by zaniechała dobrowolnego opiekowania się dziećmi za kulisami, rzekomo wskutek zastrzeżeń innych rodziców związanych z podejmowanymi przez nią próbami przeciwdziałania aktom przemocy. «Starsze dzieci dokuczały mojemu synowi - powiedziała we wtorek Genevra Cahill z Hyannis. - Naturalnie, starałam się go bronić. Jest najmłodszy w zespole. Ma dopiero siedem lat, ale jego doświadczenie w pracy aktorskiej znacznie przekracza doświadczenie pozostałych dzieci, dla których aktorstwo to tylko hobby. Dla Conora to dar od Boga, jego przyszły zawód»,.

„Conor Cahill - pisze dalej «Herald» - gra nie pierwszy raz. Występował w filmie The Summer Lads, opowiadającym

o Chatham Athletics i nakręconym przed tragiczną śmiercią T. J. Karavosa, oraz w kilku reklamach restauracji Friendly's. «Starsze dzieci są wobec nas agresywne - powiedział»Heraldowi» Conor - a ich mamy były agresywne wobec mojej mamy”.

„Przewodnicząca Zarządu Teatru, Hilary Robin, powiedziała «Heraldowi»: «Mieliśmy kłopoty i z niektórymi rodzicami, i z niektórymi dziećmi. Rozwiązujemy te problemy, przedstawiając listę wskazówek, dzięki którym rodzice i młodzi aktorzy mogą dokładnie zrozumieć, jakie zobowiązania czasowe i jakie zasady postępowania obowiązują osoby biorące udział w naszym przedstawieniu. Surowo przestrzegamy tych reguł i zarówno od dzieci, jak i od dorosłych wymagamy profesjonalnego zachowania»,.

„Genevra Cahill mówi, że jej syn nie będzie więcej współpracował z Teatrem Rodzinnym. «Jesteśmy rodziną chrześcijańską i mieliśmy wiele wątpliwości, czy Conor powinien brać udział w sztuce, w której jest tak wiele przemocy - powiedziała pani Cahill, odnosząc się do scen musicalu, który zostanie zaprezentowany na deskach Opery Bostońskiej oraz w Radio City w okresie Bożego Narodzenia i w którym Nancy, grana przez znaną wokalistkę Kitt Reuter-Foss, jest brutalnie bita przez swego kochanka Billa Sykesa - ale, co ważniejsze, byliśmy wstrząśnięci i zasmuceni, gdy przekonaliśmy się, że w teatrze bogatsi i bardziej wpływowi rodzice są traktowani na specjalnych zasadach»,.

True rzuca gazetę.

- Cudownie - mówi. - Guy będzie się czuł jak wyrzutek społeczeństwa.

- Napisz list do redakcji - sugeruje ze złością Rudy. - Nie powinnaś im popuścić, True.

Nie zrobiłaś nic złego.

- Jak widać, zrobiłam - przyznaje True. - Obraziłam ją...

i przegrałam.

- Ale ten mały pętał ugryzł Guya - ciągnie Rudy. - Zróbmy zdjęcie ręki Guya i

wyślijmy do „Heralda”.

- Lepiej o tym zapomnijmy. Całe szczęście, że nie wymienili ani mojego nazwiska, ani nazwy mojej firmy. Mogli napisać: „Syn właścicielki firmy produkującej rzeczy dla niemowląt molestuje małego chrześcijanina”. Dajmy temu spokój.

Dziecko kopie, naprawdę kopie - tym razem to z pewnością nie ruchy robaczkowe jelit - jakby chciało przypomnieć True, że są rzeczy ważniejsze niż artykuły w prasie.

Jeszcze przed końcem tygodnia Conor Cahill zrezygnował z udziału w przedstawieniu i Beatrice w pośpiechu szuka zastępcy. „Herald” publikuje kolejny artykuł, w którym cytowana jest wypowiedź Genevry, że „sumienie jej nie pozwala”, by syn przebywał w tak niebezpiecznym otoczeniu bez „jej osobistego nadzoru”.

Guy wraca ze szkoły w fatalnym nastroju. Nie musiał nawet zaglądać do gazety. Wszyscy już o wszystkim wiedzą i bawią się w zgadywanki, czyja mama została opisana w gazecie.

Przed każdą próbą w następane dni Guy uskarża się na ból brzucha.

- To nerwy - tłumaczy mu True. - Jesteś podenerwowany. Kto może cię winić za to, co powiedziała ta niedobra pani? Że tata odszedł? I tak dalej. Wszyscy są zdenerwowani. Nie martw się, Gee.

- Czy my nie jesteśmy chrześcijanami? - pyta pewnego ranka przy śniadaniu. Pod oczami ma niebieskie półksiężycy.

- Oczywiście, że jesteśmy - mówi zdecydowanie Kathleen.

- Ale nie takimi dobrymi - stwierdza Guy.

- W oczach Boga wszyscy są dobrzy - mówi Kathleen.

- Nawet terroryści?

- O to musisz zapytać Boga - stwierdza Esa, która wpadła do kuchni po kawałek precla. - Ale myślę, że czegoś takiego Bóg nie akceptuje.

- A ten, który powypisywał te rzeczy w gazecie?

- On po prostu zrobił głupstwo - mówi wesoło Esa, zadowolona, że uniknie rozmowy na poważne tematy. - Nikogo nie można za to winić. Głupota jest dziedziczna. Jak jasne włosy.

Guy się śmieje. Policzki mu różowieją.

Ale następnego wieczoru Guy mówi True, że ktoś wybił przednią szybę w samochodzie Hanka zostawionym na parkingu.

- Wiem, że oni to zrobili - mówi Guy. - Choć tata tego nie powiedział.

- Teraz żałuję, że mu nie przyłożyłam - stwierdza True.

- Tata powinien mu przyłożyć. Walnąć go kulą.

- To jest coś, o czym powinni napisać w gazecie.

- Tata ma damskie majtki w szufladzie - mówi Guy z uśmiechem.

- Może lubi je czasem wkładać dla odmiany - sugeruje True, ale czuje, że zbiera się jej na wymioty.

- Och, mamó, jaki z ciebie głuptas. Kupił je dla ciebie! Po prostu jeszcze ci ich nie dał! Wiesz, co to niespodzianka? - mówi Guy, dając jej kuksańca. - Chodźmy na górę i posłuchajmy, jak braciszkwowi bije serce.

Hank przyjeżdża do Bostonu na badanie ultrasonograficzne True, która uważa, że mu się to należy. Lekarka przesuwając sondę pod bawełnianą płachtą okrywającą brzuch True i na ekranie ukazuje się obraz podobny do obrazu cyklonu wychwyconego przez radar. Lekarka uczy ich, jak dostrzec płód, i niespodziewanie jakimś cudem - tak wyraźnie, jakby patrzyli na delfiny pływające w basenie - dostrzegają spód stopy, która porusza się, odpycha, przesuwając.

- On pływa! - woła Hank.

- Tak, pływa - przyznaje lekarka. - Ale pani jeszcze tego nie czuje, pani Bannister.

- Czuję - mówi True.

- Chyba jeszcze za wcześnie. - Lekarka zmienia ustawienia maszyny, klika, patrzy na wymiary. - Jest pani pewna co do dat? Sądząc po wymiarach, które tu widzę, ciąża wygląda na bardziej zaawansowaną. Ale nie wszystko możemy precyzyjnie określić. Zresztą ma już pani przecież doświadczenie.

True jest zahipnotyzowana widokiem w pełni ukształtowanej stopki, odpychającej się, usiłującej już z niej wypłynąć. I nagle przypomina sobie, że to dzień urodzin jej męża.

Listopad

## OKRĄGLUTKA DYNIA

Dynie zazwyczaj kojarzą się z Halloween, lecz w Ameryce z pionierskich czasów wielka pomarańczowa bania odgrywała główną rolę w Święto Dziękczynienia. Nasza drewniana dynia to układanka edukacyjna z elementami w kształcie kapelusza, trójkątnego nosa i uśmiechniętej buzi. Wewnątrz znajdziecie rękawiczki i nauszniki, które ochronią maleństwo przed jesiennymi chłodami. Z pewnością ucieszy cię Podarunkowy Balsam pachnący cynamonem - dzięki niemu twoje spracowane ręce nabiorą gładkości jedwabiu.

Gdy tylko bilety na premierę Olivera! w Teatrze Rodzinnym zostały wydrukowane, True wybiera trzy miejsca usytuowane dwa rzędy dalej i bardziej w lewo od foteli, gdzie ona będzie siedziała ze swoją rodziną. To bilety dla Hanka i jego bliskich.

Pierwsze przedstawienie w miejscowym teatrze odbędzie się następnego wieczora po

Święcie Dziękczynienia. Potem, w grudniu, spektakl będzie pokazywany przez tydzień w Operze Bostońskiej, następnie przez dwa tygodnie w Teatrze Rodzinnym na Cape Cod, a jeszcze później odbędą się dwa ostatnie, triumfalne występy w Radio City. Dzieci są bardzo podekscytowane. True chciałaby, żeby Bannisterowie mogli obejrzeć Guya występującego w Nowym Jorku.

Ale teraz ludzie niechętnie odwiedzają Nowy Jork. True sama zawiezie grupkę przyjaciół, jeśli tylko zdoła dopiąć pas bezpieczeństwa.

W piątek wczesnym popołudniem True przesuwając siedzenie jak najdalej do tyłu, gramoli się do volvo i jedzie do Truro, mając nadzieję, że zastanie Toma i zostawi mu kopertę, zanim pojawi się Hank. Ale już zjeżdżając z autostrady, dostrzega ciężarówkę Hanka. Nieumyte włosy, spięte do góry, wcisnęła pod czapkę z daszkiem. Ubrana jest w czerwone spodnie Eileen Fisher z gumką w talii - naciągniętą do granic możliwości, i w jedną z mniejszych koszul, które Hank u niej zostawił, zapiętą jedynie na trzy guziki od góry. Stopy nie mieszczą się w zwykłe buty, wkłada więc zazwyczaj - z uczuciem szczególnego smutku - czerwone ogrodowe chodaki z gumy, w których brała ślub. Mierząc ją i ważąc, lekarka pyta, czy True jest absolutnie pewna, że zaszła w ciążę na początku lipca. True potakuje z irytacją. Czy jest absolutnie pewna, że dłuższa z dwóch fioletowych linii na urządzeniu do oznaczania płodnych dni była ciemniejsza? True jest pewna, choć nie „absolutnie”. Nie wspomina, że urządzenie do oznaczania płodnych dni wydawało jej się wyjątkowo kłopotliwe w użyciu, gdy się nim posługiwała - zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem. Mówi lekarce, że nigdy nie stosowali z Hankiem żadnych środków ostrożności, zanim zaczęli starać się począć dziecko, i że jej miesiączka w czerwcu była dziwnie skąpa, co składała na karb stresu i wieku.

- Wiele kobiet lekko krwawi, gdy jajeczko się zagnieżdża - mówi lekarka. - A więc albo będzie to kawał chłopca czy baby, jakby powiedział mój dziadek, albo myli się pani co do dat. Zresztą może to tylko płyny. Zdarzały mi się przypadki, gdy na podstawie badań ultrasonograficznych byłam gotowa przysiąc, że dziecko waży pięć kilogramów, a przy urodzeniu ważyło zaledwie trzy i pół kilograma. Nigdy nie wiadomo.

True osobiście uważa, że ponieważ topi smutki w cynamonowych rożkach, powodem rosnącej pod koszulą wypukłości w większym stopniu jest ciasto niż ciąża. Nie wie, jakie mechanizmy psychologiczne za tym się kryją, ale wie, że kobiety przejadają swoje smutki, a mężczyźni je przepijają.

Jedyną dobrą stroną nadchodzącego smętnego miesiąca, z jego świąteczną atmosferą i okropną pustką, jest to, że True nie spędzi go całego samotnie.

Pewna agencja turystyczna zaproponowała Douglasowi, mężowi Esy, miesięczny

wyjazd ze studentami do Utah podczas studenckich wakacji. Ku ogólnemu zdumieniu, mimo zagrożenia utraty zdrowia i życia przy każdym wejściu do metra, mimo niebezpieczeństwa, że każde odpalenie każdego silnika może się skończyć wybuchem, wyprawa dochodzi do skutku.

Esa wyjaśnia, że bardzo potrzebują pieniędzy, bo chcą kupić domek. Doug twierdzi, że ani pomnik przyrody, taki jak Dinosaur National Monument w Utah, ani prowadzone na jego terenie wykopaliska nie są celami, które znajdują się na listach terrorystów. Grupa przemieszcza się trzema ciężarówkami i Isabelle czuje się spokojniejsza, wiedząc, że to Douglas, a nie jakiś nerwowy pilot będzie siedział za kółkiem.

- Jakbym wracała do domu! - mówi Esa. - Będę za nim szaleńczo tęsknić, ale przynajmniej będę miała ciebie! - Esa milknie. - Palnęłam coś głupiego, prawda, True? Przepraszam.

- W porządku, Eso - odpowiada True. - Czuję się podobnie. Tęsknię za nim jak szalona, ale nie będzie tak źle, bo będę mogła przynajmniej pogadać z tobą.

Esa zamieszkała więc w pokoju gościnnym. Biorąc pod uwagę fakt, że najbardziej intrygującymi wydarzeniami w obecnym życiu True jest siusianie i desperackie starania, by nie stracić oddechu, gdy się pochyla, czuje się ona znacznie pewniej, mając w domu drugą dorosłą osobę. A to, że tą osobą jest ktoś, komu bezgranicznie ufa, to kolejne dobrodziejstwo.

Z wyjątkiem tamtego wieczoru, po kłótni w teatrze, True i Hank rozmawiają ze sobą tylko przelotnie, jak starsza i niezbyt sobie przyjazna para małżeńska, która ogranicza wymianę zdań do próśb o podanie soli czy pieprzu. Ich ostatnia prawdziwa rozmowa, ta na ganku, w domu True, obnażyła zbyt wiele skrywanych emocji, a ubolewanie Hanka nad bezbronnością nieszczęsnej Adele („Chroń nas, Panie, przed słabymi, bo gotowi pojąć wszystko, czego nikt do tej pory pojąć nie zdołał”, wyrecytowała Esa, gdy True jej o tym opowiedziała) sprawiło, że True nie ma już nawet siły płakać.

Z pewnym żalem uświadamia sobie, że najgorsze ma chyba za sobą. Nie będzie więcej krążyć nocami samochodem pod małym domkiem w Princeton Circle w nadziei, że dostrzeże przez okno sylwetkę męża. Nie będzie dzwonić do niego i odkładać słuchawki, zanim usłyszy sygnał - kto by chciał słuchać radosnego szczebiotu Adele? Nie będzie więcej spędzać wieczorów na płaskiej skale plaży Ridgevale i obejmować kolan - dawniej kolan, a później jakiegokolwiek części swojego ciała, którą zdolna była ogarnąć rękami. True aż się sobie dziwi, że tak łatwo nauczyła się dumać. Nie będzie więcej jeździć o północy do Nauset, żeby posłuchać faceta grającego reggae. Poznała wreszcie, może później niż inni, wartość samotności i zadumy, ale drażni ją cena, którą musiała za to zapłacić.



Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej Hank zapytał uprzejmie, czy może nadal zabierać Guya ze sobą, gdy rozwozi jedzenie ubogim przyjaciółom, jeśli wypadnie to w poniedziałek po szkole. True wyraziła zgodę. Hank nadal ćwiczy z Guyem w salce w suterenie. Na temat Guya rozmawiają poprawnie jak para rozwiedzionych, którzy dostatecznie już się naszarpali w trakcie małżeństwa i uznali, że to wystarczy. „Jak przedstawienia się skończą, będziesz mógł zabierać Guya co drugi tydzień na piątek i sobotę”, mówi do Hanka True. Niedzielami będą się dzielić, a nawet, jeśli się uda, spędzać z Guyem trochę czasu razem. Oto jak niewiele każdemu z nich na sobie zależy albo jak udają, że im nie zależy.

Póki Hank zdaje się patrzeć na nią jak na znak drogowy, na irytujący, ale niewiele znaczący w jego życiu epizod, True może z powodzeniem zachowywać się tak samo. True nie ma pojęcia, jak zwykle zachowują się rozwiedzione pary.

Mogłaby spytać o to Franny. Wie, że Franny czeka na jej pytania i że z największą ochotą udzieli jej rady czy to w błahych, czy najważniejszych sprawach, ale jej powściągliwość z każdym dniem coraz silniej wiąże zaprawa z durny. Po okresie kompletnej bezradności zaczął rosnać, cegła po cegle i wbrew jej woli, graniczny mur, do którego coś w niej kiedyś czuło niechęć. Przez cały czas spędzony na kiermaszu rzemieślniczym, gdzie obie kupiły najrozmaitsze okolicznościowe upominki - w koszyku True znalazły się między innymi: czarodziejska różdżka dla mamam Winston, szkatułka z pozytywką i wizerunkiem baletnicy dla Win, popielniczka na cygara w kształcie aligatora dla Gusa - True i Franny udało się prawie wcale nie mówić o Hanku. True czuje, że złapała się we własną sieć. Jak może o nim nie rozmawiać? Jak może? To zbyt trywialne, ledwie kropla w oceanie problemów całego świata i zarazem płonąca żagiew wrzucona przez okno do jej domu. Franny, z właściwym sobie wdziękiem i ogromnym wyczuciem, które cechują jej zachowanie we wszelkich okolicznościach, odnosi wszystko wyłącznie do True i Guya - zarówno gdy pyta o przyszłe plany, jak i wtedy, gdy gdzieś ich zaprasza - tak jak to robiła, zanim True - wyszła za mąż.

True podziwia Franny bardziej niż kiedykolwiek przedtem za umiejętność poszanowania tej kruchej rezerwy.

Teraz True zbiera w sobie całą siłę, którą daje jej owa powściągliwość, i wchodzi do restauracji. Od razu spostrzega nowe żyrandole, które, jak podejrzewa, pochodzą z Luizjany - krople deszczu i kryształowe żdźbła zwisają z połączonych ramion - lampki na stolikach tam, gdzie kiedyś stały po prostu świeczki, lampki na długich nóżkach przypominające kształtem latarnie w Vieux Carre, francuskiej, najstarszej dzielnicy Nowego Orleanu. Całe wnętrze

wygląda teraz na bardziej zadbane i kuszące. True jest dumna z Hanka, gdy przesuwając dłońią po szarozielono-kremowej serwecie w deseń przedstawiający morskie stworzonka.

- True - mówi Hank.

Zaskakuje ją, wychodząc nagle z zaplecza. Wyciera ręce w fartuch. Właśnie kroił mięso. Wygląda okropnie, myśli True z satysfakcją, której sama u siebie nie znosi. Wygląda, jakby miał raka.

- Pięknie to wszystko urządziłeś, Hank - mówi pogodnie. - Restauracja jak nowa. Ty natomiast nie wyglądasz najlepiej.

- Dziękuję. - Hank uśmiecha się szeroko. - Poświęciłem temu wiele czasu. Muszę z powrotem przyciągnąć klientelę.

- Na pewno ci się uda. Ludzie wciąż jeszcze są w szoku. Ale ty, Hank, jesteś chudy jak palec - mówi True z nagłym, nieudawanym współczuciem. To mój mąż, myśli. Mój mąż.

- Co się z tobą dzieje?

Oboje spoglądają na palec True, który nadal okala srebrna obrączka, zagłębiona w pulchne, obrzmiałe ciało. W ostatnich tygodniach palce u rąk i stóp oraz kostki True są groteskowo obrzmiałe. Ale nie pozwoli przeciąć obrączki. True chowa lewą rękę za plecami, prawą podaje bilety.

- Kupiłam je dla twojej mamy, dla taty i dla ciebie. Nie wiem, czy Win i Matthew, czy ktoś jeszcze... ale mogę kupić więcej...

- Matthew to już przeszłość. - Śmieją się oboje. - Nie mógł znieść myśli, że Win mogłaby być sławna. Ani tego, że mogłaby się o to starać. Był młody i głupi (Aluzja do piosenki Try to Remember z musicalu The Fantastics). To już trzeci odnośnik do literatury, choć w musicalowym tonie, zauważa True i zagryza wargę.

Czy Hank słusznie ją oskarża, że traktowała go jak gadającego bzdury niedouka? Czy rzeczywiście spodziewała się, że nie będzie znał ważnych dat, książek czy wierszy? Czy jej nieświadome spojrzenia i uczynki sprawiły, że czuł się gorszy? Czy kiedyś pragnęła go tylko dla jego dzinsów i genów?

Jakie to wszystko wydaje się nieważne. Ile by teraz dała, by słuchać, jak mówi, by jej dom wypełnił się brzmieniem niewyraźnie wypowiedzianych słów, niegramatycznych zdań, niepojętych wybuchów śmiechu.

- Mama i tatuś nie mogą się już doczekać - mówi grzecznie Hank. - Win przyjedzie na pewno, samochodem. Mówi, że nie możemy sobie nawet wyobrazić, jak teraz jest w Nowym Jorku. Że oglądanie tego w telewizji to zupełnie nie to samo, co zobaczyć na własne oczy...

- Mieszka w West Side, prawda?

- W hotelu dla kobiet! Muszą wracać o określonej porze!

- Win! - Śmieją się oboje. - Wyobraź sobie, jak się odmeldowuje, żeby wyjść wieczorem!

- Taka niezależna osóbką!

- Wezmę dla niej bilet.

- Zwrócę ci pieniądze.

- Daj spokój!

Zapada między nimi cisza jak kurtyna.

- Jak się miewa maman?

- Dobrze.

- Pójdę już - rzuca swobodnie True.

- Słuchaj... - mówi Hank, patrząc w bok. - Przygotowuję uroczysty obiad na Święto Dziękczynienia. Byłoby mi bardzo miło, gdybyście przyszły z Kathleen. Mam nadzieję, że pozwolisz przyjść Guyowi. Wiesz, że moi przyjadą, tak jak ci...

- Naturalnie. Tak sobie pomyślałam, że przyjadą, chociaż... zresztą nieważne. Zjedzą przynajmniej dobrą kolację. Nie będą musieli jeść obrzydlistw, które przyrządzamy - Kathleen i ja.

- Jestem pewien, że indyka przyrządacie znakomicie. Czy to nie wy, purytanie, wymyśliliście Święto Dziękczynienia?

- Istotnie. Owszem, indyk udaje mi się niezgorzej. Chleb leży trzy dni, więc nadzienie jest suche jak należy. Mój brat je uwielbia. Nie chciał jeść nadzienia, jak był mały, póki się nie dowiedział, że jest z chleba. Mój brat zjadł kiedyś całą pajdę... - True gada i gada. Potem nagle milknie. - Guy ma tego wieczoru próbę. Beatrice zachowuje się po barbarzyńsku.

- Odwiozę go, jak tylko zjemy. Dog przyjeżdża?

- Tak. Będzie też Esa, bo Douglas wyjechał na wykopaliska... Wiesz, szuka tych swoich skorup. A właściwie tym razem kości dinozaurów. I Rudy, i Keith. Będziemy mieć... komplet przy stole. - Znowu milknie. - Czy ja kiedykolwiek coś ci ugotowałam, Hank?

- Nie przypominam sobie.

- Musiało więc zrobić na tobie wielkie wrażenie.

- Daj spokój. Pamiętam coś... z kluskami. Tak. Strogonoff. Ale bez mięsa, tylko z grzybami.

- Ach, tak, niskokaloryczne przepisy Franny.

- Było smaczne.

- Dzięki.

- Uhm.

- No to cześć! Pozdrów Toma.

- Pozdrów Esę, Rudy'ego... i całą resztę. A jak dzidzius? W porządku?

- Rośnie jak na drożdżach. W tym miesiącu przybyło mi dwa i pół kilograma. Esa mówi, że jestem jak mleczna jałówka z Wisconsin. Za dwa tygodnie zaczynamy lekcje rodzenia.

- Zaczynamy.

- Esa i ja - mówi spokojnie True. - Ona będzie mi towarzyszyć podczas porodu. Nie sądziłam, że w tych okolicznościach...

- Jasne. Cięża ci służy, True. Wyglądasz młodo i... pogodnie. Ładnie.

- Miło z twojej strony. Zastanawiam się, do jakiego sklepu ze sprzętem turystycznym się wybrać, żeby sobie kupić namiot, w który mogłabym się ubrać na przedstawienie galowe.

- Włóż tę atlasową narzutkę z pętelkami po bokach, przez które coś przetykałaś, żeby marszczyła się z tyłu. Tylko naturalnie nie używaj pętelek.

- Tę rubinową?

- Tak.

- Dobry pomysł.

- I mnóstwo przezroczystych świecidełek. Bądź jak okręt w pełnej iluminacji.

- Tak czy siak będę wyglądać jak łajba. Cześć, Hank. Jedz coś, na miłość boską! Przecież to do ciebie niepodobne. Zagraj z kimś w darta.

- Czy to przycinek?

- Nie! W żadnym razie! To troska. Wróc do normalności.

- Nie jem... w dosłownym znaczeniu tego słowa. - Hank pochyla się ku niej ponad ladą, uruchamiając lawinę wspomnień.

- Hmm... - mruczy True. Czuje, że on ją hipnotyzuje, kusi, więc odchyła się, by pokonać własne odczucia.

Czy wiesz, mówi do niego bezgłośnie, ile razy patrzyłam, przyklepiona do ściany w sypialni, jak zabierasz Guya i psa? Ile razy jeździłam pod twój dom i śpiewałam na cały głos? Śpiewałam, okaż zaufanie, taka magiczna noc! Śpiewałam bluesa „Wróc do domu, Hank”. Czy wiesz, ile razy musiałam wbijać paznokcie w skórę dłoni, żeby nie pobiec i cię nie objąć? Ile razy pieściłam się, aż palce mnie bolały, myśląc o tobie i twoich ramionach, i nadal nie miałam orgazmu? Ile nocy przesiedziałam na tej cholerniej, zimnej plaży, gdy mgła otulała skały, w palcie, które zostawiłeś na wieszaku i które nadal tobą pachnie? Ile razy krążyłam po północy wokół twojego przekłętego domu, modląc się, żeby zobaczyć ciężarówkę, i

doznawałam ulgi, gdy ją widziałam, ale zadreślałam się myślą, że, do diabła, może jesteś tam z kobietą, naturalnie nie z Adele, choć pewnie nie chciałbyś ranić jej uczuć. Mogłeś mieć randkę, oferując to wszystko, co tylko ty potrafisz zaoferować, tak jak kiedyś mnie. Ile razy podnosiłam słuchawkę, żeby do ciebie zatelefonować, ile razy dzwoniłam do ciebie i słuchałam tego przekłętego nagrania? Ile razy byłam pewna, że tego wieczoru do mnie zadzwonisz? Czy myślisz, mój najdroższy, ukochany czarny ptaku, wypuszczony wreszcie z klatki na wolność, że nigdy nie było nam pisane w kartach, iv gwiazdach być razem? I że może tak jest w gruncie rzeczy lepiej dla ciebie? A może nawet i dla mnie?

O tym wszystkim myśli True. Odwraca się, poprawia czapkę z daszkiem i wychodzi. Zanim dojedzie do domu, jej koszula jest tak mokra, że można ją wyżymać. Naprawdę brakuje jej piątej klepki.

- A więc widziałaś się z Hankiem - mówi Esa.

- Tak. Ma się nieźle. Jest chudy. Byliśmy dla siebie bardzo serdeczni.

- Ty naprawdę jesteś chora, True. Z miłości. Kochasz tego faceta. Co cię powstrzymuje, żeby się z nim pogodzić? Co to takiego?

- Gdybym była tobą, Eso, natychmiast poleciałabym do Truro. Poleciałabym choćby na piechotę i boso. Ale nie jestem tobą. Poza tym on chciał odejść. Chciał. Gdyby było inaczej, nie zrobiłby tego, co zrobił.

- Nie chciał, żebyś mu kazała odejść. Żebyś go „uwolniła”, jak mówisz. Powiedział mi...

- Rozmawiałaś z nim.

- Tylko sto pięćdziesiąt razy. Gdy dzwoni.

- Nie wiedziałam, że dzwoni. To znaczy poza sytuacjami, kiedy wymieniamy różne informacje.

- Ja też nie wiedziałam, że dzwoni, póki nie znalazłam się w pobliżu akurat wtedy, gdy Kathleen odebrała telefon. Myślę, że ma dobre intencje. Nie chce cię ranić, wspominając o tym, ale on ciągle dzwoni i rozmawia z Guyem.

- To co innego.

- Ale zawsze najpierw pyta o ciebie.

- Naprawdę?

- Słyszę, jak Kathleen mówi: „Nie ma jej”, nawet wtedy, gdy jesteś. Wiem, że on chce wrócić. Wiem.

- Powiedział to?

- Jego głos to mówi. Dlaczego się nie spotkacie? Uważam, że...

- Już raz się spotkaliśmy, Eso. Pamiętasz? To było... bardzo miłe z twojej strony, naprawdę, ale teraz jest za późno.

- To dopiero miesiąc, True. Za bardzo dramatyzujesz. Za późno... - Isabelle patrzy na True zamysłona, a potem pyta: - Ty chcesz, żeby tak było, prawda? Czujesz ulgę.

- Czuję ulgę, że to się skończyło.

- Nigdy nie sądziłaś, że się uda.

- Tak twierdzi Hank. Ale to nieprawda. Chciałam, żeby się udało, czułam jednak, że się nie uda.

- Więc odpuściłaś, ledwie się coś naprawdę zaczęło?

- Nie... jeszcze... nie odpuściłam.

- To co myślisz o moim pomysśle?

- Zastanowię się. Myślę, że nie ma nic do stracenia. Ale to rani moją dumę. I to bardzo. Ja nie zrobiłam nic złego.

- To ma związek z tyloma sprawami. Z Guyem. Z maleństwem. Twoim szczęściem.

- Jestem szczęśliwa - mówi True. - Nie mogę powiedzieć, że jestem nieszczęśliwa. Przemknął przez moje życie tak szybko... prawie jakby go tu nigdy nie było. Jakby był cudownym filmem, którego nigdy nie zapomnę.

- Pomyśl przynajmniej o tym, żeby z nim porozmawiać. W sposób... pełen nadziei. Przyrzeknij.

- Pomyślę o tym, jak będę miała czas. Rozpocynam nowy interes, gromadzę towary, codziennie zastanawiam się, czy przepisać dorobek mojego życia na rzecz Elizabeth i banku, przygotowuję Guya do jego pierwszej prawdziwej roli...

- Pracowita pszczołka nie ma chwili czasu, żeby zadzwonić do człowieka, którego kocha?

- Taka już jestem - mówi True niby beztrąsko, ale w jej głosie brzmi tylko gorzkość.

Teatr jest ogromny - dwa, trzy tysiące miejsc. True nie była w operze od czasu, gdy w gwiazdkowym prezencie dostali od rodziców Petera bilety na przedstawienie baletu nowojorskiego. Było to tak bardzo dawno temu, że Barysznikow tańczył jeszcze do piosenek Franka Sinatry. Pod kopułą aniołki trzymają się za ręce, panowie w smokingach i panie w szeleszczących, długich do ziemi, szyfonowych sukniach wchodzą do udrapowanych rubinowym materiałem łóż. Dekoracja, o której Beatrice opowiadała True, obraca się i przesuwa, ukazując wnętrza kryjówek złodziejasków, znajdujące się na części sceny wysuniętej w stronę widowni, albo baru, gdzie dzieci zaśpiewają Thank You Very Much razem z Nancy, mającej zginąć w chwilę potem z rąk Billa Sykesa, albo - gdy się obróci -

londyńską ulicę. True specjalnie nie poszła na żadną z prób kostiumowych, by nie popsuć sobie wrażeń premierowego wieczoru. Ubrała się w spódnicę kupioną w Nowym Orleanie z zamkiem rozpiętym z tyłu i schowanym pod atłasowym żakietem. Franny upięła jej włosy w kok. Franny i Steve są w teatrze, ale True ich nie widzi. Światła przygasają. Znak, że przedstawienie rozpocznie się za dziesięć minut. Bannisterów jeszcze nie ma.

Święto Dziękczynienia było spokojnym, osobliwym wydarzeniem. Dip z karczochów, który przyrządził Keith, okazał się znakomity, True nie jest natomiast pewna, czy indyk nie był niedopieczony, ale wszyscy zapewniali ją (i to tak gorąco, jakby cierpiała na nieuleczalną chorobę), że był soczysty i rozpływał się w ustach.

Zaproszona została także Kitt, która w końcu nigdy nie odwiedziła Jedynej, choć mieszkała w Witherspoon Guest House na tyle długo, że - jak powiedziała True - całkiem nim przesiąkła. Kitt pojawiła się z mnóstwem paczek z prezentami w różnych rozmiarach i kolorach, co sprawiło, że wyglądała jak święty Mikołaj, który nieco się pospieszył. Wśród prezentów znalazły się mięciutkie rękawiczki dla Dwidziusia X lub Y, spodnie od piżamy ściągane w pasie tasiemką w „męski” wzór dla Guya, ocieplacze na nadgarstki dla True, która wspomniała kiedyś, że uwielbia narty biegówki, ale nie znosi, jak śnieg dostaje się jej do rękawów, czapka świętego Mikołaja dla Gypa i szal dla Kathleen.

- Gdzie je kupiłaś? - pyta True. Kupiecki zmysł dominuje nad dobrymi manierami. - Są pięknie zrobione.

- Sama zrobiłam - odpowiada Kitt, opasując drobne ciało jednym z fartuchów True. - Tymi małymi paluszkami ze sztucznymi paznokciami. Pozwól mi przygotować sos. Tak bardzo tęsknię za dziećmi - przyjeżdżają jutro - że chętnie zrobiłabym sos dla całej Ameryki. - Obraca się. - Masz pianino, True? Tak, masz pianino. Piękny keyboard. Zaśpiewam w zamian za posiłek. - Zwraca się do Guya: - Chcesz pojechać ze mną do Wisconsin na jeden semestr? Ustawię ci głos. Za rok zaśpiewasz na Broadwayu. Będziesz miał towarzystwo ślicznych panienek, które zawsze marzyły o bracie. Będą się o ciebie kłóciły.

Guy entuzjastycznie kiwa głową. Widział fotografie dwóch uroczych córek Kitt, z których jedna jest od niego starsza tylko o rok.

- Myślę, że będzie siedział w domu i czekał, aż przyjdzie na świat ten tutaj - mówi True, klepiąc się po brzuchu. - Nie spodziewamy się go wcześniej niż w końcu lutego albo na początku marca, choć Guy marzy, żeby urodził się na Nowy Rok! Chce, żeby go pokazywali w telewizji i żebyśmy dostali za darmo pieluchy.

- Zanim skończymy to nasze niekończące się przedsięwzięcie i wreszcie wyjadę, dam ci nazwisko dobrego nauczyciela w Bostonie. Tutaj nikogo takiego nie ma. A okres

chłopięcego sopranu Guy będzie miał niedługo za sobą.

- Czy wtedy urosnę? - pyta Guy.

- Tak - mówi Kitt. - i urosną ci włosy pod pachami.

- Niech to szlag! - mówi Guy, czerwieniąc się i zakrywając dłonią usta. Wszyscy się śmieją, z wyjątkiem Kathleen.

Guy był zbyt nerwowy, by jeść, zbyt się niecierpliwił, by już pokazać grand-pere wszystkie sztuczki Gypa. Gyp jest uroczym psiakiem, potrafi kłaść się i wstawać na znak dawany przez Guya ręką, a potem patrzy chłopcu w oczy, oczekując następnej komendy. Potrafi też tańczyć. Zakrywa łapą nos, gdy Guy powie: „ktoś puścił baka”, choć tej sztuczki z pewnością nie trenowali w domu. True podejrzewa Hanka i drużynę jego francuskich wyrzutek.

Później, podczas zmywania naczyń, Kitt mówi:

- Wszyscy się boją o to spytać, ale ja nie. Jak tam separacja? I dlaczego po prostu jej nie przerwiesz? Wiem, że to nie moja sprawa. Ale muszę ci powiedzieć, że Guy jest smutny. Wszystkim nam jest w pewnym sensie smutno, że świat jest taki, jaki jest, ale kiedy Guy śpiewa razem z Michaeliem, żeby wzmocnić trochę jego głos, wiesz, z chłopaczkiem, który zastąpił Conora, więc gdy śpiewa z nim Where Is Love?, ma prawdziwe łzy w oczach.

- O mój Boże! O Chryste!

- Może jakieś zawieszenie broni? Czytałam książkę na temat małżeństwa, gdzie napisano, że jeśli ludzie zachowują się tak, jakby byli szczęśliwi, to często udaje im się osiągnąć stan szczęścia. Kiedyś omal nie rozeszłam się z moim mężem. A on jest miłością mojego życia. Jest jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek dotknął tego alabastrowego ciała. Miałam więc pierwszy prawdziwy występ w Metropolitan, druga w życiu rola Suzuki w Madame Butterfly, a on pojechał na zjazd koleżeński. Naprawdę bardzo chciał spotkać się ze swoimi kolesiami i przechwalać się, że żona jest wielką diwą - psioczy Kitt.

- Był z ciebie dumny! A ty się złościłaś?

- Masz tyle energii, True! Ja nigdy nie dokonałabym czegoś takiego! Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że mogłabym w naszym wieku mieć dziecko i jednocześnie prowadzić firmę. Popatrz tylko... rozejrzyj się. To wszystko twoje dzieło.

- Twoje dzieło... nie wpływa na to... kim jesteś, a ja teraz wcale nie czuję, że bym odnosiła sukcesy - mówi True.

- Musicie się pogodzić. Widziałam was razem tamtego wieczoru, z „klempą” w roli głównej. Ten facet kocha nawet ziemię, po której stąpasz.

- Nie znasz mnie, Kitt. Potrafię być naprawdę niedobra, gdy... Zresztą, może nie



zasłużyłam...

- Co to znaczy „nie zasłużyłam”? Mężczyzna, który żeni się z kobietą starszą od siebie, z kobietą w naszym wieku...

- Mów za siebie.

-...to jest ktoś. Ktoś wyjątkowy. A ty? Dlatego, że on czegoś nie wie, a ty nie umiesz go nauczyć, rezygnujesz. Kiedy? Po roku?

- Po sześciu miesiącach.

- Wstydź się. Chyba że zrobił coś niewybaczalnego.

- Nie... nie w tym rzecz. Jest wspaniałym ojcem dla Gee i będzie wspaniałym ojcem dla tej osóbkki.

- Nie znasz jeszcze płci dziecka?

- Mieli mi zrobić badanie, żeby sprawdzić, czy ma klejnoty, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłam. Zdecydowałam, że chcę mieć niespodziankę. Wiedzieć wszystko z góry to zbędny luksus, jakby powiedziała moja przyjaciółka Franny.

Mycie naczyń skończone. Goście rozsiadają się na kanapach i poduchach, a Kitt śpiewa: As Long As He Needs Me,

arię z Wesela Figara, i - razem z Guyem - Consider Yourself. Potem śpiewa na życzenie: Keith poprosił o Over the Rainbow - omal nie zalał się łzami przy ostatnim drżącym i czystym vibrato.

Na koniec Kathleen, ku zdumieniu True, prosi:

- Czy mogłaby pani zaśpiewać My Funny Valentine? To była nasza piosenka, mojego męża i moja.

Kitt śpiewa chropawo, sennie, przez co piosenka wydaje się True nie tyle wyznaniem kochanków, ile wstępem do rozstania. A Kathleen przy refrenie ociera twarz, oszołomiona szampanem i wspomnieniami. Potem Kitt poszła „położyć sobie plastry ogórków na oczy”, jak powiedziała, a chwilę później True usłyszała odgłos silnika czerwonej ciężarówki.

- Tata przyjechał - powiedziała Guyowi. - Biegnij po Gypa i swoje rzeczy.

Hank czekał na ścieżce, nie wyłączwszy silnika. True widziała zarys jego głowy i fryzurę w stylu pompadour Gusa.

Gdy Guy i Kitt zniknęły, dom nagle opustoszał. Pojawił się natomiast ojciec Esy, spóźniony i nieoczekiwany, narzekając na mgłę w Bostonie. Kathleen uparła się i przygotowała mu kopiasty talerz resztek, a gdy jadł, usiadła i sączyła szampana. Potem Dog, Rudy i Keith oglądali z Kellenem zawody kręglarskie.

Biorąc pod uwagę przesłanie zawarte w jej imionach, True Harte postanowiła

odprowadzić matkę do jej domku. Ale to Kellen ujął ją pod ramię.

- Rozłożyłam ci kanapę do spania - powiedziała Kathleen, czkając. - Chyba za dużo wypłam - dodała.

- A więc wiedziałaś, że przyjedzie, chociaż nawet Esa nie wiedziała? - spytała True.

- Naturalnie. Katie wie o mnie wszystko, prawda? - powiedział Kellen, otulając Kathleen swoim ogromnym płaszczem.

- Dobranoc, True. I... przepraszam.

- Nie przejmuj się. Weź cztery aspiryny - poradziła jej True. - Tylko się nie przewróć.

- Nie to mam na myśli - odparła Kathleen. - Miałam na myśli... mój brak zaufania do mężczyzn.

- Cóż, nie wiem, co mam ci odpowiedzieć, mamó. Ale myślę, że i tak nie wiesz, co mówisz.

Kathleen potknęła się o próg drzwi i ze smutkiem pokręciła głową.

True była jedyną osobą, która jeszcze nie spała, gdy Guy i Gyp wrócili do domu.

Guy zapukał do drzwi jej sypialni.

- Mogę tu spać? - spytał. - Okropnie się czuję.

True skinęła głową. A Guy spytał, jak nigdy dotychczas:

- Czy tata niedługo do nas wróci? Czy on kiedyś przestanie się wreszcie nad tym zastanawiać?

- Nie wiem - odpowiedziała True.

- Czy mogę go o to zapytać? - dopytuje Guy.

- Możesz go zapytać, o co tylko chcesz, kochanie. Ale nie sądzę, by znał odpowiedź. Wiem jednak, że nie wyjedzie, nawet jeśli pojedziesz na Boże Narodzenie z wizytą do dziadka i babci L., i myślę, że nie przygotowuje papierów, żeby się z nami rozwieść, to znaczy ze mną. Potrzebuje czasu na zastanowienie, jest wolnomyślicielem, jak mówi ciocia Franny. Potrzebuje dużo czasu na przemyślenie każdej sprawy.

- Dlaczego nie pójdziesz z nim zagrać w kręgle i tym razem nie postarasz się bardziej?

- Jakbym słyszała Esę.

- Mogłabyś przecież.

- Tak, ale on był na mnie wściekły i ja też byłam na niego wściekła. Jeszcze dawniej był na mnie wściekły, i to przez dłuższy czas, chociaż ja nic o tym nawet nie wiedziałam. A teraz czuję, że jestem na niego wściekła za nas oboje.

- Nigdy się nie ożenię. Będę się umawiał na randki tylko z wielkimi gwiazdami, takimi jak Kitt.

- Kitt jest dla ciebie trochę za stara.
- Ty też byłaś za stara dla taty.
- Też coś! - mówi True. - Dalej, chodźmy spać.

Niezależnie od wieku, do którego się przyznaje, Kitt, wychodząc następnego wieczoru na scenę, wygląda na dwadzieścia pięć lat - i ani dnia więcej. Długa tresa z rudych włosów i wydekoltowana, marszczona sukienka barmanki zmieniły ją w pociągającą, czułą i radosną Nancy, samotną matkę małych łobuziaków i ukochaną wcielonego diabła, Billa.

W chwili gdy na scenie pojawia się Guy w przekrzywionym jedwabistym cylindrze na głowie, True spogląda do tyłu i dostrzega Clothilde i Win, które machają do niej rękami, oraz Hanka wpatzonego w ich syna. True macha i patrzy na Hanka, który bezgłośnie wymawia słowa śpiewane przez Guya, śpiewane tak pięknie, że wzbudzają na sali aplauz. Guy gra Przebiegłego Spryciarza, odważnego, samotnego łobuziaka - jej syn, maleńki na wielkiej scenie przed tłumem obcych ludzi w futrach i diamentach. True widzi w pierwszych rzędach Holly i Addy'ego. Holly zaciska ręce na widok córki Amity, która występuje jako tancerka, Finn szaleńczo oklaskuje siostrę. Potem, gdy wielka scena na ulicy dobiega końca, True widzi, jak Holly pochyla się i całuje Addy'ego w szyję. True żałuje, że nie może trzymać męża za rękę i doświadczać w pełni wzruszeń tej chwili. Podczas przerwy idzie do odległej toalety, w pobliżu balkonów, i zamyka się w kabinie. Elegancko ubrane panie wchodzi i wychodzą. Jedna z nich szepcze, ku cichej satysfakcji True: „Ten mały w cylindrze nie należy do zespołu. Słyszałam, że to profesjonalista. Mocno zbudowany”.

Gdy przedstawienie się kończy, kurtyna czterokrotnie idzie w górę. True przeciska się potem przez tłum, żeby ucałować Beatrice i Kitt, uściskać Holly i Franny i wreszcie znaleźć Guya w ramionach Hanka. Podbiega do Clothilde, która od razu przechodzi do rzeczy:

- Znajdziemy trochę czasu, żeby się razem napić kawy, prawda? Mam wolny cały jutrzejszy dzień.

Hank obejmuje True i składa jej gratulacje, Dog bez powodzenia próbuje dźwignąć Guya jedną ręką, True zmuszona jest wszystkim wszystkim przedstawić: „To... rodzice Hanka, GUS i Clothilde, a to moja mama... i ojciec mojej asystentki, Kellen”. True spostrzega, że Kellen znów ma na sobie starą tweedową marynarkę jej ojca.

Są takie minuty, które nie składają się, nie mogą się składać zaledwie z sześćdziesięciu sekund. Sekunda to dużo. Są takie minuty, które potrafią trwać czterdzieści osiem godzin. Takie właśnie wydają się True minuty, gdy stoi z bliskimi, których traci, zyskuje i znowu traci, w foyer teatru. Całe godziny, całe życia zmieściłyby się w tych minutach. Tym razem to nie autograf Scottiego Pippena, ale dwanaście złotych róż od grand-

mere i jedna czerwona - na szczęście. Pachniesz jak waniliowe ciasteczka... bo mnie kochasz. Jeśli ją teraz poprosi, pójdzie i zrobi to z nim choćby na podłodze pikapu. Możliwości są nieskończone. Przeskoczy mur dumy tak wielkiej i nieobliczalnej jak fala oceanu. True bezwiednie wyciąga rękę i ujmuje Hanka pod ramię. Uśmiechają się porozumiewawczo. True nabiera powietrza, pachnącego piżmem i kwiatami.

Ale Hank mówi:

- Jest niesamowity. A ona mówi:

- Ciężko pracował. I ty ciężko z nim pracowałeś. Zawdzięcza to tobie. I Kitt.

Zupełnie jakby nie Kathleen, GUS, Clothilde, ale ona i Hank byli dziadkami Guya. W ich zachwycie nad Guyem jest odrobina przesady.

- Chodźcie do nas do domu. Mamy tort i poncz! - woła Guy.

- To daleka droga, bracie - odpowiada Hank. - Ale przyrzekam, że zabiorę cię jutro.

Zagrasz z grand-pere partyjkę szachów.

- Jutro o trzeciej mamy przedstawienie - mówi Guy, a jego wargi drżą.

True widzi, z jakim wysiłkiem Guy stara się zapanować nad sobą. Nigdy nie pozwoli sobie na zniewieściałość w obecności ojca.

- Przyjadę po ciebie rano, jak się obudzisz - mówi Hank. -

A teraz uściskaj mnie mocno i złóż autograf na programie tej małej dziewczynki, bo długo już na ciebie czeka.

Clothilde porusza wargami: „Jutro”.

Hank i jego rodzina odjeżdżają.

Pustka, którą odczuwa True, jest dokuczliwa jak ból gardła, jakby nie mogła przełknąć nadmiaru nadziei.

- Komu w drogę, temu czas - mówi Dog. - Kocham cię, siostrzyczko. Czy jest, cholera ciężka, czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? Interesy w porządku? Wszędzie ten sam marazm. Aż mnie dziwi, że tutaj ludzie nie wyglądają na przygnębionych.

- Są przygnębieni - mówi True. - Nie widziałeś chłopców z Gwardii Narodowej? Dzieci w mundurach. Guy będzie taki za dziesięć lat.

- Chryste, miejmy nadzieję, że to nie będzie trwało dziesięć lat.

- Miejmy nadzieję.

- Myślałam, True, że żyjecie z Hankiem w najlepszej zgodzie. Tak mi przykro, siostrzyczko. Dlaczego, u licha, zgodziłaś się, żeby adoptował Guya, skoro zamierzaliście się rozstać? - Dog o mało nie załamuje rąk. Wygląda jak przerośnięty koszykarz, którym zresztą był. - I dlaczego tak szybko zdecydowałaś się na dziecko? Czy chcesz, żebym z nim

porozmawiał? Albo coś takiego?

Dog nie zadał ani jednego pytania, na które True potrafiłaby odpowiedzieć, ani na które, zdaniem True, w ogóle istnieje odpowiedź.

- Przecież to nie psuło się powoli i stopniowo, skarbie - mówi True. - Któregoś dnia, wiesz, coś nagle pstryknęło i uświadomiłam sobie, że ja go wcale nie znam.

- Jeśli będziesz chciała pogadać...

- Będziesz pierwszy, do którego zadzwonię.

- Czy nikt nie idzie do nas na tort i poncz? - przerywa im Guy.

- Oczywiście, że idzie, gapo. Ty moja gwiazdo. Esa i babcia, i Rudy, i Keith.

- Miałem na myśli innych...

- Wszyscy muszą wracać do domów. Wujek i ciocia chcą jutro kupić choinkę, może i nam uda się choć raz kupić choinkę wcześniej...

- Choinkę? My sami?

- Tak.

- Przecież jej nie udźwigniesz. Lekarz powiedział, że nie wolno ci nawet sięgać do wyższych półek.

- Rudy mi pomoże. Ma dobre oko, jeśli chodzi o choinki.

- Przyjedźcie do Amherst - nalega Dog. - Pojedziemy do Sandy's i zetniemy drzewka, tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

- Chętnie, ale Guy ma przedstawienia.

- Byłeś świetny, Gee - stwierdza na koniec Dog, przygarniając siostrzeńca do siebie i patrząc na True błagalnym wzrokiem ponad głową jej syna. True wzrusza ramionami.

Guy, który najpierw gada jak nakręcony wskutek skoku adrenaliny wywołanego występem, ledwie minęli Sagamore Bridge, zasypia nagle kamiennym snem. Ani True, ani Kathleen nie mają ochoty na tort, poczęstunkiem raczy się więc Esa z pozostałymi gośćmi. True obserwuje chmury płynące na tle księżyca i na odsłaniającej się srebrnej tarczy dostrzega kształt zwiniętego płodu. Patrzy tak długo, że wreszcie nie odróżnia księżyca od chmur, a potem stanu czuwania od snu. True śpi, ale nie odpoczywa. Jeszcze przed świtem wstaje i bierze z półki przy łóżku ślubną fotografię swoją i Hanka. Nie wyrzuca jej, tylko układa delikatnie - obrazkiem do dołu - w pudełku z cedrowego drewna.

True obawia się, że przez sympatię do Clothilde będzie w rozmowie z nią kierowała się odruchami skołowanego serca, a nie praktycznym rozumem, zaprasza więc Franny, by wybrała się wraz z nią następnego ranka na kawę z teściową. Franny ma czas, bo to sobota, ale nie zgadza się, póki True nie przyrzeknie, że nie będzie „niczego owijać w bawełnę”.

Po raz tysięczny True wygłasza swoją mowę: To było z góry skazane na niepowodzenie. To było niemądre, niefortunne, nieprawdopodobne. Franny siada na siedzeniu dla pasażera i pomaga True zapiąć pas.

- Coś mi tu nie gra - mówi.

- Myślę, że od początku miałaś rację. Byłam zbyt niepewna siebie, by się do niego dopasować. Marzysz o poślubieniu seksownego młodego faceta, udaje ci się to, po czym czujesz się stara jak Matuzalem.

- Przecież jakoś sobie z tym w końcu poradziłaś.

- Ale tymczasem pojawiło się zbyt wiele przeszkód. Zbyt wiele oczekiwałam i w zbyt krótkim czasie - we wszystkim. On czuł się jak w pułapce.

- Czyli w gruncie rzeczy Adele była jedynie kroplą, która przelała czarę goryczy.

- Tak - przyznaje True. - Ona wydaje się... tamta sprawa wydaje się stara i nieważna. Nie o nią teraz chodzi. Mimo że z nim mieszka.

- Mimo że co?

- Dobry numer, prawda? Ach, Franny, już byłam gotowa się poddać i przyjąć go z powrotem, gdyby chciał, ale wtedy Adele się do niego wprowadziła. Miałam ci tego nie mówić, bo to dla mnie zbyt poniżające. Na weekendy jeździ do domu, do Cambridge, ale w ciągu tygodnia czuje się we własnym domu zbyt „samotna”.

- No, nie. To jawne przestępstwo. Każ go ukatrupić. Będę w połowie partycypować w kosztach.

- Nie skrzywdzę go. On i Guy... przynajmniej Guy i ten tu, Szczęściarz, będą mieli prawdziwego tatusia. Dziwaczny układ, ale pójdę na to.

- Teraz wiem, że w podobnej sytuacji wykopałabym Steve'a. Dziecko nie dziecko, młode małżeństwo czy stare. Ale kiedy wychodziłam za Steve'a, miałam wybór.

- Jaki? Mikey Nunzio? Teddy Moore?

- Chwileczkę. Mikey zabrał mnie na uroczysty bal do Annapolis. Ale jak już przejdiesz z facetem pod szpalerem ze szpad...

- Bzdury.

- Nadal twierdzę, że miałam wybór.

- Ja też... mam wybór.

- Nie taki, jak ja... jak my, kiedy miałyśmy po dwadzieścia pięć lat.

- Nie możesz myśleć o tym w ten sposób.

- Musisz myśleć o tym w ten sposób - mówi Franny, kładąc dłoń na ramieniu True, tak że ta nie może wycofać samochodu i zawrócić. - W naszym wieku wybieramy między takimi

osobami, jak powiedzmy... Evan czy dyrektor domu pogrzebowego a facetem, który pracuje dla TerminCo i prowadzi badania nad karaluchami.

- Ten z „Heralda”. Ten, który docieka, czy samce podnoszą czy opuszczają czułki, gdy są podniecone. Ten, który powiedział, że też szuka dla siebie samicy. O Boże, Franny.

- Wyobraź sobie, jak podnosisz czułki, gdy z nim jesteś. To nasze pokolenie, True. Nieżonaci mężczyźni z naszego pokolenia. Mężczyźni, którzy chcą iść na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, spacerować z tobą wolnym krokiem w takich samych kurtkach chroniących przed wiatrem, położyć nogi na stoliku, przy którym pijacie kawę, i oglądać wyścigi samochodowe w telewizji...

- Albo grać w golfa. Dwa razy w tygodniu.

- Albo oglądać w telewizji, jak grają w golfa. W niedziele.

- To już byłby szczyt wszystkiego.

- Faceci z brzuskami. W gabardynowych spodniach. I ze stale rosnącymi włosami na ramionach.

- Daj spokój, Franny. Ciarki mnie przechodzą.

- Faceci wycinający nożyczkami włosy z nosa.

- Evan nie miał włosów w nosie.

- Skąd wiesz?

- Są też kobiety.

- Aaaa, to byłaby spora odmiana dla Guya. Najpierw Pan Macho, potem Pani Drwal.

- Gdy chodziłam na randki z największymi oferantami w Ameryce, zastanawiałam się nad kobietą. To nie byłby głupi pomysł. Nie trzeba by się było spierać, na jaki film iść do kina, ani powiełać garderoby...

- I co cię powstrzymało?

- Nie jestem lesbijką, to po pierwsze... a po drugie, trzeba by nosić jednocześnie i spódnicę, i spodnie.

- To racja. Ale faktem jest, że to, co w mężczyznach złe, jest zarazem dobre. Oni nie mówią bez przerwy. Nawet jak się chce, żeby mówili więcej, to i tak nie mówią bez przerwy. Zdarza się, że i ja nie chcę o czymś mówić. Jakby się było z inną kobietą, ona wyczułaby, co cię dręczy, i chciałaby o tym mówić i ty byś chciała o tym mówić, i...

- Hank też tak uważa - przyznaje True.

- I w ten sposób znowu wracamy do Hanka. Ma wady, może i dużo wad i może trzeba w nim wiele zmienić. Ale ty go kochasz. On jest ojcem Guya. Sama to powiedziałaś. Jest ojcem Guya. I ojcem małości. Sprawiałaś, że Guy go zaakceptował, nosisz jego dziecko i

pozwalasz mu odejść. Dosłownie piętnaście minut po tym, jak go dostałaś.

- Dostałaś?

- Nie w sensie zdobycia podstępem. Ale mamy z nieba. Chcę powiedzieć, że zdajesz się nie doceniać faktu, że jesteś w ciąży!

- Nie mów! - True spogląda na brzuch, udając przerażoną. - O Boże! Masz rację! Jestem w ciąży! I co ja teraz zrobię?

- Nie wygłupiaj się, True. Powiedz mu: „Wracaj do domu, wszystko ci przebaczyłam”. Albo przynajmniej: „Wszystko zostanie wybaczone, jeśli oboje nad tym popracujemy”.

- Daj spokój! Już mnie to męczy. Hank wielkim dobrodziejstwem dla nieszczęsnej True, ostatnia stacja benzynowa przed bezkresną pustynią. Hank ma swój udział... zrobił głupstwo. Nie mówię, że mnie bił. Ale zrobił coś, czego nie da się naprawić. W każdym razie nie bez dużego wysiłku, na który wcale nie ma ochoty. To wszystko... trzeba rozmawiać, Franny. Jak sama wspomniałaś. Czasami trzeba rozmawiać. Hank tego nie znosi. Jest głupim dzieckiem. Miłym, przystojnym, mądrym, utalentowanym... głupim dzieckiem.

- Nieprawda. Jest mądrym... dzieckiem. Jest dobrym człowiekiem. Jest pracowity. Jest szczerzy. A ja znam ciebie od dwudziestu dwóch lat. Wiem, co się z tobą działo, jak go poznałaś...

- To była żądza, a żądza jest inspirująca. Chcesz się utożsamić z drugą osobą. Chcesz w nią wniknąć.

- To także miłość.

- Franny, on chce być wolny. Mówił mi to na tysiąc sposobów. Nigdy nie wiedział, czego chce. Gdyby było inaczej, to gdzie są kartki? Wieczorne telefony? Maile pisane w pijackim widzie?

- Nic z tych rzeczy?

- Nic, Franny. A ja tego - przynajmniej! - oczekiwałam. Ale skoro nic, to rozumiałam. Robi się późno. Moja była - zapewne wkrótce - teściowa dojdzie do wniosku, że nie chcę się z nią spotkać.

- Pomyśl nad tym, True.

- Staram się myśleć. I staram się nie myśleć. Wypłakałam już wszystkie łzy.

- Potrafisz być jędzą.

- Ty też.

- Ale na początku małżeństwa nie byłam jędzą.

- Ja też nie byłam jędzą, kiedy pierwszy raz wychodziłam za męża, za Petera. Nigdy



mu się nie przeciwstawiałam. Ale teraz jestem dorosła. Mam swoje zdanie. Mam...

-...w sobie złość. Z połowy życia. Którą obracasz przeciwko niemu. Sprowokowałeś go... żeby zrobił... coś okropnego.

- Zgoda. Ale on powinien wiedzieć, że ludzie to robią. Że prowokują innych, by dowiedli swojej miłości.

- Czyli żądałaś dowodów.

- To ludzka rzecz - wzdycha True. - Większość ludzi tak robi. Ci, którzy czują się zagrożeni. Głupi ludzie, czyli większość.

- Kochanie, nie to miałam na myśli.

- Może być i tak, Franny. Jestem gotowa przyznać się do pomyłki. I przyznałabym się, gdyby dał jakiś znak. Wycofałam się ze wszystkiego, co na początku robiłam źle, i to czterysta razy. Czy na początku nie złościłaś się na Steve'a? I czy nadal tego nie robisz?

- Naturalnie, że robię. Ale my jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat. Steve przyzwyczaił się do mnie. Nigdy nie jestem taka niedobra jak ty. Posłuchaj mnie. - True odtrąca rękę Franny i uruchamia samochód. - Naprawdę jesteś niedobra. Potrafisz zaostrzyć strzałę i umoczyć ją w truciźnie. Oj, potrafisz. Ale uważaj. On nie pasuje do tej trucizny. Jesteś na niego wściekła, bo inne kobiety na niego patrzą. Powinnaś być z tego dumna...

- Nie! Wcale nie! Tak było kiedyś. Teraz jestem na niego wściekła za to, że jest ostatnim głupcem. Dlaczego ja mam być z niego dumna? To on powinien być dumny ze mnie! - wykrzykuje True.

- A nie jest? Zachowuje się tak, jakby był. Wszyscy to widzimy! Czy koniecznie musisz udawać ślepa? Czy to geny Kathleen mówią ci, żebyś się nie doceniała?

- Nie! Na litość, Franny. Nie! Gdyby przyznał się do błędu i okazał dobrą wolę, dawno byłoby po wszystkim. Chcę, żeby przyznał, że źle postąpił! Czy to za wiele?

- Wiesz, że nie. Z pewnością na to zasługujesz. Przynajmniej na to zasługujesz.

Parkują przed Espresso Yourself i widzą siedzącą w środku Clothilde - srebrne włosy spięte w kok z tyłu głowy, palce w srebrnych pierścionkach splecione przed nią na stoliku. Clothilde spogląda znad filiżanki z herbatą, dostrzega wchodzącą True i wyciąga do niej rękę.

- Pamiętasz Franny? - pyta True. - Moją przyjaciółkę?

- Miło panią widzieć - mówi Clothilde, ale nie wygląda na zadowoloną. Widać, że jest zmieszana. - True - mówi miękko. - Est-ce cjue okay discuter de quelque chose avec...? (Czy to w porządku rozmawiać w obecności...). True jest moją bliską przyjaciółką. Moją najlepszą - Oui - odpowiada Franny. - True est ma bonne amie. Ma meilleure amie\*\*. A francuski był głównym przedmiotem, który zdawałam na zakończenie szkoły.

- Przepraszam, że zachowałam się nietaktownie - mówi Clothilde. - Wręcz niewybaczalnie. Cela ne s'est dit pas. Wybacz, Franny. Ale to wszystko... - kładzie rękę na piersi - jest takie bolesne.

- Była pani zdenerwowana, lecąc samolotem? - pyta przyjaźnie Franny. - W styczniu mamy polecieć z mężem do San Diego na zjazd rodzinny i wcale nie jestem przekonana, czy będę miała dość odwagi...

- Dziwne, ale nie - zaczyna Clothilde. Jej powolny, śpiewny głos sprawia, że każdy zwykły dźwięk brzmi teatralnie. - Nigdy nie przepadałam za lataniem i kiedy dzieci były małe, a mój mąż pojechał do Ameryki Południowej, umierałam ze strachu, póki nie wrócił bezpiecznie do domu. Ale teraz czuję, jakbym wymierzała policzek tym niegodziwcom. To jak wyzwanie. - Uśmiecha się szeroko do synowej. - Dziecko! Tak jak przepowiedziała maman.

- I to prawdopodobnie tej samej nocy. Jeśli nie trochę wcześniej.

- Czy francuski jest pani językiem ojczystym? - pyta Franny.

- Ma/s, nie! Nie mówię nawet biegle. Po prostu tyle lat przy Hanku... to znaczy przy Gusie. Poza tym jego matka mieszka z nami od wielu lat.

- Czy sprawdza się taki układ? - pyta Franny.

- Musiałabyś znać Winston - uśmiecha się True.

- Zawsze się sprawdza. Nie ma wyboru. - Clothilde wzrusza ramionami. - Tam... skąd pochodzimy, tylko niegodziwcy oddają rodziców do domu starców.

- Guy straszył mnie domem starców zaledwie parę miesięcy temu - mówi True prawie ze śmiechem. - Nie wiem nawet, skąd on wie o czymś takim.

- Jest na ciebie zły - mówi poważnie Clothilde. - Chce, żeby tata wrócił do domu. Nie rozumie, dlaczego nie porozmawiasz z Hankiem i dlaczego nie odpowiadasz na jego listy.

True czuje przyływ wściekłości.

- Wiesz, mamo, Guy mówił też różne rzeczy, zanim się pobraliśmy. Poza tym nie było żadnych listów ani telefonów z wyjątkiem grzecznych rozmów dotyczących spotkań z Guyem. Guy jest dzieckiem i nie rozumie wszystkiego, co odczuwają dorośli. I nawet nie chcę, żeby rozumiał. Gdyby to rozumiał - dodaje ostrym tonem - byłby bardziej zły na Hanka niż na mnie. Hank mieszka z Adele. Wiesz o tym?

- Nie! - wykrzykuje Clothilde. - Niemożliwe!

- Tak. Mówi, że są jedynie przyjaciółmi, ale jak możesz sobie wyobrazić, trudno tolerować...

- Ależ naturalnie...

- I nawet jeśli z jego strony jest to tylko przyjaźń i opiekuńczość, to z jej strony jest to miłość. A gdyby nawet nie, to dlaczego nie okazuje takiej samej opiekuńczości własnej ciężarnej żonie i synowi?

- Nic o tym nie wiem. Hank nic nie powiedział.

- Wstydzi się - mówi True. - I słusznie.

- Z drugiej strony tak bardzo się starał wynagrodzić ci... - zaczyna Clothilde.

- Wcale się nie starał - mówi True. - Może tylko mu się wydaje, że się starał.

- Może - stwierdza Clothilde. - Może rzeczywiście. Niech ją diabli, myśli True, nic nie rozumie.

- Sądziłam, że Hank wszystko wam opowiedział - zagaduje True.

- Tak nam się wydawało.

- Jestem przekonana, że jest mu równie przykro jak mnie.

- Jest mu przykro, ale mówi, że nie chce wrócić. Uważa, że nie można wymusić miłości - mówi smutno Clothilde.

True czuje, że robi się jej niedobrze, ale odpowiada:

- Myślę, że ma rację.

Zwykle nie potrafi przywołać obrazu twarzy Hanka na dłużej niż ułamek sekundy, ale teraz widzi go wyraźnie w niebieskiej batystowej koszuli, którą miał na sobie tamtej zimowej nocy przy barze. Obraz jest tak szczegółowy i stabilny, jakby patrzyła na olejny portret. Miło jest wygrywać. True pociesza się świadomością, że pewnego dnia znajdzie się poza granicą smutku i zniechęci Hanka albo przynajmniej będzie odczuwać obojętność - taką samą, jaką odczuwa wobec Evana, obojętność graniczącą z irytacją, tak jakby pamięć zajęta przez Evana była jedynie stratą miejsca na twardym dysku.

- Nie sądzę, by miał rację albo żeby pani miała rację, pani Bannister - wtrąca Franny.

- Clothilde.

- Nie widziałaś ich, tak jak my, na początku znajomości, Clothilde. To nie była wymuszona miłość.

- Wymusiłam na nim miłość do Guya - przyznaje True.

- Nieprawda. On bardzo kocha Guya. I chcemy, żebyś wiedziała, że niezależnie od tego, co się stanie, chcemy, żeby Guy pozostał w naszej rodzinie i - jeśli to możliwe - ty także. I naturalnie to cher dzieciątko. Nie chcemy, żeby to było adieu, ale au revoir.

- Ja też tego chcę i dla Guya, i dla maleństwa - mówi True tak uprzejmie, jak tylko potrafi. - I chcę, żeby dziecko poznało Bannisterów.

True widzi autentyczne zakłopotanie na twarzy teściowej i żałuje, że nie może położyć

głowy na jej kolanach. Ale wie także, że każda z nich musi stać po przypisanej sobie stronie, że Hank jest synem Clothilde, tak jak Guy jest jej synem, że nic nie będzie ani powiedziane, ani zrobione inaczej.

- Muszę wracać - mówi Clothilde - i zwrócić ci syna. Opowiada nam ciągle o zakopanych skarbach strzeżonych przez duchy czarnych panter i przysięga, że on i GUS znajdą taki piracki skarb. O piątej mamy samolot. Czy pozwolisz mi czasami nas odwiedzić, True?

- Oczywiście.

- Jest taki utalentowany i taki... kochany.

- Rzeczywiście.

- Myślę, że gdyby stracił drugiego ojca...

- Proszę, Clothilde, proszę. Nie chcę się smucić jeszcze bardziej, niż muszę, mam.

- Oczywiście. Miałam taką nadzieję, że mój syn... - mówi Clothilde. - Może powinien wrócić tam, gdzie się urodził, bo... ale wtedy trudno byłoby mu widywać się z Guyem, a zanim maleństwo urośnie, minie sporo czasu.

- Czy wszyscy muszą się tak łatwo poddawać? - pyta desperacko Franny. - Gdzie jest Harold Pinter?

- Każdego z nas łatwo zranić - mówi Clothilde, biorąc szal. - Okropnie tu u was zimno, True.

- Mówimy, że dzięki temu dobrze się trzymamy.

- Do widzenia, True, cher, ma belle. Toujours.

Trzymają się w objęciach dłuższą chwilę. Clothilde podaje rękę Franny i odchodzi wolno, pochylając głowę przed wiatrem.

Grudzień

ŚNIEGOWA KULO, TOCZ SIĘ, TOCZ!

Lśniaca pluszowa śnieżka, zapinana na suwak, kryje mnóstwo grudniowych niespodzianek: renifera o rogach pokrytych filcem, rodzinę batwanków - mamę, tatę i dziecko - oraz choinkę, w której spomiędzy gałązek wygląda szop pracz. Do tego czapka wyszywana w renifery i iglaki, z fikuśnym pomponem też w kształcie choinki. A w czapce chowają się dwie pary rękawiczek i dwa szaliki z mięciutkiej wełny dla mamy i dla jej pociechy.

W pierwszych tygodniach grudnia True musi uporać się z natłokiem spraw, z którymi zwlekała aż do ostatniej chwili, bo wcześniej nie wydawały się aż tak pilne albo na ich załatwienie nie miała sił.

Stara się podołać im wszystkim teraz. Ale ciągle brakuje jej czasu. Podczas ostatniego

badania lekarka wyraziła zaniepokojenie ciśnieniem krwi True.

- Trzeba zwolnić tempo - powiedziała. - Nie chcemy chyba doigrać się kłopotów z nerkami. - Istotnie, w moczu True pojawiło się białko. - Jedynym sposobem na pozbycie się zatrucia ciążowego jest zakończenie ciąży, czyli wcześniejszy poród, co jest korzystne dla zdrowia dziecka i pani. A tego nie chcemy. Jeszcze nie teraz. - Lekarka pisze na recepcie: LEŻENIE W ŁÓŻKU ALBO SZPITAL. I mówi z uśmiechem: - Proszę to sobie przypiąć na tablicy korkowej nad biurkiem, obok biurka wstawić rozkładane łóżko i polegiwać parę godzin dziennie. Proszę też nie zapominać o krótkich przerwach w pracy, choć trudno to robić o tej porze roku.

Czując się usprawiedliwiona i pokrzywdzona zarazem, True prosi Esę, by wysłała prezenty, które kupiła dla rodziny Hanka. Podarunki dla Guya są kosztowniejsze niż być powinny i mają charakter rekompensaty: zdalnie sterowany szybowiec, o którym marzył, skórzana kurtka, taka, jaką ma Hank, i dziwaczne urządzenie będące kombinacją fotela z monocyklem, na którym można się przemieszczać do przodu, do tyłu i na boki. Czapkę z króliczej skórki z nausznikami wysłała do Kellena Mertona i cieszy się myślą, że będzie ją nosił, doglądając jałówek i idąc na obchód sadu w mroźny poranek. Dla pracowników zamówiła u miejscowego złotnika wykonane ze srebra logo Dwunastu Podarunków - pudełeczko, z którego wyskakują gwiazdki i miś, otoczone wyrazami, które tworzą nazwę firmy. Kobiety dostaną logo w formie medalika do noszenia na szyi albo na kostce, mężczyźni - w formie spinki do klapy. Każdy z pracowników dostaje także prototypową „paczkę” Pierwszego Roku Poza Domem, chociaż nowa firma nie ruszy przed majem następnego roku, w okresie składania końcowych egzaminów w szkołach i sierpniowych wyjazdów na studia. True pracowała intensywnie nad zaplanowaniem jej zawartości, a wybierając każdy z przedmiotów, zastanawiała się, czy spodobałby się Hankowi. Czy i on wybrałby coś takiego? Niewielkie pudełko zamykane na sprężynowy zamek i wykonane z kutej cynowej blachy może służyć do przechowywania książek albo CD. W każdym takim pudełku znajduje się para eleganckich, robionych ręcznie skarpetek, tak miękkich, że True chętnie wskoczyłaby do pudła ze skarpetkami jak do wanny, słoiczek z maścią kojącą na przeziębienie (o wiele lepszą niż Vicks), paczka herbaty, sześć hermetycznie opakowanych owsianych ciasteczek z rodzynkami wielkości dłoni True i płyta CD z kołysankami, która zawsze znajduje się w pierwszym z Dwunastu Podarunków.

Te znane melodie w nowej, ciekawej aranżacji zawsze działają uspokajająco. Podczas pierwszej nocy w domu studenckim True czuła się obco i nie mogła znaleźć sobie miejsca, choć od domu matki dzieliło ją zaledwie osiem kilometrów. Przestraszona wylewnością i

wyrafinowaniem innych dziewcząt, zapragnęła znowu być dzieckiem i znaleźć się w domu pełnym lamp imitujących lampy z Delft, w kuchni pachnącej krochmalem i kremem z kukurydzy. Leżąc na wąskim żelaznym łóżku, chętnie słuchałaby melodii z tej płyty, nawet wtedy, gdy koleżanki planowały na następny wieczór wypad do klubu studenckiego.

Tylko opatrność i skłonność do samotności sprawiły, że trzeciego wieczoru, siedząc w czytelnicy z nosem w tekście Tołstoja, poznała Franny.

- Jestem stypendystką z Montpelier z Illinois - obwieściła Franny. - Mam kompletnie dość głupawej Sally, głupawej Tracey i głupawej Lindy.

True omal nie rozplakała się wówczas ze szczęścia i nadal czuje się mniej więcej tak samo, jak wtedy. Kierując się impulsem, kazała zrobić medalik i przygotować paczkę z próbkami także dla Franny, która obiecała asystować jej przy porodzie, bo Isabelle doszła do wniosku, że mogłaby stracić przytomność, a True nie sądzi, by w obecnej sytuacji ona i Hank mogli dzielić te chwile tylko we dwoje.

Kilka osób dostanie spinki i wisioriki z logo wykonane ze złota. W spince Rudy'ego tkwi rubin, w wisiorkach Esy, Franny i Kathleen brylanty, dzięki czemu ozdobne drobiazgi nabrały wartości prawdziwej biżuterii. Dla matki True kupiła także długi, dwustronny płaszcz - jedna strona wykonana jest z szafirowego kaszmiru, a druga z miłej w dotyku, pomarszczonej, nieprzemakalnej tkaniny.

W ostatniej chwili kazała także zrobić spinkę dla Hanka i włożyła ją do prototypowej paczki. True ma nadzieję, że Hank się nie obrazi i nie pomyśli, że traktuje go jak pracownika. Nie będzie to też osobisty prezent od byłej żony. Zastanawiała się długo nad kilkoma słowami, które zamierza dołączyć do prezentu. Najpierw napisała: „Ta próbka jest bardziej Twoja niż moja. Mam nadzieję, że Ci się podoba. Porozmawiajmy o tym, czym się będziesz zajmował, gdy firma powstanie. Pozdrowienia, True”. Podarła kartkę i napisała: „Wszystkiego najlepszego, True”. Podarła i napisała: „Wszystkiego najlepszego, True”. Podarła i napisała: „Z życzeniami nadziei i radości, od True”. A potem osobiście, na coraz bardziej obrzmiałych, słoniowatych nogach, poszła nadać paczkę, by uniknąć czyichkolwiek komentarzy.

- Wygląda na to, że ktoś będzie miał bardzo specjalny prezent pod choinką - żartuje kobieta za ladą, wyciągając rękę, by dotknąć brzucha True. Dziecko reaguje ruchem jak wytresowany delfin.

- Jeszcze ze dwa miesiące. Dziecko przyjdzie na świat na świętego Patryka. No, może trochę wcześniej. Czterolistna koniczyna. Mój starszy syn też urodził się w dniu świętego Patryka.

- Poważnie? - mówi kobieta. - Coś takiego! Ja mam czwórkę. Spory brzuch jak na szósty miesiąc i widać, że się już obraża.

- Sześć i trochę - mówi True. - Wesołych Świąt.

- Wesołych Świąt dla waszej dwójki.

Podczas improwowanej, skromnej uroczystości z szampanem i drobnymi ciasteczkami True rozdaje pracownikom prezenty. Vivien i pakowacze są zachwyceni prototypową „paczką”. Harris, emerytowany policjant od niedawna zatrudniony w biurze, który zawsze ma na sobie w pracy sportową marynarkę, natychmiast wpina spinę w klapę.

- Bije na głowę choinkę z lampkami, którą dostałem od żony. - Uśmiecha się szeroko.

- To mi pachnie podstępem - obwieszcza Rudy, otrzymawszy prezent - próbą przekabacenia mnie, żebym wreszcie wydorósł. Ta spinka zdaje się cichym założeniem, że kiedyś będę nosił coś, co ma klapy. Tylko patrzeć, jak będziemy mieli regulamin dotyczący ubioru, piątkowe wieczorki integracyjne i takie rzeczy. Co się stało z naszym starym, dobrym biurem, True? Gdzie te czasy, kiedy panował tu wieczny bałagan i ciągle coś się waliło? Wtedy bardziej mi się podobało.

- Poprawiliśmy się, Rudy - mówi True. - Musimy stanąć na wysokości zadania. Nadeszły ciężkie czasy. A ja muszę być grzeczną dziewczynką. Bardzo grzeczną dziewczynką, bo jestem w ciąży, jestem stara i praktycznie samotna.

- Przez tę wojnę nie wyjedziemy przynajmniej do San Diego. - Rudy wydyma wargi. - Keith nie chce mieszkać na wybrzeżu. Uświadomiłem mu, że obecnie także mieszkamy na wybrzeżu. Ale on uważa, że obce wybrzeże byłoby bardziej przerażające.

- To najpiękniejszy prezent, jaki mogłeś mi ofiarować. Nie powiem, że mi przykro, Rudolfo - pociesza go True. - Potrzebuję cię tutaj. Zwłaszcza teraz. Czuję, że będzie mi bardzo trudno.

- Wiem i też się cieszę, że tutaj będę. Ponadto, True, jest mnóstwo ludzi, którzy w ogóle nie mają pracy. Uważam się za szczęściarza, że mam robotę, i to taką, którą kocham. I żebyś wiedziała, True, nigdy nie chciałem cię opuścić. Przy dochodach Keitha radzimy sobie całkiem nieźle. Ale można oszaleć przez to pomieszanie poczucia winy z poczuciem wdzięczności.

- Rzeczywiście. Wyobraź sobie, jak się czuję. Jestem taka szczęśliwa z powodu tego, co noszę w sobie, i taka smutna z powodu wszystkiego, co mnie otacza.

- Wszystkim jest ciężko.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Wszystkim jest ciężko. True się uśmiecha.

- Skończyłaś z nim?

- Nie. Nawet się z nim nie rozwiodłam.

- Przysięgałaś mi tu, w tym pokoju, że jak każda kobieta potrafisz w ciągu dwudziestu jeden dni dość do siebie, gdy cię facet zostawi. Esa twierdziła to samo. Nazwałyście to „planem dwudziestu jeden dni”. Białe wino, album Blue Joni Mitchella...

- Nie nadaję się do popijawy i nie mogę wytrzymać aż tak długo bez ruchu, żeby wysłuchać całej płyty, bo mi nogi puchną. To było dawno temu. Ale rzeczywiście tak mówiłam. Nie wiem, Rudy. Może on jest miłością mojego życia. A może już tak stetryczałam, że nie pamiętam, jak to było z innymi.

- Keith jest wielką miłością mojego życia i jesteśmy ze sobą od sześciu lat, ale nadal sądzę, że mógłbym się otrząsnąć, gdyby mnie odtrącił.

- On mnie nie odtrącił. To ja go odtrąciłam. Odtrąciliśmy się wzajemnie. Albo może ja chciałam być pierwsza...

- Znam to uczucie.

- Poza tym... otrząsam się. Nie myśl, że jestem skończona. Popatrz tylko: prowadzę interes, jestem bardzo aktywna... całkiem nieźle radzę sobie z prezentowaniem mojej zaokrąglonej sylwetki na mieście. Nie wyglądam na osobę mającą kłopoty, prawda?

- Nie. I to jest wspaniałe. Ale czy rzeczywiście nie czujesz, że masz kłopoty?

- Czuję się napiętnowana. Jakbym zrobiła coś złego, czego nie zrobiłam.

- To fatalnie. Ale znakomicie się maskujesz. Jakbyś nieustannie rodziła nieślubne dzieci.

- Usiłuję robić dobre wrażenie. I cieszę się, że mi się udaje.

- Zawsze zamierzasz... być taka? - pyta Rudy.

- Jaka? Taka gruba?

- Nie. Taka spokojna i miła? Nie znoszę cię takiej.

- Myślę, że kiedyś wrócę do swoich starych sztuczek.

- Pamiętasz, jak wyrzuciłaś drukarkę przez okno?

- Tak.

- I jak powiedziałaś stolarzowi, żeby się wypchał trocinami?

- Tak.

- Uwielbiam cię, True, ale teraz nie mogę z tobą wytrzymać. Jesteś o wiele bardziej... opanowana i łagodna niż kiedyś. Równie zabawna jak panie z kółka różańcowego, które spotykają się u mojej matki.

- Przykro mi. To z pewnością sprawa hormonów - True milknie. - Jeśli chcesz znać



prawdę, Rudy, chce mi się czasami wyc po nocach i wrywać sobie włosy z głowy. Ale ponieważ nie mogę, więc tego nie robię. Myślę o nim dziesięć godzin dziennie. Gubię okulary i kluczyki do samochodu. Zatrzymuję się pośrodku pokoju i nie pamiętam, po co.

- I nie wiem, czy w prawo, i nie wiem, czy w lewo. Można się było spodziewać, że Rudy'emu zaraz przyjdzie

do głowy piosenka Stephena Sondheim'a.

- Właśnie! I czy powiedział, że kocha tak siebie? Czy ja po prostu mam źle w głowie?

- Gdybym nie był gejem, True, tobym się z tobą ożenił. Mielibyśmy dzidziusia Adama i... i może dzidziusia Ruth.

- Esa też mi powiedziała, że by za mnie wyszła. Gdyby była lesbijką. Tamtej nocy, kiedy zakopaliśmy się w zaspie. Kiedy poznałam Hanka. Gdyby nie te przeklęte preferencje płciowe, byłabym najlepszą partią w mieście.

- Mówię poważnie.

- Wiem. Traktuję to jak komplement, Rudy. Jesteś jednym z najprzyzwoitszych ludzi, jakich znam. Do tego diabło przystojnym. Byłbyś - będziesz - znakomitym ojcem.

- Keith twierdzi, że byłbym znakomitą mamusią - mówi żałośnie Rudy.

- To komplement. Bo kim jest znakomity tatuś? Znakomitą mamusią z prąciem. - Rudy śmieje się, a True przypomina sobie, jak Hank pocałował Guya w policzek przed barakiem, gdzie stary koniarz porozwieszał lampiony jak na Mardi Gras.

- Przykro mi, że nie możemy pojechać na przedstawienie do Nowego Jorku, True.

- Nie ma sprawy, Rudy. My pojedziemy samochodem i zatrzymamy się w hotelu. Guy chce, żeby był room service i Nintendo.

- Chodzi o to, że... Keith uważa, że Radio City będzie następnym celem.

- O tak, jestem przekonana, że Rockettes\* zawsze obrażały uczucia fundamentalnych muzułmanów.

(grupa tancerek występująca w nowojorskim Radio City Music Hall).

- Nareszcie, True. Nareszcie przez chwilę byłaś sobą.

- To dobrze. Bardzo się cieszę.

- Ale teraz już nie jesteś.

- Rudy - mówi True. - Przecież staram się, jak mogę.

Pewnego ranka Kathleen sortuje pocztę, a True leży na składanym łóżku i przeprasza klienta, który otrzymał listopadowy podarunek później niż powinien, obiecując włożyć do następnej paczki dodatkową kołderkę jako rekompensatę za opóźnienie. Skończywszy rozmowę, True dostrzega kopertę zaadresowaną znajomym pismem. Patrzy, jak Kathleen

rozcina ją i odkłada na bok. True wstaje.

- Podaj mi ten list, mamó - mówi.

Kathleen mierzy córkę uważnym spojrzeniem i wręcza jej kopertę.

To list od Hanka. A właściwie kilka słów.

„Droga True, pisze Hank, wydaje mi się oczywiste, sądząc z tego, co mówisz i robisz, oraz z tego, czego nie mówisz i nie robisz, że w Twoim odczuciu jesteśmy na dwóch drogach, które nigdy się nie spotkają. W porządku. Nie będę zabiegał o rzeczy niemożliwe. Powtarzałem swoje wielokrotnie. Nie zaakceptowałaś tego. Ale nie myśl sobie, że uda Ci się odsunąć mnie od dzieci. Wołami nie dam się odciągnąć od Guya i od małenstwa. A więc niezależnie od tego, co zamierzasz, nie snuj planów w tej sprawie”. I podpis: „Twój na zawsze, Hank”.

A więc mamy i to, myśli True.

- Co pisze? - pyta Kathleen, nie odrywając wzroku od pliku listów.

- Pisze, że kocha mnie nad życie, załuje każdego gorzkiego słowa, które kiedykolwiek wypowiedział pod moim adresem, i pragnie, żebyśmy zaczęli wszystko od początku - odpowiada True.

- Tak? - Kathleen patrzy spod oka. - I wierzysz mu?

- Nic nie pisze, mamó. Kompletnie nic - przyznaje True.

- Tak też myślałam. Lepiej trzymaj się od niego z daleka. Pewnie tak zrobię, myśli True. Gładzi podpis Hanka, przedziera list na pół, jeszcze raz na pół i wyrzuca go do śmieci.

Następnej soboty, gdy Hank przychodzi po Guya, True informuje go chłodno, iż wolałaby, żeby chłopiec nie spędzał z ojcem zbyt dużo czasu poza domem, póki nie skończą się przedstawienia.

- Rzeczywiście nie najlepiej wygląda - przyznaje z oporem Hank.

- Jest bardzo zmęczony. To wymagająca rola i... niezależnie od tego, co sądzisz, jestem przekonana, że sytuacja między nami ma wpływ na jego samopoczucie.

- Może i racja. Ale chciałem cię zapytać, czy Guy mógłby pojechać ze mną do moich rodziców. Nie na Boże Narodzenie, tylko na tydzień między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem? Nowy Rok to w Luizjanie wielkie wydarzenie. Fajerwerki, parady i tak dalej.

- Zastanowię się - mówi True. - Zbliży się... wiesz, co... - Jeszcze co najmniej miesiąc!

- Niby tak. Planowaliśmy wprawdzie wstępnie, że na ten tydzień pojedzie do drugich dziadków, do Montany. Nie wiem jednak, czy zechcę, by właśnie teraz leciał dokądkolwiek sam.

- Przecież ja z nim będę. I zapłacę za podróż.

- Myślałam, że pojedziesz na święta do domu.

- Nie, zostanę tutaj, restauracja będzie otwarta, poza tym... przyjaciele zaprosili mnie na pierwsze święto.

- Świetnie - mówi True. - Tom? Adele?

- Nie. Przyjaciele. Mieszkają na Północy.

- Ach, tak.

Hank wychodzi, a True myśli: Nie powiedziałam żadnej z tych rzeczy, które chciałam powiedzieć. Żadnej. Mogłam powiedzieć: „Posłuchaj, nie wyglądasz najlepiej, ja też kiepsko się czuję, a było nam tak dobrze, zanim doszło do tego z Adele. Dlaczego więc nie porozmawiamy? Guy bardzo się martwi. Może poddaliśmy się zbyt pochopnie? No i dziecko, które noszę w sobie, a wcale o nim nie rozmawiamy”. Dlaczego, myśli True, ludzie nie mówią ze sobą o tak ważnych sprawach, dlaczego pozwalają wysychać klejowi, który ich łączy, by wreszcie wszystko rozpadło się na dobre? True widziała, jak to się dzieje, na tysiącu filmach. Może taka jest ludzka natura. Ale czy także jej natura? Czy jest tak zaprogramowana, że musi powstrzymać się - zawsze, z wyjątkiem Guya - przed wyrażeniem niektórych uczuć, niektórych prawd? Nigdy przedtem, do czasu ostatnich wydarzeń, nie pozwalała sobie rozmawiać swobodnie nawet z Esą czy z Franny - w gruncie rzeczy narysowała wokół siebie linię graniczną, której nawet najbliżsi nie mogli przekroczyć.

True szuka numeru telefonu pediatry Guya, myśląc o przesadnej oszczędności matki po śmierci ojca, o tym, jak wydzielala każdy kęs i jej, i Dogowi, jak onieśmiala ich lekkim ruchem głowy, gdy mieli ochotę na dokładkę. Nic dziwnego, że True, ledwie poczuła się wolna, ledwie zamieszkała w akademiku, jadła do pierwszych mdłości, opychała się lodami, pochłaniała całe torby tłustych chipsów. Czy wszystkie wdowy tak się zachowują? Ona taka nie była. Nawet w najtrudniejszych chwilach nie robiła niczego, przez co Guy mógłby się poczuć brzemieniem, intruzem. A może robiła? Nie. Ona i Dog nazywają siebie pierwszym pokoleniem ludzi rozsądnych.

Dlaczego matka jej nie przytuliła, dlaczego nie wzięła jej i Doga do swojego łóżka, gdy nocą oboje słyszeli przez cienkie ściany domu w Amherst jej płacz? Dlaczego nie czuli, że wolno im pobiec do niej i ją pocieszyć? Kathleen nigdy nie pozwalała się pocieszać.

Teraz i ja nie pozwalam się pocieszać, myśli True. Zapewniam wszystkich, że świetnie się czuję, z każdym dniem lepiej. Wykonuję codzienne obowiązki spokojnie i dokładnie. Chodzę do szkoły rodzenia z Franny, nie okazując zażenowania. Powtarzam wszystkim - poza najbliższymi przyjaciółmi - że nie dbam o Hanka. Jak to jest, że czerpię siły z ich wiary w tak wierutne kłamstwo?

True telefonuje do pediatry. Mówi pielęgniарce, że Guy źle się czuje, i umawia się na spotkanie z lekarką. Ta przepisuje żelazo i łagodny antybiotyk na coś, co wygląda na początek infekcji ucha, przyznając jednocześnie, że samopoczucie Guya jest dla niej zagadką. Pyta, czy w domu dzieje się coś, co może powodować napięcia psychiczne. True zmusza się, by odpowiedzieć twierdząco. Lekarka mówi, że stres może być jednym z czynników, ale jeśli stan Guya nie poprawi się zdecydowanie do końca tygodnia, zleci badanie krwi.

- Zróbmy to od razu - nalega True.

- Nie - mówi stanowczo Guy. - Nie dam się unieruchomić w łóżku, póki nie będę musiał. Na pewno wydobrzeję.

A jednak nocami Guy narzeka na bóle brzucha i ogólne osłabienie. True dochodzi do wniosku, że szkoła i codzienne przedstawienia w Teatrze Rodzinnym są dla syna nadmiernym obciążeniem. Ustala z dyrektorem szkoły, że Guy będzie mógł dłużej pospać parę razy w tygodniu, a stracone lekcje nadrobi w domu.

W ten poniedziałkowy wieczór Jedyna, jak bodaj wszystkie lokale w mieście, z wyjątkiem restauracji sieciowych, jest nieczynna. Niektóre restauracje zostały już nawet zamknięte na cały okres zimowy.

Tego wieczoru ma się odbyć „ognisko” - stara i szczególna tradycja, której pochodzenia tak naprawdę nikt nie zna. Okoliczni mieszkańcy gromadzą się na plaży Hatter Beach, a na kamiennym kręgu, który istnieje, odkąd True sięgnie pamięcią, leżą sterty drewna wyrzuconego przez morze, bierwion i niemalowanych krzesel. Stos nadających się do spalenia rzeczy sięga siedmiu metrów. Każdego roku grupa obywateli apeluje o zaniechanie przedsięwzięcia w imię bezpieczeństwa i ochrony środowiska, ale obyczaj wciąż jest podtrzymywany. Szef straży pożarnej rozlewa trunki, ludzie przynoszą ziemniaki i pieką je w ogniu, a potem zjadają z solą i sosami, dostarczonymi przez panie z Saint Thomas More. Z jakichś powodów dzieci uwielbiają to rytualne rozpoczęcie sezonu świątecznego i Guy, który wydaje się True wyjątkowo mizerny z podkrążonymi oczami, prosi, by poszli na plażę choć na krótką chwilę.

- Nie musimy czekać, aż rozpoczną się chóralne śpiewy i tak dalej - mówi Guy - ale byłoby dziwnie nie iść na ognisko.

Tak więc o szóstej po południu True, Esa i Guy ubierają się ciepło i wyruszają. Koce leżą na tylnym siedzeniu. Już po drodze pierwsze, suche i drobne, płatki śniegu topią się na przedniej szybie samochodu. Guy jest zachwycony.

- Może na Boże Narodzenie będzie śnieg, mamusiu - mówi. - Prawdziwy, a nie taki, co się zaraz topi.

- Mieliśmy taki śnieg zeszłego roku - mówi Isabelle. - Pamiętasz? Myśleliśmy, że nigdy nie przestanie padać.

Już na plaży cała trójka siada na kocach. Isabelle promienieje szczęściem. Za parę dni Douglas wróci do domu i spędzą pierwsze wspólne Boże Narodzenie w nowym, małym domku. True próbuje unikać daleko idących porównań. Myśląc o spotkaniu Esy i Douglasa po długiej rozłące, wyobraża sobie jednak, jak ona i Hank mogliby, nawet teraz, planować swą pierwszą Gwiazdkę albo projektować radosny pokój dla Brewstera czy Chloe, Gwynevere albo Emory. True niczego jeszcze nie przygotowała dla dziecka - częściowo z powodu lęku i zabobonów. Kupiła tylko kosz dla niemowlęcia, który będzie stał obok jej małżeńskiego łóżka. Stara się trzymać myśli na wodzy i patrzeć tylko przed siebie, bo inaczej załamię się i zacznę się nad sobą litować. True uważa, że jej przygnębienie mogłoby mieć wpływ na osobowość dziecka, sprawić, że byłoby smutne i pozbawione uczuć.

Wokół ogniska na Hatter Beach zgromadziło się dwieście albo i więcej osób. Gdy pierwszy pióropusz ognia strzela w górę, rozsiewając snopy iskier i rzucając smukłe cienie, True dostrzega Hanka stojącego nieopodal w towarzystwie mężczyzny i kobiety. True wie, że Hank jej nie widzi. Trzyma ręce w kieszeniach, kaptur bluzy ma zsunięty z głowy. Hank śmieje się z czegoś, co powiedział mężczyzna. Kobieta to nie Adele.

Oto dlaczego True nie może spytać Hanka, czy mógłby jeszcze raz wszystko przemyśleć - boi się, iż jej powie, że ma się dobrze i świetnie sobie radzi, że wraca do równowagi. I że jest teraz, właśnie to zrozumiał, szczęśliwszy. Co True wtedy zrobi? Załamię się? Da mu krzyżyk na drogę? Nie ma wyjścia. Ceną miłości obwarowanej warunkami jest konieczność przewidywania zagrożeń.

Przyglądając się teraz Hankowi, True po raz pierwszy patrzy na niego obiektywnie. Nigdy nie mogła zrozumieć powodu rozwodów gwiazd filmowych. Wydawało jej się, że sama uroda i życie pełne wrażeń potrafią wynagrodzić takie ujemne strony, jak niewierność czy naruszenie nietykalności osobistej. Teraz wie, że jest zdolna patrzeć na Hanka, nie utożsamiając go z ideałem piękna i źródłem jej szczęścia. Patrzy na niego jak na człowieka o naturze łatwej tylko z pozoru, na człowieka, który angażuje się tylko w takie wydarzenia, dzięki którym może pokazać się z dobrej strony.

True patrzy na swojego Hanka i... nie czuje nic.

To istotny zwrot w jej odczuciach. Ledwie True uświadamia to sobie, Hank, nomen omen, niknie w tłumie.

Guy wyrzuca upieczonego w ognisku ziemniaka, co nie martwi True, bo jej zdaniem szerniałe bulwy maczane w sosie z octem winnym mogą jedynie popsuć żołądek.

W nocy Guy znowu wymiotuje. True mierzy mu temperaturę. Trzydzieści dziewięć stopni z kreskami. Matka zawsze jej powtarzała, i słusznie, że gorączka świadczy tylko o tym, że natura robi swoją robotę, i obniżanie jej u dziecka, gdy nie przekracza trzydziestu dziewięciu stopni, to gwałt na strategii organizmu. Ale Guy nie wygląda dobrze. True jeszcze raz mierzy mu gorączkę i znów jest trzydzieści dziewięć i cztery. Guy ma skórę wilgotną i bladą. True daje mu paracetamol, stara się nie panikować i czeka, leżąc obok niego na łóżku, póki gorączka nie spadnie, a pościel nie stanie się wilgotna od potu syna. Nie wydaje się to prawdopodobne, ale może lekarka, znająca Guya od chwili obrzezania, nie poznała się? Mówiła jedynie o infekcji. O niczym więcej. O przemęczeniu.

Rano Guy czuje się dobrze, choć jest blady i słaby. True dochodzi do wniosku, że organizm rzeczywiście zwalczył wirusa.

- Coś mnie boli w brzuchu, mam - mówi Guy. - Tata powiedział, że tańcząc, mogłem naciągnąć mięsień pachwiny i mogę mieć przepuklinę.

O tym True nie pomyślała. Wrzuca torbę Guya z nutami oraz butami do tańca na tylne siedzenie samochodu i wiezie go na ostry dyżur do Harwich, gdzie lekarz mówi, że rozumowanie Hanka jest słuszne, choć nie do końca.

- Ból występuje nie po tej stronie, po której znajduje się wyrostek - wyjaśnia młody człowiek. - Natomiast w przypadku przepukliny byłby znacznie silniejszy. Myślę, że pani ma rację, to infekcja. Proszę podawać chłopcu dużo płynów. I niech odpoczywa.

Ale Guy, jako Przebiegły Spryciarz, musi przez cały wieczór skakać i pląsać na scenie Teatru Rodzinnego. Po przedstawieniu Kitt podchodzi do True.

- Co się dzieje z naszym chłopcem?

- Myślę, że jest przemęczony. Może ma trochę wycieńczony organizm. Nie pilnowałam ostatnio, tak jak powinnam, podawania witamin i diety.

- Z moich doświadczeń z dwójką dzieci... widać po oczach, że coś mu dolega.

- Wiem, co masz na myśli.

O drugiej w nocy Guy budzi się i chce wymiotować, ale nie ma czym. True robi mu zimny okład i daje do picia piwo imbirowe, które syn prawie natychmiast zwraca. Leży w jej łóżku. Gypsy troskliwie liże go po twarzy szorstkim językiem.

- Zwolnię cię z dzisiejszego przedstawienia - mówi True.

- Dobrze.

- Dajmy szansę twojemu zastępcy.

- Dobrze.

Te odpowiedzi bardziej niż cokolwiek innego, co wiąże się z fizyczną niemocą Guya,

wzmagają złe przeczucia True. Guy nie jest typem człowieka, który po zdobyciu wielkim wysiłkiem upragnionej roli chciałby zrezygnować choćby z części sukcesu, z aplauzu publiczności, zachwytu małych dziewczynek w falbaniastych sukienkach z czerwonego atłasu, proszących go o autograf na programie, jakby był prawdziwym aktorem. Do spektakli w Nowym Jorku został zaledwie niecały tydzień, Guy ciężko pracował nad doskonaleniem każdego ruchu stóp w swoim występie, Hank powiedział mu, że na takie przedstawienie, jakie Teatr Rodzinny da w Radio City, przychodzą czasami prawdziwi impresariowie. Gdyby to nie była poważna dolegliwość, Guy zwlókłby się z łóżka, tak jak to czynił już nieraz, i w ciągu godziny zmienił się w swawolnego, małego urwisa.

True odwołuje udział Guya w przedstawieniu. Beatrice i Laura są zdania, że to zmęczenie i skrajne zdenerwowanie przed zbliżającym się występem w Nowym Jorku wzmocnione jeszcze niepokojem, które wszystkie dzieci odczuwają od czasu wrześniowych wypadków. Wszystkim wydaje się, jakby byli w gabinecie luster.

17 grudnia wieczorem, podczas ostatniego przed wyjazdem do Nowego Jorku występu w teatrze w Chatham, Beatrice urządza przedstawienie galowe, którego celem jest pozyskanie sponsorów. True nie znosi podobnych imprez, ale musi wziąć w niej udział. Guy nadal cierpi na napady mdłości, ale upiera się, że chce wystąpić. Poprzedniej nocy spał czternaście godzin.

True musiała dosłownie przekupić Rudy'ego - klapy i tak dalej - by pojawił się wraz z nią wśród darczyńców, których czeki umożliwią realizację przyszłorocznych przedstawień i zajęć. True ma na sobie czarne, odpowiednio szerokie atłasowe spodnie i zapiętą jedynie na dwa guziki satynową koszulę, w której brała ślub, narzuconą na elegancki podkoszulek, wynaleziony nie wiadomo gdzie przez Isabelle.

Wśród gości jest także Elizabeth Chilmark z mężem oraz wielu zamożnych, stałych mieszkańców Cape Cod.

- Świetnie wyglądasz, True - mówi Elizabeth, gdy spotykają się przy barze. - Widać, że jesteś w znakomitej formie.

- Mam niewielki wybór - stwierdza True.

Na twarzy Elizabeth pojawia się przelotny uśmiech.

- Trafnie powiedziane - przyznaje.

- Ty też dobrze wyglądasz, Elizabeth. Zeszczuplałaś, i to ci służy - mówi True.

Elizabeth zawsze była smukłą, teraz jest chuda.

- Korzystam z nowej sytuacji i więcej spaceruję - mówi. - Jestem absolutnie przekonana, że w tym tkwi tajemnica. Lubię... zimowe powietrze. Bardzo lubię. Ostatnio spędzałam... zbyt dużo czasu w pomieszczeniach.

Dokonały transakcji szybko i bez większych ceregieli - True z pewnym żalem, ale i z wdzięcznością, Elizabeth z radością, ale zdecydowanie. Powiedziała, że True może się spodziewać pisemnej informacji o nowych pomysłach dotyczących Dwunastu Podarunków. True stwierdza w duchu, że te sugestie mogą okazać się trafne, więc musi schować swoje ambicje do kieszeni.

W zacisznej sali, gdzie odbywa się aukcja, True i Rudy krążą między wartościowymi przedmiotami, wśród których jest też talon na Dwanaście Podarunków. True przechodzi bokiem do głównej części i licytuje ładny, żółty koc obrzeżony starym napisem: „Wszystko, co mądre i piękne; wszystkie stworzenia wielkie i małe”\*. Rudy z zapalem licytuje rower górski, ale jego cenę kilkakrotnie i beztrąsko przebija niezbyt rozgarnięty syn miejscowego potentata „rybnego”, facet, który prawdopodobnie co miesiąc wydaje na piwo nie mniej niż wart jest przedmiot aukcji. True kupuje naszyjnik z opalu - tylko dlatego, że złota obwódka ognisto-zielonego kamienia przypomina sposobem wykonania jej ślubną obrączkę. Gdy licytacja ma się ku końcowi, True maszeruje z powrotem do stołu, składa podpis na czeku i pokonuje syna krezusa, zdobywając rower górski dla Rudy’ego.

- Nie powinnaś była tego robić - mówi zażenowany Rudy.

- Nie chciałam, żeby go miał, ale teraz musisz przyrzec, że będziesz jeździł rowerem do pracy i wyrabiał sobie mięśnie - mówi True - i musisz mi zwrócić to, co zaoferowałeś, zanim go przebiłam. Reszta to prezent ode mnie.

- Tak, mamusiu - zgadza się Rudy. - Oto i moja True. Zawsze roztropna.

- Pomyśl, co zyskałeś na braku roztropności - karci go True, kładąc głowę na jego ramieniu.

Beatrice zbliża się do True tuż przed rozpoczęciem przedstawienia i odciąga ją na bok.

- Kochanie - mówi - chcę ci powiedzieć, że wszyscy okropnie przeżywamy wasze... kłopoty z Hankiem. Chociaż tak się cieszymy z... twojego odmiennego stanu. Jeśli cokolwiek, co stało się tutaj, ma z tym jakiś związek, mam naturalnie na myśli poprzednie wydarzenia, a nie ostatnie... przykro mi z całego serca.

- Nic by się nie zmieniło - mówi True, otaczając ramieniem szczupłą talię Beatrice, podczas gdy ta nie bez trudu stara się odwzajemnić uścisk.

- Jesteś cudowna, True, tak wspaniale wsparłaś Guya. - Gdy Beatrice odsuwa się, True widzi w jej oczach łzy. - Wiem, że Guy nie czuje się najlepiej, ale wszyscy myślimy, że to z powodu... nadmiernego napięcia - mówi Beatrice.

- Och, Beatrice, to wszystko jest naprawdę... okropne - stwierdza True i zaczyna płakać.



Na szczęście wszyscy obecni pochodzą z Chatham albo z Harwich i są na tyle dobrze wychowani, że tego nie zauważają. True wycofuje się do toalety, zanim światła na sali dwukrotnie nie przygasną.

Franny, Steve i Angelique siedzą obok Rudy'ego i True.

- Czuć zapach pieniądza - mówi Franny sofio voce, gdy gasną światła. - Brylanty świecą jaśniej niż światełka w przejściach.

- Mogę dotknąć dzidziusia? - pyta wzruszająco dziewczęca Angelique. True kładzie jej rękę w miejscu, gdzie najprawdopodobniej da się poczuć jakiś ruch, i Angelique zostaje nagrodzona serią delikatnych wstrząsów, będących wynikiem czkawki maleństwa.

- Ono ma taką samą czkawkę jak my? - pyta cichutko.

- Tak - odpowiada True.

Ujmuje rękę dziewczynki - na paznokciach pomalowanych zielonym lakierem lśnią czerwone gwiazdki - i przykrywa ją swoją dłonią.

- Ja też chcę, żebyśmy mieli dzidziusia - mówi Angelique do Franny.

- Zaczekaj jeszcze trzy lata, wyprowadź się i miej swoje dziecko - mówi uprzejmie Franny.

- Ale ja mówię o tobie i tacie.

- Dzieci mają nie tylko czkawkę, ale także napady dziecięcej złości. A potem trzeba je wykształcić - informuje ją Franny.

- Zobaczymy - uśmiecha się Steve, dotykając ustami szyi Franny tak słodko, że True musi się odwrócić.

Rozpoczyna się uwertura.

Ku zdziwieniu True widownia wstaje, oklaskując Guya po wykonanej przez niego piosence Consider Yourself. True rumieni się z dumy, chowa twarz w dłoniach. Guy nigdy nie wyglądał na silniejszego, a zarazem na bardziej zabiedzonego, zdesperowanego i psotnego. Nigdy nie śpiewał z większym zapalem. True jest zła, ale musi iść siusiu. Gramoli się obok Franny i z trudem przeciska w stronę przejścia. Wróciwszy na widownię, postanawia stać, póki nie skończy się słynna scena przy barze, po której Guy musi uklęknąć i przeturlać Olivera po swoich plecach, bo dopiero wtedy zacznie się przerwa. Na stojąco będzie też lepiej widziała. Posuwa się w ciemności ku barierce przy scenie.

Mały Oliver turla się i turla, czekając, aż Guy skoczy na nogi, obejdzie go tanecznym krokiem, poda rękę Nancy i wytnie z nią polkę.

Ale Guy się nie podnosi.

True robi krok do przodu, ściska barierkę, dotyka brzuchem chłodnego złota - i

dosłownie martwieje.

Guy, najpierw wsparty na kolanach i dłoniach, osuwa się, przywiera do podłogi, wyciąga rękę do Kitt, która w przerażeniu rzuca się ku przedniej części sceny.

- To nie należy do przedstawienia! - krzyczy. - Potrzebujemy lekarza! Czy jest na sali lekarz?

Jest dwudziestu lekarzy.

Ludzie stają w przejściu. True próbuje utorować sobie drogę i biec, o ile to możliwe, ku scenie.

Gdy tam dociera, widzi, jak dubler Guya, z drżącymi wargami, zdejmuje Guyowi kapelusz i wkłada go na własną głowę. Muzyka rozbrzmiewa, jakby nieśmiało, i znowu milknie. Beatrice pojawia się na scenie i wykręcając sobie palce, ogłasza dziesięciminutową przerwę. Tymczasem True biegnie w dół po schodach, potem labiryntem korytarzy, by znaleźć się przy przejściu, gdzie Ellery podaje jej syna pielęgniarzowi. Ambulans jest już otwarty. Dwaj mężczyźni rozkładają nosze niczym składane krzesło.

W izbie przyjęć chirurg, który przedstawia się jako Peter Oudenhoven, wręcza marynarkę od smokingu pielęgniarce i wkłada biały kitel z krótkim rękawem oraz czepek. True klęczy na zimnej podłodze przy głowie Guya, gładzi go po włosach, naciąga koce, którymi pielęgniarz okrył drżące ciało jej syna.

- Daj mi się teraz trochę podotykać - mówi doktor Oudenhoven. - Chyba nie mam zbyt zimnych rąk... ogrzeję je lepiej pod ciepłą wodą. To był dopiero szokujący moment w przedstawieniu, co?... Gil?

- Guy - mówi True. - Znam pana, doktorze. Jest pan mężem Joy Hook, prawda? - True czuje bolesne ukłucie na wspomnienie pierwszej kłótni z Hankiem w kawiarni Joy. - Świat jest mały...

- Istotnie. Z pewnością już się kiedyś spotkaliśmy. Bolał brzuch, tak? - pyta lekarz. Guy kiwa głową. - Weźmiemy cię tam, do pokoju, i położymy na leżance. Ponaciskam delikatnie kilka miejsc, a ty powiesz, gdzie cię boli, zgoda? - Guy przytakuje. - Wymioty? - Guy przytakuje. - Gorączka? - Guy przytakuje. Gdy doktor naciska palcami dół brzucha po lewej stronie, Guy wyje z bólu jak zraniony zwierzę.

- Nie, nie, proszę, nie, boli, boli... - woła.

- Trzeba zrobić tomografię komputerową, pani... Dickenson.

- Bannister - mówi Guy, oddychając spokojniej.

- Musimy zobaczyć, co się dzieje w tej części jamy brzusznej - ciągnie lekarz.

- Czy pan będzie się nim zajmował, doktorze? - pyta True. - Był pan po prostu w

teatrze i...

- Mam pozwolenie na pracę tutaj i chciałbym doprowadzić sprawę do końca. To stara dobra zasada z czasów pracy w wojsku.

- Czy jest pan... czy to pana specjalność? Doktor uśmiecha się, ale bez cienia wyższości.

- Jestem chirurgiem - mówi.

Jechali w środku nocy kołyszącą się i podskakującą karetką, z włączonym kogutem i syreną. Pielęgniarka wkładał wenflon w rączkę Guya, żeby zacząć podawanie soli fizjologicznej zgodnie z przekazywanymi drogą radiową wytycznymi ze szpitala w Hyannis. Samochody zjeżdżały na pobocze. True wielokrotnie w życiu zatrzymywała się na poboczu, zastanawiając się, co takiego dzieje się w oświetlonym wnętrzu karetki, gdzie widać było tylko głowy i kołyszące się aparaty - czy ktoś opuszcza ten świat, czy na niego przychodzi. Kathleen nauczyła Guya wstrzymywać oddech na szczęście, gdy przejeżdża karetką, i łapać się za guzik, gdy przechodzi pogrzeb. Powiedziała mu także, że gdy karetką jedzie z umiarkowaną prędkością i ma tylko włączone światła, a nie syrenę, to znak, że wiezie zmarłego - i że taką karetką wieziono dziadka Berta, gdy wyciągnięto wrak samochodu ze strumienia, taką karetką wieziono też tatę Guya z pobocza drogi do kostnicy. True była zaskoczona, że karetką kołysze się i podskakuje jak mała ciężarówka.

- Czy te pojazdy nie mają amortyzatorów? - spytała młodego pielęgniarkę.

- Ludzie zawsze się temu dziwią. A to przecież nie cadillaki, proszę pani - odpowiedział krótko.

True rusza za łóżkiem na kółkach, na którym Guy zostanie zawieszony do gabinetu zabiegowego, ale zatrzymuje ją pielęgniarka.

- Pani siostry są w poczekalni.

„Ja nie mam...”, chce powiedzieć True, ale w ostatniej chwili gryzie się w język. Mówi Guyowi, że wraca za sekundę, i spostrzega, jak jego oczy „uciekają”, gdy to mówi. Ściąga buty i w samych pończochach drepcze do poczekalni - widzi Holly, Addy’ego, Franny i Steve’a, wszyscy w wieczorowych strojach. Pozostałe osoby siedzące w pomieszczeniu, głównie matki kołyszące kaszlące dzieci, patrzą na nich ze szczerym rozbawieniem.

- Powiedziałyśmy, że jesteśmy jego ciociami - wyjaśnia Franny. - Inaczej nie udzieliliby nam żadnej informacji. Możemy tam wejść?

- Nie sądzę - mówi z niewyraźną miną True. Chciałaby, żeby zostali, ale wie, że miną całe godziny, nim wyjaśni się, co naprawdę jest Guyowi. - Będą mu robić tomografię.

- Może to tylko zaleganie kału. Angie miała kiedyś coś takiego - sugeruje Franny.

- Byłoby dobrze. - True ściska wszystkich po kolei. - Gdzie moja matka? - pyta.

- Nie czuła się na siłach, żeby prowadzić, a w samochodzie nie było już dla niej miejsca - usprawiedliwia się Franny. - Ale przywiozę ją, jak podrzucę Angie. Angie i Clayney siedzą w samochodzie i płaczą. Chcesz tutaj Kathleen?

- Nie - mówi True. - Tak.

- Chcesz, żebym zadzwoniła do Hanka albo do Esy?

- Tak. Do obojga. Najpierw do Hanka.

- Źle wyglądasz, True - mówi Franny.

- Jestem po prostu spocona, bo się spieszyłam - odpowiada True, ale Franny już przywołuje pielęgniarkę, która każe położyć się True na łóżku w izbie przyjęć i nakłada jej na ramię mankiet do mierzenia ciśnienia krwi.

- Proszę się położyć na lewym boku... pani...

- Dickinson - mówi True. - Dlaczego na lewym?

- Wtedy krew łatwiej krąży, a płód się nie męczy - odpowiada pielęgniarka. - Niebezpieczeństwo przy zatruciach ciążowych polega na tym, że łożysko nie zawsze funkcjonuje jak należy.

- To okropnie brzmi - wtrąca Franny.

- Chciałam powiedzieć, że płód nie jest dostatecznie odżywiany, chociaż wydawałoby się, że jest wręcz przeciwnie przy takim zatrzymaniu płynów - ciągnie pielęgniarka.

- Ale przecież nie stwierdzono u mnie zatrucia ciążowego - mówi True do pielęgniarki.

- Pani lekarz nie stwierdził zatrucia? Nie bierze pani lekarstw?

- Nie. Jestem zdenerwowana i spuchnięta. I po czterdziestce. To się zdarza...

- Ja tam nie wiem. - Pielęgniarka odyma wargi. - Pięć lat pracowałam na położnictwie...

- Spójrz na swoje ręce, True - mówi Franny z przerażeniem.

True patrzy na ręce. W ciągu zaledwie paru minut zmieniły się tak, że wyglądają jak obciągnięte gumą, jak wypchane do granic możliwości rękawiczki chirurgiczne. Obrączka wrzyna się w siną parówkę palca.

- Nnnie... Nie wiem, kiedy to się stało. Były spuchnięte, ale nie tak.

- A nie mówiłam? - stwierdza pielęgniarka. - To zwykle staje się nagle.

- Domyślałam się - mówi True.

- Mogę ją przeciąć? - pyta pielęgniarka. - To nie wygląda dobrze...

- Tak, proszę - odpowiada True, czując nagle dotkliwy, ściskający ból. Nawet kostki

toną w obrzmiałym ciele.

Pielęgniarka wsuwa mocne chirurgiczne cęgi pod wrzynający się w ciało srebrny krążek i przecina go - ten sam srebrny krążek, który przed zmniejszeniem był taki wielki, że pasował jedynie na kciuk. True doznaje ulgi. Czuje mrowienie, jakby przemarzniętą dłoń włożyła pod ciepłą wodę. Rozciera okropne wgłębienie.

- Nie mogę znaleźć Hanka. Przecież chodzi o jego żonę i dziecko! - woła Franny, wpadając do środka.

- Powinien był pomyśleć o tym wcześniej - odpowiada True. Nawet w takiej chwili potrafi czerpać z tkwiących głęboko w niej pokładów goryczy. - Nie to miałam na myśli, Franny.

- Ja też byłabym wkurzona! Esa już jedzie.

- Myślałam jedynie... że możemy polegać na nim jako na przyjacielu. Że nie będę musiała go szukać. Spędza Gwiazdkę ze znajomymi. Wiem jedynie, że gdzieś na nartach. Założę się, że nawet Tom nic nie wie.

- Bądź dobrej myśli. Spróbuję jeszcze raz. Esa zaraz tu będzie - mówi Franny.

- Muszę już iść - tłumaczy True pielęgniarce. - Mój synek jest bardzo chory.

- Trochę się poprawiło. - Pielęgniarka przechyla głowę na bok, wsłuchując się w tętno True. - Puls jest wolniejszy.

- Będę bardzo uważać - obiecuje True.

- Chwileczkę! - woła pielęgniarka, gdy True wychodzi. - Nie chce pani tej obrączki?

Podbiega i kładzie rozciętą obrączkę na otwartej dłoni True. Ta wkłada ją do kieszonki koszuli.

- Gdzie może być mój syn? - pyta siostrę, która pojawia się na korytarzu.

- Proszę skrócić w prawo - odpowiada obojętnie pielęgniarka, znikając za przepierzeniem.

Guy jest już prawie gotowy. Leży u wylotu wielkiej białej czeluści tomografu, odpowiednio okryty i ułożony.

- Mamusiu - mówi - już myślałem, że sobie poszłaś.

- Ależ skąd! Mierzyli mi ciśnienie. Czy to nie zabawne? Przecież to nie ja jestem chora!

Guy uśmiecha się słabo, a True przypomina sobie piec, który Baba Jaga przygotowywała dla Jasia i Małgosi.

- Czy mogę tu zostać na czas badania?

- Nie. - Doktor Oudenhoven przepraszącą spogląda na jej brzuch. - Ale może pani

zaglądać do nas przez szybę. Promieniowanie.

- Trzeba to wypić, Guy. - Pielęgniarka podaje Guyowi szklankę czegoś, co wygląda na rozcieńczone mleko. - Większość pacjentów uważa, że smakuje jak lemoniada.

Guy podejrzliwie przełyka odrobinę ciecchy.

- Smakuje jak posolona woda. Czy może pani dodać trochę cukru?

- Nie - mówi pielęgniarka. - Spróbuj to wypić jak najszybciej. Lekarz będzie lepiej widział, co masz w środku. To się będzie w tobie świeciło. Większość pacjentów uważa, że ma smak lemoniady.

- Większość pacjentów jest chyba niemądra - mówi, krztusząc się, Guy.

- Wypij szybko - nalega niewzruszona pielęgniarka.

- Będę świecił w ciemności? - pyta Guy z autentycznym, choć nieco drętym zaciekawieniem.

- Coś w tym rodzaju.

- Spróbuję.

Guy bierze głęboki wdech, ściska palcami nos i pije do dna. W ciągu sekundy zwraca płyn na papierowe okrycie.

- Nie szkodzi - mówi pielęgniarka. - Na pewno coś tam w środku zostało. A może spróbujemy jeszcze raz?

- A może po prostu pozwolicie mi umrzeć? - pyta Guy. Pielęgniarka wyciera Guya i wychodzi na krótką konsultację na zewnątrz.

- Doktor mówi, że wystarczy - stwierdza, używając bezosobowej formy, co zawsze działa True na nerwy. Pojawia się doktor Oudenhoven.

- Nie ma co czekać - mówi.

- Czy będziecie też oglądać jego... genitalia? - pyta True.

- Obejrzymy wszystko, co trzeba. To nie potrwa długo, pani Bannister.

Trwa tak długo, jak posiłek złożony z trzech dań. True ma wrażenie, że doktor całymi godzinami gada przez telefon - pewnie zamawia pizzę - a Guy leży, obciągając palce stóp. True zdążyła pójść i napić się wody, pospacerować, popatrzeć na zegarek, odnaleźć buty i siedem razy zrobić siusiu. Gdy wreszcie siadła na szorstkim dywanie pod drzwiami gabinetu oparta plecami o ścianę, wróciła Franny z kawą i kocem.

- Zimno tu jak na Labradorze - narzeka. - Obawiam się, że przesiedzisz tak całą noc.

Kathleen, wyjaśnia Franny, jest zbyt zdenerwowana, by przyjechać do szpitala.

- Mówi, że to jej przypomina twojego ojca...

- To chore! - mówi True. - Co mają wspólnego wydarzenia sprzed trzydziestu lat z

dolegliwością wnuka?

- Powiedziała jej mniej więcej to samo - odpowiada Franny. - Ale ona się boi, True. To starsza pani. Boi się, jak myślę, że jak przyjdzie do szpitala, to Guy umrze.

- Jestem ci wdzięczna za tę psychoanalizę, panno Freud. I Kathleen, i Hank po prostu się wyślizgują. A moja matka na pewno będzie wszystkim opowiadać, jak to sama omal nie umarła...

- To się zdarza. Niektórzy boją się szpitali.

- A inni boją się zobowiązań.

- Ale ja jestem tutaj. Będę bardziej użyteczna - stwierdza Franny.

- Jak myślisz, Franny, co z nim jest nie tak?

- Może jest rzeczywiście bardzo niedojrzały.

- Boże, ja mówię o Guyu!

- Myślę, że to wyrostek robaczkowy.

- Dlaczego?

- Bo od tygodni źle się czuł, a jak Steve to miał, to mówili, że stan zapalny trwał całymi tygodniami, a wyrostek w każdej chwili mógł pęknąć.

- Co się dzieje, jak wyrostek pęknie?

- Jest kiepsko, bo infekcja rozszerza się na całą jamę brzuszną.

- No i?

- I wtedy się poważnie choruje. A skoro o tym mowa, co tam u ciebie znaleźli?

- Nic. Skoczyło mi ciśnienie, bo się przeraziłam. Poza tym może mam zatrucie ciążowe. Ale są na to lekarstwa.

- Nieprawda. Każą ci leżeć i koniec - mówi Franny. - Moja siostra, Patty, miała zatrucie ciążowe.

- Moja lekarka mówiła co innego - ciągnie True. - Tak czy owak, to nie zagraża życiu.

- Zagraża, jeśli zajdzie tak daleko, że masz ataki. To może zabić i dziecko, i ciebie. Nawet jak nie jest aż tak źle, też jest to niebezpieczne.

- Ja mówię o wyrostku! O stanie zapalnym wyrostka! O wyrostku! Nie wszystko naraz, kochana!

- Nie zagraża życiu? - mówi Franny.

Pojawia się lekarz.

- A więc - stwierdza - miałem rację. - Stojący za nim student kiwa głową. - Pęknięcie wyrostka robaczkowego. Zaraz bierzemy go na salę operacyjną, żeby uporać się z tym jak najszybciej. Siostra Mary da pani do podpisania zgodę na operację - True dostrzega stojącą za

nią pielęgniarkę - i zaprowadzi panią do recepcji, żeby załatwić formalności związane z ubezpieczeniem i...

- Chcę być przy Guyu - mówi True, gryzmołąc nazwisko na dole formularza.

- Może być pani w pokoju zabiegowym, gdy będziemy przygotowywać pani syna do operacji. Dwóch pielęgniarzy wiezie tam teraz Guya z prędkością samochodu wyścigowego podczas Grand Prix.

- Skąd ten pośpiech, skoro to nie zagraża życiu? - pyta True.

- Gdybym wiedziała, że ma pęknięty wyrostek, nie wspomniałabym ani słowem - Franny zagryza wargę.

True zwraca się do lekarza:

- To nie zagraża życiu, prawda?

- Wyrostek pękł... jakiś czas temu, więc sprawa jest dość pilna - wyjaśnia doktor Oudenhoven.

- Jakiś czas temu? - pyta True. - Ile? Godzinę temu?

- Nie. Raczej kilka dni temu.

- Skąd pan wie?

- Z tego, co widzieliśmy na obrazie. Ale nie możemy być pewni, zanim nie dostaniemy się do środka, dlatego teraz muszę już iść...

- Co to wszystko znaczy?

- To znaczy, że treść...

- Co to jest treść? - pyta True.

- Zawartość... że toksyczne substancje... mogły rozlać się po jamie brzusznej, pani Bannister, i trzeba będzie usunąć zgorzelinowe zmienione tkanki...

- Co to znaczy zgorzelinowe zmienione?

- Martwe tkanki.

True chwieje się, potyka, siada ciężko na pupę na rancie grzejnika.

- Nie ruszajcie jej. - True słyszy dochodzący jakby z daleka głos pielęgniarki, do której ktoś woła „Mary!” - Ma pani zawroty głowy, pani Bannister?

- Nie - mówi True, choć rzeczywiście czuje się zamroczone, boli ją głowa i łupie ją w skroniach. - Czy już podpisałam formularz?

- Tak - mówi Mary. - Poproszę jeszcze o kartę ubezpieczeniową.

- Nie mam karty przy sobie. Przyjechaliśmy prosto z teatru.

- Domyśliliśmy się tego po makijażu i kostiumie. Nie sądziliśmy, że normalnie chodzi ubrany w ten sposób - śmieje się Mary.



Śmieje się!

- Może macie nas... w komputerze albo coś?
- Byli państwo u nas na ostrym dyżurze?
- Wiele razy. Ostatnio z Guyem i z mężem.
- Wobec tego damy sobie radę. Ale i tak musi pani podpisać kartę przyjęcia do...
- Nie przędej, niż go zobaczę.

Franny pomaga True się podnieść i podtrzymuje ją, gdy idą korytarzem za strzałkami. Strzałki prowadzą do tablic, tablice wskazują labirynt przejść. Dochodzą do wind, potem do kolejnych tablic i wreszcie do sali operacyjnej. Za drzwiami z napisem NIE WCHODZIĆ True widzi leżącego na stole Guya i pielęgniarki myjące mydłem i smarujące jodyną jego obnażony brzuch. True pcha drzwi.

- Jestem jego matką.
- Mamusiu - mówi Guy. - Czy to będzie bolało?
- Będziesz spał. Potem może trochę boleć, ale dostaniesz środki uśmierzające i znowu będziesz spał, a mama będzie blisko ciebie.
- Czy przetną mi brzuch?
- Tak. Ale niewiele.
- I usuną wyrostek?
- Tak.
- Czy tata tu jest? - pyta Guy.
- Tak - mówi True. - Już jedzie.
- To dobrze.
- Gee, Gee. - True pochyla się nad głową syna. - Wszystko będzie dobrze.

Przyrzekam.

Razem z makijażem pielęgniarki ścierają spływające na twarz syna łzy True.

- Co ty takiego robiłeś? Spóźniony Halloween? - pyta jedna z nich.
- Jestem aktorem - mówi Guy. True kuli się, siada na podłodze.
- Proszę, proszę, opiekujcie się nim - mówi do pielęgniarek.
- Niech ktoś się nią zajmie - mówi przełożona. - Mamusiu, teraz nie czas na gimnastykę.

Postawna kobieta pomaga True usiąść na krześle. True widzi przez szybę, jak doktor Oudenhoven powoli i dokładnie szoruje ręce, a pielęgniarka wkłada papierową czapkę na jego krótkie, srebrne włosy.

- Proszę, to moje jedyne dziecko - mówi True.

- Na razie - uśmiecha się pielęgniarka. - Proszę się nie martwić. Wyjdzie z tego jak ta lala.

- Proszę, proszę... - woła True, gdy wywożą Guya ubranego w niebieski siateczkowy czepek.

Te słowa powtarzane są przez matki, ojców i babcie w języku urdu, po hiszpańsku, niemiecku i turecku, w parterowych, betonowych szpitalikach z sześcioma łózkami i czternastopiętrowych klinikach z tysiącem łóżek, w tych, które stoją przy zakurzonej drodze i w najpiękniej oświetlonych zaułkach wielkomiejskich ulic. Wszystkie te słowa, modlitwy, błagania i zaklęcia wznoszą się i łączą w jeden głos. A łzy, które czasem im towarzyszą, stają się solą ziemi.

W godzinę później przyjeżdża Kitt w pełnym makijażu barmanki, z krwią na czole.

- Gdzie on jest?

- Na sali operacyjnej - mówi True. - Pękł mu wyrostek. Czuję się okropnie...

- I wyglądasz okropnie - przyznaje Kitt.

- Chciałam powiedzieć, że czuję się okropnie, bo czegoś nie dopilnowałam.

- Przecież byłeś z nim u lekarza, True. I to dwa razy. Skoro nawet lekarze nie wiedzieli...

- Bolało go nie po tej stronie, co powinno - wtrąca Franny - bo wyrostek już pękł. Jak pęknie, to już tak nie boli.

Kitt blednie.

- Czy robią wszystko, co... Czy nie powinnaś zawieźć go do Bostonu?

- Myślę, że jest w dobrych rękach - odpowiada True, kołyszając się i masując dłońmi ramiona. Kitt pochyla się, rozwiązuje buty do tańca i zdejmuje szal.

- Masz, ogrzej się. Buty są tak rozchodzone... Będzie ci w nich bardzo wygodnie, nawet na stojąco. Czuję, że masz przed sobą długą noc. Gdybym nie musiała iść się pakować, zostałabym z tobą.

- Dziękuję, Kitt - mówi True.

- Uwielbiam cię, True - mówi niespodziewanie Kitt. - Wspaniale go wychowałeś. Zobaczymy się jeszcze. Za parę dni. Ułóż stopy wyżej, True. No, dalej. A gdzie Hank?

True wzrusza ramionami. - Nie możemy go znaleźć.

- Pojawi się - mówi Kitt. - Jak tylko się dowie.

True i Franny siusiąją na zmianę dziesiątki razy. True twierdzi, że wysusiała objętość równą zasobom wody w zatoce Puget Sound. Telewizor w poczekalni jest włączony - najpierw dzieci oglądają kreskówki, potem dorośli zaczynają narzekać i przełączają na CNN.

Pracownik waszyngtońskiej poczty zmarł wskutek zakażenia wziewną postacią węgliką. W Strasburgu zatrzymano mężczyznę, u którego znaleziono kasetę wideo przedstawiającą innego mężczyznę: ascetyczny, o łagodnym spojrzeniu, ubrany w długie szaty, prawdopodobnie opracowywał plan zniszczenia świata - na kasecie nagranej w grudniu przedstawia on koncepcje zburzenia World Trade Center. Dzieci, których dziadkowie znaleźli się w szpitalu z powodu ataku serca, błagają, by przełączyć telewizor na Nickelodeon. Dorośli zgadzają się, ubolewając, że skończyła się kawa. Gdy dzwoni telefon, wszyscy zrywają się na równe nogi. To Kathleen.

- Operują go, mamó - wyjaśnia True. - Mówią, że wszystko będzie dobrze. Pękł mu wyrostek.

- Od razu wiedziałam, że to nie infekcja - mamrocze Kathleen. - Ani żadne nadwerężone mięśnie.

- Tak - przyznaje True, bębniąc paznokciami i postanawiając, że je obgryzie.

- Mogłabym się tam do czegoś przydać?

- Mogłabyś przyjechać.

- Pada śnieg.

- Wobec tego wyprowadź i nakarm psa. I módl się.

- Modlę się, True. Rudy pyta, czy potrzebujesz jedzenia.

- Nie, dziękuję. Ale powiedz mu, że to miło z jego strony.

- Musisz coś jeść ze względu na dziecko. Dam mu kanapki z sałatką z tuńczyka, żeby ci przywiózł. - True czuje, jak wzbiera w niej obrzydzenie. - Isabelle jest w drodze.

- Wiem. Czy dzwonił Hank?

Kathleen nie odpowiada. Zdaje się, że rozmawia z kimś innym, zasłaniając słuchawkę.

- Czy dzwonił Hank?

- Nie - mówi po chwili Kathleen. - Ale myślę, że Isabelle do niego dzwoniła.

- Dzwoniłaś do dziadków Lemieux?... Zresztą nie ma co dzwonić.

- Jesteś tam, True? Rudy może ci przywieźć ubranie na zmianę.

- Rano.

- No, to dobrze. Zadzwoń do Ellen i powiem jej, żeby się modliła... W zasadzie mogłabym uaktywnić cały łańcuch modlitewny...

- Lepiej nie.

- Dlaczego?

- Nie ma co alarmować nieba. Nie chcę, żeby Bóg zajmował się tym tak poważnie, jakby Guy umierał.

- No, to dobranoc, True.

Gdy True odkłada słuchawkę, jeden z mężczyzn w poczekalni oświadcza: „Można człowieka odłączyć od respiratora. Właśnie w tej chwili odłączają moją matkę. To nieprawda, że jak cię raz podłączą, to już tak zostanie na zawsze”. Przypominająca fretkę kobieta w czarnym przeciwdeszczowym płaszczu potakuje ze zrozumieniem. True dostrzega doktora Oudenhovena stojącego w drzwiach. Wygląda na swoje lata - True ocenia go na „około sześćdziesiątki”. Kiwa głową i ruchem ręki zaprasza ją na korytarz. True odwraca się do Franny, ale ta, opatulona płaszczem, cicho pochrapuje.

- Jest w sali pooperacyjnej - mówi doktor. Gdy True odwraca się, by tam pójść, doktor kładzie rękę na jej ramieniu. - Kiedy byłem młodym lekarzem w wojsku, powiedziano mi, że gdyby zapytać chirurga o pięć najtrudniejszych operacji, zawsze znajdzie się między nimi wyrostek. Innymi słowy, gdy otworzyliśmy brzuch, okazało się, że jest tam wiele do zrobienia - pełno zgorzelinowe zmienionej tkanki i ropy. Szczęściarzem z niego, że może teraz rozmawiać z pielęgniarkami. Nie chcę pani straszyć. Chcę jedynie podkreślić, że rekonwalescencja zajmie prawdopodobnie sporo czasu. Proszę tutaj. - Doktor wskazuje ruchem dłoni niewielki gabinet z napisem POKÓJ WYPOCZYNKOWY na drzwiach. Siada. - To, co zrobiliśmy, naturalnie poza usunięciem wyrostka, to pozbyliśmy się możliwie jak najdokładniej tego wszystkiego, co znalazło się w jamie brzusznej wskutek pęknięcia wyrostka. Gdyby był nieco młodszy, gdyby miał, powiedzmy, pięć lat, stracilibyśmy go. Gdyby był dorosły, powiedzmy, w pani wieku, stracilibyśmy go. - Zapewne dostrzega w wyrazie twarzy True coś niepokojącego, bo mówi: - Pani Dickenson... pani Bannister, proszę się uspokoić. Mogło tak być, ale przecież tak nie jest. Ma na tyle sprawny system immunologiczny, że wszystko powinno być w najlepszym porządku. Możemy się spodziewać, że... po... dajmy na to, dziesięciu dniach, po kuracji silnym antybiotykiem i intensywnym podawaniu płynów, wypuścimy go do domu. Może nawet przed Bożym Narodzeniem, jeśli będzie szybko wracał do zdrowia.

- Dziesięć dni? W szpitalu?

- Mam nadzieję, pani Bannister. Powiem nawet, że widziałem młodych ludzi wracających do zdrowia, którym wyjmujemy opatrunek z rany...

- Opatrunek?

- Nie zamykamy nacięcia. Guy ma nadal otwartą ranę i opatrunek z gazy, przez którą będą sączyły się płyny, mogące jeszcze powstawać w jamie brzusznej. Gdy wyniki badań będą w normie, wyjmemy opatrunek i zaszyjemy ranę... albo nie. Możemy wysłać go do domu z otwartą raną i pozwolić jej sączyć się nadal. Nauczymy panią, jak się z nią

obchodzić...

- Dlaczego tak?

- Bo u niektórych pacjentów zdarza się, że wskutek infekcji tworzy się pewien rodzaj ropnia.

- I co wtedy?

- I wtedy trzeba znowu otworzyć brzuch i usunąć ropień albo w najlepszym razie wyciągnąć go igłą kierowaną ultradźwiękami.

- Ale w końcu wszystko będzie dobrze.

- Pierwszych dwanaście godzin będzie tego najlepszym wskaźnikiem.

True jest przerażona.

- Czy to znaczy, że on jeszcze może umrzeć?

- Nie sądzę. Rzeczywiście niewiele brakowało, ale dzieci... są takie silne. Musiało go potwornie boleć. A mimo to jak on się ruszał na scenie...

- Ile czasu mogło to trwać, zanim się naprawdę rozchorował?

- On nadal jest naprawdę chory.

- Ale ile czasu to mogło trwać, zanim...

- Tego nie można oszacować, pani Bannister.

- Proszę spróbować.

- Może dwie godziny. Albo trzy. A może godzinę.

- Całe godziny? Doktor przytakuje.

- Godziny? Całą godzinę?

- Z pewnością nie więcej. Może mniej. Osobiście jestem bardzo zadowolony, że tam byłem - mówi doktor Oudenhoven i nie wydaje się zaskoczony, gdy True ujmuje jego rękę i przyciska ją do policzka.

Pierwszy tydzień w szpitalu mija prawie w milczeniu. Guy jęczy i naciska guzik aparatu dawkującego morfinę. Można go nacisnąć raz na dziesięć minut - gdy syn nie wyciąga do niego ręki, naciska go True. Pielęgniarki od czasu do czasu wyganiają Guya z łóżka, by trochę posiedział w celu uruchomienia pracy jelit i przywrócenia metabolizmu. Czasami Guy budzi się na dłużej.

- Czy będę miał bliznę? - pyta.

- Tak - przyznaje ze smutkiem True.

- To dobrze - wzdycha z ulgą Guy. - Chciałem mieć bliznę.

- Obejrzyj kartki i prezenty - zachęca go True.

Dopiero po trzech dniach, gdy Esa czuwa przy śpiącym Guyu, True bierze prysznic i

zmienia wymięty, powalany krwią, cuchnący strój wieczorowy na podkoszulek i ciężowe spodnie od dresu. Żeby mogła leżeć na lewym boku, pielęgniarki wstawiły do pokoju Guya drugie szpitalne łóżko. Odwiedziła ją ginekolog i zbadawszy pacjentkę za dyskretnie zasuniętą zasłoną dzielącą True i jej syna, oświadczyła: „Nie jest aż tak źle, żeby ją hospitalizować, ale dobrze, że tu jest”. Rudy nieustannie donosi francuskie rogaliki i humus, a sałatkę z tuńczyka przygotowywaną przez matkę True wyrzuca na plaży, gdzie - Rudy ma nadzieję - żaden ssak od niej nie umrze. True nadal nosi buty do tańca Kitt. Poprawiają jej nastrój. Guy przegląda tony listów, ogląda szmacianą lalkę w połatanych spodniach i cylindrze, którą przysłali członkowie teatralnego zespołu, pęk balonów - tak wielki, że Guy mógłby za jego pomocą wyfrunąć z pokoju - przysłany przez pracowników True. Beatrice podarowała Guyowi wykwintne czekoladki, które mogą strawić jedynie żołądki pielęgniarek, a Elizabeth - porcelanowy model wioski z regionu New England ze światełkami i figurkami. Dog kupił Guyowi wiatrówkę, z której True zastrzeli brata, kiedy się spotkają.

W rozmowie telefonicznej Dog obiecuje Guyowi na Boże Narodzenie „niespodziankę z dzwoneczkami” i zachęca siostrzeńca, by zgadł, co to będzie.

- Niespodzianka w porządku, o wiatrówce zapomnij. Guy próbuje się targować.

- Zasada jest taka, mamó, że jak ktoś ci daje prezent, to nie można go nie przyjąć, nawet jeśli ty czegoś takiego byś mi nie kupiła. To część mojego majątku, jak mówi tata.

- Żadnej broni. Raz na zawsze. To nie żadna zabawa w „honor Południowca”. Mamy teraz prawdziwą wojnę, kochanie.

- Wiem. Pamiętasz, jak tata chciał się zaciągnąć? Ale to tylko wiatrówka. Gyp i ja możemy z nią biegać po lesie i celować w drzewa i w skały.

- Albo w Gypa...

- Mamó! Obiecuje, że nigdy nie strzelę nawet do ptaka. Ani do dziecka. Ani do ciebie.

Tata strzelał, jak był mały.

- Tata wychowywał się w innych czasach i w innym miejscu.

- A u grand-pere mogę strzelać?

- Pewnie! - mówi True ze zmęczeniem w głosie. - Ciekawe, jak ją tam przewieziesz!

- Można podróżować z bronią, jak się ma pozwolenie.

- Jezu, Guy, jak ty możesz myśleć teraz o czymś takim? Teraz nikt nie może w tym kraju podróżować z bronią. Nikt.

Wracając do domu po występach w Nowym Jorku, Kitt odwiedza ich, by się pożegnać. Pochyliła się nad Guyem, brzeg jej czerwonego moherowego szala łaskocze go w nos.

- Mówię ci, wstawaj z tego łóżka i jedź ze mną do Wisconsin - kusi chłopca Kitt. - Postawię cię na nogi. To twoja ostatnia szansa. Moje dziewczynki będą się tobą opiekować. Będziesz mógł przez cały dzień oglądać telewizję. Wiesz, taką dla dorosłych.

True i Kitt obejmują się.

- Wiem, że znalazłam w tobie przyjaciółkę, True. A Guy jest naprawdę wyjątkowy. Życzę ci... miłości. Myślę, że najpiękniejsze prezenty gwiazdkowe dla ciebie, True, to ta chudzina tutaj i ten złoty promyk w tobie. - Guy uśmiecha się i całuje serdecznie Kitt. - Następnym razem ty będziesz grał rolę Louisa, a ja Anny zgoda, skarbie? Będziemy tańczyć w jasnym obłoku muzyki, tak? Albo będziesz młodym księciem! To dopiero fascynujące! Nie widzimy się ostatni raz - obiecuje Kitt.

Gdy Kitt wychodzi, True czuje, że tama została przerwana, że może dać upust uczuciom. Siedzi na łóżku i płacze, póki łzy się nie wyczerpią, póki nos nie będzie bolał ją tak, jakby pływała pod wodą przez wiele godzin. Ma tego wszystkiego dosyć, łez także. Powinna już być sucha jak wiór, a jest jak balon pełen wody.

Rudy przyniósł pistolet zabawkę na wypadek, gdyby Guy poczuł się na siłach strzelać do korkowej tablicy, poduszkę, która „puszcza bąki”, choinkę przyslaną przez dziadków z Montany ustrojoną białymi światełkami i białymi myszkami. Rudy sam zatelefonował do państwa Lemieux.

- To całkiem republikańskie drzewko - mówi Rudy. - Dlaczego właściwie nie przyjechali go odwiedzić?

Rzeczywiście, dlaczego nie przyjechali, zastanawia się True. Na pewno myślą, że nadal jest mężatką, i nie chcą zjawić się niespodziewanie. Poza tym jest wojna.

Któregoś dnia przyjeżdża Kathleen, by posiedzieć z Guyem kilka godzin - tyle, ile True będzie potrzebowała, by pojechać do domu i trochę się ogarnąć. Kathleen czyta Guyowi ulubiony fragment z Księgi dżungli o tym, jak Mowgli opuszcza braci wilków i wraca do wioski. Kathleen obiecała, że wyjdzie do toalety albo coś zjeść tylko wtedy, gdy Guy będzie drzemał. Kiedy True wraca, zarówno jej syn, jak i matka cicho pochrapują.

Zamiast ich budzić, True bierze się do porządkowania rosnącego stosu prezentów i kartek, by mogli z Guyem poświęcić więcej czasu na pisanie podziękowań.

Znajduje kasety wideo z walkami zapaśniczymi i kolorowy magazyn poświęcony wyścigom samochodowym. W tym samym momencie Guy się budzi.

- Cześć, mamusiu! - ziewa.

- Wujek ci to przysłał? - pyta True. Guy patrzy w bok.

- Nie - odpowiada.

- A kto?

- Nie wiem - mówi Guy. - Może Ellery. O, Esa!

Isabelle z dziwnie postarzałymi oczami i z szerokim uśmiechem na twarzy całuje Guya i mówi:

- Ty wiesz, jak przyciągnąć czyjąś uwagę, ty śmierdziuchu! Ostatnim razem, jak tu byłam, nawet mnie nie zauważyłeś, taki byłeś zamroczony. Gdybym nie musiała jechać na święta do domu, wyciągnęłabym cię z tego łóżka i zagilgotała na śmierć.

- Ty to przysłałaś Guyowi? - pyta True, ściskając Esę. Esa zachowuje się tak samo jak Guy - odwraca wzrok.

- Nie - mówi i wydaje się, że doznaje ulgi, gdy do pokoju wchodzi pielęgniarka.

- Wracaj szybko do domu, Guy. Tęsknimy za tobą - szepcze Isabelle i wyciąga z wielkiej torby zgrzewkę coca-coli oraz elektronicznego elfa śpiewającego głosem Judy Garland.

- Urządź tu sobie sympatyczne Boże Narodzenie.

Mówi też Guyowi, że babcia dobrze opiekuje się Gypem i Edem, ale Gyp każdej nocy kładzie się w nogach łóżka Guya. Ed robiłby to samo, gdyby tylko mógł.

Zadumana True spogląda na kasetę wideo.

Doktor Oudenhoven codziennie ogląda ranę Guya i kartę choroby, ale zawsze przychodzi akurat wtedy, gdy True idzie napić się kawy. True nigdy nie może go złapać i spytać, dlaczego opatrunek Guya śmierdzi jak trupiarnia (True nigdy nie była w trupiarni, ale czuła kiedyś zapach martwego jelenia, więc może to sobie wyobrazić). Postanawia więc zapytać o to pielęgniarkę, która pracuje na dziennej zmianie, drobną, śliczną Latynoskę Annę, i pielęgniarkę, która pracuje na nocnej zmianie, Nigerię. Ta wcale nie jest drobna, ale ma na głowie milion cieniutkich warkoczyków, jakich True nie widziała jak żyje, i wręcz nie może oderwać wzroku od kryształowych koralików wplecionych we włosy.

- Dlaczego to tak śmierdzi?

- Musi pani spytać doktora - radzi Nigeria.

- Nigdy go nie widzę - ubolewa True. - Chyba umyślnie czekają z obchodem, aż wyjdę, i zakradają się tu jak szpiedzy. - Nigeria śmieje się. - Czy pani jest z Nigerii, Nigerio? - pyta True.

- Nie. Z Brooklynu.

- Czy pani mama pochodzi z Nigerii?

- Nie. Z Brooklynu.

- To dlaczego ma pani na imię Nigeria?



- A dlaczego pani ma na imię True?

- Bo urodziłam się w dzień świętego Walentego.

- A moi rodzice pewnie pragnęli mieć prawdziwie afrykańską dziewczynkę. Nie wiem. Możemy poprosić stażystkę i zapytać ją, dlaczego tak śmierdzi.

Stażystka jest dziarska i wygląda, jakby grała w telewizyjnym serialu nadawanym w czasie największej oglądalności i pokazującym życie w szpitalu - w takich serialach wszystkie młode lekarki są chude jak tyczki i mają supermodne fryzury.

- Uuuu! Rzeczywiście cuchnie - mówi. - Doktor Oudenhoven musi mieć kłopoty z węchem. Z drugiej strony z rany wychodzą same świństwa, więc jasna sprawa, że śmierdzi. Wie pani co? Zadzwoń do doktora i zapytam, czy mogę zmienić zewnętrzny opatrunek i trochę tę ranę oczyścić.

Dziesięć minut później coś, na co True czekała jak na zbawienie, staje się istnym koszmarem. Guy wrzeszczy i wbija paznokcie w rękę matki, gdy stażystka powoli i delikatnie zdejmuje niekończące się warstwy zakrwawionego, upapranego czymś śliskim i wstrętnym opatrunku.

- Mamusiu, niech ona przestanie! - woła Guy. - Niech przestanie, bo umrę!

- Proszę nacisnąć guzik z morfiną - instruuje stażystka True, wyraźnie zdenerwowana.

- Nacisnęłam. Nacisnęłam, jak pani zaczęła. Nie może mu pani dać zastrzyku? Proszę mu dać zastrzyk.

- Nie chcemy dawać mu tego wszystkiego za dużo...

- Pani doktor... - True zerka na błyszczącą tabliczkę z nazwiskiem -...doktor Gideon, on bardzo cierpi. Co będzie, jak zacznie pani zakładać nowy opatrunek?

Zajęta czyszczeniem brzegów otwartej czeluści rany, choć Guy wrzeszczy, doktor Gideon nie odpowiada. Potem prostuje się, kładzie ręce na biodrach i dzwoni po pielęgniarkę.

- Dziesięć mililitrów valium - mówi.

W kilka minut później Guy tylko jęczy, opatrunek jest zmieniony i zabezpieczony. True sływa potem. Gdy Guy zapada w sen, doktor Gideon mówi:

- Mogę pani zadać głupie pytanie? A właściwie dwa pytania, w tym jedno głupie?

- Naturalnie.

- Czy to pani jest tą bogatą kobietą, która ma firmę produkującą lalki?

- Nie - odpowiada True. - Nie jestem bogata i mam firmę produkującą rzeczy dla dzieci.

- Aaaa... W takim razie ona musi być na internecie.

- Kto?

- Ta pani od lalek.

- Elizabeth? Elizabeth Chilmark? Jest w szpitalu?

- Tak.

- A... Co się stało?

- Ma... Sama musi ją pani zapytać. Nie powinnam udzielać takich informacji.

- Oczywiście.

- Mogę drugie pytanie? - True przyzwalająco kiwa głową. - Bierze pani jakieś pigułki na tę opuchliznę?

- Nie. Moja lekarka mówi, żebym odpoczywała i jak najwięcej leżała.

- I proszę się tego trzymać. Wygląda pani, jakby się miało urodzić pięciokilowe dziecko. Nie ma żartów. Proszę się kłaść, podłożyć sobie pod nogi stos poduszek i prosić o mierzenie ciśnienia, jak tylko mierzą ciśnienie chłopcu. I proszę pić wodę. I niech sprawdzają pracę serca płodu...

- Sama sobie sprawdzam - mówi True.

- Ma pani własny aparat?

- Tak. Omal nie poroniłam.

- Dobra. I tak będzie pani w centrum uwagi. Z powodu świąt każdy, kto tylko mógł, poszedł do domu...

True dziękuje stażystce. Spogląda na zegarek. Dziś wigilia Bożego Narodzenia. Zastanawia się, czy Hank patrzy w to samo szare niebo, sypiące puchem.

Tego wieczoru, gdy Guy śpi, True błąka się po szpitalu, aż wreszcie znajduje oddział internistyczny. Pyta o Elizabeth Chilmark.

- Dwieście dwadzieścia trzy - rzuca pielęgniarka, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

Przy łóżku Elizabeth świeci się mała, zdobiona koralikami nocna lampka, a łóżko przykryte jest miękką białą kołdrą. Chociaż Elizabeth ma odwróconą głowę, wydaje się, że nie śpi.

- Elizabeth? - szepcze True.

- Jak się czuje Guy? - odpowiada Elizabeth, nie odwracając głowy.

- Lepiej. Mogę wejść?

- Oczywiście, True. - Elizabeth odwraca głowę. Jej wargi są sine.

- Co ci się stało?

- Nic.

- To co robisz w szpitalu?

- Mam białaczkę, True.

- Co? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Elizabeth robi niedbały gest wypięgniętą, chudą, kościstą dłonią.

- A dlaczego miałabym ci mówić?

- Myślałam... przecież...

- Nie twierdź, że nie powinnam była ci o tym powiedzieć. Ale to nie jest coś, o czym się mówi.

- Czy nastąpiło pogorszenie?

- Nie.

- To... Co się stało?

- Czekam na dawcę szpiku. Jak znajdzie się dawca, zrobię mi przeszczep. Ponieważ nie mam ani dzieci, ani rodzeństwa, jest z tym pewien kłopot. Muszę czekać, aż będzie jakiś anonimowy dawca...

- Ja ci dam mój szpik.

- Dziękuję, True. Ale teraz sama nie wiesz, w co wsadzić ręce. W trakcie badań najpierw trzeba pobrać krew, a potem, jak mi się wydaje, szpik z kości biodrowej. To jest niezwykle bolesne, wymaga odosobnienia i czasu...

- Nie szkodzi! A Isabelle? A moja mama albo Rudy? A twój mąż? A przyjaciele?

- Mój mąż został już przebadany. I jeden z moich pracowników, i kuzynka. Nikt z nich nie może być dawcą.

- Rozumiem. Gdybyś znalazła odpowiednią osobę, byłoby to dla ciebie...

- Lekarstwo.

- Od jakiego czasu o tym wiesz?

- Od dwóch lat - mówi Elizabeth. - Na początku doskonale sprawdzała się chemioterapia. Ale nie trwało to długo.

- Do diabła! Elizabeth! Do diabła! Powinnaś była powiedzieć mi to dawno temu. Oddałabym ci mój szpik!

- Dawno temu go nie potrzebowałam. Ale każdy, kto chce mi dać szpik, jest mile widziany. Nie jest mi wszystko jedno, True. Nie czekam ze stoickim spokojem na śmierć.

Tego wieczoru, gdy True rozmawia z Rudym o Dwunastu Podarunkach - wszystko zostało wysłane zgodnie z planem - i składa życzenia świąteczne, mówi mu także o chorobie Elizabeth. Rudy od razu przystępuje do sporządzenia listy znajomych osób, które w jego mniemaniu mogłyby poddać się badaniom i ewentualnie uratować życie Elizabeth.

Boże Narodzenie w szpitalnym oddziale dziecięcym nie jest przeżyciem wartym

polecenia.

Ale anielskie śpiewy o dzieciątku w stajence w wykonaniu pielęgniarek krążących po prawie pustych salach z zapalonymi świecami muszą wzruszyć nawet zatwardziałe serca. Laura, kierowniczka sceny Teatru Rodzinnego, przychodzi do Guya z prawdziwym workiem świętego Mikołaja pełnym zabawek, farb, książek o czarnych dziurach, pluszowych zwierzątek i z metrowej wielkości kartką świąteczną przedstawiającą Guya w roli Przebiegłego Spryciarza wykonaną przez Ellery'ego i podpisaną przez wszystkich aktorów.

True proponuje Guyowi trochę rosolu pachnącego tak brzydko, że nie dałaby go nawet psu, i puszkę mrożonej coca-coli. Guy pije łączywie, choć małymi łyżkami, ale w parę minut później wszystko zwraca. Próbuje znowu i odrobina coli zostaje w środku.

- Musisz się zmuszać do picia - stwierdza pielęgniarka z nocnego dyżuru, który zastępuje Nigerię w okresie świąt. Ma na imię Russell.

- Ale on natychmiast wymiotuje - mówi True.

- Musi próbować. Przyniosę coś przeciwwymiotnego. A teraz pora na spacer, chłopie.

True jest wykończona codzienną udręką - rozpoczęła się w dwa dni po operacji - patrzenia na swojego silnego, małego tancerza, utykającego w skarpetkach po korytarzu, wspartego na drągu kroplówki i podtrzymywanego przez kogoś z personelu. Guy dochodzi do końca korytarza. Wykończony i zawstydzony, błaga, by mógł wrócić do łóżka. W tym samym momencie co Guy True spostrzega, że jego szpitalna koszula jest z tyłu rozcięta i odsłania wychudzoną pupę. True zapomniała o szlafroku, który przyniosła babcia. Ale nie szkodzi. W pobliżu i tak nie ma nikogo poza wiecznie płaczącym niemowlakiem w pokoju obok, którego True zabroniono kołysać, bo jest, w opinii pielęgniarki dyżurującej za dnia, „rozpieszczony i zaraża”.

- Jeszcze raz - mówi Russell. - No już! Nie bądź łamagą.

Guy wreszcie wraca żółty ze zmęczenia, robi siku do pojemnika, żeby można było zmierzyć objętość moczu - siusia zresztą mniej, niż siusiał w pieluchę jako niemowlę - i pada na łóżko.

- Chcę obejrzeć kasetę z zapasami - szepcze.

True nie zdążyła jeszcze włożyć kasety do odtwarzacza, gdy Guy zaczyna chrapać.

- Russell - pyta pielęgniarkę, wyjmując kasetę - czy widziałeś tu kogoś poza moimi krewnymi?

- Nie znam pani krewnych, nie pracuję tu na stałe.

- Widziałeś tu wczoraj faceta z czarnymi włosami?

- Widziałem faceta w skórzanej kurtce. Zajrzał tylko, gdy oboje spaliście. Potem

poszedł. Ale on ciągle przychodzi. Widuję go na dole. To pani brat?

To mógł być Rudy. Ale poprzednim razem Rudy miał na sobie kurtkę z jasnobrązowego materiału. True zna tylko jedną osobę, która nosi skórzaną kurtkę toujours.

Ale jeśli to był on, nic by nie... powiedział? Nie ucałowałby syna?

O dziesiątej True włącza telewizor i trafia na pasterkę transmitowaną... z jakiegoś miejsca, gdzie jest akurat północ.

Kłęcząc przy łóżku Guya, próbuje wywołać z pamięci słowa, które powtarza tego dnia co rok, od czasu gdy potrafi mówić. To jak wybieranie numeru telefonu, którego cyfr się nie pamięta, lecz palce same trafiają we właściwe miejsca na tarczy aparatu. Słowa wracają z łatwością. „W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta... Udał się także Józef z Galilei do Judei...”, True wie, że opuszcza niektóre słowa, „...żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. A kiedy tam przebywali... porodziła swego pierwotnego Syna, owinęła go w pieluszki i położyła w żłobie, bo nie było dla nich miejsca w gospodzie. W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą. Naraz stanął przy nich Anioł Pański...”

True milknie i opiera głowę na ramionach.

- Mów dalej - prosi rozespanym głosem Guy. - Lubię ten kawałek.

- I wtedy anioł powiedział: „Nie bójcie się! Oto przynoszę wam dobrą nowinę...”

- „Radość wielką” - poprawia ją Guy.

- „Radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz Pan... I nagle przyłączyło się do anioła mnóstwo zastępów niebieskich...”

- Co to są zastępy niebieskie? - pyta Guy. - Więcej aniołów?

- Inne anioły. Chóry anielskie.

- Aha.

- Tak przynajmniej myślę. „I wielbiły Boga słowami: Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom Jego upodobania”\*.

- Opuściłaś całe fragmenty. Na przykład o trzech mądrych. O kadzidle i mirrze.

- Nie jestem w formie, Guy. Moja głowa nie pracuje jak należy.

- Nigdy nie myślałem, że spędzę kiedyś Boże Narodzenie w szpitalu.

- Ja też nie jestem zachwycona, skarbie. Wolontariuszka z organizacji charytatywnej

United Way

przynosi Guyowi cukierkową laseczkę w paski i pluszowego misia.

- To dla dzieciaków - mówi Guy gdy wolontariuszka, której grzecznie podziękował,

wychodzi. - Możemy to dać Carrowi?

- Zatrzymamy misia dla naszego dzidziusia. Carrowi wysłałam inny prezent.

- Racja. Carr skończył już chyba rok, prawda? A taki miś to zabawka dla malutkich dzieci.

- Kochanie, roczne dziecko jest malutkim dzieckiem. Ty też byłeś malutkim dzieckiem, jak miałeś roczek. A nawet jak miałeś dwa latka i trzy latka. Nawet teraz nie jesteś całkiem duży. Nasz dzidzius długo będzie malutkim dzieckiem.

- Jak mu damy na imię?

- A jak byś chciał?

- Hank. Hank Peter Bannister. Hank Peter Guy Bannister.

- A ja myślałam, że Nochal...

- Daj spokój, mamó. Nie mogę się śmiać.

-...albo Śmierdziuch. Będziesz musiał zmieniać pieluchy, wiesz? Mnie nie starczy na wszystko czasu.

- Nie ma mowy! Nie będę zmieniał żadnych pieluch. Tego nie ma na liście moich zajęć. - Guy milknie. - Mamó?

- Uhm?

- Gdzie tata?

- W niebie.

- Nie tata. Tata. Był tu przecież przed chwilą albo może przed godziną. Nie wiem.

True czuje ciarki na grzbiecie.

- Myślę, że tata jest z grand-pere... albo z przyjaciółmi na nartach. Nie wiedział, że coś ci się stało, Gee. Powiedziałam mu, że nie możesz z nim wyjechać, póki nie skończą się przedstawienia. Powiedziałam mu, że nie może zabrać cię na święta.

- Dziękuję, mamó! Więc pozwoliłaś mu wyjechać bez pożegnania? - Głos Guya, dźwięczące w nim niedowierzanie, jest nie do zniesienia.

- Przykro mi, Guy, bardzo mi przykro. Próbowaliśmy się do niego dodzwonić. Nie wiem, czy Esa go w końcu znalazła. Tom nie mógł go znaleźć. Tak czy owak miał jechać do Luizjany. Powiedziałam mu, że nie możesz mu towarzyszyć, bo masz w planie odwiedzin u dziadka i babci L. - improwizuje True. - To nie jego wina. Na pewno natychmiast by się tu pojawił...

- Albo jest skończonym głupcem.

- Nie - mówi True.

Tego wieczoru po rozmowie telefonicznej z bratem True patrzy przez okno na

padający śnieg i dostrzega na parkingu samotną czerwoną ciężarówkę. Mrużąc oczy, usiłuje rozpoznać kształt metalowego znaczka i stwierdza, że to nie dodge, tylko chevy. Przypominając sobie rozmowy o barach, gdzie podaje się wyłącznie imbirową wodę, gdzie nagie dziewczyny nie pozostawiają niczego w domyśle, i to, że pragnąc tak bardzo dziecka z Hankiem, nie okazała rozsądku, tylko go skusiła, True zastanawia się, co Hank może teraz robić. Laissez bon temps roulez.

Może i jest skończonym głupcem. Może ktoś, kto myśli, że gitara, której nie ma, to prawdziwa gitara, jest facetem, którego nie ma.

O północy Guya budzi wielki ból. Dostaje kolejny zastrzyk i dopiero wtedy, gdy zasypia, przychodzi laborant, zapala wszystkie światła i zaczyna pobierać Guyowi krew.

- Czy nie za dużo? - pyta True. - Wytoczycie z niego całą krew. On prawie nic nie pije. Pediatra obawia się, że może nastąpić zaburzenie równowagi elektrolitów, a nawet uszkodzenie mózgu.

- Musimy robić analizy...

Oczywiście. Dla laboranta Guy to krew, dla neurologa Guy to mózg, dla lekarza stażysty Guy to przypadek. Nie ma sprawy.

- Niech robią, co chcą, mamó, niech to się wreszcie skończy.

True wstaje i bierze Guya za rękę. Jest tak zmęczona, że ledwie stoi.

- Proszę przestać - mówi. - Nie pozwalam panu. Laborant mruga oczami.

- Takie mam polecenie.

- Proszę poprosić lekarza, żeby przyszedł i sam mi to powiedział. Proszę mu powiedzieć, że to wbrew mojej religii. Właśnie ją zmieniłam.

Gdy później czekają, trzymając się za ręce, aż środki przeciwbólowe zrobią swoje, Guy mruczy:

- Chyba chciałbym umrzeć, mamó. Nie mogę tego wszystkiego znieść. Nie chcę więcej wymiotować. I tak przecież umrę... przynajmniej zobaczę mojego prawdziwego tatę.

True wyrywa rękę z dłoni Guya i wymierza mu policzek. Potem patrzy ze zdziwieniem na piekącą dłoń i krzyczy:

- Guyu Lemieux! Nigdy, ale to nigdy więcej nie mów takich rzeczy! Jeśli powiesz to jeszcze raz, pójdę sobie i zostawię cię tu samego. I nie wrócę, póki nie trzeba będzie cię stąd zabrać. Przysięgam na Boga!

- Uderzyłaś chore dziecko! Oboje mnie bijecie. I ty, i... ten wstrętny skunks Hank!  
Gdy próbowałem złamać mu nogę, żeby uratować mu życie, omal mnie nie walnął,

- I uderzę cię jeszcze raz, jeśli powiesz choć jedno słowo o umieraniu, choć jedno

słowo... - True pada na kolana. - Gee, Gee, nie umieraj, proszę. Posłuchaj, jak nie umrzesz, kupię ci, co tylko zapragniesz. Czego pragniesz najbardziej na świecie?

Guy ostrożnie otwiera jedno oko.

- Nienawidzę cię - mówi.

- Ja też siebie nienawidzę - przyznaje True. - Konia.

- Wiesz przecież, że nie możemy mieć konia. Co z nim zrobimy? Będziemy go trzymać w garażu?

- To laptop. Taki pomarańczowy.

- Dobrze. Kupię ci laptop. Najlepszy, jaki jest. Natychmiast. Już dzwonię. Co ty na to?

- Nie możesz nigdzie dzwonić, mamó. Są święta.

- Niewykluczone, że pracują. Niektórzy zawsze pracują. Popatrz tylko, lekarze pracują. Policja pracuje. Może ci od komputerów też.

True dzwoni do informacji, a potem pod numer zaczynający się na 800 i... rzeczywiście, rezolutny młody człowiek z największą przyjemnością sprzedaje jej najnowszy model o barwie mandarynki z rączką i kolorową drukarką oraz kilkomu bardzo brutalnymi gramami.

- Nie doręczycie jutro?

- UPS doręcza. Koszt wynosi...

- Nieważne. Proszę to dostarczyć tak szybko, jak się da. - True zwraca się do Guya. -

A widzisz? To musiał być święty Mikołaj.

- Dziękuję, mamusiu.

True odwraca oczy od nabiegłych krwią, czerwonych pręg po jej palcach na jego policzku.

- Guy. Nigdy więcej cię nie uderzę.

- Wiem.

- Ale możesz sobie chyba wyobrazić, jak mamusia się przestraszyła... myślałam, że masz jakieś widzenie.

- Bo miałem. True sztywnieje.

- Co widziałeś?

- Nie mówmy o tym. Połóż się spać, mamó. I wyłącz papieża. Ja też bym cię uderzył, jakbyś umarła.

Ale True nie może spać. Objęła ramionami kolana i przytuliła się do grzejnika obok okna, za którym po ametystowym niebie suną białe chmury, odsłaniając tylko na moment którąś z gwiazd. Przypomina sobie, jak jechała kiedyś z Guyem samochodem - miał wówczas



‘może z siedem lat - i dostrzegła dwie gwiazdy, które zdawały się grać na niebie w ping-ponga. „Spójrz, Guy”, powiedziała, „latający talerz. Albo satelita. Albo spadające gwiazdy”. „Albo astygmatyzm”, odpowiedział Guy i wtedy True pomyślała z rozbawieniem, że to pierwszy całkiem dorosły żart jej syna.

True nie ma pojęcia, na jakiej częstotliwości odbiera dziś Bóg. Ale wpatruje się uparcie w pobłyskujące gwiazdy, jakby każda z nich była magicznym przyciskiem, i modli się: „Podobno miałeś syna. Ale nie wydaje mi się, żebyś go dobrze traktował”.

Składa ręce i chowa w nie twarz: „Pozwoliłeś mu umrzeć, choć cię wzywał. Uczyniłeś z niego pilota-samobójcę... dla własnej chwały. Nie wydaje mi się, by było warto. Nie szanuję Cię za ten postępek. Ale wiem - wierzyłeś, że tak trzeba. Wiem tylko tyle. Żałujesz? Zastanawiałeś się nad tym? Byłeś z tego... dumny? Ale Ty, jeśli to wszystko prawda, przynajmniej go odzyskałeś. Był z Tobą jeszcze tego samego dnia. I zasiadł po Twojej prawicy. A wcześniej miałeś swoje niebieskie zastępy. Swoich niebieskich pomocników. Ja mam tylko Guya. Mam jedyne go syna, tak jak i Ty. Zabrałeś mojego ojca i Petera, i Hanka. Podobno masz w opiece nawet wróble, więc miej w opiece także mnie. Jeśli jesteś moim Ojcem, nie zabieraj mi syna. Wyrzeknę się seksu, jedzenia, oddam życie albo mój szpik, albo cokolwiek, czego zażadasz. Wyrzeknę się na zawsze Hanka. Nigdy nie poradzę sobie z próżnością, ale pogodzę się ze starością i brzydotą. Wyrzeknę się urody. Oddam wszystkie pieniądze. Ale proszę, oszczędź go. Nawet jeśli byś musiał zabrać mi drugie dziecko. Oszczędź go”.

O dziesiątej rano w dzień po Bożym Narodzeniu, gdy przewaliła się już kolejna, budząca wszystkich pacjentów fala kolędników i roznosicieli cukierków, True śpi, zwinięta w kłębek w nogach swojego łóżka. Teraz jednak pojawił się ktoś inny. True otwiera oczy. W drzwiach stoi mężczyzna w czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu. Z początku True myśli, że to sen, że anioł śmierci, którego niedwuznacznie wezwała, przemawiając otwarcie do Boga, nie miałby na głowie filcowego kapelusza.

- Czy pani True Dickinson? - pyta mężczyzna. Papiery rozwodowe, myśli True. Pozew. Prawdziwy z niego skunks. Gorzej niż skunks.

- Tak?

Albo... urzędnik nadzorujący dzieci, które nie chodzą do szkoły.

- Przecież dzwoniłam dwa razy - mówi zamroczona snem. - Poza tym są ferie.

- Nazywam się Norris Mitchell, z kancelarii Mitchell & Tatę. Reprezentuję Elizabeth Chilmark.

- Elizabeth?

True siada na łóżku. Prawnik? Papiery do wypełnienia dla dawcy szpiku. Może jednak zdecydowali się na nią, chociaż jej kod genetyczny ustalony na podstawie badania krwi pasuje do kodu Elizabeth tylko w trzech z sześciu wskaźników. Wprawdzie to lepiej, wyjaśnił jej lekarz, niż inne wyniki, ale powinni próbować znaleźć zgodność czterech, pięciu, a najlepiej wszystkich sześciu wskaźników, żeby zmniejszyć prawdopodobieństwo odrzucenia przeszczepu.

Mężczyzna mówi:

- Ogromnie mi przykro, ale muszę panią poinformować, że Elizabeth Chilmark zmarła wczoraj tuż przed szóstą rano. - True wstaje. - Umierała spokojnie i bez bólu. Podczas snu. Jestem tu, bo pani Chilmark życzyła sobie, żebym doręczył pani to pismo osobiście.

Podaje True kopertę zaadresowaną ozdobnym pismem ręką Elizabeth. Na jej osobistej papeterii.

W dowód miłości i zaufania, jak napisała w krótkim liście, Elizabeth prosi, by True przyjęła w spadku jej udziały w Dwunastu Podarunkach bez żadnych zobowiązań. „Mam nadzieję”, napisała w zakończeniu, „że gdy dostaniesz ten list, Guy będzie znowu zdrowy i silny. Podziwiam i doceniam Twoją serdeczność, True, Twoją odwagę i wytrwałość oraz życzliwość. Twoja przyjaciółka, Elizabeth”.

True trzyma list w dłoni jak małego, żywego ptaszka, jak hostię. Szczodrość Elizabeth, niespodziewana i wspaniałomyślna, przekracza wszelkie jej oczekiwania.

Gdy mężczyzna wychodzi, True wznosi oczy do nieba. „Chcę, żebyś wiedział: jeśli zamykasz przede mną drzwi, a otwierasz okno, to ja się nie zgadzam. Nie ma mowy”.

Styczeń

NOWY ROK, NOWE ŻYCIE

Niech życie toczy się pełne samych dobrych chwil. Nasza poliestrowa „szklana kula”, wypełniona symbolami Nowego Roku - od migocących gwiazdek i księżyców po złote flety i różki - to zarazem pozytywka, która gra „Auld Lang Syne”, „Pieśń o łodzi w Skye” i Kanon Pachelbela, tak skonstruowana, że nie da się jej rozkręcić. Ten podarunek umieściliśmy w szkatułce wyściełanej złotą satyną (gdzie pewnego dnia mogą go zastąpić karty z bejsbolistami albo kolczyki) wraz ze świecą barwy szampana i 2 maleńką figurką - ta figurka to Staruszek Czas w zupełnie nowej postaci!

Od czasu gdy Guy wrócił do domu, ważąc zaledwie czterdzieści kilogramów i poruszając się z usprawiedliwioną trudnością, True rzadko zagląda do biura. Większość czasu poświęca synowi, pomagając mu w lekcjach i bawiąc się z nim.

Guy jest słaby, ale skory do zabawy. True jest wyłącznie słaba.

Zgodnie z obietnicą brat True pojawił się z niespodzianką „z dzwonekami”. Gdy w dwa dni po świętach Guy wyszedł ze szpitala, Dog wynajął czterokonne sanie z woźnicą ubranym w stylu wiktoriańskim i zabrał żonę, córki, Guya, True oraz Kathleen opatulonych futrzanymi derkami na przejażdżkę po Chatham - osobliwe tableau z migoczącymi światełkami i dzwonieniem dzwonek. Upředzeni o tym przyjaciele machali rękami od drzwi, wołając: „Witaj w domu, Guy!”, „Zdrowiej szybko!”, „Powrót z klasą, Guy!”.

Lekarz zabronił Guyowi chodzić do szkoły przez najbliższe trzy tygodnie, by nie narażać go na niepotrzebne komplikacje, które mogłyby wynikać z zainfekowania nadal otwartej rany. Na tym etapie rekonwalescencji nawet chore gardło mogłoby stać się dla niego śmiertelnym zagrożeniem.

Nauczycielka nie przyjęła tej nowiny ze zbytnim zadowoleniem.

- Guy stracił już wiele zajęć z powodu przedstawienia - mówi do True. - Słyszałam, że jeździł po mieście saniami! Mieliśmy uczniów, którzy przychodzili do szkoły w gipsie, na wózkach i pod kroplówką!

- Przedstawienie nie miało nic wspólnego z wyrostkiem - przypomina delikatnie True.  
- A dzieci, o których pani wspomina? Założę się, że cierpiały na jakieś chroniczne dolegliwości.

- Istotnie - mówi nauczycielka. - Na poważne choroby... takie, na przykład, jak białaczka.

- Stan Guya jest nadal ciężki, żeby nie powiedzieć krytyczny. Jeśli zacznie chodzić do szkoły i zarazi się od kogoś katarem albo kaszlem, wytoczę proces szkole, pani osobiście, departamentowi zdrowia i komu tylko się da - mówi True jeszcze spokojniej.

- Cóż - mięknie nauczycielka - będę przysyłała materiał do przerobienia.

- Prawo nakazuje pani także zapewnić mu domowego nauczyciela.

- Napiszę podanie w tej sprawie.

True wie, że potrwa to co najmniej do trzynastych urodzin Guya. Zawierają więc cichą umowę, że odbędnią całą pracę domową w ciągu pierwszego tygodnia - stolice państw azjatyckich i południowoamerykańskich rzucają na mapę równie niedbale jak makaron-literki do zupy. Resztę czasu spędzają na serfowaniu po sieci na laptopie Guya albo na grze w „500 rummy” na kuchennym stole. To przecież matematyka, myśli True.

Ilekróć True zdobywa punkt, Guy musi wypić łyk piwa imbirowego albo przełknąć łyżkę puddingu. Za każdym razem, gdy Guyowi zbiera się na wymioty, a True nalega, matczyńny lęk bierze w niej górę nad matczyną niechęcią do narażania go na takie okropne poniżenie. Ewentualne odwodnienie organizmu Guya i poziom sodu w jego organizmie, czyli

sprawy, którymi - z wyjątkiem najbardziej upalnych dni spędzanych na plaży - prawie nigdy się nie zajmowała, stały się teraz, po licznych upomnieniach pediatry, problemami największej wagi i codziennej troski. Guy musi z powrotem nauczyć się jeść, niczym niemowlę. Jakby wyczuwając słabość Guya, Gypsy opiekuńczo leży u jego stóp. Gdy Guy rzuca mu piłkę, grzecznie przynosi ją z powrotem, a następnie trzyma ją kurczowo pazurami, oszczędzając siły przyjaciela. Od czasu gdy Guy wrócił do domu, Gyp nie przychodzi spać do True. True zastanawia się, czy to nie głupota pozwalać dziecku z otwartą raną spać z psem, ale dochodzi do wniosku, że nie ma zagrożenia, póki pies nie wchodzi pod kołdrę.

Także Guy nie przychodzi spać do jej łóżka. Mówi, że True mogłaby obrócić się gwałtownie i urazić go w ranę albo on mógłby obrócić się gwałtownie i zrobić krzywdę dziecku. Mówi także, że spanie w szerokim łóżku, które pachnie nim i Gypem, a nie spirytusem, krochmalem i krwią, to istny raj.

W dzień po powrocie Guya do domu True słyszy, że na ścieżce przed domem zatrzymuje się ciężarówka Hanka. Serce jej wali. Hank otwiera z rozmachem frontowe drzwi, aż klamka uderza o ścianę.

- Hej, Guy! - woła Hank. - Nareszcie w domu! Jak się masz? Tu przynajmniej będę mógł cię odwiedzać! Wyglądasz jak sto nieszczęść!

- Ty też! - krzyczy Guy podskakuje i kuli się z bólu. - Gdzie byłeś?

- Siadaj, skarbie. Pokaż mi ranę.

- Dobra.

Guy podciąga koszulę. Hank odwraca wzrok na widok wstrętnej czerwonej jamy, obrzeżonej żółtą skorupą, z gumowym sączkiem, który True musi czyścić w sterylnych rękawiczkach każdego dnia, zanim zmieni opatrunek, tak jak ją nauczyła pielęgniarka domowa.

- Och, moje biedactwo, ile ty przeszedłeś! Ty, True, też nie wyglądasz najlepiej - co jest z twoimi dłońmi? Czy powinnaś być aż tak spuchnięta?

- Ciesz się, że cię to ominęło - True stara się mówić spokojnie, ale w jej głosie przebijają wysokie tony tłumionej złości. - Szukałam cię przez wszystkich z wyjątkiem policji. Dzwoniłam do ciebie na komórkę, dzwoniłam do Toma, Esa dzwoniła do Adele, moja matka...

- Twoja matka! Daj spokój, True. Twoja matka powiedziała mi, że pod żadnym pozorem mam nie dzwonić i że dałaś jej jasne polecenie, że mam nie przychodzić do szpitala. Przepraszała mnie. Mówiła, że wie, jakie to musi być dla mnie trudne, ale że powinna trzymać się twoich poleceń... I tak jej nie słuchałem. Przychodziłem... przychodziłem

codziennie.

- Nie powiedziała niczego takiego, Hank! Przestań mnie obrażać! I nie próbuj się usprawiedliwiać. Wyjechałeś na święta. W porządku. Ale nie opowiadaj mi takich rzeczy.

- Wybacz, ma petite. Tom odnalazł mnie w Vermoncie, gdzie byłem z przyjaciółmi, jeszcze przed świętami. Wróciłem tak szybko, jak tylko mogłem. Pojechałem do Vermontu, bo jakie tu bym miał święta - bez dzieci, bez rodziny? Więc naprawdę, True, nie chrań... przepraszam, Gee. Myślałem, że zmięknie i pozwoli mi spędzić z Guyem chociaż część świąt. Rodzice byli gotowi tu przyjechać, jeszcze zanim się rozchorował. Czaiłem się na szpitalnym parkingu jak pieprznęty, jak zboczeniec, próbując wejść i zobaczyć moje dziecko - mówi ostro Hank. - Przepraszam, że używam brzydkich słów, Gee. Zastanów się, co mówisz, True. Co cię to, do diabła, obchodzi? Dlaczego mnie wypytujesz, gdzie byłem? Mój syn, tak, widzę, że mnie potrzebował. Zawsze będę się nienawidził za to, że nie zebrałem się na odwagę, nie wszedłem do środka i nie żądałem, by pozwolili mi nocować z nim, tak jak tobie. Mam takie samo prawo. A jednak starałem się tego nie robić.

- Dlaczego?

- Bo myślałem, że to docenisz. A tymczasem - nie! Ty zawsze masz rację. Ani nie odpowiedziałaś na żaden z moich listów, ani nie próbowałaś się ze mną skontaktować. Więc co cię obchodzi, gdzie byłem?

Twarz Hanka jest purpurowa. Guy wlepia wzrok to w jedno, to w drugie z nich, jakby obserwował mecz tenisowy.

- Listy? Masz na myśli tę jedyną epistołę, że jesteśmy jak dwa pociągi na dwóch różnych torach? Co niby miałam ci na to odpowiedzieć? Jasno wyraziłeś, czego chcesz. Dzieci. A nie mnie - odpowiada True. - I niech Guy wyjdzie z pokoju, gdy o tym rozmawiamy.

- Nie chcę, żeby myślał, że go opuściłem w potrzebie, chociaż pewnie chciałabyś, żeby tak myślał - zaczyna Hank.

- Wcale bym nie chciała - wzdycha True.

Hank patrzy na jej twarz, na jej sylwetkę i o wiele łagodniej, prawie szepcząc, mówi:

- Chwileczkę. Może czegoś nie rozumiem.

- Posłuchaj - mówi True. - Nie spodziewałam się po tobie takiej obcesowości, jaką znalazłam w tym liście. Po prostu.

i to tak nagle. Zachowywaliśmy się przecież poprawnie... gdy odszedłeś.

- Poprawnie! - prychnął Hank na nowo obrażony. - To specjalność domu przy Stage Harbor Lane. Nieważne, co kto czuje.

- Daj mi spokój, Hank. Spędziłam dwa tygodnie w szpitalu z bardzo poważnie chorym dzieckiem. I nie jestem w najlepszej formie, jeśli cię to interesuje. Czuję się źle i powinnam leżeć w łóżku albo dziecko przyjdzie na świat znacznie 'wcześniej, niż powinno, czego żadne z nas nie chce. Ten list naprawdę mnie uraził. Nigdy nie dałam ci żadnego powodu, byś mógł myśleć, że zamierzam pozbawić cię dostępu do dzieci. Dlaczego więc mnie straszylesz?

Hank wygląda na szczerze zdziwionego.

- Ostatni list? A czego się spodziewałaś? Że będę cię błagał w nieskończoność? A inne listy? Zapisałem tony papieru. A telefony? Nigdy nie oddzwoniłaś. Ani razu, ani przed chorobą Guya, ani później. Nawet po tym, jak przyszedłem do szpitala.

- Nie widziałam cię. Pielęgniarki też cię nie widziały.

- Widziały. Rozmawiały ze mną. Ta wielka czarna dziewczyna z koralikami we włosach. I ten facet też. Ty spałaś. Ale Guy ze mną rozmawiał.

- Zostawiłaś coś dla Guya?

- Tak.

- On nie wiedział, od kogo...

- Wiedział. Powiedział: „Cześć, tatusiu”. I to parę razy, chociaż nie jestem pewien, czy mu się nie wydawało, że śni. Miał całkiem szklane oczy.

- Nigdy nie dostałam od ciebie żadnego listu, Hank. Nie wiem, że telefonowałeś. Mówię prawdę.

- Przekazywano ci wiadomości ode mnie.

- Nie. Tylko wtedy, gdy Esa mówiła, że dzwoniłeś i że przyjdiesz po Guya.

- A twoja mama?

- Nic mi nie mówiła.

- Wobec tego zapominała ci powtórzyć - albo chciała zapomnieć. Dzwoniłem do Isabelle każdego dnia, a ona o wszystkim mi opowiadała. Byłem w szpitalu z dziesięć razy, ale przeważnie nie odważałem się zrobić nic więcej, jak tylko zajrzeć do pokoju. Myślałem, że mnie wyrzucą. Błagałem Kathleen, żeby pozwoliła mi zobaczyć się z Guyem. Błagałem Esę, żeby pozwoliła mi z tobą porozmawiać.

- To się nie trzyma kupy. Jeśli dzwoniłeś do Isabelle, dlaczego mi o tym nie powiedziała? Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie wszedłeś, skoro chciałeś to zrobić?

True czuje, że coś tu nie gra. To wszystko nie ma sensu. Przecież wie, jaki jest Hank - niepoprawnie śmiały i nieprzejmujący się niczym, zwłaszcza w kontaktach z obcymi.

- Żebyś wyrzuciła mnie z hukiem na jego oczach? Kathleen powiedziała, że jesteś wściekła. Powiedziała, że twoim zdaniem to stres przyczynił się do choroby Guya...

- Nigdy tego nie powiedziałam! Nigdy bym cię nie wyrzuciła. Powinieneś mieć o mnie lepsze mniemanie. - True jest równie zdegustowana, jak zmęczona. Szepta: - Kłamiesz. Powinnam wiedzieć, że kiedy mówisz, to kłamiesz. Esa by mi powiedziała. Nie pojmuję, dlaczego starasz się kłamać.

- Kathleen straszyla Esę, że ją wyrzuci z pracy. Tak mi powiedziała Esa. Kathleen zarzekała się, że ją wyrzuci, jeśli Esa zrobi coś, co zdenerwuje ciebie albo Guya.

True próbuje sobie przypomnieć, jak to było, gdy upominała Esę, często ostrym tonem, żeby przestała mówić o Hanku. Przypomina sobie, jak Esa dziesiątki razy bez powodzenia namawiała True, by zadzwoniła do Hanka. Skoro Kathleen nadal potrafi zastraszyć czterdziestotrzyletnią córkę, to co dopiero dwudziestosześcioletnią dziewczynę?

- Chwileczkę, chwileczkę. Powiedziałeś, że moja matka chciała wyrzucić Esę z pracy?

- Tak. Twierdziła, że ma twoje pełnomocnictwo.

- Ma moje pełnomocnictwo od czasu, gdy odszedłeś, ale... przecież to nie ma sensu. Nie pojmuję, dlaczego Esa mi nie powiedziała. Z drugiej strony nigdy nie była w podobnej sytuacji, nie mówiąc już o tym, że naprawdę potrzebuje teraz pracy. Faktem jest, że nie byłam otwarta na jej sugestie. Ale dlaczego moja matka miałaby...

- Ano właśnie. Możesz nienawidzić mnie, True, ale zabronić mi się z nim zobaczyć w sytuacji, gdy...

- Gdy byłem umierający, mamó! - wtrąca się Guy. - Widziałem cię, tatusiu. Wiele razy. Ale myślałem, że to mi się tylko śni, bo pojawiałeś się i zaraz znikaleś. Byłem na ciebie bardzo zły.

Wizje Guya, myśli True.

- Nie chciałem tego.

- Ona mnie uderzyła - mówi cicho Guy.

- Uderzyła cię? Za co, True? - pyta ostrym tonem Hank.

- Atakujesz mnie? Za to, że go uderzyłam? Ty, taki macho? Kto opowiadał, że jego ojciec pojedynkował się w wolnych chwilach?

- Nie gadaj bzdur, True.

- Nie rób ze mnie osoby krzywdzącej dzieci. To ty namawiałeś go, żeby skakał...

- Powiedziałem ci już, że sam chciałem...

- Przestańcie oboje! - woła słabym głosem Guy.

- Powiedz mu - mówi True. - Powiedz, dlaczego cię uderzyłam.

- Bez powodu. - Guy wzrusza ramionami.

- Bez powodu? Powiedział, że chce umrzeć, że wtedy przynajmniej zobaczy swojego

prawdziwego ojca.

Hank klęka.

- Ja jestem twoim tatusiem, Guy. Nie prawdziwym tatusiem, ale co to ma za znaczenie? Założę się, że twój tata w niebie bardzo chce, żebyś miał tatusia na ziemi. Gdyby nie mama, byłbym tu z tobą cały czas.

- Mnie do tego nie mieszaj - rozkazuje True.

- Gdyby babcia tak się nie bała, że cię zdenerwuję, zmartwię czy coś... Dała ci przynajmniej prezenty i kartkę ode mnie?

- Nie! - wykrzykuje oburzony Guy.

- Przysłałem ci koszulki i wykrywacz metalu, grand-mere przysłała ci wodery a grand-pere - swoje własne szachy z czasów wojny secesyjnej! I kaftanik dla dziecka. I całą wyprawkę, którą wyhaftowała mamam. Gdzie to wszystko jest, True?

- Jestem jedynie pewna, że... nie wiem. Niczego nie schowałam. Nie ma tu tego.

- Gdzie jest Kathleen?

- Chwileczkę, chwileczkę. Sama wszystko wyjaśnię. Pobądź z nim, skoro już tu jesteś. Mogę go z tobą na chwilę zostawić?

- Myślę, że dam sobie radę, True. Możesz mieć do mnie zaufanie, gdy wychodzisz do drugiego pokoju i zostawiasz mnie z naszym synem - mówi z najpoważniejszym wyrazem twarzy Hank. I szybko pyta: - Czy mogę najpierw dotknąć dzidziusia? - True myśli o Hanku i Adele, jak czytają razem przy kominku albo rozpalają ognisko na plaży, i kręci głową. Twarz Hanka tężeje. Wzdryga się, jakby dostał policzek. - Pozwól mi dotknąć moje dziecko, True. Proszę.

True mięknie i wskazuje niewielką wypukłość.

- Tu ma stopę.

Hank dotyka jej podkoszulka czubkiem palca. True nie może powstrzymać się od śmiechu.

- Nie, Hank! Nie tak, jakbyś dotykał gorącego pieca! Trzeba trochę nacisnąć, bo inaczej nawet nie poczuje.

Hank naciska mocniej, dziecko odpowiada kopnięciem.

- O Boże! - mówi Hank.

- A teraz idę porozmawiać z Kathleen.

Krokiem, z którego byłby dumny sam Himmler, True rusza w stronę biura. Nie sądzi, by była zdolna uderzyć matkę, ale ochota, by to zrobić, wręcz sprawia jej przyjemność. Kathleen rozmawia przez telefon. True kreśli parę słów w leżącym przed nią notatniku.



Będzie na nią czekać w kuchni. Niech przyjdzie jak najprędzej. Na herbatę.

Solidarne w złości z True dziecko wierci się jak szalone.

Guy drzemie. Hank zostawił kartkę, obiecując, że przyjdzie rano. True telefonuje do matki i prosi, by przyszła wreszcie napić się z nią herbaty.

- Prosiłam, żebyś przyszła - mówi True, gdy Kathleen wchodzi lekkim krokiem do kuchni - ponad godzinę temu.

- Od czasu gdy nie bywasz w biurze, a przynajmniej nie tyle co kiedyś, mam mnóstwo pracy - mówi nie w ciemię bita Kathleen.

- Zrób sobie przerwę - mówi True. - Musimy porozmawiać. Kathleen wzdycha.

- Co jest aż tak pilne? - pyta. - Guy znowu chory?

- Guy ma się dobrze. Śpi. Hank był z nim przez pewien czas.

- A, wobec tego na pewno dobrze się czuje. O co chodzi?

- Usiądź, mamo.

- Dobrze. Mówiłaś coś o herbacie, więc gdzie ona jest? - True odwraca się i włącza czajnik. - Chłodny dzień. Przemarzałam do szpiku kości. Powinnam się przeprowadzić na Florydę.

- Niezła myśl.

- Nigdy się nie przeniosę.

- Wiem.

- Za dużo starych i trzęsących się...

- Wiem, mamo. - True przygotowuje dla każdej z nich filiżankę i podstawkę. Siada. - A teraz powiedz mi, i nie staraj się niczego wymyślać, dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że Hank dzwonił i chciał rozmawiać osobiście ze mną, a nie tylko ustalić termin spotkania z synem, że przychodziły od niego listy, że jego rodzina przysłała Guyowi prezenty? Dlaczego nie pozwoliłaś mu odwiedzić Guya w szpitalu i straszylaś Isabelle, że ją wyrzucisz z pracy?

- Nadal cię to wszystko tak bierze? True czuje, że oczy wyjdą jej z orbit.

- Bierze? Spytałam, dlaczego ingerujesz w moje życie osobiste i przeszkadzasz mojemu synowi widywać się z ojcem. I czekam na odpowiedź. Teraz.

- Z ojcem? - prychna Kathleen. Wskazuje głową na brzuch True. - I z jego ojcem?

- Nie interesuje mnie, co sądzisz o Hanku, ale Guy chce mieć ojca. Może szybciej wróciłby do zdrowia, gdyby Hank był przy nim.

- Żaden z niego ojciec - mówi Kathleen. - Żaden ojciec.

- Nie tobie to oceniać.

- Tobie także nie.

- Nie wierzę własnym uszom.

- Ogarnęła cię taka żądza, byłaś tak wyposzczona i samotna, napalona jak suka, że wybaczylaś wszystko - mówi Kathleen. - Słyszałam, jak szlochasz po nocach w swoim pokoju.

True podnosi się z krzesła, chwytając Kathleen za ramiona i potrząsa nią tak, że aż jej dzwonią zęby.

- Słyszałaś, że płaczę, i nie weszłaś, żeby mnie pocieszyć?

- Myślałam, iż nie chcesz, żebyśmy wszyscy wiedzieli, że się rozstaliście. Staralam się uszanować twoje prawo do samotności. Byłabyś zadowolona, gdybym weszła?

- Nie - przyznaje True. - Odczuwałabym wstyd w twojej obecności. Czułabym, że i ty się za mnie wstydzisz. Choć nie wiem dlaczego. Jesteś moją matką. Powinnam chcieć ci powiedzieć, jak bardzo byłam smutna.

- Miałaś prawo być smutna. Ten człowiek zrobił z ciebie pośmiewisko przed całym miastem.

- Przestań, mamó. Przestań. Chcę wiedzieć jedno: Gdzie są moje listy? Gdzie są prezenty dla Guya?

- Widziałam, że Elizabeth zwróciła ci swoją część twojej firmy.

- Zaglądałaś do tego listu.

- Leżał otwarty na stoliku w holu. Nie starałaś się go ukryć. To bardzo ładnie z jej strony. Miała klasę ta kobieta.

- Masz rację. Teraz ty pokaż swoją klasę. Powiedz mi, gdzie są listy.

Kathleen jest poirytowana. Sięga do kieszeni, wygrzebuje miętową pastylkę, czyści ją i wkłada do ust.

- Jak będziesz się denerwować, True, skoczy ci ciśnienie.

- Nie jestem zdenerwowana, mamó. Jestem zdeterminowana.

Kathleen wzdycha.

- Jeśli chodzi o prezenty, to możesz je sobie wziąć. Nie otwierałam ich. Nie dałam ich Guyowi, bo uznałam, że w ostatecznym rozrachunku sprawią mu przykrość. I tobie także. Takie wspominki. Są w sejfie w biurze.

- Dobrze, wyjmę je stamtąd. Dam je Guyowi, gdy się obudzi. Jeśli chcesz wiedzieć, Bannisterowie bardzo Guya kochają. Kochają go niezależnie od tego, czy Hank i ja jesteśmy razem, czy też nie.

- Tak, są bardzo wylewni w uczuciach i bardzo się z tym afiszują.

- To było złośliwe, nawet jak na twoje możliwości. Po prostu tacy są. Nie robią nic na

pokaz. I nie zmieniaj tematu.

- Aha.

- Chcę dostać moje listy!

- Dobrze się zastanów.

- Co to, do licha, znaczy? Jakieś sceny z powieści Daphne du Maurier? Przestań się zachowywać, jakbyś pozjadała wszystkie rozумы, i nie wtrącaj się w moje życie jak wierna służąca. Co zamierzasz zrobić w następnej kolejności? Podpalić firanki? Dlaczego miałabym nie dostać moich listów? Kathleen dopija herbatę.

- Przyniosę je. Są w moim stoliku w holu. Przeczytaj je. Uwierz w te wszystkie bzdury, tak jak wierzą inni, bądź głupia.

Kathleen ze złością maszeruje na zewnątrz, otwiera kluczem drzwi swojego domu - True patrzy za nią przez okno - wraca i rzuca dwa pakiety listów pod stopy córki.

- Wiesz przecież, że nie mogę ich podnieść, mamó. Kathleen schyla się i podaje True cieńszy pakiet. True

otwiera pierwszy list pisany w tydzień po tym, jak Hank opuścił dom.

Droga Żono!

Jestem zarozumiała i głupi, ale jestem też gotów okazać żal za wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, a co mogło sprawić Ci przykrość. Łatwiej byłoby mi to wyjaśnić osobiście niż pisemnie. Proszę, daj mi szansę. Możesz mnie nienawidzić, ale porozmawiajmy. Czy nie możemy rozmawiać? Będę czekał w poniedziałek w Comfort and Joy. Czy może być szósta?

Hank

I następny list.

Droga True!

Teraz wiem, że jesteś wściekła, albo i więcej niż wściekła. Widywałem Cię wściekłą, więc wiem, że teraz to coś więcej. Wiem, że postanowiłaś nigdy mi nie wybaczyć. Ale ja muszę próbować.

Masz prawo. Nie oskarżam Cię. Postąpiłem źle. Nie musi mi tego mówić moja matka, chociaż, wierz mi, zrobiła to. Więcej niż raz.

Muszę Ci wyjaśnić. Proszę, daj mi szansę. To nie tak, jak myślisz. To tak, jakby wszystko zaczęło wymykać się spod kontroli, a ja nie potrafiłem tego zatrzymać. Tak, powinienem był to zatrzymać, ale czułem, że nie potrafię.

Po pierwsze, napisałem do Adele, bo było mi jej żal, ale nie ja rozpocząłem tę korespondencję, tylko ona. Wydawało mi się, że nikomu nie przeszkadza, że Adele napisze

do mnie czy zadzwoni. Myślałem, że to nic takiego. Nie zdawałem sobie sprawy, co ona przeżywała w związku z naszym ślubem. Byłem naiwny, ale też cieszyło mnie w jakiś sposób, że Adele nie może dojść do siebie po rozstaniu ze mną. Zawsze mówiła, że nikt nigdy nie będzie taki jak ja i że zniszczyłem jej życie, jeśli chodzi o kontakty z mężczyznami. To mi pochlebiało, przez co teraz czuję się głupio.

A potem, kiedy stale pisała, nie umiałem jej nie odpisać. Nagabywała mnie tym rozpaczliwiej, im gorzej czuła się jej matka. Jej ból był jak sieć. Po prostu namacalny. Ogarniał mnie i oplatał. Nigdy nie pomyślałem, że wykorzystuje ten ból, żeby mieć mnie w taki sposób, w jaki mieć mnie już nie mogła. Przedtem wpadała od czasu do czasu, jedliśmy coś razem, a potem wyjeżdżała. Tak jakbym był tym, na kogo zawsze mogła liczyć.

Gdy przyjechała pierwszy raz, w drodze do New Hampshire, cieszyłem się razem z nią. Wydawało mi się, że zależy jej na tamtym facecie, choć powiedziała, że nigdy nie pokocha go tak, jak kocha mnie. To mnie przeraziło. Próbowałem się z tego wycofać. Próbowałem jej wytłumaczyć, że nie mogę się z nią widywać. Potem, gdy skończyło się między nią a tym facetem, Dave'em, wszystko zaczęło się na nowo. On najwyraźniej wcześniej niż ja zrozumiał, jaka jest Adele. Zachowywała się histerycznie. Naprawdę myślałem, że zabije siebie i dziecko, gdy on z nią zerwał. Wtedy przyszła do restauracji.

Nadal jej powtarzałem: „Jestem żonaty. Kocham moją żonę. Kocham mojego syna. Będziemy mieli dziecko”. A ona płakała i pytała: „A co z latami, które spędziliśmy razem, Hank? Czy chcesz powiedzieć, że w ciągu sześciu miesięcy pokochałeś ją bardziej niż mnie w ciągu sześciu lat?” Było mi jej bardzo żal. Tobie też byłoby jej żal, gdybyś ją widziała. Ale powiedziałem jej: „Jak znajdziesz tego kogoś jedyne, to zrozumiesz. Zrozumiesz, tak jak ja rozumiałem”. Mówiłem prawdę. Czas, kiedy mogliśmy być razem, należy do przeszłości. W końcu powiedziała, że rozumie. Ale nadal do mnie pisała, wysyłała dziesiątki e-maili, błagając, żebym jej odpowiadał. Odpowiedziałem na jeden czy dwa tylko po to, żeby wiedziała, iż nadal jestem jej przyjacielem.

Potem, kiedy Marie była umierająca, pomyślałem, że zrozumiesz. Że to koniec, że nie będzie już tak do mnie lgnęła. Skąd mogłem wiedzieć, gdy przyszedłem tamtego dnia do domu, że źle się czujesz? Jak poszedłem pod prysznic, a Twoja matka stała w pokoju, postanowiłem już nawet, że nie pojedę, ale wtedy mnie zaatakowałaś. Wtedy odezwała się we mnie moja głupota. Nie chciałem pozwolić, by jakakolwiek kobieta mówiła mi, co mam robić. Przypomniałem sobie, jak się czułem w tych wszystkich sytuacjach zaraz po naszym ślubie, kiedy Ty byłaś szefową, a ja tylko facetem, któremu pozwalałaś być przy sobie.

Zrobiłem wtedy tę najgorszą rzecz w całym moim życiu. Zostawiłem Cię samą.

Och, True, nie potrafię błagać. Nigdy o nic nie błagałem. Ale jestem gotów błagać Cię na kolanach, żebyś przebaczyła mi ten błąd. To było okrutne z mojej strony, to był zawzięty, głupi upór, bez serca. Pięć razy zwracałem z drogi, ale myślałem: wyrzuci mnie. Wyrzuci mnie, myślałem, i jechałem dalej. Przez cały czas w Cambridge myślałem tylko o Tobie i o tym, jak Ci to wynagrodzę. Zamartwiałem się, myślałem, że się zabiję, jeśli po powrocie okaże się, że straciliśmy dziecko.

Potem wróciłem. Chciałem Cię objąć. A Ty powiedziałaś, żebym się pakował. Wyrzuciłaś mnie jak śmieć. Nie chciałaś mnie wysłuchać. To nie była Twoja wina. Wiem, jak to wyglądało. Ale mogłem Ci przecież wyjaśnić, że to nie było tak.

Mogłaś przynajmniej mi otwarcie powiedzieć, że to, co było między nami, nie było dla Ciebie realne. Że nie było to coś, czego nigdy przedtem nie przeżywałaś. Mogłaś powiedzieć mi, że sposób, w jaki patrzyłaś na mnie podczas ślubu Esy, nie wyrażał tego, czego nie potrafiłaś wyrazić słowami - i czego ja nie potrafiłem wyrazić słowami.

Jestem pewien, że dobrze mnie znasz - tak jak nigdy nie znałaś nikogo innego. A ja kochałem Cię całym sobą.

I nadal Cię kocham, True, nadal, nadal Cię kocham.

Nie zbliżyłem się do Adele tamtej nocy. Nigdy nie okazałbym Ci takiego braku szacunku.

Chcę być Twoim mężem do końca życia. Chcę żyć z Tobą w zgodzie. Jeśli uważasz, że potrzebny mi psychiatra, pójdę do psychiatry. Człowiek może się zmienić, jeśli dość mocno tego pragnie. Mogę zmienić się dla Ciebie. Mój tatuś mówi, że straciłem największy skarb, jaki miałem, i ma rację.

Proszę, przyjedź do restauracji, kiedy tylko zechcesz. Porozmawiajmy. Wiem, że mnie zrozumiesz. Popełniłem wiele błędów. Poważnych. Pierwszym było moje zachowanie wobec naszego dziecka. Jaki byłem samolubny i niedojrzały w stosunku do Guya. Teraz pozwoliłbym mu zedrzeć sobie koszulę z karku i zrobić z niej latawiec. Nie mogę ani jeść, ani spać, True. Wiem, że jestem odpowiedzialny za całe zło. Mogę spędzić resztę naszego życia, udowadniając Ci, że nigdy, ale to nigdy nie chciałem Cię skrzywdzić. Jeśli głupota jest grzechem, to jestem grzesznikiem. Ale pragnę Cię dotknąć bardziej, niż pragnę nieba.

Twój kochający mąż, Hank Bannister

Oto i cały Hank. True nie może jednak uwierzyć, że on to napisał. Mężczyzna, który wydaje się tak impulsywny, tak szybki w działaniu i jednocześnie tak trudny, jeśli chodzi o porozumiewanie się w poważnych sprawach, wyłożył wszystkie karty na stół. True nie potrafi rozsądzić tego węzła. Nie potrafi zlokalizować szczytu, na którym para dziwaków zatknęła

zwycięską flagę i złożyła sobie uroczyste przyrzeczenie, a zaraz potem zaczęła się osuwać. Nie potrafi określić, które z jej przywar popchnęły Hankę do wznoszenia barier ani które z wzniesionych przez niego barier sprawiły, że pokazała pazury.

Ale te słowa mogły wszystkiemu zapobiec. Mogli się nie rozstać, nie musieli być rozdzieleni na siłę z powodu okoliczności i obłudy. Trzymając te kartki w dłoni, czuje ogromną czułość i cierpki smutek. Ociera wilgotne oczy mankietem koszuli. Jak bezwzględna i płytka musiała mu się wydawać, pomijając milczeniem tak otwarte błagania.

Słowa napisane na papierze nie wymazują wszystkiego, co zrobili i powiedzieli, nie goją miliona mniejszych i większych ran.

Nie jest jednak jeszcze za późno. True może postarać się, by zrozumiał. On przecież sprawił, że zrozumiała. Gdzie jest czas, musi być nadzieja. Musi.

Niecierpliwie otwiera następny list, jeszcze późniejszy i bardziej rozpaczliwy.

True,

Jeśli pisałem głupio i dziecinnie, przepraszam. Nie jestem pisarzem. Nie mam smykałki do pisania. Ale ciągle Cię Kocham. Nadal pragnę żyć z moją żoną i synem. Tęsknię do mojego chłopca. Proszę Cię, rozważ jeszcze raz swój wybór. Miłości nie da się wymusić. Gdy mnie wyrzuciłaś, nie potrafiłem Cię przepraszać. Mamy w sobie tę okropną dumę - i Ty, i ja. Pozwól, że opowiem Ci o godzinach, które spędziłem, spacerując po plaży, patrząc w rozświetlone okna domu, który był moim domem i gdzie spędziłem najszcześniejsze chwile dorosłego życia.

Nigdy nie myślałem, że będę się chciał odegrać na Tobie poprzez Adele za to, że czułem się przy Tobie mały i nieważny - za moją rolę w Twoim życiu. Jakbym był Twoim kolejnym służącym. Ale teraz widzę, że tak było. Widzę też, że nie Ty byłaś winna, że tak się czułem, ale ja sam. Powtarzałaś, że nie jesteś dla mnie odpowiednią partnerką. Ja ciągle myślałem, że to ja nie byłem dość dobry dla Ciebie.

Ty wszystko wiesz. Jesteś czytana, prowadzisz interesy, znasz historię. Ja wiem tylko, jak przyrządzić krewetki z ryżem. Zgrywam ważniaka, żeby to zatuszować. Może nie powinnaś była mnie pokochać, ale tak się stało, True.

Kochałaś mnie. Wiem o tym.

Mogłem nie zasługiwać na tę miłość, True, ale udało nam się ominąć wszystkie rafy, nieprawdaż? Trudności, kłótnie, krzywdy, które Ci wyrządzałem, wszystkie lęki, które odczuwałaś. Uporaliśmy się z tym wszystkim. Dokonałiśmy czegoś, w co wszyscy wątpili.

Jak możesz o tym zapomnieć? Nie chcę powiedzieć, że nie rozumiem, dlaczego mnie nie chcesz. Ilekroć jednak Cię widzę, dostrzegam w Twoich oczach tęsknotę. Nie wiem, czy

tęsknisz za mną, czy za przyszłością, którą mieliśmy przed sobą i która nie udała nam się tak, jak planowaliśmy. Spytałem Guya, a on powiedział, że czekasz jedynie na odpowiedni moment, w którym pozwolisz mi wrócić. Powiedział, że chcesz mi dać nauczkę. Dać mi nauczkę? To brzmi jak słowa mojej żony. Mojej purytanki.

Może jeszcze za wcześnie, może nie powinienem jeszcze żartować.

Ale czy chcesz, żebym czekał wiecznie? Jestem gotów czekać wiecznie, jeśli jest jakaś nadzieja. Jestem tu. i czekam.

I jeszcze jedno. Guy mówi, że płaczesz. Mówi, że śpisz w mojej koszuli. Cholerna koszula! Dlaczego nie widziałem, co robię. Twoja zmęczona twarz, Twoja ciężka praca.

Dlaczego nie podtrzymałem Cię na duchu, gdy czułaś się niepewna? Dlaczego sobie kpiłem?

Pewnie dlatego, że sam czułem się niepewnie. Niepewnie? Hank Bannister? Mais tak. Jak Perry. Musiałem imponować. Seksowne dziewczyny. Motocykle. Ale pod ubraniem była pustka.

Nigdy nikomu nie pokazałem niczego, co było we mnie. Z wyjątkiem moich bliskich. A potem Ciebie. Zwłaszcza Ciebie. Zawsze mi się wydawało, że we mnie po prostu nic nie ma, póki Ty czegoś tam nie dostrzegłaś. Ty to wydobyłaś ze mnie, a ja to odrzuciłem.

Powiedziałaś mi, że jesteś moja. Bebe. Powiedziałaś mi, że jesteś MOJA.

Gdy Cię spotykam, nie jesteś chłodna. Nie jesteś nieuprzejma. Traktujesz mnie jak starego przyjaciela. Moje odczucia są inne. Nie jesteś dla mnie dawną przyjaciółką. To mnie zabija. Chcę tego, co było przedtem. Tak, wszystkich naszych kłopotów. Wszystkich komplikacji. Ciągłego zamieszania. Brakuje mi nawet Kathleen.

Przemyśl to chociaż. Dla dobra Guya i dziecka, jeśli już nie naszego. Nie rozczaruję Cię. Nie masz powodu, by mi wierzyć, ale nie rozczaruję Cię. Przysięgam. Zawsze możesz na mnie liczyć. To brzmi jak słowa z głupiej piosenki country, ale niektórych rzeczy nie da się powiedzieć tak, żeby nie brzmiały jak przechodzony dowcip.

Hank

Gdy True czyta, jej matka stoi wyprostowana i nieruchoma. True wyciąga list w jej kierunku jak pochodnię.

- Dlaczego, na rany całej ludzkości, to zrobiłaś, Kathleen?

- Czyż nie podoba ci się fragment, w którym mówi, że brakuje mu nawet mnie? - odpowiada Kathleen.

Uśmiecha się uśmiechem krzywym, zabarwionym złościwością i jakby czymś jeszcze. W kuchni czuć zwierzęcą woń. Woń dzikości.

- Nie ośmielaj się powiedzieć ani jednego słowa na jego temat w moim domu, Kathleen. Ani jednego słowa.

- Nie nazywaj mnie tak - warczy Kathleen.

- Nie mogę nazywać cię mamą. Czuję się, jakbym stała przed obcą osobą.

- Rozumiem, że teraz pobiegiesz spytać jego przyjaciółkę, czy pozwoli ci się z nim zobaczyć.

- To wstrętne, Kathleen - mówi True. - Tak, gdybym wiedziała, że zechce mnie wysłuchać, gdybyś nie sprawiła, że to niemożliwe, zrobiłabym właśnie coś takiego. Poszłabym tam, gdybym musiała. Jak mogłaś pomyśleć, że te listy nie są szczere? Jak mogłaś nie dostrzec, że on naprawdę żałuje tego, co zrobił? Z tobą jest coś... Jesteś przestraszona, tak? Przestraszona tym, co zrobiłaś. Będę udawać, że nie słyszałam, co powiedziałaś. Dam ci szansę, żebyś była dla mnie dobra.

- Zanim do niego pobiegiesz, chcę ci pokazać coś innego - mówi ponuro Kathleen. - Powinnam była pokazać ci to wiele miesięcy temu, ale musiałam też myśleć o mojej prywatności.

- O twojej prywatności! Jak śmiesz wspominać o swojej prywatności? Po tym, co zrobiłaś z moim życiem, po tym, jak dołożyłaś wszelkich starań, by je zniszczyć?

True bierze pakiet poślizgniętych, nadgryzionych zębem czasu kopert, który podaje jej Kathleen. Potrząsa nimi przed twarzą matki.

- Co to jest? Listy ojca? Chcesz mi pokazać, co prawdziwy mężczyzna pisze do swojej żony? Nic nowego! Nic mnie to nie obchodzi! Nie chcę ich czytać! Mam dość wysłuchiwanie o Bercie Dickinsonie. O ile mi wiadomo, nigdy nie poszedł z Dogiem na mecz, nigdy nie przyszedł na żadne przedstawienie, w którym brałam udział. Domyślam się, że między wami było coś wielkiego, czego zresztą nigdy do końca nie pojmowałam, ale nie chciałabym dzielić życia z facetem, którego częściej nie było w domu, niż był, a nawet jak był, to i tak się wydawało, że go nie ma! Rozumiesz, mam? Nie mam żadnych wspomnień o ojcu poza tym, że kazał nam czytać jakieś cholerne roczniki! Jak myślisz, dlaczego? Bo on nie był nam ojcem. Może w ogóle nie powinniście byli mieć dzieci. Może on nas wcale nie chciał...

- Jeżeli przestaniesz wreszcie bredzić, zobaczysz, że to nie są listy pisane przez twojego ojca do mnie - mówi spokojnie Kathleen. - Przyjrzyj im się, True. Przyjrzyj im się bardzo dokładnie.

- Po co? O co chodzi? Jakbyś się czuła, gdyby ktoś grzebał w twoim życiu bez twojej wiedzy? Jakby ktoś podglądał cię ukrytą kamerą?

Kathleen nie odpowiada.



- Jakbyś się wtedy czuła, mamó? Odpowiedz mi.

- Posłuchaj, co do ciebie mówię. To nie są listy od twojego ojca - mówi Kathleen. - Jeśli do nich zajrzysz, zobaczysz, o co chodzi i dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Chciałam mieć dzieci. Dzieci były całym moim życiem, True. Nie miałam innego życia. Przeczytaj te listy.

- Od kogo one są?

- To są listy pisane do twojego ojca, ale on nigdy ich nie widział.

True spogląda na pakiet, który trzyma w ręce. Wszystkie koperty są otwarte. Mają daty 1959, 1963, 1965. Litery duże, ozdobne, dziecinne. Nad każdym „i” zamiast kropki jest serduszko albo gwiazdka.

- Śmiało. Dziesiątki razy chciałam ci o tym powiedzieć, gdy byłaś młodą kobietą, ale nigdy... nigdy nie mogłam się do tego zmusić. Równie dobrze możesz dowiedzieć się tego teraz.

- Nie chcę cię ranić, mamó. Weź je.

- Nie.

- Weź je. One są twoje. Jeśli obie zrobimy coś wstępnego, to będzie jeszcze gorzej.

- Nie może być gorzej. Najgorsze już się stało.

Robbie!

rozpoczyna się pierwszy list,

Czy miałaś duże kłopoty, gdy zadzwoniła do hotelu i powiedziano jej, że państwo Dickinson właśnie wyszli na kolację? Mam nadzieję, że nie. Choć w pewien sposób chciałabym tego. Może wreszcie skończyłoby się ukrywanie i kłamanie. Jak się mają True i Augustus? Na zdjęciach, które mi przysłałeś, Augustus wygląda na ładnego, dużego chłopca. Umieram z miłości do Ciebie. Nie mogę się doczekać, kiedy znów Cię zobaczę. Tvoja na zawsze

Barbie

True wchodzi powoli po schodach, Kathleen tuż za nią niczym milczący cień. True siada na łóżku. Dziecko w jej brzuchu tańczy breakdance. True kładzie się i głęboko wciąga powietrze. Otwiera kolejną, leciutko zaklejoną w jednym rogu, starodawną kopertę z czerwono-biało-niebieskimi paseczkami na obrzeżu i znaczkiem za dziesięć centów. Zaczyna czytać:

Najdroższy Robbie!

Niestety, nasz przyjaciel mnie nie odwiedził. Ty także nie. Przez cały miesiąc! Trudno. Znajdę sobie mężczyznę, który będzie wyglądał jak James Dean i będzie o niebo

lepszy od Ciebie. Och, nie, nie mogłabym tego zrobić. Ty jesteś najmądrzejszym, najmilszym, najdroższym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. Gdziekolwiek spojrzę - na „nasz” złoty wazon, na półki, które zrobiłeś, na mój bujany fotel - myślę, ile mi dajesz. Najgorsze jest to, że nie możemy mieć ze sobą dziecka. Właściwie, dlaczego nie? Dlaczego nie, skoro i tak spędzasz tu połowę życia? Czy nie widziałeś filmu o wspaniałym panu Pennypackerze? (Nawiązanie do filmu *The Remarkable Mr. Pennypacker* (1959), w reż. Henry’ego Levina, opowiadającego o biznesmenie utrzymującym dwie rodziny). Może i Ty masz w sobie więcej miłości niż można pomieścić pod jednym dachem. Jestem pewna, Robbie, że nie jestem w ciąży, ale lubię, gdy się o mnie martwisz. Lubię myśleć o tym, jak zrzucasz buty, nawet gdy Twoje skarpetki śmierdzą - jak ona je pierze, ta kobieta? Chyba nie używa środka zmiękczającego. Czytam nowy rocznik. Bardzo mi się podoba. Kocham cię

Barbie

Matka True stoi w drzwiach sypialni.

- Nie wiem, czy którykolwiek z jej listów dotarł do jego rąk. Łatwo jest odebrać pocztę. Nikt właściwie na nią nie czeka. W tym domu, gdzie panuje wieczny chaos, jest jeszcze łatwiej.

- W moim domu nie panuje chaos. Kim ona jest?

- Kobieta Bertą.

- Taty? Mój ojciec miał kochankę?

- Jeśli chcesz tak to nazwać...

- Sądząc po tych listach, nie była prostytutką.

- Zapewniam cię, True. Była dziwką. Mówię ci najszczerzą prawdę. Sprzedawał jej encyklopedie. Zrobili to już pierwszego dnia. Wystawiła mu czek i od razu poszli do łóżka. Tak przypuszczam. Nie wiem nawet, dlaczego kupowała encyklopedie. Wątpię, czy potrafiła czytać. Jak się o tym dowiedziałam, nigdy więcej z nim nie spałam.

- Ale przecież tak bardzo go kochałaś, mamó - mówi True, w jej złość wkrada się wielki żal. - Kochałaś go całym sercem. Ciągłe chodziliście tańczyć do Morse Lodge. Jak mogłaś to znieść? W jaki sposób się dowiedziałas?

- Widzisz przecież. Przesyłała listy do nas, do domu. Jako adres zwrotny pisała World Book, Incorporated, ale ja wiedziałam, że biura World Book, Incorporated nie adresują kopert fioletowym atramentem ani pismem opóźnionego w rozwoju dziecka. Zaczęłam więc je otwierać. Nad parą.

True przypomina sobie tamten wieczór, koperty ze zdjęciami Hanka, lśniące oczy Kathleen.

- To musiało być dla ciebie straszne, mamó. Trzymałaś to wszystko w tajemnicy? Powiedziałaś o tym Ellen albo swojemu księdzu?

- Wyznałam to ojcu Adamowi. Powiedział, że muszę się modlić i mieć nadzieję, i walczyć o moje małżeństwo dla waszego dobra i dla zbawienia duszy Berta. Sama zresztą też tak uważałam.

- Musiało być coś jeszcze.

- Chyba nie mogłam pozwolić, by go miała, tak? - Oczywiście Kathleen są pełne przerażenia.

- Nie... Nie mam pojęcia.

- Rozwód? To były lata sześćdziesiąte, ale wcale nie takie, o jakich mówi się dzisiaj. Prawdziwe lata sześćdziesiąte, nie żadne tam hasła o wolnej miłości. Poza Leną Livowitz nie znałam nikogo, kto by się rozwiódł. A i ona rozwiodła się tylko dlatego, że jej mąż, jak się okazało, miał drugą żonę w Lynn. Nie mogłam pozwolić, żeby dostały się w jej ręce oszczędności Berta i jego emerytura, nie chciałam, żeby miała z nim dzieci, żeby żyła z człowiekiem, któremu oddałam dziewictwo.

- Chryste Panie.

- Nie wzywaj imienia boskiego nadaremnie.

- Musisz przyznać, mamó...

- Wiem, że jesteś wstrząśnięta. Zawsze chciałam wam o tym powiedzieć, tobie i Augustusowi, ale jakie by to miało znaczenie? On nie żył. Kochał mnie. Jej nigdy nie kochał. Wierzyłam, że tak było. Wiedziałam, że tak było, ale widziałam, że ten człowiek, ten... Hank zrobiłby to samo tobie.

- Mamó, nie...

- Tyle lat młodszy? Wiesz, jak on patrzył na Esę?

- Na Esę? - Chichot wzbiera w krtani True. Nie potrafi go ukryć. - Na Esę?

- Na każdą! Widziałam, jak on patrzy. A gdy cię zostawił i spędził noc z tą dziwką...

- Nie sądzę, by Adele była dziwką, ale to nie ma żadnego znaczenia...

- Wiesz, że by cię zostawił! Wiesz, że i tak by cię w końcu zostawił! Zerwałby z tobą! Straciłabyś wszystko! Nadal nie wiem, ile stracisz przy rozwodzie! Dzwonił do ciebie z mieszkania tej kobiety, True. Widziałam na identyfikatorze rozmów przychodzących. A gdy się dowiedział, że jesteś w ciąży, puszył się jak paw!

- Tak... czasami tak było.

- Ile razy Bert dzwonił do mnie z jej mieszkania? Widzisz? W ten sam sposób.

Siedziała wtedy cicho jak myszka? Czy naśmiewała się ze mnie? - Kathleen szpera między listami. - Masz, zobacz! To jej zdjęcie! - True patrzy na atrakcyjną, drobną kobietę, otuloną w tanie futro z lisa. Wyzywający uśmiech, wyraz twarzy parodiuje pożądanie. - Myślisz, że jest ładna?

- Nie, mamusiu. Ty byłaś o wiele ładniejsza. - Mimo łupania w głowie i mroczków przed oczami True uświadamia sobie, że nigdy przedtem nie odbyła z matką rozmowy tak długiej i tak żywo angażującej obie strony w inną sprawę niż finanse firmy i niszczenie książek bibliotecznych. - I nadal jesteś ładna.

- Jestem, to znaczy, byłam! Byłam najładniejszą dziewczyną w Amherst - poza paroma innymi. Wziął mnie z domu mojego ojca. Chciałam go. Tak, True, musiałam za niego wyjść...

- Byłaś w ciąży z Dogiem?

- Nie, ale pozwoliłam mu... to zrobić. A skoro mu pozwoliłam, to miałam szczęście, że chciał się ze mną ożenić.

- Jezu! - True spogląda na jeden z otwartych listów.

Robię Ci na drutach sweter. Nie znam Twoich wymiarów. Mogę go tylko mierzyć moimi ramionami. Chyba nie będzie za mały. Masz takie szerokie bary... Nie mogę się doczekać, kiedy przyjedziesz następnym razem i zabierzesz mnie na tańce do Big Pine w Madison...

- Dlaczego go nie zapytałaś? Dlaczego nie stawiałaś mu czoła?

Kathleen się waha.

- Bo wtedy miałby usprawiedliwienie, by odejść.

- Gdzie ona mieszkała?

- W Wisconsin.

- Daleko.

- To jego strony. Na wschód od Missisipi.

- Kellen o tym wie?

- Kellen był pierwszą osobą, która się o tym dowiedziała. Sprawdził to i owo. Dowiedział się, gdzie ona teraz mieszka. Bo jeszcze żyje. Wyszła za mąż. Ma dzieci. Kellen się wszystkiego dowiedział.

- Nigdy nie wspomniałaś o tym ani słowem Dogowi?

- Na Boga! Nie!

- Nadal nie rozumiem. Musiał wiedzieć, że wysłała do niego listy. Nie martwił się, że to ty je odbierasz?

- Jak sądzę, nie robiło mu różnicy. Nie mogłam wspomnieć o tych listach, bo jak? Przy kolacji? Przy dzieciach? W łóżku? Myślałam, że jeśli je zatrzymam, a on wystąpi

o rozwód, przedstawię je jako dowód, że mnie opuścił. Ale on nie występował o rozwód i nigdy nie wspominał o listach. Jak ty się urodziłaś, nigdy więcej nie żyliśmy ze sobą.

- Już to mówiłaś. Nie chcę nic więcej wiedzieć.

- A więc to nie miało znaczenia. Wracał od niej, jak miał wypadek.

- Jednak Chappaquiddick.

- Co?

- Dog i ja... zawsze uważaliśmy, że w jego śmierci... było coś dziwnego. W tym, że właściwie nigdy się o tym nie mówiło. Po prostu żyliśmy dalej...

- W tamtych czasach wszyscy tak robili. Nie rozmawiało się przy dzieciach o nieżyjących rodzicach. Tak mówił właściciel zakładu pogrzebowego.

- Skoro ona była w Wisconsin...

- Była tutaj! Przyjechała na lato. Miała dom w Hardwichport.

True jest oszołomiona mieszanymi uczuciami przerażenia i ciekawości.

- Mogłam ją spotkać, gdy pracowałam jako niania do dzieci.

- Bałam się, że tak się stanie.

- Przecież ja jej nie znałam, mamó, więc skąd bym wiedziała...

- Bałam się, że ona... do ciebie podejdzie.

- To już bez znaczenia. Jest mi bardziej przykro, niż sądzisz, mamó. Robiłaś z niego świętego i przed nami, i przed całym światem, a on był spryciarzem, który zdradzał cię po kryjomu przez całe życie.

True przywołuje na pamięć obrazki z życia rodziców, jak zdobią dom przed Bożym Narodzeniem, kroją niedzielną pieczeń, jak on zapina jej naszyjnik przed wyjściem do Moose Lodge, jak przez dziesięć lat krążył po salonie - zwalisty, kołyszący się słoń. Wyobraża sobie, jak jadą samochodem, rozmawiają o pogodzie, o cenach dziecięcych bucików, o chorobach i narodzinach w kręgu przyjaciół.

- Jak mogłam stawić temu czoło? - wybucha Kathleen. - Na kogo ja bym wyszła, gdybym się na to godziła? Biedna Katie, nie potrafi utrzymać męża. Myślisz, że miałabym przyjaciół? Że miałabym szacunek dla siebie? Wyglądałabym tak, jak...

-...jak ja teraz. Wiem, co masz na myśli. Ale ja o to nie dbam, mamó. Nie zgadzam się z tym, co o mnie myślisz, chociaż czułam się bardzo upokorzona. Ale to fałszywe

upokorzenie. Po prostu - rzuciłam kostką i przegrałam. To mnie nie ośmiesza. A w każdym razie nie tak bardzo, jak czasami czuję. Mamo, rozmawiałaś kiedyś o tym z lekarzem?

- Masz na myśli psychiatrę?

- Tak, bo to, co zrobiłaś z Hankiem... było bardzo... to było prawie... to było idiotyczne.

- Nie całkiem. Jak się zastanowić.

- Jak się zastanowić? Jeszcze nie zaczęłam się nad tym zastanawiać. Jak się nad tym zastanowię, wyda mi się to jeszcze bardziej dziwaczne niż teraz.

- Ona przyszła na pogrzeb, True! Przyszła na pogrzeb Berta! Widziałam ją. Widziałam, jak na mnie patrzyła. Była tłusta. No, może nie tłusta. Tęga.

- To było trzydzieści lat temu, mamo. Nie rozmawiałaś z nią? - True jest skonsternowana.

- Nawet miałam ochotę. Chciałam jej powiedzieć: „Oddaj mi, co do mnie należy. Wszystko, co ci podarował, każdy skrawek papieru, najdrobniejszą sztukę biżuterii”. Nie wiem nawet, czy pracowała. Mógł ją utrzymywać. Nigdy się tego nie dowiem. Bert zajmował się naszymi finansami, Bert opłacał wszystkie rachunki.

- Uważam, że powinnaś iść do psychiatry. Za długo dusiłaś to wszystko w sobie. Masz jeszcze przed sobą kawał życia, mamo. Jeśli zamierzasz... żyć naprawdę, powinnaś spróbować o tym zapomnieć. O tym, co straciłaś, i o tym, co... mi zrobiłaś.

- Co mi powie psychiatra? Że byłam nadopiekuńcza wobec jedyne dziecko? Wobec mojej jedynej córki? Która znalazła się w podobnej, kłopotliwej sytuacji, jak ja przed laty?

- W podobnej sytuacji? Nie sądzę, żebyśmy byli w podobnej, kłopotliwej sytuacji. Hank popełnił wiele błędów, ale ja też. Bałam się. Może lekarz... powiedziałby ci, że pozwoliłaś lękowi zająć się tobą, całym twoim życiem. Nie wiem - mówi True. - Zaczekajmy, co powie na to Dog.

- Nic mu nie mów, proszę - błaga Kathleen. - Straci szacunek do ojca.

- Powiem mu, mamo. Chyba że zagroźysz, że się powieszysz, o, na tamtej lipie. Powinien wiedzieć. To dotyczy także jego życia. A skoro o tym mówimy, przestań traktować Doga jak królewicza z bajki, a mnie jak Kopciuszka. Dlaczego oszczędzasz jego uczucia, a moich nie?

- To mu sprawi przykrość. Szanował ojca. Miał wtedy zaledwie dwanaście lat. A gdybym chciała się powiesić, zrobiłabym to dawno temu. Nie myśl sobie, że się nad tym nie zastanawiałam. Wyobraziłam sobie Berta, jak znajduje mnie martwą. Wiedziałyby, dlaczego. Ale to mi się nie opłacało. Nie chciałam, żeby ona miała was - mówi Kathleen z wściekłością.

- I dzięki Bogu. Nie wygląda na najbardziej rozgarniętą, jeśli to cię pociesza. Ty jesteś o wiele lepiej wykształcona, masz klasę. Jestem pewna, że ojciec zdawał sobie z tego sprawę. Zamierzam jednak o tym powiedzieć mojemu bratu i Hankowi, i Franny. Nikomu więcej, przyrzekam. Nie zamierzam też wyrzucić cię z pracy, mammo.

- Co takiego?

- Nie wyrzucę cię z pracy, ale stąd cię wyrzucę. Nie, nie, nie tak, jak myślisz. Kupię ci dom. Gdzieś niedaleko. Tak zrobię! Bo nadal chcę cię kochać i nadal chcę z tobą pracować. Chcę, żeby Guy nadal miał babcię, a ja matkę. Ale nie chcę, żebyś kontrolowała moje życie. Nie chcę, żebyś pociągała za sznurki, za które tylko ja mogę pociągać. Poza tym może się zdarzyć, że pod moją nieobecność Hank albo Esa będą chcieli mieszkać w domu gościnnym. Takie było też pierwotne przeznaczenie tego domku. Mogę również potrzebować niani do dziecka, która będzie chciała mieć więcej prywatności, więc ją tam umieszczę. Tak czy owak, chcę normalnie żyć, mammo. I ty też powinnaś normalnie żyć. Powinnaś... chodzić na randki. Po prostu żyć.

- Chodzić na randki!

- Sędzia zapraszał cię...

- W moim wieku!

- Przecież w gruncie rzeczy „chodzisz na randki” z ojcem Esy.

- To śmieszne. Jeśli chcesz, żebym się wyniosła, to dobrze, True. Zadzwońię do Augustusa i...

- Zgoda.

- Pozwolisz mi, prawda? Mówisz poważnie. Niezależnie od tego, co będzie czuł Guy. I mój nowy wnuk. Pozwolisz mi się wyprowadzić, tak? I zamieszkać samej.

- Tak. To mam na myśli. I nic więcej. Musimy tak zrobić. Chcę sama kierować własnym życiem.

- Jesteś jak głaz, True. Nie wiem, jak to się stało, że jesteś taka chłodna.

True nie odpowiada, obejmuje ramionami szczupłe ciało Kathleen, czuje pod jej swetrem wyraźny zarys kości, czuje, jak Kathleen przestaje się bronić.

- Skurwysyn. Jak myśmy to wyczuwali? - pyta w rozmowie telefonicznej Dog.

- Dzieci wyczuwają takie rzeczy - mówi True. - Wyczuwają wszystko. To w nas tkwiło jak wirus. Byliśmy grzecznymi aniołkami, w każdym razie na pewno ja. A ty byłeś głuptaskiem, który nic tylko uganiał się z piłką do koszykówki. Byliśmy tacy posłuszni, Dog. Chodziliśmy na paluszkach. Aż do przesady. Bo widzieliśmy, że cierpi. Nie kojarzyła nam się tylko z różgą. Była biedna. I tak bardzo starała się udawać.

- To był rzeczywiście Chappaquiddick.

- Rzeczywiście.

- Ile tata mógł mieć lat, jak zginął?

- Czterdzieści? Czterdzieści dwa?

- Zaznał przynajmniej trochę przyjemności.

- Ona nie. Ona nie zaznała przyjemności.

- Może teraz zazna.

- Powiedziałam jej, że powinna poradzić się specjalisty - mówi True.

- Oooo! Już to widzę, True. I zostanie prezeską General Motors.

- Mogłaby. I tego mogłaby... dokonać. Mieć o wiele więcej, niż ma. Ale tak się nie stało, bo w tamtych czasach w jej świecie to się nie mogło stać.

- Jakim on był facetem?

- Myślę, że wtedy było wielu takich facetów. Na przykład prezydent Kennedy. Zdradziłeś kiedyś Linde?

- Nie, choć raz o tym myślałem, dawno temu, zaraz po studiach. Chodziliśmy ze sobą już w studenckich czasach, True. Pomyślałem, że powinienem choć raz spróbować... ale nie. Powiedziałbym ci, gdyby było inaczej. Życie nieustannie nas zaskakuje. Ale słyszę, że odzyskałaś sprzedaną część firmy. Wiem też, że Hank starał się nawiązać z tobą kontakt. Czy to ma dla ciebie znaczenie?

- Kiedyś mogło mieć. Ale ta chwila minęła. Kiedyś o tym porozmawiamy. A przy okazji, może się zdarzyć, że mama przeprowadzi się do ciebie.

- Daj spokój.

- Albo przeprowadzi się do ciebie, albo kupię jej - nie, ty i ja kupimy jej niewielki domek. Nie chcę, żeby była tak blisko mnie, żeby miała tak łatwy dostęp do moich spraw i śledziła każdy mój ruch - jeśli w ogóle będę kiedyś żyła naprawdę. Nie martw się, Doggie, sfinansuję większą część, ale i ty będziesz musiał mieć w tym swój udział. Masz wystarczająco dużo pieniędzy. I masz czas albo go sobie zorganizujesz. Znajdziesz odpowiednie miejsce. Ja będę teraz nową mamą. Ty też masz obowiązki wobec matki, braciszku. A jak na razie nie miałeś okazji nawet spróbować, jak smakuja. Dog wzdycha.

- Nie potrafię z nią rozmawiać.

- Nikt nie potrafi z nią rozmawiać, chociaż ostatnim razem nawet mi się udało. Było to nieco surrealistyczne.

- Przecież mam przed oczami obraz, jak dyskutujecie o książkach, robicie plany związane z interesami, słuchacie muzyki...



- Tylko ci się wydawało, Dog. Musiałeś być na prochach. Przyślij mi ich trochę. Posunęła się do tego, że nazwała mnie napaloną, niezaspokojoną suką.

- Przykro mi, siostrzyczko, że musiałaś to przełknąć. Wiedziałem, że trudno z nią wytrzymać, ale nie sądziłem, że aż tak... Zgoda, zrobię coś w tej sprawie. Linda też. Szkoda, że mnie tam nie było. Powinienem być. Mogłem przecież przyjechać. - Dog milknie na chwilę. - A gdybym wiedział, co zrobiła Hankowi i tobie...

- Raczej bym cię nie zaprosiła na tę okazję. Na uroczyste otwarcie puszkii Pandory.

- Dobrze chociaż, że Guy ma się lepiej.

- Guy tak, ale ja nie jestem w najlepszej formie... Mam zatrucie ciążowe.

- A co to, u licha, jest?

- Krótko, z powodu zbyt wysokiego ciśnienia i nadmiaru wody w organizmie czuję się jak Titanic. Cierpi też na tym dziecko, bo nie dostaje wszystkiego, czego potrzebuje.

- Zrób coś z tym jak najprędzej.

- Zrobię. I kocham cię, braciszku.

- Ja też cię kocham. Skunks.

- Kto?

- Hank. Mama nie pozostaje bez winy, ale faktem jest, że wszystko przez niego.

- Nie, Doggie. Bardzo bym chciała przyznać ci rację, bo sama jestem w pewnym sensie nada] wkurzona na Hankę, ale wielu rzeczy nie rozumiałam i on wielu rzeczy nie rozumiał... póki nie straciliśmy siebie nawzajem. Stres nie ma z tym nic wspólnego. Nic. To opowieści starych żon - choć i ja jestem starą żoną.

Listy, które Kathleen pokazała True, zrobiły jednak swoje, zasiały ziarno niepokoju. True obawia się wysłać Hankowi jakąkolwiek wiadomość, obawia się, że to Adele otworzy list, a jeśli wyśle go na restaurację, może zostać otwarty przez kogoś z personelu albo przez księgowego. True zastanawia się, czy nie dopisać „do rąk własnych”, ale to tylko wzmoże ciekawość innych.

A co będzie, jeśli ją odrzuci?

Może zbyt długo kazała mu czekać z pochyloną głową?

Po południu, przed wizytą u ginekologa, True wysłała Hankowi kartkę do restauracji. Ostrożnie dobiera słowa. Pisze:

Drogi Hank, chciałabym z Tobą niezwłocznie porozmawiać. Jest jeszcze wiele spraw, o których powinniśmy decydować wspólnie. Mam przynajmniej nadzieję, że tak jest. Spraw, w których ostateczne decyzje nie zostały jeszcze podjęte. Muszę powiedzieć Ci o czymś, co pomoże wyjaśnić, dlaczego tak okropnie się zachowałam. Wiem, że jesteś teraz bardzo zajęty.

Nie traktuj więc tego listu jak pilnego wezwania, ale gdy tylko będziesz miał trochę czasu, proszę, skontaktuj się ze mną. Proszę. True.

Nowa ginekolog, urocza Azjatka, rówieśnica True, zaleca pomiar ciśnienia krwi oraz monitorowanie płodu co dwa dni. Oba badania można przeprowadzać blisko domu - a nie w Bostonie, jak się złąkla z początku True - w szpitalu w Hyannis, gdzie True będzie rodziła.

- Powiedzmy sobie otwarcie - mówi lekarka - na podstawie badania ultrasonograficznego nie można przewidzieć dokładnie rozmiarów płodu. Widać natomiast, że ona - czy on - rozwija się prawidłowo. Wiemy przynajmniej, że dziecko rośnie.

Esa, która towarzyszy True podczas wizyty w roli męża, uczy się mierzyć ciśnienie krwi domowym aparatem.

- To nie tylko obowiązek, ale wręcz przygoda - mówi wesoło, zaznaczając poranne, południowe i wieczorne pomiary na specjalnej karcie. Ciśnienie True oscyluje wokół stu pięćdziesięciu, stu sześćdziesięciu na dziewięćdziesiąt pięć. Nie jest więc przerażająco wysokie, ale niepokojące.

True wstaje z łóżka, by wziąć prysznic, posiedzieć trochę przy biurku, zanim nie odczuje dudnienia w głowie i lekkich zawrotów. Wtedy powoli, zatrzymując się na każdym stopniu, wraca do łóżka i opiera stopy wysoko na poduszkach.

Mija tydzień, potem drugi. True czuje się, jakby pływała w snach, słyszy i widzi dźwięki oraz światła, które nie należą do rzeczywistości. Ból w czole i skroniach oszukuje paracetamolem. Zasypia i budzi się, widzi twarz Hanka, blisko, tuż nad swoją, na tle nieba ponad górą Washington, jego rozchylone usta, oczy czułe i pełne pożądania. Sięga do obrączki, ale nie znajduje jej na palcu. I wtedy sobie przypomina. Czy czeka ją kolejnych siedem czy osiem tygodni tej maligny? Chyba tego nie zniesie.

Śni i śpi, śpi i wstaje, by skorzystać z toalety. Próbuje czytać. Anne Morrow Lindbergh. Musi iść do toalety, ale nie może zrobić siusiu - to wyjątkowe uczucie. Spaceruje tam i z powrotem między łóżkiem a oknem. Próbuje jeszcze raz. Nie może. Opłukuje twarz i kładzie się na wznak na łóżku. Słowa Anne Morrow tańczą jej przed oczami, zamyka je niby iskry pod powiekami. Hank wrócił, w miękkiej koszuli z niebieskiego batystu. Hank płynie w powietrzu na rowerze, kruczoczarne, indiańskie włosy, całkiem teraz długie, rozwiane na wietrze. Brzdęk, moneta uderza o podłogę niebieskiego grobowca. Dłonie Hanka na jej brzuchu laskoczą ją. W piersiach czuje tętno i mrowienie.

Czyta, zapomina, co czyta, rozmawia przez telefon z Larrym Sornbergerem, który mówi, że przygotowuje dla jej dziecka kołyskę gratis. Dziękuje mu wylewnie. On mówi dalej, że będzie zrobiona w starym stylu, z biegunami i rączką, do której można sięgnąć, leżąc w

łóżku, i ukołysać dziecko, gdy się obudzi.

Potem przychodzi dzień, gdy True nie ma sił wstać nawet po to, by wziąć prysznic.

Głowa już nie boli, głowa rozszerza się w nieskończoność. True ma wrażenie, że gdyby na siebie spojrzała, zobaczyłaby, jak w krzywym zwierciadle, wielkie, rozciągnięte gumowe usta i niemiłosiernie wydłużone czoło. Zobaczyłaby, że ma rybie soczewki zamiast swoich zdrowych oczu. Jej ręce nie wydają się jej rękoma ani nawet ludzkimi rękoma. Sięga do nocnej szafki po nożyczki, gotowa przebić tuż nad nadgarstkiem opuchnięte przedramię. Powstrzymuje się, gdy ostrze dzieli od skóry zaledwie milimetry. Byłaby szczęśliwa, widząc, jak ciecz wycieka, a jej ciało kurczy się i powraca do normalnych rozmiarów. Hank, woła w ciszę, myśl o mnie.

Nie ma na co czekać.

Podnosi słuchawkę i dzwoni do biura.

- Eso, muszę jechać do szpitala.

True leży na boku w łóżku z uniesionym podnóżkiem, by stopy spoczywały wyżej niż reszta ciała, i wydaje się jej, że frunie w powietrzu. Jak orlica. Patrzy w dół z wysoka. Widzi, jak matka krząta się koło swego domku, pakuje się, mówi coś ze złością. Płacze? Czy Kathleen płacze? Czy może to tylko wspomnienie obrazu ze starego filmu, może z Czarnoksiężnika z Krainy Oz. Widzi też Doga. Jego ręce są ogromne, niewiarygodnie duże. Dog się wszystkim zajmie. Widzi Hanka na Ridgevale Beach, z bladym, małym Guyem idącym spokojnie obok niego i ze skaczącym wokół nich Gypem. True nie dowierza, że można być tak zamroczonym, choć jest się trzeźwym. Ma zawroty głowy, wszystko wokół niej wiruje, nawet gdy spokojnie leży. Z trudem przewraca się na lewy bok, opasana przewodami od aparatury niczym koń popręgiem. Co jest w zbiorniku kroplówki, co wpływa do jej żył? Na pewno nic, co by ją jeszcze nawadniało. Może perfumy. Może sok grapefruitowy. Może krew z serca.

Ciśnienie sto sześćdziesiąt na sto... zmienne.

Zagrożenie dla płodu... Niedotlenienie? U dziecka czy u niej?

Rozkurczowe rośnie...

... do łóżyska?

Każdy dzień jest dobry. Poczekajmy jeszcze trochę, zobaczymy...

- True - mówi Franny. - Jestem tutaj.

True budzi się nagle, jest całkiem świadoma.

- Franny? Jak długo tu jestem? - pyta.

- Trzy dni, kochanie.

- Oni mnie czymś faszerują.

- Myślę, że powinni.

- Jesteś tu, bo coś mi jest?

- Jestem tutaj, bo prawdopodobnie będą wywoływać poród.

- Wywoływać poród?

- Tak.

- Chwileczkę. - True sięga do dzwonka, by przywołać pielęgniarkę. - Coś im się pomyliło. Jeszcze nie czas.

- Zbadali dziecko... Jest już dostatecznie gotowe... Wiesz, że ryzyko przedwczesnego...

- Dziecko umrze! Gdzie jest Hank? Chcę, żeby Hank tu był!

- Zaraz tu będzie - mówi Franny, gdy wchodzi pielęgniarka, ale nie Nigeria. True wolałaby, żeby to była Nigeria.

- Zaraz panią przygotujemy i pojedziemy na porodówkę, pani Dickinson...

- Bannister. Ale to za wcześnie. Którego dziś mamy?

- Siedemnastego stycznia.

- Przecież to się nie zgadza. Poród miał być piątego marca. - Doktor uważa, że ryzyko dla dziecka i dla pani jest większe niż ryzyko przedwczesnego...

- Chcę, żeby dziecko żyło!

- Pani Dickinson...

- Bannister - mówi Hank. - To moja żona. Jestem Henry Bannister.

Hank wygląda nieskazitelnie w białej koszuli i bawełnianych spodniach. Ma wilgotne włosy.

- Proszę państwa, znacznie młodsze wcześniaki świetnie sobie radziły. Po kilku dniach nic jej nie będzie groziło. Będziemy pilnować oddechu i monitorować krwawienia do mózgu...

- Do mózgu? Nie chcę. Będę czekać. Będę czekać.

- Nie może pani czekać, pani Bannister.

- Mamusiu - pyta Guy przerażonym głosem. - Czy nasz dzidzius umrze?

- Nie - mówi True. - Chodź, weź mnie za rękę, Gee. Dzidzius będzie zdrowy.

- Przyniosłem ci twoją lalkę. Zobacz, co Esa do niej przypięła.

Na plecach lalki, którą dostała tak dawno temu, w prowizorycznym nosidełku tkwi niemowlak, małeńka twarzyczka jest okutana warstwami juty.

- Rudy je zrobił. Widzisz czarne włoski?

True przygląda się nie maleństwu, lecz twarzy lalki. Nigdy przedtem nie przypatrywała się jej tak dokładnie. To nie jest nieudany, odrzucony model wizerunku Chris Evert Lloyd. To lalka ciesząca się ogromnym powodzeniem, przerobiona na podobieństwo True, ubrana w podkoszulek i dzinsy - oryginalna święta Joanna z czasów, gdy True zaczynała pracować u Elizabeth, wersja sprzed decyzji o ścięciu lalce włosów, by pokazać Joannę w żołnierskim ubraniu, taką, jaka była przez wiele lat jako wódz i jako męczennica na stosie. Ta lalka z długimi włosami jest już przedmiotem zainteresowania kolekcjonerów, prawie zabytkiem. Jest naturalnie pewne prawdopodobieństwo, choć trudno w to uwierzyć, że Elizabeth przypadkowo wybrała i podarowała Rudy'emu tę właśnie lalkę na zrobienie karykatury byłej asystentki. Elizabeth nie robiła niczego bez zastanowienia. Była całkowicie świadoma, że jej lalki mogą w pewnym momencie stać się eksponatami na wystawie dwudziestowiecznych gospodarstw domowych zorganizowanej przez tak szacowną instytucję, jak Smithonian Institution w Waszyngtonie.

True myśli o żyjącej wiele wieków temu Joannie i o jej przesłaniu opisanym językiem zrozumiałym dla dzieci w książce, która towarzyszyła lalce. Jeśli jestem w stanie łaski, chcę mieć nadzieję, że w nim pozostanę, a jeśli nie jestem, chcę wierzyć, że łaska zostanie mi udzielona. Niewykształcona młodziutka dziewczyna, brudna, więziona, samotna, zastraszana i torturowana, odziana w plugawą szkarłatną suknię, wie doskonale, że nikłe są jej nadzieje, by osiągnęła wiek dojrzały, by mogła kochać, mieć dziecko albo chociaż spojrzeć swobodnie, bez okowów, w niebieskie niebo nad Francją, a jednak, stając przed obliczem okrutnych inkwizytorów, zdobywa się na odwagę. Dzisiejszy świat niewiele różni się od tamtego, myśli True. Ja straciłam coś, co zdawało się wielką miłością mojego życia i co z pewnością było wielką namiętnością, ale większość ludzi ponosi znacznie dotkliwsze straty. Ja z pewnością nie będę mogła mieć więcej dzieci, ale może to dziecko będzie żyło bezpiecznie. Jeśli nie, pomogę mu, jestem silna. A więc, myśli True, sama istota mojego życia nie została naruszona. I pozostanie nienaruszona. Nie chodzi o urodę i talenty, ani nawet o syna czy to dziecko, ale o wytrwałą, nieustępliwą odwagę, przebijanie się przez mrok tego świata, by dać życiu szansę obdarzania nas łaską. Z lalką obok głowy na poduszce, True pozwala pielęgniarkom obrócić i przenieść swe ciało na łóżko na kółkach. Pielęgniarka wiesza kolejny pojemnik kroplówki.

Wydaje się, że minęło parę chwil, choć obserwując wędrówkę słońca za oknem, True wie, że były to całe godziny, gdy zaczynają się skurcze.

Ból narasta miarowo, przypląwa i cofa się niczym fala w niekończącej się kadencji.

- Czy chce pani coś przeciwbólowego, pani Bannister?

- Założę się, że ma pani na myśli znieczulenie zewnątrz-oponowe.

- Oto i moja True! - mówi Hank. Ma na głowie niebieski czepeczek, niewiele różniący się od tego, który wkłada do gotowania. - Moja żona nie jest wytrzymała na ból.

- Jestem wytrzymała - mówi True - ale... chcę rodzić w skupieniu, swobodnie, a nie w napięciu.

True zaczyna znikać jak w króliczej norze. Nie czuje ciała od pasa w dół, chociaż je widzi. Jej brzuch zaciska się i rozluźnia - cudowna maszyna.

... valium?

Skrócenie szyjki dziewięćdziesiąt procent... rozwarcie... sześć centymetrów... nie wykluczamy cesarskiego, panie Bannister.

- Franny! - woła True. - Franny?

- Jestem, kochanie.

- Chcę przeć.

- Jeszcze nie teraz, True. Jeszcze się nad czymś zastanawiają.

True przypomina sobie niekończące się dyskusje nad wynikiem tomografii Guya. Boże, myśli, zanim skończą, dziecko będzie w wieku przedszkolnym...

- Zaczekajcie, jest dziewięć centymetrów... dajmy jej jeszcze chwilę...

- Hank?

- Jestem, skarbie.

- Widzisz dziecko?

- Jeszcze nie.

- Jest śliczne?

- Jeszcze nie, True. Chwilkę, jeszcze chwilę.

- Proszę oddychać głęboko, pani Bannister - instruuje True miła Azjatka. - Proszę oddychać...

- Franny? Trzymasz mnie za rękę?

- Ja cię trzymam za rękę, True. Guy trzyma cię za drugą rękę - mówi spokojnie Hank.

True stara się myśleć logicznie.

- A czyją rękę trzyma Franny?

- Swoją własną! - woła Franny.

- Niedobrze mi - mówi słabym głosem Guy. - To mi przypomina mój wyrostek.

- Wyjdę z tobą - proponuje Franny.

- Jak długo już tu jesteście? - pyta True.

- Cztery, nie, pięć godzin - odpowiada Franny. - Kupię Guyowi coś do jedzenia.

- Muszę mu zmienić opatrunek...

- Zrobiłem to w domu - mówi Hank.

- Ty?

- Ja. Wszystko w porządku.

- Obandażowałaś jak trzeba? Czy to Esa?

- Właśnie zagłada. Pomachaj jej.

True unosi rękę, która natychmiast opada.

- Wszystko będzie dobrze - mówi stanowczo Hank do Franny. - No, dalej, True, zaczynamy...

- Nic nie pamiętam z poprzedniego razu.

- Teraz jest nowy raz. Nie musisz niczego pamiętać z wyjątkiem tego, że cię kocham i że rodzimy nasze dziecko. Musisz jedynie robić to, co ci mówią.

- Proszę nabrać powietrza, pani Bannister... I teraz... Przecież! True wije się i dyszy, Hank chwyta ją za ramiona i przytrzymuje łagodnie, ale zdecydowanie. Wraca Franny.

- Czy pielęgniarka i przyjaciółka mogą przytrzymać pani nogi?

- Czy mój syn... jest w domu? Czy w szkole?

- Jest na zewnątrz... i czuje się dobrze - mówi Franny. True rozluźnia się, czuje działanie leku.

- Niech każde z was przytrzyma jedną nogę... i... głęboki wdech... widzę czarne włoski... widzę... jest główka... przemy, pani...

True spogląda w dół, na siebie - rozwartą, śliską, pulsującą - i widzi, jak drobny delfinek, syrenka, wyslizguje się na ręce lekarki. Maleństwo zostaje zabrane, zanim Hank zdołał przeciąć pępowinę, choć powinien to zrobić ojciec, a nie pielęgniarka. True usiłuje patrzeć za dzieckiem, ale lekarka mówi:

- Teraz kolej na łożysko... przemy... jeszcze nie koniec. Moje dziecko, nalega True, ale z jej ust nie wydobywa się

żaden dźwięk, gdy wyłania się wielka, śliska masa, a mocne ręce lekarki naciskają na jej brzuch.

- Tak... teraz w porządku.

A dziecko?, pyta bezgłośnie True, patrząc na białe plecy kilkusobowego zespołu zgromadzonego nad stołem w rogu sali - ruszają się, sięgają, unoszą, mierzą. Między ich łokciami True dostrzega bujną, pofalowaną, czarną czuprynę. Adam albo Isabelle, Brewster albo Gwynevere, Chloe albo Ian - jej dziecko płacze donośnie, w bezsilnej złości, że wyciągnięto je z bezpiecznego, rozkołysanego świata, który należał tylko do niego.

Dziewczynka czy chłopiec?, pyta True, ale z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

- Pani Bannister? Obudziła się pani? - pyta lekarka.

- Tak - odpowiada True. - Jestem gotowa.

Radość na twarzy lekarki pozwala True odetchnąć swobodniej.

- Rozmawiałam już z pani mężem. Jesteśmy bardzo, bardzo zadowoleni. Dziecko ma dwa kilogramy i trzysta gramów, co jak na ten etap ciąży jest znakomitą wagą. Oddycha prawidłowo, samodzielnie, wynik Apgar - osiem tuż po urodzeniu i dziewięć po pięciu minutach! Co pani na to?

- Jestem szczęśliwa, ale...

- A więc jak tylko wykonamy wszystkie testy i jak tylko będzie pani mogła unieść ponad dwa i pół kilograma, pomyślimy o pójściu do domu, jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.

- Pani doktor, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

- Och, pani Bannister, przepraszam. Jeszcze jej pani nie widziała? Dziewczynka! Śliczna maleńka dziewczynka o oliwkowej cerze!

- Dziewczynka?

- Tak. Śliczna maleńka dziewczynka. Ma piękne usta, stworzone do całowania.

- Czy Hank... czy mój mąż ją widział?

- Nawet trzymał ją na rękach. I syn także.

- Przyniesiecie mi ją?

- Zawiozę panią do niej.

True idzie do łazienki, przeczesuje włosy mokrymi palcami, myje zęby, a następnie siusia niezwykle długo i z przyjemnością graniczącą z orgazmem. Wchodzi na wagę. Dziesięć kilogramów mniej. Ręce, choć jeszcze trochę spuchnięte, mają wyraźny zarys knykci. Zatrucie ciążowe, jak powiedziała lekarka, ustępuje stopniowo, samoistnie. Nikt dobrze nie wie, dlaczego je miała i kto jeszcze będzie je miał. Nawet wiek, mimo że to częsta dolegliwość u ciężarnych po czterdziestce, nie jest żadnym wyznacznikiem. Potem True pozwala zawieźć się na wózku do sali intensywnej opieki, gdzie lustruje wzrokiem łóżeczka z pleksiglasu, szukając dziecka, które z pewnością rozpozna.

- Widzi pani - mówi lekarka - są tu i większe dzieci niż pani kruszynka. To dzieci, które mają kłopoty z oddychaniem, dzieci z wadami serca...

- Ale ona nie ma...

- Nie, z tego, co dotychczas wiemy... jest zdrowa jak rybka. Niestety, nie jest do pani zbyt podobna.



- Jak rozumiem, geny ojca zdominowały moje. - True się uśmiecha. - Jest po części Kreolką.

- To wszystko wyjaśnia - rozpromienia się lekarka. - Wcześniaki, które mają bardzo dobrze rozwinięty układ oddechowy, to zwykle afroamerykańskie dzieci płci żeńskiej. Miała więc pani szczęście z tymi dominującymi genami.

- Pchanie mojego wózka nie należy chyba do pani obowiązków. Pani jest... Czy nie robią tego pielęgniarki?

- Zwykle tak. Ale gdy przed dwoma laty urodziłam synka, siostra zamówiła dla nas Dwanaście Podarunków. - Kobiety wymieniają wiele mówiące uśmiechy. - A oto i ona... Hop! Trzeba ją ubrać w kaftanik. Leży w specjalnie ogrzewanym łóżeczku, więc póki się jej nie opatuli, nie może zostać zbyt długo na zewnątrz...

Głos lekarki oddała się coraz bardziej, jakby dochodził ze stojącego gdzieś daleko radia. True patrzy na cienkie ramionka córki, które trzepoczą w powietrzu, na pomarszczone, czerwone fikające stopki.

Rozpoznałaby ją wszędzie, na każdej ulicy i każdej planecie. Znała ją całe życie, a nawet zanim zaczęła żyć, zanim życie w ogóle się zaczęło...

- Elizabeth Brewster Bannister - mówi True, pochylając się nad dużą główką, małymi, umięśnionymi i pokrytymi skórą patyczkami rączek i nóg. Nie ma brwi ani paznokci, ale poza tym wszystko jest jak trzeba. Wielkie oczy zajmują pół twarzy i już są brązowe. - Brew Bannister, moja córko, jak się masz?

True i Hank leżą razem na szpitalnym łóżku, gdy True karmi.

- Nie dałaś jej chyba tego imienia tylko z mojego powodu? Tylko dlatego, że tak chciałem? - pyta Hank, głaszcząc dziecko po policzku zewnętrzną stroną palca.

- Miałam szczęście, że płynie w tobie kreolska krew. To ją uratowało - mówi True,

- Wreszcie coś zrobiłem dobrze. Ale co z tym imieniem?

- Podoba mi się jej imię, Hank. To dla mnie ważne, by nosiła imię po Elizabeth i imię, które tobie się podoba. Będziemy tworzyć zwartą drużynę, prawda, słodyczko? True i Brew, ty i ja, przeciw całemu światu. Byłeś wspaniały, Hank. Dlaczego zawsze taki nie jesteś?

- A dlaczego ty zawsze taka nie jesteś?

- Jestem dobra w sytuacjach kryzysowych.

- Wyobraź sobie, że ja też. Nigdy przedtem nie miałem dziecka.

- I nadal nie masz.

- Wiesz, co mam na myśli. Ty rzeczywiście potrafisz sprostać chwili.

True wie, że ojcowie mogą nocować w szpitalu z nowo narodzonymi dziećmi i

spontanicznie pyta Hanka:

- Zostaniesz... z nami? Ojcowie też mogą spędzić noc przy dziecku.

Jego twarz jaśnieje zadowoleniem, ale Hank kręci głową.

- Guy mnie potrzebuje. Jest teraz u mnie w domu.

- Z Adele? Mój syn jest z Adele?

- True, dziś powszedni dzień. Uparł się, że pójdzie do szkoły, chociaż pół nocy był na nogach. Pewnie chciał się pochwalić. Najpierw operacja, teraz siostrzyczka. Dotrze do domu za godzinę, Esa będzie na niego czekać. Wydaje mi się, że czuje się trochę zaniedbywany po tym, jak przez ostatni miesiąc był pępkiem świata.

- Dobra okazja, żebyś wykorzystał swoje pięć minut.

- Tak. Ostatniej nocy powiedział mi: „Wiesz, tatusiu, omal nie umarłem”. Myślę, że powinienem z nim być.

- Nie martw się. Poproszę Esę, żeby z nim została.

- True, raczej ja powinienem z nim zostać. A jeśli martwisz się z powodu Adele, to jej już tam nie ma.

- Dzisiaj jej nie ma?

- W ogóle jej nie ma.

- Dlaczego? Wydawało mi się, że wy oboje...

- Nie chciałbym mówić o tym teraz.

- Zgodna, Hank. Nie chcesz mówić, to nie mów. I idź sobie. Esa może zostać z Guyem...

- Dobrze już, dobrze! Poprosiłem Adele, żeby znalazła sobie współlokatorkę. Czekałem z odpowiedzią na twój list, aż to zrobi. I właśnie zrobiła. Nie uwierzysz, ale pojechała do Nowego Jorku z...

Serce True zaczyna bić mocniej.

- Dlaczego?

- Dlaczego czekałem?

- Tak.

- Nie chciałem, żeby u mnie była, żeby jej obecność przeszkadzała w czymkolwiek, gdy będziemy rozmawiać.

- Dlaczego poprosiłeś, żeby się wyprowadziła?

- To inna przyczyna, która powstrzymywała mnie przed byciem z tobą. Ona zbyt mocno się... angażowała.

- To znaczy?

- Robiła sobie nadzieje związane ze mną, przypuszczała...

- Że będziecie parą?

- Tak.

- A ty myślałeś inaczej?

- Tak. Nigdy nie bylibyśmy parą.

True delikatnie przenosi Elizabeth Brewster do drugiej piersi, dziecko przywiera do niej mocno i ssie. Jak dziecko urodzone siedem czy osiem tygodni przed terminem może być takie silne? Byłaby ogromna, powiedziała lekarka, ważyłaby ze cztery i pół kilograma. Zupełnie jakby opisywała wielką rybę.

- Przykro mi, Hank.

- Naprawdę?

- Tak. Nie chciałam, żebyś się jej pozbywał tylko dla zasady. Ona... To, co się w związku z nią stało... To tylko pretekst do naszego rozstania. Przeczytałam twoje listy. Wiem, ile w nich było żalu i pretensji. I ile szczerych obietnic. Wszystko to bardzo mnie zaskoczyło. Tobie się chyba wydaje, że jestem mądrzejsza niż w rzeczywistości. Z początku, gdy dostałam wreszcie do rąk twoje listy, chciałam zadzwonić do ciebie i poprosić, żebyś wrócił do domu tej samej nocy.

- Szkoda, że tego nie zrobiłaś - mówi czule Hank.

- Ale potem, gdy nie odpowiadałaś, pomyślałam, że znajduję w twoich listach coś więcej, niż faktycznie chciałaś napisać. Mówiłam sobie: „Wtedy tak myślał, ale teraz już tak nie myśli i nie wie, jak mi to powiedzieć”. I było mi przykro...

- Och, True - mówi Hank, delikatnie odsuwając jej włosy, piękne, świeżo umyte, pierwszy raz od miesiąca. - Same nieporozumienia. Musisz wiedzieć, że moje milczenie nie oznaczało wcale, że pragnę, byśmy ze sobą skończyli.

- Nie? Och, Hank... Ja też tego nie chcę. I to nie z powodu środków przeciwbólowych czy hormonów, czy też tej ślicznej istotki. Nie chcę, żebyśmy skończyli ze sobą. Byłam taka uparta i głupia, prawdziwa Jankeska, jak mnie nazywałeś.

- Więc chcesz, żebym wrócił do domu? - pyta Hank. W jego głosie brzmi poczucie krzywdy, a nie ulga.

- Bardzo chcę. Zawsze chciałam.

- Dzięki Bogu. Dosłownie. Bo się modliłem przez te wszystkie tygodnie, kiedy tego nie wiedziałem. Nigdy nie zamieszkałbym z Adele i w ogóle nic by się nie wydarzyło, gdybym wiedział, że jest choćby najmniejsza szansa odbudowania naszej rodziny. Ale nie wiedziałem. Myślałem, że drzesz moje listy i naśmiewasz się ze mnie. Potem dowiedziałem

się, że Kathleen je przetrzymywała. Czułem się urażony, czułem wściekłość.

True ma wrażenie, że słyszy jakiś zgrzyt, jakby suchy trzask wyładowania elektrycznego.

Potrząsa głową i brodawka jej piersi wymyka się z ust Brew. True chichocze na widok wąsów z mleka nad ustami maleństwa. Stara się znów podać jej pierś, ale Brew jest wyraźnie syta i natychmiast, westchnąwszy głęboko, zasypia.

- „W ogóle nic by się nie wydarzyło”? Chcesz powiedzieć, że nie zgodziłbyś się, żeby Adele z tobą mieszkała? A jej ciąża? Powiedziałeś, że czuła się taka osamotniona. Wiem, jak musiała się czuć. Ja miałam Esę i Rudy’ego, i moją matkę... i Guya. Bez nich nie dałabym sobie rady. Bez, jak to powiedziałeś, mojej załogi.

Hank spogląda poza nią, w okno, gdzie snop światła z pobliskiej latarni morskiej w Hyannisporcie obraca się, obraca i gaśnie.

- Hank?

- Spałem z nią.

- Kochałeś się z nią?

- Tylko raz.

- Uważałeś... przynajmniej?

- Ona jest w ciąży, True. Więc to nie ma znaczenia.

- Kochałeś się z Adele?

Hank wyskakuje z łóżka i zamyka drzwi, a potem dosłownie pada na kolana przy łóżku. True dzwoni po pielęgniarkę.

- Boję się, żeby nie zmarła. Czy może ją pani zabrać? Zasnęła. Potem przyniosę ją z powrotem. - True stara się panować nad głosem, gdy pielęgniarka zręcznie owija Brewster kocykiem niewiele większym niż stołowa serwetka.

- Posłuchaj, True. Myślałem, że mnie nie chcesz. Nigdy nie odpowiadałaś na moje telefony, nie odpowiadałaś na moje listy. Przysyłałaś tylko jakieś uwagi dotyczące interesów.

- Jesteś żonaty, Hank, i twoja żona była w ciąży - mówi bezbarwnym głosem True. - Tak, jesteśmy w separacji, ale jak mogłeś być tak niemoralny... I w dodatku narażać się na... na cokolwiek - ten jej cholerny kochanek mógł mieć...?

- Bez takich wzniosłych słów, True. Nie jesteś Emily Dickinson... Przebadalem się.

- Czyli pomyślałeś o własnym bezpieczeństwie. Dobra. Bez wzniosłych słów. Dlaczego zachowałeś się jak napalony ogier i przeleciałeś Adele, gdy ja nosiłam nasze dziecko, i w dodatku omal nie poroniłam? Czy teraz wyraziłam się dość jasno, ty zafajdany kretynie?

- Gdybym nie był żonaty z oziębłą królową, która nie wybaczyłaby nawet Chrystusowi płaczącemu w Ogrójcu... Nie, True, chwileczkę. Masz rację. Ujadam jak pies, bo się wstydzę. Masz całkowitą rację. Nie powinienem był tego zrobić. Ale byłem tak samotny, tęskniłem za tobą, za nami. Chciałem trochę... dotyku, życia.

- Już to słyszałam, Hank! Już to wszystko słyszałam! Wstydz się! Wstydz się!

- Proszę, True, przysięgam ci na głowę naszego maleństwa, to dla mnie nic nie znaczyło...

- Dlaczego mężczyźni wygadują takie rzeczy? Dlaczego ci się zdaje, że to dla mnie pociecha, jak mi powiesz, że przeleciałeś kobietę, ale to dla ciebie nic nie znaczyło?! Kobietę, która cię kocha i dla której to dużo znaczyło! Czy to nie robi z ciebie jeszcze większego idioty?

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

- Ty w ogóle nigdy nie myślisz. Nie myślisz, w ogóle nie myślisz! A już mogliśmy zacząć wszystko od początku... mogłeś zabrać mnie i dziecko do domu!

- Zabiorę was.

- Naturalnie - mówi True.

Nie będzie płakać. Unosi podbródek, zdając sobie sprawę, jak głupio musi wyglądać.

- Jesteś jej ojcem. Zawsze będziesz jej ojcem. Zabierzesz nas do domu, a potem pójdziesz do swojego domu i będziesz spotykał się z nią, ilekroć zechcesz.

- Nie wybaczysz mi?

- Po co mi to powiedziałeś? Odpowiedz. Po co mi to w ogóle powiedziałeś?

- Mówiłaś, że nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic.

- Powiedziałeś mi to, Hank, żeby złagodzić poczucie winy. Powiedziałeś mi to, bo czujesz się winny i chciałeś, żebym zdjęła z ciebie ten ciężar. Ale ja tego nie zrobię. Odmawiam. Nie będę matką, która ci błogosławi. Będę musiała myśleć o tym do końca życia. Nie, nie chcę. Nie mogę. Nie wiem, czy kiedykolwiek ci wybaczę. Kiedy to zrobiłeś?

- Co najmniej miesiąc temu. Przed Bożym Narodzeniem.

- A więc nie dalej niż miesiąc temu.

- Tylko raz. Któregoś dnia płakała, więc ją objąłem. A wtedy ona była taka... no, wiesz.

- Niestety, wiem. Wynoś się stąd! Wyjdź z tego pokoju. -

True zaczyna krzyczeć, ale potem ścisza głos. Nigdy nikogo nie nienawdziła tak bardzo. Uświadamia sobie, że właściwie nigdy nikogo nie nienawdziła.

- Ale i tak chcę dzisiaj zaopiekować się Guyem - mówi Hank.

- Dobrze. Ale idź już sobie. Zostaw mnie w spokoju. True patrzy, jak Hank wkłada skórzaną kurtkę.

- Będziesz się z nią nadal spotykał? - True nie może się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Nie wiem. Jeśli tak, to tylko po przyjacielsku - mówi Hank. - Nigdy się z nią nie ożenię. Nigdy nie będę jej kochankiem. Nie chcę. To by nie było dobre ani dla niej, ani dla mnie.

- Zwłaszcza dla niej - mówi True, zagryzając wargę. - Tak jak powiedziałeś, to nie byłoby dobre ani dla ciebie, ani dla niej. Ani dla mnie, ani dla Brewster, ani dla Guya.

- Naturalnie. To by było obraźliwe dla naszej miłości. Będę czekał do końca życia, True.

- Do końca życia? Czy sześć tygodni oznacza „do końca życia”? Bo tylko tyle udało ci się czekać! Skoro uważasz, że to obraźliwe dla naszej miłości, dlaczego tego nie powiedziałeś? Wcale tak nie uważasz. Myślałeś tylko o sobie.

True robi się niedobrze na samą myśl, że naprawdę może być właśnie tak, jak przed chwilą powiedziała. Nie potrafi pojąć takiej bezduszności. A wiązała tyle nadziei, tyle nadziei z jego listami!

Hank próbuje jeszcze raz.

- Posłuchaj, proszę. Jestem speszony. Mówię nie to, co chcę powiedzieć, a ty łapiesz mnie za słówka. Myślałem, że ty jesteś wszystkiemu winna, że mnie obserwujesz, że zawsze jesteś gotowa wytknąć mi błędy, że nie zniesiesz nikogo, kto miałby coś do powiedzenia w twoim życiu, bo za bardzo przywykłaś wydawać polecenia. Głupio myślałem - mówi Hank. - Byłem głupi i próżny. Ale żadna kobieta nigdy mną nie komenderowała. Mogę się zmienić. Przysięgam, mogę się zmienić. Byłem głupi. I nadal jestem głupi.

- Ja też byłam głupia - odpowiada True. Żal tłumi wściekłość. - Głupia i niedojrzała. Gdy cię poznałam, byłam zielona, jeśli chodzi o relacje między ludźmi. Jeszcze nie nauczyłam się zachowywać normalnie przy facecie. To przyszło samo. Zważywszy, jak to się stało, w jaki sposób za ciebie wyszłam, można by sądzić, że jestem na wpół szalona. Byłam wręcz całkiem szalona. To osobliwy skutek mojego dotychczasowego życia. Coś, o czym dotąd nie miałam pojęcia. Jeśli za tysiąc lat archeolodzy znajdą posąg bez rąk, gotowi pomyśleć, że istoty ludzkie ewoluowały, bo potrzebowały rąk. Rozumiesz, co mówię?

- Nie całkiem. Ale pewnie uczyłaś się tego w szkole średniej. A ja byłem wtedy w siódmej klasie podstawówki. Też zamierzczyła przeszłość.

- W szóstej - uśmiecha się True. - Myślałam, że jak cię zdobędę, będę znowu ładną

dziewczyną. Dziewczyną. Te wszystkie lata z Peterem wydają się stracone. A ja chciałam być taka jak dziewczyny w twojej kopercie.

- Widziałaś zdjęcia? Domyśliłem się, że w ten sposób dowiedziałaś się o górze Washington, ale bałem się o tym mówić.

- Nie otworzyłam tej koperty. To był pomysł mojej matki. Osobiście wolałabym nie wiedzieć. Rozumiesz?

- Szkoda, że tak się stało. - Oczy Hanka wilgotnieją, ale żartuje: - Niezły z ciebie numer. Świetnie potrafisz cyganić. Emocjonalnie... byłem co najmniej w gimnazjum. Powinienem być rozumieć znacznie więcej, niż rozumiałem w sprawach, których wcale nie chciałem rozumieć. - Po chwili dodaje: - Myślałem, że jak się z tobą ożenię, stanę się lepszym człowiekiem, że nauczę się ponosić odpowiedzialność za siebie...

- Bezboleśnie... - mówi True.

- Przeskakując wszystkie nudne etapy. - Hank uśmiecha się szeroko. - Taki już jestem, bebe.

- No i?

- Proszę, przemyśl wszystko, True. Zastanów się. Nie podejmuj pochopnych decyzji. Przyjadę jutro zobaczyć małą i zawieźć cię do domu. Jak Brewster będzie gotowa, zabiorę was obie. Wiesz co, True - dodaje z uprzejmością, jakby mówił do starego przyjaciela, któremu pojawiły się na głowie placki łysiny - byłaś najładniejszą dziewczyną w szkole. True kiwa głową, grożąc Hankowi palcem.

- Hank! - woła nagle True. Hank robi krok w jej stronę. - Nie, nie. Idź. W porządku.

- Ale najpierw powiedz mi to, o czym wspominałaś w swoim liście - mówi Hank.

- Ach, tamto. Wydaje mi się, że to historia sprzed tysiąca lat. Długa historia. Tamtego dnia, kiedy przyszedłeś odwiedzić Guya, zaraz jak wyszedł ze szpitala... zaszło coś między moją matką i mną. Pamiętasz, co mi powiedziałaś dawno, dawno temu? Dlaczego nie mam zaufania? Dlaczego myślę, że... nie potrafię się odsłonić - tak to się chyba nazywa w kobiecych magazynach... Zresztą, zapomnij o tym. To nie ma znaczenia.

- Chcę wiedzieć.

- No dobrze. Najkrócej mówiąc, chodzi o to, że moja matka... opowiem ci to kiedy indziej. Może to nie ma aż takiego znaczenia, jak mi się wtedy wydawało.

- Powiedz mi.

- Kiedy indziej. Dobranoc, Hank.

- Wpadnę jeszcze do Brew i ją ucałuję.

- Dobrze.

Po dłuższym, jak się jej wydawało, czasie True wstaje i idzie zobaczyć Elizabeth Brewster. Dostrzega Hanka zmierzającego w stronę wind. Czy ją widział? Chyba tak. Czeka więc, aż Hank się odwróci i jej pomacha. Ale Hank się nie odwraca. Nie ogląda się w jej stronę. True patrzy za nim poządlwym wzrokiem, analizuje jego chód, fanfaronadę, z jaką podnosi kołnierz skórzanej kurtki. Miłość pomiędzy matką a wyczekiwanym dzieckiem jest jak rzeka zasilana nigdy niewysychającym źródłem, płynąca zawsze w tę samą stronę. Miłość pomiędzy dorosłymi, zwłaszcza wtedy, gdy należą do różnych gatunków, między mężczyzną a kobietą, jest serią pytań. True przerobiła już wszystkie pytania, które mają ograniczoną liczbę odpowiedzi. Te najłatwiejsze. Różnica wieku między nimi, jej wygląd. Jeśli chodzi o pytania, na które trzeba udzielić opisowej, rozwiniętej odpowiedzi - dostała je, gdy czas testu minął, gdy zdążyła już wypełnić formularz, zakreślić właściwe miejsca równymi, okrągłutkimi kółkami. „Rozstanie: tylko tę rzecz znamy z nieba”, myśli True słowami swej mądrej, tajemniczej i samotnej antenatki, „tylko ją nam wystarczy znać z piekiel”\*

Późnym wieczorem, nakarmiwszy Brew, True telefonuje do Franny.

- Mam nadzieję, że nie za późno dzwonię. Obudziłam cię?
- Nie - mówi Franny. - Oglądałam telewizję. Jak tam nasza maleńka słodyczka?
- Coraz słodsza. Robiłaś jakieś zberezeństwa? Jesteś zasapana.
- Chciałabyś! Oglądam telewizję i ćwiczę na bieżni.
- Muszę... muszę z tobą porozmawiać.
- Z dzieckiem wszystko dobrze?
- Tak. W porządku. Właściwie doskonale. Przybyła na wadze pół kilo albo i więcej.

Może za tydzień wróci do domu.

- Och, True, ciężar ci chyba spadł z serca.

- Nawet mi nie mów.

- O czym chcesz rozmawiać?

- Powiedzmy, że ty i Steve jesteście w separacji i on ma romans z kobietą.

- Wybaczyłabym mu - odpowiada natychmiast Franny. - Przebaczałabym mu to codziennie do końca jego dni, pilnując, by zdawał sobie z tego sprawę. To mój patent. Nie chciałabym dać mu szansy, by szukał szczęścia gdzie indziej, a potem wspominał ten wypadek i mówił, że to kaprys młodości.

- Powiedzmy, że ta kobieta go kocha.

- Powiedzmy. Nie mój problem. Skoro to był tylko romans.

- Franny, mój ojciec miał kochankę - mówi True, patrząc na tabliczkę nad drzwiami pokoju. Jest na niej napisane: PAMIĘCI NASZEGO ANIOŁKA, ANNEMARIE. Brzdęk,



moneta upada na podłogę krypty. - Dowiedziałam się niedawno, że mój ojciec zdradzał matkę. Miał kochankę przez te wszystkie lata, kiedy dorastaliśmy.

- Nie dziwię się - mówi Franny.

- Nie dziwisz się?

- Nie. To wiele wyjaśnia - ciągnie Franny. - Fascynacja Kathleen mężczyznami. To, że stale z kimś flirtowała i tak bardzo pragnęła być atrakcyjna, ale nigdy nie posuwała się ani kroku dalej. A także...

- Co? - dopytuje True.

- To wyjaśnia parę innych spraw, dotyczących kogoś innego, kogo znam.

- Mmmmm. Uwielbiam cię, Franny.

- Ja ciebie też. Wiem, że nie rozmawiamy o Steve'ie i potencjalnym romansie, który mógłby mieć, gdybyśmy byli w separacji. A więc do rzeczy, True.

- On spał z Adele - przyznaje True, z trudnością wymawiając słowa. - Przespał się z nią, gdy z nim mieszkała... z powodu dobrego światła w jego mieszkaniu, z powodu tego swojego rysowania.

- Wiedziałaś chyba, że ze wszystkich sił będzie się starała, by do niej wrócił. Nigdy nie dała za wygraną. Nawet wtedy, gdy była z innym facetem. Tak sądzę, ale... True... nie doprowadzaj się do takiego stanu, bo stracisz pokarm.

- Nie tracę. Ale jestem załamana. Wiedziałam o tym. Czułam to. Normalnie czułam, że on to zrobił tamtego dnia. Zachowywałam spokój dzięki dziecku i Guyowi. Ale gdy rodziłam, czułam, że on jest ze mną, że on naprawdę jest ze mną, i to jest najgorsze, Franny.

- Bo był.

- Nie mógł być. Skoro to zrobił.

- To mężczyzna, True. Zrobił, zaliczył, koniec. Nie wiedział, i weź to pod uwagę, że twoja matka trzymała cię od niego z daleka. Myślał, że ty tak chcesz. Czy raczej, że nie chcesz.

- Niemniej...

- Niemniej, ja byłabym wściekła. Nie bronię go.

- I słusznie, bo nie zasłużył.

- Sama musisz zdecydować. Myślę, że jest mu ogromnie przykro. To nie jest gra.

- Nie. Jest mu rzeczywiście bardzo przykro. I chce wrócić do domu.

- Przyjmiesz go?

- Przyjęłabym go, Franny, i to natychmiast, gdybym wiedziała, że potrafię mu przebaczyć. Gdybym mogła wziąć to lekarstwo, które pozwala ci doświadczyć czegoś, a

potem zapomnieć o tym w ułamku sekundy.

- Versed.

- Tak. Gdybym była pewna, że jak pozwolę mu się dotknąć, nie będzie myślał o niej.

- Czy kiedykolwiek, posłuchaj dobrze!, czy kiedykolwiek przeszło ci przez myśl, że jak dotykał tamtej, myślał o tobie?

W ciepły sobotni dzień styczniowej odwilży True wkłada Elizabeth Brewster do eleganckiego wózka i zabiera ją oraz Guya na pierwszy spacer do centrum Chatham. Powoli pokonują odległość, zatrzymywani co i rusz przez znajomych. Irenę Riggins, właścicielka sklepu ze słodyczami, wychodzi na ulicę, by zachwycić się niemowlęciem, dać Guyowi cukierka i powiedzieć mu, jak wspaniale wygląda, a także stwierdzić, że True zdaje się być już w świetnej formie. Później panie z ShoeBiz skaczą wokół wózka, gdy True usiłuje zmierzyć parę sportowych butów.

- Niech ją dotknę. Patrzcie, jaką ma oliwkową buzię! W ogóle nie będzie musiała się malować - mówi pani Curry.

Pod wpływem chwili True kupuje buty, choć są ekstrawaganckie, i do tego czerwone. Buty na przyszłość, myśli True. Czeka ją wiele spacerów z wózkiem. Podobnie jest w The Eccentric Yankee. Mollie kołysze Brew i śle mężowi, Timowi, smętne spojrzenie. Mają czworo dzieci, najmłodsze to trzylatek.

- Idź już sobie, True, i nas nie kuś - dowcipkuje Tim. - Ona jest cudowna. A i braciszek, widzę, już w dobrym zdrowiu.

Gdy przechodzą obok „Ogródka dla Dzieci”, True kątem oka dostrzega znajomą sylwetkę. Odwraca się i widzi Hanka, który pomaga Adele zejść ze schodów. Adele trzyma papierową torbę z zakupami, ma wielki brzuch, zaróżowione policzki i jeszcze dłuższe, spięte szylkretową kłamrą włosy. Ponieważ True nie potrafi lewitować i nie może skryć się w tłumie, musi iść dalej. Prawa fizyki podpowiadają, że spotkanie nastąpi dokładnie wtedy, gdy Adele i Hank dojdą do końca wykładanej płytami ścieżki.

- Tato! - woła Guy, rzucając się Hankowi w ramiona z takim entuzjazmem, jakby nie był u niego tego samego ranka na śniadaniu. Siedząc w bujanym fotelu podczas karmienia, True patrzyła zza zasłony sypialni, jak Hank otworzył drzwi ciężarówki i Guy, prawie już całkiem zdrowy, wskoczył do środka.

- Cześć, chłopie - mówi czule Hank. - Cześć, True. Adele, poznaj... właściwie znasz już... moją żonę. I moją córkę. Oto Elizabeth Brewster Bannister Pierwsza.

- I ostatnia - śmieje się True. - Jak się masz, Adele? Przygotowana?

- Chyba tak. - Adele pokazuje dziurki w policzkach. - Czy Hank ci powiedział, że

David i ja znowu jesteśmy razem? David, ojciec dziecka?

- To wspaniale, Adele. Będę ci wysyłać podarunki - mówi True. - Z najlepszymi życzeniami. Naprawdę.

- Muszę ci podziękować, True. I przeprosić cię. Ale bardzo potrzebowałam twojego męża. - True jest zszokowana i wzruszona szczerością Adele. - I za to, że dałaś mi prawdziwy życiowy start. Byłam zupełnie zagubiona, gdy rozstaliśmy się z Davidem i gdy umarła moja mama. Jest mi bardzo przykro. Hank okazał się wspaniałym przyjacielem. A to - Adele unosi do góry torbę - to prezent ślubny dla nas. Ubranko do chrztu dla tej osóbk.

- Wiesz, Adele - odpowiada grzecznie True - tylko ty pisałaś takie piękne książki. Więc też powinnam ci podziękować. Życzę powodzenia.

True już zamierza iść dalej, gdy Hank powstrzymuje ją ręką.

- Adele - mówi - czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że porozmawiam z True przez chwilę na osobności? Pewnie nie będziemy mieli okazji rozmawiać później, a mam jej do powiedzenia coś osobistego. Nie będziesz miała nic przeciwko temu?

- Nie - odpowiada Adele. - Naturalnie, że nie. Daj mi kluczyki, Hank. Rozgrzeję samochód.

Gdy Adele odchodzi, z tyłu jej ciąża jest niewidoczna. Hank sięga do wózka i bierze na ręce córkę, która w nagrodę ziewa słodko jak kociak.

- Chciałem cię zapytać, True, czy nadal chcesz ze mną porozmawiać? Teraz, gdy wszystko skończone, powiedziane, załatwione.

- Odpowiedź brzmi: niby tak, choć nie powinnam chcieć. Trzyma się kupy?

Guy przysłuchuje się z wielkim zainteresowaniem. Hank dostrzega to i pyta:

- Guy, możesz polecić naprzeciw i kupić mi batonik toffi? Poczuję głód.

- Znam te numery. Chcesz pogadać z mamą.

- Kto by nie chciał pogadać z ładną blondynką z uroczym niemowlakiem?

Guy wzdycha.

- Dobra, daj forszę.

- Jesteś okropnie chudy. Sobie też kup batona.

- Po czekoladzie będę wymiotował. Wezmę sobie krówki.

- Kup sobie smoczek albo przekłuj sobie ucho. Skoro tak nie znosisz czekolady, to jak przyjdę uczyć cię tańczyć w przyszłym tygodniu, przyniosę ci kisiel.

Obaj wybuchają śmiechem. Najwyraźniej tylko oni wiedzą, co w tym śmiesznego.

Gdy Guy się oddala, Hank mówi do True:

- Powiedział mi, że jak był w szpitalu, dostawał wszystkie możliwe rodzaje kisielu.

Dodał, że nigdy więcej nawet nie spojrzysz na kisiel.

- Tak! I do kisielu dodają świńską skórę! Uczyliśmy się o tym w szkole! - krzyczy Guy.

- Uwielbiam świńską skórę! - odkrzykuje Hank. - I przestań kłamać, Guy. Wiesz, że kłamiesz. Lubimy dobrą goloneczkę, co?

- Nie rozśmieszaj mnie - prosi Guy, trzymając się za brzuch. - Jeszcze nie mogę się śmiać.

- Lepiej już zacznij się śmiać, bo w przyszłym tygodniu zrobimy pas de bouree albo i dwa. Assemble. I zacznij się rozciągać. Grand-pere mówi, że nie chcesz chyba mieć zrostów... wiesz, blizn, tam w środku.

Guy wyciąga ręce w błagalnym geście i zwraca się do nieba:

- Czy nie dość się nacierpiałem?

True wyczuwa, że więź między nimi jest niewidoczna

i mocna jak żyłka wędkarska. Kocha Hanka całym sercem za ten dar dla jej chłopca.

Gdy Guy jest po drugiej stronie ulicy, Hank kuli i prostuje ramiona, stawia kołnierz i mówi:

- Wiem, co teraz będzie. Uznałaś, że wszystko skończone. Chcesz, żebym odszedł.

- Silnik twojego samochodu jest już włączony.

- Miałem na myśli... żebym odszedł na zawsze. Żebyśmy więcej nie rozmawiali.

Chciałem się co do tego upewnić, zanim pójdę.

- No, cóż... Chcę rozmawiać. I to jak najszybciej - przyznaje True. - Nie mogę przestać o tym myśleć. Ani na chwilę.

- Ja też.

- Wobec tego w sobotę? Po zajęciach z Guyem?

- Świetnie. Bardzo się cieszę.

- Życz Adele wszystkiego najlepszego. Mówię szczerze. Mniej w tym wszystkim jej winy niż twojej.

- Dobrze. Adele wyjeżdża. Do Nowego Jorku.

- Ho! Ho!

- Trzeba być tam, gdzie mąż.

- Może i tak - odpowiada True, poprawiając becik Brew.

Guy wychodzi z sutereny, pot cieknie mu po brodzie.

- Nic się nie zmienił - mruczy. - Nie mam nic przeciwko temu, żebyście się nie pogodzili.

True musi się roześmiać.

- Nie siadaj blisko mnie, bo pewnie cuchnę - mówi Hank, podążając za Guyem i wycierając podkoszulkiem ramiona i piersi.

- W porządku. Nigdy nie cuchnąłeś. Co najwyżej solą i rybami - mówi True.

- Kathleen wywiesiła pranie na dworze. Ciekawe, jak długo ta pogoda się utrzyma.

- Tak. Jest w trakcie przygotowań do wielkich zmian. Wyprowadza się.

- Naprawdę?

- Do własnego domu. W Harwich, jak sądzimy. Dog i ja. I leci do Wisconsin. Tak, samolotem. Odwiedzić ojca Esy. W kwietniu.

- Uhm.

- Zdziwiająca, nie sądzisz? Zasugerowałam jej, żeby umówiła się na randkę, a ona w tym celu chce przemierzyć pół Ameryki.

- True - mówi Hank, wstając.

- Idziesz już? Myślałam, że porozmawiamy... dziecko śpi...

- Czy mogę cię pocałować?

- Tak - mówi True i dotyka jego gorących warg, odchyła głowę i otwiera usta w jego ustach, poruszając nimi i szukając, jakby chciała zbliżyć się do niego bardziej, niż pozwala na to tkanka ich skóry.

- Kocham cię tak bardzo, Hank, że musiałam trzymać cię na... dystans. Musiałam. To była moja tarcza. Jak sam powiedziałeś. Poprawność. Kiedy wszystko inne zawodzi. Ale nigdy nie było tak, żeby cię nie kochała.

- Ja też cię kocham. Jesteś moją żoną. Moim sercem, True. Słyszą, jak Guy włącza prysznic i jednocześnie Brewster zaczyna płakać. Obudziła się, lekka kołderka skopana, patyczkowate nóżki z nowo powstającymi pulchnymi zaokrągleniami wściekle młóca powietrze. Hank bierze ją na ręce i zaczyna śpiewać: Słodka jak miód z Tupelo, jak aniołek...

- Tę samą piosenkę śpiewałam Gee - mówi True. - Ona też ją uwielbia. Ale nie wiem, czy to coś pomoże. Obawiam się, że jest głodna.

- No to dalej.

True rozpiną bluzkę, spodziewając się, że Hank odwróci wzrok. Ale on tego nie robi.

- Najcięższą robotę wykonałaś sama, beze mnie - mówi ze smutkiem.

- Nie. Najcięższa robota dopiero przed nami - stwierdza True. - i nie wiem, czy chciałabym ją wykonywać bez ciebie.

- Ale ty...

- Mam pewien pomysł.

- Nie może być nic gorszego niż pragnąć własnej żony, patrzeć, jak karmi nasze dziecko, i wiedzieć, że trzeba będzie wrócić do pustego domu.

- Nie sądzę, by był pusty - mówi True, zakładając pasmo włosów za ucho.

- Nie rób tego - mówi ostro Hank.

- Czego?

- Nie zakładaj włosów za ucho. Ten twój ruch najbardziej mi się podoba. Nie rób tego teraz, tutaj, w naszym pokoju.

- Dobrze. Przepraszam - mówi zadowolona True, widząc, jak silne wrażenie wywarł na nim ten drobny gest. - A oto i mój pomysł. Chcę, żebyś był blisko dzieci. Żebyś widywał się z nimi każdego dnia. Żebyś był ojcem, kiedy tylko zechcesz.

- Och, na to, szczerze mówiąc, liczyłem. Ale wydawało mi się, że twój „pomysł” będzie dotyczył nas.

- Owszem.

- To co wobec tego z tobą i ze mną.

- Możesz zapraszać mnie na randki.

Jej słowa brzmią sztywno, szeleszczą jak papierowy kołnierzyk. Nie tak miała je powiedzieć.

- Zapraszać na randki.

- Będziemy chodzić na randki.

- Będziemy chodzić na randki? Będziemy chodzić na randki czy odwiedzać przyjaciół razem z dziećmi?

- Nie, będziemy się spotykać we dwoje - mówi True. - A po miesiącu albo coś koło tego, jeśli nadal będziesz mnie chciał, pójdziemy... pójdziemy do łóżka, jeśli będziemy mogli. A potem zrobimy to jeszcze raz. A za parę miesięcy wybierzemy się w podróż... Podoba ci się, jak na razie? Wiesz, myślę nad tym... na bieżąco. Zastanawiałam się po nocach... i nadal improwizuję. Nie ma książek o takich sprawach.

- Wiem, to niespotykana sytuacja. Ale... zgoda, będziemy się umawiać na randki i co dalej?

- Mogę ci jedynie powiedzieć, jakie są moje nadzieje. Otóż mam nadzieję, że przekonamy się wreszcie, jacy jesteśmy, Hank, jacy jesteśmy naprawdę. Czy potrafimy zachować tę więź, która - jak nam się zdawało - była kiedyś między nami. Myślisz, że to możliwe? Myślisz, że nie musielibyśmy się zmieniać, z wyjątkiem największych słabości, by nauczyć się prawdziwie sobie ufać?

- Ja ci ufam.

- Ale ja ci nie ufam. A chcę! Kocham cię tak bardzo, że nie zgodzę się na nic, co nie byłoby czymś wielkim, autentycznym, prawdziwym... Zresztą sam to mówiłeś. Nie sądzisz, że ty także powinieneś nauczyć się mi ufać?

- Co masz na myśli?

- Wszystko to, co powiedziałeś, gdy odszedłeś. Że cię nie szanuję. Że uważam cię za zabawkę. Za przedmiot.

- Byłem wściekły, True. - Hank, zawstydzony, patrzy w bok. - Wcale tak nie myślę.

- A jakaś mała częśćka w tobie?

- Może... - przyznaje Hank z pewnym oporem. - Ale to się może zmienić. Tylko dlaczego mówisz o całych miesiącach? Poprzednio nie trwało to miesiącami.

- Mam nadzieję, że nie będzie trwało miesiącami! Chciałabym, żeby to było jutro! Posłuchaj! Może nauczymy się nie dostrzegać tego, czego nie można zmienić. I tak już zostanie.

Powinniśmy byli się nauczyć tego jeszcze przed ślubem. - True milknie, oddycha głęboko. - Wiem, że będziemy się kłócić. Będziemy się kłócić i będziemy śpiewać, jeśli posuniemy się za daleko. Będziemy razem gotować. Rozmawiać

o filmach i czytać sobie nawzajem książki. Wiem, że to brzmi nudno, ale czegoś innego doświadczyliśmy aż nadto.

- Mówisz o czymś idealnym. O życiu bez konfliktów. Bardzo mi się podoba.

- A więc zgadzasz się. Spróbujmy. Przyjrzyjmy się wszystkiemu dokładnie, a jak się przyjrzymy, to ewentualnie... weźmiemy ślub.

- Przecież już wzięliśmy ślub, True.

- Będziemy musieli zrobić to jeszcze raz. Inaczej nie uwierzę. Ty złamałeś nasze śluby.

- Ty też. „W dobrej i złej doli” - przypomina jej Hank.

- „Wierność i uczciwość małżeńską... i że cię nie opuszczę aż do śmierci...” - przypomina mu True.

- Więc zróbmy to jeszcze raz. Teraz, kiedy już wszystko wiemy, bebe. Wszystko.

- Przedtem też myśleliśmy, że wiemy wszystko, mój najdroższy, mój kochany. I zobacz, co z tego wyniknęło...

Hank wskazuje na Brewster.

- Co wyniknęło? Wcale nie tak źle!

- Istotnie. Jest cudowna ta nasza szczęśliwa gwiazda. Ach, gdyby była jedyną rzeczą, która z tego wyniknęła. Z początku myślałam, że ucieknę, Hank. Że nigdy cię nie zobaczę.

Ale nie mogłam się na to zdobyć. Zaczęłam więc myśleć, jak moglibyśmy spróbować? Jak?

- No i?

- To był jedyny sposób, który wymyśliłam i który nie byłby mi tak wstrętny, że musiałabym zniszczyć to wszystko, co jest między nami. - True kładzie rękę na ramieniu Hanka

i patrzy na swoją dłoń, na jej kształt, gdy tam spoczywa. - Jeśli to zniszczę, serce mi pęknie. Może kiedyś, gdybym bardzo się starała i była ciągle bardzo zajęta, potrafiłabym spojrzeć wstecz i pogodzić się z faktem, że straciłam tego złośliwego, samolubnego obrzydliwca, który opuścił ten dom. -

Milczy tak długo, że Hank otwiera usta, by coś powiedzieć. True ciągnie jednak dalej:  
- Ale jeśli stracę mężczyznę, który pisał te listy, listy, których mogłam w ogóle nie zobaczyć, stracę miłość mojego życia.

- Nie stracisz mnie.

- Wiem. Wiem - mówi True. - Wierzę w to. Ale muszę się przekonać.

- Czy mamy się najpierw rozwieść?

- Nie żartuj. Staram się, jak mogę. Nie mam na myśli legalnego ślubu. Mam na myśli przysięgę... którą sobie złożymy...

- W obecności innych ludzi?

- Może. Może w kaplicy Elvisa w Vegas. Tym razem na zawsze. Muszę się przekonać, że potrafisz być facetem na zawsze, i to świadomie. Popatrz, nawet przez twoją zgodę na czekanie wiem więcej, niż wiedziałam.

- Fakt. Gdybyś mnie znała, nie pytałabyś, czy zaczekam. Nadal nie znamy się dobrze, dogłębnie. Myślałem o tym milion razy. Zupełnie jakbyśmy wsiedli do kolejki górskiej i mogli jedynie... się trzymać. Za wiele mieliśmy przeszkód. Ale trudno nam będzie czekać. Zwłaszcza w niektórych sprawach.

- W niektórych sprawach możemy być gotowi wcześniej niż w innych. Ale słodycze stojące na najwyższej półce smakują najbardziej.

- Myślę, że jesteś twardą kobietą.

- Jestem twardą kobietą. Muszę być. Gdybym nie była, zrobiłabym to, czego pragnę całym sercem - pociągnęłabym cię tu, na to łóżko, teraz... i zrobiła błąd, który byłby końcem dla nas obojga. Wiem, jaka potrafię być niedobra. Jaka złośliwa i jaka bezbronna. I ty też to wiesz. Myślisz, że tego chcę, Hank? Niczego na świecie nie pragnę tak bardzo, jak powiedzieć ci: idź po swoje walizki... a ja przygotuję pizzę, wszyscy wejdziemy do łóżka z maleństwem i Guyem.



Usta Hanka drżą.

- Więc dlaczego...?

- Bo chcę, żeby to trwało, Hank. Tak bardzo cię kocham.

A to, co zrobiłeś, jest jeszcze ciągle zbyt świeże. Jest jak wąż, który może mnie ukąsić. Ukąsić nas. Chcę zacząć na to patrzeć twoimi oczami. Jak na zakręt na drodze. Na spotkanie, które nie miało z nami nic wspólnego.

Hank wzdycha głęboko. Potem spogląda na nią i uśmiecha się szeroko.

- Zgoda, panno Dickinson. Kiedy mogę panią zaprosić na randkę?

- Będzie mi bardzo miło, panie Bannister. Pomyślmy. Żeby nie przemakała mi bluzka, bo jestem teraz, jak pan wie, w dość nietypowej sytuacji, powiedzmy o trzeciej po południu za tydzień od przyszłej niedzieli?

- Przyjadę po panią.

- Och, ale musimy pojechać moim samochodem. Jest mi tak trudno, proszę pana, wsiadać do ciężarówki z powodu szwów w pewnym miejscu...

- I co życzyłyby sobie pani robić?

- Myślałam, że... ponieważ do tego czasu mogę stracić kolejne pięć kilogramów, może chciałabym zagrać w kręgle.

- Kręgle, powiada pani? Ale muszę panią ostrzec, panno Dickinson - jestem niezrównanym graczem. I nie mam litości.

- Och, nie musi pan okazywać mi litości, panie Bannister. Lubię grać. I lubię wygrywać. Zawsze zdobywam to, czego chcę. A więc, panie Bannister, ogram pana z kretesem.

- Przekonamy się.

- O, tak. Przekonamy się - dopowiada True i uśmiecha się, całując główkę Brew. - Przekonamy się, o czym się mamy przekonać.